



HISTORIA ZŁYCH UCZYNNKÓW

KATARZYNA ZYSKOWSKA

Jest czas na zabijanie i czas na miłość.

Wszystkie historie są o miłości i śmierci, i ta też będzie właśnie o tym.

KATARZYNA ZYSKOWSKA

HISTORIA ZŁYCH UCZYNKÓW

znak *litera
nova*

Kraków 2023

*Propastnyk po świecie chodzić nie może
i nikt go nigdy nie widział;
z tuczą on chyba przelatuje,
ze złą chmurą nadchodzi
albo z wiatrem leci.*

*Wówczas gdy wiatr wielkie koła kręci lub wodę wypija
z rzek, propastnyk na ludzi zastawia sidła. Biada temu,
kto wstąpi w to miejsce nieczyste, przepadł na wieki
(...).*

Oskar Kolberg, *Dzieła wszystkie*, t. 51,
Sanockie-Krośnieńskie, cz. III, Świat nadzmysłowy

Prolog

Miłosz zniknął.

Wciąż nie do końca rozumiem, gdzie jestem – resztki sennych fantazji z wolna spływają po rozmytych krawędziach podświadomości – wiem jedynie, że nie ma go przy mnie.

Otwieram oczy. Dokładnie pamiętam, co mi się śniło: była noc, a ja obudziłam się w pustym łóżku w swoim mieszkaniu, bez niego. Teraz to wszystko dzieje się naprawdę. Upiorne *déjà vu*... Staram się rozbudzić i przeniknąć ciemności panujące w pokoju, lecz chwilę trwa, nim otoczenie nabiera ostrości, a do mnie zaczyna docierać, co tak naprawdę się dzieje.

W sypialni panuje półmrok. Na ścianach rysują się cienie rzucane przez drzewa za oknem. Obserwuję je codziennie. Ich obecność zwykle mnie wycisza, uspokaja, ale w tym momencie nieruchome czarne kontury wydają się dziwnie groźne. Wywołują we mnie niepokój.

Nie wiem, co dokładnie sprawiło, że się obudziłam. Przeczucie? To głupie, nie wierzę w takie rzeczy. A jednak serce bije mi zbyt szybko, wilgotna skóra lepi się do pościeli. Odruchowo spoglądam na zegarek stojący na szafce nocnej – dochodzi trzecia. Mówi się, że to godzina samobójców. Zła godzina.

W ciszy pomieszczenia wytężam słuch w poszukiwaniu drugiego oddechu. Z nadzieją wyciągam dłoń. Palce suną po chłodnym prześcieradle do miejsca, gdzie powinny napotkać znajomy kształt. Trafiają w próżnię. Moje ciało się napina, serce wali jeszcze szybciej. Podrywam się na łóżku i zdeorientowana rozglądam dookoła.

– Miłosz?

Głoski nie chcą się uformować na zdrętwiałym języku, odbijają się od ścian i rezonują w mojej głowie.

– Miłosz... – Głos przestaje być szeptem, chociaż wciąż nie jest krzykiem.

Cisza.

Już wiem, że nie wyszedł do łazienki czy kuchni. Nie ma go w mieszkaniu. Zostałam sama. Jeden oddech, puste łóżko. Tylko na jego poduszce nadal rysuje się wgniecenie.

Czy to możliwe, żeby tak po prostu zniknął z mojego życia?

Zrzucam z siebie kołdrę, naga przemierzam pokój, podchodzę do szyby i patrzę w warszawską noc, na park Promenada skąpany w niebieskawym blasku miejskich latarni. I wtedy ją dostrzegam. Sowa. Nie powinno jej tu być – w środku miasta? – a jednak jest. Siedzi na gałęzi. Patrzę na nią. Ona na mnie. Wbija we mnie żółte ślepie, które wszystko już widziały i wiedzą to, czego ja sama jeszcze nie rozumiem.

Sowa rozchyła dziób. Wypełnia mnie jej wrzask.

1

Mam na imię Nina. Zawsze czułam, że mojemu życiu towarzyszy jakiś nieokreślony mrok.

I wstyd.

Przez wiele lat ciążyło mi wszystko, co miało miejsce przed poznaniem Miłosza i przyjazdem na studia do Warszawy. Wiązało się to z dolnośląskim Jugowem oraz dorastaniem na prowincji w cieniu Gór Sowich; pośród zamykanych stopniowo zakładów tkackich i upadających kopalni, których szyby, niczym wyrzut sumienia, sterczały ponad doliną. Długo czułam się gorsza przez to, że urodziłam się w poniemieckim domu z pruskiego muru, przesiąkniętego wilgotną wonią rozpadu i biedy, z którego tynk odłaził jak liszaj, ukazując tu i ówdzie krwiste mięso cegieł. Miałam kompleksy, bo wychowującej mnie samotnie matce zazwyczaj nie starczało do pierwszego, żyliśmy zatem więcej niż skromnie. Brakowało nam wszystkiego – może z wyjątkiem książek, które obie pochłaniałyśmy nałogowo – chociaż jako dziecko nie zdawałam sobie sprawy, jak niewiele posiadamy. Ta świadomość dotarła do mnie później.

Gdy upadał Peerel, a ja byłam dziewczynką z patykowatymi nogami i mysimi warkoczykami, wszyscy dookoła mieli tyle samo, czyli przeważnie nic. Moja matka, polonistka ucząca w ogólniaku w pobliskim miasteczku – można powiedzieć: przedstawicielka elity intelektualnej – dźwigała na swoich barkach krzyż równie ciężki jak większość tutejszych kobiet, żon bezrobotnych górników, topiących frustrację w tanich winach i niestroniących od przemocy.

Nigdy nie rozumiałam, dlaczego po śmierci ciotki Wolańskiej – właśnie po niej odziedziczyłyśmy zjadane przez grzyb i bezustannie wymagające remontów domiszczce – matka nie podjęła decyzji o sprzedaży i przeprowadzce do miasta. Mogłaby w zamian kupić kawalerkę na osiedlu z wielkiej płyty w Nowej Rudzie, gdzie zamiast opalanych węglem pieców miałybyśmy centralne ogrzewanie.

Łatwiej by nam się żyło. Matka zarzekała się, że nie jest sentymentalna, i rzeczywiście cechował ją raczej chłodny pragmatyzm, lecz jakoś nie potrafiła odciąć się od tego miejsca. Dlatego każdy uciulany grosz szedł na przepychanie kominów bądź łatanie stropów, a ja nosiłam ciuchy odziedziczone po obcych dzieciakach i zamiast wymarzoną lalką Barbie bawiłam się radzieckim bobasem. Był z kiepskiej jakości plastiku, ale gdy go postawiłam prosto, otwierał bławatne oczęta o psychodelicznym wyrazie i ustami naburmuszonej lolitki powtarzał mechanicznie: ma-ma, ma-ma.

Kolorowy miraż kapitalizmu ostatecznie wdarł się w moją szaroburą rzeczywistość, kiedy skończyłam podstawówkę i zaczęłam dojeżdżać do liceum w Nowej Rudzie. Tego samego, w którym uczyła matka. W połowie lat dziewięćdziesiątych nie miałam już cienkich nóżek i warkoczyków, za to zyskałam piersi, włosy łonowe i przekonanie, że jestem bardzo dorosła – chociaż wcale nie byłam, bo te włosy ani trochę nie czynią człowieka dorosłym. Ale mniej więcej wtedy po raz pierwszy zrozumiałam, że sprawiedliwość społeczna i równość klas – teorie, którymi karmiła mnie moja matka idealistka, ostatnia żyjąca w naszej czasoprzestrzeni wyznawczyni marksizmu – to gówno warte mrzonki. Teraz liczyła się wyłącznie kasa i jej siła nabywczą. Żelazna kurtyna opadła, a mnie spadły klapki z oczu i okazało się, że gdzieś na świecie są ludzie, którzy zasypiają w odpowiednio ogrzanych domach, a w czasie deszczu nie biegają po pokojach z miednicą, podstawiając ją w miejscach, gdzie dach przecieka. Są dzieci, które zamiast urządzać sobie plac zabaw w niebezpiecznych nazistowskich sztolniach, jakich pełno było w tutejszych górach, wyjeżdżają na wakacje nad morze, żeby budować zamki z piasku. I dostają kieszonkowe, za które kupują gumy Turbo, i noszą buty, których nikt przed nimi nie nosił, a także szeleszczące nowością kreszowe dresy.

Świat transformacji, otwartych granic, wolności i nieograniczonych perspektyw, wyretuszowany na zdjęciach w „Bravo Girl” i zieleniący się dolarami przy Beverly Hills 90210, matce nadal wydawał się obcy i wstrętny, lecz mnie jawił się jako ziemia obiecana. Ją zmiana ustroju doprowadzała do rozstroju nerwowego, ja chłonełam wszystko niczym gąbka. Chciałam być jak pyskata Brenda albo jej śliczna przyjaciółka Kelly. Dlatego związywałam włosy czerwoną bandaną, nosiłam przykrótkie szorty na rajstopy, rozdeptane trapery,

luźne swetry i koszule w kratę (wszystko kupione na wagę i wciąż pachnące ciałami Jürgena i Hildy, naszych zachodnich sąsiadów). Klóćąc się z matką, przyjmowałam pozy zbuntowanego dziecka ulicy w stylu *Gangsta's Paradise*, a po śmierci Cobaina na jakiś czas pogrążyłam się w żalobie.

W tym samym okresie w szkolnej pracowni komputerowej odkryłam rzeczywistość równoległą. Wirtualną. Lepszą niż ta, która mnie otaczała. Z zacięciem inkwizytora tropiącego herezję potrafiłam godzinami zgłębiać programowanie w DOS-ie i meandrować ścieżkami dostępu Windowsa, stopniowo nabierając przekonania, że informatyka to przyszłość ludzkości. Moja przyszłość! Dzięki której wyrwę się z Jugowa. Postanowiłam, że po maturze będę zdawać na politechnikę.

Ze szkolnej pracowni można było korzystać tylko w obecności nauczyciela, a mój apetyt ciągle rósł. Błagałam matkę o peceta. W całej okolicy komputer miały może ze trzy osoby. Nas również nie było stać na takie fanaberie i matka długo mówiła „nie”. Nie rozumiała mojej fascynacji. Dla niej komputer był czymś pomiędzy stolikiem do układania pasjansa a trochę nowocześniejszą maszyną do pisania. Zmieniła zdanie dopiero po roku, gdy wreszcie zrozumiała, że nie odpuszczę. Część pieniędzy zarobiłam sama, zbierając latem truskawki u sąsiada, resztę niebagatelnej kwoty dorzuciła ona – dopiero później dowiedziałam się, skąd ją wzięła. I wreszcie na moim rozklekotanym biurku, pamiętającym prawdopodobnie czasy, kiedy w naszym domu mówiono po niemiecku, stanął nieduży monitor, a pod nim szare blaszane pudło, wyjące, szumiące i popiskujące kakofonią internetowych łączy.

Byłam najszcześliwszym człowiekiem pod słońcem. Matka przeciwnie.

Nie ukrywała, że nie popiera pomysłu studiowania informatyki. Nigdy jakoś nie wyartykułowała tego wyraźnie, a mimo to czułam, że wolałaby, żebym poszła na dziennikarstwo – chcąc zapewne spełnić własne, nie do końca zrealizowane ambicje. Sama ukończyła uniwersytet i nawet przez jakiś czas pracowała w różnych redakcjach. Kiedy pojawiłam się na świecie, zrezygnowała z kariery. Po prostu tak zdecydowała, nie dopytywałam dlaczego. Zresztą nie lubiła opowiadać o przeszłości, a gdy zdarzało jej się o niej napomknąć, po chwili stawała się wyjątkowo lakoniczna. Wiedziałam tylko tyle, że po studiach przez dziesięć lat mieszkała poza Jugowem: najpierw we Wrocławiu, później w Warszawie. Potem

wróciła, urodziła mnie, przyjęła posadę w szkole, chociaż szczerze nienawidziła pracy z młodzieżą, i w efekcie osiadła na wsi na stałe. Tłumaczyła mi, że spokojna góraska okolica i dom, w którym się wychowała, okazały się najwłaściwszym miejscem do zamieszkania z małym dzieckiem. Był też drugi powód – chciała się zająć leciwą i mocno już zniedołężniałą ciotką Magdą, która zmarła, gdy miałam pięć lat, więc niezbyt dobrze ją pamiętam. Jakoś nie do końca satysfakcjonowały mnie te wyjaśnienia, jednak nie potrafiłam wyciągnąć z niej niczego więcej.

Sprawy ojca też nie drażyłam. Nie istniał dla mnie ani on sam, ani jego temat. Matka wspominała o nim bardzo rzadko, nie okazując przy tym większych emocji – jakby facet, dzięki któremu się pojawiłam, nic dla niej nie znaczył. Mówiła, że to jakiś jej przyjaciel, swego czasu wysoko postawiony w partii. Zmarł wkrótce po tym, jak zaszła w ciążę. Że był dobry, spokojny, opiekuńczy i że mam jego oczy. Towarzysz Orłowski. Stefan. Dla mnie to było tylko imię i nazwisko. Zbitka nic nieznaczących liter. Nie zdążyli nawet wziąć ślubu, więc nazywam się tak jak matka: Chojnacka.

Może wszystkie jej przemilczenia i niedopowiedzenia powinny były mnie zastanowić, może należało przewidzieć, że brudy i tajemnice, które tak skrupulatnie zamiotła pod dywan, kiedyś spod niego wypełzną? Nikt przecież nie jest osobny, nie da się wyrwać jednostki z osnowy świata, wyciąć nożycami z tła zdarzeń. Jednak zrozumiałam to dopiero później. Nie można uciec przed karmą, przeznaczeniem, fatum, opatrnością – czy jak to tam ludzie nazywają – a życie zawsze stanowi ciąg przyczynowo-skutkowy. Przyczyny i skutki... Tak to już jest. Lecz kiedy miałam kilkanaście lat, nie dostrzegałam niczego poza czubkiem swojego piegowatego nosa. Sprawy matki były jej sprawami. Przeszłość jej przeszłością. Ja żyłam tu i teraz, zajęta własnymi problemami: pryszczami na czole, które zawsze wyskakiwały w niewłaściwych momentach, zbyt małymi pierśmi, bezustannym brakiem kasy i coraz mocniej ciążyącym mi dziewictwem. Pod koniec liceum życie stało się wyjątkowo ciekawe i absorbujące, a do zerwania pozostało kilka zakazanych owoców.

W ostatniej klasie pierwszy raz się upiłam. Winem marki Edelkirsch, popularnym, bo tanim, wiśniowym ulepem. Paskudne to to było, z chemicznym posmakiem całej tablicy Mendelejewa, ale poniewierało, jak trzeba, a pawia

rzucało się na słodko. Pierwszy raz zapaliłam też dżointa – co bardzo mi się spodobało – i wreszcie, tuż przed maturą, poszłam z chłopakiem do łóżka – co spodobało mi się znacznie mniej. Kolega z klasy okazał się kompletnym dyletantem, kilka ruchów i było po wszystkim. Nie zaznałam szału uniesień, metafizycznego poczucia jedności, kaskady orgazmów ani drżenia kolan, czyli wszystkiego, o czym czytałam w *Sztuce kochania* podwędzanej z biblioteczki matki. Całe to doświadczenie długo kojarzyło mi się jedynie z zaskakującą nadprodukcją płynów fizjologicznych: śliny, krwi, spermy i potu – krótko mówiąc: wyjątkowo silnym poczuciem rozczarowania i obciachu.

Obciach. Z lat spędzonych w Jugowie pamiętam niewiele poza nim. Prócz niego pozostały we mnie jeszcze wstyd i trudne do opisania wrażenie zawieszenia, jakbym przez całe lata na coś czekała, jakby życie miało się zacząć dopiero wtedy, gdy wsiądę do pociągu wiozącego mnie na studia. Ta chwila nadeszła szybciej, niż się spodziewałam, a przy okazji matka musiała mi wyjaśnić parę spraw.

*

To była pamiętna rozmowa. Na długo wybiła mnie z rytmu. Czułam się oszukana i przez jakiś czas żywiłam do matki głęboką urazę.

Któregoś dnia, jeszcze podczas trwania matury, zaproponowała, żebyśmy pogadały. Zabrała mnie do kuchni. Najważniejsze rzeczy zawsze działały się u nas w kuchni. Lubiała w niej przesiadywać. Twierdziła, że czuje tam obecność bliskich, którzy odeszli. Ja z tych samych powodów nie przepadałam za tym miejscem. Pomieszczenie było jak kapsuła czasu, przenosząca do przeszłości, od której tak bardzo chciałam się uwolnić. W telewizji i gazetach królowały już nowoczesne aneksy oświetlone halogenami, z szafkami w okleinie à la dąb, laminowanymi blatami z imitacji marmuru i barkami na chromowanych nogach, a u nas wszystko wyglądało, jakby czas się zatrzymał przed stu laty. Od kamiennej podłogi ciągnęło chłodem, kolebkowe sklepienie sufitu przytłaczająco opadało nad głową, ściany o nierównej fakturze tynków – na których teraz załamywało się majowe światło wpadające przez półkoliście zwieńczone okna – przywodziły na myśl pomarszczoną skórę starca. Nad kafłową kuchnią, ostatnio prawie nieużywaną, nadal wisiały przykurzone cynowe

i miedziane garnki i warkocze czosnku. Podobno ciotka Magda świetnie gotowała, ale moja matka nie miała do tego ręki. Szczytem jej kulinarnych osiągnięć było upichcenie zupy na kuchence elektrycznej, stojącej nieopodal na kredensie.

– Chcesz herbaty? – zapytała, kiedy zajęłam miejsce przy ławie.

– Nie, dzięki, trochę się spieszę, umówiłam się z Jolką. Chcę jeszcze powtórzyć materiał przed ustnymi...

Pokiwała głową. Myślałam, że usiądzie, lecz zamiast tego oparła się o piec i splotła ręce na piersi, zastygając w bezruchu. Wbiła nieobecne spojrzenie w jakiś punkt nad moją głową. Była już grubo po pięćdziesiątce, ale trzeba przyznać, świetnie się trzymała. Oczy w kolorze łupinek orzechów laskowych błyszcząły. Zachowała figurę i tylko miedziane włosy, przez lata jej znak rozpoznawczy, coraz gęściej przetykała siwizna.

Czasami zastanawiałam się, dlaczego z nikim się nie związała. Podejrzywałam, że wdawała się w jakieś przelotne romanse, jednak nigdy nie miały one dalszego ciągu. Kiedyś ją o to zapytałam. Powiedziała, że nie ma ochoty się do nikogo dostosowywać, naginać, zmieniać przyzwyczajień, prac czyichś gaci, że dobrze jej tak, jak jest. Ma swój świat, dom, książki, pracę i mnie. Oswoiła samotność.

– Mamo...

– Chodzi o twoje studia – zaczęła, wciąż unikając mojego spojrzenia.

– Co z nimi?

– Chciałabym, żebyś przemyślała...

– Jeżeli zamierzasz mnie namawiać na inny kierunek...

– Nie zamierzam – przerwała stanowczo. Dopiero teraz przeniosła na mnie wzrok. Niby trzymała nerwy na wodzy, ale widziałam, że w środku się gotuje.

– Zatem w czym rzecz?

– Chcę, żebyś złożyła papiery do Warszawy. – Nie bawiła się we wstępy.

– Do Warszawy?! Ale dlaczego? Przecież do Wrocławia jest bliżej. Myślałam, że mamy to już przegadane. Wszyscy moi znajomi wybierają się do Wrocławia. Nie pojedą do Warszawy.

Z jej ust dobyło się coś pomiędzy prychnięciem a westchnieniem.

– Widzisz, Ninka, długo o tym myślałam i sędzę, że Warszawa będzie lepsza.

– W czym lepsza? Mamo, co ty opowiadasz? To cały dzień drogi pociągiem stąd.

Oderwała się wreszcie od pieca i opadłszy ciężko na krzesło po drugiej stronie stołu, zaczęła pocierać dłońmi skronie.

– Jeżeli dostaniesz się do Wrocławia, będziesz musiała zamieszkać w akademiku, a to nie jest najlepsze miejsce dla młodej dziewczyny.

– Mówisz z własnego doświadczenia? – zażartowałam. – Boisz się, że wpadnę w złe towarzystwo? No weź przestań, mamo.

Myślałam, że odwzajemni uśmiech, jednak pozostała poważna.

– W złe towarzystwo można wpaść wszędzie, niekoniecznie w akademiku. A gwoli ścisłości: ja nigdy w nim nie mieszkałam. Mieszkałam na stacji. Zresztą w okropnej norze... Nieważne.

Matka zachowywała się dziwnie. Cała ta scena wydawała mi się dziwna.

– Więc o co tak naprawdę chodzi? Dlaczego chcesz, żebym zdawała do Warszawy? Przecież ja nawet nigdy tam nie byłam, nikogo nie znam. To obce miasto.

– Ale tam masz mieszkanie – wypaliła nieoczekiwanie i bezwiednie zacisnęła dłonie w pięści. Szybko schowała je pod blat.

– Słucham?

– W Warszawie na Mokotowie jest mieszkanie po twoim ojcu. Zapisał je nam. A właściwie tobie.

– Mój ojciec?! Ten Orłowski?

– Tak, Stefan.

– Ale kiedy? Gdy byłaś w ciąży?

– Nie. Zrobił to cztery lata temu, niedługo przed śmiercią.

Poczułam, jakby mnie strzeliła z otwartej dłoni w twarz.

– Jak to cztery lata temu? Nie rozumiem... Przecież zmarł, zanim się urodziłam.

– Oszukałam cię.

Zamilkła. Ja także milczałam. Robiło mi się na przemian gorąco i zimno. Kolebkowy sufit osunął się kilka centymetrów niżej. Miałam wrażenie, że zaraz

runie nam na głowy. Męczyła mnie ta rozmowa. Chłodne oczy matki...

– Mamo, o czym ty mówisz?

– To skomplikowane.

– No, ja myślę. – Moje początkowe osłupienie zaczęła wypierać irytacja. – Do cholery, jak mogłaś?!

– Hamuj język.

– Wybacz. Ale chyba mam powody do zdziwienia, nie sądzisz? – Nie mogłam patrzeć na jej nieruchomą, nieodgadnioną twarz. Miałam ochotę ją szarpnąć. Jak mogła tak mnie oszukać? Słowo „ojciec” nic dla mnie nie znaczyło, ale, do diabła, dlaczego przez całe życie ukrywała przede mną prawdę? To nie fair.

– Zrozum, Nina... Nie byłam z nim związana. Cięża to był... przypadek. Nie jesteś już dzieckiem, chyba rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć? Uważałam, że będzie lepiej, jeśli wychowam cię sama.

– Ale zawsze twierdziłaś, że on o mnie wiedział.

– Bo wiedział.

– I nie chciał mnie poznać, choćby raz zobaczyć, przyjechać tutaj?

– Chciał. Bardzo chciał. – Spochmurniała.

– Ale mu nie pozwoliłaś, tak?

Przytaknęła.

– I on po prostu tak to przyjął?

– Uszanował moją decyzję.

– No jasne, przecież wszyscy zawsze tańczą, jak im zagrasz.

– Słucham?

– Nieważne.

Brakowało mi powietrza, wstałam i otworzyłam okno. Do kuchni wpadł wilgotny zapach wiosny. Chociaż nad doliną nadal świeciło słońce, ponad górami zbierała się już sina czapa chmur. Zanosilo się na burzę.

– Wiem, że teraz jesteś zła, ale może kiedyś zrozumiesz. Uważałam, że w Jugowie będzie nam najlepiej. Nie chciałam zostać w Warszawie. Tu mogłam stworzyć ci dom. Pamiętaj, że ja też wychowałam się prawie bez rodziców, że moja matka w czasie wojny... a potem ojciec... – Przerwała, żeby złapać oddech.
– Ty przynajmniej miałaś mnie. Staralam się, jak mogłam. Wszystko dla ciebie...

Brakowało tylko, żeby wypaliła, jak to się dla mnie poświęciła. Powstrzymała się jednak.

Uporczywie patrzyłam za okno.

– Nie mogłam zamieszkać z twoim ojcem, nie każdy potrafi być w związku. Ja nie potrafiłam. Gdybym z nim została, nic dobrego by z tego nie wyszło. On to rozumiał. Zaakceptował. Pozwolił nam żyć w spokoju. A kilka lat temu dostałam pismo od notariusza. Twój ojciec też nie założył rodziny, nie miał innych dzieci, dlatego teraz jego mieszkanie należy do ciebie. Dotychczas je wynajmowałam. Miałam pieniądze na twój angielski, na komputer. Nigdy nie pytałaś, skąd na to biorę... – stwierdziła rozdrażniona. – A to wszystko dzięki niemu. Dzięki Orłowskiemu. Uważam, że zachował się bardzo szlachetnie...

Kurwa, jakie mieszkanie, jaki ojciec? Szlachetny ojciec? Ponieważ pozwolił jej odejść? Czy dlatego, że wreszcie umarł, a ja mogłam dostać peceta? Boże, jakie to było płytkie z jej strony! A do tego mnie oszukała. Oboje mnie oszukali. Nie poznałam Orłowskiego, ale w tej chwili czułam do niego urazę. Był współwinny. Tatuś pierdolony. Nie miałam go przez ostatnie dziesięć lat, a teraz nagle wyskakiwał jak odpustowy diabeł z pudełka. Tadam! Szlachetny taki! On i jego cholerne mieszkanie, przez które musiałam zmienić plany. W dupie miałam to mieszkanie.

– ...dlatego uważam, że powinnaś zdawać do Warszawy – skończyła twardo.

To nie była sugestia. To brzmiało jak ostateczna decyzja. A z decyzjami matki nie umiałam dyskutować. Po prostu taka była: autorytarna i apodyktyczna. Podobno samotne matki muszą takie być – zawsze w ten sposób się usprawiedliwiała.

Kręciło mi się w głowie. Miałam wrażenie, jakby coś ciężkiego zaległo mi na piersi i przyduszało mnie. Chociaż matka była, jaka była, do dzisiaj zawsze myślałam, że mogę na nią liczyć. Że mogę jej ufać, że nigdy mnie nie okłamie. Przeliczyłam się. Czułam rozczarowanie. Czułam, jak formuje się ono w wielką gorzką gulę w moim gardle. Gulę, której nie zdołam lekko przełknąć. Chciało mi się ryczeć.

– Dobrze więc, niech będzie, jak chcesz. – Do dziś nie wiem, czy ja to powiedziałam, czy jakiś nieznośny sprzeciwu głos w mojej głowie. Jej głos. – Mogę zdawać do Warszawy. Wszystko mi jedno.

Od sceny w kuchni prawie ze sobą nie rozmawiałyśmy, pełne wzajemnych pretensji, więc zdziwiłam się, gdy zakomunikowała, że mnie odwiezie. Pomogła mi się spakować, kupiła bilety i zrobiła kanapki na drogę. Może chciała w ten sposób mnie udobruchać, może próbowała osłodzić moment przejścia, zmiany? Ale mimo jej obecności z dnia przyjazdu do Warszawy zapisało się we mnie dojmujące uczucie smutku i wyobcowania; dobrze pamiętam moment, kiedy wysiadłyśmy na brudnym Dworcu Centralnym – którego kwaśny, metaliczny zapach na długo wczepił się w moje ubrania i włosy – a także obraz brzydkich ulic Śródmieścia, gdy objuczone walizami, pudłami i pakunkami niczym bezdomne sunęłyśmy tramwajem numer cztery na południe miasta.

Moje nowe lokum znajdowało się w sercu Mokotowa, na końcu kameralnej ulicy Belgijskiej, w niskiej modernistycznej kamienicy, która niczym nowotwór, obce ciało, wyrastała ze skarpy ponad parkiem Promenada. W dół, wprost na parkowe alejki, prowadziło zejście umieszczone tuż obok budynku, a drzewa niemal zaglądały w jego okna. Szum tramwajów z Puławskiej ledwie tu docierał. Zamiast niego rozbrzmiewały krzyki biegających po placu zabaw dzieciaków, krakanie wron i odległe echo muzyki skrzypcowej dobiegające z Pałacu Szustra.

Na pierwszy rzut oka otoczenie kamienicy wydało mi się zupełnie przyjemne, czego absolutnie nie można było powiedzieć o samym mieszkaniu, na które składały się dwa niewielkie pokoiki z kuchnią, zdewastowana łazienka i balkon. Na podłodze królowało paskudne linoleum, meble pamiętały Gierka, a ściany po kilku latach wynajmu sprawiały wrażenie, jakby się ktoś na nie wyrzygał. Nie żebym w moim jugowskim domu zaznała jakichś wyjątkowych luksusów, ale tam wszystko było moje, brudne brudem oswojonym, a tu każdy sprzęt, włącznik światła, klamka i firanka nosiły ślady cudzych rąk, co wywoływało we mnie obrzydzenie.

Byłam zdruzgotana myślą, że spędzę tu kilka kolejnych lat, że będę musiała spać na cuchnącej stęchlizną wersalce – na której Bóg wie kto przede mną spał i co robił – i załatwiać potrzeby do brunatnej od rudych zacieków ubikacji. Tymczasem matka, jak to ona, stwierdziła, że nie ma co lamentować i rwać włosów z głowy – to tylko kosmetyka. Wystarczy trochę dobrych chęci, detergentów i farby, żeby doprowadzić to miejsce do stanu używalności.

Przez tydzień malowałyśmy, czyściłyśmy, ścierałyśmy, ustawiałyśmy i przesuwaliśmy, przywracając względny porządek w mieszkaniu po towarzyszu Orłowskim, a jednocześnie – zupełnie nieoczekiwanie i jakby mimochodem – odbudowując nieistniejącą między nami od dawna więź. W trakcie zrywania linoleum i czyszczenia z rdzy kuchennego zlewu, wszystkich tych banalnych czynności, zakopałyśmy topór wojenny. Po raz pierwszy od lat doznawałyśmy poczucia bliskości. Nie było już czupurnej nastolatki i matki, która nie rozumie współczesności. Nie było złości i niedopowiedzeń w kwestii ojca – były kochanek mojej matki wyłaniał się z każdego kąta mieszkania. Był wyczuwalny, niemal namacalny; zapisany w wytartych klepkach dębowego parkietu i w łuszczącej się olejnej farbie okiennych ram. Powoli frustrację związaną z decyzją matki o studiach w Warszawie zaczęło wypierać podniecenie: oto w moim życiu zaczynał się nowy rozdział i chciałam wierzyć, że wszystko jakoś się ułoży. Kiedyś wtopię się w to miejsce, w uliczny tłum Warszawy i będę jak ci wszyscy zadowoleni z siebie ludzie na ulicach, w modnych ciuchach i drogich furach.

W tamtych dniach byłam naprawdę pełna optymizmu, nie przeczuwając, że mój los, los matki, a nawet pojawienie się Miłosza to jedna układanka, puzzle, które tworzą spójną całość. Pozostało ją tylko zrekonstruować.

A potem matka wyjechała i pierwszy raz w życiu zostałam zupełnie sama.

*

Początek studiów to był horror.

Zatłoczone ulice Śródmieścia, smród chińszczyzny na placu Konstytucji, spienione morze śmieci dryfujące po Stadionie Dziesięciolecia, zalewającym badziewiem pozostałe dzielnice. Miraż dostatku w centrum i błoto na budowach Białołęki i Kabat. Dziki pęd, bezustanny huk. Specyfika zabetonowanej tkanki miejskiej była zupełnie odmienna od wszystkiego, co znałam z Jugowa. Warszawa okazała się groźna, nieprzyjazna i bezduszna. Na wąskich uliczkach Mokotowa bywało straszniej niż w mrocznych korytarzach Sowich Gór. W drogich klubach imprezowały chłopaki „z miasta”, po chodnikach biegali z bronią pruszkowscy bossowie, a w studzienkach pływały szczątki Sebastiana K. (pseudonim „Książdz”) – wołomińskiego króla brązowego cukru i amfetaminy,

o którym z niezdrowym i isticie nekrofilnym podnieceniem rozpisywała się stołeczna prasa.

Tak naprawdę dopiero w Warszawie zrozumiałam, jak bardzo się różnię od swoich rówieśników stąd. Nie wiedziałam, czego się aktualnie słucha, na jakie filmy chodzi, co się nosi, gdzie bywa, a nawet co je. Oczywiście nie miałam fajnych ciuchów, komórki, a czasami brakowało mi na drożdżówkę w uczelnianej kafejce, nie mówiąc już o biletach na komunikację miejską. Szczęśliwie wydział znajdował się zaledwie trzydzieści minut spacerem od Belgijskiej, dzięki czemu mogłam zaoszczędzić parę groszy. Matka co miesiąc przysyłała mi niewielką kwotę – starałam się nie myśleć, czego musiała sobie odmówić – ale w stolicy pieniądze piorunem się rozchodziły. Chleb, chińska zupa, kefir, bułka, czynsz, woda, gaz, telefon – wszystko kosztowało fortunę. O odwiedzinach w domu nie było nawet mowy, podobnie jak o codziennych międzymiastowych rozmowach.

Po prostu klepałam biedę i wstydziłam się tego, toteż w kontaktach z kolegami ze studiów zachowywałam dystans. Robiłam to także dlatego, że byłam jedyną dziewczyną w grupie i jedną z niewielu na całym Wydziale Elektroniki. A przy tym, na swoje nieszczęście, zupełnie niebrzydka. A tutaj królował testosteron i panowały stosunki jak w koszarach. To nie był prowincjonalny Jugów czy Nowa Ruda, nikt się ze mną nie bawił w konwenanse, podchody i czułe słówka; już w pierwszym tygodniu usłyszałam za plecami, co by ze mną ten czy inny zrobił. Jak to by mnie po same migdałki... Wszyscy naraz i każdy z osobna.

Przez pierwsze miesiące testowali moją wytrzymałość. Nie reagowałam na zaczepki, płakałam dopiero w domu. Nie przyjmowałam zaproszeń na imprezy w Parku, Lolku, Stodole czy na popijawy w Rivierze. Zamknęłam się w sobie i każdej nieprzespanej nocy jak zakłęcie powtarzałam, że to minie, że to tylko chrzest bojowy i chłopaki dadzą mi wreszcie spokój. To minie... Oczywiście po drodze odniosłam kilka ran, ale te na szczęście szybko się goiły, a ja nabierałam odporności i dystansu. I uczyłam się przeklinać. Cudownie było wylać z siebie cały ściek, który we mnie buzował: durne, przyszczate, zakompleksione nerdy, frustraci z odciskami na dłoniach od samogwałtu, chuje z mózgmami wyżartymi intelektualną kiłą... Taka mantra trochę pomagała.

Po paru miesiącach przestałam się ich bać, a nauczyłam się ignorować albo z najśłodszy uśmiechem, na jaki potrafiłam się zdobyć, prosiłam grzecznie, aby się odpięrdolili. Pojawiałam się tuż przed zajęciami i znikiałam, gdy tylko dobiegały końca. Starłam się skupić wyłącznie na nauce, na algorytmach i strukturach danych, systemach czasu rzeczywistego i technikach mikroprocesowych. Nie opuściłam żadnych zajęć, na każdych ćwiczeniach byłam przygotowana. Miałam jeden cel: zdobyć stypendium. Jedyńy sposób, żeby trochę odciążyć matkę i odbić się od dna.

Wykładowcy zaczęli mnie chwalić, a kumple coraz częściej zauważali, że oprócz cycków i dupy mam także mózg. Po wydziale rozeszła się wieść, że robię najlepsze notatki i bez problemu pożyczam je do kserowania. Wprawdzie zerznąć się nie dałam, za to dawałam od siebie zerznąć na kolosach i egzaminach. I w zasadzie to zupełnie fajna i równa jestem, chociaż dziura. Nie minął pierwszy semestr, a zyskałam uznanie facetów z wydziału, przestali mnie gnębić i poczułam się w Warszawie trochę pewniej.

I właśnie z tego okresu pochodzi tamto dziwne wspomnienie, którego nie potrafię wytłumaczyć ani wymazać z pamięci, które mnie potem latami zastanawiało. Nie wiem, czy to, co zobaczyłam, wydarzyło się naprawdę, i czy rzeczywiście to był on.

Miłosz.

*

Był chyba koniec marca albo nawet kwiecień. Spokojny wiosenny wieczór. Ulice świeciły pustkami; dobiegał końca Wielki Tydzień i rodowici warszawiacy, ci, co to ich dziad pradziad nadal orał pole pod Grójcem, Łomżą i Sokołowem, wyjechali na wieś święcić jaja. A ja, niewarszawianka, siedziałam wygodnie na swoim balkonie, w starym fotelu, który jakiś czas temu wytargałam na zewnątrz. W ciemnościach, owinięta kocem, popijałam herbatę i paliłam papierosa. Obserwowałam, jak nad parkiem zapada zmierzch.

Nie pojechałam na święta do domu. Matka, zdeklarowana socjalistka-ateistka, nigdy nie miała zamiłowania do katolickiej celebry. Jeszcze kiedy żyła ciotka Magda, a ja byłam malutka, coś tam we dwie pichciły, przygotowywały, mazały pisaniki, ale po jej śmierci matka dała sobie z tym spokój. Obchodziłyśmy tylko

Boże Narodzenie, i to też jedynie w formie szczątkowej, po amerykańsku, czyli kastrując tradycję z wszelkiej duchowości. Ale Wielkanoc? Matka nie lubiła jajek, ja majonezu. Szkoda nam było czasu i pieniędzy na wyprawianie świąt. Nie widziałam sensu, żeby się tłuc przez pół Polski tylko po to, aby obejrzeć z nią świąteczny program w telewizji.

Siedziałam sobie zatem na balkonie i myślałam o paradoksie, który wkradł się do mojego życia. Bo oto nie będąc stąd, przez meldunek stałam się pełnoprawną obywatelką tego miasta, a nie mając nigdy ojca, weszłam w posiadanie jego mieszkania. Dawna złość na los i na matkę minęła i teraz czułam wobec tamtego człowieka coś na kształt wdzięczności. Gdyby nie on, nie byłoby tego balkonu, tego wieczoru i tego widoku na park.

Z mieszkania obok dobiegały stłumione odgłosy rozmowy sąsiadów – wampirycznego małżeństwa po siedemdziesiątce. Babka poruszała się o balkoniku, facet nie chodził wcale. Czasami spotykałam starą na klatce, gdy podlewała paprotki, a czasami widziałam, jak mieszkanie emerytów odwiedza jakaś opiekunka albo może córka. Przychodziła z reklamówkami pełnymi zakupów i z kwaśną miną. Dzisiaj jednak nie przyszła. Siedzieli sami i dochowując staropolskiej świątecznej tradycji, zajadłe darli o coś koty.

Zaciągnęłam się papierosem. Starałam się nie zwracać na nich uwagi, koncentrując się na wieczornym brzmieniu miasta. Na zapachu wiosny rozkwitającej w wegetacyjnym uniesieniu. Na wilgotnej gęstniejącej nocy. A także na parce, która od jakiegoś czasu siedziała na pobliskiej ławce.

Latarnia rzucała na alejkę krąg światła jak reflektor na teatralną scenę, a ja miałam wrażenie, jakbym oglądała spektakl. Aktorzy zdawali się nie domyślać, że mają widownię, i bez wprawy odgrywali role zakochanych. Nie obejmowali się ani nie całowali. On patrzył przed siebie, ona na niego. O czymś rozmawiali. A właściwie to kobieta mówiła, żywo gestykulując. Co jakiś czas przelotnie dotykała jego twarzy albo ramienia, potem zaś szybko cofała rękę.

Było za ciemno, a tamci znajdowali się w zbyt dużej odległości, żebym mogła przyjrzeć się ich twarzom. Ze swojego punktu obserwacyjnego widziałam jedynie, że kobieta jest bardzo drobna, dziewczęca, delikatnej budowy i chyba zbyt lekko jak na tę porę roku ubrana – w sukienkę i jakiś sweterek. Siedzący obok mężczyzna w skórzanej kurtce górował nad panną i zdawał się ją

przytłaczać. Typowy kark, któremu do dopełnienia scenicznego *emploi* brakowało jedynie dresu.

Nie słyszałam, o czym rozmawiają, ale wiedziałam, czy może raczej czułam podświadomie, że nie jest to serdeczna wymiana zdań, żadna tam romantyczna schadzka dwójki kochanków. Kłócili się? Być może. Chociaż nie tak jak starszuskowie za ścianą – wściekle, zajadle, z kumulowaną latami agresją. W scenie rozgrywającej się na ławce było pewne napięcie. Było coś frapującego. Ona go kocha, a on jej nie? Ona prosi go o coś, czego on nie chce jej dać? A może właśnie się rozstają? – analizowałam na szybko.

Przedstawienie się przeciągało. Niespiesznie zapaliłam drugiego papierosa. Herbata w kubku zupełnie wystygła. Powinnam była wrócić do środka, czułam, że jeszcze chwila i się przeziębnię, a jednak nie mogłam oderwać oczu od widowiska na dole.

Wreszcie kobieta energicznie poderwała się z ławki i przebiegła kilka kroków. Po chwili mężczyzna ją dogonił, chwycił za ramię i odwrócił siłą w swoją stronę. Przez moment mierzyli się spojrzeniem i nagle zaczęli się całować. Namiętnie, zapamiętałe – dziewczyna w ramionach mężczyzny topiła się jak wosk. A później on brutalnie odciągnął ją na bok, za krzaki, które jednak nie mogły niczego zakryć, gdyż wiosna dopiero się zaczęła i gałęzie nadal były łyse. Widziałam wszystko, co robili, jakbym stała tuż obok. Każdy, kto przechodziłby alejką, też mógłby ich zobaczyć. Ale facetowi widocznie to nie przeszkadzało. Popchnął dziewczynę twarzą do drzewa i całował ją po karku, miażdżąc dłońmi piersi. Wreszcie zadarł jej sukienkę. Wszedł w nią mocno i gwałtownie, chwytając za włosy...

Wstrzymałam oddech. Przeszło mi przez myśl, czy nie powinnam zadzwonić na policję. Nie, wcale o tym nie pomyślałam. Właściwie była to chyba ostatnia rzecz, jaka mi wtedy przyszła do głowy. Zastanawiałam się natomiast, dlaczego kobieta nie krzyczy, dlaczego nie próbuje uciekać, czemu tak łatwo poddaje się brutalowi. Dlaczego zgadza się na poniżenie, na gwałt? Bo to chyba było coś na kształt gwałtu?

A może wcale nie? Co ja mogłam o tym wiedzieć?

Z każdym ruchem bioder faceta robiło mi się coraz cieplej, osobliwie błogo. Czułam podniecenie. Zdałam sobie sprawę, że robię się mokra. Chociaż to

absurdalne, chciałam się znaleźć na miejscu tamtej. Chciałam zostać przez kogoś potraktowana w ten sposób, poczuć podobny żar na własnej skórze.

Pożądanie – nie miałam pojęcia, czym jest. To, co swego czasu zaszło między mną a tamtym chłopakiem z klasy, było bezbarwne i mdłe. To, co obserwowałam w parku, wydawało się odstręczające, wulgarne, zwierzęce. I nieprawdopodobnie pociągające. Obserwowałam kochanków jak w transie, z na wpół otwartymi ustami, z wypiekami na twarzy...

Kręciło mi się w głowie. Między nogami pulsowała krew. Miałam wrażenie, że gdzieś głęboko w sobie słyszę jęk dziewczyny i przyspieszony oddech tamtego. I jakby ciche pohukiwanie...

Popiół z zapomnianego papierosa osypał się na betonową posadzkę balkonu.

I wreszcie wszystko dobiegło końca. Na parkowej scenie zapadła cisza. Mężczyzna zamarł. Przez kilkanaście sekund trwał w bezruchu, przywarłszy do pleców dziewczyny. A potem, jak gdyby nigdy nic, odsunął się i zapiął rozporek. Ona poprawiła sukienkę. Przez chwilę jeszcze patrzyli na siebie. Milczeli, żegnając się bez słów. On włożył ręce w kieszenie, odwrócił się na pięcie i odszedł, ginąc gdzieś za drzewami, dziewczyna rozpląnęła się w mroku alejki. Kurtyna opadła. Przedstawienie skończone.

Wypuściłam wstrzymywany nieświadomie oddech. Moje serce powoli się uspokajało, w łędźwiach gasły ostatnie impulsy podniecenia. Nie wiedziałam, jak zinterpretować to, co zobaczyłam, jak wytłumaczyć to, czego doznałam. Czułam się spełniona, a zarazem do głębi zawstydzona niespodziewaną reakcją własnego ciała. Policzki wciąż mnie paliły.

Wyciągnęłam z paczki kolejnego papierosa, żeby się uspokoić.

I właśnie wtedy, gdy na ułamek sekundy płomień zapalniczki rozświetlił balkon, zorientowałam się, że nie jestem sama. Kilkanaście metrów ode mnie, na chodniku prowadzącym w górę skarpy, w stronę Belgijskiej, stał on. Mężczyzna w skórzanej kurtce. Patrzył wprost na mnie. Uśmiechał się. A może tylko tak mi się wydawało? Może ciemność zniekształciła rzeczywistość? Zresztą wszystko trwało zaledwie chwilę. Na tyle krótką, żebym – przyłapaną na gorącym uczynku, na bezwstydnym podglądactwie – nie zdołała nic zrobić, uciec, schować się do środka. Jednak na tyle długą, bym zapamiętała jego twarz i jaśniejące w mroku oczy.

Potem starałam się wyprzeć ich obraz i szczegóły tamtego wieczoru. Przypomniałam je sobie jednak jakiś czas później, kiedy poznałam Miłosza, i jeszcze raz, gdy tak nagle zniknął.

*

Tamten czas nieodmiennie kojarzy mi się z sardonicznym uśmiechem Millera, poklepującego Kwaśniewskiego po plecach w geście szorstkiej męskiej przyjaźni, i poczuciem, że wszystko się zaraz zmieni. W moim życiu. Na świecie. Po WTC kraje członkowskie NATO weszły w stan najwyższej gotowości; Bush postawił ultimatum Husajnowi i na Bliskim Wschodzie rozpoczęła się wojna. Tymczasem na ulicach Warszawy, jakby dla przeciwwagi, panował spokój, zalegała brudna pośniewowa breja, a na polibudzie skończyły się ferie.

Nie byłam już tamtą Niną z początków pobytu w Warszawie. Mój sen powoli zaczął się spełniać. Miałam dwadzieścia trzy lata, stopień inżyniera, stypendium naukowe i porządny grosz z administrowania sieciami kilku niewielkich warszawskich firm. Od dawna nie wiedziałam, co to dziury w butach czy pusta lodówka, stać mnie było na ciuchy z sieciówek i najfajniejszą na rynku komórkę – Nokię 6310i w złotej obudowie. To był czad.

Miałam kilku znajomych, jedną bliską kumpelę Justę, dziwaczkę z Wydziału Matematyki, a także chłopaka, którego, gdy patrzę na to z perspektywy czasu, chyba nie kochałam. Byłam z nim po prostu dlatego, że w tamtym czasie każdy z kimś był.

Piotrek był moim kolegą z Wydziału Elektroniki. Tak jak ja nie pochodził stąd. Przyjechał spod Kielc. Miał obsesję na punkcie gór, sztucznej inteligencji, no i moim. Wyrwały był, trzeba przyznać. Łaził za mną niemal od początku studiów. Może skusiłabym się szybciej, ale przez pierwszy okres w Warszawie naprawdę nie w głowie mi były romanse. Zakuwałam jak głupia, żeby zdobyć stypendium, a w wolnym czasie pracowałam jako hostessa, roznosicielka ulotek i kelnerka w pubach. Latem wyjeżdżałam na kolonie jako opiekunka. Potem zaczęłam prowadzić mały biznes na giełdzie komputerowej za Stodołą. Straszna była to robota. W rozklekotanych budach z dykty, ze wszystkimi urokami sprzedaży bezpośredniej: świątek, piątek, śnieg, wiatr, deszcz, zapieprzaliśmy na placu w błocie po pachy. Zimą odmrażałam sobie palce, latem pot sływał mi po

tyłku. Na głupoty, miłość i takie tam nie starczało mi czasu. Oddech złapałam, dopiero kiedy przyszły pierwsze fuchy przy sieciach. Piotrek wytrwale czekał.

I się doczekał.

Nie był może adoniszem – z natury trochę dupowaty, zbyt szczupły, żylasty i nie w moim typie – ale nie był też odstręczający. Nie zachowywał się jak napalone zwierzę, nie szlajał się nocami po studenckich mordowniach. Nie pił, nie wciągał, tylko od czasu do czasu coś zapalił. Lubił stare filmy Polańskiego i nowe von Triera, Burtona i Lyncha. Uwielbiał łązić po górach i wspinać się w rodzinnej Jurze. Po prostu był, a fajnie jest, gdy ktoś jest.

Dobry chłopak. Ale dobrzy chłopcy zazwyczaj nie są królami na balu życia.

Mieszkał w akademiku. Niby mogłam zaproponować, żeby się wprowadził, jednak ciągle z tym zwlekałam. Dobrze mi było samej, bałam się kolejnego kroku, ostatecznych deklaracji, chociaż naprawdę traktowałam nasz związek poważnie. Matka widocznie też to wyczuwała, bo coraz częściej pytała przez telefon, kiedy przywiozę Piotrka do Jugowa. Może w wakacje albo na święta? Cieszyła się, że kogoś mam. Bardzo chciała go poznać.

Ale nie poznała, bo z naszego związku ostatecznie nic nie wyszło.

Nadszedł kolejny semestr, a ja zaczęłam studia drugiego stopnia i nowe zajęcia. Jednym z wykładowców był on. Miłosz Krajewski. Doktor Krajewski.

Podobno przez kilka lat nie mieszkał w kraju. Podobno odbywał staż naukowy w Stanach, a później jeszcze gdzieś w Europie, chyba w Skandynawii. Miał zaledwie trzydzieści lat, a zdążył się doktoryzować i zrobić karierę – złote dziecko wydziału, protegowany i oczko w głowie profesora Rokity. Podobno był cholernie utalentowany i kręcił już niezłe lody w biznesie. Wykładał u nas na polibudzie i w prywatnej szkole polsko-japońskiej. Na korytarzach szeptano, że to ostry zawodnik, a przy tym straszny chuj – taki, co to potrafi uwalić studenta za byle gówno. Podobno, podobno... Półprawdy i prawdy patykiem na wodzie pisane.

Czekałam z kilkoma kolegami przed aulą na rozpoczęcie zajęć. Krajewski trochę się spóźnił. Jednym uchem słuchałam, co o nim gadają, ale ploty niewiele mnie obchodziły. Bałam się jedynie, że jeżeli nas dzisiaj przetrzyma, nie zdążę na Żoliborz, gdzie znajdowało się biuro jednej z firm, z którą współpracowałam. Chwilę wcześniej dzwonili, że system się wywalił i muszę natychmiast

przyjechać. Strasznie mi się nie chciało pędzić na drugi koniec miasta, zwłaszcza że pogoda do dupy, ale płacili nieźle i terminowo, więc nie było zmiłuj...

Na korytarzu opowieści o psychopatycznym wykładowcy zastąpiły szowinistyczne dowcipy, które od dawna nie robiły na mnie wrażenia. Wzmagali się szum. Z kakofonii rozmów i śmiechów wyluskałam odgłos kroków. Odwróciłam głowę w jego stronę. Nadchodził energicznie, z rękami w kieszeniach, w idealnie skrojonym garniturze i białej koszuli rozpiętej nonszalancko pod szyją. Bez żadnej teczki, aktówki, plecaka, czegokolwiek. Pomyślałam, że widocznie nie potrzebuje notatek, może wszystko ma w głowie, miliard w rozumie. Z drugiej strony nie sprawiał wrażenia intelektualisty ani naukowca, raczej jednego z chłopaków „z miasta”. Wyglądał groźnie. Był potężny, ale nie gruby, miał zbitą, umięśnioną sylwetkę zapaśnika, szeroki kark dresiarza i szczękę jakby stworzoną do przyjmowania ciosów. Do tego jasne, krótkie włosy zaczesane do tyłu, kilkudniowy, gęsty, lekko rudawy zarost i zacięty wyraz ust. Może był czymś poirytowany, może znudzony? Albo po prostu miał ochotę spuścić komuś łomot. Gdybym zamiast na uczelnianym korytarzu spotkała go przypadkiem w ciemnej uliczce, szybciotko wzięłabym nogi za pas.

Było w nim coś pierwotnego, drapieżnego. I tylko oczy – nedorzecznie niebieskie, zbyt jasne w kontraście do czarnych, świdrujących źrenic – zupełnie nie pasowały do twarzy.

Wtedy właśnie, na ułamek sekundy, zaświtała mi myśl, że przecież go znam. Widziałam go już kiedyś... Wrażenie było wyjątkowo silne. To był on, facet z parku. Wprawdzie od sceny na balkonie minęły trzy lata, a ja nigdy więcej go nie spotkałam, jednak coś mówiło mi, że się nie mylę. Nie miał już na sobie skórzanej kurtki, a uczelniane dekoracje – ostre światło świetlówek, tłumek studentów, garnitur, biała koszula – klóciły się z obrazem sprzed lat, jednak byłam niemal pewna – to on!

Zbliżył się do nas. Uśmiechnął. Frustracja, złość i napięcie zniknęły z jego twarzy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Doktor Jekyll i pan Hyde, pomyślałam. Przebiegł spojrzeniem po naszej grupce, nie zwracając na mnie uwagi.

– Przepraszam, że musieli państwo czekać. Straszne dziś korki. Zapraszam do środka.

Chwilę później jak gdyby nigdy nic rozpoczął wykład. Bez zbędnych wstępów. Oparłszy się o biurko stojące na katedrze, patrzył przed siebie, na wszystkich naraz i na nikogo szczególnie. Skupiony na sobie, na swoich słowach. Nie sprawdził listy obecności, nie zapisał na tablicy ani jednego wzoru, nie zrobił przerwy, nie skorzystał z notatek, z prezentacji, materiałów, niczego. Całe zajęcia poprowadził z pamięci. Był w tym dobry. Z autentyczną pasją opowiadał o przedmiocie badań, które miał okazję przeprowadzić na zachodnich uczelniach. Skoncentrowany wyłącznie na przekazie, nie kokietował nas jak co poniektórzy wykładowcy, nie próbował zmniejszać dystansu, nie pozwalał na zadawanie pytań. Przez półtorej godziny nie zmienił pozycji ani wyrazu twarzy – wyrazu bez wyrazu. Istny cyborg.

Byłam pewna, że mnie nie skojarzył. Ani razu na mnie nie spojrział. Ja tymczasem z każdą minutą miałam coraz większe wątpliwości – to przecież niemożliwe, żeby Krajewski był brutalem z parku, podszywającym się jedynie pod specjalistę od zaawansowanego modelowania i analizy systemów informatycznych. Chociaż...

Dopiero na koniec rzucił jakiś żart na rozluźnienie atmosfery i się uśmiechnął. Wprost do mnie. Tamtym upiornym uśmiechem sprzed trzech lat. A może wcale nie, może tylko tak mi się zdawało? Czułam się zupełnie skołowana.

Pożegnał się i wyszedł z auli. Kiedy zniknął za drzwiami, zdałam sobie sprawę, że nie zapisałam ani jednego zdania. Kretynka. Będę musiała od kogoś skserować notatki, myślałam, opuszczając gmach uczelni.

*

Ciężkie, ołowiane niebo wisiało niebezpiecznie nisko, oparłszy nabrzmiałe brzuszysko o dachy Warszawy – gdyby nie one, chybaby gruchnęło o ziemię. Padał śnieg z deszczem i mocno wiało, a ja stałam na przystanku przy placu Politechniki, kuląc się z zimna i czekając na tramwaj numer piętnaście. Zegarek wskazywał kwadrans po trzeciej. Byłam spóźniona. Telefon uporczywie wibrował mi w kieszeni. Nie musiałam patrzeć na wyświetlacz, żeby wiedzieć, że to ponaglące esemesy z Żoliborza.

Opierając się o barierkę odgradzającą ulicę od przystanku, rozmyślałam o wykładzie. Co chwilę zerkałam w głąb Nowowiejskiej. Tramwaj nie przyjeżdżał, a ja nie wzięłam czapki i teraz miałam zupełnie mokre włosy. Czułam, że się przeziębę.

I wtedy usłyszałam za plecami pisk hamulców samochodu. Odwróciłam się. Na ulicy stało wymuskane i połyskujące zielonkawym lakierem stare volvo. Bardzo piękne volvo. Nie znam się na markach, więc nie miałam pojęcia, co to za model, ale od razu rzuciło się w oczy, że to jakiś klasyk. Żadna tam nowobogacka ostentacja, raczej rzecz dla koneserów.

W środku siedział doktor Jekyll. Doktor Krajewski. Opuścił szybę, nie zwracając uwagi na wyklinających go z tyłu kierowców i skowyt klaksonów.

– Podwiozę cię – stwierdził lakonicznie.

Nie zapytał, a właśnie stwierdził. Po czym spokojnie, nie czekając na moją odpowiedź, zasunął szybę i odjechał. Zatrzymał się kawałek dalej, w zatoczce za pasami, gdzie nie blokował ruchu.

Nie wiedziałam, co robić. Olać go? Udać, że nie usłyszałam? Zdziwiło mnie, że się zatrzymał. W końcu byłam tylko jego studentką, do tego wydawało mi się, że przez cały wykład mnie nie dostrzegął, ignorował.

Stałam jak kołek, zdezorientowana, wiatr smagał moją twarz, deszcz zamarzał na włosach. Gonitwa myśli rozsadzała mi głowę, a tymczasem niebo pociemniało jeszcze bardziej. Nie powinnam przyjmować jego propozycji, ale nie mogłam też udać, że nic nie słyszałam. Nie wypadało ignorować faceta, który właśnie został moim wykładowcą; bałam się, że jeśli go urażę, zechce się na mnie odegrać.

Wygrał pragmatyzm. I może ciekawość.

Ruszyłam w stronę przejścia dla pieszych i przebiegłam przez jezdnię, prawie wpadając pod jeden z samochodów. Podświadomie czułam, że popełniam błąd. Krajewski nie był miłym, spokojnym chłopcem. Łagodnym i niewiele oczekującym od życia Piotrusiem. Być może był mężczyzną z parku. Był niebezpieczny, był pohukiwaniem w mojej głowie.

Jednak zło jest zawsze bardziej pociągające niż dobro.

Może to głupie, lecz kiedy zbliżałam się w stronę auta, towarzyszyła mi uporczywa myśl, że właśnie zmieniają się tory mojego losu. Zwrotnice przesunęły się ze zgrzytem. Gdybym nie złapała za klamkę, nie otworzyła drzwi,

nie wsiadła, za jakiś czas pewnie wyszłabym za mąż za Piotrka, urodziła mu dzieci i zamieszkała w nowym bloku na Kabatach. Dobrze by nam się powodziło i wiedlibyśmy wygodny mieszczański żywot. Może nawet czułabym się szczęśliwa. Szczęśliwa, choć znudzona – dobre, przewidywalne życie zawsze jest nieco pretensjonalne i nudne.

Wtedy wydawało mi się, że nie chcę przewidywalności. Chciałam przeżyć coś mocnego. A doktor Krajewski na pewno mógł mi to dać.

Chwyciłam za klamkę i wsiadłam do środka.

Posłał mi przelotne spojrzenie, po czym odwrócił się w stronę przedniej szyby, wrzucił kierunkowskaz i włączył się do ruchu.

– Zapnij się – nakazał. – Gdzie cię podrzucić?

Przez moment mocowałam się z pasem. Rzadko jeździłam samochodem, a jeżeli już, to nigdy takim. Kumple mieli stare polonezy, maluchy, w najlepszym razie golfy po Niemcu, który wcale nie płakał, gdy je sprzedawał. A tutaj królowały jasnoruda skóra, chromowane klamki i obramowania zegarów oraz delikatny zapach sosny. Luksus i elegancja. Z głośników sączyła się nastrojowa muzyka fortepianowa.

Widząc moją nerwową szarpaninę z pasem, Krajewski wyciągnął dłoń i ledwie mnie dotykając, chwycił go i sam zapiął.

– Delikatnie... – powiedział, nie odrywając oczu od szyby. Dostrzegłam, że w kącikach ust zadrgał mu uśmiech.

– Czekałam na piętnastkę... – rzuciłam, żeby pokryć zmieszanie.

– A zatem wybierałaś się na Żoliborz. – Objechał plac i skręcił w Lwowską. – Gdzie dokładnie?

– Na plac Wilsona. Ale ja naprawdę nie chciałabym robić panu kłopotu.

– Panu? – Ukazał w uśmiechu rząd białych zębów, jednak nie wyglądał dzięki niemu ani mniej groźnie, ani bardziej ludzko. – Mów mi na „ty”. Mam na imię Miłosz.

– Wiem. – Głupio to zabrzmiało. Oczywiście, że wiedziałam, ale nie chciałam mówić mu po imieniu. To zawsze skraca dystans, a ja chyba wciąż się go bałam.

– Ale... naprawdę mogłabym pojechać tramwajem.

– Mogłabyś, ale już nie musisz.

Postronki nerwów napięły mi się do granic wytrzymałości. Boże, jak on mi się podobał. Właśnie taki. Chmurny, irytująco pewny siebie. Diabelnie przystojny, mroczny, tajemniczy i dziwny.

Zachowywał się swobodnie. Wydawał się zrelaksowany, nieskrępowany moją obecnością. Jakbyśmy znali się od dawna. A może tak było?

– Po co jedziesz na Żoliborz? – dopytywał.

– Mam tam pracę.

– Jaką?

– Administruję sieć.

– Nudna robota.

– Ale dobrze płatna i nie zabiera zbyt wiele czasu. Nie przeszkadza mi w studiach.

Czerwone. Zatrzymaliśmy się na światłach przy skrzyżowaniu Hożej i Marszałkowskiej. Wreszcie odwrócił głowę w moją stronę. Przypatrywał mi się z uwagą.

– Miałbym dla ciebie inną pracę.

– Słucham?

– Mam znajomego w pewnej spółce. Właśnie szukają ludzi. Praca na zlecenie, programowanie, zarządzanie danymi. Nic wielkiego, ale na pewno bardziej inspirujące niż administrowanie biurową siecią.

– Ale...

– Dobrze płacą, a robota nie zabierze ci zbyt wiele czasu, nie przeszkodzi w studiach – powtórzył jak automat moje argumenty.

W coś grał, ale w co?

Pomarańczowe, zielone, ruszyliśmy. Zamiast skrócić w lewo w Marszałkowską, w stronę Żoliborza, Miłosz przeciął skrzyżowanie i pojechał prosto.

– Chyba źle jedziemy – rzuciłam skonsternowana.

– Dobrze jedziemy. Nie musisz jechać na Wilsona. Przecież powiedziałem, że mam dla ciebie lepszą pracę. Jutro wyślę ci szczegóły mejlem.

– Ale ja muszę...

– Oczywiście, że nie musisz. Nic nie musisz. – Na jego twarzy nie zadrgał żaden mięsień, w głosie przelewał się spokój. Cały ocean spokoju. – Nie mówmy już o tym. Są ciekawsze rzeczy niż praca. Na pewno jesteś głodna, zapraszam cię na obiad. Znam jedno fajne miejsce... Muszę tylko jeszcze gdzieś wpaść, dosłownie na chwilę.

– Gdzie?

– Na cmentarz w Aninie.

Zatkało mnie.

– Na cmentarz w Aninie?! – wydukałam. Nie wiem, co bardziej mnie uderzyło: ten cmentarz czy Anin. Gdzie, u diabła, jest Anin? Poczułam się nieswojo. – To jakiś żart?

– Wiem, że już już prawie ciemno, ale dziś przypada rocznica śmierci mojej babci – wyjaśnił, bo chyba miałam dość nietęgą minę. – To nie potrwa długo. Nie masz nic przeciwko, prawda?

Znów zadecydował za mnie. Później miał to zrobić jeszcze wiele razy, a ja uwierzyłam, że tak powinno być. Że jestem na niego skazana, jesteśmy sobie pisani, a nasza historia nie zaczęła się w parku – Miłosz nigdy do tego nie nawiązał – a właśnie tam, na światłach przy skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Hożej.

Dzisiaj już nie jestem pewna, kiedy był początek. Niczego nie jestem pewna. Czy raczej – wiem bez wątpienia, że wielka machina przeznaczenia ruszyła wcześniej.

Wcześniej, niż mogłabym przypuszczać.

I

– Do Anina? Ja nie chcę jechać do Anina! I gdzie to w ogóle jest, mamó?

– Bronku, mój drogi, uspokój się. Już z ojcem zdecydowaliśmy, wyjedziemy po niedzieli. Nie ma sensu dusić się przez całe wakacje w Warszawie. Doprawdy, zachowujesz się jak dziecko. Ostudź emocje z łaski swojej i kończ czytać. Za dziesięć minut Aniela poda obiad w stołowym, wtedy wszystko dokładnie ci opowiem. – Ucinając dalszą dyskusję, matka zamyka drzwi pokoju. Jej kroki niosą się po korytarzu.

Bronek z ociąganiem odkłada na nocną szafkę książkę, której lekturę tak brutalnie mu przerwano, i podchodzi do otwartego na oścież okna.

Ciepły wiatr porusza firanką. Z dołu, z ulicy Siennej, dochodzą odgłosy rozmów przechodniów i stukot kół dorożki; od strony Marszałkowskiej dodatkowo echo skrzeczenia klaksonów i dzwonek tramwajów. W nos uderza go woń rozgrzanego miejskiego bruku. Charakterystyczna, nieco metaliczna, ostra. I wciąż nieoswojona.

Chociaż Broniek przeprowadził się z rodzicami do Warszawy pod koniec wakacji trzydziestego siódmego roku, czyli już niemal dziesięć miesięcy temu, nadal czuje się tu obco. Warszawa jest obca. Obcy wydają mu się jej mieszkańcy, a nawet ich twardy język, w którym próżno szukać słodkiego kresowego zaśpiewu. Broniek nie czuje się tu u siebie. U siebie był we Lwowie. Tam miał szkołę i przyjaciół, znał każdą ulicę i skwer, tam chodził na pierwsze seanse do kin Palace i Cassino, a wraz z ojczymem, zagorzałym kibicem piłkarskim, oglądał grę genialnego napastnika Pogoni Lwów, Matyasa.

Decyzja o przeprowadzce zapadła nagle, chociaż propozycja wygłoszenia cyklu wykładów w warszawskiej Klinice Dermatologii i Wenerologii składana była ojczymowi – wybitnemu doktorowi chorób zakaźnych – od lat. To matka długo sprzeciwiała się wyjazdowi. Uważała, że jej obowiązkiem jest dogłębne

starzejącego się ojca. Profesor Winkler wymagał opieki. Broniek miał czternaście lat, kiedy stan dziadka zaczął się gwałtownie pogarszać. Pierwszym zwiastunem zmian były drobne, z pozoru nic nieznaczące wydarzenia. Bywało, że profesor zapominał, gdzie położył okulary, albo spóźnił się na obiad, co nigdy wcześniej nie miało miejsca. Potem przestał rozróżniać, jaki jest dzień tygodnia albo rok, a wreszcie nie potrafił sam znaleźć drogi z gabinetu do jadalni. Trzeba go było bezustannie pilnować. Lekarze stwierdzili, że to postępująca skleroza, że nie ma na nią, podobnie jak na starość, lekarstwa i jedyne, co można w tej sytuacji zrobić, to otoczyć profesora czułą opieką, czekając na ostateczne.

I tak wiosną trzydziestego siódmego roku, mimo wysiłków córki, Jerzy Winkler zmarł, a mniej więcej w tym samym czasie doktor Szymon Lieberman otrzymał ponownie ofertę z Warszawy. Już nie tylko z kliniki, ale i ze Szpitala Dziecięcego Bersohnów i Baumanów, gdzie mógłby wreszcie przeprowadzić badania nad intrygującym go od dawna zagadnieniem kiły wrodzonej.

Taka szansa mogła się drugi raz nie powtórzyć. Uznano zatem, że nadszedł właściwy moment na przeprowadzkę – tym bardziej że matce Bronka, Sofijce, która po śmierci profesora z trudem dochodziła do siebie, zmiana otoczenia także mogła wyjść na dobre.

Na nic się zdały fochy i dąsy Bronka, że wolałyby zostać we Lwowie. Nikt na jego tupanie nóżką nie zwracał uwagi. Bo któż by pytał o zdanie zbuntowanego prodrostka? Dzieci i ryby... Postanowiono, że od września będzie kontynuował naukę w stolicy. Koniec, kropka!

Jest zatem od roku Broniek warszawiakiem, chociaż wcale go to nie cieszy. Mimo że pogardzane miasto wygląda inaczej, niż je sobie wyobrażał. Na pewno jest mniej kosmopolityczne i otwarte na przyjezdnych niż Lwów, ale za to zupełnie ładne i nowoczesne. Że to niby „Paryż Północy”...

Rodzice kupili przestronne mieszkanie w uroczej secesyjnej kamienicy o bogato zdobionym frontonie, szerokich marmurowych klatkach schodowych i z elektryczną windą. Sama ulica elegancją i dostatkiem bije na głowę ich poprzedni adres na Serbskiej we Lwowie. Miejscowi mawiają nawet, że Sienna to prestiż, takie żydowskie Aleje Ujazdowskie. Daleko stąd do Dzielnicy Północnej, biedoty nalewkowsko-muranowskiej czy na Pragę. Daleko do szemranych rewirów, gdzie błoto, jednoizbowe mieszkania pożerane przez wszy i grzyb, gdzie

gruźlica, sutenerstwo, żebractwo, kieszonkowe złodziejstwo, pijaństwo oraz dziury w płaszczach i chałatach. Zamiast tego, tuż obok pod numerem szesnastym, wypiętrza się dostojny gmach Towarzystwa Pracowników Handlowych. A kawałek dalej na wschód, za skrzyżowaniami z Wielką i Zielną, przy przecznicy z Marszałkowską, króluje warszawski blichtr i przepych – z setkami ekskluzywnych sklepów, restauracjami, cukierniami, kwiaciarniami, kinami i kabaretami, z wystrojonymi przechodniami, perlistymi dzwonekami tramwajów i warkotem samochodowych silników. W okolicy modnych adresów można wpaść na gwiazdy estrady, które dotąd znał Bronek jedynie z kinowego ekranu: Zulę Pogorzelską, siostry Halama, Dymśkę albo samego Bodo, zawsze w towarzystwie doga wielkości dorodnego kuca. Po prostu nadwiślański *high life*.

Doktor ma stąd blisko do pracy w szpitalu dziecięcym, mama do sklepu kolonialnego pana Zahorskiego, w którym kupuje najprzedniejsze sery szwajcarskie i indyjskie herbaty, a Bronek na róg Marszałkowskiej, gdzie ogląda wystawę sklepu ze słodyczami Franboli. Czego tam nie ma! Naturalistyczne figurki koni, słoni, kotków, płotków, patery z ananasami i bananami, a nawet cygara, kufle na piwo, papierosy i butelki koniaku, a wszystko z czekolady i naturalnych rozmiarów.

Stąd wreszcie, co rano, wyrusza Bronek do swej nowej szkoły, męskiego gimnazjum znajdującego się nieopodal, przy Złotej. Niechętnie wyrusza, bo z rówieśnikami jakoś nie umie przełamać lodów. Niby go zaakceptowali, niby po koleżeńsku traktują, a jednak ze strony co poniektórych wyczuwa Bronek jakąś niechęć. Przez cały ubiegły rok, który wieńczyła mała matura, nie zdołał się w klasie zaaklimatyzować. I nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło; ot, różne małe uszczypliwości, niemal bezbolesne i niedokuczliwe, jak przypadkowe przegryzienie ziarenka pieprzu, ale jednak...

Z początku myślał, że to przez ten lwowski zaśpiew, który wciąż – mimo że próbował nad nim zapanować – czasami jeszcze wibrował w górnych rejestrach głosu i drażnił w odruchowo przeciąganych samogłoskach. A przecież starał się być Bronek miły dla nowych kolegów, serdeczny, otwarty i przyjacielski, nie szukał guza i z nikim nie zadzierał. Dobrze się uczył, a jednocześnie nie aż tak, by mu przypiąć łatkę kujona, żeby w kimkolwiek obudzić zawiść. Mundurki

wszyscy nosili takie same, kanapki w szkolnych torbach podobne. Pozornie nic ich nie różniło. Pozornie...

Dopiero teraz, wraz z nastaniem wakacji, gdy na spokojnie analizuje ostatni rok, zaczyna rozumieć, że tę ścianę obojętności, która go od klasy oddziela, być może stworzyły znaki zapytania; koledzy po prostu czuli się zdezorientowani, nie wiedząc, kim tak naprawdę jest.

Widzą bowiem w jego sposobie bycia nieco irytującą, choć nieświadomie okazywaną wyższość, coś z butnego i pewnego siebie kresowego paniczyka, a przy tym specyficzną dla osób lepiej urodzonych powściągliwość. Z jednej strony patrzy on na świat orzechowym spojrzeniem Sofijki Winkler, z drugiej włos ma płowy, a w wyrazie zaciśniętych ust – rys arystokratyczny, odziedziczony po ojcu Polaku, Aleksandrze Chojnackim herbu Kornic, który zmarł, nim Broniek skończył dwa lata. A wszystko to okraszone jest nazwiskiem ojczyma, Żyda i ateisty.

Czy człowiek może być aż tak niedookreślony? Nie da się przecież stać okrakiem pomiędzy Nalewkami, z unoszącą się wokół wonią czosnku i niosącym się echem nawoływaniem: *handele, handele!*, a Nowym Światem i szelestem jedwabi od Herse'a. Nie można być Szwajcarią, kiedy rzeczywistość się radykalizuje; czytać na przemian „ABC” i „Wiadomości Literackich”. Siedzieć w ławkowym getcie i równocześnie na ławce w Ogrodzie Saskim. Nie można w nic nie wierzyć! Nie ubierać choinki w Boże Narodzenie i nie pościć w Jom Kippur!

To, co we Lwowie nikomu nie przeszkadzało – dla najbliższego otoczenia skomplikowana proveniencja Bronka nie była tajemnicą – w Warszawie wywoływało uniesienie brwi. Zresztą szesnaście lat to trudny wiek, coś się w człowieku rodzi, coś umiera, a wtedy świat staje się monochromatyczny. Jest albo czarny, albo biały, nie ma nic pośrodku, żadnych półcieni ani szarości. I zapewne właśnie tak postrzegali sprawę warszawscy koledzy Bronka, gdy tymczasem on wolał pozostać przezroczysty. Nie zamierzał przywdziewać cierniowej korony wschodnioeuropejskich marzeń o wielkości ani pogardzanej mycki, bo tak samo nie po drodze mu było do kościoła, co do bożnicy.

Dlatego niby był członkiem szkolnej społeczności, a jednak nim nie był. Niby koledzy uśmiechali się do niego na przerwach, ale po lekcjach nikt nie

zapropował spotkania, wyjścia na piłkę czy do kina.

Uciekł zatem Broniek na bezkresy prerii, w świat Karola Maya, czerwonych twarzy i dzikich mustangów. Tu jest dzielnym Apaczem, który walczy z groźnym Siuksem, nie będąc ani jednym, ani drugim. Tu nie musi wybierać...

Zerka z tęsknotą na książkę porzuconą na szafce. Wolałby poczytać niż słuchać o wakacjach w jakimś tam Aninie, lecz matka nie lubi czekać – przymyka zatem okno i wychodzi do holu. Z jadalni dobiega odgłos rozstawianej porcelany.

Broniek wślizguje się do środka. Służąca Aniela jak w ukropie biega wokół stołu, układając sztuce. Nachylona nad wagą matka miesza w niej srebrną łyżką, niespiesznie, z uwagą, jakby w środku utopił się jej sens życia.

– No, jesteś wreszcie. – Uśmiecha się przelotnie do syna, w typowy dla siebie sposób. Uśmiechem nieobecnym. Uśmiechem bez uśmiechu. – Dziś tak gorąco. Prosiłam kucharkę, żeby zrobiła zupę owocową. Twoją ulubioną. – Drażliwy temat wyjazdu omija szerokim łukiem.

Broniek rozgląda się po pokoju.

– Doktor jeszcze nie wrócił?

Doktor. Właśnie tak zwykł mówić o ojczyźnie. Nie żeby ten źle wywiązywał się z rodzicielskich powinności – żyją w relacjach bardzo poprawnych, rzecz nawet można: przyjacielskich, niemniej to nie rodzinne koligacje najpełniej definiują Szymona Liebermana, a właśnie zawód, który wykonuje. Doktor dla wszystkich przede wszystkim jest doktorem, dopiero potem głową rodziny i opiekunem Bronka. Bywa, że nawet Sofijka zwraca się do męża w ten sposób: doktorze. Pewnie też trochę ze względu na fakt, że przed laty ich związek zaczął się, gdy była jego pacjentką.

– Jeszcze go nie ma. Kwadrans temu dzwonił ze szpitala, żebyśmy nie czekali z obiadem.

Ruchem głowy wskazuje synowi miejsce, sama siada naprzeciw. Aniela napełnia talerze krwistym wywarem z jagód, w którym dryfują niezbyt apetyczne wstążki sinego makaronu, po czym taktownie znika za drzwiami. Matka rozkłada serwetkę na kolanach i sięga po łyżkę, dając sygnał do rozpoczęcia posiłku. Broniek zaczyna jeść. Pierwsze krople soku wypełniają mu usta chłodną słodyczą. Zajada z apetytem, byłby gotów pochłonąć zawartość całej wazy na raz – wszedł

bowiem w wiek, kiedy żołądek nie ma dna. Przez chwilę zapomina nawet o sprawie wyjazdu.

Matka tymczasem zastyga zaszępią nad talerzem w pół myśli, w pół gestu.

W ostrym świetle dnia wygląda jeszcze bardziej niezdrowo niż zazwyczaj. Niby nadal jest młoda i zupełnie ładna, ale cerę ma ziemistą. Czarne i błyszczące jak u lalki włosy uwydatniają bladość policzków. Ciemne oczy w ostatnich tygodniach znowu stały się zbyt szkliste, nieobecne.

Bronek boi się, kiedy symptomy tajemniczego schorzenia matki się pogłębiają. Nie wie, na co dokładnie Sofijka cierpi – nie dla dziecięcych uszu takie rzeczy. Dopiero za jakiś czas matka w przedśmiertnym amoku, w przypływie szału wykrzyczy mu prawdę. Na razie jednak jej przypadłość jest w domu starannie przemilczana. Po prostu mama czasami gorzej się czuje, przestaje jeść, robi się drażliwa, smutna, a on musi to zrozumieć. I musi być dobrym chłopcem, żeby dodatkowo jej nie martwić. Mama nie powinna się niczym martwić. Bo kiedy się nie martwi, następują całe miesiące remisji, a objawy stają się niemal niedostrzegalne. Wtedy wszystko jest dobrze. Sofijka znowu jest wesoła jak skowronek, spaceruje po parkach, chadza z doktorem do teatru, do kabaretu albo na fajfy, robi zakupy, zajmuje się Bronkiem. Ale potem choroba wraca. Gruba warstwa pudru zasłania zmiany skórne, które rozkwitają purpurą na szyi i dekolcie Sofijki, w oczach na powrót rozpala się zimny ogień szaleństwa.

Od przyjazdu do Warszawy wszystko wyglądało całkiem nieźle. Doktor zmniejszył matce dawki leków, jednak od jakiegoś czasu Bronek znowu dostrzega w jej zachowaniu niepokojące sygnały.

Ona widocznie zauważa, że syn jej się przygląda, bo na jej pełne wargi wypływa uśmiech-nieuśmiech, co sprawia, że ładna twarz zaczyna przypominać teatralną maskę. Sofijka wie, że Bronek wie. Żeby przykryć zmieszanie, rzuca niemal wesoło:

– Rozumiem, że spodziewałaś się jakiejś dalszej wakacyjnej wyprawy, ale ten Anin też jest podobno bardzo ładny... – Unosi łyżkę do ust, ale po drodze widocznie zmienia zdanie, gdyż nietknięta zawartość na powrót ląduje w talerzu.
– Wiesz, że doktor nie da rady w tym roku z nami wyjechać, tyle ma na głowie w szpitalu, a ze względu na moje zdrowie boi się puszczać nas samych gdzieś

daleko. Martwił się, że będziesz musiał spędzić lato w Warszawie, więc wspomniał o tym jednemu ze swych kolegów i...

Przez ostatnie miesiące w szkole jedyne, co utrzymywało Bronka przy życiu, to myśl o wakacjach, o tym, jak cudownie by było znowu zobaczyć turkus Dalmacji, lawendową Toskanię albo chociaż tatrzańską grań... Ale Anin?

– Pamiętasz doktora Tarnawskiego? To ten pediatra, który cię badał, gdyś się zaziębił zeszłej jesieni.

– Pamiętam.

– On właśnie polecił ojcu to miejsce pod Warszawą.

– Pod Warszawą? – Bronek stara się nad sobą panować, a jednak nie potrafi ukryć rozczarowania. Pęka mydlana bańka marzeń. A zatem nie będzie turkusu ani lawendy, nici z górskich wycieczek.

– Ja również wolałabym podróż za granicę, ale bez doktora nie mam odwagi. Widzisz przecież, że ostatnio znowu nieco gorzej się czuję. Pewnie przez ten upał... A gdyby podczas wyjazdu mi się pogorszyło? Tymczasem letnisko, o którym mówię, położone jest zaledwie pół godziny wąskotorówką stąd. W pięknym sosnowym lesie o uzdrowskim klimacie. Tarnawski ma tam jakąś znajomą, która wynajmuje letnikom pokoje. Ojciec mógłby do nas dojeżdżać na niedzielę. No, nie rób takiej skwaszonej miny. Mimo wszystko to chyba ciekawsze niż ślęczenie w dusznym pokoju przez resztę wakacji. Bronek...?

Bronek wzrusza tylko ramionami. Czy mu się to podoba czy nie, i tak pojadą. Nikt nie będzie go pytał o zdanie.

– Zobaczysz, na pewno polubisz to miejsce. A poza tym – matka uśmiecha się jakoś dwuznacznie – będziesz miał towarzystwo. Tarnawski wspominał, że w domu jego znajomej mieszka pewna dziewczyna. W podobnym wieku co ty...

– Dziewczyna?

Jest jeszcze gorzej, niż przypuszczał.

*

A jednak to od niej wszystko się zacznie w życiu Bronka.

Ona.

Będzie inna niż wszystkie dziewczyny, które dotąd poznał. Chociaż, prawdę powiedziawszy, nie znał ich znowu tak wiele, w końcu od małego uczęszczał do placówek dla chłopców. Ale te, z którymi miał do czynienia – córki znajomych rodziców, siostry kolegów czy smarkule grające w serso na podwórku ich kamienicy – uważał za gatunek nad wyraz niepojęty. Czy to normalne, żeby w kółko odgrywać role matek, popychać przed sobą zminiaturyzowane wózki i tulić zimne porcelanowe lale? Co to za zabawa – w dom? Każdy przecież ma dom. Dom jest nudny. Czy nie ciekawsza jest zabawa w wojnę? O, wojna to jest dopiero zabawa! I tylko dziewczyny zdają się tego nie rozumieć. Zaiste dziwne to i tajemnicze stworzenia. Zawsze jedna z drugą szepczą coś sobie na ucho, chichoczą głupio albo obrażają się o byle co. Nie interesują się Karolem Mayem ani piłką nożną, na drzewo nie wejdą, ciemności się boją, a na widok żaby bądź pająka wydają z siebie piski tak przeraźliwe, że szyby w oknach pękają.

Im Broniek jest starszy, tym mocniejszego nabiera przekonania, że dziewczyny są z innego świata. Są dziwne. Inne. Niepokojąco inne.

Ale ona... Fela Hryniewicz będzie inna inaczej.

*

Fela siedzi w obszernym wiklinowym fotelu, przerzuciwszy opalone nogi przez poręcz, na zacienionym tarasie domu ciotki Luci w Aninie przy ulicy III Poprzecznej. Jest senne popołudnie, dookoła szumi sosnowy las, pachnie ciastem pieczonym na dole w kuchni na podwieczorek i trawą wypalaną w ogrodzie przez lipcowe słońce. Fela się nudzi. Stara się czytać, ale rozprasza ją odgłos maszyny do pisania dochodzący z wnętrza domu. To stuka pan pisarz, letnik, który co roku spędza u nich kilka miesięcy.

Zasadniczo Fela nie lubi letników; obcy kręcą się po domu, zakłócają rytm codzienności i wściubiają nos tam, gdzie nie trzeba. W ogóle nie za bardzo lubi ludzi – na przykład matki swej, Róży, chociaż na szczęście ona przyjeżdża w odwiedziny do Anina od wielkiego dzwonu, gdy raptem przypomni sobie o istnieniu nastoletniej córki. A to zdarza się raczej rzadko, bowiem na co dzień pochłonięta jest warszawskimi rozrywkami, bywaniem w kawiarniach, teatrach, kabaretach, a także kompletowaniem nowych toalet. Matka w ogóle wydaje się Feli obca. Jest bardzo wytworna i wygląda, jakby ją ktoś żywcem wyjął

z artdecowskiego obrazu Tamary Łempickiej: ma kanciaste ciało, wystające kości policzkowe i ostrą linię żuchwy, krótkie i modnie ścięte włosy, czerwone paznokcie i usta, a do tego nosi piękne futra. Chociaż sama nie jest piękna. Bywa za to głośna, egzaltowana, skupiona na sobie i różnych nowych wujkach.

Nie lubi Fela również ojca, chociaż on zasadniczo jest jej obojętny – łoży na jej utrzymanie i nic ponad to. Ma w stolicy swą karierę polityczną, udział w fabryce leków i tysiąc rzeczy na głowie (w tym zapewne jakieś kochanice). Krótko mówiąc: sprawy wyższej wagi. Nie ma czasu po tyłku się podrapać, a co dopiero pomyśleć o córce, którą przed laty zainstalował w Aninie – gdyż tu lasy wspaniałe i mikroklimat, a Felusia ma słabe płuca, ciocia się nią troskliwie zajmie, powietrza Fela złapie, a jak złapie i ozdrowieje szczęśliwie, to na rodziców łono powróci.

Zdrowie jej się poprawiło niemal od razu, ale o powrocie już nikt nie wspominał.

Jest więc Fela tu, a rodzice tam. Nie myślą o niej – mają przecież jeszcze synka, cudowne dziecko, oczko w głowie, Kostusia, którego wychowaniu cali się oddają, na którego całą miłość przelewają – nie myśli zatem i ona o rodzicach. O Kostusiu zresztą też. Prawie nie zna brata, młodszy jest od niej o niemal dziesięć lat, a przy tym hałaśliwy i rozpuszczony jak dziadowski bicz. Smarkacz.

Dlatego za powrotem do Warszawy Fela nie tęskni. Nie pamięta okresu przed przyjazdem do Anina – wszak nie płacze za wolnością ptak w klatce urodzony. Urządzone z rozmachem i przesadną pompą mieszkanie Hryniewiczów w secesyjnej kamienicy przy Królewskiej bardziej przypomina Feli teatralne dekoracje bądź muzeum aniżeli prawdziwy dom. I dziwnie tam pachnie – nowobogacką fortunką, którą rodzina zbija dzięki proszkom na wszelakie bóle i syropom ze strychniną oraz manganem, co to są dobre na wszystko, a szczególnie stany wyczerpania psychicznego, anemię i blednicę.

Zaś w domu kochanej cioci pachnie lasem, spokojem, ciastem oraz chlebem z masłem i ogórkiem. Pachnie bezpieczeństwem i normalnością. A sam budynek, wzniesiony w stylu Andriollego, najładniejszy jest w całej okolicy, a już na pewno na ulicy III Poprzecznej. Na dole znajdują się dwa niezależne mieszkania: jedno zajmuje ona z ciocią (dodatkowo w służbówce rezyduje Karczewska,

kucharka i służąca), drugie służy gościom, gdy przyjeżdża ktoś ze znajomych lub rodziny, a na piętrze mieszczą się niezliczone pokoje dla letników.

Z zewnątrz drewnianą bryłę zdobią ganki, oszklone bądź częściowo odkryte dwupoziomowe werandy, rzeźbione zwieńczenia wykuszowych okien i fikuśne ażurowe balustrady balkonów, przez co budynek przypomina trochę pałac z bajki albo domek dla lalek. Kiedy Fela była młodsza, dom jawił jej się jako prawdziwy labirynt; mnóstwo schowków, schodów, drzwi i ukrytych przejść w piwnicy pozwalało jej w czasie zabawy w chowanego tak się ukryć, że przez pół dnia nikt jej nie mógł znaleźć.

Dzisiaj Fela uważa, że jest już zbyt dorosła na podobne psoty. Nie miałyby też z kim się bawić. Nie posiada zbyt wielu koleżanek, a w domu sami dorośli. Nudy. Podobno pod koniec tygodnia ma przyjechać do nich na lotnisko jakaś pani z nastoletnim synem – ciocia wspominała przy obiedzie – ale Fela podchodzi do tego sceptycznie. Chłopcy to jednak gatunek wybitnie irytujący. Szczególnie ci ze szkoły powszechnej w Aninie, z którymi ma do czynienia na co dzień. Wciąż płatają jej głupie figle: ciągną ją za warkocze albo wrzucają żaby i dżdżownice za bluzkę. Co w tym zabawnego? Ciocia mówi, że to takie szczeniackie zaloty, lecz Fela uważa, że są po prostu głupie. I dziwne.

Chłopcy są dziwni i ten, który tu przyjedzie, zapewne też taki będzie. Fela przeciąga się w fotelu, wiklina cicho trzeszczy pod naporem ciała. Słońce kreśli plamy na deskach tarasu. W głębi domu cichnie odgłos pisania, zamiast niego słychać szuranie zbliżających się kroków i po chwili w przeszklonych drzwiach pojawia się pan pisarz. Z książką w jednej dłoni i papierosem w fifice w drugiej; z burzą kręconych włosów, fantazyjnie zawiązanym pod szyją fularem i w nieco wytartym, acz nieodzownym robdeszanie narzuconym na ramiona – bez którego, jak twierdzi, nie potrafi tworzyć.

Pisarz nie jest jeszcze stary, a raczej nadal można go nazwać młodym, ma pewnie nie więcej niż trzydzieści kilka lat. W jego ruchach, mimice, głosie jest coś niemęskiego, nazbyt miękkiego. Fela jeszcze nie wie, że istnieją mężczyźni, którzy nie kochają kobiet, lecz kiedyś to zrozumie i wtedy wspomni pana pisarza. Teraz uważa, że jest on po prostu ekscentrykiem, a nadgryziony przez mole staromodny strój, prócz tego, że dodaje mu powagi, dopełnia artystycznego wyrazu.

– Witam piękną pannę Felicję. – Schyla się w błazeńskim ukłonie. Poły welwetowego płaszcza zamiatają podłogę. – Czy można się do panny przysiąść?

Nie czekając na odpowiedź, rozsiada się w drugim fotelu i gasi papierosa w mosiężnej popielnicy na lwich nóżkach stojącej na stoliku. Z delikatnością primadonny rozgania dłonią obłok dymu. Fela tymczasem prostuje się, poprawia sukienkę i uśmiecha się do mężczyzny, osłaniając oczy przed słońcem.

Pan pisarz. To jedyny z gości cioci, do którego czuje sympatię. Wprawdzie on także jest obcy, lecz zarazem nie tak głośny i absorbujący jak inni. Zwykle siedzi w pokoju i stuka jak oszalały w czarne klawisze, a jeżeli już wyściubi nos poza norę własnych myśli i wpadnie na Felę, to nie traktuje jej jak głupiego podlotka czy natrętnej muchy. Okazuje jej zainteresowanie, rozmawia jak z dorosłą. Bywa zabawny, a poza tym opowiada arcyciekawe historie, zwykle trochę straszne. Straszne historie to jego konik, specjalizuje się bowiem w powieściach grozy, drukowanych w odcinkach w brukowej prasie.

Fela uważa, że to fascynujące. Pan pisarz jest fascynujący. No i zawsze przywozi z Warszawy jej ulubione czekoladowe cukierki, które kupuje u Fuchsa.

Teraz też dobywa z kieszeni dwie złote kulki. Jedną podaje jej, drugą odwija z szeleszczącego papierka i wkłada prosto do ust.

– Zaraz będzie podwieczorek – mityguje się Fela. – Nie powinnam jeść tyle czekolady. Ciocia Lucia mówi, że przez to zęby...

– Cioci tu przecież nie ma.

– A nie wyda mnie pan?

– Jakżebym mógł? – Mężczyzna zabawnie przewraca oczami, nie przestając ssać czekoladki.

Uśmiechają się do siebie. Fela ukradkiem wsuwa cukierek do buzi – są teraz współnikami w czekoladowym występku.

– I co też moja piękna Fela dzisiaj porabiała? Słyszałem, że do południa odbywał się na dole jakiś koncert.

– Miałam lekcję fortepianu.

– W wakacje?

– Matka uważa, że przerwa w nauce źle wpływa na motorykę ręki, opłaca więc nauczyciela nawet latem.

– No tak... – Literat wygląda, jakby nie podzielał opinii Róży Hryniewicz, ale nie polemizuje z jej rodzicielskim autorytetem.

– A potem chciałam iść na spacer, ale jest tak gorąco... A pan już skończył pracę na dzisiaj?

– Powiedzmy. Żeby pisać, trzeba czytać. – Stuka palcem w okładkę antropologicznego dzieła, które przytaszczył ze sobą.

– Znowu pan wymyśla jakąś przerażającą opowieść?

– Czytelnicy lubią makabrę. Taka jest natura ludzka. Zło zawsze bardziej nas intryguje niż dobro.

– I po to czyta pan Kolberga?

– To wyjątkowe źródło inspiracji. W starych gusłach jest tyle okropności, że to niemal gotowy materiał na powieść.

Fela kiwa głową ze zrozumieniem.

Chociaż na dworze jest zupełnie jasno, czuje, jak po plecach przechodzi jej chłodny dreszcz podniecenia. Przyjemny dreszcz. Wciąż pamięta ich rozmowę sprzed kilku dni. Było już po kolacji, zapadł zmierzch, a pisarz opowiadał o zamieszkujących jeziora stworach z ludowych wierzeń. Im straszniejsze rzeczy mówił, tym mocniej nalegała, żeby nie przestawał. Niczym ćma, która mimo niebezpieczeństwa podlatuje coraz bliżej płomienia. Potem przez całą noc śniły jej się bladolice zjawy o zielonkawej skórze i długich włosach przypominających wodorosty.

– O czym pan teraz czyta?

– O Pokuciu.

– Nigdy tam nie byłam. Czy to ciekawe miejsce?

– Nader.

– Opowie mi pan o nim? – Na myśl o płomieniu ćma w duszy Feli znowu zaczyna energicznie trzepotać skrzydełkami.

– A nie będzie się Fela bała? To nie są historie dla małych dziewczynek. Mowa w nich o różnych leśnych stworach, a wszak tu las dookoła. Potem strach będzie między drzewa wejść.

Droczy się z nią, bo wie, że Fela haczyk dawno już połknęła.

– Ja się niczego nie boję. I wcale nie jestem małą dziewczynką. Jestem prawie dorosła, w maju skończyłam szesnaście lat – stwierdza hardo, co wprawia pisarza w jeszcze większe rozbawienie.

– Dobrze... Zatem wyobraź sobie, moja droga, prawie dorosła Felu, że w pokuckich lasach...

– Na Kresach?

– Tak, hen za Lwowem... No więc wyobraź sobie, iż w tamtych stronach ludzie wierzyli, a może nadal wierzą, że w puszczy żyje zło. Zły duch, czort. Ten, co go zwą wszystkimi imionami. Wprawdzie nikt go nie widział, nikt nie słyszał, ale jest tam, ukryty pośród drzew. – Pisarz wskazuje głową na spokojny sosnowy las otaczający dom. – Przychodzi z wiatrem. Ludzie uważają, że gdy wichur dmie, gdy drzewami szarpie, odbywa się *gitcze wesile*.

– Co to znaczy?

– Że diabeł się żeni. Raduje się i z tej wesołości zamienia ludzi w swe służki; w opyry, w strzygi lub strzygonie, w topielice i wówkuny. Różne takie dziwadła. Ale strzygi i strzygonie z nich najgorsze. Bo strzyga ma dwa serca i dwie dusze. Jedną, co od Boga pochodzi, i drugą, co ma źródło w Złym. Dlatego tak trudno strzygę rozpoznać: przez to drugie, dobre serce. Dzięki niemu z pozoru jest normalna, jak ja czy ty, Felu, i nikt z bliskich nie spostrzeże, że paktuje z propastnykiem. Wie taka strzyga, jak tropy zmylić, jak innym oczy dobrocią zamydląć. Ciężko jest poznać, że ona zupełnie czarna w środku. Jak noc bez Księżyca. – Pisarz z uwagą patrzy na dziewczynę. – Na pewno się nie boisz? Mam opowiadać dalej?

Fela nic nie mówi, ale znowu kiwa głową.

– Ma taka strzyga jeszcze inną moc. Ta jej druga dusza, ta, co od Złego pochodzi, potrafi z jednego na drugiego człowieka przejść, wnikać w niego, opętać go i zmienić w opyra.

– Upiora? – upewnia się Fela. Zaciska dłonie na materiale letniej sukienki. Ze strachu? Z podniecenia? Czy tylko jej się wydaje, czy jakoś tak w lesie zrobiło się cicho? Duszno. Słońce schowało się za drzewa. Ptaki umilkły.

– Tak, w upiora – potwierdza mężczyzna. – I tak sobie zło potrafi wędrować, od człowieka do człowieka. Lata całe. Wieki całe. Idzie dalej... Czasem z matki na nieochrzczone jeszcze dziecko przejdzie i wtedy to dziecko rodzi się z zębami.

Albo nawet i bez zębów, ale potem wcześniej niż innym mu wyrastają. Albo ma ich dwa rzędy, ale te drugie widać, dopiero kiedy się strzydze w gębę zajrzy. Straszne rzeczy taka strzyga, jak dorośnie, czyni... – Głos pisarza cichnie.

– Pan to sobie na poczekaniu wymyśla, prawda?

– Ależ skąd. To wszystko tutaj, u Kolberga, jest zapisane. A on był wielkim badaczem kultury i z powagą traktował temat. Żeby spisać swe antropologiczne *opus magnum*, całą Polskę wzdłuż i wszerz zjeździł, z ludźmi rozmawiał, dowody zbierał.

– Bujdy. Nikt normalny w takie rzeczy nie wierzy. Ludzie czynią zło nie przez żadne strzygi, tylko przez swą naturę...

– Celna uwaga, ludzkość daleka jest od ideału, ale przecież nie wszystko da się racjonalnie wytłumaczyć, porachować, zmierzyć, czyż nie?

– Ja tam wierzę w szkielecko i oko.

– Ależ pragmatyczka z panny Feli – wzdycha literat, teatralnie łapiąc się za głowę. – Za grosz w panience romantyzmu. A ja sądzę, że gołym okiem nie wszystko da się zobaczyć.

– Codziennie chodzę po naszym lesie i nigdy żadnych strzyg nie widziałam.

Pisarz uśmiecha się zagadkowo i unosi brwi.

– Może widziałas, ale nie wiedziałas, że to upiór? Strzygi potrafią latać i szybkie są jak wicher, a ludziom ukazują się pod postacią sowy. W nocy słyhać, jak pohukują, jak ich krzyki niosą się po lesie. Ale to nie sowa, tylko strzyga woła. Nie wolno na takie wezwanie odpowiedzieć, w ślepią strzydze spojrzeć, bo albo zły duch z niej na człowieka przejdzie, albo nieszczęście w rodzinie murowane. Ktoś bliski umrze albo zachoruje. Jedyne ratunek, gdy już się taki wiatr w lesie zerwie, który nadejście strzygi zapowiada, to usiąść na ziemi i wypowiedzieć słowa... – Wertuje książkę, wreszcie znajduje właściwy fragment. – O tutaj. Trzeba powiedzieć: A cur ty! A pek ty! A otsyna ty! A uczkur ty na szyju! Inaczej biada.

– No nie wiem... – Fela z emocji ledwie oddycha. – Sowa to tylko sowa, żaden upiór. To symbol mądrości.

– Być może w niektórych kulturach, w takiej starożytnej Grecji, dajmy na to, ale nie w pogańskich wierzeniach Słowian. Zresztą w folklorze żydowskim

demoniczna Lilith także utożsamiana jest z sową.

– A ja wiele razy widywałam sowy i jakoś żadne złe duchy we mnie nie weszły – upiera się dziewczyna.

– Jest Fela tego pewna, Felu? – Pisarz mruży oczy. – A co, jeśli weszły w pannę, a panienka nawet o tym nie wie?

– Zabobony.

– Ależ oczywiście, że zabobony. Jednak mnóstwo ludzi daje im wiarę. O, tu na przykład – puka palcem w otwartą księgę – Kolberg opisuje historię, która zdarzyła się w jednej z naddniestrzańskich wiossek. Żył tam sobie kiedyś w okolicy taki jeden, Fedor Pihulak go zwali. Dobry chłopak, żywe srebro, dziewczęta za nim latały, bo przystojny. Ale jak Fela – niedowiarek. Fedor chwacki był i niczego się nie bał. Ludzie go ostrzegali, żeby do lasu nie chodził, ale tylko się śmiał, że to gusła, że tam nic nie ma, jeno zwierzyna, bogactwo jagód i malin. I pewnej nocy poszedł w nów, ciemnicę i nie wrócił. Szukali go długo, ale przepadł jak kamień w wodę. Mówili: Dniestr zabrał. Ale nie zabrał. Znalazł się Fedor, nim nowy nów nastał. Tyle że wtedy był już jakiś inny. Nie chciał mówić, co go w lesie spotkało. Wcześniej żadnej dziewczynie z wioski nie przepuścił, potaćzyć lubił i wypić, a teraz ciągle sam siedział w chałupie. Chudy się zrobił i biały... jak trup. Nocami chodził po wsi. Ludzie na krucyfiks przysięgali, że potem w zagrodach kury bez głów i bez jednej kropli krwi znajdowali. A w końcu Fedor do reszty zmarniał i zmarł. Pochowali go na cmentarzu. Ale z ptactwa po kurnikach ktoś dalej krew wypijał. Wreszcie mieszkańcy wioski wyciągnęli Fedora z grobu i obcięli mu nogi.

– Po co?

– Żeby już po świecie nie chodził i kury w spokoju zostawił. Martwe rzeczy nie mogą być żywe...

– I już nie wrócił? – Fela oczy ma szeroko otwarte, zaciśnięte na sukience dłonie kredowobiałe.

– A wrócił, wrócił... – Opowieść musi wybrzmieć do końca. Pisarz ścisza głos: – I już nie tylko na kurach zębiska ostrzył. Całą krew ze świniaka potrafił wypić. W jedną noc. Dlatego znowu się ludzie zebrali, Fedora z grobu wykopali i na skraj lasu przenieśli. Wrzucili do dołu twarzą do ziemi i związali mu ręce

lipowym łykiem. Łopatą ucięli głowę i włożyli między nogi, a na koniec serce przebili osikowym kołkiem...

– Pan chce mnie tak tylko nastraszyć. – Fela udaje, że opowieść nie zrobiła na niej wrażenia, ale owszem, zrobiła ogromne. Jej echo pozostanie w niej na długo. Na zawsze.

Pan pisarz wkłada w szklaną firkę kolejnego papierosa, przypala go. Taras zasnuwa siwa chmura.

– Oczywiście, że chcę cię wystraszyć. Przecież jestem autorem powieści grozy.

*

Tego popołudnia, gdy Broniek wraz z matką zjeżdżają na lotnisko, jest cudowna lipcowa pogoda. Upał zelżał, po niebie suną pierzaste cumulusy, wieje łagodny wiatr i oszałamiająco pachnie żywicą. Dochodzi siedemnasta. Ze stacji kolejowej, w ramach koleżeńskiej przysługi, odbiera ich jakiś daleki znajomy doktora Szymona z kliniki uniwersyteckiej, zupełnie przypadkiem także urlopujący w Aninie. Lieberman niestety nie mógł odwiedzić żony, zatrzymały go obowiązki w szpitalu, lecz uczynny kolega ma auto – nowe, amerykańskie – i z przyjemnością pani doktorowej pomoże. Połyskujący czarnym lakierem i przypominający leśnego żuka chevrolet mknie cienistymi uliczkami, podrywając z ziemi tumany kurzu, by już po chwili zaparkować na III Poprzecznej. W Aninie wszędzie blisko.

Walizy, walizeczki, torby, torebeczki, pudła z kapeluszami i butami – wszystko to ładuje na ganku usytuowanym od frontu, gdzie na gości czeka już właścicielka domu, pani Ratayowa, wdowa po pułkowniku, bohaterze wojny polsko-bolszewickiej. Szczupłutka, drobniotka, zasuszona, uśmiechnięta, z falującą srebrem elegancką fryzurą, którą spięła w koczek na karku rogową klamrą. Skromność i elegancja – dama w starym stylu.

Wita ich serdecznie. Moc nieco sztucznych uprzejmości wylewa się z ust obu kobiet.

– Pani doktorowo, jakże miło mi będzie gościć panią u siebie!

– Pani pułkownikowo, jakże miło mi będzie spędzić u pani wakacje. I cóż za wspaniały dom!

– A ten kawaler – Ratayowa spogląda na chłopaka – to, jak mniemam, syn pani?

– Tak, to Bronek. Bronuś, przywitaj się z panią pułkownikową...

Bronek wita się kulturalnie, jak go nauczono w jego kulturalnym domu, i odwzajemnia uśmiech, chociaż wcale mu nie do śmiechu. Mogły być morskie kąpiele i górskie wycieczki, a zamiast tego dusić się będzie przez cały miesiąc w tym dziwnym drewnianym molochu, przypominającym przerośnięty domek dla lalek. Zmarnowane wakacje. Zmarnowany czas.

Pani Ratayowa widocznie zna się nie tylko na prowadzeniu pensjonatu, ale i na ludziach, gdyż mówi przyjaźnie do chłopaka:

– Pewnie myślisz, że tu u nas nic do roboty ciekawego nie ma, ot las i wszystko, ale zobaczysz, że nie będziesz się nudzić. Na początek leć zobaczycie ogród. A panią, doktorowo, zapraszam do środka. – Gospodyni zagarnia Sofijkę ramieniem. – Pokażę pani pokoje i poznam z resztą letników. Oprócz pani goszczę jeszcze młodego literata – uroczy jegomość! – i pewne małżeństwo, bardzo mili państwo. Później dojedzie jeszcze moja bratanica i na kilka dni pewnie doktor Tarnawski. Pani przecież zna doktora... No nieważne, zapraszam, zapraszam serdecznie do środka. Służąca wniesie bagaże. Pewnie zechce się pani odświeżyć przed kolacją...

Szczerliwie uwolniony z damskiego towarzystwa Bronek umyka z ganku wprost w objęcia lasu. Z rękami w kieszeniach i miną skazańca okrąża drewniane gmaszysko.

Ogród rozciąga się na tyłach. Ogród jak ogród, tu kwiatek, tam kwiatek, jakieś łopiany, jakieś paprocie. Nie zna się Bronek na botanice, ale całkiem ładne to wszystko. Kolorowe, woniejące, zadbane bardzo, widać rękę ogrodnika. Oprócz tego ławeczka, stoliczek, altanka, schody prowadzące na kolejną, tym razem oszkloną werandę. A nad całością sosny górujące, o straconym lecie albo może o niespiesznym smakowaniu młodości szumiące. A na jednym z konarów huśtawka. A na huśtawce...

Bronek raptownie skupia wzrok. Dziewczyna kołysze się miarowo, w przód i w tył. Zapatrzona gdzieś w dal, nieobecna, z poważnym, nieco zbyt dojrzałym jak na nastolatkę spojrzeniem. Muślinową, z mgieł utkaną sukienkę podwiewa prąd powietrza. W jasnych włosach, rozsypanych na gładkich ramionach, skrzy

się lipcowe słońce. Stopy dziewczę ma bose. Jedną ręką przytrzymuje na kolanach jakiś niewielki przedmiot. Wokoło latają motyle, pszczoły, trzmiele. Cały ogród wibruje od ich jednostajnej muzyki.

Bronek przystaje oniemiały. Dziewczyna jest doskonale piękna, a przez to jakby nierzeczywista. Niby leśna wróżka albo jedna z Gracji Botticellego. Zresztą wszystko wokół nagle wydaje się nieprawdziwe, niewyraźne, lepkie od słodczy lata; i oniryczny las, i bajkowy domek dla lalek. Ale przede wszystkim ona. Ona! Ktoś tak piękny musi być też nieskończenie dobry, myśli chłopak.

Zaciekawiony podchodzi bliżej. Obserwuje, jak ciało dziewczyny frunie ponad ogrodem. Robi jeszcze jeden krok, sucha gałązka pęka mu pod butem.

I wtedy ona również go zauważa. Odwraca głowę. Chciałby teraz Broniek zniknąć – czuje się, jakby go przyłapano na gorącym uczynku – lecz już za późno. Dziewczyna w jednej chwili wstrzymuje huśtawkę i zeskakuje na ziemię. To, co przez cały czas trzymała na kolanach, teraz zamyka w koszyczku z dłoni. Podchodzi do Bronka, stąpając po trawie na palcach. Przechyla ciekawie głowę.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry – rzuca zduszonym głosem speszony młodzian.

Nie potrafi oderwać od niej wzroku. Gracja ma prosty, wąski nos, ciut zadarty i naznaczony złotymi plamkami. Pełne usta, alabastrową cerę. I hipnotyzujące stalowe tęczęwki z ciemną obwódka. Z bliska jest jeszcze piękniejsza. Onieśmiela go jej uroda. Oszałamia. Nie ma ludzi tak doskonałych – serce wali mu w piersi.

Bronek jeszcze nie jest w pełni mężczyzną, lecz przestał już także być dzieckiem. Ma szesnaście lat. Jesienią skończy siedemnaście. Jego myśli – bardzo osobliwe myśli, którymi nie ma się z kim dzielić, bowiem z dziećmi nie rozmawia się na takie tematy – od jakiegoś czasu podążają nowymi ścieżkami. Przeobraża się także jego ciało. Nie jest już chuchrem na tyczkowatych nogach. Pod skórą rysują się mięśnie; włosy pod nosem i na klatce piersiowej zaczęły twardnieć. Wstydzi się tego. Tego, co się dzieje pod ubraniem, poniżej pasa, i tego, co wydobywa się z jego ust. Czasami nie umie nad tym zapanować, a wtedy pieje dyszkantem albo grzmi basem. W górę i w dół, i w górę, i w dół. Ojciec mówi, że to normalne i niedługo minie, że to jeden z objawów dojrzewania. Hormonalna burza, która musi się wygrzmieć. Pewnie ma rację.

Na pewno ma, w końcu jest lekarzem. Poza tym większość kolegów z klasy cierpiała przez cały ubiegły rok na tę przypadłość. Przy nich jednak nie czuł się jak idiota.

A przy niej tak.

Dziewczyna nadal mu się przygląda, niezbyt dyskretnie – taka śliczna, zarumieniona, z włosami w nieładzie. Jakże chciałby dotknąć jej twarzy...

– Przyjechałeś na lotnisko?

– Tak.

– Aha – stwierdza krótko, nie przejawiając zbytniego entuzjazmu. – A ja tutaj mieszkam. Jestem Fela Hryniewiczówna. A ty jak się nazywasz?

– Broniek. Broniek Lieberman. Jestem tu z mamą... – Wskazuje na dom. – Właśnie rozmawia z panią pułkownikową. To twoja babcia?

– Nie, siostra mojego dziadka. Ale mieszkam z nią. Miałam pewne problemy ze zdrowiem, a w lesie jest lepsze powietrze niż w Warszawie. Mikroklimat i takie tam... – Gładkie czoło przecina zmarszczka. – To dlatego rodzice przysłali mnie tutaj.

– Przykro mi.

– Dlaczego?

– Że miałaś problemy ze zdrowiem. Pewnie tęsknisz za domem, za rodzicami...

Fela obojętnie wzrusza ramionami.

– Nie, raczej nie. Zresztą tu jest mi dobrze. Nie lubię Warszawy. Ciocia Lucia jest bardzo kochana, a mama często mnie odwiedza. Teraz też niedługo powinna przyjechać. Z moim bratem.

– No tak, rozumiem...

Nic nie rozumie. Nie potrafi się skupić na tym, co do niego mówi. Nie potrafi oderwać od niej wzroku. Pod sukienką malują się piersi, drobne krople sutków...

Fela nie jest mu dłużna, przewierca go na wylot ciekawością stalowych oczu. Broniek czuje się pod tym spojrzeniem tak zmieszany, że nie wie, co jeszcze mógłby dodać. Nie wie, co się z nim dzieje. Policzki go palą, w podbrzuszu coś pulsuje. Nigdy wcześniej się tak nie czuł.

Atmosfera w ogrodzie gęstnieje, cisza rozsadza mu głowę. Należy ją przerwać.

– Co tam masz? – Wskazuje na jej zamknięte w kolebkę dłonie.

Fela wzdycha smutno, wyciągając przed siebie ramiona.

– Sam zobacz. – Rozchyła palce. W jej rękach spoczywa truchło pisklęcia, łebek smutno opada mu na bok, jakby się trzymał na jednej cienkiej nitce.

– O Boże! – wyrywa się z ust chłopaka. – Skąd go masz? Jest martwy?

– Na to wygląda. Znalazłam go w trawie. To chyba mały drozd.

– Może przypadkiem wypadł z gniazda?

– Może...? Albo matka go nie chciała i nie wykarmiła – stwierdza głucho Fela, przysuwając szare ciało bliżej oczu.

– I co zamierzasz z nim zrobić?

– Sama nie wiem, chyba trzeba go zakopać. Muszę tylko znaleźć odpowiednie miejsce. Znam jedno takie w drugim końcu ogrodu, pod kaliną. Pomożesz mi? – Z powrotem podnosi na niego oczy.

Bronek czuje, jak cały w środku się napina. Oczywiście, że jej pomoże. Nie umiałby odmówić takiej prośbie. I dziewczynie, zupełnie niezwykłej dziewczynie, która ma w oczach taki smutek i która nie boi się wziąć do rąk zdechłego pisklaka.

Fela naprawdę jest inna niż dziewczynki, które dotąd znał. Jest taka... intrygująca.

*

Fela jest taka irytująca. Taka krnąbrna. Pewnie dlatego, że wie, jak silne wrażenie wywiera na ludziach jej uroda. Narcystyczna osobowość. Wstydu za grosz dziewczuszyko nie ma i skromnością nie grzeszy. Z gołymi nogami paraduje, w sukience ze zbyt głębokim dekoltem. Kto to widział! – myśli sobie Róża Hryniewicz, obserwując z oszklonej werandy córkę bawiącą się w ogrodzie.

Przyjechała na lotnisko kilka dni wcześniej, niż planowała. Ciotka Lucyna kołki jej na głowie ciosała, żeby korzystając z wakacji, odwiedziła Felę i trochę się dorastającą córką zajęła, zainteresowała. Dziewczyna coraz starsza, toteż

matczynej troski, bliskości potrzebuje. Ciocia, owszem, stara się być dla niej oparciem, ale matka – nawet wyrodna matka kukułka – to zawsze matka.

Spakowała zatem Róża walizy, zabrała ze sobą Kostusia – cudowne dziecko, synka jedyne, oczko w głowie – i z miną cierpiętnicy, pożegnawszy się za dnia z mężem, a w nocy z kochankiem, zameldowała się na zesłaniu w Aninie, by odrobić rodzicielską pańszczyznę.

A teraz siedzi rozparta w fotelu i znudzona, skrzywiona, chuda i kanciasta, i zastanawia się, na co był ten pośpiech, kiedy ta córka bezduszna, ta istota z obojętności i lodu wykuta traktuje matkę – która ją w bólach dobę rodziła, która dla niej młodość i marzenia o studiach poświęciła! – jak powietrze. Jak intruza.

Może trochę głupio wyszło, że przywiozła ją Róża na kurację powietrzem żywicznym na chwilę, a chwila przeciągnęła się do trzynastu lat. Ale na Boga, bywają gorsi rodzice. O co się więc ta mała dąsa? Ma przecież u ciotki Ratayowej wszystko, czego dusza zapragnie. Mlekiem i miodem karmiona, do dobrych szkół posyłana. Łożą z Adolfem na jej utrzymanie, na wygody, przyjemności. Niemale kwotki ciotce co miesiąc przekazują. A tej pannicy – niewdzięcznicy! – wciąż mało i mało...

Dziwna taka. Ani się na widok matki nie ucieszy, ani słowem się nie odezwie. Braciszka też ignoruje. Do Róży nie tylko z *fizis*, ale i charakteru niepodobna. Zamknięta w sobie, introwertyczna, wiecznie naburmuszona. Nie żeby jakoś specjalnie jej na rozmowie z dziewczyną zależało. Bo o czym tu gadać z dzieckiem, które się widzi parę razy do roku? Jednak oczekiwałyby nieco uwagi ze strony smarkuli. Zachowania pozorów choćby i żeby jej Fela szacunek należy okazać.

Patrzy Róża zblazowana na ogród. Jej piękna córka, w urody prawdziwym rozkwicie, jak fryga pod niebo się wzbija na huśtawce, co to ją ogrodnik ciotki kilka lat temu zawiesił specjalnie dla niej. Cały dzień potrafi tak bujać w obłokach, w górę i w dół, nie wiedzieć czemu wprawiając tym bujaniem matkę w stan najwyższej irytacji. Normalne dziecko już by niechybnie niestrawności dostało, ale nie ona. Ona jakby z kamienia, jakby z innej gliny ulepiona. A już na pewno z innej niż jej wesoły braciszek, który obok, na koniku bujanym, mieczem drewnianym waleczne toczy boje – będzie z Kostusia żołnierz jak się patrzy, w dziadka Kazika pułkownika się wdał.

Tymczasem Kostuś, o rozmytym spojrzeniu ojca swego Adolfa i kanciastym ciele matki swej Róży, kłusuje na rumaku po polach dziecięcej wyobraźni, zupełnie obecnością Feli niezainteresowany – ani dzisiaj, ani nigdy. Ta ponura starsza siostra nie odegra w jego życiu żadnej roli.

I jest w lesie jeszcze tamten chłopak. Siedzi nieco na uboczu i oparłszy się o sosnę, z wypiekami na twarzy wczytuje się w jakąś książkę. To ten Broniek Lieberman, syn doktorowej.

Róża, z natury towarzyska, w przypadku Sofijki Lieberman trzyma dystans, podskórnie czując do niej niechęć. Choć są niemal równolatkami i mogłyby zadzierzgnąć znajomość, to Róża wie, że nic z tego nie będzie. W życiu się do tego nie przyzna, wszak poglądy ma wyzwolone, lewicowe, popiera sanację, na półpiętrze w Małej Ziemiańskiej przesiaduje, brzydzi się ONR-em i Falangą – całą tą zacietrzewioną faszyzującą swołoczą – a jednak do Żydów, nawet zasymilowanych, zlaicyzowanych, wykształconych Żydów-nie-Żydów przekonać się nie potrafi.

A tak w ogóle to specyficzna ta Liebermanowa. Błada taka, o niezdrowej cerze, z peruką na głowie – bo że taki włos ma gęsty i błyszczący z natury, to Róża nie uwierzy. A do tego na całe dnię gdzieś w lesie przepada. Że niby na spacerach. Kto to widział tyle spacerować?! Jeszcze do kasyna, na koniak i plotki, na tańce, to by Róża zrozumiała, ale tak samemu chodzić po lesie bez celu, bez sensu...? Dziwadło z tej Liebermanowej.

A ten jej synek też nie lepszy – śliczniutki Żydek, który na Żydką wcale nie wygląda. Tylko odrobinę do matki podobny, ma jej szlachetny rzymski profil i wydatne usta, lecz karnację dużo jaśniejszą. Wybełtać się kiedyś musiała krew Syjonu ze słowiańskim nasieniem. Mieszaniec. A do tego taki uprzedzająco grzeczny, taki uprzejmy, łagodny, spokojny. A jakie dojrzałe sądy przy stole nad chłodnikiem wygłasza! Który normalny chłopak w jego wieku tak się zachowuje? Musi być z nim coś nie tak.

Oj, nie podoba się Broniek Lieberman Róży.

A Feli chyba podoba się bardzo. Widzi matka, jak się ciągle gdzieś włóczą razem, do lasu na jagody, na maliny – do malinowego chruśniaku zapewne! zapodziani po głowy przez długie godziny... – i na korty w kasynie. I jak wygrywają na pianinie kuplety na cztery ręce, i jak po domu się ganiają.

Nieobyczajne zachowanie. Już Róża wie, do czego to prowadzi. Ona wyzwolona jest, nowoczesna, ale i nowoczesność ma swe granice. Głupia smarkata pewnie myśli, że to miłość, że do grobowej deski. Pensjonarskie fiu-bździu! Nie zna Fela mężczyzn, nie wie, co im za świństwa od małego po głowie chodzą. Chłopaczysku już zapewne rączki pod kołdrę wędrują, już wykrochmalone prześcieradła cioci Luci polęciami naznaczone, a mały Żydek jej córkę w wyobraźni lepkiem spojrzeniem rozbiera. I nic to wspólnego z miłością nie ma – na samą myśl wstręt i zawiść Różą trzęsą. Jej samej nikt nigdy tak wzrokiem nie rozbierał i rozbierać nie będzie, nikt w nią jak w obrazek nie spoglądał – nawet Mundzio.

Cóż, nie posiada Róża urody córki, nie ma jej charmu, jej wdzięku. O tak! – zazdrosna jest chorobliwie o powierzchność Feli. I nie! – nigdy się do tego nie przyzna. Ani przed światem, ani nawet przed samą sobą.

Musi Róża córki przypilnować, utemperować ją, okiełznać, musi trzymać rękę na pulsie.

I właśnie teraz trzyma. A przynajmniej wydaje jej się, że trzyma.

Podgląda scenę rozgrywającą się w lesie. Fela jak gdyby nigdy nic zeskakuje z huśtawki, obojętnie wymija szarżującego Kostusia i przysiadła obok chłopaka pod drzewem – o własnym braciszku zapomniawszy! Widzi Róża, jak ramiona nastolatków się dotykają, widzi, jak chłopaczysko na jej córkę oczy znad książki podnosi. Róży skacze ciśnienie. Przysuwa twarz bliżej szybek werandy, chce wszystko zobaczyć, każdy gest niewłaściwy uchwycić, chce wiedzieć, o czym tam sobie jedno drugiemu szepczą do ucha. Tyle że skupić się nie może, albowiem gdzieś ponad jej głową ten mierny literat tłucze *staccato* w klawisze maszyny. Jak diabeł kopytami w tańcu pokracznym i upiornym stuka... Chciałaby Róża chociaż z ruchu warg wyczytać, co też dzieciarnia knuje. O czym z obcym chłopakiem rozmawia dziewczucha, która z własną matką nie rozmawia nigdy? Bardzo chciałaby Róża wiedzieć, ale się nie dowie.

*

Jest w lesie takie miejsce, niecałą godzinę szybkiego marszu od domu, gdzie nocą dzieją się rzeczy niezwykłe. Fela nie pamięta, kiedy dokładnie je odkryła, jednak

musiało to być bardzo dawno temu. Może nawet sama ciocia Lucia pokazała je Feli – trudno powiedzieć.

Leśne bagna. Teraz chodzi tam sama. Zwykle po zmierzchu lub nocą. Wymyka się, gdy dom zasypia, i biegnie ile tchu, na bosaka, przez uśpiony Anin. Lubi siadać na skraju moczarów, w miejscu, gdzie podmokły teren okalają trzciny, i wsłuchiwać się w nocny wielogłos lasu. Czasami po obfitych deszczach wody wzbierają i trzęsawisko zamienia się w jezioro o gładkiej tafli, w której można obserwować odbijające się gwiazdy. Fela nigdy nie czuje tam strachu i nie czuje się sama. Powietrze wibruje rechotem żab, cykaniem świerszczy, trzaskiem suchych patyków, pękających pod racicami zwierząt, a na gałęzi jednego z drzew zawsze czuwa żółtooką sowa. Całkiem zwyczajna, żadna tam strzyga...

Fela uważa, że nie ma nic piękniejszego od tego miejsca: od zaczarowanego lasu, zaczarowanej nocy, i właśnie dlatego tak bardzo pragnie pokazać je Bronkowi.

Zupełnie jest inny, niż się spodziewała. Już w pierwszej chwili to poczuła.

Nie mówi zbyt dużo, nie ciąga jej za warkocze i wcale nie przypomina chłopców ze szkoły. Niczego się nie boi – wziął do ręki martwego ptaka, gdy urządzali mu pogrzeb pod kaliną – i niczemu się nie dziwi. Nawet gdy Fela referuje mu, co jej pan pisarz opowiada. Nie wyśmiewa jej, nie błaznuje. W ogóle poważny jest, uważny, dojrzały, chociaż starszy od Feli o zaledwie osiem miesięcy. To niby niedużo, a jednak kiedy jest się nastolatkiem, niedookreślona kompilacją dziecka i dorosłego, parę miesięcy różnicy wydaje się wiecznością.

Fela zna Bronka zaledwie od dwóch tygodni, a jakby znała całe życie.

Fela kocha Bronka od dwóch tygodni, jak nie kochała nikogo przez całe życie.

Dlatego zabierze go do lasu, na moczary.

Gdy Anin okrywa zmierzch, a wszyscy letnicy układają się do snu, Fela wykrada się z domu – hyc przez okno, między drzewa, za huśtawkę, w głąb ogrodu. Zatrzymuje się w umówionym miejscu, za krzakami przekwitłego bzu, i wygląda towarzysza psoty. Bronek jeszcze chwilę czeka, aż matka zaśnie i z pokoju obok dojdzie ciche pochrapywanie, a wtedy na palcach schodzi na parter i czmycha na dwór przez tylną werandę, wprost w objęcia sosnowego lasu.

Stąpa ostrożnie, bo chociaż jest lato, to mroki wokół nieprzebyte. Mroki księżycowego nowiu.

Może się i trochę boi, ale gdy dociera do Feli, nic po sobie nie daje poznać.

– Jesteś. – Dziewczyna uśmiecha się na jego widok.

I ruszają pędem przez utkaną z oczekiwań noc. Wokoło tylko drzewa, tylko krzewy, mchy i paprocie, i ciepłe mazowieckie piaski pod stopami.

Skrecają z głównej spacerowej ścieżki w jeszcze głębsze gęstwiny. Biegają w milczeniu, słysząc tylko ich przyspieszone oddechy. Broniek z trudem dotrzymuje kroku Feli. Za dnia taka eteryczna, spokojna i introwertyczna, delikatna jak porcelanowa lalka, a pośród splątanych leśnych cieni, przy akompaniamencie spadających gwiazd wstępuje w nią nieznaną energią. Staje się jak dzikie stworzenie, niewidzialną siłą z nocą połączone. Biegnie bez wstępnienia; z chmurą jasnych włosów dookoła twarzy, w zwiewnej sukience. I piękniejsza jest niż kiedykolwiek...

Biegają.

Tak długo, że Broniek traci orientację i zaczyna się martwić, czy Fela nie zgubiła drogi, nie zbłądziła. Może na manowce ich wywiedzie...? Ale wtedy nieoczekiwanie drzewa się przerzedzają, rozstępują, a pomiędzy pni coś zaczyna jaśnieć. Wielka świetlista łuna faluje w sercu lasu.

Są na miejscu. Fela przystaje. On, dysząc, opiera się o drzewo, łapie oddech. I patrzy w jasną poświatę, i w zachwycie rozchyła usta, otwiera szeroko oczy.

Powietrze nad mokradłem mieni się i pulsuje migotem tysięcy świetlików. Nie ma już nocy. Gwieździste niebo opadło w ciszy lasu na ziemię, łącząc się w całość z roztańczonym rojem owadów. Świat błyszczy urodą zwielokrotnioną, odbitą w nieruchomej tafli.

– Felu, jakie to wszystko wspaniałe. Jakżeś odkryła to miejsce?

Kąciki dziewczęcych ust się unoszą. Chwyta go za rękę.

– Chodź. Tu zaraz jest powalone drzewo. Stamtąd widać najlepiej.

Kawałek dalej, na wpół zanurzony w bagnie, leży stary pień. Fela wspina się po nim lekko, na palcach, krokiem baletnicy, dla równowagi rozkładając szeroko ręce. Po czym rozsiada się na środku kłody, opuszcza boso stopy ponad lustro

roziskrzzonej wody i wskazując miejsce obok siebie, zachęcającym gestem przywołuje chłopaka.

Bronek ostrożnie rusza w ślad za Felą, z obawą stawia kroki. Wreszcie opada tuż przy niej. Milczą przez długą chwilę, zasłuchani w ciszę, zauroczeni niezwykłym widowiskiem przyrody.

– Gwiazdy... Wyglądają jak gwiazdy, prawda, Felu? Jakby spadły z nieba... Nigdy niczego podobnego nie widziałem – mówi Bronek z zachwytem. – Parę lat temu, w wakacje, gdyśmy byli z rodzicami w Toskanii, obserwowałem świetliki na zboczach florenckich gór, ale wtedy nie było ich aż tyle. Nie wyglądało to aż tak... To zupełnie niezwykle, dziękuję, żeś mnie tu zabrała, że... – Paplaninę pokrywa wzruszenie, bo mężczyźni się nie wzruszają. Nawet tacy, którzy dopiero do tego miana aspirują.

Odruchowo kładzie dłoń na jej dłoni, po czym szybko ją cofa, onieśmielony poufałością. Fela odwraca do niego twarz. Wbija spojrzenie w orzechowe oczy i przechyla głowę.

– Bronek...

– Tak...?

Wakacje. Wakacyjna miłość. Noc westchnień. Magiczna, duszna, bezsenna noc. Jeszcze chwila, a serce wyskoczy Feli z piersi. Jeszcze chwila, a Bronek Lieberman umrze, na pewno umrze, z zachwytu, z zapatrzenia, z zasłuchania, z miłości do Feli Hryniewiczówny. Lecz zanim to nastąpi... Jakaż nieroztropna byłaby to śmierć, zanim... Ona chyba myśli to samo. I ma więcej odwagi. Wszak nie boi się niczego. Wpatruje się w chłopaka i pyta:

– Całowałaś się już kiedyś?

Bronek przestaje oddychać i zaciska nerwowo dłoń na szorstkiej korze pnia. Rumieni się. Płonie mu twarz, płonie coś w klatce piersiowej i w dole brzucha. Ma nadzieję, że Fela w ciemnościach tego nie dostrzeże.

– Nie, a ty? – bąka.

– Nie...

– A chciałabyś?

Felusia pragnie tego jak niczego innego na świecie. Pragnie poczuć usta Bronka Liebermana, jego język, dłoń na rozgrzanej skórze. Zamyka oczy.

W oczekiwaniu rozchyła wargi. Broniek przysuwa się bliżej i Fela czuje przy sobie ciepło chłopięcego ciała, i czuje, jak to ciepło się w nią przelewa. Wypełnia od środka. Broniek przygarnia ją ramieniem. Broniek drży i drży lipcowa noc.

Dotyka ustami dziewczęcych ust – delikatnie. Wsuwa w nie język – niespiesznie. Fela pachnie rumiankiem i smakuje czekoladowymi cukierkami od Fuchsa, słodyczą całego świata.

Nieznana dotąd rozkosz rozplywa się leniwymi impulsami po ciele obojga... I to jest właśnie ten moment, jedyny, najważniejszy, w którym wszystko się zaczyna i kończy.

Fela odrywa się na moment od Bronka, chwytając jego rękę, wsuwa sobie pod bluzkę i kładzie na piersi, tam, gdzie bije jej serce, po czym zagląda mu w oczy:

– Teraz należę do ciebie, a ty należysz do mnie.

2

- Teraz należysz do mnie.
- Tak.
- Zrobisz dla mnie wszystko, o co poproszę.
- Tak.
- Rozbierz się, chcę na ciebie patrzeć.
- Tak...

Dzisiaj nie rozumiem, czemu z taką łatwością, już od pierwszej nocy poddawałam się jego woli, lecz wtedy nie pragnęłam niczego ponad to.

*

Tamte dni były jak emocjonalny rollercoaster, jak seria wybuchów na Księżycu, które na zawsze miały pozostawić we mnie kraterę wspomnień.

Na uczelni nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, przysypiałam na wykładach, z nikim nie rozmawiałam. Parę razy wpałam na korytarzu na Justynę. Namawiała, żebyśmy się przeszły na piwo, ale wykręcałam się nawałem nauki.

Trwałam w amoku, prawie nie jadłam – nie czułam głodu – i jedyne, o czym myślałam, to aby czym prędzej znów znaleźć się na Belgijskiej. Miłosz przyjeżdżał każdego dnia po południu. Dopadał mnie już w przedpokoju, opierał o drzwi, rzucał na podłogę. Zachowywaliśmy się jak szaleńcy, jak zwierzęta, godzinami nie mogąc się sobą nasycić. Pieprzyliśmy się bez zahamowań, do utraty tchu, do fizycznego bólu: do obtarć, siniaków, zadrapań, do krwi.

Dopiero w środku nocy, gdy w miłosnym interludium opadaliśmy z sił, miałam chwilę, by lepiej go poznać. Pijąc wino, prowadziliśmy długie rozmowy.

Mój dziki pan Hyde stawał się na powrót doktorem Jekylllem, wykładownicą z polibudy o godnym pozazdrośczenia CV. I w tym wydaniu wydawał mi się równie zachwycający co w momentach spędzanych na kuchennym stole, pod

prysznicem i na podłodze. Wiedział wszystko. O wszystkim. Mówił, że nie lubi Mozarta, pogardza Debussym i kocha Rachmaninowa – zwłaszcza z okresu przedrewolucyjnego. Z równym znanstwem rozprawiał o ewolucji jednolitego języka modelowania systemów informatycznych, co o Arystotelesowskiej krytyce metafizyki Platońskiej. Potępiał nihilizm, afirmował kult siły – siły intelektu i siły nabywczej. Znał się na historii i polityce, na sztukach walki i białej broni. Interesował się rekonstrukcją w kontekście drugiej wojny światowej, a szczególnie umundurowaniem oraz uzbrojeniem Waffen-SS i Wehrmachtu. O starych samochodach opowiadał, jakby były ludźmi.

Wydawał mi się półbogiem, kimś w pewien sposób nieprawdopodobnym, żywcem wyjętym z filmu albo książki. Był zabójczo inteligentny, a przy tym fizycznie doskonały – muskularny, silny – przypominał mi rzeźby Myrona. A do tego zupełnie świadomy swojego męskiego uroku. W przeciwieństwie do mnie nie miał kompleksów. Niczego się nie bał. Mówił, co myślał: przede wszystkim, że bardzo mnie pragnie i że do niego należę. Mówił tyle, ile trzeba.

Ja także musiałam wreszcie pomówić. Z Piotrkim. Nie należało dłużej z tym zwlekać. Było jasne, że między nami koniec. Zbierałam się do tego od dwóch tygodni. Przez cały ten czas wydzwaniał i pytał, czy coś się stało; dlaczego unikam go na uczelni, dlaczego nie przychodzę do akademika, gdzie się, u licha, podziewam?! Zwodziłam go, bo nie potrafiłam zakończyć naszego związku przez telefon, byłam mu winna wyjaśnienie.

Umówiliśmy się kilka dni później, zaraz po zajęciach, nieopodal metra Politechnika, w modnym barze o nazwie Barock Café, który dzisiaj już nie istnieje.

Gdy weszłam, siedział przy stoliku w głębi sali. Wysoki, tyczkowaty, przydługie ciemne włosy opadały mu na twarz. Oprócz niego w środku było tylko kilka osób. Wąsaty barman pozdrowił mnie z daleka. Od kiedy zaczęło mi się lepiej powodzić, bywałam tu częstym gościem. Pierwszy raz zajrzałam przypadkiem. Zaintrygowała mnie kartka na drzwiach informująca, że „tutaj obsługa obraża gości”. Nie mogłam oprzeć się pokusie.

Oprócz studenciaków kręciły się tu różne typy spod ciemnej gwiazdy. Na zapleczu dobijano brudnych interesów, prano kasę, a na parapecie w kiblu, o której godzinie by nie zajrzeć, widniały smugi po proszku. Jednak barmani

znali się na swoim fachu i lubiłam z nimi gadać. Piotrek nie podzielał moich sympatii, uważał, że to straszne buce, i niechętnie spotykał się ze mną w tym miejscu.

Pewnie dlatego zamiast usiąść przy barze, zaszył się w najciemniejszym kącie knajpy.

– Spóźniłaś się – stwierdził lakonicznie znad notatek, które walały się na stoliku.

Zdjęłam płaszcz i przerzuciłam go przez poręcz krzesła. Nachyliłam się, żeby pocałować go na powitanie. Nadstawił usta, ale zrobiłam unik i musnęłam go w policzek. Spojrzał na mnie zdziwiony.

– Co jest, Nina?

Opadłam ciężko na krzesło i rozartałam zgrabiące dłonie – na dworze wciąż wiosna toczyła walkę z zimą. Nie wiedziałam, jak zacząć. Nie kochałam go, a jednak był mi bliski; chciałam zachować się po ludzku i wyjaśnić mu wszystko jak najdelikatniej.

– Spotkałem wczoraj Justę. Chwilę gadaliśmy. Twierdzi, że ją też olewasz. Co się dzieje? Powiesz wreszcie?

– Piotruś...

– Zrywasz ze mną, tak? To stąd te uniki. – Nie pozostawiając mi czasu do namysłu, z miejsca przypościł atak.

– To nie tak – wybąkałam, zbierając myśli.

– A jak?

– Po prostu wydaje mi się... że to nie ma sensu.

– Pieprzenie. Jest ktoś, prawda?

– Słucham?

Zawsze uważałam, że zamknięty w świecie logiki i naukowego konkretnego Piotrek ma problem z recepcją cudzych emocji, a jednak wystarczyła chwila, żeby mnie rozgryzł. Byłam zaskoczona jego przenikliwością.

– Bzykasz się z kimś, prawda?

Był natarcywy, oschły. Nie poznawałam go.

– Nie mów do mnie w ten sposób.

– A ty nie rób ze mnie idioty. Czuję, że mnie zdradzasz. Kto to jest?

Milczałam.

– Może ten Krajewski, co? Ten nowy doktorek. Taki napakowany, przy kasie podobno, wozi się volviakiem.

– Co ty pleciesz, skąd ten pomysł? – Zimny pot spłynął mi po plecach.

– Justyna mi powiedziała. Jeden koleś z jej grupy widział, jak wsiadasz do samochodu Krajewskiego po zajęciach. Dlatego pytam: to on?

Chciałam mu powiedzieć. Naprawdę chciałam. Uważałam, że jestem mu to winna, lecz ton jego głosu i wrogość kryjąca się pod słowami sprawiły, że się zacięłam.

– Nie, to nie on – odparłam twardo, zerkając w stronę baru.

Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby barman zrozumiał, że wpadłam w tarapaty. Odwrócił się w stronę zastawionej butelkami półki, chwycił mojego ulubionego burbona – na którego z powodu ceny pozwalałam sobie niezmiernie rzadko – i napełnił szklankę. Nalał od serca. Jeden z kelnerów, przyszczyt chudzielec w za luźnej marynarce, przyniósł mi alkohol do stolika. Bursztyn zalśnił obietnicą spokoju na załamaniach szkła. Od razu pociągnęłam łyk. Musiałam odzyskać kontrolę nad tą sceną.

– Krajewski wyświadczył mi uprzejmość i po prostu podrzucił do roboty. Jechał w tym samym kierunku. Zresztą... nieważne. To nie twoja sprawa.

Piotrek patrzył mi prosto w oczy.

– Nie wierzę ci.

– Nie musisz.

Przełknął ślinę. Jabłko Adama przesunęło się na jego chudej, żylastej szyi.

– Jak mogłaś mi to zrobić? Sądziłem, że ty, że my...

– Naprawdę mi przykro.

– Jesteś, kurwa, taka sama jak wszystkie. – Zaczął w pośpiechu zbierać rozłożone na stoliku notatki i wpychać je do plecaka.

– To znaczy jaka?

– Taka jak wszystkie dupy z kompleksem prowincji. Poczulaś trochę kasy i zapragnęłaś czegoś więcej, nie? Ja przestałem ci wystarczać. – Wstał od stolika. Przez chwilę szarpał się z kurtką, wreszcie ją założył. Zarzucił plecak na ramię i znowu na mnie spojrzał. W jego oczach rozczarowanie mieszało się z pogardą. –

A ja, idiota, myślałem, że jesteś inna. Więcej warta. Że masz zasady. No powiedz, na co poleciałaś? Na kasę, na fajną furę? A może po prostu ma wielkiego kutasa?

– Przeginasz.

– Nie, Ninka! To ty przegięłaś. Ja pierdołę, naprawdę jesteś... – Zawahał się.

– Byłaś dla mnie ważna. Myślałem... W zasadzie nie wiem, co sobie myślałem.

Wyprostował się, wsunął ręce w kieszenie, jakby jeszcze na coś czekał.

Siedziałam w zupełnym bezruchu. Nie potrafiłam wykonać najmniejszego gestu. Byłam wściekła, a z drugiej strony wiedziałam, że ma rację. Czułam wstyd.

– Przepraszam – wydukałam, opuszczając głowę.

Wzruszył ramionami.

– Twój wybór, kiedyś będziesz tego żałowała.

Odrzucił się na pięcie i ruszył do drzwi. Trzasnął nimi z taką siłą, że przez chwilę bałam się, iż wypadnie z nich szyba. Ale nie wypadła. W zasadzie nic się nie stało. Świat się nie zawalił. Może tylko duma własna trochę ucierpiała. Kilka osób przy pozostałych stolikach zerkało w moją stronę z zaciekawieniem. Wszystko słyszeli. Teraz w środku gniotło mnie upokorzenie. Wyjęłam z torebki telefon i napisałam wiadomość do Miłosza. Pragnęłam tylko, żeby mnie stąd zabrał. Natychmiast. Czułam się podle i nie chciałam wracać do pustego mieszkania. Wklepałam esemesa, po czym zgarnęłam z oparcia swoje rzeczy, chwyciłam szklankę i powlekłam się nogą za nogą do baru.

Wąsaty chciał coś powiedzieć, lecz powstrzymałam go gestem dłoni.

– Zaraz. – Dopiłam resztę alkoholu.

Palilo mnie w przelyku. Chciało mi się wyć. A przecież byłam wolna, postawiłam na swoim. Nie wiem, może myślałam, że Piotrek zachowa się inaczej, poprosi, żebym nie odchodziła, że wybaczy zdradę i wszystko będzie jak dawniej. Ale właściwie nie chciałam, żeby było jak dawniej. Sama nie wiem, czego chciałam. I kim byłam.

Zanurzyłam nos w szaliku, który oplątywał moją szyję. Nie pachniał mną. Pachniał Miłoszem. Jego ciałem i ostatnimi dwoma tygodniami, które spędzaliśmy w łóżku; wszystkimi tymi obscenicznymi, podniecającymi rzeczami, które robiłam po raz pierwszy w życiu.

Barman odczekał jeszcze chwilę. Wreszcie chwycił butelkę i ponownie napełnił mi szklanę.

– Nie powinnam.

– Na koszt firmy.

Znowu pociągnęłam haust. W gardle mnie zapiekło, aż oczy mi zaszyły łzami. Wyjęłam z torebki papierosy. Barman, szybko niczym rewolwerowiec, dobył z kieszeni kamizelki zapalniczkę.

– Wiesz, co się stało? – zapytałam, zaciągając się dymem.

– Kopnęłaś tego nudziarza w dupę, to się stało.

– Nie mów tak. Jednak przez prawie dwa lata byliśmy razem.

– Dziewczyno, co to są dwa lata? Ja z moją starą rozwiodłem się po trzynastu latach małżeństwa.

– Przykro mi.

– A mnie nie. Tylko dzieci szkoda. Zostały z nią. Że niby z matką im będzie lepiej. A ona jest zdrowo pieprznięta. – Wymownie zakręcił palcem przy głowie. – Swego czasu jarała sporo zielska, jebana królowa dancingu. Może od tego mózg jej się zlasował? Zresztą co ci będę mówił. W tym kraju sąd zawsze przyzna opiekę matce, nawet byłej ćpunce. Widziałaś film z Bogusiem Lindą, ten, no...

– Tato?

– Właśnie! To ja jestem taki tato. I to jest, kurwa, prawdziwy dramat, a nie takie tam rozstanie, i to z chłopczykiem bez jajec, bez ikry, który zupełnie do ciebie nie pasował. Pizda taka. Masz, mała, całe życie przed sobą, tego kwiatu jest pół świata, jak to mówią, i na pewno znajdzie się inny.

– Gwoli prawdy, już jest inny.

– To czym się martwisz? Będzie dobrze.

– Pewnie tak...

Mówiąc to, kątem oka spostrzegłam, że pod przeszkloną ścianą parkuje zielone volvo. Nie spodziewałam się Miłosza tak szybko. Od razu poczułam ulgę.

Zgasił silnik i wysiadł z samochodu, lecz widocznie nie zamierzał wchodzić do baru, bo zamiast tego oparł się o maskę i czekał. Machnęłam mu i zaczęłam się zbierać do wyjścia.

Barman zmarszczył czoło.

– To ten twój nowy? Ten przy furze jak z Otrębusów?

Uśmiechnęłam się nieco zakłopotana, zeskakując z hokera i gasząc niedopałek w popielniczkę.

– Tak.

Wąsacz zmarszczył brwi, wbił spojrzenie w kontuar i zaczął go nerwowo przecierać, jakby nagle przypomniał sobie o przepisach BHP.

– Hej, co się dzieje? Znasz go? – Jego zachowanie mnie zaintrygowało.

– Nie – odrzekł głucho. – Ale uważaj na siebie. Dobrze ci radzę.

Może powinnam była zapytać, o co mu chodzi, skąd ta nerwowa reakcja, jednak w tamtej chwili nic nie miało znaczenia. Był tylko Miłosz. To, co się między nami działo i co jeszcze mogło się stać. Cała reszta przestała się liczyć.

Nie oglądając się za siebie, wybiegłam na dwór. Miłosz otworzył mi drzwi.

– Wsiadaj – rzucił zamiast powitania.

Szybko okrążył samochód i zajął miejsce za kierownicą.

– Co się stało? – zapytał z grobową miną. – Pisałaś, że potrzebujesz pomocy. Musiałem się urwać z ważnego spotkania.

– Czy możesz mnie zawieźć do domu? Wyłumaczę ci wszystko po drodze.

– Dobrze. Ale na przyszłość... nie chcę, żebyś była w takich miejscach. I nie lubię, gdy palisz, rozumiesz? – Wrzucił bieg. Ruszyliśmy z piskiem opon.

*

Przed świtem zbudził mnie zły sen. Miłosz spał obok, oddychając miarowo.

W szarówce poranka przyglądałam się tatuażom zdobiącym jego plecy. Groźne smoki i węże pełzały wypukłościami i zagłębieniami mięśni – kłóciły się z wizerunkiem wykładowcy, naukowca, chociaż w nieoczywisty sposób do niego pasowały. Dotąd go o nie nie zapytałam, nie miałam śmiałości, a on także milczał na ich temat. Może kiedyś mi o nich opowie? – pomyślałam, przyzymkając oczy. Przywarłam ciałem do pleców Miłosza; węże z jego skóry przepelzły na mnie i oplotły mnie swoim ciepłem. Znowu zapadłam w sen. Tym razem nic mi się nie śniło.

*

– Mój ojciec był lekarzem, ale od lat nie żyje.

– A matka?

Miłosz wymownie zaplótł ręce na piersi, jakby chcąc się ochronić przed moim wścibstwem.

– Matka odwrotnie.

– To znaczy...? – Uśmiechnęłam się zakłopotana, nie rozumiejąc, co ma na myśli.

– Matka nie jest lekarzem, ale żyje.

– Mieszka w Warszawie? – drążyłam.

– Nina, daj spokój. Czy to dla ciebie takie ważne?

– Ważne. Chciałabym wiedzieć o tobie jak najwięcej. Najlepiej wszystko.

– I wiesz wszystko.

– A jednak nie wiem, kim jest twoja matka. Jak się nazywa. Ty wiesz, gdzie mieszka moja i że ma na imię Barbara, i że jest zgorzkniałą nauczycielką, która nienawidzi uczniów.

– Ale ja ze swoją nie utrzymuję kontaktów. I w ogóle nie lubię o tym rozmawiać.

– Miłosz...

– Ma na imię Mariola. Chociaż nie – poprawił się – nie tyle ma tak na imię, ile jest Mariolą. Jest kwintesencją tego imienia. Mieszka w Aninie przy III Poprzecznej, kiedyś była pielęgniarką, a teraz jest na emeryturze. Nie wiem, czy lubiła swoją robotę. Może tylko robienie zastrzyków? – Wyszczrzył zęby w szatańskim uśmiechu. – A teraz kocha brazylijskie telenowele i ma pierdolca na punkcie kotów. A ja nie lubię kotów i taniego melodramatu, dlatego u niej nie bywam. Usatysfakcjonowana?

Nie byłam usatysfakcjonowana, jednak zamknął mi usta pocałunkami, kończąc dyskusję.

Rozmowy o jego przeszłości za każdym razem wyglądały tak samo: gdy próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej, zmieniał szybko temat, twierdząc, że jego życie, zanim mnie poznał, było nudne, schematyczne i nieciekawe. Najpierw chodził do szkoły na peryferiach Warszawy, potem studiował na polibudzie, na tym samym wydziale co ja, wreszcie wyjechał na stypendium na kilka lat za

granicę, a teraz wrócił. Nigdy nie był w poważnym związku, nie miał zbyt wielu przyjaciół, bo na życie towarzyskie brakowało mu czasu, a całą młodość poświęcił karierze.

Zbywał mnie, ale w tamtym czasie uważałam, że to bardzo romantyczne – cała ta otoczka tajemniczości i niedopowiedzeń. Czułam się trochę jak Jane Eyre, a on najwyraźniej dobrze się bawił, wchodząc w rolę Rochesterera. Pociągała mnie ta dwuznaczna gra i wierzyłam, że z czasem dowiem się wszystkiego, co chcę. Mieliśmy przecież mnóstwo czasu, całe życie przed sobą...

W zasadzie nasza historia niczym się nie różni od wszystkich historii toksycznych związków tego świata. Na początku była sielanka i zmysłowy szal, więc nic mi nie przeszkadzało. Ani to, że Miłosz skąpo dawkował informacje na swój temat, ani to, że do momentu ukończenia studiów, czyli przez kolejny rok, musieliśmy się ukrywać. Nie martwiło mnie nawet, że związek z Miłoszem w pewien sposób odizolował mnie od otoczenia. Nie dość, że spędzałam z nim każdą wolną chwilę, to jeszcze studiowałam u niego – został nawet moim promotorem. Pracowałam w miejscach, które mi załatwił. Mówił, że to firmy jego znajomych, ale z czasem zorientowałam się, że przeważnie jest ich właścicielem lub co najmniej współdziałowcem. Kontrolował mnie na wszystkich płaszczyznach życia, a ja uważałam, że tak jest dobrze. Wreszcie dla kogoś byłam ważna. Najważniejsza. Ktoś o mnie dbał, ktoś za mnie myślał, decydował, ktoś mnie chciał taką, jaką byłam, ktoś mnie pożądał.

Właściwie pozrywałam wszelkie kontakty z rówieśnikami – bez bólu zresztą, bo grono moich warszawskich znajomych nigdy nie było specjalnie liczne ani interesujące. Od czasu do czasu spotykałam się jeszcze z Justyną, ale tajemnica, której nigdy jej nie wyjawiałam, nie wpływała korzystnie na nasze relacje. Justa podejrzewała, że ktoś jest, i miała mi za złe, że nie chcę z nią na ten temat rozmawiać. Przestałam gdziekolwiek bywać, z kimkolwiek się spotykać. Wymawiałam się nawałem pracy, pisaniem magisterki. Miłosz wymagał ode mnie dyskrecji – nikt, szczególnie na uczelni, nie mógł się zorientować, że tworzymy parę, toteż obsesyjnie ukrywałam prawdę. A żeby przypadkiem czegoś nie chlapnąć, po prostu wolałam się alienować.

Miłość do Miłosza rekompensowała mi wszystko. On rekompensował wszystko. Był wymagającym, ale zarazem bardzo szczodrym partnerem. Potrafił

niespodziewanie, w środku tygodnia porwać mnie do Paryża, Rzymu czy Barcelony; taką zwykłą mnie – biedną, zakompleksioną dziewczynę z Jugowa, która w wieku dwudziestu paru lat pierwszy raz leciała samolotem. Potrafił bez okazji przysłać mi tuzin róż albo sukienkę od znanego projektanta, której sama nigdy bym nie kupiła, a którą on zrywał ze mnie bez sentymentu jeszcze tej samej nocy. Czułam się wyjątkowa, czułam się jak królewna z bajki. Miłosz ofiarował mi życie jak z filmu, w którym nie było wstydu i granic. Przynajmniej na początku.

Pozwoliłam mu decydować o wszystkim. Może dlatego, że od zawsze brakowało mi męskiego pierwiastka, silnego patriarchalnego wzorca, jednym słowem: ojca? Dlatego kontrolę myślałam z opieką. Obsesję i erotyczne uzależnienie z miłością.

Ignorowałam wiele rzeczy, które powinny były mnie zastanowić. Bagatelizowałam wszelkie przejawy aberracji, jak choćby ten, że Miłosz nigdy nie powiedział wprost, że mnie kocha. Zjawiał się u mnie, kiedy chciał, i zostawał tak długo, jak mu było wygodnie – jakby ze mną był i równocześnie nie był. Związek bez związku. Czasami nie pojawiał się na Belgijskiej przez tydzień, czasem przez dwa, a potem pomieszkiwał codziennie. Jego szczoteczka do zębów zawsze czekała pod lustrem w łazience. W szafie miał zapas wyprasowanych koszul. Kolacja dla dwojga mroziła się w lodówce. W sypialni ja – zamrożona, napięta – wyglądałam jego przyjścia. Zawsze byłam gotowa. Włosy uczesane, nogi ogolone, pod dzinsami seksowna bielizna – na wszelki wypadek. Tymczasem on, mimo mijających miesięcy, nadal nie składał żadnych wiążących deklaracji, nie starał się zdefiniować statusu naszej relacji. I nie pozwalał, żebym zajrzała w jego codzienny świat. To dlatego tak doskonale pamiętam, kiedy jeden jedyny raz zabrał mnie do siebie. Byliśmy już wtedy razem od ponad pół roku.

Warszawa nie wyglądała wtedy jak dzisiaj. Unijne dotacje dopiero zaczęły sphywać do Polski. Bazarową przaśność z wolna wypierała prawdziwa nowoczesność. Pomiedzy blokowiskami z wielkiej płyty, skwerkami i starymi kamienicami wyrastały pierwsze strzeżone osiedla. W takim właśnie miejscu rezydował na co dzień Miłosz. Nigdy wcześniej u niego nie byłam, zawsze to on przyjeżdżał do mnie. Mówił, że lubi klimatyczne kamienice, jak ta moja, park za oknem, skrzypienie wypaczonych klepek, paprotki na klatce schodowej i muzykę

grającą w porzewiałych rurach. Kiedy nalegałam, żeby pokazał mi, jak mieszka, tłumaczył, że nie miał czasu się urządzić i wciąż żyje na walizkach – apartament w prestiżowej lokalizacji kupił zaraz po powrocie ze stypendium, a potem poznał mnie i zaniedbał tę sprawę.

Jednak przyszedł wreszcie dzień, gdy zabrał mnie do swojego mieszkania. Miał nocować na Belgijskiej, ale zapomniał jakichś papierów, których następnego dnia potrzebował na ważne spotkanie. Pojechaliśmy razem. Naturalnie byłam przygotowana, że Miłosz nie waletuje jak ubogi naukowiec w byle norze, jednak przepych budynku i tak mnie zaskoczył. Dookoła królowały szkło i stal, piaskowce, granity i egzotyczne drewno. Zaraz przy wejściu, wychyliwszy się zza marmurowego pulpitu, przywitał nas konsjerż w eleganckim uniformie. Czapkował nam, jakby witał brytyjską parę królewską. W miniaturowej fontannie zajmującej centralne miejsce holu szemrała woda, a z ukrytych głośników sączyła się nastrojowa muzyka relaksacyjna, zupełnie jak z seansu u Kaszpirowskiego. Nigdy nie byłam w takim miejscu. Widywałam je wyłącznie w amerykańskich filmach o klasie średniej, gdzie Pięta Aleja, ciuchy od Prady i seksy w wielkim mieście były na porządku dziennym, i nie zdawałam sobie sprawy, że podobne Bizancjum istnieje tuż obok mnie, w październikowej, postkomunistycznej Warszawie.

Widocznie musiałam mieć nietęgą minę, bo gdy tylko znaleźliśmy się sami w windzie, Miłosz rzucił z nonszalanckim uśmiechem:

– Zaskoczona? To nic wielkiego. Po prostu dobra inwestycja. Nie minęło pół roku od zakupu, a wartość mieszkań w tym budynku podskoczyła o kilkanaście procent. Co drugie zajmuje jakiś synek czy córeczka polityka, bananowe byle co, albo młode wilczki i dziewczyny do towarzystwa. Nuworysze. Spraszają znajomych, a potem rzygają przez balkon albo do fontanny na dole. Dymają się w basenie i w saunie.

– Masz tu basen i saunę?

– I sałę do fitnessu, i bilard. Pod ziemią. Ale tam nie bywam. Wiesz, Nina, że śmiesz mi taka pusta, nowobogacka ostentacja.

– Ale jednak tu zamieszkałeś.

– Pragmatyzm. Miałem trochę środków i uznałem, że to dobra lokata kapitału. Za jakiś czas sprzedam to w diabły z dużym zyskiem...

Trochę środków i lokata kapitału? Dzieci polityków, ekskluzywne *call girls* i rzyganie do fontanny...? Przebyłam długą drogę w zmywaniu z siebie miazmatów Jugowa, ale wciąż daleko mi było do takiego świata. I raczej nie czułabym się w nim dobrze.

Cyfrowy wyświetlacz nad drzwiami pokazywał kolejne mijane piętra: pierwsze, drugie, trzecie... Miłosz uśmiechnął się zagadkowo. Zdałam sobie sprawę, że gdy tu weszliśmy, nie wcisnął żadnego guzika – w windzie oprócz przycisku alarmowego nie było innych, a gdy drzwi się zamknęły, po prostu od razu pojechaliśmy do góry. Uchwycił moje spojrzenie.

– To winda do mojego wyłącznego użytku.

– Jak to?

– Mieszkam na samej górze, tam jest tylko jeden apartament.

– Penthouse? Masz penthouse?

– Jak zwał, tak zwał, przecież to tylko mieszkanie na ostatnim piętrze. – Wciąż rozbawiony wzruszył ramionami.

Na wyświetlaczu pojawiła się dziesiątka. Winda się zatrzymała i jej drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Miłosz zapraszającym gestem puścił mnie przodem. Weszłam do środka ostrożnie, jakbym wkraczała do jaskini lwa.

To nie było zwykłe mieszkanie. To w zasadzie w ogóle nie było mieszkanie, tylko gigantyczna opustoszała przestrzeń, zlewająca się w jedno z panoramą Warszawy, która rozciągała się za oknami zajmującymi cały jeden bok apartamentu. Różowe światło zachodzącego słońca pełzało po wyłożonej jasnym granitem podłodze. Nasze kroki poniosły się echem po pustych powierzchniach ścian białego sarkofagu.

W ogromnym pomieszczeniu, po którym bez trudu można by jeździć rowerem i gdzie tylko łazienki zostały wydzielone z części dziennej, znajdowało się zaledwie kilka sprzętów. W kącie leżał materac, na nim rozgrzebana pościel, obok, na podłodze, stała niewielka lampka nocna, a nieopodal stara szafa z rzeźbionymi drzwiami – zbyt ciężka, rustykalna, kompletnie niepasująca do otoczenia. W przeciwległym rogu piętrzyły się nierozpakowane pudła, walizki oraz kilka przyrządów do ćwiczeń: ławka, sztanga, bieżnia, wiosła. A między tym wszystkim przycupnęło proste biurko z Ikei, na którym rezydował komputer. Dookoła walały się książki, porozrzucane bez ładu i składu, to tu, to tam; pozycje

naukowe, powieści, rozprawy filozoficzne, komiksy. Nigdzie nie zauważyłam kuchni ani niczego, co mogłoby pozwolić na przygotowanie posiłku. Ani jakichkolwiek normalnych przejawów codziennej egzystencji: puszek po wypitym piwie, pudełek po pizzy, brudnych gaci. Niczego.

– Naprawdę tu mieszkasz?

Miłosz podszedł do drzwi balkonowych prowadzących na taras. Rozsunął je. Do środka wpadł miejski szum z dołu i powiew chłodnego wieczornego powietrza znad mokotowskiej skarpy.

– Nie mieszkam, tylko czasami śpię. Mówiłem ci, że nie ma tu nic ciekawego – odparł grobowym głosem, odwracając się do mnie powoli. Miał dziwny wyraz twarzy. Już się nie uśmiechał. Włożył ręce w kieszenie. – Jak widzisz, żyję dość ascetycznie.

– Bardzo po kawalersku. Świetna kawalerka... – Staralam się zażartować, ale wcale nie było mi do śmiechu.

To mieszkanie nic nie mówiło o swoim właścicielu. A właściwie mówiło o nim aż za dużo. Dwie rzeczy przychodziły mi na myśl: Miłosz musiał być albo bardzo samotny, albo wyjątkowo ekscentryczny. Apartament na pewno kosztował majątek, ale abstrahując od tego, czy tak młody facet mógł dojść do podobnych pieniędzy w legalny sposób, to ktoś, kto kupuje penthouse na strzeżonym osiedlu, zwykle chce nim zaimponować, chce pokazać światu, na co go stać. Zatrudnia dekoratora wnętrz, wydaje fortunę na lampy Philippe’a Starcka i fotele Barcelona, a potem sprasza znajomych na niekończącą się imprezę. Rzyga do fontanny i pieprzy się w basenie. Miłosz tymczasem żył na dwustu metrach jak mnich czy też jak harcerz na obozie survivalowym – jakby naprawdę niewiele potrzebował do życia albo bał się zostawić tu swój ślad, zapłacić przestrzeń artefaktami, które by go w jakikolwiek sposób definiowały. A może demaskowały?

Czułam się tu nieswojo, trochę jak w prosektorium, przytłoczona pustką i bezmiarem bieli.

Wyczuł to. Podszedł, położył dłoń na mojej szyi, kciukiem uniósł mój podbródek i popatrzył mi przenikliwie w oczy. Niby nie działa się nic nadzwyczajnego, a jednak jego spojrzenie, jego chłodne zachowanie i milczenie napawały mnie lękiem. Pierwszy raz po prostu bałam się Miłosza. Przez ułamek

sekundy widziałam w nim Patricka Batemana, psychopatycznego mordercę z filmu *American Psycho*, na którym jakiś czas temu byłam w kinie; niezmiernie przystojnego młodego *yuppie* z Wall Street, skrywającego pod garniturem od Hugo Bossa brzydkie skłonności.

Uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem przy Miłoszu krucha. Jak łatwo mógłby mi zrobić krzywdę. Gdyby mnie uwięził w gdańskiej szafie albo poćwiartowaną zwiózł do garażu prywatną windą, a potem wyrzucił do Wisły, nikt nigdy by się o tym nie dowiedział. Nikt nie powiązałby zdolnego, choć introwertycznego doktora informatyki ze zniknięciem niepozornej studentki. Nawet matka nie wiedziała o moim nowym związku; wyznałam jej tylko, że nie jestem z Piotrkim. Oczywiście dziwiła się, że tak nagle z nim zerwałam, ale ona dziwiła się wszystkiemu, co robię.

W każdym razie nikt nie wiedział, gdzie teraz jestem. Byłam zdana wyłącznie na Miłozsa.

Wciąż stał nade mną w bezruchu. Dużo ode mnie wyższy, potężny, wystarczyło, żeby mocniej zacisnął dłoń na mojej szyi, a pozbawiłby mnie oddechu, zgniółłby jak robaka. Oczywiście nie zrobił niczego podobnego. Wyobraźnia mnie ponosiła – może to przez te puste, martwe przestrzenie wokół? Może przez gasnący nad Warszawą dzień, spływający krwawo po kredowych ścianach apartamentu?

Przyciągnął mnie do siebie ramieniem i pocałował szybko, zachłannie.

– Teraz znasz moją tajemnicę – wymruczał mi do ucha.

Poczułam bijące od niego ciepło i napięcie zaczęło opuszczać moje ciało. Miękkłam w jego uścisku. Zaś on na moją bliskość zareagował podnieceniem. Czulałam, jak twardnieje. Jego ręce zaczęły sunąć po moich plecach, pośladkach.

– Tajemnicę? – Przymknęłam oczy.

– Sądziłaś, że nie zapraszam cię tutaj, bo coś przed tobą ukrywam. Jestem Sinobrodym, który morduje kochanki i zamurowuje je w ścianach. Tymczasem prawda jest zupełnie banalna: mimo wielu swoich talentów kompletnie nie znam się na urządzaniu wnętrza.

Słyszałam uśmiech w jego głosie. Trywializował obawy, które wyczytał z mojej twarzy, i próbował obrócić je w żart. Drwił z nich. Ze mnie. Ale było

w tej pozie coś sztucznego. Czułam jego napięcie, zdenerwowanie. Wkroczyłam w intymność Miłosa, naruszyłam jego strefę komfortu. Zobaczyłam za dużo.

Popchnął mnie na ścianę – uderzyłam w nią z takim impetem, że przeszył mnie ból. Syknęłam, ale zignorował to. Szarpnął mnie za ramię i obróciwszy tyłem do siebie, przygwoździł ciałem. Wsunął rękę pod sukienkę i jednym ostrym szarpnięciem zerwał majtki. Nie mogłam się ruszyć, nie mogłam oddychać, byłam podniecona i przerażona zarazem. Czułam na policzku chłód tynku, a za plecami jego niecierpliwe ruchy. Nie próbowałam się bronić, a on nie starał się być delikatny. Wszedł we mnie bez czułości, mocno, głęboko. Z furią rytmicznie przygniatał do ściany. Bywał już brutalny – i nie ukrywam, to także mnie w nim pociągało – ale zawsze wiedziałam, że to tylko część konwencji, naszej miłosnej gry. Teraz odnosiłam wrażenie, że przekraczaliśmy jakąś niebezpieczną granicę. On ją przekraczał, nie dając mi szansy, żebym zaprotestowała.

– Chciałaś mnie poznać? Chciałaś prawdy o mnie? – dyszał mi w szyję. – To teraz znasz prawdę. Jestem właśnie taki, tylko taki...

*

Był późny wieczór. Siedziałam sama w mieszkaniu. Miłosz wyjechał gdzieś służbowo, wiedziałam, że nie pokaże się przez kilka kolejnych dni. Za oknem przószył śnieg. Grudzień okazał się wyjątkowo zimny. Od tygodnia trzymał potężny mróz, zaskakując drogowców, kierowców, a nawet malkontentów twierdzących, że kiedyś, nie to co teraz, bywały takie zimy, że na kasztance saniami przez Bałtyk szło jechać! Ale szczerze mówiąc, ja także nie pamiętałam podobnie syberyjskiej aury za mojej bytności w Warszawie. Dzieciarnia całe dnie szalała w zaspach w parku. Sklepy i ulice oblepił świąteczny kicz. W programie informacyjnym dziewczyna o hipnotyzującym spojrzeniu i imieniu Anita relacjonowała obchody rocznicy wprowadzenia stanu wojennego.

Siedziałam przy komputerze, gdy rozdzwoniła się komórka. Spojrzałam na wyświetlacz: mama. W pierwszym odruchu chciałam zignorować telefon i dokończyć pracę – ślęczałam nad ważnym projektem – jednak wrodzona uległość wobec matki kazała mi odebrać; zwłaszcza że nie rozmawialiśmy od jej imienin, które obchodziła na początku miesiąca.

Wyłączyłam telewizor i chwyciłam aparat.

– Tak?

– W Warszawie też tak pada? U nas istne pandemonium, nie nadążam z odśnieżaniem przed domem – zaczęła od czapy.

– Mama?

– Przecież ci się wyświetliłam, to czemu pytasz? Chociaż nie rozumiem, po co komu ta identyfikacja numeru, nie podoba mi się ten dzisiejszy brak anonimowości, wszyscy o wszystkich muszą wszystko wiedzieć... Obudziłam cię?

– Ależ skąd.

– Masz taki dziwny głos.

– Cały dzień siedzę przed monitorem, z nikim nie rozmawiam, to pewnie dlatego.

– Piszesz pracę magisterską?

Matka jak nikt inny potrafiła wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia. Jakby miała trzecie oko i wiedziała, że w kwestii magisterki jestem w lesie. Codziennie obiecywałam sobie, że zabiorę się do niej jutro, jednak do obrony miałam jeszcze kilka miesięcy, więc owo jutro ciągle przesuwało się na bliżej niesprecyzowane pojutrze. Nie ma co ukrywać, że brało się to z tego, że sypiałam z promotorem i wiedziałam, że mogę oddać pracę w ostatniej chwili. I tak, wiem, że to bardzo nieładnie...

– Właśnie kończę pisać rozdział – skłamałam i momentalnie poczułam się paskudnie. Byłam dorosła, od dawna mieszkaliśmy osobno i co najmniej dwa lata temu usamodzielniałam się finansowo, a jednak wciąż czułam wobec niej respekt. Odruchowo wyprostowałam się na krześle.

– To dobrze. To ważne. Dyplom jest ważny. Będę o ciebie spokojniejsza, kiedy zdobędziesz wykształcenie.

– Przecież już mam wykształcenie.

– Techniczne.

– Ale mam.

– Dla mnie ważniejsza jest magisterka.

– W dzisiejszych czasach nie liczy się tytuł magistra, mamo, tylko dobre układy oraz to, ile można na nich ugrać.

– Pieniądze i kariera to nie wszystko. Jedynie wykształcenie predestynuje człowieka do społecznego awansu i stanowi przepustkę do elity – wypowiedziała to takim tonem, jakby wygłaszała odezwę do narodu.

– No, no, szerzysz hasła niczym zapluty karzeł reakcji, a przecież uważasz się za socjalistkę. Co z równością klas, mamgo?! – Próbowałam rozładować atmosferę.

– Poglądy nie mają tu nic do rzeczy. Moja córka po prostu musi być wykształcona. Musi być samodzielna, niezależna.

Śmieszyła mnie jej pompatyczność.

Zawsze uważałam, że nacisk, który kładła na moją edukację, wysoka poprzeczka, jaką mi postawiła, ma jakieś drugie dno. Lęki albo może kompleksy małomiasteczkowej nauczycielki, która w młodości roiała sobie o dziennikarskiej sławie? A może obawa o posądzenie, że jako samotna matka czegoś w moim wychowaniu nie dopatrzyła? Że wykoleiłam się i zmarnowałam życiowe szanse przez jej decyzję o pozostaniu w Jugowie?

– Naprawdę jesteś strasznie niedzisiejsza – powiedziałam spokojnie.

– I bardzo mi z tym dobrze... – Ona także spuściła z tonu.

– Pewnie się ucieszysz, jak ci powiem, że zaczęłam robić prawo jazdy.

– Po co ci to? – Wcale nie brzmiała, jakby była zadowolona.

– Jak to po co? Żeby jeździć.

– Czym?

– Jeszcze nie wiem. Może kiedyś uzbieram na samochód. – Czułam, że stanie się to szybciej, niżbym mogła przypuszczać. Już Miłosza w tym głowa. Zresztą to właśnie on mnie namówił na kurs. Nie rozumiał, jak można nie umieć prowadzić. Samochód to wolność.

– Samochód to tylko zmartwienie. Będzie z tego jakieś nieszczęście.

– Jakie znowu nieszczęście, mamgo?

– Nie wiem, wypadek. Kobiety źle prowadzą. Ja samochodem nie jeżdżę i żyję – skwitowała.

Nie wiedziałam, jak zripostować. Że ma zacofane patriarchalne poglądy na ten temat czy że nie jeździ, bo nigdy nie było nas stać na samochód? Nie, to by było poniżej pasa. Dlatego postanowiłam przemilczeć sprawę. Ona chyba też

uznała wątek za zakończony, bo przez chwilę ze słuchawki dochodził tylko jej oddech.

– Mamo? – Milczenie. – Dlaczego właściwie dzwonisz? Czy coś się stało?

– Nie... Po prostu pomyślałam, że zbliżają się święta i trzeba ustalić... Przyjedziesz, prawda?

Prośba w jej głosie, delikatność, z jaką ją wyartykułowała, sprawiły mnie w konsternację. Moja bezkompromisowa i samowystarczalna matka, która uporczywie ignorowała katolicką obrzędowość, najwidoczniej zaczynała się starzeć i przepoczwarzać w tradycjonalistkę.

– Oczywiście, że przyjadę. Ale czy coś się dzieje? Brzmisz jakoś dziwnie.

– To chyba przez ten śnieg – odparła z wahaniem. – Wiesz, Nina, ta zima jakoś wyprowadza mnie z równowagi. Nie pamiętam ostatnio takich mrozów. Jak przed laty... Przez tę pogodę wszystko do mnie wraca. – Urwała. – Boże, co ja plotę? Strasznie się robię cikliwa. Starzeję się – powtórzyła jak echo moje myśli.

– Co do ciebie wraca?

– Wspomnienia. Dawne sprawy, o których długo nie myślałam... Czy ja ci mówiłam, jak zmarł twój dziadek? – wypaliła znienacka.

Zmarszczyłam brwi. Zaskoczyło mnie jej pytanie.

– Nie. Wspominałaś jedynie, że miałaś, czekaj... – próbowałam wygrzebać ten fakt z pamięci – ...dziesięć lat?

– Tak, byłam jeszcze dzieckiem. Wtedy także był grudzień. Pięćdziesiąty czwarty rok. Śniegu tyle co dziś i góry takie piękne, całe białe. To się zdarzyło na dzień przed Wigilią. Dobrze pamiętam, ponieważ ciotka Magda od rana stała w kuchni. Wujek Heniek jej pomagał. – Zrobiła pauzę, najwyraźniej porządkując myśli. – O moim wujku chyba też niezbyt wiele ci mówiłam, prawda? A kiedy byłam mała, uważałam go za najważniejszą osobę na świecie. Nie ojca, nie ciotkę, a właśnie jego. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że moja matka zaginęła podczas okupacji?

– Tak.

– No więc taką moją przyszywaną matką, kimś, komu mogłam zaufać, zwierzyć się z kłopotów, kto nigdy na mnie nie krzyknął, a za to przytulił, gdy tego potrzebowałam, był właśnie wujek Heniek. W dzieciństwie przeszedł

heinemedinę i kulał. Dzięki temu nie poszedł w czasie wojny na front i ocalał. W przeciwieństwie do trzech swoich braci. Gdy wojna się skończyła, a jego z matką przesiedlili z Pokucia na Dolny Śląsk, wciąż był młodym człowiekiem, ale nigdy się nie ożenił. Przez to kalectwo chyba, bo prócz tego to był cudowny człowiek. Pomagał w domu, na ile pozwalała mu niesprawna noga. Wtedy przed świętami też coś tam robił... To był całkiem miły dzień. Ja odrabiałam lekcje na górze, żeby mieć spokój w ferie, oni wszyscy krzatali się na dole. Pachniało piekącymi się makowcami i kapustą z grzybami, a ciotka śpiewała na cały głos kolędy. Pięknie śpiewała. Opowiadała, że kiedy uczęszczała do szkoły u zakonnic we Lwowie, była solistką w kościelnym chórze... Naprawdę nie mówiłam ci o tym?

Chciałam jej odparować, że nie, nigdy nie opowiadała mi o swoim dzieciństwie, o młodości, wujku Heńku, ciotce, o ojcu i o tym, w jaki sposób oni wszyscy znaleźli się po wojnie w Jugowie, bo strzegła swoich wspomnień zazdrośnie, jakby to był jakiś Święty Graal. Że wszystko, co wiem o naszej rodzinie, to nieuporządkowane strzępy informacji przypadkowo wyrzuconych przez nią przy różnych okazjach – jak choćby teraz. Lecz tego nie zrobiłam. W głosie matki pobrzmiwała dojmująca melancholia, która sprawiała, że nie miałam serca jej pyskować.

– Nie wspominałaś o tym.

– Ale może ty nie masz czasu, żeby teraz rozmawiać? – zmitygowała się.

– Mam czas, mam. Mów dalej. Co się stało tamtego dnia?

Zanim znów podjęła temat, kilka razy westchnęła.

– Nie było mnie przy tym. Ciotka podobno poprosiła ojca, żeby przyniósł coś z komórki z podwórza. Może węgiel? Nie wiem. Ojciec niespecjalnie włączał się w życie domowe, w codzienne obowiązki. Był zamknięty w sobie, w niedostępnym dla nas świecie. Zwykle przesiadywał sam w pokoju, oglądając różne rodzinne książki, dokumenty. Nie wiem, czego tam szukał. Kiedy byłam mała, ciocia tłumaczyła mi, że to wojna sprawiła, że jest, jaki jest: nieobecny duchem, wyalienowany, milczący. Teraz sądzę, że to były pierwsze objawy choroby psychicznej albo to, o czym teraz tyle mówią w kontekście amerykańskich żołnierzy. Tych, co wracają z Iraku...

– Chodzi ci o syndrom stresu pourazowego?

– Coś w tym stylu. Nie wiem, co mu się przytrafiło w czasie wojny. W każdym razie potem ani się mną nie zajmował, ani specjalnie nie uczestniczył w tym, co się działo w domu. Zazwyczaj tylko jadł, spał i ewentualnie chodził samotnie w góry. Przepadał w lesie na długie godziny. Ciotka uważała, że trzeba dać mu czas, obchodziła się z nim jak z jajkiem, matkowała mu, Bronuś to, Bronuś tamto, że niby jak go otoczmy czułością i opieką, to mu trauma minie. Ale nie minęła... Wtedy, zimą, w domu był istny kocioł, jak to przed świętami. Ciotka, Kresowiaczka, chciała chociaż na jeden dzień przywrócić klimat, jaki pamiętała sprzed wojny z rodzinnych Wolan. Wpadała w amok. Nigdy nie udało nam się przejeść tego, co przygotowała. Piekła góry ciast, dekorowała cały dom jemiolą, gałązkami świerka... Zawracanie głowy. Wciągała w to szaleństwo wszystkich, ale przede wszystkim Heńka, bo ja byłam jeszcze smarkata, a ojciec to wiadomo... A jednak wtedy po coś go posłała. Na dworze szalała straszna zawierucha, było już ciemno. Wyszedł w noc, tak jak stał, bez czapki, bez płaszcza, jedynie w cienkiej roboczej kufajce. Miał wrócić za chwilę... – Urwała.

– I co? – dopytywałam zaintrygowana.

– I nic. Nie wrócił.

– Nie rozumiem? Nie szukaliście go?

– Owszem, szukaliśmy. My i cała wieś. Do ranka następnego dnia. Wtedy na miejsce dotarli też milicjanci z Nowej Rudy, wielkim wojskowym UAZ-em. Jednak pogoda była fatalna. Zasy po pas, a śnieżyca nie ustawała. Następnego dnia zaniechano poszukiwań. Stało się jasne, że jeżeli ojciec nie ukrył się w górach w którejś ze sztolni albo w opuszczonym kopalnianym szybie, to już po nim.

– Ale znalazł się wreszcie. Przecież na cmentarzu jest grób.

– Znalazł się... Ale dopiero na wiosnę, kiedy śniegi puściły. Nawet nie odszedł zbyt daleko, był z pół godziny od domu, zboczył ze ścieżki. Znał góry, ale przy takiej pogodzie nietrudno stracić orientację. Zgubił się najpewniej. Wychłodził. Przysiadł na kamieniu, żeby odsapnąć, i zasnął. Ten człowiek, co go znalazł, twierdził, że po śmierci ojcu na ustach stężał uśmiech, ale nie wiem, czy to prawda. Bałam się go oglądać w trumnie, a i ciotka uważała, że to nie są widoki dla dzieci...

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Wstałam od biurka, na którym świecił monitor, i podeszłam do okna. Śnieg coraz większymi płatkami opadał na opustoszały park. Pod jedną z latarni stał zadumany bałwan bez marchewkowego nosa – pewnie ptaki go zjadły – ale z uśmiechem z kamyków. Patykowate, rozczapierzone palce rzucały nieregularny cień na zasłaną bielą alejkę.

– Przykro mi, mam.

– Niepotrzebnie. Minęło prawie pół wieku, a ja dawno to sobie poukładałam... – Na powrót była opanowana. Zrozumiałam, że to koniec zwierzeń. Znowu się przede mną zamykała. – Sama nie wiem, czemu ci o tym opowiedziałam, zupełnie bez sensu. Wszystko przez ten okropny śnieg. Dziwaczej z wiekiem – łajła się dalej. – Ale ty nie zaśmiecaj sobie głowy jakimiś starymi historiami. Trzeba żyć tu i teraz. No właśnie, teraz! Przecież dzwoniłam w sprawie świąt.

Czułam rozczarowanie, że zmieniła temat, ale nie dałam tego po sobie poznać. Nie próbowałam też ciągnąć jej za język. Za dobrze znałam matkę – nic by to nie dało. W sztuce niedopowiedzeń i uników obie byłyśmy mistrzyniami.

– Zajęcia kończą mi się w piątek dwudziestego, ale myślę, że przyjadę dopiero po weekendzie.

Oczywiście planowałam czas przed wyjazdem spędzić z Miłozsem. Wiedziałam, że święta przesiedzi sam, i chciałam mu tę samotność osłodzić. Do Jugowa nie mogłam go przecież zabrać, matka nadal o nim nie wiedziała. Od kiedy usłyszała, że zerwałam z Piotrkim, nie rozmawialiśmy o moich sercowych sprawach. Pewnie założyła, że nikogo nowego nie mam. Tak sądziłam.

– Przyjedziesz z nim? – wypaliła nieoczekiwanie.

Czyli jednak źle sądziłam.

– Z kim? – Wdepnęłam na grząski grunt i nie wiedzieć czemu, postanowiłam brnąć dalej.

– Przecież ja się domyślam, że ktoś jest. Masz mnie za głupią?

Niemal widziałam, jak mruga do mnie swoim trzecim okiem.

– Nie, ale...

– Może zatem, po niemal roku, zechcesz mi wreszcie powiedzieć, kto to jest?

- Mamo...
- Jakiś chłopak ze studiów?
- Nie.
- Gdzie go poznałaś?

Czułam, że dalsze uniki nie mają sensu. Matka w końcu i tak wydusi ze mnie prawdę.

- Poznałam go na uczelni.
- I nie jest studentem?
- Już nie.

Na telefonicznym łączu znowu zapadła cisza. Bardzo wymowna i pełna napięcia.

- Czyli, jak rozumiem, to wykładowca.
- Tak.
- Studiujesz u niego?
- Jest moim promotorem.

– Oszalałaś?! Nina! Po co ci to? Ile on ma lat? Ma rodzinę, a może dzieci? Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, w co się wikłasz? – Nie wiem, czy bardziej przemawiała przez nią wściekłość czy rozczarowanie. Chciałam jej wszystko wytłumaczyć, ale nie dała mi dojść do słowa. – Naprawdę nie było w okolicy nikogo innego, z kim mogłabyś pójść do łóżka?

- Nie mów tak.
- Niby jak?
- Wszystko spłycasz. On jest naprawdę wyjątkowy.
- Nie wątpię... Ktoś o was wie?
- Teraz wiesz ty.

Matka milczała.

– Polubiłabyś go, gdybyś go poznała – rzekłam pojednawczo, chociaż miałam co do tego wątpliwości. Miłosz nie był typem ułożonego chłopca, z którym matka widziałaby mnie najchętniej. Szczerze mówiąc, w ogóle nie wyobrażałam sobie ich spotkania. A jednak należało jakoś załagodzić sytuację. – Mamo?

- Jak on się nazywa?
- Miłosz. Miłosz Krajewski.

Cisza. Cisza rozsadzająca słuchawkę zaległą na linii.

– Mamo, proszę, powiedz coś...

– Przyjeźdź z nim na święta, wtedy porozmawiamy – rzuciła stanowczo i od razu się rozłączyła.

Długo stałam przy oknie z komórką przy uchu, wpatrując się w śnieg oblepiający czarne pnie drzew i wsłuchując w buczący ciągły sygnał.

*

Naprawdę chciałam, żeby go poznała. Ale nie pojechałam do Jugowa na święta ani tego roku, ani przez dwa kolejne lata. Z wielu powodów nigdy nie doszło do ich spotkania i ostatecznie nie przedstawiłam matce Miłosza.

Zapraszałam ją do siebie do Warszawy tylko wtedy, gdy wiedziałam, że on zamierza na kilka dni wyjechać w interesach. Często wyjeżdżał, więc ciągle się z matką mijali. Może gdyby doszło do konfrontacji, wszystko potoczyłoby się inaczej? Stało się jednak, jak się stało.

A potem on zniknął.

II

W kilka tygodni nie da się dziecka pokochać, ale można je wychować. A w każdym razie można spróbować – ot, choćby po to, żeby zabić czymś nieznośną nudę podmiejskiego letniska.

Zanim Róża pojedzie w sierpniu z kochankiem, doktorem Tarnawskim, do Zakopanego, gdzie ją sportretuje sam Witkacy – i gdzie tak się struje peyotlem, że usłyszy naraz wszystkie sowy świata i zbłądzi w najgęstszych lasach szumiących na dnie świadomości (a po wszystkim przez dwa dni będzie tak nieżywa, że uzna, iż śmierć już jej niestraszna) – wyprowadzi swą nieznośną córkę na ludzi. Szczególnie że ta córka, ta smarkula, niespodziewanie przestała być smarkata. Jeszcze rok temu w ogóle Róża sobie nią głowy nie zaprzętała, a teraz nie może o niej przestać myśleć. I szpieguje ją, podsłuchuje, podgląda.

Bo Fela ciągle z tym młodym Liebermanem.

To już któryś wieczór z rzędu, gdy matka podejrzewa, że zamiast słodko spać, słodka Fela wymyka się do lasu. Z tamtym się wymyka! Na schadzkę z małym Żydkiem, co to na Żydka nie wygląda. Dzisiaj znowu jej się wydawało, że cienie przez ogród sunęły, między sosnami w noc gorącą i duszną umykały. I dlatego teraz, zamiast spać, zakrada się na palcach do pokoju córki, żeby ją zdybać na gorącym uczynku, a potem wymierzyć odpowiednią karę.

Cały dom już ciemny i głuchy. Cały dom w letargu, rozkołysany snem nocy letniej. Na górze doktorowa, pisarz i adwokat z nudną żoną, za ścianą ciocia Lucia, zmęczona dniem pracy, śpi snem sprawiedliwych, za drugą mały książę, Kostuś, lula zmęczony zabawą. Róża też jest zmęczona, nicnierobieniem, jednak na razie oka nie zmruży, wszak ma do wykonania misję.

Chwyta za klamkę u drzwi do pokoju córki. Klamka nie puszcza. Zamknęła się mała szelma od środka, ale Róża ma i na to sposób. Klucz zapasowy. Wsuwa go w dziurkę, przekręca i popycha skrzydło. Drzwi ustępują z cichym

skrzypnięciem. W środku, tak jak się spodziewała, żywego ducha. Łóżko zasłane, nietknięte. Okno szeroko otwarte, firanki na bok odsunięte. Las zagląda do środka.

A jednak! Nie myliła jej matczyna intuicja. Byłaby Róża poszła na górę do pokoju doktorowej i od razu sprawdziła, czy i tamtego łóżko puste, lecz nie pójdzie i nie sprawdzi. Nie wypada ludzi po nocy nachodzić. Aż tyle tupetu nie ma.

Co się odwlecze, to nie uciecze. Czeka zatem Róża w ciemnej sypialni córki, rozsiada się w fotelu i patrzy przez okno. Ciepłe powiewy wpadają do środka. Noc taka parna, że aż trudno złapać oddech. Złość w Różę narasta.

Złość na Felę. Bo to już nie dziecko, tylko pannica, która jak na swój wiek zbyt dojrzałe wygląda. Która zbyt pociągająco, powabnie wygląda. A ciocia Lucia dusza człowiek, ale przy tym naiwna wielce i do takich hormonalnie rozbuchanych stworzeń za grosz zmysłu pedagogicznego nie ma. Dała sobie wejść na głowę. Wszystko Feli wolno! Robi, co chce, chodzi, gdzie chce, a co drażni Różę najbardziej: ma czelność posiadać swój tajemny, zamknięty świat, do którego jej, matce rodzonej, nie daje dostępu. A matka swe prawa ma! Wprawdzie troszkę je zaniedbała przez ostatnich parę lat, lecz jeszcze nie wszystko stracone, jeszcze można Felę rozumu nauczyć. Można ją przed samą sobą ustrzec. Trzeba jej pilnować! – myśli świeżo nawrócona na rodzicielską ścieżkę matka.

Bo gdyby to ją kiedyś przypilnowano, gdyby ją przed błędami młodości ustrzeżono, nie zmarnowałyby sobie Róża życia. Nie urodziłyby córki tak młodo, nie byłoby skandalu, palpacji serca matki i wściekłości ojca pułkownika. Nikt by Różę nie przymusił do wyjścia za mąż za człowieka, którego nie kochała i nigdy nie pokocha. Gdyby tamtego upalnego lata na Pokuciu ktoś Różę ustrzegł przed nią samą... I przed tamtym.

Przymyka oczy, zaciska wąskie usta.

Niewiele była wtedy Róża starsza od Felicji dzisiaj i głupia bardzo, i bardzo naiwna; chociaż ze świadectwem dojrzałości w kieszeni. Z głową pełną mrzonek o kobiecym wyzwoleniu, o sufrażowaniu, zrównywaniu praw, wylądowała w wakacje wraz z przyjaciółką ze szkolnej ławy u jej krewnego na arkadyjskich

Kresach. Miały tam pośród lasów, nad brzegiem Dniestru, zakosztować uroków ziemiańskiego życia i wypocząć przed studiami i dorosłością.

Wspaniale były Wolany. Na styl sarmacki – pełne latem gości, rozrywek, śmiechu i zabaw. Dwór murowany, obszerny, z trzech stron okalał dziedziniec. W centralnym miejscu królował portyk wsparty na pękatych kolumnach, nad nim trójkątny fronton, na frontonie wykuty rok budowy, a wszystko to spowite było bluszczem. Gdzieś z boku mieścił się spichlerz, gdzieś dalej lamus, za nimi sad, a jeszcze dalej oficyny, dom rządcy i lodownia otoczona ogrodem warzywnym. A tam marchew, pietruszka, rzodkiew, pierzaste główki sałaty... Na tyłach dworu, za oszkloną oranżerią, rozrastał się park. Klony, jesiony, lipy i dęby, altany, alejki, oczka wodne pokryte rzęsą, świątynie dumania, posągi kamienne, a nawet korty tenisowe i wreszcie koniec – park przechodził w las, las zamieniał się w łąg, a łągiem meandrował Dniestr.

Zauroczyło to miejsce Różyczkę od pierwszego wejrzenia.

I tak samo zauroczył ją brat pani Wolańskiej, który przyjechał do majątku szwagra na kilka dni w odwiedziny. Piękny niczym nordycki bóg, silny, rostry, blondwłosy, elegancki, w jasnym garniturze i fedorze na głowie, z nonszalanckim uśmiechem pod pszenicznym wąsem. O spojrzeniu stalowym; chłodnym i gorącym zarazem. Zabawny był, elokwentny, interesujący. Podobno we Lwowie robił karierę prawniczą, podobno odnosił sukcesy.

Pan Aleksander. Oleś.

Straciła Róża dla niego głowę i wcale się z tym nie kryła. Wiedziała, że gdzieś tam, w dusznym mieście jest jakaś żona brzemienna, jakieś sprawy przyziemne i nudne, ale cóż ją to mogło obchodzić. Ważne było tylko to lato, las wokoło szumiący, zmysły szalejące, powłóczyście spojrzenia, spacer i tańce do rana. Przejazdki konne i pikniki na trawie. Ona traciła dlań głowę, on dziewczęce umizgi traktował z przymrużeniem oka. Ot, wakacyjna przygoda. Pensjonarskie gry w półsłówka, półuśmiechy, półgesty.

Aż wreszcie przyszła tamta niedziela. Róża wymówiła się bólem głowy od wizyty w kościele, obiekt jej westchnień także nie czuł się najlepiej. Dwór opustoszał. Zostali sami. Pan odpoczywał w parku, panna leczyła migrenę w świątyni dumania. Niespodziewanie ozdrowieli oboje i przypadkiem

skrzyżowały się ich ścieżki. Postanowili więc się wybrać na spacer. Zupełnie przypadkiem...

Ruszyli w stronę rzeki i coraz głębiej w las. Sosnowy, gęsty. Gęstniała też atmosfera na pozór niewinnej przechadzki. Coraz mocniej pachniało żywicą i niedopowiedzeniem. Róża o czymś perorowała – o odnowie moralnej i społecznej, o liberalizmie obyczajowym, ścieżkach duchowego rozwoju, feminizmie i innych izmach – gestykulowała przy tym i płoniła się coraz mocniej. Bredziła też coś o studiach, na które się wybiera, o planach, by zostać lewicującą literatką-myślicielką czy może dziennikarką-gorszycielką, kimś ważnym, szanowanym, znanym. Jednym słowem – kimś. Że nie będzie, jak jej matka i babka, dzieci niańczyć, męża słuchać i popijać herbatek na fajfach, tocząc rozmowy o niczym.

Jej towarzysz nic nie mówił, tylko patrzył. Bowiem Róża – znowu przypadkiem – przywdziała tego dnia śliczną sukienkę, bardzo zwiewną, w drobne czerwone kwiatki. Sukienkę, która sięgała jej zaledwie do kolan. Może nie miała Róża idealnej figury – całe życie była zbyt kanciasta, nieforemna, ze zbyt drobnymi piersiami – jednak w tamtej chwili czuła się bardzo kobieco.

A on tylko patrzył.

Gdzieś w oddali słychać było szemranie Dniestru. Z niewidzialnych chmur wykluwał się wiatr, gorący i suchy, głaskał twarz Róży i tamtego. Przystanęli. Ich ciała znalazły się kilka centymetrów od siebie; od mężczyzny bił zapach wody kolońskiej i czegoś zwierzęcego, czego Róża jeszcze nie kojarzyła z podnieceniem, ale już niedługo miała zacząć.

– Panno Rózo... – rzekł on zachrypniętym głosem.

Wyciągnęła rękę i dotknęła twardej męskiej piersi. Powinien był ją odepchnąć – wszak był dorosły, rozsądny, do niego należało wyznaczenie granic – ale tego nie zrobił. Powinna była wiedzieć, że cnotliwe osiemnastoletnie panienki nie zapuszczają się w głąsę sam na sam z mężczyznami, nawet jeżeli ci mienia się dżentelmenami, bo takie historie nigdy się dobrze dla pańienek nie kończą. Ale wtedy tego nie wiedziała albo może nie chciała sobie zaprzętać tym głowy. Wszak była wyzwolona i taka nowoczesna. Taka swej dojrzałości pewna...

Z dłoni mężczyzny wypadła laseczka – srebrna lwia główka wylądowała na poduszce z zielonych porostów. A pan Oleś nachylił się nad dziewczyną i złożył

na jej ustach pocałunek. Subtelny, niespieszny. W Róży krew zawrzała. Jakież to było rozkoszne, jakież przyjemne! Pozwoliła więc, by jego język wniknął w nią głębiej, by jego dłonie opłoty jej plecy.

A te dłonie w stalowy pancerz ją zakłuły, unieruchomiły i już nie było drogi odwrotu. Zresztą w tamtej chwili jeszcze nie chciała uciekać. Nad wszystkim przecież panowała.

A on uśmiechnął się łobuzersko, zdjął z głowy fedorę, odrzucił precz niedbale i pociągnął dziewczynę na miękkim mech. Jego język sunął po jej ciele; zagłębieniem szyi, wzdłuż drżącej tętnicy, w stronę dekoltu. Róża – reakcją swego ciała zaskoczona – oddychała szybko, wzdychała. W dole brzucha coś zapulsowało przyjemnie, gdy dotykał jej drobnych piersi. Jęk coraz głośniejszy dobywał się z dziewczycych ust, gdy opadły ramiączka sukienki w drobne czerwone kwiatki, a dłoń wprawna, silna, wsunęła się pod ich łąkę. Wniknęły w Różę męskie palce, a jej ciało się naprężyło. Sosnowe igły zakłuły ją w plecy. Wszystko działo się tak szybko, las kołował Róży nad głową. Wiedziała, co się zaraz stanie. Stanie się? Pęknie tabu?

I właśnie wtedy przyszło opamiętanie. W głowie zabrzmiały niegdyś enigmatyczne, a teraz zupełnie już jasne słowa matki: Pamiętaj, Rózo, że po wszystkim tylko dziewczyna jest winna, hańba tylko w jej ciele zostaje. Tylko dziewczyna jest winna! Dziecko! Róża nie chce żadnego dziecka!

Musiała natychmiast powstrzymać bieg zdarzeń. Spróbowała się podnieść, ale on ją przytrzymał. Jak opętany dotykał jej ciała. Już na nią nie patrzył, już się nie uśmiechał. Oczy miał przekrwione i obce. Twarz wykrzywił grymas nieludzki, pierwotny.

Mężczyzna uchwycił mocno jej dłoń i wsunął sobie w rozporek. Poruszał jej ręką. Jego członek był twardy i aksamitny zarazem. Nie tak wyobrażała sobie Różyczka tę chwilę. Już nad niczym nie panowała.

Nie!

Zdawał się nie słyszeć jej krzyku. Wszedł w nią szybko, mocno. Przygwoździł ciałem do ziemi. Napierał z całej siły, przytrzymując za nadgarstki.

Nie!

Nie słuchał, tylko rozrywał ostrymi, zdecydowanymi pchnięciami bioder. Raz za razem, rytmicznie. Coraz szybciej i szybciej... Nie trwało to zbyt długo,

a jednak przez całą wieczność. Łzy zalały jej oczy, krew i sperma – uda. Jej kochanek z wyrazem ekstazy na twarzy umierał mityczną małą śmiercią – *la petite mort* – Róża zaś, przerażona i obolała, także czuła, że umiera, choć w zupełnie inny sposób.

A potem, jak gdyby nigdy nic pomógł jej się podnieść z ziemi, wyczyścił ubranie z sosnowych kolek, własną chusteczką otarł twarz z łez i uda z krwi i wreszcie spojrzął jakoś tak dziwnie, niby rozbawiony, a jednak z pogardą. Czas wracać do dworu, stwierdził. Towarzystwo na pewno przyjechało już z kościoła, a na obiad mają być przepiórki. On osobiście uwielbia przepiórki.

Podczas posiłku Róża nie zdołała przełknąć nawet kęsa. Czuła, że zbiera jej się na wymioty – tego i kolejnego dnia, gdy piękny niczym nordycki bóg młody prawnik opuszczał Wolany, z żalem żegnany przez licznie zgromadzonych na podjeździe mieszkańców dworu i ich gości.

Gdy jakiś czas potem wróciła do Warszawy, młodości przybrały realny kształt. I wszystko potoczyło się tak, jak nie powinno. Nie było studiów, ścieżek duchowego rozwoju, feminizmu i innych izmów, za to wściekli ojciec i matka, którzy w pośpiechu dobili matrymonialnego targu z Adolfem Hryniewiczem, spadkobiercą farmaceutycznej fortunki. Wieniawa-Sułkowski – działacz PPS-u, a prywatnie serdeczny przyjaciel Ziuka – obiecał dopomóc przyszłemu zięciowi w karierze politycznej, a w zamian młodzian zobowiązał się zapobiec skandalowi i dać nazwisko bastardowi rosnącemu w brzuchu Róży.

I tak na świecie pojawiło się dziecko o stalowych oczach. Dziecko przez nikogo niechciane, do swej nieurodziwej matki ani trochę niepodobne. Ani do ojca, który przecież nie był prawdziwym ojcem. Dziecko milkliwe i dziwne, które nigdy nie zapłakało i prawie nigdy się nie uśmiechało, do Róży się nie przytulało i pierś zbyt szybko wyrzynającymi się ząbkami kąsało. Dziecko, którego matka nie potrafiła pokochać, bo z wiekiem stawało się coraz bardziej podobne do tamtego. Coraz bardziej obce i coraz bardziej urodziwe.

Trzeba się było tego ciężaru, tego wyrzutu sumienia pozbyć sprzed oczu. Wmówić wszystkim wyimaginowane problemy ze zdrowiem, z kokluszem i nie wiadomo czym tam jeszcze, i wywieźć precz z Warszawy. W ciemny las.

A teraz to dziecko, ta Fela, śmie żyć życiem osobnym, śmie swym czarem ludzi mamici, matkę spychając w cień. Specjalnie, z rozmysłem. Ale Róża matka

godzić się na to nie zamierza. Utrze jej nosa. Pokaże, kto tu rządzi!

Mija może godzina, może dwie. Noc sunie po lesie. W pokoju zegar tyka miarowo. Wreszcie Róża widzi znajomy dziewczęcy kształt przemykający od drzewa do drzewa, więc podnosi się z krzesła i cofa w głąb pokoju. Fela jak kot cicho skrada się do okna, jak kot sprytnie wślizguje się do środka. Matka czeka, aż córka nogi na podłodze postawi, aż firanki opadną, i dopiero wtedy włącza stojącą na stoliku nieopodal lampkę. Bursztynowe światło wypełnia pokój, pada na zarumienione policzki dziewczyny.

– A skąd to, moja panno, wracasz o tej porze? – Złość w głosie Róży miesza się z satysfakcją. Jednak złapała dziewczuchę na gorącym uczynku. Dała się Fela przechytrzyć matce, którą ma za nic. Ha!

Fela jest zaskoczona, ale nie pokazuje strachu po sobie. Patrzy na Różę oczami tamtego, z ciekawością – jakby te nagłe dydaktyczne zapędy wprawiały ją w konfuzję, a może nawet w rozbawienie. Lecz w nic ponad to. Po prostu stoi spokojnie, w bezruchu, i nawet powieka jej nie drgnie. Stoi, a blask lampy kreśli cienie na jej szczupłej postaci, na jej twarzy. Bardzo jest piękna w tym świetle. Włos ma rozwiany, stopy bosc, letnią sukienkę w nieładzie. Przypomina tajemniczy kwiat paproci, leśną boginkę, rusałkę z legend. Przez głowę Róży przemyka myśl, że jej córka wygląda jak nie z tego świata. A zarazem jest ucieleśnieniem życia, młodości, rozkwitu; notabene uparcie milczącym ucieleśnieniem.

– Słyszysz, co do ciebie mówię? Gdzieś, ladacznico, była, gdzieś się szwendała po nocy?! Mów zaraz! Z tamtym byłaś, tak...? Myślisz, że nie widzę, jak na niego patrzysz? – Wściekły szept wypełnia pokój. Byłaby Róża wykrzyczała z siebie wszystko, ale nie chce wywołać skandalu, nie chce na nogi postawić całego domu.

Fela nadal milczy i tylko jasną głowę przechyla na bok, jakby rzeczywiście matki nie słyszała albo nie rozumiała, czego się od niej oczekuje. Milczy z wyższością kogoś, kto wie więcej, kto posiadał tajemnicę.

Och! Jakże Różę ta jej dziwna córka denerwuje, do jakiej pasji doprowadza. Cała w tamtego poszła, cała jest nim. Jak las nad rzeką, jak wiatr, co dziwne rzeczy szepce – nieodgadniona jest i obca. Straszna i piękna. Jakby wraz z nasieniem kawałek tamtego świata wniknął w Różę, a później wzrósł w jej

dziecku i szumiał w nim nieustannie, uporczywie, złowróźnie. To nie przez brak matczynej miłości Fela jest taka, jaka jest, tylko przez tamtego. Tylko przez niego!

Wielka fala nienawiści i strachu rozpiera matkę od środka. Czuje się wobec własnego dziecka bezradna. Dlaczego nie może być jak inne dzieci, dlaczego gęby nie otwiera? Czemu się nie ukorzy, nie wytłumaczy, gdzie była i po co?! Tylko hardo patrzy, jak kiedyś tamten. Patrzy na Różę z wyższością, z pogardą.

Fela nie kryje drwiny, drwina wylewa jej się kącikami ust. Zetrze matka to zadowolenie z jej twarzy. Nie będzie sobie z niej ten pomiot, ten bękart szydził. Balon goryczy pęka i Róża przecina pokój, staje obok dziecka i wymierza cios. Dłoń ze świstem tnie powietrze i uderza wprost w różowy policzek z taką siłą, o jaką nikt by Róży nie podejrzewał, o jaką ona sama by się nie podejrzewała – tak mocno, że Fela aż się chwieje. Lecz nie upada. Chwyta się parapetu i wraca do poprzedniej pozycji. Znowu wyprostowana, ociera wierzchem dłoni krew, która wzbiera na jej wardze.

– Dziwka – syczy matka, już się nie hamując, aż kropelki śliny tryskają na twarz Feli. – Popamiętasz moje słowa, ja wiem, że w tobie złe siedzi... Zobaczysz, że skończysz jak ulicznica.

Odwraca się na pięcie i rozcierając obolałą dłoń, wybiega z pokoju. Matczyzna lekcja wychowawcza skończona.

Fela jeszcze długo stoi w tym samym miejscu. Wiatr wpada do pokoju przez otwarte okno i targa firanką. Fela pozwala, by krew kapała na sukienkę. Na jej twarzy nadal króluje spokój. Ale pozorny to spokój, bo w jej sercu już wrze czarna posoka. Róża kiedyś zapłaci za tę noc.

*

Robi się coraz duszniej.

Na letnisku pozornie nic się nie dzieje, jednak pod cienką warstwą harmonii dzieje się wszystko. Są tłumione okrzyki bezsilności i westchnienia, są spojrzenia poządlliwe, zawstydzone i pełne pogardy, uśmiechy sztuczne i śmiechy do łez. Dni suną wolno, lekko spływa czas, wieczory pulsują tangiem, a noce opadają gwiazdami z czubków drzew. Takie jest to lato w Aninie...

Doktor Tarnawski przyjeżdża w ostatnią sobotę lipca po południu. Wszyscy właśnie zebrali się przy podwieczorku na tarasie za domem, gdy z niewielkim neseserem nadchodzi alejką. Jest wysoki, gibki, elegancki i chociaż nie najmłodszy – lat czterdziestu paru – bardziej niż lekarza przypomina filmowego amanta. Włosy ma gęste, w kolorze popiołu, modnie zaczesane na brylantynę do tyłu. Z profilu trochę do Żabczyńskiego podobny, tylko oczy za okrągłymi szklami w delikatnych złożonych oprawkach ma inne: rozbiegane, czujne, głęboko osadzone. Te oczy rzadko się uśmiechają, nawet gdy czynią to usta. I zdają się widzieć wszystko naraz, przesywać człowieka na wskroś. W przystojnej twarzy Tarnawskiego jest często coś nieprzyjemnego; wyraz wyższości świadczący o pewności siebie i przeroście ego, co zresztą nie dziwi, albowiem sława doktora – jako wybitnego pediatry, ale też wybitnego uwodziciela – dawno już opuściła granice Warszawy.

Z krzywym uśmiechem całuje rączki pani pułkownikowej – „ja tylko na kilka dni, droga pani Lucyno” – kłania się doktorowej Liebermanowej – „jaka to szkoda, że Szymona z panią nie ma” – i nudnemu adwokatowi z równie nudną żoną – „jaka szkoda, że w ogóle tu są”. Wymienia jakiś żarcik koślawy z panem pisarzem, który najwyraźniej także pod wrażeniem lekarza zarumienił się jak panna, a wreszcie wita się z Różą, siedzącą z książką nieco na uboczu, w kącie tarasu, pod pergolą porośniętą dzikim winem. Kłania jej się nieprzesadnie głęboko, a ona podaje mu dłoń niby to obojętnie, nieprzesadnie zainteresowana jego przybyciem. Zwyczajna scena powitania znajomych. I nawet wprawne oko nie dopatrzyłoby się w niej niczego zdrożnego. W spojrzeniach obojga brak jakiegokolwiek potwierdzenia łączącego ich romansu. A mimo to wszyscy wiedzą. I tu, w Aninie, i na warszawskich salonach. Cała stolica huczy od plotek, że pani Hryniewiczowa, od ponad roku zakochana po uszy, przyprawia rogi swemu mężowi, królowi syropów z mieszczańskimi kompleksami i politycznymi aspiracjami. Zresztą on wcale nie pozostaje jej dłużny – prowadzi się z jedną taką, publicystką-skandalistką, brylującą w kręgach Skamandra i „Wiadomości Literackich”.

Wszyscy wiedzą. I wszyscy taktownie milczą.

Fela, która przygląda się tej scenie ze swego miejsca na schodach, gdzie przysiadła z Bronkiem, także zdaje sobie sprawę, kim doktor jest dla matki. I wie,

dłaczego za każdym razem, gdy Róża odwiedza Anin, on pojawia się jak cień w kilka dni po niej. Wie, że chociaż Tarnawski oficjalnie wynajmuje pokój, to nigdy w nim nie nocuje. Cioci Luci się to nie podoba – wszystkie te nocne ukradkowe spacerunki po korytarzu w tę i w tę – nie jest równie nowoczesna i wyzwolona co matka i uważa, że małżeństwo, nawet nieudane, to rzecz święta. Ale nawet ona milczy. W dobrych domach nie wypada roztrząsać skandali, nie dyskutuje się na takie tematy. Brudne tajemnice alkowy niechaj pozostają w alkowie. Zresztą takie sprawy zazwyczaj rozwiązują się same. Albo i nie. A i Tarnawski, choć znany donżuan, to jednak człowiek szanowany, na poziomie i z towarzystwa. Nie ma co włosów rwać z głowy – mogła Róża gorzej ulokować pozamałżeńskie uczucia...

Doktor składa pocałunek na dłoni kochanki, prostuje się i zerka w stronę Bronka, Feli oraz bawiącego się kawałek dalej na trawie Kostusia. Żółty chłopiec wydłubuje patykiem z ziemi dżdżownicę, po czym rozrywa je z sadystyczną radością. Tarnawski robi kilka kroków w kierunku młodych. Coś na kształt uśmiechu rysuje się na jego wargach.

– Czołem młodzieży. – Z jego ust płynie sztuczna serdeczność.

Mały zwyrodnialec pochłonięty wiwisekcją nie reaguje. Fela lekko schyla głowę w pozdrowieniu i chociaż po uderzeniu matki dawno nie ma śladu, odruchowo rozciera policzki. Broniek podrywa się na równe nogi, kłania elegancko. Lekarz się śmieje.

– No, znalazł się wreszcie kompan we właściwym wieku, żeby pannie Felusi w letnich zabawach towarzyszyć. Mam nadzieję, żeście się polubili, bo to trochę i moja zasługa, że kolega tu przyjechał na wakacje. Prawda, Broniek?

– Tak, proszę pana – bąka niewyraźnie chłopak.

– I jak ci się podoba?

Dwuznacznie brzmi to pytanie Tarnawskiego; o Felę go pyta, o pogodę czy o drewnianą willę?

– Bardzo tu ładnie. – Broniek wciąż stoi. Sztywno, bez ruchu, jak na egzaminie. Lekarz nie odpuszcza. Bawi się jego młodzieńczym zażenowaniem.

– Ciała nabrałeś od jesieni, kiedym cię badał i widział ostatnio, i wyrosłeś. No, no, pani Liebermanowa – spogląda przelotnie w stronę stołu, gdzie Sofijka

popija herbatę – syn pani to już mężczyzna. Bez dwóch zdań. Piękny narybek nam rośnie. I czyż nie ładną parę tworzą razem z Felą?

Bierze się pod boki zadowolony ze swego żartu. Sofijka nie odpowiada, uśmiecha się tylko półgębkiem, sztucznie. Cóż może rzec na tę idiotyczną próbę swatania małej Hryniewiczówny z jej synem, w którym ona wciąż widzi li tylko małego chłopca? Reszta towarzystwa też puszcza uwagę mimo uszu, udaje, że zaabsorbowana jest jedzeniem podwieczorku. Broniek wygląda, jakby krew zaraz miała trysnąć mu porami skóry. Powoli siada z powrotem na stopniu schodów. Wbija spojrzenie w talerzyk z niedokończonym ciastem, które nagle zaczyna broczyć spod kruszonki jagodowym sokiem.

Fela nie patrzy na ciasto. Fela patrzy wprost na doktora. Bez zażenowania, bez wstydu. Jej twarz jest spokojna, nie wyraża ani zakłopotania, ani niesmaku – piękna twarz dziecka, które nie jest świadome, że przestało być dzieckiem. A może właśnie jest? Może Fela doskonale panuje nad tym, co się wokół niej dzieje? Co się w niej dzieje?

Jej usta rozciągają się w słodkim uśmiechu. Ten uśmiech jest jak obietnica, jak wszystkie rozgwieżdżone noce nad Aninem, jak tajemnicze pohukiwanie sowy. Ten uśmiech nigdy nie powinien pojawiać się na jej ustach. A jednak się pojawia. Choć na szczęście znika bardzo szybko, dzięki czemu nikt go nie zauważa. Prawie nikt – Tarnawski zdołał go uchwycić i doskonale wie, co oznacza. I chyba jest trochę zaskoczony frywolnym zachowaniem Feli; dziewczynki dotąd dla niego niewidocznej, cichej, przezroczyściej, która przewijała się na drugim planie jego tutejszych rozerotyzowanych pobytów. To spojrzenie lechce jego samczą próżność. Doktor lubi damsko-męskie gry. Nawet jeśli dama jeszcze nie jest damą, a zaledwie lolitką o alabastrowej skórze i opalonych długich nogach...

Odruchowo oblizuje wargi, dobywa chusteczkę z kieszeni i przeciera czoło z kropel potu – nieoczekiwanie zrobiło mu się gorąco, chociaż taras szczelnie okryty jest cieniem.

Ciocia Lucia przerywa tę scenę, nalewając herbaty do filiżanki.

– Doktorze, proszę do nas, do stołu. Zje pan kawałek ciasta? Bardzo smaczne, jeszcze ciepłe. Z jagodami z naszych lasów...

Doktor odwraca się na pięcie i zmierza ku reszcie towarzystwa.

– Dziękuję. – Dosiada się do stolika.

– Wieczorem planowaliśmy wybrać się do kasyna. Mają dzisiaj grać na żywo. Będą tańce. Co pan na to? Dołącz pan do nas?

– Z przyjemnością zatańczę z panią pułkownikową...

Spokojnie chwytając filiżankę. Upija łyk herbaty. Fela równie spokojnie wraca do rozmowy z Bronkiem i konsumowania swego ciasta, a Kostuś spokojnie dokonuje dalszej rzezi glist.

I tylko Róża – bacznie przypatrująca się przed chwilą kochankowi i córce – nie jest spokojna ani trochę.

*

Wszystko, co dobre...

Fela stara się nie myśleć, że jutro już go przy niej nie będzie. Że lipiec tak szybko się skończył, za nimi już pierwszy tydzień sierpnia, a dni coraz krótsze i ani się obejrzy, a pryśnie do cna to zachwycające lato i nadejdzie nowy rok szkolny; codzienna gehenna obcowania z kolegami w żalonym okresie pokwitania. Że być może nie zobaczą się z Bronkiem do następnych wakacji. I już nie zagrają na cztery ręce na pianinie (i nie będzie już bez końca mylił rytmu), nie zgubią się w labiryncie korytarzy domku dla lalek (gdzie on w ciemnościach jej dotknie, bo ona mu na to pozwoli), i nie pójda razem na korty (gdzie on wygra, bo ona da mu fory). Że po zmierzchu w ogrodowej altanie będzie czekała na niego nadaremnie.

Od jutra przeistoczy się Fela w nieustanne czekanie. Ale na razie Broniek jeszcze tu jest, jeszcze nie wyjechał i zaraz powinien przyjść do ogrodu.

Po kolacji towarzystwo porozłaziło się po pokojach. Mały Kostuś szabruje w spiżarni – wybiera paluchem wprost ze słoika jeszcze ciepłe maliny, zawekowane kilka godzin temu przez Karczewską. Żona jurysty umiera w swej sypialni; ma chandrę czy może globus, albo jedno i drugie. Ani chybi pomógłby jej cudowny syrop z fabryczki Adolfa Hryniewicza, ale akurat jak na złość się skończył. Pan pisarz podobno zamierza spędzić noc przy maszynie. Takie czuje podniecenie, takie rozedrganie i natchnienie, że po prostu musi tworzyć. Imperatyw literacki rozsadza mu wyobraźnię. Liebermanowa przez cały posiłek siedziała skwaszona, bardziej oswiała i nieobecna niż zwykle, a potem

czmychnęła gdzieś na wieczorny spacer. Ciocia Lucia też przy posiłku była myślami daleko, a potem szybko zniknęła u siebie. Może wspomina wojnę polsko-bolszewicką i swego zmarłego męża, którego rocznica śmierci przypada na dniach? A może i nie? Ile lat można cierpieć z miłości? Czy Fela też będzie tak cierpieć po wyjeździe Bronka?

Od strony domu napływa muzyka – to Róża w towarzystwie doktora nastawiła gramofon. Na cały regulator puszcza *Tę ostatnią niedzielę* Fogga. Specjalnie to robi, Fela jest tego pewna. Na złość córce wybrała piosenkę o rozstaniu, o niespełnionym kochaniu; z okrutną satysfakcją, z cynicznym uśmiechem na ordynarnie wyszminekowanych karminem ustach pastwi się nad Felą, zagłuszając przy tym koncert świerszczy w ogrodzie, zakłócając harmonię wieczoru...

Kuląc się na ławce, dziewczyna próbuje nie słuchać słów dramatycznego tanga, lecz one mimo to wgrzają się w jej uszy. Zaslania je więc dłońmi i wpatruje się w ciemniejący las. Czeka. Muzyka wreszcie ucicha. Bronek trochę się spóźnia. Wreszcie Fela dostrzega, jak idzie od strony domu. Wsuwa się bezszelestnie do altany i przysiada obok dziewczyny z przepaszającym uśmiechem.

– Przykro mi, że musiałaś czekać.

– Nic nie szkodzi. – Przygląda mu się z uwagą. W oczach chłopaka smutek miesza się z lękiem. – Czy coś się stało?

– Nie. To znaczy... Mama nadal nie wróciła ze spaceru. Wyszedłem nawet przed dom, na ulicę, żeby jej wyglądać. Trochę się o nią martwię. Wyszła dawno, sama, a już zupełnie ciemno.

– Na pewno zaraz wróci. Może zajrzała do kasyna albo spotkała kogoś po drodze i ucięła sobie pogawędkę.

– Może...

Żadne z nich nie wierzy, że Sofijka poszła do kasyna, że się z kimś zagadała – nie ona – jednak tym niewinnym kłamstwem podnoszą się na duchu. Fela kładzie pocieszająco dłoń na ramieniu chłopaka.

– Nie zadręczaj się – szepcze, przysuwając się bliżej.

Bronek wzdycha, a jego gładkie czoło przecina pionowa zmarszczka.

– Gdybyż to było takie proste.

– A nie jest? – docieka.

Bronek się nie odzywa. Wpatruje się w swe dłonie spoczywające na kolanach. Strąca z nich niewidzialne okruchy.

– Wiesz, nie mówiłem ci o tym wcześniej, Felu: mama jest poważnie chora.

– Domyśliłam się.

– Naprawdę? – pyta zaskoczony. – To widać? Myślisz, że wszyscy się domyślają?

Fela kiwa głową.

– Twoja mama jest bardzo ładna, a jednak w jej wyglądzie jest coś niepokojącego, niezdrowego. Ta bladość, drżenie rąk...

– A ja, głupi dzieciak, długo tego nie zauważałem. Rodzice ze mną na ten temat nie rozmawiali. Kiedy jeszcze żył dziadek, a ona poczuła się gorzej, po prostu wysyłali mnie do niego na kilka tygodni. Gdy wracałem, wszystko było jak dawniej. Po jego śmierci, kiedy już nie mogli dalej ukrywać prawdy, przyznali, że jej stan nie jest najlepszy. Ojciec wytłumaczył mi, że choroba, na którą cierpi mama, często wchodzi w stan uspienia, ale będzie nawracać... Przez rok wyglądało na to, że jest lepiej, ale ostatnio... Dlatego się martwię.

– Co to za choroba?

– Rodzice traktują mnie jak dziecko i pewnie nie chcą martwić, dlatego sam dokładnie nie wiem... Myślę, że to jest nieuleczalne, że któregoś dnia doraźne środki przestaną pomagać i zostanę sam.

– Nie będziesz sam. Przecież na pewno masz jakąś rodzinę, masz ojczyma. No i mnie. Zobaczysz, wszystko się ułoży. Podobno teraz prawie wszystko da się wyleczyć. Mój ojciec tak twierdzi, a chyba wie, co mówi, w końcu ma tę swoją manufakturę.

– Nic nie rozumiesz, Felu. Tu leki nic nie pomogą. To postępuje i matka czasami... To takie okropne.

Fela instynktownie chwytą chłopaka za ręce. Ścisną je mocno.

– Wiesz, że mnie możesz wszystko powiedzieć.

Bronek potakuje energicznie, ale nie patrzy przy tym na Felę, a gdzieś daleko przed siebie, w szmaragd zapadającego nad ogrodem mroku. Ufa jej, a mimo to

nie będzie umiał wyznać, co odkrył tuż przed wyjazdem na wakacje. Nie wypowie nazwy przypadłości, która pożera ciało Sofijki dzień po dniu, która przywodzi ją na skraj obłądu. *Treponema pallidum*. Właśnie to określenie padło z ust doktora podczas niedawnej rozmowy z żoną, a Broniek zupełnie przypadkiem je usłyszał, gdy znalazł się wieczorem w ciemnym holu pod drzwiami ich sypialni. A może wcale nie przypadkiem?

Nie mógł zasnąć. Za dnia Sofijka w przypływie niepojętego wybuchu gniewu najpierw zbesztala kucharkę – w słowach wyjątkowo niecenzuralnych – a następnie wytlukła część obiadowej zastawy. Ręce pokaleczyła odłamkami porcelany, ale nikomu nie pozwoliła się dotknąć, żeby opatrywać rany. Wywołany telefonicznie ze szpitala doktor zjawił się natychmiast i podał jej jakieś medykamenty, po których Sofijka nieco oprzytomniała. Uspokoiła się. W przeciwieństwie do Bronka, który przez wiele godzin nie mógł znaleźć sobie miejsca. Wciąż widział miotającą się po jadalni matkę i plamy krwi na jej sukience, na twarzy, na dębowej posadzce...

To dlatego był wtedy w korytarzu i dlatego ich podsłuchiwał. A potem powtarzał łacińskie wyrazy przez całą noc, żeby wryły mu się w pamięć – nie chciał ich notować, żeby przypadkiem nie natknęła się na nie matka albo służąca. *Treponema pallidum*, *Treponema pallidum*... Następnego dnia sprawdził ich znaczenie w jednej z medycznych książek w bibliotece ojczyma. Chciałby zapomnieć o tym, co tam wyczytał...

I dlatego teraz, chociaż kocha Fełę, chociaż ufa jej jak nikomu innemu na świecie, nie zdoła wypowiedzieć na głos swych obaw i wstydu. To, co go dręczy, ubierze w ogólniki.

– Kiedy choroba przybiera na sile, matka robi się bardzo dziwna. Drażliwa, nerwowa. Czasami mówi straszne rzeczy, jakby coś w nią wstąpiło. Jakieś obce moce. Nie jest sobą. Boję się jej wtedy, Felu. I boję się o nią, że może sobie zrobić krzywdę... Wiem, że przyjdzie czas, gdy doktor nie zdoła dalej powstrzymywać lekami rozwoju choroby. A wówczas zostanę z nim sam, na domiar złego w tej okropnej Warszawie, gdzie czuję się nie na miejscu, gdzie nie mam żadnych przyjaciół. Gdybym tylko mógł, w jednej chwili wróciłbym do Lwowa, ale tam też już nikogo nie mam. Dziadek nie żyje, z rodziną ojca nie

wiedziałem się od wieków... Nie mam do czego wracać, tu z kolei zawsze będę obcy.

– Nie mów tak.

– Kiedy tak właśnie jest, Felu. Niby chodzę do świeckiej szkoły, a jednak i tam jak w soczewce widać wszystkie społeczne nastroje, podziały. Niby jeszcze nikt mi nie każe siedzieć w osobnej ławce, a i tak czuję się wykluczony. We Lwowie było inaczej, tam wszyscy mnie znali, znali matkę i doktora, szanowali dziadka. W Warszawie na zawsze pozostanę tym Żydkiem, co to nawet do synagogi nie chodzi; niedookreślonym dziwadłem o jasnych włosach, z kresowym zaśpiewem w głosie. Tutaj wszyscy próbują mnie wtłoczyć w jakieś ramy, chociaż nawet ja sam nie wiem, kim jestem... Nie czuję się ani Żydem, Felu, ani tym bardziej Polakiem, mimo że mój rodzony ojciec nim był...

– Był Polakiem?

– Tak. Ale niewiele o nim wiem. Matka niechętnie go wspomina. Podobno studiował u mojego dziadka, tak się poznali z mamą. Ona była jeszcze bardzo młoda, a jednak szybko wzięli ślub, więc chyba łączyło ich uczucie. Ojciec zmarł na zapalenie płuc, zanim skończyłem trzy lata. W ogóle go nie pamiętam. Nie wiem nawet, jak wyglądał, w domu nie mamy ani jednego jego zdjęcia. Z siostrą ojca, ciotką Magdą, mama też zerwała stosunki. Ciocia chyba się na nią obraziła, że tak szybko pocieszyła się po śmierci męża. Że doktor Szymon mnie usynowił, dał nazwisko. A to taki szlachetny człowiek. Dobry dla mnie, dla matki. Gdyby nie on, nie wiem, co by z nią było...

– Zobaczysz, wkrótce znowu poczuje się lepiej.

– Nie powinienem był ci o tym mówić. Roztkliwiam się nad sobą jak baba.

– Ależ oczywiście, że powinienes. Gdybym tylko mogła ci jakoś pomóc, gdybym... Bronuś... – Słowa więzną jej w gardle. – Przecież ty wiesz, że ja... a teraz... Mój Boże, jakże mi tu będzie pusto bez ciebie, jak strasznie. A ciocia Lucia na pewno samej mnie nie puści, żebym do ciebie, do Warszawy, kolejką pojechała.

Bronek odwraca się do Feli. Patrzy w jaśniejące w ciemności oczy. Jest poważny, skupiony.

– Może jak do rodziców kiedy przyjedziesz, to i ze mną się spotkasz?

– Wiesz, że ja do nich rzadko jeżdżę. Na Wszystkich Świętych najwcześniej, a i to nie na pewno. Prędzej matka tutaj przyjedzie. Ona i ten... – Urywa.

Bronek szczęśliwie puszcza ostatnią uwagę mimo uszu.

– Obiecuj mi, Felu, że będziesz do mnie pisać. Dobrze? I ja będę pisał. A za rok pewnie znowu przyjadę do Anina na lato. Znowu pójdziemy na bagna oglądać świetliki. Nic się nie zmieni. – Palcami muska policzek dziewczyny. – No, Felusiu, tylko nie płacz, bo mi serce pęknie. Wiesz, że i ja ciebie... i ja też nie zapomnę... Nic nas nie rozdzieli. Obiecuję.

Przysuwa się do niej bliżej. Serce wali mu w piersi. Gwiazdy osypują się z sierpniowego nieba. W trawie świerszcze cykają tak donośnie, że aż cały świat dygoce. Fela też drży w środku, przymykając powieki i nadstawiając usta do pocałunku.

I wtedy w ciszę ogrodu wdzierają się odgłosy kroków na żwirowej ścieżce. Fela odsuwa się od chłopaka. Przejęta strachem wciska się w najciemniejszy kąt altany. On podrywa się i staje tak, by zasłonić dziewczynę. Jednak nim to zrobi, intruz wdzierają się do środka.

– A! Tuście sobie, robaczki, urządziły schadzkę.

Robdeszan zamaszycie zamiata trawę, żar z papierosa jaśnieje w ciemnościach.

– To pan?

Fela z westchnieniem ulgi wychyla się zza pleców Bronka. Mężczyzna ukazuje w uśmiechu krótkie, zażółcone nikotyną zęby. Scenicznym gestem odgarnia z czoła pukiel włosów.

– A owszem, ja. Chociaż, jak widzę, spóźniłem się i panna Fela ma już swego Romea. – Z rozbawieniem wciela się w rolę zdradzonego kochanka.

– Pan sobie ze mnie jak zawsze dworuje.

Fela tylko udaje oburzenie, w głębi duszy cieszy się, że to nie matka czy Tarnawski nakryli ją z Bronkiem.

– Jestem śmiertelnie poważny. – Pisarz nie ustaje w odgrywaniu komedii. – Do tej chwili naiwnie wierzyłem, że tylko moim awansom panna Fela życzliwa. A tu proszę, nóż w serce. Uczucie panny, jak widzę, skradł ten tu oto pan Broniek.

– Tylko rozmawialiśmy – tłumaczy nerwowo chłopak.

– Już ja znam takie rozmowy. Może nie wyglądam, może pamięć nie ta, włos siwy na skroni i poradlone czoło, ale o czym się z pannami nocą w altanach rozmawia, to imaginować sobie jeszcze potrafię. I że z tego nic dobrego nie przyjdzie, szczególnie gdy się te rozmowy przeciągną, a matka kawalera dalej będzie za synem oczy wypatrywać, to też wiem.

– Mama mnie szuka? Wróciła?

– W rzeczy samej. Czemużby miała nie wrócić? Niestety zaniepokojona nieobecnością latorośli, która podobno walizy miała dopakować, przypadkowo napotkanego w korytarzu postanowiła posłać na zwiady. I oto jestem.

– Dziękuję panu. Już do niej idę.

Mówiąc to, Broniek nie rusza się jednak z miejsca. Zamiast od razu opuścić altanę, ostatni raz odwraca się do dziewczyny. Nie tak miało wyglądać ich pożegnanie. Nie będzie pocałunków i łez ani obietnic szeptanych do ucha. Nie przy świadku, rozbawionym panu pisarzu, który ciekawie im się przygląda i najwyraźniej nigdzie się nie wybiera. Może Broniek zrobić tylko jedno.

Wyciąga rękę, chwyta jej dłoń i potrząsa nią delikatnie.

– No to... do zobaczenia, Felu.

– Do jutra.

W głosie dziewczyny pobrzmiwa rozczarowanie. Jutrzejszego ranka w obecności pozostałych będą musieli zachować pozory. Fela chyba nie zdoła powstrzymać łez, lepiej więc będzie, jeżeli w ogóle nie zejdzie do holu. Wymówi się bólem głowy, żeby sobie oszczędzić wzgardliwego, pełnego triumfu uśmiechu matki. Zamknie się w pokoju i nakryje głowę poduszką, żeby nie słyszeć dźwięku zatraskiwanej furtki. I zaciśnie zęby. I zaciśnie pięści. A wtedy pewnie znowu najdzie ją to efemeryczne uczucie gniewu, ucisk głęboko w trzewiach, którego tak często doświadczała, zanim pojawił się Broniek. Gniewu, którego żadną mocą nie potrafi pohamować, który zmusza ją, by robiła rzeczy straszne. Bo tylko wtedy czuje ulgę, tylko wtedy ucisk mija...

– To ja już będę szedł. Zobaczymy się przy śniadaniu. – Broniek puszcza dłoń Feli. – Dobranoc panu. – Kłania się pisarzowi, po czym szybko wybiega z altany.

Zostają tylko we dwoje. Noc i rozgoryczenie.

Mężczyzna podchodzi do dziewczyny. Już się nie uśmiecha. Patrzy na nią uważnie, spokojnie. Głaszcząc delikatnie po włosach. Przygarnia ramionami i kołysze w nich miarowo, łagodnie, jak ojciec.

– Teraz to bardzo boli. Ale uwierz, kiedyś przejdzie. Zawsze przechodzi.

*

– Co robisz, Felu?

Wieczór już zapada nad lasem. Kostuś, znudzony układaniem domku z patyków pod tarasem, podchodzi do krzewu kaliny, gdzie kłęczy jego siostra. Fela zawzięcie wykopuje palcami dołek w ziemi. Wydrapuje paznokciami kamyki, odrzuca je na bok, tam, gdzie pośród traw leży niewielki szary kształt.

– Co tam masz?

– Piskłę – rzuca sucho, nie odrywając się od pracy.

– A skąd je masz? Jest martwe?

– Po co pytasz, skoro widzisz... Znalazłam je.

– To wróbelek?

– Raczej drozd.

– Dziwnie ma łebek przekrzywiony... Może przypadkiem wypadł z gniazda?

– Może. Chociaż myślę, że matka go nie chciała i po prostu nie wykarmiła.

– Zakopiesz go tutaj?

– Tak. Chodź, pomożesz mi.

– Kiedy się brzydę.

– Nie ma czego, Kostek. Nie bądź beksa. Chodź.

Ponad lasem zrywa się wiatr. Sosny szumią o zupełnie innym czasie i całkiem innym miejscu.

*

Gdy się nieopatrznie zaczęło zabawę zapałkami, nie ma co się potem dziwić, że wybucha pożar. I tak podczas kilku sierpniowych dni – między powrotem Bronka do Warszawy a wyjazdem matki i jej kochanka do Zakopanego – strzelają pierwsze iskry i ogień zaczyna się tlić.

Tarnawski zachodzi do jej pokoju kilka razy, niby to przypadkiem, gdy Róża zapada w popołudniową drzemkę – podobno dla urody, chociaż żeby i sto lat przespała, ładniejsza nie będzie. On jak gdyby nigdy nic zjawia się wtedy u Feli. I czasami rzeczywiście nic nie chce. Tylko z nią rozmawia, jak wcześniej nigdy nie rozmawiał. Droczy się, śmieje, żartuje. Wypytuje o plany na przyszłość. Medycyna? Chciałaby Fela studiować medycynę? A to dopiero! To on jej przy następnej okazji przywiezie jakieś książki. Niech się Felusia pouczy o anatomii. Ha, ha, ha. O anatomii, rozumie Fela, co to anatomia, prawda, Felu?

Ale czasami chce czegoś więcej niż pogawędki. Wtedy kładzie poufałym gestem ręce na jej ramionach. Mimochodem muska dłońią policzek, gdy ona coś mówi. Taka to niemal ojcowska, nic nie znacząca czułość. Fela mu na to pozwala, bo zła jest na cały świat, na matkę i na los przebrzydły, który sprowadził do niej Bronka, a potem go jej odebrał. Pozwala, chociaż nie bez wstrętu i mimo że cała się na to wzdryga. Pozwala, bo każdy dotyk ofiarowany jej przez wujka – jak Tarnawski chce, by się do niego zwracała, gdy są sami – to zarazem dotyk zabrany Róży. To kara dla matki za tamten policzek, za oschłość i zaniedbanie. Zaniechanie. Dlatego zaciska powieki i myśli, że to Bronek. Jego ręce, jego oddech...

W kolejnych miesiącach wiele razy będzie to sobie wyobrażać.

3

Nie pamiętam, kiedy stało się to po raz pierwszy. Być może wcześniej, niż wtedy, pod koniec studiów przed Bożym Narodzeniem, gdy chciałam skłonić Miłosza do spędzenia świąt w Jugowie. Tyle że wyparłam najboleśniejsze, najbardziej niewygodne wspomnienia. Ciało zawsze goi się najszybciej. A niepamięć mu w tym pomaga.

Jednak przemoc nie rodzi się nagle.

Jej symptomy musiałam odnotować wcześniej, ale je zignorowałam. Nasz związek od początku miał burzliwy emocjonalnie przebieg i często dochodziło do kłótni w typowo włoskim stylu. Inwektywy latały po mieszkaniu równie często co talerze, a potem także ubrania zrywane na zgodę. Miłosz nie był miłym chłopcem, skrywał wiele tajemnic. Nieprzypadkowo zbudowany był jak atleta, miał plecy sztangisty i pięści jak bochny chleba. Bez przerwy trenował, i to nie tylko dla zachowania formy. Po prostu chciał czuć w sobie siłę, wzbudzać lęk. Kiedy go o to wprost zapytałam, powiedział, że dzieciństwo na przedmieściach Warszawy to nie kaszka z mleczkiem czy imieniny u cioci i albo ciebie bili i byłeś frajerem, po prostu nikiem, albo ty biłeś i na dzielni byłeś kimś. Takie panowały zasady, a Miłosz nie był frajerem ani typem ofiary. Podobnie tłumaczył się z posiadania tatuaży – tylko część z nich zrobił profesjonalny tatuator, resztę podobno wydziarał mu kumpel. Błędy młodości, mawiał, ale nie do końca wierzyłam, że całkowicie wyrósł z buntu. Niepokorność została mu we krwi.

Ten bunt i agresja często dawały o sobie znać w trakcie naszych miłosnych zabaw. Miłosz zawsze w pewien sposób mnie gwałcił – chociaż to chyba nie do końca właściwe określenie, bo przecież się na to godziłam. W każdym razie na pewno niebezpiecznie zbliżał się do umownej granicy tego, co dopuszczalne. A mnie i sam akt seksualny traktował bardzo przedmiotowo. Na początku uważałam, że to pociągające, podniecające, bardzo samcze. Zadrapania i siniaki

na ciele nosiłam niczym erotyczne stygmaty, namacalne znaki, że do niego należę.

Już nie pamiętam, jak dokładnie potoczyła się rozmowa, podczas której zaproponowałam, abyśmy pojechali razem do Jugowa. Wiem tylko, że Miłosz kręcił na to nosem. Twierdził, że nie znosi świąt i nie ma ochoty na rodzinne szopki. Uspokajałam go, że w domu mojej matki wcale się ich nie celebruje – posiedzimy, pogadamy i będzie fajnie. Może pójdziemy w góry na spacer albo pojeździmy na nartach? Na Przełęczy Jugowskiej i dalej, w Rzeczcze, są wyciągi.

Pamiętam, że rozmawialiśmy w kuchni – wtedy jeszcze niewyremontowanej – a ja, roztaczając swoje kretyńskie wizje cukierkowej familijnej atmosfery, miotalam się coraz bardziej.

W kolejnym wspomnieniu jestem już w wannie z lodem, w której mnie zostawił, zanim opuścił mieszkanie. Siniaki z twarzy i z piersi, z pośladków i ud zeszły dopiero po sylwestrze. Pamiętam, że bardzo płakałam, czułam się bezradna i wściekła zarazem. I że paląc papierosa za papierosem, czekałam, aż zadzwoni. Ale się nie doczekałam. To był koniec. Odchodziłam od zmysłów. Obrażona i zarazem stęskniona jak pies za panem, skomlała o ostatni czuły gest, o wybaczenie, sprzątałam pobojowisko, które zrobiliśmy wspólnie w mieszkaniu. Zebrałam z ziemi potłuczone talerze, zbite lustro z przedpokoju trafiło na śmietnik.

Matce nakłamałam, że nie przyjadę, bo się rozchorowałam, mam wysoką gorączkę i katar. Uwierzyła. Zresztą nos tak mi spuchł od płaczu, że rzeczywiście brzmiałam jak chora.

To wszystko zostało we mnie, chociaż obraz tamtego zdarzenia jest zatarty. Natomiast wyraźnie pamiętam moment, kiedy Miłosz do mnie wrócił. Najpierw, po przerwie świątecznej, spotkaliśmy się na uczelni. Jak zwykle udawał, że mnie nie zna, lecz na mój widok widocznie coś w nim zmiękło, bo już wieczorem zjawił się na Belgijskiej.

– Przepraszam cię, mała – wymamrotał, patrząc gdzieś obok mnie, w futrynę.

Przyjęłam go w progu. Wszystko się we mnie do niego wrywało, lecz postanowiłam wykorzystać jedną z najskuteczniejszych, choć pretensjonalnych kobiecych sztuczek i grać urażoną księżniczkę.

– Nikt mnie nigdy tak nie potraktował – odparłam chłodno.

Stał skruszony – a w każdym razie na takiego wyglądał – z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, zamyślony.

– Nie wiem, jak mogłem do tego dopuścić. Powinienem zachować zimną krew, ale święta zawsze tak na mnie działają. Wyprowadzają mnie z równowagi.

Milczałam, starając się zapanować nad ciałem. Znowu czułam jego zapach, jego siłę. To, co się działo we mnie w środku, to obezwładniające pragnienie, żeby znowu go dotknąć, było silniejsze niż honor i rozsądek.

– A jednak dopuściłeś...

– Wiele mnie kosztuje, że tu jestem – wszedł mi w słowo. – Nina... ja nie zwykłem przeproszać. Za nic nigdy nie przepraszam. Nie mam za co. Poza tym ty chyba też nie byłaś bez winy, nie sądzisz?

Nie wiem, co sądziłam. Jedyne, o czym marzyłam, to żeby zarzucić mu ręce na szyję, żeby go do siebie przyciągnąć, poczuć jego ciepło. Żeby zdarł ze mnie ubranie, stał dotykami to, co się wydarzyło, żeby we mnie wszedł, wypełnił sobą, żeby było jak dotąd...

– Ale jeśli chcesz, mogę więcej tu nie przychodzić.

Te słowa ostatecznie mnie otrzeźwiły: miałyby więcej nie przyjść?! Miałabym go stracić? Oglądać tylko na uczelni, gdzie mijałyby mnie obojętnie, gdzie byłabym dla niego nikim, jedną z wielu studentek?

Istniała też druga kwestia, chociaż nie wiem, czy w tamtej chwili taka chłodna kalkulacja przeszła mi przez myśl: odejście Miłosza byłoby równoznaczne z problemami ze zdobyciem dyplomu i utratą pracy, wszystkich zleceń. A ja polubiłam swoje dostatnie życie. Do smaku szampana łatwo się przyzwyczaić.

Nie, ta historia nie mogła się skończyć tu i teraz, na klatce schodowej, do tego w obecności wścibskiej sąsiadki zza ściany, wampirzycy dzień po dniu wysysającej życie z własnego męża, której wypłowiawe rybie oko mrugało w wizjerze drzwi naprzeciwko.

Pociągnęłam go do środka...

A może dlatego tak doskonale pamiętam tę scenę, bo później powtarzała się jeszcze wiele razy?

Myślał, że śpię. Długo gładził mnie po twarzy, po włosach, pisał coś opuszkami palców po moich nagich ramionach. Myślałam, że zaraz włoży mi rękę między nogi, a potem, jak to miał w zwyczaju, rozbudzi mnie mocnymi pchnięciami bioder. Lecz nic takiego się nie stało.

Noc się kruszyła i opadała granatem za horyzont, poranek sunął mgliście ponad alejkami parku. W Warszawie zaczął budzić się dzień. Ucichły sowy, zbudziły się drozdy. On tylko głaskał moją twarz, przeczesał palcami włosy. A potem z całej siły mnie przytulił. I zasnął.

Nigdy nie kochałam go bardziej. Od na zawsze do wcale...

*

– Od początku podejrzewałam, że to on.

Justa siedziała naprzeciw mnie przy kawiarnianym stoliku i grzebała łyżeczką w fusach niedopitej kawy.

Minął rok od czasu, gdy skończyłyśmy studia. Ona poszła na staż w ogólniaku dla trudnej młodzieży – spadochroniarzy z lepszych szkół – gdzie uczyła matmy, zarabiając marne grosze, ja programowałam coraz to bardziej złożone systemy informatyczne do analizy danych, zarabiając irracjonalne kwoty.

Nie widziałyśmy się od momentu zrobienia dyplomu. Unikałyśmy kontaktu, zbyt dużo nas obecnie dzieliło. Tak wiele, że dawno zapomniałam, jak na początku studiów byłyśmy sobie bliskie, jak żyte. Wprawdzie Justyna pochodziła stąd, ale podobnie jak ja czuła się nikim. Nie miała lekko, wychowała się na Pradze, gdzie zaznała wszelkich odcieni patologii. Nie miała piersi ani bioder. Była blada, jakby przezroczysta, i wątej postury – w dzieciństwie pewnie nie dojadła – a chłopięcy wygląd niepotrzebnie podkreślała krótką fryzurą. Istny Erno Nemeček. Może dlatego nikt się z nią nie liczył. Ze mną właściwie też, ale w naszym tandemie to ja uchodziłam za tę ładną.

Justyna była cholernie zdolna i cholernie zakompleksiona. Faceci z wydziału traktowali ją jak śmiecia. Drwili, że ubiera się w szmateksie, że przypomina stracha na wróble, a w ogóle to na pewno jest lesbą. Nie wiem, czy była. Może tak. Chyba tak. Chyba się nawet we mnie podkochiwała. Trudno powiedzieć, nigdy nie dała mi tego jednoznacznie odczuć, chociaż przez pewien czas byłyśmy nierozłączne. Zabrałam ją nawet na wakacje do Jugowa. Szwendaliśmy się razem

po sztolniach, łączyłyśmy po górach. Fajnie było. Taka dziewczynska, nieskomplikowana przyjaźń. Matka zresztą też bardzo Justę polubiła i kiedy nasze drogi zaczęły się rozchodzić, miała mi to za złe. Gdy poznałam Miłosa, widywałyśmy się coraz rzadziej, tematy się pokończyły i wreszcie dzwoniłyśmy do siebie tylko w święta i urodziny.

Dzisiejsze spotkanie też nie było zaplanowane, po prostu wpadłyśmy na siebie na Chmielnej i chyba obie poczułyśmy, że nie wypada, aby rozmowa zakończyła się na zdawkowej wymianie pozdrowień. Justa zaproponowała, żebyśmy weszły do pobliskiej kawiarni, a ja nie potrafiłam odmówić. Był to jeden z tych absurdalnych momentów, kiedy wolimy uwikłać się niezręczną sytuacją niż być nieuprzejmi.

Zamówiłyśmy po kawie, ja dodatkowo jakieś ciastko, żeby mieć co zrobić z rękami. Gadałyśmy o pogodzie, o różnych duperelach, potem o pracy. Justyna była ze swojej zadowolona. Nie miała jakichś szalonych ambicji, żyła spokojnie, lubiła swoich uczniów, a oni lubili ją. Zapytałam, jak układa jej się w domu. Powiedziała, że wyprowadziła się od starych, chociaż z nauczycielskiej pensji ciężko jej się samej utrzymać. Wynajmowała mieszkanie z obcymi ludźmi na Żoliborzu, niedaleko szkoły, gdzie uczyła. Miała mały, obskurny pokój, w którym nie było mowy o intymności, a w kuchni jedną szafkę i półkę w lodówce, z której często ginęło masło. A jednak i tak było jej tam lepiej niż w kamienicy przy Żąbkowskiej, gdzie wychodek znajdował się w bramie, a tatuś po pijaku często znajdował drogę do pokoju Justyny.

Ja o sobie prawie nie mówiłam. Było mi głupio opowiadać o weekendach w Paryżu, o jedzeniu krewetek na plaży w Nicei, nowych telefonach, ciuchach, gadżetach, nawale pracy... Myślę, że i bez tego domyślała się, że nieźle mi się w życiu powodzi. Miałam na sobie ze dwie jej pensje.

Zeszłyśmy na temat studiów. W przeciwieństwie do mnie wiedziała, co słyhać u naszych dawnych znajomych. Utrzymywała też kontakt z Piotrkim. Powiedziała, że chociaż ciężko mu było po naszym zerwaniu, to jakoś poukładał sobie życie, że ma dobrą pracę, dziewczynę „na poważnie” i że spodziewa się dziecka. To chyba wpadka, ale jest szczęśliwy. Wziął nawet kredyt i kupił mieszkanie na Kabatach.

Nie powinno było mnie to dotknąć – od rozstania minęło grubo ponad dwa lata – a jednak dotknęło. To mogło być moje życie, nasze dziecko...

Chyba dlatego wypaliłam z tym Miłoszem, chociaż wcześniej nie zamierzałam o nim wspominać. Kiedy Justyna zapytała, czy z kimś jestem, powiedziałam prawdę. Wcale nie była zaskoczona.

– Naprawdę się domyślałaś?

– Ktoś podobno was widział pod politechniką, ktoś inny twierdził, że wpadł na was na mieście. Różne słuchy chodziły po wydziale. A potem przestałaś się odzywać, pozrywałaś kontakty, zaczęłaś nas unikać... Dodałam dwa do dwóch.

– Masz do mnie o to żal?

– Nie wiem. Wtedy chyba miałam. Teraz już mnie to nie obchodzi. Próbowałam sobie jakoś tłumaczyć twoje zachowanie. Usprawiedliwiałam tym, że jesteś zakochana.

– Musieliśmy się ukrywać. Nie mogłam ci powiedzieć. Miłosz naraziłby się u dziekana, gdyby to się wydało. Chyba mnie rozumiesz?

Nie wiem, dlaczego jej się tłumaczyłam, przecież nie musiałam.

– Nieważne, było, minęło. Chociaż... – Urwała.

Przeczesała palcami krótkie włosy. Znowu zamieszała łyżeczką w filiżance. Miałam wrażenie, że jest zdenerwowana.

– Chociaż co?

– Teraz to już nieistotne.

– Justa, do diabła, chyba nadal się kumplujemy, przestań mówić zagadkami. – Byłam naprawdę poirytowana jej dziwnym zachowaniem.

Westchnęła głęboko. Przynęła się do mnie bliżej, tak by nie usłyszeli jej ludzie siedzący przy stoliku obok.

– Wiesz, kiedy się domyśliłam, że związałaś się z Krajewskim, trochę o niego popytałam. Na polibudzie dużo się wtedy o nim gadało i niektóre plotki uważałam za niepokojące. Część z nich na pewno znasz.

– Jakie na przykład?

– Że nadzwyczaj szybko zrobił karierę na wydziale, że jak na tak młodego gościa w ekspresowym tempie dorobił się sporej kasy.

– I co w tym dziwnego?

– W zasadzie nic. Ale były głosy, że nie do wszystkiego doszedł w pełni legalnie. Dlatego zaczęłam o niego wypytywać także poza uczelnią. Zdziwiłabyś się, wiedząc, kto najwięcej miał mi do powiedzenia na jego temat.

– Kto niby?

– Chłopaki ode mnie z dzielni.

– Z Pragi?

– Pan doktor Krajewski wśród praskich cwaniaczków to prawdziwy bohater, przykład kariery od pucybuta do milionera.

– Wiem, że jako dzieciak trochę łobuzował, ale co z tego?

– Jako dzieciak? I jesteś pewna, że z tego wyrósł? Moi kumple uważają, że wciąż ma kontakty z dawnym środowiskiem. Słyszałaś kiedykolwiek o Rudym?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

– To nieoficjalnie jeden z szefów Wołomina.

– Jakich szefów?

– Weź się, Nina, ogarnij. Serio nie wiesz, o czym mówię? Telewizji nie oglądasz?

– Szczerze mówiąc, nie.

– A na studiach to mnie mieli za dziwną. – Uśmiechnęła się krzywo. – To jest koleś z mafii, kiedyś widziałam jego zdjęcie w kronice policyjnej, taki świński blondyn. Parę lat temu, jak zaczynałyśmy studia, przez chwilę było o nim głośniej, bo doszło do porachunków, w których zginął jeden chłopak z Wołomina. Ksiądz. Handlował prochami. Pół miasta chodziło skute jego towarem. A potem znaleźli go poćwiartowanego w studzienkach w różnych miejscach Warszawy.

– Coś pamiętam.

– Moi kumple opowiadali, że nasz doktor znał tego pokrojonego gostka jeszcze z czasów szkoły. Przyjaźnili się. A jak wokół chłopaków z miasta zrobiło się gorąco, zaczęły się wojny i regularne strzelanki, to doktor wyparował.

– Przecież wyjechał wtedy na stypendium.

– Przypadek? Daj spokój.

– A co sugerujesz?

– Nic, ale sądzę, że zmył się, bo ten Rudy, ten ich cały szef, chciał go ochronić. Pomyśl racjonalnie. Może Krajewski jest w strukturach cenniejszy niż

uliczni handlarze amfą.

– Bzdury.

– Bzdury albo i nie. Słyszałam, że pan doktor robi w tym szemranym towarzystwie za białe rękawiczki.

– Czyli?

– Załatwia wyłącznie najczystsze sprawy, inwestuje kasę, kupuje za nią legalnie mieszkania, ziemię, udziały w spółkach, różne takie rzeczy. Pewnie z racji wykształcenia robi też za hackera. Dzisiaj już mafia nie wygląda jak dekadę temu, inwestuje w legalne biznesy, lobbuje polityków, a do tego potrzeba właściwych ludzi: obytych, wykształconych, na poziomie.

Zmroziło mnie. O czym ona opowiada? Co to za brednie? Miłosz współpracował ze świadkiem przestępczym? Po co? Miał świetny fach w rękę, był szanowanym w środowisku naukowcem – powiodłam spojrzeniem po sali. Nikt na nas nie patrzył, a jednak miałam wrażenie, że wszyscy słyszeli naszą rozmowę.

– Nie wierzę w to. Miłosz nie ma z tym nic wspólnego.

– Pewna jesteś? Uważasz, że wszystko o nim wiesz? Dałabyś sobie rękę za to uciąć? – Zawiesiła głos. – Zresztą może to ty masz rację. Może i jest niewinny. Ja tylko przekazuję, co słyszałam od ludzi. Po starej przyjaźni, żebyś się miała na baczności. Zrobisz z tym, co zechcesz.

*

Prawda jest taka, że nic o Miłoszu nie wiedziałam. Wolałam nie wiedzieć. I tylko od czasu do czasu pojawiały się dziury – jak te w matrixowym systemie – przez które wyciekały do mnie różne fakty z jego życia, a wtedy z pojedynczych puzzli starałam się zbudować w miarę pełen obraz człowieka, którego kocham. Takie sytuacje zdarzały się nieczęsto, a gdy już do nich doszło, żałowałam, że w ogóle miały miejsce. Tak było na przykład w czeskiej Pradze.

Spędziliśmy nad Wełtawą przedłużony weekend. Miłosz miał się z kimś spotkać w interesach i postanowił połączyć przyjemne z pożytecznym. Zabrał mnie ze sobą. Rozmowy biznesowe nie trwały długo, wobec czego resztę czasu spędziliśmy na spacerach po mieście, zwiedzaniu Hradczan i przesiadywaniu

w uroczych piwnych knajpkach, rozsypanych wokół Rynku Staromiejskiego. I właśnie w jednym z takich miejsc doszło między nami do ciekawej rozmowy.

Zjedliśmy właśnie jakieś knedliki z modrą kapustą, pijąc do tego sporo piwa, więc musiałam wyjść na chwilę do toalety. Gdy wracałam, uchwyciłam, jak Miłosz flirtuje z młodziutką cycatą kelnerką w bawarskim stroju. Już gdy nas obsługiwała, widziałam, że wpadła mu w oko, i poczułam ukłucie zazdrości. Teraz o czymś zawzięcie dyskutowali. Ona nachylona, przeżyła się przed nim frywolnie jak w godowym tańcu – pieprzona Heidi! – on, rozbierając dziewczuchę wzrokiem, szczerzył kły niczym głodny wilk. Dobrze znałam ten uśmiech i to spojrzenie.

– Nie przeszkadzam? – Opadłam na swoje krzesło, przerywając sielankę i gromiąc oboje wzrokiem.

Kelnerka zachichotała tylko, po czym w mgnieniu oka się wyprostowała i umknęła na zaplecze.

– Właśnie zamawiałem nam po jeszcze jednym piwie.

Udawał, że nic się nie stało.

– Flirtowałeś z nią.

– Daj spokój – rzucił niedbale, ale uśmiech spelzł z jego ust. Usztywnił się.

– Wystarczy, że zniknę na chwilę, a ty od razu ślinisz się do jakiejś siksy?

– Naprawdę przesadzasz.

– Ani trochę. Myślisz, że o tym nie wiem, że nie widzę, jak czasami patrzysz na inne kobiety? – Nakręcałam się.

– Nina, daj spokój. Jest miło i niech tak zostanie.

– Już nie jest miło. Zdobyłeś jej numer? A może zaprosiłeś ją do nas do hotelu na noc? Taki trójkącik, super by było, nie? Wiem, że byś chciał.

– Każdy facet by chciał. Ale to nie znaczy, że każdy tę fantazję realizuje.

– Ale dla ciebie przecież nie ma rzeczy niemożliwych. Zawsze powtarzasz, że masz wszystko, czego zapragniesz.

– Jeśli się nie uspokoisz, nie będę z tobą rozmawiał.

– No pewnie... – Nie wiem, co we mnie wstąpiło. – A może w przeszłości miałeś już okazję tak się bawić, co?

– Jesteś stuknięta. Poza tym to nie twoja sprawa. – Zaplótł ręce na piersi. Lewa powieka zaczęła mu drgać. Nerwy mu puszczały. – Nie masz pojęcia, czego chcę i jak się w przeszłości bawiłem – wysyczał wreszcie przez zęby.

– Zatem mnie uświadom.

– Chcesz wiedzieć?

To zabrzmiało jak groźba. Stapałam po kruchym lodzie, jednak było już za późno, żeby się wycofać.

– No dalej, zdradz, z iloma kobietami przede mną spałeś!

W tym momencie kelnerka doniosła piwo. Już się nie wdzięczyła. Otaksowałam ją spojrzeniem bazyliuszka, ale nie zareagowała. Znowu zachowywała profesjonalny dystans. Chociaż rozmawialiśmy po polsku, musiały wyczuć panujące przy stoliku napięcie. Szybko się zmyła, zabierając puste talerze i kufle.

Miłosz upił łyk pilznera, otarł usta z piany, rozsiadł się wygodnie na krześle i obrzucił mnie spojrzeniem, jakby jeszcze raz pytał, czy na pewno jestem gotowa to usłyszeć. A potem zaczął snuć opowieść, nie szczędząc intymnych detali.

Miał niewiele ponad trzydzieści lat, a tych kobiet było całe mnóstwo. Dziesiątki, może nawet setki. Nie liczył ich i podobno nawet nie traktował jak trofea, jak czegoś – kogoś – ważnego, wyjątkowego. Twierdził, że w hierarchii wartości kochanki plasowały się u niego u samych podstaw piramidy Masłowa – na równi z potrzebą picia, jedzenia, wypróżniania się czy snu. A mimo to wszystkie te idiotki same do niego lgnęły, godząc się absolutnie na wszystko. Dawały mu, co chciał, on zaś w zamian dawał niewiele lub nic. Nie zapamiętywał nawet ich imion. Tylko twarze, cycki, dupy, zapachy, kolory, kształty wagin i gęstość owłosienia. Wszystkie stanowiły jedynie tło właściwych wydarzeń – studiów, rozwijającej się kariery naukowej, wreszcie wyjazdów za granicę, coraz fajniejszych samochodów, coraz większych mieszkań – były bohaterkami drugiego planu, statystkami rzeczywistości. Do każdego życiowego epizodu Miłosz miał przyporządkowaną jakąś kobietę.

Na przykład na studniówce była to matka kolegi; stara, ale dobrze zakonserwowana. Kojarzyła mu się z zapachem kapusty, bowiem przeleciał ją w szkolnej kuchni, gdy właśnie mieszała w garze bigos przygotowany na imprezę. Matura z kolei miała blond włosy i sarnie oczy. Chodziła do tego

samego ogólniaka co on. Była dwa lata młodsza i panicznie bała się, że zajdzie w ciążę, dlatego albo mu obciągała, albo ją Miłosz brał od tyłu. Potem były egzaminy na politechnikę i dziewczyna, którą poznał w podmiejskiej kolejce. Miała krzywe nogi i ciemny puch nad górną wargą. Jej włosy pachniały spalonym olejem, ale była spolegliwa i lubiła eksperymentować. W kółko, nawet podczas stosunku, paplała o swojej robocie w otwartej zaledwie kilka tygodni wcześniej, przy Sezamie na Marszałkowskiej, amerykańskiej restauracji. Ponoć innej niż wszystkie.

Pierwszy rok studiów to był jakiś amok. Blondynki, brunetki, szatynki, niskie, wysokie, grube i chude, wyzwolone i pruderyjne – żadnej dokładnie nie zapamiętał. Zaangażował się dopiero w kolejnym roku. Kupował swoje pierwsze mieszkanie – jakąś kawalerkę na Woli, w komplecie z prusakami i stęchlizną pod wykładziną. Szarooka chuda szatynka z biura nieruchomości dosyć długo okrętowała w Miłoszowej rzeczywistości. Mówiła nawet, że go kocha, i on też czasem jej to mówił, chociaż nie kochał wcale. Za to podobała mu się rola ofiary, w którą wchodziła. Lubiła, gdy ją bił i krępował sznurem. On z kolei lubił patrzeć w jej bezdennie smutne oczy. Potem zaś pozbył się i kawalerki z prusakami, i szarookiej. Nawet sadyzm może człowieka znużyć.

Zresztą pojawiła się wreszcie ta, do której też wprowadzie nic nie czuł, ale z którą myślał, że się kiedyś ożeni. Była zupełnie inna niż poprzednie. Córka profesora z politechniki, u którego Miłosz robił doktorat. Drobna, złotowłosa, piegowata, o skórze tak białej i cienkiej, że niemal dało się dojrzeć krew pulsującą w jej żyłach. Bardzo niepozorna, dziewczęca, ale i niezwykle inteligentna, czytana. Imponowała mu, wydawała się godnym przeciwnikiem. Z pozoru chłodna, opanowana, bez ubrania zmieniała się w dzikiego kota. Lubiła igrać z ogniem i przekraczać granice. Lubiła bawić się jak Miłosz i może naprawdę coś by z tego wyszło, gdyby nie fakt, że właśnie wtedy dostał zaproszenie z Uniwersytetu w Maryland w Waszyngtonie. A pieguska okazała się rogata i nie zamierzała rezygnować z własnych planów dla faceta i lecieć za nim za ocean.

Potem była Meksykanka, Afroamerykanka, Portorykanka – czasami wszystkie naraz – i mnóstwo białych studentek z kampusu o prostych,

śnieżnobiałych zębach i dokładnie wygolonych cipkach, którym brakowało polotu i inwencji, a przez to zlewały mu się w jedno.

I wreszcie Szwecja. Cynamonowe bułki, Ikea, drewniane chodaki, deszczowe lata i długie, zimne noce. Szwedki w przeciwieństwie do aury wcale nie były zimne, a wręcz perwersyjne, i w przeciwieństwie do Amerykanek miały krzywe zęby i bujne, choć jasne owłosienie, co na swój sposób wydawało się Miłoszowi uroczne. Naturalizm jest taki pociągający...

Słuchałam go z uwagą, udając spokój i starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo dotykają mnie jego słowa. On w międzyczasie dopił piwo, ja swojego nawet nie tknęłam.

– ...i wreszcie poznałam ciebie. – Dotarł do końca opowieści. – Zadowolona?

Nie, nie byłam zadowolona. Byłam bliska łez. Nie wiem, czy wszystko, co powiedział, to prawda, czy może trochę konfabulował. Nieważne. Wiem jedynie, że mnie zranił i zrobił to celowo.

Drżącą ręką sięgnęłam po kufel. Pociągnęłam spory haust. Wyjęłam z torebki paczkę papierosów, którą zawsze przy sobie nosiłam. Na wypadek gdybym musiała ukoić nerwy. Miłosz nienawidził mojego nałogu, więc starałam się przy nim nie palić, lecz teraz miałam to w dupie. Dobyłam papierosa z paczki, przypaliłam, zaciągnęłam się dymem. Poczulałam, jak wypełnia mnie zubożeniem. Nie chciałam dać mu satysfakcji, nie zamierzałam się rozklejać. Przez lata spędzone na emocjonalnej huśtawce i ja nieco zhardziałam. Postanowiłam odbić piłeczkę.

– Wiesz, to faceci są zazdrośni o byłych kochanków. My, kobiety, jesteśmy zazdrosne tylko o wasze przyszłe związki – rzekłam ze ściśniętym gardłem, uśmiechając się sztucznie.

– Doprawdy? – On też się uśmiechnął. – To dobrze...

Oboje wiedzieliśmy, że przy następnej okazji zastanowię się trzy razy, zanim namówię go na zwierzenia.

*

Pewnej nocy ostatniego lata, zanim zniknął, obudziłam się tknięta złym przecuciem. Łóżko obok mnie było puste. Przeszłam na palcach do dużego pokoju. Pachniało farbą. Na środku piętrzyły się pudła z nierozpakowanymi

jeszcze nowymi meblami. Pod ścianą, zamiast starej amerykańki i regału na wysoki połysk, stała drabina i leżały narzędzia zostawione na weekend przez ekipę remontową. Na podłodze walała się folia malarska.

Miłosz trwał nieruchomo jak posąg w uchylonych drzwiach balkonowych. Nagi, muskularny, spowity mrokiem. Piękny. Patrzył na park. Gdzieś z dołu od Belwederskiej niósł się sygnał karetki. Podeszłam i przyłgnęłam do jego pleców. Drgnął, ale się nie odwrócił. Długo tak trwaliśmy, ja wklejona w niego, on wklejony w noc – miał taką chłodną skórę – aż wreszcie rzuciłam cicho:

– Zmarzłeś. Wracajmy do łóżka.

Nie zareagował na moją prośbę. Głuchym, nieswoim głosem powiedział za to coś, co raczej kierował do siebie niż do mnie:

– Inaczej to sobie wyobrażałem.

– Co sobie wyobrażałeś inaczej?

– Wszystko... Ciebie.

– O czym ty mówisz? Nie rozumiem.

– Nie powinienem był cię wtedy zabierać z przystanku. Nic nie jest takie, jak być powinno... Boję się. Czuję, że tracę kontrolę – dodał na koniec i nie było w tym zdaniu ani złości, ani rozczarowania, raczej zdziwienie i bezradność.

Zupełnie nie rozumiałam, o co mu chodzi. Czy aby na pewno mówił wyłącznie o nas? O mnie? Czego się bał? Czy jego niezwykle zachowanie miało coś wspólnego z tym, co powiedziała mi Justa, a co ja tak starannie wypierałam? A może chodziło o coś zupełnie innego? Chciałam go o to zapytać, lecz uznałam, że nie jest to właściwy czas i miejsce.

Chwilę później wróciliśmy do sypialni i zapadłam w sen, który wyplukał ze mnie wszelką chęć analizowania jego słów. A rano wszystko było po staremu, Miłosz znowu był sobą. Znowu był silny.

*

Grudzień, szaruga i mrok. W parku Promenada nie było żywego ducha. Nikt nie miał czasu ani ochoty na spacer, wszystkich owładnęła przedświąteczna gorączka. Z radia płynęły dźwięki radosnego amerykańskiego dżingelbelsa. Bożonarodzeniowa szopka, wszechobecne światełka, bombeczki, kolędy, zapach goździków i cynamonu zwykle doprowadzały mnie do rozstroju nerwowego.

Zwykle tak, a tamtego wieczoru jakoś nie. Nic nie mogło wyprowadzić mnie z równowagi. Na dzień przed Wigilią byłam uosobieniem samokontroli i spokoju. Czułam się szczęśliwa – Miłosz zgodził się pojechać ze mną do Jugowa.

Wokoło pachniało świerkiem, który kupiłam pod wpływem impulsu, a który teraz nieubrany – i w takiej formie najpiękniejszy – stał w rogu pokoju. Deszcz wygrywał perliste preludia na szybach. Za ścianą panowała cisza – mąż sąsiadki umarł jesienią i stara nie miała już się na kim wyżywać; było mi jej nawet szkoda i zamierzałam przed wyjazdem zajrzeć tam, aby złożyć życzenia.

Tymczasem jak oszalała krzątałam się po swoim eleganckim, niedawno odremontowanym mieszkaniu, dopakowując walizki. Czułam radość i podniecenie na myśl o wizycie u matki. Od trzech lat nie spędziłyśmy świąt razem. Trzy lata... A teraz miałam do niej pojechać. Mieliśmy pojechać z Miłoszem! Do starego poniemieckiego domu, położonego wśród lasów i gór, w miejscu, o którym przez lata myślałam, że nic dla mnie nie znaczy, a jednak znaczyło wiele. Im więcej czasu mijało, odkąd stamtąd wyjechałam, tym bardziej tęskniłam za wszystkim, co zostawiłam: za beztroskim dzieciństwem, niebezpiecznymi zabawami w tajemniczych sztolniach, dawnymi znajomymi, a nawet za matką. Rzadko się teraz widywałyśmy, raz, najwyżej dwa razy do roku, i zwykle to ona przyjeżdżała do mnie do Warszawy. Wpadała na kilka dni. Tak to ustawiałam, żeby Miłosza nie było wtedy w mieście, bo wciąż nie wykazywał ochoty, aby ją poznać.

Oczywiście co roku zapraszała nas na święta, ale zawsze coś nam w ostatniej chwili „wypadało”.

Teraz miało być inaczej. Miłosz obiecał, że będzie inaczej. Nie wiem dlaczego, lecz uroiłam sobie – idiotka! – że może jego zgoda ma jakiś dodatkowy wymiar, że coś oznacza, jest formą deklaracji. Że Miłosz wreszcie zrobi kolejny ruch i poprosi mnie o rękę. I będzie jak u normalnych ludzi: ślub, potem dziecko. I będziemy żyli długo i szczęśliwie. A jeśli nie do końca szczęśliwie, to może chociaż ciekawie...

Rozmyślałam o tym, pakując prezenty dla matki i dla niego. Długo i z namysłem je wybierałam, żeby były wyjątkowe i sprawiły im prawdziwą przyjemność. Dla niej kupiłam mnóstwo książek, dla niego przedwojenną szelakową płytę z ariami Carusa...

Czas mijał. Wszystko, co miałam do zrobienia, zrobiłam. Chciałam, żeby Miłosz już wrócił, powinien porządnie wypocząć przed drogą. Mogliśmy pojechać pociągiem, ale uparł się, żebyśmy odbyli tę podróż samochodem, że tak będzie szybciej i wygodniej, dlatego nie kupiłam biletów. Teraz żałowałam, że mu uległam; na drogach szklanka i przy takich warunkach jazda zajmie najmarniej siedem godzin...

Miałam tę myśl z tyłu głowy, ale jeszcze się nie denerwowałam, jeszcze nie zerkalam nerwowo na zegarek, wszystko było pod kontrolą. Minęła zaledwie osiemnasta, a on wybierał się na jakąś firmową wigilię. Obiecał, że wróci koło dwudziestej.

Gdy i ta godzina minęła, ja wciąż byłam spokojna.

Weszłam do wanny, nałożyłam maseczkę na twarz, nalałam sobie kieliszek wina i wzięłam książkę. Próbowałam czytać, ale nie mogłam się skupić. Myślałam o świętach, o tym, jak Miłosz rozpakuje prezent – polował na tę płytę od dawna. Gdzieś na strychu ponemieckiego domu stał pewnie nadal stary gramofon. Może mechanizm wciąż działa, a igła się nadaje? Nastawimy płytę, zasłuchamy się w słowa *Una furtiva lagrima*, niby trzeszczące minionym czasem i setkami ludzkich wzruszeń, ale w naszym przypadku takie aktualne. A wtedy wszystkie westchnienia staną się jednością i skonamy, jak Caruso, z miłości...

Roztaczając te cukierkowe wizje, nasłuchiwałam, czy Miłosz nie nadchodzi, czy nie przekręca klucza w drzwiach. Oczywiście mogłam zadzwonić i zapytać, kiedy będzie, ale tego nie zrobiłam, bo okropnie nie lubił, jak mu przeszkadzam podczas służbowych spotkań.

Wybiła dwudziesta druga.

Butelka była w połowie pusta. Deszcz zaczął zamarzać na szybach. Pomyślałam, że pewnie się z kimś zagadał, dobrze się bawi. W końcu ja też dzień wcześniej byłam na podobnej imprezie i wiedziałam, jak to wygląda; niezobowiązująca atmosfera, wódeczka – bo jak to tak: śledź bez wódeczki? – i ludziom puszczają hamulce. Są tańce na stole, kołnierzyki pod szyją rozpięte, i zasady wszelakie też rozpięte, odpięte, a wtedy języki się rozwiązują i można przy okazji załatwić różne interesy...

Było grubo po północy. Minęła druga. Pusta butelka leżała w śmietniku, ja, podchmielona, siedziałam na balkonie. Paliłam papierosa za papierosem, trzęsąc

się z zimna. Godzinę wcześniej zdobyłam się na odwagę i wysłałam mu wiadomość. Nie odpisał. Byłam wściekła. Przecież nie mógł mnie kolejny raz wystawić. Przecież obiecał. Próbowałam się uspokoić – kilka szybkich oddechów, liczenie do dziesięciu, do stu, do miliona... – ale wiedziałam, że znowu to zrobił, znowu się wycofał w ostatniej chwili, znowu mnie zawiedzie. Nie będzie żadnego wyjazdu!

I wtedy przez otwarte drzwi balkonowe doszedł do mnie odgłos klucza przekręcanego w zamku.

Jednak wrócił!

Natychmiast zgasilałam papierosa i wpadłam do przedpokoju. Kręciło mi się w głowie od wina i może trochę ze złości, więc obraz mi się nieco rozmazywał. Niemniej to, co najważniejsze, było zupełnie wyraźne: Miłosz stał w progu, wpuszczając do środka jakąś dziewczynę. Patrzyłam na nich oszołomiona.

– Kto to?

– Nieuprzejmie tak witać gości. – Uśmiechnął się do mnie z łobuzerskim błyskiem w oku. Miałam ochotę zetrzeć mu go z twarzy.

Rozpiął płaszcz. Pod spodem miał idealnie skrojony garnitur i białą koszulę. Był jak zwykle elegancki, pociągający, chociaż podobnie jak ja nieco wstawiony.

Dziewczyna na oko wydawała się kilka lat ode mnie młodsza. Miała czarne, kręcone włosy, pomalowane na czerwono usta – chociaż trochę już zjadła szminke – i bardzo obcisłą kieckę z lycry, jakie można kupić na każdym bazarze za kilka złotych. Na nią narzuciła tandetne sztuczne futerko. Mimo że była śliczna i bardzo seksowna, to syntetyczny lampart psuł wrażenie i sprawiał, że wyglądała tanio.

– Paliałaś? – spytał Miłosz obojętnie, nie przestając się dziwnie uśmiechać. – Wiesz, że tego nie lubię.

– Kto to? – Zignorowałam zaczepkę, wskazując na dziewczynę.

– Poznajcie się. Aniela...

– Andżela – poprawiła go szorstko.

– No tak. – Wyglądał na rozbawionego jej reakcją. – To jest Andżela, moja koleżanka z pracy.

Uwierzyłabym w to tylko wtedy, gdyby był alfonsem i prowadził burdel.

– Dobrze się bawiliśmy, ale impreza niestety szybko się skończyła, więc pozwoliłem sobie zaprosić Andżelę do nas.

Wyglądał na rozluźnionego, jednak zauważyłam, że próbuje mnie wysondować, jak daleko jeszcze może się posunąć. Odebrał futerko od lamparcicy, powiesił je na wieszaku, sam też się rozebrał. Wskazał jej ręką pokój.

– To może zaczekasz tam, a my zrobimy drinki?

Dziewczyna posłusznie pomaszzerowała do dużego pokoju, a Miłosz pociągnął mnie do kuchni i dokładnie zamknął za nami drzwi. Wyjął z zamrażarki butelkę wódki, z szafki dwa kieliszki. Stałam z boku i przyglądałam się jego ruchom, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

– Zrobisz mi kawy? – rzucił przymilnie przez ramię.

Uważałam, że za późno na kawę. Na mieszanie wódki z kawą tym bardziej – albo chcesz się kompletnie najebać i odciąć zmysłom wentyl, albo wręcz przeciwnie, a wtedy potrzeba ci białego proszku, a nie kawy. Nie rozumiałam, dlaczego Miłosz tak nagle chce wytrzeźwieć, jednak bez dyskusji włączyłam ekspres. Dysze zasyczały i pod wpływem rosnącego ciśnienia zaczęły wypływać smolisty płyn. Czułam, że mnie też przepęlnia coś gęstego i czarnego.

– Co to za dziwka?

– Przecież mówiłem: Andżela. Imię rzeczywiście nieco pretensjonalne. Chociaż może to wcale nie jest jej prawdziwe imię? – zastanawiał się głośno. – Ale sama dziewczyna śliczna, nie sądzisz, Nina?

– Gównu mnie obchodzi, czy śliczna. Niech się stąd natychmiast wynosi!

– Ciii... Nie tak głośno. Wystraszysz nam gościa.

– Nie wiem, co kombinujesz, ale nie wystawisz mnie znowu, rozumiesz? A ja nie wystawię matki. Nie po raz trzeci! Kurwa mać, nie ma mowy!

– I atmosferę świąt chuj strzelił – stwierdził wesoło.

Czułam, że zaraz się rozpadnę na kawałki i rozsypię na kuchennej podłodze. Zapach świerka, prezenty w walizkach, wszystko na nic! Wkurw się rodził, moc truchlała... Patrzyłam na niego wyzywająco, mimo że moje oczy z każdą sekundą stawały się coraz bardziej szkliste.

Udał, że tego nie dostrzega. Nie zareagował też na rzucony przeze mnie bluź, chociaż nie znosił, gdy przeklinałam. Z pokerową twarzą nalał wódki do

jednego z kieliszków i podstawił mi pod nos.

– Nie bądź taka zasadnicza. Nikt nie lubi zasadniczych kobiet. Są zazwyczaj albo brzydkie, albo niedopchnięte, a ty przecież nie należysz do żadnej z tych grup. Napij się.

Wcisnął mi kieliszek w dłoń, sam chwycił filiżankę z kawą i upił łyk.

– Nie będę nic piła. Miłosz, do jasnej cholery, co ty wyprawiasz? Co to wszystko ma znaczyć? Po co ją tu sprowadziłeś?

Dopił kawę, odstawił naczynie i zaplótłszy ręce na piersi, oparł się wygodnie o kuchenny blat.

– Przyprowadziłem ją dla ciebie. To chyba jasne. – Zaśmiał się krótko, nieprzyjemnie. – Taki prezent pod choinkę.

– Pojechało cię do reszty?!

– Słyszałem, że na studiach przyjaźniłaś się z jedną taką, podobno była lesbą, więc pomyślałem, że to lubisz.

Stałam oniemiała.

– Zresztą ja sam też chętnie popatrzę. Będziemy mieli dwa w jednym: prezent dla mnie i dla ciebie. Full zestaw. Fajnie to wymyśliłem, nie?

Zatkało mnie. Było mi słabo, nie wiem, czy bardziej od buzującego w mojej głowie pinot noir, czy od tego, co się tu wyprawiało.

– Jezu, Miłosz, to chore...

– Daj spokój, napij się. Na odwagę. – Nie ustępował. – Zobaczysz, jak będzie miło. Wybrałem ją specjalnie dla ciebie. To podobno pierwsza liga. I możesz mi wierzyć, nie jest to tania zabawka.

Przymknęłam oczy. Niemal słyszałam, jak w żyłach przelewa mi się gorycz i rozczarowanie. Słyszałam, jak gdzieś wewnątrz mnie trzeszczą słowa Carusa, jak umieram. I to wcale nie z miłości. Wiedziałam, że to jakiś chory test, że Miłosz sprawdza, na co mu jeszcze pozwolę. Na ile mnie stać w imię uczucia, którym go darzę – dodajmy: uczucia, mimo spędzonych razem lat, prawdopodobnie wciąż nieodwzajemnionego. Od tego, co teraz zrobię, będzie zależało, jak potoczy się nasza przyszłość.

– Wiesz – rzucił lekko – podobno mężczyźni są zazdrośni tylko o byłych kochanków swoich partnerek, zaś wam, kobietom, nie w smak są tylko nasze

przyszłe podboje...

Przytaczał moją wymyśloną naprędce teorię sprzed wielu miesięcy. Wszystko, co robił, czynił z rozmysłem. Niczym jakiś cholerny psychopata. Tę emocjonalną rozgrywkę na pewno miał zawnazas rozpisaną tak, żeby wciągnąć mnie w pułapkę. Musiałam podjąć decyzję, chociaż każda była zła.

– Idąc dalej tym tokiem myślenia, jeśli to ja zerznę piękną Andżelę, możesz mi tego nie wybaczyć. Lecz jeśli to ty ją przelecisz, nic się nie stanie, bo według teorii mogę mieć do ciebie żal tylko o to, co było. Więc jak, kochanie? Które z nas się z nią prześpi? Wolisz patrzeć czy być oglądana?

Opróżniłam kieliszek. Od razu nalał mi kolejny. Znowu wypięłam. I jeszcze jeden. Na odwagę, żeby nie czuć...

– Chodź, nie wypada, żeby gość siedział sam.

*

Zniknął w nocy z soboty na niedzielę, w połowie marca, niecałe cztery miesiące później. Do tego czasu zdążyłam niemal zupełnie wyprzeć smak ust Andżeli z podświadomości i zapomnieć o wstydzie, który czułam nad ranem po wszystkim, co zrobyliśmy...

A potem przyszła ta noc.

Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się, że jeżeli kiedyś dojdzie do naszego rozstania, to będę w stanie to przewidzieć. A teraz szósty zmysł kompletnie mnie zawiódł. Kobieca intuicja nie zarejestrowała w porę sygnałów nadciągającej katastrofy. Dlatego byłam tak bardzo zdziwiona, gdy obudziłam się w pustym łóżku.

Bez niego.

Obeszłam całe mieszkanie. Zajrzałam do szaf i komód. Zostawił wszystko: ubrania, rzeczy osobiste, kluczyki do volva i dowód rejestracyjny, a nawet gotówkę w kuchennej szufladzie. Telefon komórkowy nadal leżał na nocnej szafce, lecz Miłosz zdążył go wyłączyć. Pociętą kartę znalazłam w śmietniku. Brakowało tylko komputera, bez którego nigdzie się nie ruszał i do którego nigdy nie pozwalał mi zaglądać. Zresztą nawet nie próbowałam; znając go, założył hasło nie do złamania. Jednak teraz to było bez znaczenia. Teraz nie było komputera. I nie było Miłosza.

Miałam nadzieję, że może zostawił mi jakąś wskazówkę, wiadomość, cokolwiek – kilka skreślonych na świstku słów w stylu: nie szukaj mnie, odchodzę do innej, spadaj, mam cię w dupie. Wtedy chyba byłoby mi prościej przyjąć tę sytuację i jakoś ją poukładać; zaplanować rzeczywistość cichych minut, godzin, miesięcy, które miały nadejść. Do czasu, aż rana zakrzepnie.

Ale to był Miłosz. Cały on. Nieliczący się z nikim i z niczym. Dlatego nie było żadnych wyjaśnień, słów pociechy, nie było listów pożegnalnych – żadnego środka przeciwbólowego. Musiałam przeżyć tę sytuację świadomie, na żywca, bez znieczulenia.

Resztę nocy spędziłam w otępieniu, wpatrując się w puste łóżko. Za oknem powoli wstawał dzień. Szary marcowy poranek wnikał do pokoju, oplatając mnie coraz ciaśniej poczuciem beznadziei, a ja dojrzewałam do myśli, że to koniec, że więcej się nie zobaczymy.

A potem powoli zwlekłam się z fotela. Poczłapałam do łazienki, umyłam zęby i wzięłam prysznic. Wciągnęłam dzinsy i sweter. Zaparzyłam sobie kawy i sprawdziłam w „Panoramie Firm”, gdzie znajduje się najbliższy komisariat. Wcześniej taka wiedza nie była mi potrzebna.

Podejrzewałam, że mam przed sobą długi dzień, że czeka mnie wiele godzin składania wyjaśnień, może jakieś przeszukanie mieszkania, zbieranie dowodów, odcisków palców, formalne duperele, których trzeba dopełnić w podobnych przypadkach – nie miałam pojęcia, jak wygląda prowadzenie sprawy zaginięcia, jednak czułam, że nie będzie lekko, i martwiłam się, jak to zniosę. Po nieprzespanej nocy ledwo trzymałam się na nogach, powieki same mi opadały. Byłam taka zmęczona...

Ale lekarz mnie uprzedzał, że to normalne w pierwszych miesiącach ciąży.

III

To nie jest dla Feli dobry rok. Najpierw przez całą jesień i zimę dużo choruje.

Doktor Tarnawski przyjeżdża, by ją zbadać, za każdym razem, gdy tylko Fela zakaszle. I bada bardzo dokładnie, i osłuchuje długo, i nawet grosza za to od cioci Luci nie chce – „po starej znajomości, pani Ratayowa, cała przyjemność po mojej stronie”. No pewnie, że po jego, bo przecież nie po stronie Feli, której niewinna gra dawno już wymknęła się spod kontroli. A cioci jest głupio przez tę ofiarność bezinteresowną, no bo jak to tak, obcy człowiek, a więcej ma serca dla dziewczyny niż własny ojciec. No chyba że pan Mundek taki ofiarny przez wzgląd na Różę. Jednak porządny człowiek. Musi ją kochać szalenie...

Taki parszywy rok. A dalej wcale nie jest lepiej.

W Boże Narodzenie, dajmy na to, dostaje Fela od ojca, jak zawsze, obojętny pocałunek w czoło, a od matki, jak nigdy, stare futro, którego ta już nie zamierza nosić. Piękne, miękkie, z syberyjskich lisów, miło by było w mroźny dzień takie cudo puchate zarzucić na ramiona.

Niestety nie tylko futro dostaje Fela w te święta, ale też ponownie w twarz: bo nie tak spojrzała, bo nie tak się uśmiechnęła, nie tak się zachowała, bo ona chyba specjalnie ciągle choruje, chyba na złość matce na świat przyszła – świat ten bezpowrotnie rujnując! Toteż Fela na złość nigdy futra nie założy. Żeby miała na kamień zamarznąć, żeby całkiem umrzeć miała. Nie założy. Niech lisy mole zeżrą!

A potem przychodzi wiosna, a wraz z nią wiadomość od Bronka, że: „Matka moja coraz bardziej niedomaga, stop, koniec już chyba bliski, stop, doktor odradza wszelkie wyjazdy, stop, wakacje spędzić musimy w Warszawie, stop, i trudno powiedzieć, czy choć na chwilę uda mi się do ciebie, Felu droga, przyjechać, stop. Z sercem złamanem załączam moc pozdrowień. Stop!”.

Serce złamane ma i Felusia. Bowiem wszystko by z pokorą zniosła: umizgi Tarnawskiego i policzków wymierzonych przez matkę tysiąc, gdyby tylko istniał cień nadziei, że latem znowu ujrzy Bronka.

Ale nie ujrzy go ani tego lata, ostatniego przed okupacją, ani przez kilka następnych. Częstotliwość korespondencji wkrótce dramatycznie spadnie, a za jakiś czas ustanie zupełnie.

Mimo to w jej sercu nie zmieni się nic. Jeszcze długo nic się nie zmieni.

*

Wspaniałe wakacje ma za sobą Róża. Była i w Zakopanem – tym razem uważała z peyotlem – i na Riwierze, a dokładnie w królestwie hazardu, gdzie przepuściła w ruletę nieco mężowskiego kapitału.

Kapitał mężowski w Monte Carlo był, ale samego męża nie było. Musiał Adi zostać w Warszawie, bo podobno wojna się szykuje, toteż inne ma rzeczy na głowie. Rzeczy wagi państwowej. Całe lato politykuje z kolegami z partii i naradzają się, i uspokajają nawzajem – bo co im Hitler, ten konus wąsaty, zrobić wielkiego może, kiedy ma Rzeczpospolita sojusze mocne, międzynarodowe, z powagą najwyższą zawarte, i kiedy stoją za nią Paryż do spółki z Londynem i Maryja Zawsze Dziewica. A w koszarach moc militarna tak porażająca, taki jest z Polski hegemon wojskowy, że aż duma człowieka rozpiera. Ułani, ułani, malowane dzieci i szabelki, i koniki...

Wczasowała zatem Róża bez Adiego, choć nie sama, bo z cieniem swym nieodłącznym. I tyle się działo, tyle zabaw, tańców, hulanek zaznała w te dwa miesiące, że czasu na wszystko brakło i do Anina przelotem zaledwie zaglądała. A co zajrzała i córkę swą w życia rozkwicie zobaczyła, to potem kilka dni chodziła skwaszona, wobec czego już wołała nie zaglądać.

Dopiero w drugiej połowie sierpnia zjechała na letnisko na parę dni, kiedy już niemal wszyscy goście uciekli, pomni na wojenne pogłoski, i został tylko pan pisarz. Ale z niego to akurat żadne towarzystwo. Taki zniewieściał, zdzieciniał – z Felą by tylko o głupotach rozprawił, o zabobonach plótł, zamiast z Różą poflirtować. On to chyba w ogóle taki Iwaszkiewicz... Ponudziła się więc kilka dni, pounikała córki, poudawała dobrą bratanicę cieni Lucii i ponierobiła nic.

I wreszcie przyjeżdża on. I znowu jest bajkowo, niemal jak przed rokiem, chociaż podobno w okolicy i wokół całej Warszawy ludzie za łopaty chwytają i rowy przeciwczołgowe kopią. Ale kto by się tym przejmował. Róża się nie przejmuje. Róży wojna nie dotyczy. Róża upaja się ostatnimi dniami wakacji i obecnością kochanka. I tylko trochę ją te akty obywatelskiego poświęcenia, te opowieści o łopatach i rowach wytrącają z równowagi. Na szczęście sosny cudownie szumią, ptaszki słodko ćwierkają, a Karczevska pańskim podniebieniom dogadza. Ciocia do obiadu nalewki podaje, a przyznać trzeba, że po staropolsku, hojnie gości raczy...

I chyba tego dnia za dużo porzeczkówki Róża wypła – rocznik trzydziesty siódmy, najlepszy! – bo nogi ma jak z waty, a język kołkiem w gardle staje. Znak to, że musi zażyć poobiedniej drzemki. Gdy wszyscy od stołu wstają, umyka na werandę, rozkłada się na ulubionym leżaku i przysypia. Pochrapuje cicho. Minuty suną powoli. Nad lasem zbierają się ołowiane chmury, a wreszcie pierwsze krople deszczu uderzają o daszek, wyrzuwając Różę ze snu. Podrzemałaby jeszcze, ale jakże spać przy takich werblach. Deszcz coraz rzęsiściej pada i jeszcze ta mucha, gdzieś ponad głową Róży, jak w transie odbija się od szybek werandy. Pobzykuje żałośnie, tłusta taka, włochata, robacznicza paskudna. Bzyczy i bzyczy, co wytrąca Różę z równowagi i wywołuje u niej zaniepokojenie. Bo która to już godzina? I gdzie się wszyscy podziali?

Podnosi się ospale z leżaka, przygląda sukienkę. Przemierza labirynt korytarzy, wnika w mrok starej leśnej willi. Deski podłogi trzeszczą – w domu o niezliczonej ilości skrytek, schowków niełatwo znaleźć kogoś, kto zechciał się ukryć. Róża nie ceni stylu świdermajer. Wszystkie te drewniane fortece z tysiącem okienek i wykuszy, wszystkie te fikuśne chatki Baby Jagi z modrzewiowego piernika napawają ją grozą. Zdają się żyć własnym życiem, jakby wyrastały wprost z mchów, były składową leśnego ekosystemu.

Róży przez alkohol nadal kręci się w głowie – sen niewiele pomógł – toteż niepewnie się czuje, przyspiesza kroku. Ciocia Lucia i Karczevska siedzą w kuchni, pisarz przy maszynie, ale gdzie jest Mundzio? Gdzie jest Fela?

Najpierw sprawdza pokój córki – w środku nikogo nie zastaje, jest tylko książka do anatomii leżąca na łóżku. Wciąż otwarta.

Zagląda do sypialni, którą kochanek zawsze podczas pobytu w Aninie zajmuje, ale po Mundku został tylko niedopałek papierosa w kryształowej popielniczce. Wciąż się tłący.

Znowu zagląda na werandę i znowu na korytarz. I wtedy słyszy nad głową szmer dochodzący z jednego z gościnnych pokoi na piętrze. Daleko od sypialni pisarza, w zapomnianym zakątku domu, gdzie zimą myszy harcuja, gdzie nikt się nie zapuszcza, gdzie tylko rupiecie i śmieci. Skrada się po omacku po schodach, jak złodziej, podążając za dźwiękiem. Szarpie za kłamkę i otwiera drzwi na oścież. Wewnątrz panuje mrok, ale jej oczy już do niego przywykły – i Róża widzi wszystko, co jeszcze przed chwilą wydawało się niemożliwe, widzi to, co od dawna malowała jej wyobraźnia. Widzi, jak jej córka – nimfa, zdradliwa strzyga, demon żądry przebiegły – o komodę brzuchem oparta, z głową do ściany obróconą, z sukienką zadartą na plecy, porusza się miarowo... Widzi, jak Mundzio opętany urokiem małej wiedźmy wnika zapamiętałe między jej białe pośladki. Jak napiera całym ciałem na jej plecy, jak dłoń jego w amoku miętosi młode piersi przez materię sukienki.

Stoi Róża w progu i oczom nie wierzy. Stoi jak zahipnotyzowana, gdy tymczasem Mundzio – doktor dwojga specjalizacji, amator Goethego w oryginale, wszystkiego w oryginale, człowiek powszechnie szanowany – spółkuje z jej córką.

Stoi Róża w progu jak porażona, gdy tymczasem ta córka obraca twarz – maskę z emocji odartą – w jej stronę.

W pruskim błękanie jej oczu widzi Róża pustkę zimowego nieba. Bezkres bierności i opanowania. Przez ten ich wyraz – bez wyrazu – w Róży wszystko zamiera. I wszystko w pokoju zamiera. Zamiera ręka pana doktora na piersi Feli i sam doktor, który rozumie, że zostali nakryci. Zamierają jego ruchliwe dotąd pośladki. I wreszcie Mundzio wysuwa się spomiędzy gładkich ud, odsuwa od dziewczyny, od komody, od występnego uczynku, z trudem chowa nabrzmiały członek w spodnie. Spodnie zapina, marynarkę przygladza, mocuje się ze sprzączką paska...

Wokół nadal ciemno, ale widać, że twarz mu płonie. Ciemno, a jednak w mroku twarz Feli, jak kreda biała, jaśniej chłodnym blaskiem. Dziewczyna odrywa się od komody, sukienka samoistnie opada.

– Rózo, to nie tak, jak myślisz. Ja nie wiem, jak do tego doszło. My... Fela, to ona... – Mundziowy głos drży w gęstej atmosferze czterech ścian. – To nie tak, błagam, Rózo, wybacz...

Róża matka nie przyjęłaby podobnych tłumaczeń. Żadna matka by ich nie przyjęła. Ale Róża kochanka, trochę pijana Róża, wierzy Edmundowi na słowo. Zawsze podświadomie czuła, że na taki zdradziecki urok, taki czar szatański, jaki ta dziewczyna, ta jej córka roztacza, nie znajdzie się mocny. Żaden zdrowy mężczyzna się takim sztuczkom, takiej urodzie nieczystej nie oprze. I nie oparł się jej biedny Mundzio. Kochany Mundzio, pan doktor szanowany, wirtuoz medycyny, intelektualista, co Rilkego po niemiecku, a Hemingwaya po angielsku czytuje... To ta mała go skusiła, to ona wszystkiemu winna. Nie może być inaczej. Mundek kocha tylko Różę. Tylko ją! Ona mu towarzyszką, intelektualnym wyzwaniem, łagodnym lędzwi ukojeniem, spełnieniem. A tamto to tylko ciało, to nieważne, to się nie stało, nijak na ich relacji nie zawąży. Róża od razu wie, jak należy postąpić – wymaże z pamięci to, co zobaczyła: jego dłoń na sterczącej piersi, alabastrowe pośladki, jego członek wysuwający się z jej córki.

Róża kocha Mundzia, więc Róża wymaże z pamięci córkę.

Pozostało tylko jedno. Matka podchodzi do Feli, zadziera głowę, bo dziewczyna jest już od niej wyższa, i wymierza jej policzek. Znowu. A później drugi, a później jeszcze jeden. I jeszcze. Dźwięk uderzeń niesie się po pokoju. Za oknem pada śnieg.

– Ty mała kurwo! – Spluwa na bok z obrzydzeniem. – Ty wywłoko przebiegła! Zadowolona z siebie jesteś? Myślisz, że nie widziałam, jakżeś go cały rok kusiała?! Chciałaś na złość mi zrobić, to teraz masz! A masz!

Ostatni raz ją siecze na odlew, a potem ciągnie Mundzia za rękę – skruszonego, skulonego, już znowu całego tylko do niej należącego – i wszystkie kolejne wydarzenia nabierają rozpędu.

Noga Róży nigdy w tym miejscu nie postanie! Musi Róża natychmiast ten dom opuścić. Zabierze walizę z ubraniami, pudła z kapeluszami i kochanka, a żegnając się ze zdeorientowaną ciotką Lucią, na pytanie: „Co się takiego stało, że musicie tak nagle wyjechać? Karczewska przecież takie wspaniałe puddingi na podwieczorek upichciła” – Róża wyrzuci tylko: „Zapytaj Felicję!”.

Zapytaj Felicję!

Oczywiście, że ciocia zapyta. I oczywiście niczego się od niej nie dowie. Czegoś się tam domyśli, ale drążyć niewygodnych spraw nie będzie, bo się o takich rzeczach nie rozmawia przecież, a w wyobraźni dobrotliwej wdowy na podobną patologię nie ma miejsca. Dojrzała panowie, elegancy panowie, na stanowiskach panowie nie pożądamy przecież dojrzewających panienek. Zaś dojrzewające panienki dobrze się prowadzą i nie rzucają powłóczyściych spojrzeń panom, i nie dopuszczają do jednoznacznych, gorszących sytuacji. Dlatego ciocia Lucia nie będzie roztrząsać tej sprawy. Sprawy, jak to sprawy, rozwiążą się same.

Tymczasem Róża w strugach deszczu znika u wylotu ulicy III Poprzecznej. Znika raz na zawsze z życia swej córki Feli, która nigdy córką tak naprawdę się dla niej nie stała.

Byłaby się może i pojawiła Róża jeszcze kiedyś w Aninie. Może za miesiąc, dwa złość by jej przeszła, a głowa po porzeczkowej nalewce przewietrzała. Lecz się nie pojawi, gdyż do końca wakacji będzie zajęta rekonstruowaniem miłosnej relacji z Mundziem, a potem nadejdzie wrzesień.

Mąż będzie ją namawiał, żeby uciekła z nim i z Kostusiem przez Rumunię do Francji, lecz Róża mężowi odmówi – nie mogłaby przecież Edmunda samego zostawić na pastwę okropnych faszystów. Adolf na to tylko wzruszy ramionami i bąknie, że może by chociaż syna ze sobą zabrał, ale ostatecznie zabierze tylko kochankę, tę publicystkę-skandalistkę. A Róża zginie sześć dni później, w „czarny” albo, jak to mówili, „lany” poniedziałek, przez uduszenie, gdy po uderzeniu bomby pożar wybuchnie w kamienicy przy Królewskiej. W ostatnich minutach przed śmiercią, tuląc do piersi omdlałego syna, przed oczami przewinie jej się całe puste i jałowe życie – wszystkie zatańczone fokstroty, wszystkie noce z Edmundem – które toczyła, ponieważ nie rozpoczęła studiów i stała się taka sama jak pogardzane przez nią matka i babka. A wszystko dlatego, że w pewne niedzielne przedpołudnie na Pokuciu poszła z tamtym na spacer po lesie...

*

Sofijka Lieberman *de domo* Winkler wygląda jak upiór. Jej ciało się rozpada, napuchnięta twarz przypomina krwawy kalafior, podobnie jak łysa czaszka, na którą od niedawna nie zakłada już peruki, a tylko ją niedbale obwiązuje

jedwabnym szalem. Lecz to nie kwestie estetyczne są w jej umieraniu najgorsze. Najbardziej bolą słowa płynące z jej ust. Przedśmiertny, przerażający obraz matki kiedyś się zatrze w pamięci Bronka – wkrótce zobaczy znacznie gorsze rzeczy – lecz to, co usłyszysz, zapamięta na zawsze.

Żadne dziecko nie powinno widzieć matki w takim stanie i pewnie on też swej nie musiałby w chwili agonii oglądać, gdyby nie to, że jest koniec września trzydziestego dziewiątego roku. W normalnych okolicznościach pewnie by go ojczym odesłał na czas jakiś z domu, choćby nawet do miłej pułkownikowej Ratayowej, do Anina. Okoliczności jednak nie są normalne i jest jak jest.

Jest niebo przesłonięte kluczami stalowych ptaków. Są kamienice, których zaraz nie będzie...

– Skurwysyn, skurwysssynnn! – drze się matka. – To przez niego zaraz mnie nie będzie, to przez niego zdycham. Jak pies zdycham!

– Cicho, mamusiu. Już dobrze, już... Jestem przy tobie.

– Kto jesteś?

– Broniek, mamó.

– Czy ja ciebie znam?

Na ścianie sypialni czerwona łuna – to płoną dwa sąsiednie budynki pod numerami dziesiątym i dwunastym. Kobiety i dzieci lamentują na ulicy, mężczyźni targają przepełnione wiadra. Wreszcie dociera i straż ogniowa. Wyją syreny, leje się woda. Mur namięka jak gąbka; zimą, jak amen w pacierzu, wejdzie w niego grzyb. Nic to! Może ich kamienica się przynajmniej nie zajmie. Kolejna przeżyta noc.

Doktor Lieberman śpi zwinięty jak embrión na podłodze, z poduszką na głowie, nieruchomo. Nie zmrużył oka ze trzy doby, ofiarnie doglądając Sofijki, ale i on czasami potrzebuje odpoczynku, a jego ciało wytchnienia. Na chwilę więc się poddał i teraz pochrapuje, i nie patrzy, że niewygodnie, że podłoga. Chce być blisko, dlatego pod łóżkiem żony waruje. Okrył go Broniek pledem, to się i szybko nie obudzi. Przez to jest teraz sam na sam z matką, która z kolei zbudziła się nieoczekiwanie. Miała spać po lekach, ale nie śpi. A Broniek jest wystarczająco przerażony i bez jej ataku, bo może i oni zaraz tu spłoną albo nowa bomba spadnie? Na tyle domów już spadła, czemu ich miałyby przetrwać? Naprzeciwko trzy kamienice już w zgliszczach, w gruzach. Trzeba się trzymać

rachunku prawdopodobieństwa – może ich dom los oszczędzi, kiedy domy sąsiadów rozłupał? Pomodliłby się Bronek, lecz żadnej modlitwy nie zna, ani po polsku, ani po hebrajsku. Coś mu tam kiedyś ciocia Magda, siostra ojca, do głowy w wakacje w Wolanach kładła, jakieś ojczenasze, jakieś zdrowaśmarie, ale kto by to teraz pamiętał, kiedy tu...

Wrrrum!

Znowu gdzieś blisko sypie się któryś z budynków. Aż rozpełzają się po ścianach, po podłogowych klepkach wibracje eksplozji.

– Psiakrew, psiajucha! Zajełabym psubrata! Tak mi życie zmarnował.

– Cicho, mamusiu. – Przykłada jej chłodny kompres do czoła.

– Kto ty?

W bursztynowych oczach już tylko szaleństwo.

– Twój syn, Bronek.

– Bronuś.

Rozbłyska w Sofijce resztkę świadomości, iskrą może ostatnią. Ale nie, to jeszcze nie dziś. Dziś jeszcze Sofijka nie skona, chociaż dla niej i dla wszystkich tak pewnie byłoby najlepiej. Uśmiecha się grymasem szczerbatym, bowiem w ostatnim miesiącu niemal wszystkie zęby jej wypadły. Wyszły z dziąseł jak wodna roślinność z mułu. Wszystko w Sofijce gnije. To podobno przez medykamenty z arsenikiem i rtęcią, którymi przez lata była leczona.

– Bronuś... Syneczek mój, taki był malutki, jak się urodził. Bo ja stan błogosławiony ciężko znosiłam. Wiele miesięcy w łóżku przeleżanych, doktor kazał. Bronuś czwarty był, przed nim tylko strzępy krwawe.

– Mamo, co ty mówisz...?

Sofijka nie słyszy. Znowu jest w swym świecie.

– A z Olesia to był taki ogier... – Przeciąga się rozkosznie, jakby wciąż była królową piękności, najśliczniejszą panną w całym Lwowie. – Taki piękny był, rasowy. Mój pan mąż. Jakże ja głowę wysoko nosiłam, kiedyśmy na spacer szli do parku Kościuszki. Jak paw się puszyłam, spacerując z nim alejkami i wokoło pomnika Agenora Gołuchowskiego. Stał tam taki: posepny, w rozwianym kamiennym płaszczu i z siwizną ptasiego guana na głowie. Czy ty jeszcze, Bronuś, pamiętasz park i ten pomnik? Lwów nasz kochany pamiętasz?

– Pamiętam, mammo.

Mógłby jej powiedzieć, że nie ma już Lwowa, że Ruscy kilka dni temu w ślad za Niemcami na Polskę napadli, ale nie powie. Na co jej ta wiedza? Ten ból? Niech się dalej Sofijka przechadza ścieżkami wyobraźni po ulubionym parku.

– Alem go kochała! Ten Lwów mój. Jeszcze z charakteru austro-węgierski, jeszcze jak za arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, poukładany, zadbany, ale trochę już nasz, polski: charakterny, nieprzewidywalny, rozśpiewany. I Olesia kochałam. Dziewiętnaście lat miałam, gdym go poślubiła. Ojciec mówił: Polak, szlachcic, chociaż zubożały, ale dobrze urodzony, odpowiednia partia. Aleksander Chojnacki herbu Kornic. Ale ja nie o odpowiednich partiach wtedy myślałam, tylko że on taki piękny... I synek nasz też był najpiękniejszy.

– To ja, mammo.

– Wiem.

Bronek nie ma pojęcia, czy ona jeszcze cokolwiek wie. Czy krętki blade już całkiem okręciły jej mózg? Dziwne rzeczy Sofijka opowiada. Całe lata o pierwszym mężu nie wspominała, a teraz o niczym innym nie mówi.

– Tatuś mój był jego mentorem. Przyjął go do swej kancelarii. To się musiało tak skończyć. Musieliśmy się pokochać. Piękna ona. Piękny on. A teraz nie ma ani jego, ani jej... – Usta Sofijki układają się w podkówkę. W pobliżu pożaru jej purpurowa rozlana twarz wygląda jeszcze bardziej groteskowo niż za dnia. – Ale to przez Olesia te włosy sztuczne. Wiesz? Wiesz ty, chłopcze, co to *sypilis*?

– Tak, mammo, wiem.

– Straszna to choroba. Tyle istnień pochłonęła. Oleś piękny był z wierzchu, ale w środku nic dobrego. To on dziewczynę zaraził. – Płynnie przechodzi w swym wywodzie do trzeciej osoby.

– Ciebie, mamusiu, zaraził?

– Dziewczynę. Mnie. Tamtą. Czarnowłosa była. Dawno temu. Szczęście całe, że już po tym, jak mu tamta synka powiła. Inaczej i dziecko byłoby chore. A wszystko przecież mieliśmy. Ona. Ja i on. Ptasioego mleka chyba tylko nam brakło. – Wraca do pierwszej osoby. – Ale mój ukochany panem był z urodzenia, a gdy zmrok zapadł, to nic z pańskich manier w nim nie zostawało. Tylko jak jaki zaćmagany batiar szczęścia i lubieżnych rozrywek szukał po lupanarach Kleparowa i Łuczakowa. O! Taki mój Oleś był. Mój cudowny Aleksander. Zła

w nim krew płynęła. Czarna jak smoły piekielne. A mogliśmy normalnie żyć. Ja bym dla niego wszystko... Ja bym mu serce na talerzu oddała... Jednak on tanią gorzałkę i tanie ulicznice wołał. Dlaczego je ode mnie wołał? Rozumiesz co z tego?

– Nie, mamó, nie rozumiem. – Czy ona naprawdę wie, że Broniek to Broniek, że nie dla jego uszu takie opowieści?

– I ja tego nie rozumiem. Wtenczas mieszkaliśmy z ojcem moim przy Krasickiego. We wspaniałej kamienicy. We wspaniałym mieszkaniu, siedem pokoi, widok na park. Na niczym nam nie zbywało. Ojciec mój zamożny był i powszechnie szanowany. Adwokat, wykładowca uniwersytecki, profesor... – Patrzy przed siebie niewidzącym wzrokiem. – Profesor Jerzy Winkler. Figurą był we Lwowie i tu, w Warszawie, gdzie go zrobiono członkiem wydziału cywilnego Komisji Kodyfikacyjnej. W pracach nad nową konstytucją uczestniczył... Ale i przed Olesiem kariera stała otworem, gdybyż nie odszedł tak nagle. – Chowa na moment twarz w dłonie. – Jak ja rozpaczalam! Broniek taki mały, taki tycki, dwa i pół roczku, ledwo mówił... A tu umarł mój Oleś. I jakby trosk było mało, zaraz potem lekarz mnie zbadał i zawyrokował: kiła! I już wiedziałam, gdzie pan mąż na noce przepadał, czemu zgnilizną czuć było od niego. I ze złości zaczęłam błogosławić tę bakterię bezrzęskową Gram-ujemną, zjadliwą wysoce, co mojego Olesia zabrała. Tak! Cieszyłam się, że umarł. I uważałam, że za karę zapalenia płuc dostał, bo się go nabawił, jak od kurwy nad ranem w rozchełstany płaszczu wracał. Sprawiedliwość musi być! Tak wtedy myślałam, a teraz już nie. Żle jest śmierci komuś życzyć. Ze śmierci cudzej się cieszyć. Dlatego syna mojego jedyneho, Bronka, inaczej wychowałam. Na dobrego człowieka. Wszystko robiłam, żeby tę złą krew w nim zagłuszyć, żeby wyrósł na kogoś porządnego. Nie chciałam, żeby był Chojnacki, wołałam Liebermana... A ty mojego synka znasz?

– Znam, mamó.

– Dobre dziecko, prawda?

– Dobre, mamó. Śpij.

– Tak... Zmęczona jestem. I czerwono za oknem. To słońce zachodzi?

– Słońce, mamó...

Sofijka posłusznie zamyka oczy. Cichnie. Rysy jej twarzy się rozluźniają.

Chyba naprawdę odpłynęła, chociaż jest tak głośno, chociaż ludzie na ulicy wciąż krzyczą. Syreny nadal zawodzą. Wszystko nadal... trwa.

Bronek spogląda z obawą na ścianę, za którą toczy się walka z żywiołem – ściana chyba wytrzyma, ale czy on wytrzyma? Czy wszyscy wytrzymają...?

*

Nieruchome korony sosen. Nieruchome ulice Anina. Wielka, straszna cisza marcowego poranka oblepia domy, ciemność wyziera ze ślepych okien. Fela, kuląc się z zimna, brnie przez zasy. Niebo pękło na tysiące kawałków i opada ciężkimi płatkami na ziemię. Niby jest wojna i świat stanął na głowie – i nic nie wygląda jak dotychczas – a jednak cykl natury pozostał niezmienny, *constans*.

Kiedy nocą siedemnastego września Adolf Hryniewicz, ojciec Feli, popalając papierosa, czeka w kolumnie samochodów na otwarcie rumuńskiej granicy, nadal panują przyjazne warunki pogodowe, typowe dla końca lata, a temperatura spada jedynie do trzynastu stopni.

Jak zazwyczaj o tej porze roku.

Kiedy kilka dni później w „lany poniedziałek” nad Warszawą wyją silniki czterystu bombowców, zrzucających na miasto sześćset trzydzieści ton bomb burzących i zapalających, a Róża Hryniewicz, matka Feli, tuląc do piersi martwego syna, dusi się dymem w swym eleganckim mieszkaniu przy Królewskiej, po drugiej stronie ulicy, w Ogrodzie Saskim, buki, graby i dęby mienia się jesiennym złotem i czerwienią.

Jak zazwyczaj o tej porze roku.

Kiedy w nocy dwudziestego siódmego grudnia w willi pod numerem trzecim przy ulicy II Poprzecznej w Aninie zostaje pospiesznie zwołany Standgericht, w wyniku czego z rozkazu dowódcy Ordnungspolizei majora Friedricha Wilhelma Wentzla, w odwecie za śmierć dwóch niemieckich podoficerów, na pustym polu między Błękitną a Spizową wykonana zostaje egzekucja na grupie stu czterestu miejscowych cywilów (w tym na aresztowanym przypadkowo w domu przy III Poprzecznej pisarzu, który nigdy już nie odniesie sukcesu i nie stworzy swego *opus magnum*), drobne migotliwe płatki śniegu spokojnie wirują w przejrzystym zimowym powietrzu.

Jak zazwyczaj o tej porze roku.

Chociaż pozornie wszystko jest jak dawniej, nic nie jest takie jak przedtem. Nie ma już matki (choć trudno zakonotować nieobecność kogoś, kto zawsze był nieobecny), nie ma irytującego Kostusia i nie ma wieści od ojca. Nie ma też listów od wakacyjnego kolegi Bronka – nie wiadomo, gdzie jest i czy w ogóle jeszcze jest. Nie ma pana pisarza, cukierków od Fuchsa, a nawet zajęć w szkole. I nie ma pieniędzy na opał, na który zwykle łożyli rodzice Feli, i jedzenia, i wszystkiego – ciocia Lucia, która często przez ostatnie miesiące płakała, nie ma już nawet łez... I nic nie jest pewne, nic nie jest stałe, tylko ta przeklęta zima. Wieczna zmarzlina. Niby nadszedł marzec, lecz wiosny ni widu, ni słychu. Fela czuje, jak mróz w nią wnika, jak zaciska się stalową obręczą na wnętrznościach, jak betonuje myśli w jej głowie. Bezustannie jej zimno, ciągle nią telepie, traci czucie w skostniałych dłoniach i stopach. Traci ciepło. Niby ma futro – bajecznie miękkie, ciepłe, z syberyjskich lisów – które dostała od matki w zeszłe Boże Narodzenie, jednak nigdy go nie założy; matka nie żyje, lecz w Feli nadal żyją słowa, które padły z ust Róży, słowa, których nie da się zapomnieć i wybaczyć.

Stale Fela marznie, bo nie tylko na dworze, ale i w domu zimno jest jak w psiarni. Przez oszczędność sypią ją z ciotką i Karczewską w kuchni blisko pieca, gdy tymczasem reszta drewnianej willi przypomina lodowy pałac – na ścianach szadź, na szybach srebrzyste kwiaty ostrokrzewów. Z tego pałacu Fela co rano wyrusza do Wawra na tajne komplety, bo chociaż szkoły nie ma, to ciocia każe jej się uczyć; wojna kiedyś się skończy, a maturę zrobić trzeba; przecież Fela planowała iść na studia medyczne.

Może by ciocia nie była taka stanowcza, gdyby wiedziała, że Felę codziennie odprowadza wzrokiem pewien młody esesman.

Po całej okolicy kręci się mnóstwo mundurowych, którzy ze względów taktycznych i logistycznych kontrolują miejscowy węzeł kolejowy. Większość szeregowców kwateruje przy II Poprzecznej, skąd mają najbliżej na dworzec – Fela to wie, dlatego się tam nie zapuszcza. Ale jej Niemiec widocznie jest wyższy rangą, gdyż stacjonuje trochę na uboczu, przy jej codziennej trasie, w okazałym murowanym domu u zbiegu Wydawniczej i Ukośnej, należącym do mieszkającej od wielu lat w Aninie Niemki, Gertrud Grossauer. Stara pinda udostępnia okazały budynek w stylu art déco wraz z rozległym placem na potrzeby żandarmerii.

Właśnie tu od frontu znajduje się zadaszona loggia i właśnie stąd mężczyzna w brązowym płaszczu każdego poranka obserwuje wędrowną Feli.

Oparłszy się o balustradę, niespiesznie pyka papierosa i uśmiecha się arogancko, nie odrywając od niej oczu, a wreszcie schyla głowę w pozdrowieniu. Pan i władca. Wyraźnie bawi się jej strachem. A może jednak nie? Może mu się po prostu Fela podoba? Fela wszystkim się podoba. Od dawna nie przypomina dziecka, chociaż nadal jest smarkata – w maju skończy osiemnaście lat. Niemiec zaś na pewno jest po trzydziestce, może trochę starszy. Ma wysportowaną sylwetkę, szerokie plecy, silnie zarysowaną linię żuchwy, jasnoniebieskie oczy i ciemnoblonde włosy – mógłby posłużyć Baurowi, Lenzowi i Fischerowi jako wzorzec na poparcie ich pseudonaukowych teorii o czystości rasy aryjskiej. Rasy panów. Zachowaniem przypomina trochę owczarka niemieckiego, a trochę wilka – dzięki zwierzę, a jednocześnie ugłaskanego, kulturalnego przyjaciela domu. Fela uważa, że obiektywnie jest atrakcyjny, wybitnie męski i mimo irytującego uśmiešku wcale nie wygląda na mordercę – chociaż prawdopodobnie brał udział w grudniowych egzekucjach. Może nawet osobiście pociągał za spust i to on zabił jej kochanego pana pisarza?

I może ją także zabije?

Któręś dnia przestanie się uśmiechać i rzuci niedopałek w śnieg. A później wyciągnie z kabury swego nowiutkiego, mało jeszcze używanego walthera P.38, dziewięć milimetrów parabellum, krzyknie: *Hände hoch!* – i będzie po Feli...

Myśli o tym teraz, zbliżając się do domu Gertrud Grossauer. Myśli i bezwiednie przyspiesza kroku. Śnieg pada coraz intensywniej, ulica trwa w bezruchu, jakby wszystkich w Aninie dosięgnął jakiś nieznaną pomór. Sosny, strzeliste zapalaki, sterczą w morzu bieli, drewniane żerdzie płotu uginają się pod ciężarem śnieżnych czap. Wszystko wygląda normalnie, jak zwykle – zima, mróz, martwe nic – lecz na balkonie nie ma śladu po Niemcu. Wprawdzie przed budynkiem stoi jakiś samochód, w oknie na parterze świeci się światło, a wewnątrz poruszają się cienie, lecz jego nie ma... Fela czuje, że serce zaczyna jej łomotać. A przecież nic niezwykłego się nie dzieje, prawda? I nic się nie stanie? Nic się nie stanie... Mija budynek i skręca w lewo, w Wydawniczą, w stronę Wawra. Przechodzi jeszcze kilkanaście metrów i wtedy dociera do niej charakterystyczny dźwięk zatraskiwanej furki, a zaraz potem odgłos kroków.

Energicznych, zdecydowanych, szybszych niż jej własne. Długie nogi, żołnierski chód – skrzywienia wyglansowanych oficerek na śniegu nie da się pomylić z niczym innym. Esesman depcze jej po piętach, już, już czuje Fela jego oddech na plecach. Ogarnia ją przerażenie – to koniec. Głupio stracić życie, mając nieskończone osiemnaście lat. Nawet jeżeli to życie niespecjalnie kogokolwiek obchodzi, dla nikogo nie ma wartości. I nikt po Feli nie zapłaci – no może z wyjątkiem cioci Luci. Głupio zginąć tak za nic. Jeszcze Fela nie zrobiła niczego złego, jeszcze nie dokonała zbrodni, jeszcze nie zasłużyła na karę. Jeszcze nie...

Niemiec się z nią zrównuje. Znajduje się teraz zaledwie metr od dziewczęcego ramienia. Fela udaje, że go nie dostrzega, patrzy zawzięcie w jakiś punkt przed sobą. Patrzy i nic nie widzi. Nagle robi jej się bardzo ciepło. Tak, że po plecach zaczynają spływać krople potu. Pospiesznie analizuje, co wrzuciła rano do skórzanej torby, która zwisa przewieszona przez jej ramię. Przybory do pisania, zeszyt do algebry, słownik polsko-francuski, podręcznik do języka polskiego dla szkół średnich Balickiego i Maykowskiego. Na okładce dumny tytuł *Będziem Polakami*. Jeżeli mężczyzna każe jej otworzyć torbę i zajrzy do środka, nie będzie już Fela dumną Polką, będzie martwą miazgą...

– *Guten Morgen.*

Udać, że nie słyszała? Odpowiedzieć? Nie odpowiedzieć? Mógł krzyknąć: *Halt!*. Mógł nic nie powiedzieć, tylko od razu odstrzelić jej głowę, a tymczasem wita się, jakby byli sąsiadami, jakby szli na poranną przechadzkę. Co robić? Jeden rzut oka w jego stronę. Wciąż się uśmiecha. Wciąż arogancko. Z bliska wydaje się jeszcze wyższy, niepokojąco atrakcyjny. Mundur, chociaż wrogiej, zniechęconej armii, przydaje mu szyku. Na czapce połyskuje Reichsadler z łebkiem odwróconym na wschód, pod nim trupia główka z szyderczym uśmiechem wbija spojrzenie pustych oczodołów wprost w Felę. Spod płaszcza wyglądają patki kołnierzyka. Na jednej widnieją runy Waffen-SS, na drugiej gwiazdka z belką. Gdyby Fela знаła się na stopniach wojskowych, wiedziałyby, że Niemiec jest sierżantem – SS-Scharführerem – ale na razie tego nie wie. Na razie nie ma to znaczenia, a i w przyszłości będzie miało niewielkie.

– *Wohin gehen Sie?*

Dlaczego nie strzela? I po co ta kurtuazja? *Sie?*

– *Ich verstehe nicht* – wybąkuje Fela.

Rozumie. A jednocześnie nic z tej sceny nie pojmuje.

– *Verzeihen Sie bitte, Frau Grossauer, mein Gastgeberin*, uczy mnie polski, ale ja jeszcze źle mówić – gulgocze Niemiec ze szwabskim akcentem. – *So... gdzie panna iść? Zur Schule oder Arbeit?*

Boże! Gdzie ona idzie?! Co ma mu powiedzieć?

– Do koleżanki – wypala bezmyślnie.

– *Ah, ja...*

Na usta Niemca wypływa jeszcze szerszy uśmiech – podobny do szatańskiego grymasu Totenkopf. Zęby ma takie ładne i białe, jakby wcale nie palił i w życiu herbaty nie pił. Uśmiecha się i oczywiście jej nie wierzy. Nie wygląda na idiotę. Widuje ją codziennie o tej samej porze, zmierzającą w tym samym kierunku. Może gdyby powiedziała, że idzie do pracy...? Teraz za późno na refleksję, teraz Niemiec niechybnie rozkaże jej się zatrzymać i otworzyć torbę. I będzie po niej. I będzie po wszystkim.

Serce Feli zamiera, nie ma już nic do stracenia. Czemu nie miałyby zrobić czegoś głupiego?

– Czego pan ode mnie chce? – Staje w pół kroku, odwraca się w jego stronę. Wbija wyczekujące spojrzenie. Może zbyt zaczepne? Nieważne. Niech ją ten szwab, kurwa mać, wreszcie zastrzeli albo niech idzie do diabła! Albo może zaciągnie gdzieś między drzewa i zgwałci? Przecież już Fela wie, jak to jest. Wszyscy robią z nią, co chcą, to niech i on zrobi!

– *Fräulein* się nie denerwować, nie bać. *Ich sehe Sie täglich, so möchte ich mich vorstellen. Mein Name ist Rattonitz.* Friedrich Rattonitz.

Fela nie wie, co odpowiedzieć. Myśli w jej głowie wirują. Wirują korony sosen. Śnieg wokoło wiruje wraz z uśmiechami tysięcy Friedrichów Rattonitzów, wraz z tysiącem trupich czaszek Totenkopf. I nagle wszystko staje się jasne. Wszystko jest proste. Wystarczy się temu poddać. Przeznaczeniu trzeba się poddawać...

– *Und Sie...? Wie heissen Sie?*

– Felicja.

Bronek stoi przy oknie w swej sypialni i patrzy na wysoki ceglany mur ciągnący się obok roztrzaskanej naprzeciwko kamienicy przy ulicy Wielkiej. Ludzie mówią, że lada chwila Niemcy ostatecznie zamkną bramy, że przestaną udawać kwarantannę i nie będzie już można opuszczać ogrodzonego terenu. Że powstanie getto.

Bronek być może powinien się tego obawiać, jednak nie obawia się wcale. Niczego już się nie boi. Po tym, co widział, kiedy umierała matka, nic już go raczej nie przestraszy. I w ogóle niewiele rzeczy go obchodzi. Także list trzymany w dłoni, który przyszedł dziś rano.

Fela Hryniewiczówna donosi, że u nich wszystko dobrze, a chociaż okupacja, to w wakacje przyjechało na lotnisko kilka osób. Dzięki temu mają z ciotką pieniądze i kupią więcej opału. Zeszłej zimy go zabrakło i strasznie wymarzło. Ale w zasadzie wszystko jest po staremu, tylko Niemców w Aninie strasznie dużo i strach po ulicach chodzić. Szkoła zamknięta, lecz całą wiosną Fela chodziła na tajne komplety i zrobiła maturę. Ale wiadomo, że ze studiami trzeba poczekać. Sama więc się uczy, żeby zająć czymś głowę – ma w domu trochę książek o anatomii. A gdy się nie uczy, gdy nadchodzi noc, to często o Bronku rozmyśla. Wspomina, jak chodzili oglądać świetliki i jacy byli wtedy szczęśliwi. A kiedy tak myśli, to potem robi jej się bardzo smutno, gdyż uzmysławia sobie, że to już dwa lata, jak się nie widzieli, i nie wiadomo, kiedy się przez tę okropną wojnę znowu zobaczą...

Na koniec składa mu kondolencje z powodu śmierci matki i załącza pozdrowienia – dyskretnie napomykając między wierszami, że martwi się trochę, bo chyba nie wszystkie listy do niej od Bronka dochodzą. Chyba że on celowo przestał się odzywać... W co Fela nie wierzy, więc całuje go serdecznie, życzy, by wraz z ojczymem pozostali w zdrowiu, i wypatruje odpowiedzi!

Bronek mnie papier w dłoni i rzuca go w kąt.

Bo o czym miałyby jej napisać? Przecież nie ma już tamtego Bronka, którego Fela na wakacjach poznała, i nie ma tamtych wakacji. Byli dzieciakami, a niezapomniane lato to już tylko słodka fatamorgana, dziecięcy powidok i mrzonka, która teraz wydaje się tyleż urocza, co śmieszna. Nie ma już nic, co było. Zresztą, być może, nie ma już także tamtej Feli – acz tego w swym

osiemnastoletnim egotyzmie Broniek jakoś nie rozpatruje. Postrzeganie rzeczywistości kończy się u niego na własnym nosie i własnym nieszczęściu.

Nie będzie do niej pisał, bo musiałby wtedy wszystko przeżywać na nowo. Musiałby opisać pogrzeb matki. Musiałby opisać, jak się czuje w środku pusty, jaki wypalony i rozgoryczony, bo chociaż maturę zrobił jeszcze przed wojną, to i on na żadne studia nie pójdzie. Tajne komplety uniwersytetu nie są dla takich jak on, gdyż odbywają się za murem...

Czy może miałby jej napisać o swej codzienności w Warszawie? O tym, że ojczym – aby mieć Bronka przy sobie i móc go chronić – załatwił mu pracę palacza w kotłowni Szpitala Dziecięcego Bersohnów i Baumanów? Bo teraz każdy musi mieć pracę. Więc i on ma. Praca marzeń, czyż nie? Jakby mało mu było oglądania tragedii na ulicach, może się Broniek poprzyglądać im jeszcze z bliska w szpitalu.

A sam doktor najpierw po śmierci Sofijki popadł w odrętwienie. A potem, dla odmiany, rzucił się w wir pracy i całe dni spędza na dyżurach – on, ateista, który nigdy się z własną nacją nie utożsamiał, teraz postanowił zostać żydowskim doktorem Judymem i kategorycznie odmawia wyjścia na aryjską stronę...

A może miał Broniek Feli wspomnieć o tajemniczej rudowłosej kobiecie, bywającej czasami w lokalu Na Siennej, zaraz obok ich kamienicy? Wszyscy robią w gacie i tylko w kółko wojna i wojna, a ona wygląda, jakby to miała w nosie, jakby się nic nie zmieniło. Broniek lubi ją obserwować przez kawiarnianą szybę. Rudowłosa czasami śpiewa, opierając się o fortepian, a czasami tylko siedzi przy stoliku w rogu. Zawsze elegancko ubrana, z pomalowanymi ustami. Ma pewnie ze dwadzieścia kilka lat, ale przez makijaż wygląda dojrzałej. Uśmiecha się zalotnie do gości w lokalu i zarzuciwszy nogę na nogę, niespiesznie pali papierosa w długiej szklanej fifice... A potem śni się Bronkowi w bardzo nieprzyzwoity sposób. Bardzo nieprzyzwoity...

Czy o tym miałby napisać dziewczynie, w której się kiedyś kochał?

Nie, oczywiście, że nie. Nie da się wskrzesić trupa, a po tamtym lecie nic już nie zostało. Dlatego Broniek od dawna nie odpisuje Feli i dzisiaj też nie odpisze. A wkrótce, choć tylko na jakiś czas, całkiem o niej zapomni.

Październik czterdziestego roku jest zupełnie ciepły i słoneczny, a Warszawa niewiele się zmieniła od czasu, kiedy Fela była tu ostatnio.

Na ulicach panuje normalny ruch, kręci się trochę wojskowych w niemieckich mundurach, ale bez przesady, nie tyłu, żeby od razu wpadać w panikę. Na skrzyżowaniu granatowy policjant ziewa znudzony służbą, tuż obok podrostek w podartych spodniach bez przekonania namawia do zakupu gadzinówki. Tramwaje kursują, kawiarnie – chociaż niewielu może sobie pozwolić na wejście do nich – stoją otworem. Jakby się nic przez ostatni rok nie wydarzyło. I tylko od kilku miesięcy nie ma już Marszałkowskiej, a Marschallstrasse, i nie ma Świątokrzyskiej, a Kreuzstrasse. Na niektórych ławkach w parkach i w futrynach wybranych sklepów widnieją tabliczki „Nur für Deutsche”, a na budynkach powiewają flagi z symbolem krzyża o połamanych ramionach. Podobno według sanskrytu swastyka to symbol szczęścia, jednak warszawiakom jakoś go nie przyniosła. Zza dekoracji normalności gdzieś widać wstydliwe artefakty upadku kampanii – podziurawione kulami mury kamienic, osmolone futryny okien. Tu i ówdzie w oczy kłuje krwawa rudość ceglanych fasad, odartych z naskórka tynków.

No i jest jeszcze gdzieś mur i życie za murem. Życie równoległe, zabetonowane w klaustrofobicznej rzeczywistości miasta w mieście.

Fela niewiele myśli na temat getta, jeszcze jej getto nie interesuje, ale zainteresuje już niedługo. I nie wie, że co do istoty niewielka jest różnica między eksterminacją całego narodu a unicestwieniem jednej osoby. Bo tak samo potępiony jest ten, kto zabił raz, jak ten, kto zabił wiele razy. Fela jeszcze się nad tym nie zastanawia, ale zastanowi się za jakiś czas.

Na razie nie ma Umschlagplatzu i Treblinki, na razie czterdziesty rok dopiero dobiega końca, a Fela wraca piechotą z Mokotowa – gdzie spotkała się z dziadkami – w stronę Śródmieścia i dalej na Stare Miasto. I z ciekawością przygląda się światu, jakby oglądała kadry z kroniki wojennej. Od pogrzebu matki i brata nie odwiedzała Warszawy, a to już ponad rok. Nie odwiedzała, bo nie było okazji. A na Wszystkich Świętych na Powązki, gdzie jej bliscy spoczywali, też nie pojechała, bowiem ciocia Lucia uważała, że nie ma sensu się narażać. Lepiej teraz siedzieć w Aninie na tyłku. I byłaby pewnie siedziała Fela

na nim dalej, gdyby jej dziadkowie Hryniewiczowie nie zawezwali przed swe szacowne oblicze.

Mają wieści od syna Adolfa, Adiego, któremu udało się przedostać najpierw do Francji, a wreszcie do Anglii. Pierwsze od roku. Adi nie zapomniał o rodzicach pozostawionych w okupowanym kraju, ale, co ciekawe, nie zapomniał też o niekochanej córce, o której dotąd nie pamiętał. Przysyła jej przez dziadków list.

Pisze w nim, że zdrow jest i cały, i że najgorsze chwile ma już za sobą. Ze szczegółami i reporterskim zacięciem godnym Wańkowicza opisuje swój *exodus* na zachód przez pół Europy, przez Rumunię, Węgry, Włochy, Francję aż do Anglii... Jakby zawile losy peregrynacji papy mogły Felę zainteresować, jakby miały dla niej jakiegokolwiek znaczenie.

Czuje Fela, że pod semantyką przygodowej opowieści, w której ojciec udaje Tomka Wilmowskiego, kryje się jakiś głębszy sens. Czuje i intuicja jej nie zawodzi, bowiem pod koniec listu papa porusza wreszcie tematy właściwe; stwierdza, że przykro mu z powodu śmierci żony oraz syna, a jednocześnie miło mu, bo oto wstąpił w nowy związek małżeński z wieloletnią swą kochanką, pewną publicystką-skandalistką, która podczas wrześniowej ewakuacji zabrała się razem z nim do Rumunii. Może się Fela poczuć zaskoczona, ale musi rodzica zrozumieć – trwa wojna, trzeba żyć szybko, trzeba chwytać dzień.

Na koniec, jakby zapomniał już o wojnie, narzeka na niewygody londyńskiego życia spowodowane przez *Blitz*, a wreszcie wyraża nadzieję na szybkie z córką spotkanie, załącza życzenia zdrowia i obiecuje przesłać jakiś grosz. Jak będzie go miał, bo na razie nie ma.

Idzie sobie zatem Fela przez podbite miasto, przez Nowy Świat, Neue Welt, świat w ruinie, i gniecie zawzięcie list w kieszeni płaszcza. Myśli o wszystkim, co przeczytała, i dochodzi do wniosku, że życie ludzkie nie ma żadnej wartości, wszystko jest kompletnie bez sensu i o kant dupy potłuc. Brzydko myśli, ale od jakiegoś czasu już się w myślach nie cenzuruje – wszak skończyła osiemnaście lat, a i tamta głupia sprawa z Tarnawskim nieco ją życia nauczyła. Zawsze jest coś za coś. I jest już Fela inną Felą.

Więc dalej w tym tonie list analizuje i stwierdza, że z papy to jednak kawał bydlaka. Fela matki nie kochała, nie lubiła nawet, i braciszka Kostusia podobnie,

a jednak jest jej przykro, że ojca ich śmierć wcale nie obeszała. Jeszcze ciała Róży i jej syna nie ostygły w grobowcu na Powązkach, a on zdążył dozgonną miłość przyobiecać innej. Kurewski jest ten świat i kurewsko smutny los człowieczy. Ale bywa też przewrotny. Myśli więc sobie Fela, uśmiechając się przy tym gorzko, że może i papę dosięgnie sprawiedliwość i któregoś pięknego dnia w tym całym Londynie bomba jakaś na łeb mu się spierdoli. I skończy się szczęście papy w ramionach nowej flamy. I skończy się ich romantyczna historia.

Takie to nieeleganckie refleksje wypełniają głowę Feli, gdy przemierza Krakowskie Przedmieście opromienione mdłym październikowym słońcem. Idzie, nieobecna, niesiona monotonnym nurtem ulicznego chaosu, kierując się w stronę mostu Kierbedzia, skąd po praskiej stronie odjeżdża kolejka do Anina.

I wtedy w tłumie nieoczekiwanie dostrzega znajomą sylwetkę. Tamten nadchodzi od placu Zamkowego. I on także ją zauważa. Dzieli ich kilka kroków. Za późno już, żeby gdzieś się schować, czmychnąć w boczną uliczkę, wejść do kawiarni, kościoła, gdziekolwiek. Konfrontacja jest nieunikniona.

Doktor Tarnawski zatrzymuje się naprzeciw Feli. Od czasu, gdy widziała go po raz ostatni, sporo schudł, twarz mu się zapadła, zniknął gdzieś dominujący niegdyś wyraz arogancji i pewności siebie. Wielki doktor Tarnawski, bożyszczce znudzonych mężatek, w za luźnym garniturze i bez dawnej buty, nie wydaje się już taki przystojny. To cień człowieka, którego pamięta Fela. I w zasadzie mogłaby udać, że go nie poznała, mogłaby go zignorować, wyminąć i pójść sobie dalej, ale z natury nie jest tchórzliwa, dlatego i teraz nie podkuli ogona, nie ucieknie.

– Fela?! – Gładko ogolona twarz Tarnawskiego płonie. – To ty, Felu? Mój Boże, jakżeś się zmieniła, jakżeś wydorosła! Ileśmy się już czasu nie widzieli?

Niezręczna wydaje się Feli ta uwaga, szczególnie że za ostatnim razem widzieli się aż za dobrze, chociaż on ją przede wszystkim od tyłu, i na pewno lepiej by było, gdyby się więcej nie zobaczyli.

– Co robisz w Warszawie? Co słyhać u pani Lucyny? Zdrowa? Co tam w Aninie? Zeszłej zimy doszły nas tu słuchy o tragedii, która się u was rozegrała. Czy to prawda, że ten pisarz...? Podobno zabrali go z waszego domu. Co za potworna historia, aż trudno uwierzyć...

Ręce doktora drżą, perlisty pot rosi mu kark. Tarnawski wyciera go chusteczką i nerwowo chwyta powietrze, topiąc się w morzu bezładnie wyrzucanych słów. Wije się jak piskorz, by ominąć niewygodne tematy. Nie wspomina o scenie w pokoju na górze ani o Róży, ani o tym, co się z nią stało. Może wykastrował sobie pamięć podobnie jak papa? A może jednak nie? Może umiera ze strachu, że Fela rzuci zaraz jakąś niewłaściwą uwagę, wspomni o jego rękach, rozpiętym rozporoku, o swych poślądkach, o tym wszystkim, o czym wolałyby zapomnieć i o czym absolutnie nie dyskutuje się na ulicy. Krew, która nabiegła mu do twarzy, wydaje się pulsować, jakby miał doktor na oczach przechodniów eksplodować wstydem.

Fela patrzy mu odważnie w oczy.

Wiele razy zastanawiała się, jak zareaguje na jego widok. Obawiała się momentu, gdy znowu staną twarzą w twarz, a teraz wygląda na to, że Tarnawski boi się bardziej niż ona. A Fela właściwie nie czuje nic. Wielka pustka.

Niedługo zrobi się ciemno, zacznie się godzina policyjna, powinna więc odejść czym prędzej i zapomnieć o tym spotkaniu. Za trzy kwadransy ma kolejkę do Anina. Ciotka będzie się martwić, jeżeli Fela nie przyjedzie do domu w porę, w końcu to jej pierwsza samotna wyprawa do miasta, do tego w tak niespokojnym czasie.

Powinna odejść, ale tego nie robi. Być może to jedyna okazja, by się dowiedzieć, dlaczego Bronek przestał pisać, co się z nim dzieje, gdzie jest. Czy w ogóle jeszcze jest?

– Wie pan może, co się dzieje z pana kolegą, doktorem Liebermanem?

Na dźwięk żydowskiego nazwiska Tarnawski nerwowo rozgląda się na boki i zapada głębiej w przyduży garnitur. Zakłopotany uśmiech ustępuje grymasowi niezadowolenia.

– Słucham?

– To pana znajomy, prawda? Wtedy, dwa lata temu, to pan polecił Liebermanom nasz dom na wakacje, czyż nie?

– Tak. I cóż z tego? – Usztynia się jeszcze bardziej.

– Przez jakiś czas korespondowałam z ich synem, ale od wielu miesięcy nie mam od niego żadnych wieści.

– Nic dziwnego. Chyba widzisz, co się wokół wyprawia. – Tarnawski nie kryje już niechęci.

– Nie wie pan przypadkiem, co się z nimi stało? – Fela nie ustępuje. – Może wyjechali z miasta, wrócili do Lwowa...?

– Nie.

– Nie? No to gdzie się podziewają?

– Ciszej! – Gromi ją spojrzeniem. – Nigdzie nie wyjechali i z tego, co mi wiadomo, nadal mieszkają tam, gdzie mieszkali, chociaż pewności nie mam. Od pogrzebu pani Zosi nie widziałem doktora. Chyba nie muszę tłumaczyć dlaczego...

Boże, co ona sobie myślała?

Kiedy przestały przychodzić listy, wbiła sobie do głowy, że Broniek z ojczymem gdzieś uciekli, że z obawy przed antysemitkami działaniami okupanta przedostali się do Lwowa. Albo może na Zachód, na Węgry i do Szwajcarii? Wielu Żydów podobno wyjechało. Tych, których było na to stać, a doktora Liebermana na pewno było.

Pierwsze mury zaczęły siekać ulice Warszawy już około marca, chociaż jeszcze do niedawna Niemcy twierdzili, że to nie żadna dzielnica żydowska, tylko tak zwany obszar *Seuchensperrgebiet*, uszczelniony ze względu na przypadki tyfusu plamistego. Ale już pod koniec wakacji zaczęło się głośniejsz mówić, że to po prostu getto i że zostanie odcięte od reszty miasta. Fela była pewna, że zanim to się stało, Broniek się z Warszawy wydostał i jest teraz gdzieś bezpieczny. Gdzieś... Dlatego listy trafiają w próżnię.

– Chce pan powiedzieć, że oni znaleźli się na terenie getta?

Doktor przewraca oczami, jakby jej pytanie uznał za co najmniej głupie.

– Przecież prawie cała Sienna weszła w jego skład, więc gdzie mieliby być?

– A można się tam jakoś dostać?

– Oszalałaś, dziewczyno, po co chciałybyś tam wchodzić?! Zresztą to już musztarda po obiedzie. Na dniach podobno mają ostatecznie zamknąć bramy. Kto tam wejdzie, już nie wyjdzie...

– Ale poczta chyba nadal u nich działa?

Na twarzy Tarnawskiego nie ma już ani grama zakłopotania, znowu wygląda jak niegdyś, w Aninie. Uśmiecha się dziwnie.

– A nie przyszło ci do głowy, że on po prostu nie chce już do ciebie pisać?

4

Wbrew moim przypuszczeniom wizyta w komendzie przy Malczewskiego nie trwała długo. Policjant dyżurny, gruby i wąsaty, z wyrazem znudzenia na poszarzałej twarzy wysłuchał zgłoszenia, po czym rozparł się za wysłużonym biurkiem, na którym zamiast komputera stała archaiczna maszyna do pisania marki Łucznik, i przystąpił do zadawania pytań, standardowych, jak sądzę, w takim przypadku.

– Kim jest dla pani zaginiony?

– Moim... chłopakiem. – Poczułam, że brzmi to nieco sztucznie, naiwnie, wręcz infantylnie. Miłosz nigdy nie był moim chłopakiem. Nie był niczym chłopakiem. Był moim przewodnikiem, opiekunem, kochankiem, był wszystkim. – To znaczy: partnerem – poprawiłam się.

– W interesach? Do brydża?

Drwił ze mnie?

– Słucham?

– Mówi pani, że zaginiony jest jej partnerem.

– Chłopakiem, przyjacielem, partnerem, co za różnica? – Nie kryłam irytacji.

– Zniknął człowiek, z którym mieszkam, to znaczy pomieszkuję.

Gliniarz na moje tłumaczenia wzniosł oczy do nieba, po czym zanotował coś odręcznie na świstku papieru. Nadal nie wyglądał na szczególnie przejętego. W ogóle sprawiał wrażenie, jakby wszystko i wszystkich, łącznie ze mną, miał w jakimś mało szlachetnym miejscu.

– Taaak... a zatem konkubent.

– Może być konkubent. – Dałam za wygraną, chociaż uważam, że to paskudne określenie, przywodzące na myśl puste butelki walające się po podłodze, brudne firanki, płaczące dzieciaki z gilem do pasa i siniaki pod okiem matki. Słowem: szeroko rozumianą patologię.

– Kiedy powzięła pani informację na temat zaginięcia... konkubenta?

Nie odrywając spojrzenia od brzuszyska policjanta, na którym mundur napinał się niebezpiecznie, odparłam, że Miłosz zniknął kilka godzin temu, przed trzecią dzisiejszej nocy.

Na to Gruby przestał notować, ostentacyjnie zmiął kartkę w dłoni i wrzucił ją do kosza pod biurkiem. Uśmiechnął się krzywo, z przekąsem, i jakby zwracał się do niedorozwiniętego dziecka, wytłumaczył mi, żebym spokojnie wróciła do domu i jeszcze trochę się przespała. Wszak dopiero ósma rano, do tego niedziela, a ja wyglądam na zmęczoną. Do południa moja zguba na pewno się znajdzie, tak jak wszyscy mężczyźni, którzy zagubili się w Warszawie w tę weekendową noc.

Byłam wściekła na grubasa, ale nie chciało mi się z nim wchodzić w polemikę. Co miałabym mu powiedzieć? Że mam przecucie – pewnoś! – że Miłosz nie wróci? Jakimi argumentami poparłabym swoją tezę? Musiałabym opowiedzieć o dość nietypowych relacjach, jakie nas łączą – łączyły – a nie miałam na to najmniejszej ochoty. Opuściłam.

Wysłałam przed komendę i nie wiedząc, co robić, przystanęłam pod zadaszeniem u szczytu schodów. Padał drobny, zimny deszcz, mocno wiało. Chłód przesywał mnie na wylot, podobnie jak poczucie bezsilności. Nie znoszę marca, to chyba najbardziej depresyjny miesiąc roku; na chodnikach resztki brudnego śniegu, drzewa wciąż łyse, trawniki zasłane psimi kupami, szare niebo, wszystko szare... W dni takie jak dzisiejszy zwykle przypominał mi się Jugów, chłód panujący w niedogrzanym domu, chłód w oczach matki... Wzdrygnęłam się na tę myśl. Miałam ochotę zapalić – to by mnie na pewno uspokoiło – jednak od chwili, gdy zorientowałam się, że jestem w ciąży, przy każdej próbie zaciągnięcia się dymem robiło mi się niedobrze.

Spojrzałam na opustoszałą ulicę. Kawałek dalej, przy krawężniku, zaparkowała volvo Miłosza. Nieprzypadkowo zostawił w mieszkaniu kluczyki i dokumenty. Byłam tego pewna; on nigdy niczego nie robił przypadkiem. Czułam, że może jest to jakaś forma... Sama nie wiem: przeprosin, prezentu? Na otarcie łez? Samochód za miłość? A może tam, gdzie teraz przebywał, po prostu go nie potrzebował? Szczególnie że samochód był charakterystyczny i bardzo rzucał się w oczy.

Zbiegłam po schodach na ulicę i wsiadłam do auta. Deszcz uderzał o dach, po szybach meandrowały cienkie strugi wody. Rozejrzałam się po jasnym wnętrzu; doskonale znałam każdy jego szczegół, drobne rysy na chromach, załamania na skórzanej tapicerce. Miętkość tylnego siedzenia, na którym... Przymknęłam oczy i zacisnęłam dłonie na kierownicy. Przypomniałam sobie tamtą chwilę na placu Politechniki, gdy wsiadłam do środka po raz pierwszy. I wiele innych chwil, które tu spędziłam; wszystkie spontaniczne weekendowe wypadki za miasto: na Mazury, nad Bałtyk, nad Zalew Zegrzyński, wszystkie kłótnie, które miały tu miejsce, wszystkie momenty namiętności... Nic już z tego nie wróci.

Zrozumiałam, że jeżeli Miłosz postanowił odejść, zniknąć z mojego życia, to na pewno więcej go nie zobaczę. Grubas z policji go nie znajdzie, nikt go nie znajdzie i żadne z moich rozpaczliwych działań nie odwrócą biegu zdarzeń. Prędzej czy później będę musiała odpuścić i zacząć żyć na nowo. I zapewne tak właśnie powinnam zrobić, jednak teraz okoliczności się zmieniły. Byłam przecież w ciąży.

To musiało się zdarzyć niedługo po przedświątecznym wieczorze z Andżelą, śliczną i wyuzdaną dziewczyną w za krótkiej sukience, która wyzwoliła we mnie coś, czego się nie spodziewałam. Czego być może nie spodziewał się nawet Miłosz. Ta sprawa coś w nas obojgu zmieniła. Miłosz stał się osobliwie czuły, nadskakujący, w pewien sposób delikatny. Po prostu inny. Zrzucałam to na karb wyrzutów sumienia. Może zdał sobie sprawę, że przeszarżował? Ale on i wyrzuty sumienia...? Po tej pamiętnej nocy nie wypuszczał mnie z łóżka – zupełnie jak w pierwszych miesiącach naszego związku. To musiało zdarzyć się wtedy, chociaż zawsze się zabezpieczaliśmy.

Na początku myślałam, że po prostu spóźnia mi się okres. Zawsze był nieregularny. Potem stwierdziłam, że to pewnie stres, przepracowanie. Wreszcie kupiłam test. Kiedy w zasikany okienku pojawiła się druga kreska, poczułam wszystkie możliwe emocje naraz: strach, złość, wstręt, zdziwienie, smutek, a nawet radość. Lecz jedna myśl wybijała się na pierwszy plan: obawa o reakcję Miłosza. Co na to powie, jak się zachowa? Nie miałam wątpliwości, że z jego strony nie mam co liczyć na fajerwerki szczęścia. Nie nadawał się na rodzica, podobnie zresztą jak ja. Postanowiłam milczeć, dopóki nie potwierdzą ciąży dodatkowym badaniem.

Umówiłam się na wizytę. Lekarz, starszy miły facet, stwierdził, że wszystko przebiega prawidłowo i jeżeli chcę, na najbliższe badanie USG mogę przyjść z partnerem, aby mógł razem ze mną posłuchać bicia serduszka. Bicie serduszka – tak to określił. A ja, wracając do domu, rozmyślałam z goryczą, że bardzo to, kurwa, wszystko romantyczne, serduszko, psia jego mać! Ale raczej nie do wykonania w naszym wydaniu. Wiele sytuacji umiałam sobie wyobrazić ze mną i z Miłozem w roli głównej – dużo różnych plugawych i dziwacznych rzeczy – ale nie scenę, w której trzymamy się za rączki w gabinecie ginekologa, na ekranie drży szara ziarnistość, a w niej coś pływa i pika. I to coś jest nim i mną. Nie umiałam zwizualizować sobie sytuacji, w której Miłoz się wzrusza, a ja niepostrzeżenie ocieram słońką lepkość z kącika oka... Tak bywa w filmach, w romantycznych komediach, a fabuła naszego związku należała do zupełnie innego gatunku.

Nie wiedziałam, co teraz będzie, co robić i jak to rozegrać, dlatego odwlekałam rozmowę z Miłozem. Na kolejny dzień, kolejny tydzień...

A teraz już nigdy miało do niej nie dojść i doznawałam czegoś na kształt ulgi – Miłoz nie zażąda, żebym usunęła ciężę, nie będzie niekończącej się awantury, moich spazmów, jego irytacji, wszystkich tych złych emocji, które na pewno by się pojawiły. Jednocześnie jednak czułam imperatyw, żeby go odnaleźć. Musiałam wiedzieć, kim tak naprawdę był, dlaczego pojawił się w moim życiu i dlaczego zniknął. Nie powodowała mnie już tylko zwykła ciekawość – temu dawno dałam spokój – lecz wzgląd na dziecko, które kiedyś zapyta mnie o ojca.

Spojrzałam w dół, na swój zupełnie jeszcze płaski brzuch. Dotknęłam go z tkliwością, jakby już teraz między mną a tym kimś, kto rezydował w środku, istniało jakieś porozumienie – wszak i ja, i ono musieliśmy grać do jednej bramki – i wreszcie włączyłam silnik. Pierwsze miejsce, gdzie mogłam zdobyć odpowiedź na swoje pytania, znajdowało się całkiem niedaleko.

Po dziesięciu minutach byłam u celu. Zaparkowałam pod budynkiem ze stali i szkła. Deszcz rozpadał się na dobre. Jeszcze mocniej otuliłam się płaszczem i zakrywając głowę torebką, wyskoczyłam z samochodu. Zanim dobiegłam do wejścia, byłam już całkiem mokra.

W holu wszystko wyglądało tak, jak zapamiętałam. W fontannie na środku szemrała woda, z głośników sączyła się muzyka, a za pulpitem z egzotycznego

drewna siedział konsjerż w uniformie – starszawy gość, pewnie były funkcjonariusz MO na emeryturze albo inny esbek próbujący wtopić się w kapitalizm – jednak tym razem nie uśmiechnął się na mój widok, nie poderwał usznię z krzesła ani nie uchylił czapki. Udawał, że rozwiązuje krzyżówkę. Widocznie za wysokie progi na moje nogi, pomyślałam, ale zamiast się wycofać, strzepnęłam tylko ostentacyjnie krople deszczu z płaszcza i podeszłam bliżej.

– Dzień dobry – rzuciłam, starając się, żeby mój głos zabrzmiał przyjaźnie.

– Dobry... – Facet nie starał się wcale. Łypnął na mnie czujnie znad krzyżówki i pokręcił z niezadowoleniem głową, widząc mokre ślady, które zostawiłam na posadzce. – Słucham?

– Chciałam zapytać, czy wie pan może... – Nie było sensu bawić się w kurtuazję, więc postanowiłam od razu przejść do rzeczy. – Czy pan Krajewski jest u siebie?

Facet wybałuszył na mnie zdziwione oczy.

– Pan Krajewski?

– Tak. Ten, który mieszka na ostatnim piętrze.

– W penthousie?

– Tak. – Przytaknęłam skwapliwie. – Jest u siebie? Chciałabym się z nim zobaczyć.

Czy to możliwe, że sprawa jest taka prosta, że wszystko wyolbrzymiłam, że Miłosz wcale nie zniknął?

– Żaden pan Krajewski nie mieszka na górze – odrzekł mężczyzna bez emocji, grzebiąc moje przedwczesne nadzieje.

– Nie rozumiem. Wydawało mi się... Byłam tu z nim kiedyś, dawno temu. Pamięta mnie pan?

– Pamiętam – odparł z flegmą. – Ale przecież mówię, że on już tu nie mieszka.

– Od dawna?

– Pani żartuje? Ja nie udzielam takich informacji.

Drzwi jednej z wind rozsunęły się powoli. Ze środka wyszła mocno wydekoltowana dziewczyna, w niebotycznie wysokich szpilkach i mini ledwo zakrywającej pośladki. Pomyślałam, że zmarznie w tym ubraniu, ale chyba nadal

trwała w gorączce sobotniej nocy. Wydawało mi się, że skądś ją znam. Widziałam jej zdjęcie w brukowcu, była piosenkarką. Na jej widok konsjerż zerwał się z miejsca, z energią, o jaką bym go nie podejrzewała. Krzyżówka i długopis spadły na podłogę, a on wyprostował się jak struna, uśmiechając od ucha do ucha. Dziewczyna obcięła go rozbawionym spojrzeniem i bez słowa zniknęła za szklanymi drzwiami, gdzie od razu wsiadła do czekającej taksówki.

Mężczyzna tymczasem przeniósł na mnie niezadowolone spojrzenie – jakby zdziwiony, że nadal tu jestem – westchnął i chyba już zamierzał usiąść, kiedy dostrzegł, że szukam czegoś w torebce. Na widok banknotu oczy mu się zaświeciły. Bez słowa wyciągnął po niego rękę i szybko schował zwitek w kieszeni spodni. Czasy się zmieniają, ale ludzka natura widać nie.

– Nie udzielałam informacji na temat mieszkańców naszego apartamentu, ale... formalnie pan Krajewski już nim nie jest...

– Od kiedy?

– Krótko u nas mieszkał. Wyniósł się niedługo po tym, jak był tu z panią.

– Wie pan dokąd?

– Ekipa przeprowadzkowa mówiła, że wiozą jego rzeczy na...

Tu padła nazwa ulicy. Wiedziałam, gdzie to jest. Marina – zamknięte osiedle przy Polach Mokotowskich. Kolejne zagłębienie świeżych pieniędzy. Kosztowny adres.

– Dziękuję.

Odwrociłam się na pięcie i już chciałam ruszyć do drzwi, gdy zatrzymał mnie słowami:

– Ale tam też raczej nie ma co go szukać.

Zamarłam.

– Dlaczego?

– Dziewczyno. – Gładko zmienił formę na mniej oficjalną. – Ja dobrze znam takich jak on, kiedyś, jeszcze w innym systemie, robiłem w... Mniejsza o to. Ale z różnymi ludźmi w mieście mam kontakt i wiem, co to za interes z tymi mieszkaniami. Wszyscy wiedzą. To jest pralnia. Jeden kupuje, odkupuje następny, aż wreszcie pieniądź jest czysty. Ten twój Krajewski właśnie tak działa.

Tu pomieszkał rok. Chociaż to za dużo powiedziane. Raczej tu bywał. Gościnnie, jeśli wiesz, co chcę przez to powiedzieć... – Zawiesił głos.

– Nie wiem.

– Nieważne... – Machnął tylko ręką. – Ale z Mariny raczej też już się wyniosł. I na pewno na tym zarobił. Toż ma właściwych mocodawców.

– Jakich mocodawców?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała. Młoda jesteś i na porządną wyglądasz, nie to co te tutaj, więc lepiej tego całego Krajewskiego nie szukaj. Szkoda cię dla niego...

Wzruszyłam ramionami i skierowałam się do wyjścia. Zanim wsiadłam do samochodu, fakty już zaczęły układać mi się w całość. Słowa Justyny, o których przez ostatni rok tak bardzo starałam się zapomnieć, i słowa portiera – wszystko nabierało sensu.

Chociaż nic nie miało sensu.

*

Przez resztę dnia funkcjonowałam niczym robot. Poszczególne czynności wykonywałam mechanicznie, jak w transie. Obdzwoniłam wszystkich, którzy kiedykolwiek mieli styczność z Miłozsem. Odezwałam się do kilkorga jego znajomych – nikt nie wiedział, co się z nim stało, nikt się z nim od piątku nie widział ani nie kontaktował – oraz do jego współpracowników – tych, o których wiedziałam, że nimi są, i tych, których tylko o to podejrzewałam. Każdy zasłaniał się tajemnicą i dopiero gdy naciskałam, okazywało się, że Miłosz niedawno pozbył się udziałów w firmie, że porozwijał umowy, pozamykał spółki, wymiksował się z wielu zawodowych układów. A to potwierdzało moje przypuszczenia i oznaczało tylko jedno: jego zniknięcie nie było impulsywne, nie zdarzyło się przypadkiem, od jakiegoś czasu musiał dokładnie je przygotowywać.

W nocy prawie nie spałam. Leżąc otepiała na kanapie w dużym pokoju, patrzyłam na drzewa za oknem i próbowałam to wszystko poskładać do kupy.

W poniedziałek rano, zanim znowu udałam się na komendę, postanowiłam zajrzeć na polibudę. Wprawdzie Miłosz od roku już nie wykładał – twierdził, że na polu nauki osiągnął wszystko, co chciał, a i takich marnych pieniędzy nie potrzebował – jednak miałam nadzieję, że może chociaż tam ktoś mi coś na jego temat powie. W końcu był związany z uczelnią przez wiele lat. Tymczasem nawet

pani Iwonka, sympatyczna, choć nieco zbyt gadatliwa biurwa z dziekanatu, która prawdopodobnie wiedziała wszystko o wszystkich na wydziale – może z wyjątkiem mojego romansu z Miłozsem – na pytanie o niego rozłożyła ręce.

– Doktora Krajewskiego to już z rok nie widziałam, taki uprzejmy człowiek, kulturalny, ambitny, szkoda, że zrezygnował z posady w katedrze, mógł się habilitować, profesorem zostać... A u pani, pani Ninko, jak tam, dobrze? Pamiętam, że Ninka się pani nazywa, pracę pani ma? Pewnie ma. – Nie czekając na odpowiedź, monologowała dalej: – Teraz po informatyce fachowców szukają, firm z Zachodu się do nas nasprawdzało, po tym wejściu do Unii, że ho, ho, dobry sobie pani zawód wybrała, na czasie, przyszłościowy, a ile to lat, jak pani po dyplomie, dwa, prawda, ja to mam pamięć, bilobil piję, żeń-szeń, moc z natury, chociaż dziewczyn u nas zawsze tak mało studiuje, że nietrudno zapamiętać, a pani dodatkowo najładniejsza na roku była, chłopaki za panią oczy wypatrywały, z takim chudym, tym Piotrusiem, pani była, co u niego? I z taką małą z matematyki się kumplowała, ona to pewnie w szkole teraz pracuje, tam kokosów nie zbije, ale i nauczyciel zawód potrzebny, a pani dobrze wygląda, na buzi jakaś pełniejsza, po co doktora pani szuka, no tak, on był pani promotorem, doktoryzować się pani zamierza...? – Ostatnie słowa wyrzuciła już na bezdechu i z lekkim wytrzeszczem.

– Raczej nie – odparłam szybko, żeby znowu mnie nie uprzedziła. – Szukam go, ponieważ mam do niego sprawę... zawodową – dorzuciłam niewinne kłamstewko.

– No tak, no tak... ale ja tu raczej nic nie pomogę. Chociaż... – Wydęła uszminkowane usta, namyślając się. – Na pewno w papierach mamy do niego telefon, to jeżeli pani chce, mogę dać, chyba nie będzie miał mi tego za złe, jak to w sprawach zawodowych.

– Akurat numer do doktora mam, tyle że pewnie go zmienił, bo telefon nie odpowiada.

Pani Iwonka zmarszczyła czoło, podrapała się ołówkiem w złotą trwałą, pocmokała pod nosem, po czym podniosła się zza biurka i podeszła do szafy pancernernej stojącej pod oknem. Chwilę poprzekładała stojące w niej segregatory, przewertowała papiery.

– Jest! – rzuciła wreszcie. – Tu, w umowie o pracę, mam jego adres domowy.

Poczułam rozczarowanie. Jakikolwiek nie byłby to adres, wiedziałam, że Miłosza tam nie znajdę. Uśmiechnęłam się więc tylko blado, gdy sekretarka przepisywała dane z dokumentów na mniejszą kartkę.

Złożyła ją na pół i podała mi z satysfakcją.

– No, mam nadzieję, że pomogłam.

– Najmocniej dziękuję.

Wsunęłam kartkę do kieszeni płaszcza, nawet na nią nie spojrzawszy, i pospiesznie wycofałam się do drzwi – w obawie przed następnym słownym tsunami.

*

Kolejna wizyta na Malczewskiego trwała nie dłużej niż godzinę. Wszystko przebiegło bardzo sprawnie. Gruby widocznie nie miał tego dnia służby, ponieważ moim zgłoszeniem zajął się całkiem miły i na oko kompetentny policjant w cywilu. Przedstawił się jako komisarz Ładoń. Miał koło czterdziestki, muskularne ciało i czujne ciemne oczy. Od razu wzbudził moje zaufanie.

Tym razem nie było żarcików i dwuznacznych uwag, komisarz potraktował sprawę poważnie. Opowiedziałam mu – tyle, ile było trzeba – o mojej relacji z Miłoszem i o tym, co mnie samej udało się już ustalić. On zaś wypytał o okoliczności jego zniknięcia i ewentualne motywy działania... Uprzedził, że sytuacje tego typu – czyli gdy zaginiony jest pełnoletni, opuścił ostatnie miejsce pobytu dobrowolnie, a jego zniknięcie nie jest związane z podejrzeniem przestępstwa – zalicza się do kategorii drugiej. A w takich przypadkach policja zwykle nie podejmuje żadnych specjalnych czynności poszukiwawczych, zakładając, że zguba sama się znajdzie.

– I zwykle się znajduje – dodał na pocieszenie.

Na koniec sporządzania protokołu zapytał, czy nie mam zdjęcia Miłosza, które mógłby dołączyć do akt. Poszperałam w torebce. Nosiłam przy sobie fotkę, którą zrobiłam podczas wyjazdu do Pragi. Cyknęłam ją Miłoszowi na moście Karola, przed sławetną sceną zazdrości o zalotną Heidi. Miłosz wsparty o balustradę, z rękami w kieszeniach, uśmiechał się wprost do obiektywu. Z boku, w tle, widniały jeszcze Hradczany, ale teraz nie było ich na zdjęciu;

musiałam je przyciąć, żeby zmieściło się do portfela. Podałam fotografię śledczemu.

– W domu znajdę na pewno coś lepszego, ale może i to się przyda.

Ładoń wziął zdjęcie do ręki i w jednej sekundzie zmienił się na twarzy. Cała łagodność spelzła doliną łez i wygięła w zdziwieniu usta. Mężczyzna zmarszczył czoło i przysunął wizerunek Miłosa bliżej oczu, by zaraz potem wbić je we mnie.

– To jest ten zaginiony?

Nie rozumiałam jego reakcji.

– Taaak – rzekłam, przeciągając samogłoskę i nie odrywając wzroku od komisarza. – Pan go zna? Zna pan Miłosa?

Ładoń chyba zdał sobie sprawę, że mogę za dużo wyczytać z jego zachowania, bowiem wyraz jego twarzy natychmiast złagodniał. Mężczyzna zapanował nad mimiką i jak gdyby nigdy nic się uśmiechnął.

– Nie. Po prostu pani przyjaciel kogoś mi przypomina. Więc na czym to skończyliśmy...?

*

Gdy przekroczyłam próg mieszkania, poczułam, jakby zeszło ze mnie powietrze. W jednej chwili wytraciłam impet. Nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Musiałam natychmiast zająć czymś myśli, żeby nie oszaleć.

Najpierw dokładnie posprzątałam szafki kuchenne i wyszorowałam fugi w łazience. Umyłam wszystkie okna, wyprałam zasłony i wyrzuciłam z balkonu uschniętą choinkę, która była ostatnim łącznikiem między mną a tamtym przedświątecznym wieczorem z Andżeliką. Potem wyłączyłam telefon i przez kilka dni, popijając herbatę i wyjadając resztki z lodówki, leżałam zwinięta pod kocem na kanapie. Próbowałam coś czytać, ale nawet nie pamiętam, co to było. Spałam, jadłam, wymiotowałam – nieoczekiwanie dopadły mnie poranne mdłości, które wcześniej mi nie dokuczały. Nie płakałam i nie rwałam włosów z głowy. Może powinnam była zadzwonić do matki, ale nie miałam na to siły. Na nic nie miałam siły. Po prostu starałam się nie myśleć...

Dopiero po trzech dniach wypęzłam spod koca. Umyłam się, przebrałam i wreszcie zajrzałam do sypialni. Nie byłam tam od niedzielnego poranka.

Obawiałam się, że na poduszce nadal będzie widać zarys jego głowy. Ale pamięć poduszki okazała się bardziej ulotna niż moja. Chwilę jeszcze potkwiłam nad rozbabranym łóżkiem i wreszcie zdjęłam poszewki – ostatni dowód na istnienie Miłosa. Chociaż powtarzałam sobie, że to tylko sugestia, doskonale wychwytywałam woń tkwiącą w włóknach tkaniny. Zapach jego skóry, wody po goleniu, perfum, potu, spermy – czułam wszystko naraz.

Jakbym składała trupa do grobu, włożyłam ostrożnie pościel do pralki. Dopiero wtedy zebrałam resztę rzeczy Miłosa, które pozostały w mieszkaniu. Spakowałam wszystko do niebieskiego worka na śmieci i upchnęłam na pawlaczu – na razie nie miałam siły ich wyrzucić.

Po tym akcie niezależności poczułam się trochę lepiej. Wzięłam się w garść, zaparzyłam sobie kawy, włączyłam telefon i usiadłam do komputera. Musiałam nadrobić zaległości z całego tygodnia i odpisać na mejle od zaniepokojonych klientów, którzy od kilku dni bombardowali moją skrzynkę. To pochłonęło mnie na kilka godzin i dopiero kiedy za oknem znowu zaczął zapadać zmierzch, uzmysłowiłam sobie, że od śniadania nic nie jadłam. Lodówka także świeciła pustkami.

Poczłapałam do przedpokoju, założyłam buty i płaszcz. Wsunęłam dłoń do kieszeni w poszukiwaniu kluczy i trafiłam na złożony na pół karteluszek, który kilka dni temu dostałam od sekretarki w dziekanacie. Zupełnie o nim zapomniałam. Wydobyłam go i przysunęłam do oczu.

Na kartce wprawną ręką pani Iwonki, przywykłą do wypełniania indeksów i dyplomów, widniał pięknie wykaligrafowany adres: ulica III Poprzeczna, Anin.

*

Ktoś mi kiedyś opowiadał, że to urocza podmiejska dzielnica. Zielona przystań, płuca stolicy i takie tam... Dookoła lasy, mikroklimat, eleganckie wille, słowem: raj na ziemi. Po wojnie mieszkali tam Tuwim i Gałczyński, ale też wielu peerelowskich prominentów, w tym premier Jaroszewicz. Ten ostatni jednak marnie skończył; został zamordowany w swojej pięknej posiadłości kilka lat wcześniej. Abstrahując od tej przykrej sprawy, okolica była zacna, a towarzystwo doborowe. Kto chciał korzystać z udogodnień wielkiego miasta, równocześnie nie

rezygnując z bliskości natury – a do tego posiadał wystarczająco zasobny portfel – kupował dom w Aninie.

Może faktycznie to ładne miejsce, jednak zza mokrych szyb volva trudno mi było docenić jego urodę. Od kilku dni padał śnieg z deszczem, świat taplał się w szarej brei, a ja tonęłam w błękitnym bluesie. Rację miał Kazik, twierdząc, że Polacy są tak agresywni, bo nie ma słońca i tylko zimno i pada, zimno i pada. We mnie też, wraz upływem kolejnych marcowych dni, narastało poczucie beznadziei, chociaż pierwotny stan katatonii powoli wypierała także złość. Byłam wściekła na Miłosza. Kurwa mać! Nie miał prawa tak mnie zostawić! Nie miał prawa odchodzić bez słowa wyjaśnienia. Gdybym go teraz dostała w swoje ręce, chybabym go rozszarpała...

Hormony ciążowe na pewno nie pomagały mi w zapanowaniu nad emocjami.

Z tą wycieczką do Anina to też był impuls. Rano skończyłam pisać dla klienta jeden z najnudniejszych programów kalkulacyjnych. Typowa kreatywna księgowość – nie wnikałam w moralny aspekt takich zleceń, ważne, że odpowiednio płacili. Potem zadzwoniłam do komisarza Ładonia z pytaniem, czy może już coś mają. I jak zwykle dowiedziałam się, że nie, że śledztwo utknęło w martwym punkcie, nic nie wiedzą, nikt nic nie słyszał i w ogóle ciężko jest znaleźć kogoś, kto nie chce być znaleziony, a to chyba właśnie taki przypadek.

Nie wierzyłam mu za grosz. Po tamtej sytuacji ze zdjęciem czułam, że komisarz odstawia przede mną jakiś spektakl, że nie mówi mi wszystkiego, co – jakbym miała mało zmartwień – deprymowało mnie jeszcze bardziej.

Wreszcie zjadłam śniadanie, następnie tradycyjnie je zwymiotowałam i postanowiłam pojechać do siedziby jednej z firm, z którą współpracowałam, żeby dogadać warunki następnego zlecenia. Właśnie wyszłam ze spotkania, kiedy przyszedł esemes. Z nieznanego numeru. Zaledwie kilka słów. Ktoś życzliwy radził: „Nie szukaj go, tak będzie najlepiej”.

Jak to go nie szukaj? Dla kogo będzie najlepiej?

W pierwszej chwili poczułam niepokój. Kto zna mój numer? Kto, do cholery, mógł mi wysłać taki idiotyczny tekst? I po co? Żeby mnie nastraszyć czy może przestrzec? Miłosz? Nie. To nie mógł być on. Miłosz postawiłby sprawę jasno i nie bawił się w kurtuazję: odpierdol się, mała, nie kocham cię, znudziłaś mi się,

odszedłem do innej, *adieu!* Tak by napisał mój kochanek, tymczasem esemes wydał mi się zbyt lakoniczny i nie w jego stylu. Kim zatem mógł być nadawca?

Wielu moich kolegów informatyków pracowało teraz u operatorów, znało różne sztuczki i bez trudu wyśledziłoby nawet telefon na kartę... Mogłam za chwilę poznać życzliwego, ale czy naprawdę tego chciałam? – tysiąc myśli naraz zaiskrzyło na moich synapsach.

„Nie szukaj go”?

Poczułam, jak wzbiera we mnie sprzeciw. Do diabła! Nikt nie będzie mi narzucał, co mam robić! Nie byłabym córką swojej matki, gdybym się teraz ugięła. Ta wiadomość była jak rzucona mi rękawica, jak wyzwanie, musiałam działać, i to natychmiast. Aniński adres był ostatnim punktem zaczepienia. W kiosku kupiłam mapę Warszawy i okolic, po czym niewiele myśląc, ruszyłam mostem Łazienkowskim na wschód.

Powinnam była dokładniej prześledzić sieć wąskich uliczek, aby od razu trafić we właściwe miejsce. Nie znałam tej części Warszawy; byłam w okolicy tylko raz, trzy lata temu z Miłoszem, do tego po zmroku, a zresztą cmentarz, na którym leżała jego babcia, znajdował się kawałek dalej, w Wawrze. A jednak krążenie samochodem po sennym Aninie okazało się zupełnie przyjemnym doświadczeniem. Im dłużej jeździłam, tym bardziej mi się tu podobało – nawet mimo ponurej pogody.

Labirynt wąskich leśnych ulic, wysokie sosny o mięsistych koronach i nowoczesna luksusowa zabudowa przeplatająca się z przedwojennym świdermajerem nadawały temu miejscu niezwykle klimat. Przeszłość bez zgrzytu współistniała z teraźniejszością. Pomyślałam, że kiedy wreszcie zrobi się zielono, a wszystko rozkwitnie, będzie tu naprawdę bardzo pięknie, i że mogłabym zamieszkać przy jednej z takich ulic. Z dala od zgiełku, od szumu tramwajów. Żyjąc w sercu miasta, czułam czasami brak zieleni, spokoju, szeptów lasu, który widziałam z okien domu w Jugowie. A przecież od tego uciekałam. Wspomnienia tkwiły we mnie długo i boleśnie jak zardzewiałe gwoździe. Wstydziłam się swojej prowincjonalności, biedy, a przecież i tamto życie miało swoje plusy. Z perspektywy czasu zaczęłam to dostrzegać. Gdy byłam smarkułą, uwielbiałam włączyć się po górach i eksplorować tajemnicze poniemieckie sztolnie, korytarze pochłaniane przez naturę. Lubiłam patrzeć, jak cumulusy przemierzają się

powoli nad delikatną kreską grani gór, których już nikt nie nazywa Eulengebirge. Lubiłam zapach ziemi po deszczu i nocne pohukiwanie sowy... A teraz żyłam w betonowym bunkrze i coraz częściej łąpałam się na tym, że tęsknię za tamtym światem. Za utraconym czasem.

Ten dom.

Dostrzegłam go już z daleka: wypiętrzał się za ogrodzeniem ze zwykłej nieocynkowanej siatki, na tle ciemniejącego stałą nieba, otoczony nieruchomymi czarnymi pniami, za zasiekami z suchych, od dawna nieprzycinanych krzewów. Nie musiałam zaglądać w kartkę, żeby wiedzieć, że jestem pod właściwym adresem. Przeszedł mnie dreszcz. Przez ułamek sekundy miałam silne déjà vu. Znałam to miejsce, znałam wielki drewniany gmach i jego wszystkie werandy, tarasy, wykusze, misterne daszki, rzeźbione balustrady. Z tą różnicą, że budynek z wizji był domem żywym, natomiast ten, który stał przede mną, w swoim upiornym zaniedbaniu przypominał raczej żywego trupa: o ślepych oczodołach okien, tu i ówdzie niedbale zabitych dyktą, łuszczącym się naskórku olejnej farby, która w wielu miejscach schodziła płatami, i z rdzawymi ranami na blaszanym dachu. Poczułam, jak wszystko się we mnie do niego wrywa, a jednocześnie jakby mnie od siebie odpychał.

Zaparkowałam kawalek dalej. Wyłączyłam silnik i wysiadłam z samochodu. Z nieba siąpił marznący deszcz, chłód przesywał mnie na wylot. Nabrałam wątpliwości, czy dobrze robię. Może nie powinnam ciągnąć tej sprawy, może, jak radził życzliwy, należało odpuścić? Zostawić bieg zdarzeń swojemu losowi. Co da mi teraz wiedza o tym, kim był Miłosz? Czy to cokolwiek zmieni? Przecież jego już nie ma.

Zawróciłam i zrobiłam krok w stronę auta, lecz wtedy poczułam, jakby coś się we mnie poruszyło, zatrzepotało delikatnie. Nie, oczywiście to nie było dziecko. Nawet ja wiedziałam, chociaż nie miałam w tym żadnego doświadczenia, że kilkutygodniowe dzieci nie kopią, a jednak wtedy byłam pewna, że decyzja o pozostaniu na miejscu nie należała do mnie. Że zadecydowała właśnie owa dziwna siła, niby pochodząca ze mnie, a jednak jakby obca. To ona popchnęła mnie w kierunku furtki. Powoli podeszłam do niej bliżej. Dom wyglądał na niezamieszkały. Pomijając jego stan, nigdzie w zasięgu wzroku nie dostrzegłam śladów ludzkiej ręki, sznurków na białą bieliznę rozciągniętych

między drzewami, starych dziecięcych zabawek, czegokolwiek. Tylko przy obszernym ganku wałało się kilka misek. Psych? Psa też nigdzie nie było widać. W oknach przesłoniętych brudnymi firankami, chociaż dzień był ciemny i pochmurny, nie paliło się światło. Na budynku brakowało też tabliczki z numerem.

Znowu miałam ochotę się wycofać, ale wtedy dostrzegłam kobietę, która powoli sunęła ulicą w moją stronę. Wreszcie zrównała się ze mną. Była bardzo chuda i bardzo stara. Jej skóra przypominała skórę zółwia.

– Przepraszam – zaczęłam ją. – Nie wiem, czy dobrze trafiłam, a tu nigdzie nie ma tabliczki z numerem... Szukam domu państwa Krajewskich.

Niechętnie przystanąła, popatrzyła na mnie wyblakłymi oczami spod moherowego beretu, a jej zwiędnięte usta, niedokładnie pokryte perłową szminką, wygięły się w niezadowoleniu.

– Słucham?! – huknęła w sposób typowy dla osób niedosłyszących.

– Szukam domu państwa Krajewskich! – powtórzyłam głośniejszym głosem.

Stara nieco się rozchmurzyła.

– Krajewskich?

– Tak. Czy to ich dom? – Wskazałam na rudereę za ogrodzeniem.

Kobieta na moment zamilkła. Brwi narysowane czarną kredką uniosły się, pogłębiając konstelacje zmarszczek na czole – z widocznym wysiłkiem przekopywała pamięć podziurawioną demencją.

– Może ona, ta, co tu mieszka, i Krajewska się nazywa – rzekła po chwili. – Ale ja tam, pani, nie wiem, bo ja nie stąd. W Wawrze mieszkam, a tu tylko do lekarza przychodzę. Dobry doktor, o, zaraz tu, niedaleko, przyjmuje. Ale... Ten dom to chyba Feli Hryniewiczówny. Tak mi się zdaje. My w okupację przez chwilę na jedne komplety chodziliśmy. Chociaż ja od niej byłam rok młodsza, a ona zaraz maturę zrobiła. Więcej jej nie widziałam... – Stara zmrużyła oczy, wpatrując się w dom za moimi plecami. – A może to i nie ten dom. Tu kiedyś dużo było takich willi drewnianych, okazałych, ale teraz nowobogaccy je skupują i rozbierają, a w zamian stawiają se takie brzydactwa murowane. A ja się pytam: gdzie konserwator? Przecież to zabytki. Że się nikt tym nie zajmie i to wszystko w oczach niszczy, a kiedyś to były perełki, taki styl trochę jak z bajki. Kto bogatszy, to sobie projekt zamawiał à la Andriolli. Ta Fela też majątna z domu,

choć właściwie to sama nie wiem, jak to z nią było, bo ona u ciotki mieszkała... Już nie pamiętam nazwiska, jakoś tak ładnie się nazywała... W każdym razie ta ciotka to była po wojskowym wdowa. Ludzie na poziomie, elita tutejsza. To ona Felę wychowywała...

Z zimna zaczęłam przestępować z nogi na nogę. Otuliłam się ramionami. Nie miałam ochoty wysłuchiwać zakurzonych podmiejskich historii, nic niewnoszących do mojej sprawy, a jednak głupio mi było przerywać babci, której pewnie na co dzień nikt nie chciał słuchać.

– A jaka piękna była! Ta Fela. Mówię pani, anioł po prostu. Wszyscy chłopcy się w niej kochali. A ona wcale na to nie zważała. Mówili, że nosa zadziera, ale to raczej nie to. Może była nieśmiała? A na pewno zamknięta w sobie i skryta, ale przy tym bardzo miła, grzeczna, dobrze wychowana. Panienka z dobrego domu. Teraz już takich nie uświadczysz. Młodzi dzisiaj nieuprzejmi, głośni, wulgarni i tylko te internety, komputery... – Zasępiła się. – Potem, jak przyszła wojna, ludzie plotkowali, że Fela z jakimś Niemcem się zadała, ale to chyba nie była prawda, bo wtedy za takie rzeczy to wie pani, kulka w łeb. A Fela, z tego, co wiem, okupację przeżyła. Pewnie kto z zazdrości, że ładna, takie rzeczy rozповідаł. Ale ja plotek nie słuchałam, bo...

– Czyli to nie jest dom państwa Krajewskich? – przerwałam starszuce stanowczo, tracąc cierpliwość.

– A ja tam wiem? Może ta Fela za jakiego Krajewskiego wyszła? Ja po wojnie swoimi sprawami się zajęłam, troje dzieci urodziłam. Mąż ciągle w robocie, do miasta kolejką dojeżdżał, ja dom i praca, lekcje, czyn społeczny. Czasu brakło. Kto by spał. Ale szczęśliwe miałam życie, wojnę przeżyłam, teraz taką mam wnsię zdolną, pociecha na starość...

– Ale co z tą Krajewską?!

– Trzeba by kogo z sąsiadów zapytać, bo ja tam, pani, nie stąd. W Wawrze mieszkam, a tu tylko do lekarza przychodzę. Wnuk miał mnie przywieźć, ale w Warszawie pracuje, późno wraca. Takie czasy, wszystko na głowie. Tu dobry doktor, zaraz niedaleko...

Podziękowałam starej skwapliwie, by przerwać jej słowotok i wyswobodzić się z towarzystwa. Wyglądała na rozczarowaną i na moment zrobiło mi się jej żal. No cóż, starość się Naturze nie udała.

Babcia chwilę jeszcze pozostała, patrząc na dom w zadumie, i wreszcie poczłapała w swoją stronę. A mnie znowu naszła myśl, żeby zawrócić, wsiąść do samochodu i czym prędzej stąd odjechać. Lecz właśnie wtedy w jednym z okien na dole dostrzegłam ruch firanki – a zatem ktoś był w środku, ktoś mi się przyglądał, a martwy dom nie do końca był martwy. Raz kozie śmierć, pomyślałam i otworzyłam furtkę, która zaskrzypiała tak przeraźliwie, jak to się zdarza tylko w tanich horrorach.

Podwórka chyba nikt od wieków nie zamiętał, podjazd zasypyany był niemal zupełnie kolkami i gnijącymi liśćmi. Z bliska dom wyglądał jeszcze bardziej żałośnie niż z ulicy. Poczerniałe deski fasady sprawiały wrażenie, jakby w każdej chwili mogły odpaść, a cała konstrukcja groziła zawaleniem przy mocniejszym podmuchu wiatru.

Pociągnęłam nosem. Powietrze przesycał dziwny zapach: przemijania, rozkładu i czegoś dusząco kwaśnego – amoniaku? Poczułam, że zbiera mi się na wymioty. Z trudem nad tym zapanowałam.

Wdrapałam się po schodach prowadzących na zadaszony ganek. Pod drzwiami, podobnie jak na dole, walały się stare talerze i miski. A zatem, jeżeli nie pies, to może koty? – skonstatowałam, szukając dzwonnka. Kiedy nigdzie go nie znalazłam, postanowiłam zapukać, szczerze wątpiąc, że w tym starym zamczysku ktokolwiek mnie usłyszy.

Tymczasem, ku mojemu zdumieniu, po niedługim czasie doszedł mnie odgłos zbliżających się kroków i odsuwania zasuw. Drzwi się rozwarły, a mnie w twarz uderzyła kolejna fala fetoru, tym razem dobywająca się ze środka; niebываły smród gnicia, brudu, papierosowego dymu i odór kocich szczyn tworzyły piorunującą mieszankę.

W półmroku holu stała kobieta bez wieku – mogła mieć zarówno siedemdziesiąt, jak i pięćdziesiąt lat – z niejaką dezynwolturą podchodząca do kwestii stroju. Żaden z elementów jej garderoby nie pasował do pozostałych. Do indyjskiej spódnicy w kolorze intensywnie musztardowym założyła łososiową, niemal wieczorową atlasową bluzkę, gdzieś tam poplamioną tłuszczem. Spod niej wystawał koronkowy rąbek halki, równie nieświeżej co sama właścicielka. Na nogach miała rozdeptane góralskie kapcie z futerkiem, pamiętające chyba Witkiewiczowskie Zakopane. Grube siwe włosy, które niegdyś na pewno

stanowiły jej ozdobę, opadały tłustymi strąkami na ramiona. Pomyślałam, że przed laty musiała być atrakcyjna, w typie królowej balu maturalnego – duży biust, wąska talia, zgrabne nogi i błysk w oku – jednak obecnie jej twarz szpeciły popękane naczynka i opuchnięte fałdy skóry pod oczami. Przypominała jedną z matek moich dawnych jugowskich koleżanek. Starą Grabowską, która żeby znieść rzeczywistość, w tym częste testosteronowe paroksyzmy męża, koila nerwy, pociągając z butelki.

Kobieta spojrzała na mnie oczami Miłósza.

– Słucham? – W jej głosie zarzęziły wszystkie wypalone w życiu papierosy.

Była odstręczająca. Stare, śmierdzące próchno. Lecz zarazem była Miłoszem. Dostrzegałam go w mimice jej twarzy, w sposobie trzymania głowy, a nawet w modulacji głosu. Nie musiała się przedstawiać, wiedziałam, że to ona. Jego matka.

– Nazywam się Nina Chojnacka. Jestem tu, ponieważ... Pani jest matką Miłósza, prawda? Pani Mariola... – Przypomniałam sobie, jak Miłosz kiedyś mi o niej wspomniał: „Moja matka jest kwintesencją swojego imienia”.

Nagle między jej nogami pojawiła się wątpliwej urody szylkretka, miauczając przeciągle. Kobieta natychmiast wzięła ją na ręce i przytuliła. Z lubością zanurzyła usta w kociej sierści. Zrozumiałam, że nie zamierza odpowiadać na moje pytanie.

– Dostałam ten adres na uczelni. Miłosz, to znaczy doktor Krajewski, zaginął kilka dni temu. Sprawa została zgłoszona na policję, ale nadal nie wiadomo, co się stało. Miłosz z nikim się od tamtego czasu nie kontaktował, dlatego pomyślałam, że może pani...

– Ja nie znam żadnego Miłósza – odburknęła, nie przestając głaskać kociej sierści.

Starła się grać obojętną, panować nad sobą, a jednak z mowy jej ciała bez trudu wyczytałam, że wieść o zniknięciu ją poruszyła. Dotknęła. Może wystraszyła?

– Jeżeli to wszystko, to żegnam – rzuciła szorstko i nie dając mi dojść do słowa, zatrasnęła drzwi przed moim nosem.

Znowu usłyszałam dźwięk zasuw, potem oddalających się kroków, aż wreszcie wszystkie odgłosy ucichły. Pozostał jedynie szum lasu...

Skonsternowana i przemarznięta na kość wróciłam do auta. Włączyłam silnik, aby uruchomić ogrzewanie. Nie wiedziałam, jak odczytać to, co się stało. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że kobieta, która otworzyła mi drzwi, była matką Miłosza, a jednak nie zachowała się tak, jak oczekiwałam. Która matka na wieść o zaginięciu dziecka reaguje w taki sposób? Chyba że wiedziała, gdzie jest Miłosz. A może był u niej, gdzieś w tym cuchnącym domu? Od razu uznałam, że to wykluczone. Z tego, co wyczytałam między wierszami naszych dawnych rozmów, ten upadły pałac wzbudzał w nim jeszcze większą odrazę i niechęć niż we mnie dom z pruskiego muru. Teraz rozumiałam dlaczego.

Było mi niedobrze i śmiertelnie się tym wszystkim zmęczyłam. Minionym tygodniem, ostatnimi trzema latami, a teraz dodatkowo ciężą. No i znowu czułam się głodna – ciągle czułam się głodna.

Rozważałam, czy nie podjąć jeszcze jednej próby rozmowy z Krajewską, jednak zrezygnowałam. Miałam dość. Powoli ruszyłam III Poprzeczną w stronę domu.

Tamten samochód dostrzegłam, mijając przecnicę. Stał zaparkowany zaraz za znakiem pierwszeństwa przejazdu w bocznej uliczce. Wielki czarny mercedes, ostentacyjnie błyszczący nadmiarem tuningowych chromów. Takimi autami nie wożą się prawi obywatele Gotham. Gdy je mijałam, facet siedzący za kierownicą – w średnim wieku, krępy świński blondyn – spojrzał wprost na mnie i dziwnie się uśmiechnął.

*

– Jak to jesteś w ciąży?

Odwlekałam tę rozmowę, jak długo się dało, lecz dłużej nie mogłam. Po ostatnich świętach matka była tak urażona wystawieniem jej do wiatru, że nie rozmawiałyśmy dwa miesiące. Oczywiście dzwoniłam i pytałam, czy wszystko u niej w porządku i jak się czuje, lecz ona odpowiadała monosylabami, przez co trudno to było nazwać rozmową. Dzisiaj też nie była specjalnie gadatliwa, a ja niemal czułam, jak ze słuchawki wieje chłodem.

– To dziecko tego twojego...?

– Tak, mamo, to dziecko Miłosza.

– I co on na to?

– Nic nie wie.

– Jak to nic nie wie? Przecież mówisz, że to dwunasty tydzień. Nic nie zauważył? Mężczyźni to naprawdę idioci!

– Odszedł ode mnie. Miesiąc temu.

Na linii zapanował nerwowy bezgłos.

– Mamo, jesteś tam...?

– I co w tej sytuacji zamierzasz?

– Jak to co? Urodzę. Nie będę pierwszą samotną matką na świecie. – Nie będę nawet pierwszą samotną matką w naszej rodzinie, chciałam dodać, jednak ugryzłam się w język.

– Nie rozumiem. Jak to odszedł?! I mówisz o tym tak spokojnie? Jasna cholera, Nina! – W matce jednak coś pękło.

– Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Miłosz... On po prostu taki jest. To naprawdę skomplikowane. Wiedziałam, na co się godzę, wchodząc w ten związek, zresztą on nigdy mi niczego nie obiecywał. To ja... Ale absolutnie nie nadawał się na ojca. Może i lepiej, że zniknął.

– Czy ty słyszysz, co mówisz? Czy on ci zrobił pranie mózgu? Jezu, ja wiedziałam, że tak będzie, czułam to. Ta znajomość od początku wydawała mi się dziwna. Nic nie mówiłam, bo jesteś dorosła i każdy czasem traci głowę, ale na Boga, są granice...! – prawie krzyczała. Ona, która nigdy nie podnosiła głosu.

Tak bardzo chciałam jej powiedzieć, co czuję. Chciałam wyrzucić z siebie cały ciężar, który nagromadził się we mnie przez ostatnie lata. Wyznać, jak chory był układ, w który się uwikłałam, opowiedzieć o wszystkich podejrzeniach; ciemnych sprawkach, tatuażach pod wykrochmalonym kołnierzykiem, mrokiem pod pozorami akademickiej kariery, o siniakach, przemocy, łzach, bajecznie drogich mieszkaniach, eleganckich samochodach, lipnych spółkach, dziwnych powiązaniach i splotach okoliczności. Chciałam przyznać się do wszystkiego, ale nie potrafiłam tego zrobić, bo w jakimś sensie czułam się współniczką Miłosza. Współniczką przez zaniechanie i przemilczenie, przez przyzwolenie. Trzy lata udawałam przed sobą, że przecież wszystko jest normalnie, wszyscy wokół żyją jak my. Wszyscy się izolują od otoczenia, a na weekendy latają do europejskich stolic, gdzie pieprzą się w pięciogwiazdkowych hotelach. Gdybym to powiedziała teraz matce, to jakbym przyznała się do winy, jakbym potwierdziła słowa Piotрка

sprzed lat: że jestem taka sama jak wszystkie dupy z kompleksem prowincji, że przymknęłam oko na wiele spraw przez konformizm, dla wygody, dla kasy...

Dlatego nie powiedziałam nic. Osobliwych okoliczności odejścia Miłosza również nie zamierzałam jej wyjawiać.

– Mamo, nie denerwuj się. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. To zamknięty rozdział. Miłosza nie ma w moim życiu i nie będzie.

– Nie, moja droga, teraz właśnie będzie już zawsze – odparła gorzko.

Zdałam sobie sprawę, że ma całkowitą rację. Poraziła mnie ta myśl.

– A ja dobrze wiem, jak to jest samotnie wychowywać dziecko i wierz lub nie, nie jest to proste. Nie jest łatwo dokonywać wyboru, czy dać dziecku obiad, czy kupić mu buty na zimę.

– Ja na szczęście nie będę musiała mierzyć się z takimi decyzjami, nie jestem w twojej sytuacji. Mam dobrą pracę, spore oszczędności, dam radę...

– On powinien wiedzieć.

– Nie, mamo.

– Nina...

Przez chwilę obie milczałyśmy. Wreszcie odezwała się ona, głosem tak do niej niepodobnym, tak głęboko melancholijnym, że poczułam się dziwnie:

– To są twoje decyzje. Ale zastanów się: czy nie masz do mnie żalu, że tak niewiele wiesz o własnym ojcu?

*

Na drzewach pojawiły się pierwsze pąki. Trawa się zazieleniła, a od kilku dni nie spadała kropla deszczu. Kwiecień! Wreszcie zrobiło się ciepło. Mrok i wilgoć przedwiośnia ostatecznie spłynęły do studzienek, a Anin w nowym wydaniu prezentował się wyjątkowo czarownie i całkiem inaczej niż jeszcze przed miesiącem, gdy byłam tu poprzednio. Stary dom wydał mi się mniej posępny i groźny i nie przypominał już lepu na duchy. Na podwórku, w słońcu, wygrzewało się kilka kotów.

Tym razem zaparkowałam pod samą bramą i od razu skierowałam się do drzwi. Zapukałam. Cisza. Zapukałam znowu, tym razem mocniej. Po holu poniosło się echo, lecz nadal nie było odzewu. Zacisnęłam dłoń w pięść

i huknęłam jeszcze kilka razy, tak że deski wpały w wibracje, a mnie zaboląły knykcie.

Cisza.

Jedynie koty zdawały się zainteresowane moją obecnością. Dwa najodważniejsze podeszły bliżej i zaczęły ocierać się o moje nogi. Przykucnęłam, by je pogłaskać.

– Gdzie jest wasza pani?

– Tutaj – usłyszałam z oddali znajomy głos.

Kobieta pojawiła się niepostrzeżenie, nadchodziła od strony, gdzie na tyłach domu musiał znajdować się ogród. Podobnie jak ostatnio, ubrana była dość ekscentrycznie. Miała na sobie wściekle pomarańczowe spodnie w pasy i różowy sweter z wielką, obszytą cekinami kwiatową aplikacją, na głowie pleciony kapelusz, w jakim spaceruje się po nadmorskich promenadach, a na dłoniach ochronne rękawice. Stylizacji dopełniały grabie.

– Dzień dobry. – Wyprostowałam się.

– Jeszcze nie wiem, czy dobry – odparowała kwaśno, stając u podstawy schodów na ganek i wspierając się na rękojeści narzędzia.

– Poznaje mnie pani?

– Po jakie licho tłuc w drzwi? Jeszcze chwila i by je pani połamała. – Tradycyjnie nie odpowiedziała na pytanie.

– Mam na imię Nina...

– Pamiętam. Nie mam sklerozy – przerwała mi niezbyt uprzejmie. – Czemu tu pani znowu przyjechała? Już mówiłam, że nie znam żadnego Miłosza.

Nabrałam powietrza w płuca. To był właściwy moment, by użyć najcięższej amunicji.

– Jestem z nim w ciąży – wypaliłam.

Chyba nie tego się spodziewała, bo wyraz jej twarzy całkiem się zmienił. Wolną ręką potarła spocone czoło. Spojrzała w stronę bramy, za którą zaparkowałam zielone volvo – może je znała? – a potem przeniosła wzrok znowu na mnie.

– Co mnie to obchodzi? – Ton jej głosu kompletnie przeczył słowom. Nie było w nim pierwotnej wrogości, tylko zdziwienie.

– Muszę z panią porozmawiać. – Nie dawałam za wygraną. – Miłosz zniknął, a w obecnej sytuacji... Chyba mnie pani rozumie. Pani Mariolu... To jego dziecko, a ja o pani synu wiem chyba mniej, niż mi się wydawało. Pani jest jedyną osobą, która mogłaby mi pomóc go odnaleźć.

– Ja też o nim niewiele wiem. A zresztą jeżeli zniknął, to już się nie znajdzie. Zawsze taki był. Nie potrafię pani pomóc. – Z każdym słowem jej ochrypli głos stawał się coraz łagodniejszy.

– Obiecuję, że nie zabiorę pani zbyt wiele czasu, ale musimy porozmawiać, muszę zrozumieć...

Oparła grabie o ścianę ganku i zaczęła powoli wdrapywać się po schodach. Wyminęła mnie i otworzyła drzwi.

– Dobrze, niech pani wejdzie.

IV

Długo nie pisała. A on nie tęsknił za wiadomościami z Anina, nie myślał o niej. Ale dziś znowu, po długiej przerwie, przychodzi list. Tym razem Fela przesyła go nie pocztą, a przez znajomego, który ma przepustkę do getta. Potajemnie go przesyła, bo wiadomość zawiera tajne informacje.

Więcej Fela niepokoić Bronka nie będzie, niemniej jeszcze raz prosi, zaklina, żeby przemyślał jej propozycję: niech uciekają z doktorem za mur. Ona wszystko załatwi, u siebie ich ukryje. Jest w piwnicy takie miejsce, pokój za tajnymi drzwiami. Niech tylko Bronek da jej znać, jaka decyzja, przez tę samą osobę, która przyniosła list, a Fela zajmie się resztą. Ten doktor, znajomy Liebermanów sprzed wojny, Tarnawski – czy Bronek go pamięta?, był wtedy latem na anińskim lotnisku – skłonny jest pomóc w ucieczce. Niech Bronek dobrze to przemyśli. Niech Bronek nie poświęca swego młodego życia dla sprawy przegranej...

Mężczyzna, który przyniósł wiadomość na Sienną, pyta, czy będzie odpowiedź. Odpowiedzi nie będzie, ale niechże pan pannie Feli z serca podziękuje i niech jej wyrazi serdecznych pozdrowień przekaże. Doktor Lieberman nie zostawi pacjentów, a Bronek nie zostawi doktora. Nie zostawi getta. Bo gdzieś w getcie jest ta kobieta, Estera...

Głos Estery i jej cudowne rude włosy.

Bronek dokładnie wie, kiedy stracił dla niej głowę, kiedy ostatecznie przepadł, a obraz twarzy Feli rozmył się w jego pamięci.

Jest popołudnie któregoś wiosennego dnia czterdziestego pierwszego roku. W kawiarni na dole urządzono konkurs talentów. Za kilka miesięcy południowa pierzeja Siennej zostanie wyłączona z getta, środkiem jezdni Niemcy poprowadzą zasieki z drutu kolczastego, a do budynku, w którym mieści się kawiarnia, przeniosą Dom Sierot Korczaka, lecz tego dnia jeszcze wszystko jest po staremu.

W lokalu panuje swobodna i zupełnie wesoła atmosfera. Broniek trochę się spóźnił i gdy przychodzi, jest już spory tłok. Wszystkie krzesła zajęte. Mnóstwo osób sterczy pod ścianami, przy oknach, wszędzie, gdzie kto znalazł wolny kawałek podłogi. Na niektórych stolikach stoją szklanki z herbatą, z różnymi napojami, a nawet talerzyki z ciastem – trzeba w getcie odgrywać takie sceny normalności, żeby nie popaść w obłąd. Oczywiście większości zebranych nie stać na zamówienie czegokolwiek, ale przynajmniej posłuchają muzyki. Muzyka jest za darmo.

Szpilman już siedzi przy fortepianie, na zaimprovizowanej scenie, niedaleko przy stoliku zgromadziło się jury konkursu, w tym pani Tatiana, właścicielka kawiarni, i tylko rudowłosej nigdzie nie widać.

Broniek wciska się w kącie niedaleko drzwi na zaplecze, skąd ma dobry widok na podest. Kolejni artyści amatorzy wychodzą przed publikę, żeby zaprezentować swe umiejętności. Jedni śpiewają, inni tańczą, jeszcze inni grają.

On patrzy, słucha i myśli sobie, że jednak jest coś groteskowego, nienormalnego w tym, co się tutaj odbywa. Godzinę wcześniej w szpitalu Bersohnów i Baumanów widział dzieci umierające z powodu ran postrzałowych, tyfusu i choroby głodowej. Ich puste, wytrzeszczone oczy, wydęte brzuchy, ich nic nieważące ciała... Broniek przeniósł je do kostnicy – w ostatnim czasie zakres jego szpitalnych obowiązków mocno się poszerzył i już nie tylko pełni niezbyt zaszczytną funkcję palacza, lecz także wykonuje wiele innych prac fizycznych. Każda para rąk jest potrzebna, bo szpital pęka w szwach od nadmiaru pacjentów.

Tam śmierć i płacz. Tu muzyka i śmiech. To takie irracjonalne. I z jednej strony brzydzi się Broniek atmosferą zabawy panującą w kawiarni, a z drugiej myśli, że przecież ma dopiero dwadzieścia lat i prawo, by żyć, by czasami się uśmiechnąć. Dlatego wymazuje z głowy obrazy śmierci i stara się wsłuchać w muzykę. Zamyka oczy. Chce przez moment poczuć się jak kiedyś, jak wtedy, gdy świat smakował lodami od Lardelliego.

Nie zauważa, kiedy podchodzi. Dopiero gdy dotyka jego ramienia, Broniek otwiera oczy. Ona. Rudowłosa. Stoi tuż obok i się uśmiecha.

– Może usiądziesz ze mną? – rzuca swobodnie.

– Słucham? – W jednej chwili krew nabiega mu do twarzy.

Rudowłosa nie przestaje się w niego wpatrywać.

– Zwolniło się miejsce przy moim stoliku. Może zechcesz do mnie dołączyć?

Z bliska wygląda na młodszą, niż mu się wcześniej wydawało, ale na pewno jest kilka lat starsza od niego. Nie można jej nazwać klasycznie piękną, a jednak ma w sobie coś, co urzeka, onieśmiela. Figlarny błysk w oku, dwuznaczny uśmiech. Kiedy kilka lat temu śpiewał o tym Bodo, Broniek nie rozumiał, cóż to jest ta broń kobieca. Teraz już rozumie. *Sex appeal...*

– Dziękuję, chętnie.

Rudowłosa rusza przez tłum, w przeciwny kąt lokalu, on posłusznie za nią. Po drodze wita się wylewnie z gośćmi – przede wszystkim z mężczyznami, co nie umyka uwadze Bronka – kiwa głową w stronę Szpilmana, który nie przerywając gry, odpowiada na jej gest uśmiechem, a wreszcie, dotarłszy do celu, wskazuje Bronkowi miejsce przy stoliku, który, mimo tłumy ludzi wokół, czeka na nich wolny.

– Napijesz się czegoś? – szepcze, nachylając się nad jego uchem.

W nos uderza Bronka porażająca mieszanka woni jej perfum i skóry. Kto dziś używa perfum?

– Nie, dziękuję.

– A ja się napiję. – Dziewczyna daje znak kelnerce, która po chwili przynosi kieliszek jakiegoś bursztynowego alkoholu.

Wypija od razu, a potem, jakby straciła zainteresowanie towarzyszem, opiera się wygodnie na krześle, swym stałym gestem zakłada nogę na nogę i skupia uwagę na scenie. Broniek skupia uwagę na niej. Patrzy, jak się uśmiecha, jak wydyma usta, jak marszczy czoło, jak klaszcze...

Dopiero kiedy część konkursowa dobiega końca, a w pomieszczeniu robi się luźniej, rudowłosa znowu przenosi spojrzenie na niego.

– Często cię widuję – stwierdza swobodnie, na co Broniek nerwowo przełyka ślinę. Czy to możliwe, że zauważyła, jak się jej przyglądał przez szybę, przechodząc obok kawiarni?

– Mieszkam w kamienicy obok – tłumaczy, unikając jej spojrzenia.

– Wiem.

– Wie pani?

Rudowłosa śmieje się perliście.

– Pani? Chyba nie uważasz, że jestem aż tak stara?

– Ależ skąd. – Broniek czuje, że policzki mu płoną. Wbija zawstydzony wzrok w tętnicę pulsującą na jej białej szyi.

– Mów mi Estera.

– Ja nazywam się...

– Broniek Lieberman, syn doktora Szymona, wiem. Pani Tatiana mi powiedziała, ona zna wszystkich w tym mieście. Po tej stronie miasta – uściśla. – A już na pewno wszystkich na Siennej. – Wyjmuje z torebki papierośnicę. Otwiera ją i spogląda pytająco na Bronka: – Zapalisz?

Chłopak zaprzecza ruchem głowy.

– Oczywiście – stwierdza jakby sama do siebie i, jak mu się wydaje, z nutą rozbawienia czy raczej kpiny. Wsuwa papierosa w firkę, zapala i zaciąga się dymem. A potem wypuszcza go wąską strużką, prosto w jego twarz.

– Dlaczego nigdy nie wszedłeś do środka? Pan doktor nie pozwala?

– Widziała mnie pa... widziałaś mnie?

Estera milczy.

– Myślałam, że wejdiesz, zaśpiewałabym coś specjalnie dla ciebie.

– Dla mnie?

– A dlaczego nie? – Znowu się zaciąga. – Może dzisiaj dla ciebie zaśpiewam? Co o tym myślisz? Chciałbyś? Zostaniesz jeszcze chwilę?

Nigdy w życiu nie czuł się tak skrępowany. Kobieta patrzy na niego w sposób, w jaki jeszcze nikt nigdy nie patrzył. A w każdym razie nie Fela Hryniewiczówna. A Estera tak. Estera rozbiera go wzrokiem. Estera pożera go wzrokiem. Z taką zachłannością, że Broniek czuje, jak ręce, które zacisnął na kolanach pod obrusem, robią się zupełnie mokre.

– Zostanę – wydusza wreszcie jęśliwym głosem.

Estera dopala papierosa. Wstaje, poprawia sukienkę i przesuwa dłońią po upiętych w kok miedzianych lokach. Rzuca mu powłóczyście spojrzenie i podchodzi do Szpilmana, który od zakończenia występów konkursowych cicho brzdąka motyw z jakiegoś filmu. Broniek chyba był kiedyś na nim w kinie, ale tytułu za żadne skarby nie potrafi sobie teraz przypomnieć.

Estera przez chwilę szepcze coś pianaście na ucho. On kiwa głową, spoglądając przelotnie w stronę stolika w kącie, a wreszcie uderza pierwszy akord i Estera zaczyna śpiewać. Pierwsza nuta i pierwszy znak. *Pierwszy znak, gdy serce drgnie, ledwo drgnie, a już się wie, że to właśnie ten, tylko ten...*

Głos ma jak morska syrena. Jak anioł, a może wręcz przeciwnie, jak diablica z piekła rodem. Kusi tym głosem i Broniek czuje, że jej pragnie. Chce jej dotknąć, scałować szminkę z ust, zerwać sukienkę z ramion... I czuje, że jest w niej bez pamięci zakochany. Lecz już nie szczenięcą, romantyczną miłością o smaku landrynek od Fuchsa, miłością czułą i pachnącą sosnową żywicą. Teraz jest zupełnie inaczej. Świat się wywraca na nice. Nigdy już nie będzie jak wcześniej...

Myśli o tym, gdy przed godziną policyjną rozstają się pod kawiarnią. Myśli, gdy Estera na pożegnanie przelotnie całuje go w policzek. Myśli, gdy w nocy budzi się w pościeli splamionej obscenicznym snem...

A jednak wtedy widzi ją w kawiarni Na Siennej po raz ostatni.

Przez kilka kolejnych dni, wracając ze szpitala, zagląda do środka przez okno, lecz Estery tam nie ma. Rozpłynęła się w nieprzewidywalnej substancji ulic getta. Broniek cierpi miłosne katusze i myśli, czyby nie wejść do lokalu i nie zapytać o nią pani Tatiany, lecz ostatecznie nie znajduje odwagi. Trochę się wstydzi, ale chyba bardziej boi; że usłyszy coś, czego wolałby nie słyszeć; że dowie się czegoś ostatecznego...

A potem jeszcze, podczas rozmowy na zupełnie inny temat, ojciec napomyka, że nie podoba mu się nowa znajomość syna. Ludzie mu donieśli o scenie przy stoliku, o rozstaniu pod drzwiami kawiarni i o pocałunku, a kobiety tego pokroju, piosenkarki, fordanserki, czy kim ona tam jest, to absolutnie nie jest odpowiednie towarzystwo dla Bronka.

– Twojej matce na pewno by się to nie spodobało.

Matki już nie ma, a Broniek jest. Żyje, oddycha i chce kochać! Uwagą ojczyma, wraz jego zawołowanymi insynuacjami, czuje się dotknięty do żywego, ale jest posłusznym synem, toteż kładzie tylko uszy po sobie i nic nie mówi.

I dalej cierpi z miłości, ale cierpi skrycie i już nie znajdzie odwagi, by zapytać o Esterę kogokolwiek.

Bo wokół nic nie jest stałe, nic nie jest pewne.

W niecały rok później w kierunku Umschlagplatzu popłynie ludzka rzeka, ze wszystkich zakątków getta. Na początku będzie miała rozmiar wąskiego strumienia, później, latem czterdziestego drugiego, przybierze rozmiary rwącej fali. Ludzie zaczną opowiadać dziwne rzeczy na temat Treblinki: że to wcale nie jest obóz pracy, że stamtąd nikt żywy nie wychodzi. Ale to chyba nieprawda. Bo po co by wywożonym dawano tak duży przydział chleba na drogę? Na zmarnowanie? Niemożliwe! No to ludzie sami się będą do transportów zgłaszać... A wreszcie Niemcy zamkną małe getto, a Broniek z doktorem, mieszkający dotąd na jego obszarze, zostaną zmuszeni do przeprowadzki. Wtedy już bardzo rzadko będzie Broniek myślał o Esterze, wtedy już właściwie będzie czuł tylko strach. A kiedy jesienią świat otoczony murem opustoszeje niemal doszczętnie, a on niemal doszczętnie zapomni o Esterze, ona pojawi się znowu.

Jednak zanim to się stanie, najpierw będzie musiał odebrać jeszcze kilka lekcji dorosłości.

*

Jest wrzesień. W powietrzu unosi się lepka gęstniejąca wilgoć. Zmierzcha. Getto już nie jest tym samym gettem, co na początku okupacji. Wyłączono część ulic na południe od Chłodnej. Bezustanny harmider, nadwyżki ludzkiej tkanki, odgłosy życia zastąpiła głucha cisza. Jedni rozplłynęli się w niebycie placu przeładunkowego, w podróży donikąd, inni w nadmiernym bycie chorób i głodu. Kilku uciekło, wielu wniknęło w szpary pomiędzy kocimi łbami.

Powłóczęg nogami, Broniek wraca Smoczą ze szpitala przy Stawki. Przed miesiącem przeniesiono ich do budynków szkolnych przy Umschlagplatzu, gdzie połączyli się ze Szpitalem Starozakonnych. A parę dni temu grupa personelu wraz z częścią dzieci poszła do transportu. Pozostałe poszły spać – najbardziej chorym, tym, które i tak nie przeżyłyby drogi, doktor Adina w ostatniej chwili zdążyła podać morfinę. Doktora Liebermana nie zabrano, a Bronka na szczęście nie było wtedy w pracy. W prowizorycznym szpitalu zostały niedobitki.

Koniec jest bliski. Wszyscy to czują. Broniek to wie.

Właśnie skończył dwadzieścia dwa lata. Rozumie, że niedługo umrze. Jest bardzo młody i zarazem bardzo stary, wie już wszystko o śmierci, chociaż wciąż

jeszcze niewiele o życiu. Widział Zagładę i zajrzał w jej puste oczodoły. Widział niemowlęta o brzuchach wzdętych jak balony i członkach tak cienkich i kruchych, że można je było połamać palcami. Słyszał o matce, która zjadła z głodu ciało swego martwego dziecka, i o wielu innych niemożliwych do wyobrażenia rzeczach... A jednocześnie nigdy nie był nad Bałtykiem, nie pił wina, nie tańczył tanga, nie prowadził samochodu, nie kochał się z dziewczyną. W wielu miejscach nie był i wielu normalnych rzeczy nie zrobił, bo wojna wybuchła za szybko, bo miał wtedy dopiero osiemnaście lat... Jest wrakiem samego siebie. Cieniem człowieka, którego ubranie ma na sobie. Stare rzeczy po prostu się na Bronku rozsypały, porwały w strzępy, więc doktor zdobył dla niego jakiś wymięty drelich, który kiedyś prawdopodobnie był garniturem; trudno dociec, tak jest zniszczony, wielokrotnie nicowany, powycierany na łokciach i kolanach, ale ponieważ wciąż pozostaje w jednym kawałku, przez jakiś czas jeszcze posłuży.

Idzie zatem Broniek w cudzym ubraniu cudzą ulicą do domu. Po wyprowadzce z Siennej wraz innymi pracownikami szpitala dostali przydział kwaterek na Pawiej, w miejscu, do którego przed wojną nie śmiały się zapuścić. Teraz nie ma wyboru. Dzieli niewielką izbę z ojcem i jeszcze jednym mężczyzną, pielęgniarzem od Starozakonnych. Niegdyś mieszkał tu handlarz tytoniem z Gęsiej, ale teraz już go nie ma. Nie ma też po nim mebli, a nawet zapachu tytoniu. Nie ma nic, prócz szczurów pod podłogą, wszy w siennikach i grzyba na ścianach. Jeszcze rok temu pomyślałby Broniek, że w takich warunkach nie da się żyć. A jednak się da, wszystko można znieść. Człowiek z czasem nabiera wrażliwości ameby. Można patrzeć i nie widzieć, jeść i nie czuć smaku, płakać i mieć suche oczy.

Myśli o tym, idąc wyludnioną ulicą. Gdy skręca w Pawią, szarówka i mgła gęstnieją. Zaraz dotrze na miejsce, zaszyje się w ciasnej izbie pod nieświeżą kołdrą i zje kawałek przydziałowego chleba, który niesie za pazuchą.

Nie zauważa jej. Jest równie nędzna co reszta ulicy – zespolona ze szlamowatą masą otoczenia. Starucha w chustce na głowie i łachmanach. Wyłania się z zaułku. Drobna, malutka, przygięta do ziemi. A może to wcale nie jest starucha, tylko młoda dziewczyna? W jej umorusanej twarzy istnieją tylko oczy, a w oczach głód.

Wszystko dzieje się bardzo szybko. Kobieta chwyta Bronka za rękę i próbuje wyszarpnąć mu chleb spod marynarki. On na szczęście wykazuje się refleksem, palce przygotowane na atak zaciskają się na suchej skórce pieczywa. Jednak w napastnicze jest tyle determinacji – przecież to walka nie o chleb, a o coś więcej – że z nieoczekiwaną siłą popycha go w najbliższą bramę. Szamoczą się, a wreszcie zataczają oboje w śmierdzący uryną i stęchlizną mrok. Broniek wpada plecami na ścianę.

– Daj. – Tamta wyciąga w jego kierunku kościstą dłoń. Białą i przeraźliwie chudą. – Daj... – warczy wściekle.

Przypomina oszalałą bestię, gotową do skoku, do ataku.

I wcale nie jest staruchą. Jest młoda. Może nawet młodsza od Bronka. W innym świecie, w innym życiu uznalby nawet, że ładna. Pod warstwami szmat i brudu nie kryje się wcale groźna bestia, a tylko głodna przerażona dziewczyna.

Broniek stoi przyparty jej spojrzeniem do muru, nie ucieka. Jest coś takiego w jej ochrypłym głosie, że nie może się ruszyć.

Za to ona rusza się z miejsca i nie tracąc czasu – oboje go nie mają – przyskakuje do niego. Pada przed nim na kolana. Będzie go błagać o ten chleb? Jeżeli to zrobi, Broniek nie zdoła go dla siebie zatrzymać. Ma zbyt miękkie serce, będzie musiał jej go oddać. Niech go nie prosi, niech... Nie... Jej oczy płoną w ciemności jak oczy sowy. Żółte, szalone, wygłodniałe oczy. Te oczy w jego pamięci na zawsze pozostaną w kolorze, a cała scena w żółcieniu... Dziewczyna o nic go nie poprosi, zrobi za to coś, czego Broniek się nie spodziewa i czego nigdy nie zapomni. Bo takich rzeczy nie da się zapomnieć. Bo takie rzeczy wracają pod postacią sennych koszmarów.

Dziewczyna przysuwa się do niego jeszcze bliżej. Drżącymi palcami rozpina rozporek spodni. Przybliży twarz.

Coś nieoczekiwanego nagle się dzieje z ciałem Bronka. Coś wspaniałego i odrażającego zarazem. Czuje się obezwładniony strachem, wstydem, zwierzęcym pożądaniem i nie potrafi wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Nie potrafi dziewczyny od siebie odepchnąć. Powinien jej przeszkodzić, przerwać ten koszmar, tę rozkosz. I uciec. Powinien jakoś zareagować, chce zareagować, ale nie ma siły. Nie chce. Przecież w każdej chwili ktoś może tu wejść. A niech

wchodzi, wszystko mu jedno, zupełnie wszystko jedno – łapiąc gwałtownie powietrze, wbija palce w kawałek chleba schowanego na piersi.

Zresztą tej chwili wcale nie ma. Nie istnieje Broniek Lieberman, pasierb doktora, ani tym bardziej Broniek Chojnacki, syn kresowego ziemianina o skłonnościach do wódki i kobiet. Kilkunastoletnia dziewczyna nie klęczy przed Bronkiem i nie odziera ustami siebie i jego z godności. To tylko zły sen.

Powinien ją odepchnąć.

Ty, kimkolwiek i gdziekolwiek jesteś, czemuś mnie opuścił...?

Ta mała ma popękane, spierzchnięte wargi i ciepły delikatny język.

Ale to nie z ust Bronka dobywa się przyspieszony oddech, to nie on poddaje się podnieceniu. Nie on.

Dziewczyna jednostajnie porusza głową. Czy Broniek naprawdę wyciągnął wolną rękę i przytrzymał tę głowę? Zrobił to? Wsunął palce w pozlepiane, sztywne włosy? Nie, na pewno by tego nie zrobił.

Ty...

To nie z ust Bronka wrywa się jęk. To wyje pierwotny instynkt w jego wnętrzu. To nie Broniek.

Echo westchnienia odbija się od ceglanych ścian bramy. I koniec. Spełnienie spływa przez drżące ciało.

I spokój. I nie ma już nic. Tylko nieruchoma przestrzeń bramy przy ulicy Pawiej. Dziewczyna podnosi się z klęcek. Wyciera usta podartym rękawem. Wyciąga dłoń po to, co jej się należy.

Kim jest Broniek Lieberman w tej chwili? Kim jest dziewczyna? Kim są ci wszyscy, którzy obojętnie, niczym duchy, suną ciemną ulicą, udając, że nie widzą, udając, że nic się nie stało? A może rzeczywiście nie widzą i nic się nie stało?

Broniek bez sprzeciwu oddaje chleb dziewczynie. A ona, tak jak się nagle pojawiła, tak nagle znika. Ginie we mgle ulicy Pawiej. Rozmywa się. Nie ma jej. Nie było. Jest tylko rozpięty rozporek i kawałek pomarszczonego ciała, który pozostał na wierzchu, skulony, zawstydzony, bezwstydnym.

Dziewczyna odeszła i teraz będzie już przy nim zawsze. Jeszcze wiele razy przyjdzie, we wszystkie księżycowe noce, które spędzi kiedyś Broniek w domu

z pruskiego muru. Będzie do niego przychodziła po swój chleb. A on będzie go jej dawał.

*

Bronek siedzi na fotelu pasażera. Z tyłu kuli się Estera. Za kierownicą samochodu doktor Tarnawski. Za oknami ośnieżona Warszawa.

Dziwny wydaje się Bronkowi świat za murem. Aryjska część miasta wygląda niemal tak samo jak na początku okupacji. Gdzieniegdzie w ciągu kamienic wciąż straszą niezabudowane wyrwy – pozostałość po „lanym” poniedziałku – jednak ludzie, jak gdyby nigdy nic, całkiem swobodnie chodzą po ulicach. Tramwaje jeżdżą, uliczne lampy świecą. Jakiś chłopak rzuca śnieżką w dziewczynę, ktoś inny ciągnie dziecko na sankach... Jakby się Bronnek nagle znalazł na innej planecie. I może jest na zupełnie innej planecie i może to, co mu się wydaje, że ma miejsce, nie dzieje się naprawdę? Może Bronnek wcale nie zostawił ojczyma w getcie i nie ucieka z Esterą do Anina?

Jak to się stało, że jest teraz tutaj, zamiast być tam, pośród wymarłych ulic, i za dwa miesiące, podczas powstania, zginąć w jakimś pożarze albo od kuli? Wsłuchując się w melodię dieslowskiego silnika, patrzy na umykający za oknem świat, na Warszawę, która nigdy nie była jego miastem i już nigdy nim nie zostanie, i na czarne wody Wisły przepływające pod mostem Poniatowskiego...

Wszystko potoczyło się tak nieoczekiwanie. Jeszcze cztery miesiące temu był Bronnek niemal pewien, że już nigdy nie zobaczy tej rzeki. I Estery. Że najpewniej zginęła przypadkiem na ulicy albo wywieziono ją do Treblinki. Aż któregoś jesiennego dnia doktor powiedział mu, że pieśniarka z kawiarni Na Siennej leży na oddziale w szpitalu, że jest ranna...

Na jej widok serce Bronka znowu zatrzepotało w klatce żeber. Wciąż była piękna, chociaż zgąsł błysk w jej oku. Nie chciała opowiadać, dlaczego tak nagle zniknęła i gdzie się przez półtora roku podziewała. Wspomniała jedynie o wyjściu za mur i o powrocie. O tym, że miała tu matkę i brata, którzy trafili do transportu w lipcu, podczas pierwszej fali likwidacji getta, a ona od tego czasu jest zupełnie sama na świecie. Wszystko się skończyło, życie się skończyło, chociaż ona ma dopiero dwadzieścia sześć lat. Już nie śpiewa w kawiarniach. Bo

nie ma kawiarni. I nikt już nie ma ochoty słuchać piosenek o miłości. Bo nie ma miłości. Teraz jest coś zgoła innego.

Postrzelono ją przypadkiem. Wpadła na ulicy na grupę wyrostków, którzy okazali się szmalcownikami. Niemiec pojawił się nagle. Jak czarny anioł śmierci, w długim skórzanym płaszczu. Strzelał na oślep, ale nie celował w nią, a w tamtych, pewnie dlatego przeżyła. Straciła dużo krwi, lekarze cudem ją odratowali. I teraz jest tutaj, dziurawa w środku, chociaż niby pozszywana. I myślała nawet, czy by jednak roboty Niemca nie dokończyć, lecz na korytarzu zobaczyła doktora Liebermana...

Bronek uważał, że ocalenie Estery to znak. Jej niejednoznaczna przeszłość nie miała znaczenia. Nie była już tamtą frywolną dziewczyną z pomalowanymi ustami z kawiarni Na Siennej. Bronek także stał się kimś innym. Nic nie pozostało po skromnym, zawstydzonym chłopcu. Więc gdy go Estera złapała w szpitalu za rękę i poprosiła, aby z nią został, Bronek postanowił zostać i udowodnić, że miłość nadal istnieje. Nawet jeśli ostatecznie wygra śmierć.

Dwa tygodnie później, kiedy lekarze pozwolili Esterze opuścić szpital, już nie wrócił do wspólnego mieszkania na Pawią. Stało się jasne, że teraz zamieszkają we dwoje. Doktor przyjął to spokojnie. Bo cóż by dał jego sprzeciw? Bronek był już dorosły i mógł o sobie decydować. Zresztą czy w tych strasznych czasach nie mieli prawa do choćby odrobiny szczęścia? Nawet skazańcom nie odmawia się ostatniego posiłku. Co teraz znaczyła niechlubna przeszłość Estery, co znaczyły społeczne zależności i konwenanse? Niech więc Bronek zazna miłości, zanim... Bo może nie być żadnego potem.

Doktor pomógł im załatwić samodzielny pokój. Na Pawiej, kilka domów od miejsca, gdzie dotychczas mieszkał z pasierbem. Obskurne było to mieszkanie, bez bieżącej wody, z grzybem puchnącym w ścianach i z wychodkiem w podwórku, a jednak nigdzie – ani wcześniej, ani później – nie był Bronek tak szczęśliwy jak tam.

W środku najmroczniejszej okupacyjnej jesieni i w początkach zimy, która dla getta miała być ostatnią, przeżywał wraz z Esterą najwspanialszą wiosnę życia. Za dnia chodził do pracy z głową w chmurach – coraz gęstszych i bardziej ołowianych – a nocami się z nią kochał. Udawali, że nie ma żadnej wojny, i jak dzieci bawili się w dom.

I stało się to, co zwykle w takich sytuacjach stać się musi. Pierwszego dnia czterdziestego trzeciego roku Estera powiedziała mu, że jest w ciąży. „Taki prezent na Nowy Rok – rzekła z uśmiechem. – Czy Broniek się cieszy?” Oczywiście, że się cieszył, chociaż... Już wtedy chodziły słuchy, że zaraz wybuchnie powstanie, i myślał sobie Broniek, ochrzczony syn polskiego szlachcica z Kresów, syn przysposobiony ateisty Liebermana, że może trzeba by krew za tę sprawę przelać, bo przecież i tak przyjdzie im wszystkim niechybnie ją przelać, i dobrze by było nadać śmierci jakiś sens, ubarwić zdychanie odrobiną patosu. Tak sobie myślał Broniek w sekrecie, lecz słowa Estery kompletnie wywróciły jego plany i zmieniły bieg wszystkich przyszłych zdarzeń. Zmieniły zupełnie ogląd tego, co Broniek powinien i co należy. Teraz należało zapomnieć o wielkich czynach i o bohaterskiej śmierci. Trzeba było się ratować, ją ratować. Trzeba było uciekać.

Broniek długo namawiał doktora, żeby się do nich przyłączył, lecz on kategorycznie odmówił – w getcie byli jego pacjenci, w getcie było jego miejsce. Za to obiecał pomoc. Wyjście samego Bronka nie byłoby specjalnie skomplikowane. Nie musieliby preparować wszystkich dokumentów. Akt chrztu miał Broniek jak najbardziej autentyczny; kiedy wyjeżdżali ze Lwowa, Sofijka na wszelki wypadek zabrała go ze sobą. Teraz trzeba by było jedynie załatwić nową kenkartę na dawne nazwisko. Szymon Lieberman miał wielu znajomych, bez problemu by to zorganizował. Wymknąłby się Broniek ze swym aryjskim *fizis* przez główną bramę bez trudu. Ale co z Esterą? Estera nie miała aktu chrztu, miała za to zły wygląd.

Należało załatwić to inaczej.

Nie było czasu do stracenia, ruszyła machina przygotowań: Broniek przypomniał sobie o propozycji Feli, ojciec nawiązał kontakt z doktorem Tarnawskim. Dzięki sieci dziwnych kontaktów po dwóch tygodniach mieli gotowe papiery na nazwiska: Bronisław Chojnacki oraz Zofia Chojnacka, żona, a także zagwarantowaną kryjówkę po aryjskiej stronie. W domu pośród anińskich lasów.

Ojciec sprzedał łańcuszek i bardzo cenny pierścionek po Sofijce, ostatnią pamiątkę, jaka mu po niej została, a pieniądze przekazał na łąpówkę dla żołnierza Wehrmachtu, który raz w tygodniu wywoził za mur brudną szpitalną bieliznę.

I tak, pod gałganami cuchnącymi fekaliami, strachem i śmiercią, Broniek wraz z Esterą opuścili getto dzisiejszego popołudnia. Tarnawski zgodnie z umową przejął uciekinierów na podwórku domu przy Kruczej, w którym mieszka.

– A gdzie twój ojciec? – zachnął się nieprzyjemnie na ich widok, wbijając zaskoczone spojrzenie w Bronka, a potem przenosząc je na Esterę. – Myślałem, że... Wprowadzono mnie w błąd. Sądziłem, że chodzi o ciebie i doktora.

– Ojciec postanowił zostać. Zamiast niego... To jest...

– Żadnych nazwisk – uciął chłodno lekarz. Westchnął ciężko kilka razy. – Mnie w zasadzie wszystko jedno, kogo wiozę. Wasze wybory. Miałem zabrać dwie osoby i umowy dotrzymam. – Wciąż nie kryjąc niesmaku, gestem nakazał, aby czym prędzej wsiedli do zaparkowanego w bramie wozu.

Bez zwłoki wyruszyli w dalszą drogę. Było już zupełnie ciemno, ale do godziny policyjnej, którą od listopada ustalono na dwudziestą, wciąż pozostało sporo czasu. Tarnawski jechał spokojnie, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Skierowali się na most Poniatowskiego, potem skręcili w prawo, na południe, w Miedzeszyńską. Milczeli.

I wciąż milczą, z każdą minutą coraz bardziej oddalając się od miasta.

Broniek myśli o tym, że nie zdążył się odpowiednio pożegnać z doktorem, że nie powiedział wszystkiego, co należało w takiej sytuacji powiedzieć – że doktor był dobrym ojcem, że go Broniek kochał, chociaż nigdy mu tego nie wyznał, że jest mu wdzięczny. Za dobre dzieciństwo, za wszystkie obejrzone razem mecze Pogoni Lwów, za opiekę nad Sofijką, za tak wiele spraw... Nie powiedział i nie powie, bo pewnie więcej się nie zobaczą. A Broniek już zawsze będzie miał wyrzuty sumienia, że zostawił go samego.

Niepostrzeżenie przeciera wilgotne oczy – dobrze, że w samochodzie tak ciemno. Tarnawski wpatruje się w drogę. W świetle rzucanym przez reflektory wiruje śnieg.

– Dziękuję, że nam pan pomaga – przerywa ciszę Broniek, próbując odepchnąć bolesne refleksje.

– Nie mnie dziękuj. – Mężczyzna tylko wzrusza ramionami. – To wyłącznie zasługa Felicji. Dziś nie sztuką jest uciec z getta, wielu ucieka, to tylko kwestia pieniędzy, sztuką jest przetrwać po aryjskiej stronie. Gdyby nie ona, gdyby nie to, że zdecydowała się ofiarować wam schronienie, nie mógłbym pomóc.

– Ale, mimo wszystko, naraża się pan dla nas.

– To ona się naraża, mnie nie ma potrzeby dziękować, nie robię tego dla ciebie. Dla was... – precyzuje, przypomniawszy sobie o pasażerze z tyłu. – Powiedzmy, że miałem pewien dług wobec Felicji. Stary dług. – Przez pewien czas nad czymś duma, a wreszcie dodaje: – A jeśli już o niej mowa... Rozumiem, że Felicja, podobnie jak ja, nie spodziewa się, kto wraz z tobą przybędzie pod jej dach. Że przyjedziesz z... kimkolwiek jest dla ciebie ta „pani”. – Ostatnie słowo Tarnawski cedzi z nieukrywaną drwiną, przelotnie zerkając przez ramię w stronę tylnej kanapy.

Estera pod spojrzeniem lekarza kuli się jeszcze bardziej. Uduje, że zajmuje ją coś za oknem – statystyka opadania płatków śniegu na tle czarnego nieba – że wcale jej w aucie nie ma, oddycha bezgłośnie.

– Fela nie wie – przyznaje Bronek.

– No cóż, zatem nie liczyłbym na wylewne powitanie. Panna Felicja raczej nie będzie zbyt kontenta na widok niezapowiedzianego gościa.

Na ustach mężczyzny wykwita krzywy uśmiech, brzydki grymas pogardy, w którym zawiera się wszystko, o czym lekarz w głębi duszy myśli.

Bronek nie wie, co powiedzieć, toteż nie mówi nic więcej. Aż do samego Anina nikt się już nie odzywa, a gdy docierają na miejsce, doktor po prostu wysadza ich na ulicy przy furtce pod domem; jego rola skończona. Myślał Bronek, że może wejdzie z nimi do środka, że zechce zobaczyć scenę powitania przy drzwiach, zaskoczona minę Feli, jej niezadowolenie, on jednak rzuca tylko, że się spieszy, bo musi zdążyć do domu przed godziną policyjną, i szybko odjeżdża. Światła nikną za zakrętem, a oni zostają na ulicy sami, otoczeni ciemnością.

Aniński las wygląda inaczej, niż go Bronek zapamiętał z wakacji sprzed czterech i pół roku. Sprawia wrażenie mrocznego i groźnego. Domek dla lalek także nie jest już słodkim domkiem, a skutą lodem posępną twierdzą. Tylko w jednym z pokoi na dole pali się światło.

Bronek i Estera, kuląc się z zimna, przemierzają podwórze i stają na ganku. On puka do drzwi, dziewczyna chowa się za jego plecami. Puka tylko raz, bowiem skrzydło otwiera się niemal natychmiast – widocznie Fela słyszała silnik

samochodu i czekała w holu. A teraz stoi w drzwiach, opromieniona aksamitnym blaskiem lampy. Otulona ciepłym szalem. Nieco blada. Bardzo piękna.

Już nie Fela, a Felicja.

W jego wspomnieniach zachował się obraz uroczej, nieco wycofanej i małomównej nastolatki, bardzo ładnej, lecz jeszcze nie w pełni dojrzałej. Tymczasem teraz ma przed sobą najdoskonalszą kobietę, jaką kiedykolwiek widział.

Estera przypomina krótkotrwałe szaleństwo, taniec na wulkanie. Ma czerwone usta, nawet kiedy zmywa szminkę, jest jak jej płomiennie włosy, to królowa nocy. Tymczasem Felicja to dystynkcja i tajemnica, niedopowiedzenie i chłodny urok królowej śniegu.

Estera wyłania się z cienia. Ołowiana cisza wypełnia ganek.

Królowa śniegu patrzy na królową nocy – na twarzy tej pierwszej nie drga żaden mięsień, stalowe oczy nie wyrażają zaskoczenia, złości ani rozczarowania. Nie wyrażają niczego.

– Wejdźcie – mówi wreszcie cicho, zbyt cicho, i wpuszcza ich do środka.

Zanim zamknie drzwi, wychyla się na zewnątrz, aby sprawdzić, czy nikt ich nie widział, po czym dokładnie je rygluje.

– Nie wiem, jak ci dziękować, żeś się zgodziła nas przyjąć. – Bronek słowami próbuje pokryć zakłopotanie, chociaż wie, że w przeciwieństwie do Felicji wszystkie emocje ma wypisane na twarzy. Czuje się okropnie, jakby ją zdradził, jakby przez tę obecność Esterki u swego boku czemuś ważnemu się sprzeniewierzył – mrok pochłania wspomnienia: migoty świetlików i smak pocałunku słodkiego jak cukierki, i wszystkie lipcowe noce.

I może nawet myśli Bronek, że Fela zaraz każe im się wynosić albo chociaż gorzkim spojrzeniem da mu odczuć, że ją zawiódł, uczyni coś, cokolwiek... Ale ona swe rozczarowanie zamyka w milczeniu. I wcale na niego nie patrzy. Patrzy tylko na Esterę.

*

Estera śpi, a obok niej śpi miesięczne niemowlę. Dzieciak ciągle płacze, więc go Esterka bezustannie karmi, a potem śpią oboje kamiennym snem.

Dziś mija dziewięć miesięcy, odkąd zamieszkali pod podłogą, zakopali się żywcem w klaustrofobicznej krypcie domku dla lalek.

Felicja bardzo się stara, żeby im tu było jak najwygodniej, dba o nich, lecz tak żyć się nie da: bez światła, bez powietrza. Na początku czasami pozwalała im nocą wychodzić na chwilę do ogrodu, ale teraz ryzyko jest już zbyt duże. Im mniej osób wie o nowych lokatorach przy III Poprzecznej, tym lepiej. Nawet pani Ratayowa nie została wtajemniczona w to, co się tu dzieje. To znaczy zdaje sobie sprawę, że ktoś w ich piwnicy mieszka, jednak Fela ją od tej sprawy izoluje. Felicja wszystkim zajmuje się sama. Felicja jest najlepszym człowiekiem na świecie.

Bronek rozmyśla o tym, siedząc na krześle pod ceglana ścianą. Obserwuje, jak płomień świecy tańczy poruszany jego oddechem i jak na piwnicznych sprzętach drżą finezyjne cienie. Jak światło włącza życie w to martwe miejsce. Bronek też jest jak ta piwnica, trochę martwy w środku; coraz częściej myśli, że chyba źle zrobił, uciekając z getta, unikając przeznaczenia.

Przypomina sobie ostatnie miesiące, gdy brzuch Estery rósł jak na drożdżach. Przypomina sobie spojrzenie Felicji, która na nią i na ten brzuch patrzyła. Z doskonale skrywaną odrazą. I myśli o tym, że Estera jego także zaczęła męczyć i irytować. Już rozumie dawne wątpliwości ojca – Rudowłosa nie należy do ich świata. Takich jak ona się pożąda, z takimi jak ona można robić wiele podniecających rzeczy, lecz jej podobne zawsze pozostają w pewien sposób naznaczone: biedą, brakiem manier, brakiem wykształcenia. Nawet gdy prawdę o sobie ukryją pod czarującym uśmiechem i warstwą eleganckiego makijażu.

W zamkniętej przestrzeni czterech ścian, pod podłogą, to, czego dotąd Bronek starał się nie widzieć, teraz bije po oczach. W ostatecznym rozrachunku Estera, urocze stworzenie, pieśniarka z kawiarni Na Siennej, *femme fatale* z getta, która jakimś cudownym zrządzeniem losu przeżyła, chociaż jej rodzina nie miała tego szczęścia, okazała się prostą dziewczyną z Nalewek. Jej dziadkiem nie był wybitny prawnik, a ojcem ceniony lekarz. Jej *mamele* nie umiała pisać, nie mówiła nawet po polsku, a *tatele*, pobożny Żyd, handlował szmatami. *Handele, handele!* Nie przeczytała Esterka w życiu żadnej książki i nie wiedziała, kto zaczął Puccini i Brahms.

Kiedy brzuch jej rósł, a uroda zaczęła się rozlewać, namiętność przygaśla i nieoczekiwanie wyszło na jaw, że nie ma z nią Broniek o czym rozmawiać. Przez całą wiosnę i lato, aż do września, gdy na świat przyszło dziecko, grał przed sobą i przed nią, że nic się nie zmieniło, że wciąż ją kocha. Miał nadzieję, że kiedy brzuch zniknie, kiedy znowu stanie się Estera rudowłosym wampem, temperatura uczuć między nimi się podniesie.

Tymczasem choć Estera szybko dochodziła do siebie, pod podłogą wciąż wiało chłodem.

Coraz częściej za to myśli Broniek o Felicji.

Sądził, że dziecięce zauroczenie minęło, a jednak już pierwszego wieczoru, gdy tu dotarli, stojąc w holu jej domu, obok kobiety, która nosiła w sobie jego dziecko, zrozumiał, że nadal coś go z Felicją łączy. Ale czy można kochać dwie kobiety jednocześnie? Czy można być jednocześnie Bronkiem Liebermanem i Bronkiem Chojnackim?

Felicji nie da się nie kochać. Jest jak anioł, jak święta. Madonna spod podłogi. Karmi ich, opiera, przynosi gazety i książki, wynosi pełne nocniki. Opowiada, co się dzieje na zewnątrz; o tym, że przyszła wiosna, że wiosna odeszła, że lato, że słońce, a od wschodu wieje już czerwony wiatr zmian i wojna na pewno niedługo się skończy.

A kiedy nadszedł czas, przyniosła gorącą wodę, prześcieradła i kaftanik dla dziecka.

Estera urodziła wyjątkowo szybko i bez powikłań. Po trzech godzinach było po wszystkim. Fela zachowała zimną krew; okazało się, że ma spore pojęcie o medycynie – podobno uczyła się sama. W roli akuszerki sprawdziła się wspaniale. Tak Bronkiem komenderowała, tak nad wszystkim czuwała, jakby nic innego przez całe życie nie robiła.

Rachela przyszła na świat zdrowa i różowiutka. A teraz krzyczy bezustannie. A gdy wykrzyczy cały ból swego miesięcznego istnienia, zasypia u boku zmęczonej matki – jak w tym momencie.

Broniek patrzy na Rachelkę w ramionach Estery i nie wie, czy kiedykolwiek zdoła ją pokochać. Bo na razie to dziecko, to różowe nieładne coś o rudawych, cienkich włoskach, to tylko kula u nogi. Może gdyby nie ono, mógłby wyjść spod ziemi? Mógłby żyć normalnie, może nawet z Felicją? I byłoby jak w tamto lato.

Patrzy Broniek na swą córkę i nienawidzi się za to, co czuje, a jednak nie potrafi nad falą emocji zapanować...

Na schodach słycać kroki. Broniek podrywa się z krzesła. Słyszy, jak Felicja ostrożnie odsuwa kredens, którym zastawione jest wejście do ukrytego pokoju w piwnicy. Odsłania koc maskujący wyrwę w murze.

– Pst. – Broniek kładzie palec na ustach. – Dopiero zasnęły.

Felicja stawia delikatnie miednicę na stole i przez chwilę wpatruje się w śpiącą Esterę. Potem zerka na Bronka.

– Przyniosłam ciepłą wodę. Myślałam, że może będziecie chcieli umyć małą. Broniek robi kilka kroków w jej stronę.

– Rachela strasznie dziś marudziła.

– Słyszałam. Może ma kolkę. Jutro zaparzę koper i wam przyniosę.

– Jesteś taka dobra – szepcze Broniek.

– Daj spokój. – Jej głos jest beznamiętny. – Każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo.

– Wiesz, że to nieprawda, Felu... – Chwyta ją za rękę. Przytrzymuje.

Felicja wbija w niego łagodne szare oczy i wyszarpuje mu się stanowczo. Wycofuje się w stronę wyjścia.

– Umyj się, szkoda, żeby się woda zmarnowała. A potem kładź się spać. Jutro przyniosę coś na tę kolkę. Dla twojej córki.

*

W okolicy długo już nie widziano Rattonitza. Został przeniesiony gdzieś na front i od wczesnego lata czterdziestego roku do jesieni czterdziestego trzeciego Fela nie spotkała Niemca ani razu.

Kamień spadł z serca cioci Luci, bo zanim esesman wyjechał, zanim wiosna minęła, ludzie już zaczęli między sobą gadać, jaki to skandal, że się mała Hryniewiczówna z wrogiem prowadzi. Ciotka broniła czci Feli jak lwica – cóż biedne dziecko jest winne, że się ten germański wypierd na nią uwziął, że się szwenda wokół, że dom ich ciągle nachodzi; a to pod pozorem pożyczania jakiejś polskiej książki – bo podobno języka się uczy – a to żeby pograć na pianinie, bo u swej *Frau* na Ukośnej instrumentu mu brakuje. Cóż może biedna dziewczyna

zrobić, że wpadła w oko wstrętnemu naziście? Ciotka spać z nerwów nie mogła, ale na swą duszę przysięgała, że Fela jest czysta, że dobrego imienia przodków na szwank nie wystawia. Wszak to wnuczka samego Wieniawy-Sułkowskiego, co z Marszałkiem ramię w ramię Rzeczpospolitą budował, córka posła na Sejm! A do tego dziecko jeszcze! Czyż ona mogłaby Niemca w jakikolwiek sposób prowokować? Fela w tym wszystkim ofiarą! Żadnego grzechu w sercu nie nosi. Przecież gdyby się ośmieliła mu odpysknąć, powiedziała dobitnie i wprost, żeby się wynosił, żeby za nią po Aninie nie łąził, umizgów nie czynił, w domu nieproszony nie odwiedzał, to gotów SS-Scharführer Rattonitz zapomnieć o całej swej niemieckiej kindersztubie i odstrzelić Felusi jej śliczniutką główkę...

Napracowała się ciocia Lucia, żeby ludziom usta pozamykać. Fela za niczego nie komentowała. A później problem sam się rozwiązał, bo Friedrich wyjechał. Fela zajęła się wtedy swymi sprawami, a trochę sprawami innych – nimi przede wszystkim. Pomagała cioci utrzymać dom; a to ucząc znajome dzieci francuskiego i niemieckiego, a to wożąc czasami różne rzeczy do Warszawy – kto handluje, ten żyje – i wyprzedając rodowe pamiątki za bezcen. Tatuś ostatecznie pieniędzy nie przysłał, bowiem, jak się dowiedziała później, ósmego października czterdziestego roku, czyli w chwili, gdy czytała pierwszy i ostatni list od papy, ten już nie żył. Owego dnia, prócz budynków BBC oraz Tower Bridge, w nalotach Luftwaffe ucierpiało kilka londyńskich kamienic, w tym ta, w której piwnicy ukrył się Adi wraz ze świeżo poślubioną flamą, publicystką-skandalistką. Felicja po papie nie płakała. Papa przeszedł do przeszłości, a ona miała inne niż żałoba sprawy na głowie.

Byłaby poszła na studia, ale ciocia nie chciała słyszeć o tajnych kompletach w Warszawie. Zresztą tyle było roboty przy domu, przy ciułaniu pieniędzy na życie, a potem przy sprawach piwnicznych, że Fela zapomniała i o marzeniach naukowych, i o natarczywym Niemcu, który wyjechał trzy i pół roku temu i przepadł bez wieści.

A teraz wraca.

Któregoś listopadowego wieczoru staje na ganku domku dla lalek i puka do drzwi. Delikatnie, kulturalnie, nie tak, jak to mają w zwyczaju ci z gestapo. Fela uchyla skrzydło na szerokość łańcuszka.

– *Guten Abend.*

W wąskim pasku światła padającym przez szparę widzi swego Niemca stojącego na ganku. Nic się nie zmienił, jakby się wczoraj widzieli. Tylko na patce kołnierza ma dodatkową gwiazdkę. SS-Hauptscharführer Rattonitz – teraz Fela znacznie lepiej niż na początku wojny orientuje się w niemieckich dystynkcjach wojskowych.

– Dobry wieczór, panna Felicja – powtarza Friedrich tym razem po polsku, z rozbawieniem obserwując jej konsternację.

Fela otwiera drzwi i wpuszcza mężczyznę do środka – ten nie sili się na delikatność i bez pardonu pożera ją wzrokiem.

– Soso, wyrosła panna Felicja. – W jego głosie już prawie nie słychać niemieckiego akcentu, czuć za to podziw. Podoba mu się Fela. Jako kobieta i jako obiekt pożądania. – Dostałem przepustkę, myślałem, czy do domu nie pojechać, do *Mutti und Vati, aber...* postanowiłem odpocząć w Anin. Tu najlepszy klimat, *schönen Wald...* – Robi wymowną pauzę. – Później wracam *an der Ostfront*. Postanowiłem, że wpadnę i się przywitam – tłumaczy, po czym, mimo braku reakcji z drugiej strony, zdejmuje płaszcz.

Z głębi ciemnego domu dobiega głos ciotki:

– Kto to do nas przyszedł, Felu?

Dziewczyna patrzy mężczyźnie prosto w oczy. Na jej twarzy nie drga żaden mięsień.

– Pan Rattonitz, ciociu – mówi, obracając powoli głowę w stronę drzwi prowadzących do saloniku.

Jeszcze nie zdąży Fela odwieść okrycia Friedricha na wieszak, gdy w holu pojawia się ciotka. Drobna, skulona, z każdym rokiem coraz mniejsza – jakby ją ta wojna powoli pochłaniała. W jej rozmytych oczach przelewają się całe oceany strachu.

– Ach, to pan... – rzuca chłodno w kierunku gościa. – Dobry wieczór.

– Pomyślałem, że zajrzę do pań. – Niemiec nie traci animuszu. – Jak za dawnych czasów napijemy się herbaty i może panna Fela zagra nam Mozart albo Bach?

Ciotka wykrzywia usta w niesmaku, jakby cytrynę przegryzła, a przecież cytryn od czterech lat w sklepie nie uświadczysz.

– W takim razie zapraszam do środka.

Osobliwe jest to spotkanie w wielkim i cichym domu w Aninie, w bardzo ciemny listopadowy wieczór. Ciotka, siedząc sztywno przy stoliku, wygląda, jakby zaraz miała zemdleć – nerwowo mnie serwetę, coś tam od czasu do czasu kurtuazyjnie odbakując. Fela studiuje arkadyjską scenkę wymalowaną na imbryku i nie odzywa się wcale. Rattonitzowi zaś usta się nie zamykają. Papie jak najęty o różnych nieistotnych sprawach, o rodzinnym domu w Hausdorfie, z którego roztacza się wspaniały widok na całe pasmo Eulengebirge, o tym, jak będąc dzieckiem, szusował po swych ukochanych górach, o *Mutti und Vati*: Odzie i Günterze. Ale ani słowem się nie zająknie, co w czasie swej nieobecności porabiał, gdzie był i czy bardzo go boli, że takiego łupnia od Ruskich dostają. Gada o wszystkim, tylko nie o tym. A wreszcie prosi uprzejmie, acz nieznośnym sprzeciwu tonem, żeby mu panna Felicja coś wesołego, skocznego zagrała, jaką polkę albo walczyka. A gdy dziewczyna siada do pianina, z nieukrywaną przyjemnością obserwuje, jak jej palce tańczą po klawiszach.

Fela na początku gra cicho, *pianissimo*, *piano*. I trochę się myli, jako że od dawna tego nie robiła, a skostniałe palce nie chcą jej słuchać. Ale gra dalej, kolejny utwór i kolejny. Wreszcie przy czwartym, pomiędzy akordami zaczyna słyszeć coś, czego Rattonitz usłyszeć w żadnym razie nie może. Ciotka też to widocznie pochwytuje, gdyż napina się i błędnie jeszcze bardziej. Gdzieś w trzewiach domu coś wyraźnie piszczy i zgrzyta. Płacze i skomle. Fela wali w klawisze, *mezzo forte*, *forte*, żeby tylko zagłuszyć ów specyficzny odgłos, żeby się Rattonitz nie zorientował.

Za późno.

On już się podnosi, już podchodzi do instrumentu. Staje tuż za jej plecami. Kładzie dłonie na ramionach.

– *Stoppen* – mówi łagodnie, ale stanowczo.

Fela udaje, że nie słyszy. *Fortissimo!*

– *Stoppen, Mädchen!* – grzmi Niemiec, zaciskając palce na dziewczęcych barkach.

Zatem Fela przestaje. Wielka cisza wypełnia pokój. Cisza... Tylko wiatr uderza o szyby. Hula po poddaszu. Świszczy między deskami. Na zewnątrz

któraś z okiennic stuka rytmicznie. Drewniany dom opowiada skrzypieniem swą historię.

Fela zerka na Friedricha przez ramię. Mężczyzna już się nie uśmiecha, jest czujny, skupiony. Groźny.

– Czy mam dalej grać, proszę pana? To tylko wiatr...

Niemiec się mityguje. Puszczą dziewczynę. Robi krok do tyłu.

– *Nein. Ich muss bereits gehen.* Odprowadzi mnie panna Fela?

Gestem zatrzymuje ciotkę Lucynę na miejscu przy stole. Felicja wstaje od pianina i posłusznie rusza w stronę holu. On, już bez słowa, ledwie skinieniem głowy żegna starszą panią i podąża w ślad za dziewczyną. Zamyka za sobą drzwi.

Są teraz sami w wąskim ciemnym przejściu. Friedrich powstrzymuje Felę przed włączeniem światła, pociąga ją za nadgarstek i popycha na ścianę. Przygważdża własnym ciałem, unieruchamia, nachyla się do jej ucha.

– Oj, Felusza... – cedzi. – *Nicht schön.* Ja słyszałem, że w Anin ktoś Żydy ukrywa. Wiesz coś o tym?

Fela milczy. Fela nie jest w stanie się ruszyć. Czuje na sobie ciepło męskiego ciała i szorstkość gabardyny, z której uszyty jest esesmański mundur. Dłoń Friedricha sunie powoli w górę, po jej udzie, po brzuchu i piersiach, by wreszcie zatrzymać się na szyi. Palce delikatnie przyciskają rozedrganą tętnicę, mierząc puls.

– Czego się boisz, Felusza? *Es ist nur der Wind...* Nie bój się. Ja ciebie nie wydam – szepcze jej wprost do ucha. – Ale wiesz, co grozi za ukrywanie Żydy? Nie chcesz chyba, żeby *Frau Lucia* trafiła *nach Auschwitz*?

Oczy Friedricha płoną w ciemności. Usta Friedricha rozciągają się w demonicznym uśmiechu.

– Słyszałaś o Auschwitz, prawda, Felusza?

Jego usta dotykają czoła Feli. Niemiec składa na nim długi, miękki pocałunek, a potem odrywa się od ciała dziewczyny i samotnie rusza w stronę drzwi. Zarzuca płaszcz na ramiona i bez słowa wychodzi w noc.

Długo nie pisała. A on nie tęsknił za wiadomościami z Anina, nie myślał o niej. Ale dziś znowu, po długiej przerwie, przychodzi list. Tym razem Fela przesyła go nie pocztą, a przez znajomego, który ma przepustkę do getta. Potajemnie go przesyła, bo wiadomość zawiera tajne informacje.

Więcej Fela niepokoić Bronka nie będzie, niemniej jeszcze raz prosi, zaklina, żeby przemyślał jej propozycję: niech uciekają z doktorem za mur. Ona wszystko załatwi, u siebie ich ukryje. Jest w piwnicy takie miejsce, pokój za tajnymi drzwiami. Niech tylko Bronek da jej znać, jaka decyzja, przez tę samą osobę, która przyniosła list, a Fela zajmie się resztą. Ten doktor, znajomy Liebermanów sprzed wojny, Tarnawski – czy Bronek go pamięta?, był wtedy latem na anińskim lotnisku – skłonny jest pomóc w ucieczce. Niech Bronek dobrze to przemyśli. Niech Bronek nie poświęca swego młodego życia dla sprawy przegranej...

Mężczyzna, który przyniósł wiadomość na Sienną, pyta, czy będzie odpowiedź. Odpowiedzi nie będzie, ale niechże pan pannie Feli z serca podziękuje i niech jej wyrazi serdecznych pozdrowień przekaże. Doktor Lieberman nie zostawi pacjentów, a Bronek nie zostawi doktora. Nie zostawi getta. Bo gdzieś w getcie jest ta kobieta, Estera...

Głos Estery i jej cudowne rude włosy.

Bronek dokładnie wie, kiedy stracił dla niej głowę, kiedy ostatecznie przepadł, a obraz twarzy Feli rozmył się w jego pamięci.

Jest popołudnie któregoś wiosennego dnia czterdziestego pierwszego roku. W kawiarni na dole urządzono konkurs talentów. Za kilka miesięcy południowa pierzeja Siennej zostanie wyłączona z getta, środkiem jezdni Niemcy poprowadzą zasieki z drutu kolczastego, a do budynku, w którym mieści się kawiarnia, przeniosą Dom Sierot Korczaka, lecz tego dnia jeszcze wszystko jest po staremu.

W lokalu panuje swobodna i zupełnie wesoła atmosfera. Broniek trochę się spóźnił i gdy przychodzi, jest już spory tłok. Wszystkie krzesła zajęte. Mnóstwo osób sterczy pod ścianami, przy oknach, wszędzie, gdzie kto znalazł wolny kawałek podłogi. Na niektórych stolikach stoją szklanki z herbatą, z różnymi napojami, a nawet talerzyki z ciastem – trzeba w getcie odgrywać takie sceny normalności, żeby nie popaść w obłąd. Oczywiście większości zebranych nie stać na zamówienie czegokolwiek, ale przynajmniej posłuchają muzyki. Muzyka jest za darmo.

Szpilman już siedzi przy fortepianie, na zaimprovizowanej scenie, niedaleko przy stoliku zgromadziło się jury konkursu, w tym pani Tatiana, właścicielka kawiarni, i tylko rudowłosej nigdzie nie widać.

Broniek wciska się w kącie niedaleko drzwi na zaplecze, skąd ma dobry widok na podest. Kolejni artyści amatorzy wychodzą przed publikę, żeby zaprezentować swe umiejętności. Jedni śpiewają, inni tańczą, jeszcze inni grają.

On patrzy, słucha i myśli sobie, że jednak jest coś groteskowego, nienormalnego w tym, co się tutaj odbywa. Godzinę wcześniej w szpitalu Bersohnów i Baumanów widział dzieci umierające z powodu ran postrzałowych, tyfusu i choroby głodowej. Ich puste, wytrzeszczone oczy, wydęte brzuchy, ich nic nieważące ciała... Broniek przeniósł je do kostnicy – w ostatnim czasie zakres jego szpitalnych obowiązków mocno się poszerzył i już nie tylko pełni niezbyt zaszczytną funkcję palacza, lecz także wykonuje wiele innych prac fizycznych. Każda para rąk jest potrzebna, bo szpital pęka w szwach od nadmiaru pacjentów.

Tam śmierć i płacz. Tu muzyka i śmiech. To takie irracjonalne. I z jednej strony brzydzi się Broniek atmosferą zabawy panującą w kawiarni, a z drugiej myśli, że przecież ma dopiero dwadzieścia lat i prawo, by żyć, by czasami się uśmiechnąć. Dlatego wymazuje z głowy obrazy śmierci i stara się wsłuchać w muzykę. Zamyka oczy. Chce przez moment poczuć się jak kiedyś, jak wtedy, gdy świat smakował lodami od Lardelliego.

Nie zauważa, kiedy podchodzi. Dopiero gdy dotyka jego ramienia, Broniek otwiera oczy. Ona. Rudowłosa. Stoi tuż obok i się uśmiecha.

– Może usiądziesz ze mną? – rzuca swobodnie.

– Słucham? – W jednej chwili krew nabiega mu do twarzy.

Rudowłosa nie przestaje się w niego wpatrywać.

– Zwolniło się miejsce przy moim stoliku. Może zechcesz do mnie dołączyć?

Z bliska wygląda na młodszą, niż mu się wcześniej wydawało, ale na pewno jest kilka lat starsza od niego. Nie można jej nazwać klasycznie piękną, a jednak ma w sobie coś, co urzeka, onieśmiela. Figlarny błysk w oku, dwuznaczny uśmiech. Kiedy kilka lat temu śpiewał o tym Bodo, Broniek nie rozumiał, cóż to jest ta broń kobieca. Teraz już rozumie. *Sex appeal...*

– Dziękuję, chętnie.

Rudowłosa rusza przez tłum, w przeciwny kąt lokalu, on posłusznie za nią. Po drodze wita się wylewnie z gośćmi – przede wszystkim z mężczyznami, co nie umyka uwadze Bronka – kiwa głową w stronę Szpilmana, który nie przerywając gry, odpowiada na jej gest uśmiechem, a wreszcie, dotarłszy do celu, wskazuje Bronkowi miejsce przy stoliku, który, mimo tłumy ludzi wokół, czeka na nich wolny.

– Napijesz się czegoś? – szepcze, nachylając się nad jego uchem.

W nos uderza Bronka porażająca mieszanka woni jej perfum i skóry. Kto dziś używa perfum?

– Nie, dziękuję.

– A ja się napiję. – Dziewczyna daje znak kelnerce, która po chwili przynosi kieliszek jakiegoś bursztynowego alkoholu.

Wypija od razu, a potem, jakby straciła zainteresowanie towarzyszem, opiera się wygodnie na krześle, swym stałym gestem zakłada nogę na nogę i skupia uwagę na scenie. Broniek skupia uwagę na niej. Patrzy, jak się uśmiecha, jak wydyma usta, jak marszczy czoło, jak klaszcze...

Dopiero kiedy część konkursowa dobiega końca, a w pomieszczeniu robi się luźniej, rudowłosa znowu przenosi spojrzenie na niego.

– Często cię widuję – stwierdza swobodnie, na co Broniek nerwowo przełyka ślinę. Czy to możliwe, że zauważyła, jak się jej przyglądał przez szybę, przechodząc obok kawiarni?

– Mieszkam w kamienicy obok – tłumaczy, unikając jej spojrzenia.

– Wiem.

– Wie pani?

Rudowłosa śmieje się perliście.

– Pani? Chyba nie uważasz, że jestem aż tak stara?

– Ależ skąd. – Broniek czuje, że policzki mu płoną. Wbija zawstydzony wzrok w tętnicę pulsującą na jej białej szyi.

– Mów mi Estera.

– Ja nazywam się...

– Broniek Lieberman, syn doktora Szymona, wiem. Pani Tatiana mi powiedziała, ona zna wszystkich w tym mieście. Po tej stronie miasta – uściśla. – A już na pewno wszystkich na Siennej. – Wyjmuje z torebki papierośnicę. Otwiera ją i spogląda pytająco na Bronka: – Zapalisz?

Chłopak zaprzecza ruchem głowy.

– Oczywiście – stwierdza jakby sama do siebie i, jak mu się wydaje, z nutą rozbawienia czy raczej kpiny. Wsuwa papierosa w firkę, zapala i zaciąga się dymem. A potem wypuszcza go wąską strużką, prosto w jego twarz.

– Dlaczego nigdy nie wszedłeś do środka? Pan doktor nie pozwala?

– Widziała mnie pa... widziałaś mnie?

Estera milczy.

– Myślałam, że wejdiesz, zaśpiewałabym coś specjalnie dla ciebie.

– Dla mnie?

– A dlaczego nie? – Znowu się zaciąga. – Może dzisiaj dla ciebie zaśpiewam? Co o tym myślisz? Chciałbyś? Zostaniesz jeszcze chwilę?

Nigdy w życiu nie czuł się tak skrępowany. Kobieta patrzy na niego w sposób, w jaki jeszcze nikt nigdy nie patrzył. A w każdym razie nie Fela Hryniewiczówna. A Estera tak. Estera rozbiera go wzrokiem. Estera pożera go wzrokiem. Z taką zachłannością, że Broniek czuje, jak ręce, które zacisnął na kolanach pod obrusem, robią się zupełnie mokre.

– Zostanę – wydusza wreszcie jęśliwym głosem.

Estera dopala papierosa. Wstaje, poprawia sukienkę i przesuwa dłonią po upiętych w kok miedzianych lokach. Rzuca mu powłóczyście spojrzenie i podchodzi do Szpilmana, który od zakończenia występów konkursowych cicho brzdąka motyw z jakiegoś filmu. Broniek chyba był kiedyś na nim w kinie, ale tytułu za żadne skarby nie potrafi sobie teraz przypomnieć.

Estera przez chwilę szepcze coś pianaście na ucho. On kiwa głową, spoglądając przelotnie w stronę stolika w kącie, a wreszcie uderza pierwszy akord i Estera zaczyna śpiewać. Pierwsza nuta i pierwszy znak. *Pierwszy znak, gdy serce drgnie, ledwo drgnie, a już się wie, że to właśnie ten, tylko ten...*

Głos ma jak morska syrena. Jak anioł, a może wręcz przeciwnie, jak diablica z piekła rodem. Kusi tym głosem i Broniek czuje, że jej pragnie. Chce jej dotknąć, scałować szminkę z ust, zerwać sukienkę z ramion... I czuje, że jest w niej bez pamięci zakochany. Lecz już nie szczenięcą, romantyczną miłością o smaku landrynek od Fuchsa, miłością czułą i pachnącą sosnową żywicą. Teraz jest zupełnie inaczej. Świat się wywraca na nice. Nigdy już nie będzie jak wcześniej...

Myśli o tym, gdy przed godziną policyjną rozstają się pod kawiarnią. Myśli, gdy Estera na pożegnanie przelotnie całuje go w policzek. Myśli, gdy w nocy budzi się w pościeli splamionej obscenicznym snem...

A jednak wtedy widzi ją w kawiarni Na Siennej po raz ostatni.

Przez kilka kolejnych dni, wracając ze szpitala, zagląda do środka przez okno, lecz Estery tam nie ma. Rozpłynęła się w nieprzewidywalnej substancji ulic getta. Broniek cierpi miłosne katusze i myśli, czyby nie wejść do lokalu i nie zapytać o nią pani Tatiany, lecz ostatecznie nie znajduje odwagi. Trochę się wstydzi, ale chyba bardziej boi; że usłyszy coś, czego wolałby nie słyszeć; że dowie się czegoś ostatecznego...

A potem jeszcze, podczas rozmowy na zupełnie inny temat, ojciec napomyka, że nie podoba mu się nowa znajomość syna. Ludzie mu donieśli o scenie przy stoliku, o rozstaniu pod drzwiami kawiarni i o pocałunku, a kobiety tego pokroju, piosenkarki, fordanserki, czy kim ona tam jest, to absolutnie nie jest odpowiednie towarzystwo dla Bronka.

– Twojej matce na pewno by się to nie spodobało.

Matki już nie ma, a Broniek jest. Żyje, oddycha i chce kochać! Uwagą ojczyma, wraz jego zawołowanymi insynuacjami, czuje się dotknięty do żywego, ale jest posłusznym synem, toteż kładzie tylko uszy po sobie i nic nie mówi.

I dalej cierpi z miłości, ale cierpi skrycie i już nie znajdzie odwagi, by zapytać o Esterę kogokolwiek.

Bo wokół nic nie jest stałe, nic nie jest pewne.

W niecały rok później w kierunku Umschlagplatzu popłynie ludzka rzeka, ze wszystkich zakątków getta. Na początku będzie miała rozmiar wąskiego strumienia, później, latem czterdziestego drugiego, przybierze rozmiary rwącej fali. Ludzie zaczną opowiadać dziwne rzeczy na temat Treblinki: że to wcale nie jest obóz pracy, że stamtąd nikt żywy nie wychodzi. Ale to chyba nieprawda. Bo po co by wywożonym dawano tak duży przydział chleba na drogę? Na zmarnowanie? Niemożliwe! No to ludzie sami się będą do transportów zgłaszać... A wreszcie Niemcy zamkną małe getto, a Broniek z doktorem, mieszkający dotąd na jego obszarze, zostaną zmuszeni do przeprowadzki. Wtedy już bardzo rzadko będzie Broniek myślał o Esterze, wtedy już właściwie będzie czuł tylko strach. A kiedy jesienią świat otoczony murem opustoszeje niemal doszczętnie, a on niemal doszczętnie zapomni o Esterze, ona pojawi się znowu.

Jednak zanim to się stanie, najpierw będzie musiał odebrać jeszcze kilka lekcji dorosłości.

*

Jest wrzesień. W powietrzu unosi się lepka gęstniejąca wilgoć. Zmierzcha. Getto już nie jest tym samym gettem, co na początku okupacji. Wyłączono część ulic na południe od Chłodnej. Bezustanny harmider, nadwyżki ludzkiej tkanki, odgłosy życia zastąpiła głucha cisza. Jedni rozplłynęli się w niebycie placu przeładunkowego, w podróży donikąd, inni w nadmiernym bycie chorób i głodu. Kilku uciekło, wielu wniknęło w szpary pomiędzy kocimi łbami.

Powłócząc nogami, Broniek wraca Smoczą ze szpitala przy Stawki. Przed miesiącem przeniesiono ich do budynków szkolnych przy Umschlagplatzu, gdzie połączyli się ze Szpitalem Starozakonnych. A parę dni temu grupa personelu wraz z częścią dzieci poszła do transportu. Pozostałe poszły spać – najbardziej chorym, tym, które i tak nie przeżyłyby drogi, doktor Adina w ostatniej chwili zdążyła podać morfinę. Doktora Liebermana nie zabrano, a Bronka na szczęście nie było wtedy w pracy. W prowizorycznym szpitalu zostały niedobitki.

Koniec jest bliski. Wszyscy to czują. Broniek to wie.

Właśnie skończył dwadzieścia dwa lata. Rozumie, że niedługo umrze. Jest bardzo młody i zarazem bardzo stary, wie już wszystko o śmierci, chociaż wciąż

jeszcze niewiele o życiu. Widział Zagładę i zajrzał w jej puste oczodoły. Widział niemowlęta o brzuchach wzdętych jak balony i członkach tak cienkich i kruchych, że można je było połamać palcami. Słyszał o matce, która zjadła z głodu ciało swego martwego dziecka, i o wielu innych niemożliwych do wyobrażenia rzeczach... A jednocześnie nigdy nie był nad Bałtykiem, nie pił wina, nie tańczył tanga, nie prowadził samochodu, nie kochał się z dziewczyną. W wielu miejscach nie był i wielu normalnych rzeczy nie zrobił, bo wojna wybuchła za szybko, bo miał wtedy dopiero osiemnaście lat... Jest wrakiem samego siebie. Cieniem człowieka, którego ubranie ma na sobie. Stare rzeczy po prostu się na Bronku rozsypały, porwały w strzępy, więc doktor zdobył dla niego jakiś wymięty drelich, który kiedyś prawdopodobnie był garniturem; trudno dociec, tak jest zniszczony, wielokrotnie nicowany, powycierany na łokciach i kolanach, ale ponieważ wciąż pozostaje w jednym kawałku, przez jakiś czas jeszcze posłuży.

Idzie zatem Broniek w cudzym ubraniu cudzą ulicą do domu. Po wyprowadzce z Siennej wraz innymi pracownikami szpitala dostali przydział kwaterek na Pawiej, w miejscu, do którego przed wojną nie śmiały się zapuścić. Teraz nie ma wyboru. Dzielią niewielką izbę z ojcem i jeszcze jednym mężczyzną, pielęgniarzem od Starozakonnych. Niegdyś mieszkał tu handlarz tytoniem z Gęsiej, ale teraz już go nie ma. Nie ma też po nim mebli, a nawet zapachu tytoniu. Nie ma nic, prócz szczurów pod podłogą, wszy w siennikach i grzyba na ścianach. Jeszcze rok temu pomyślałby Broniek, że w takich warunkach nie da się żyć. A jednak się da, wszystko można znieść. Człowiek z czasem nabiera wrażliwości ameby. Można patrzeć i nie widzieć, jeść i nie czuć smaku, płakać i mieć suche oczy.

Myśli o tym, idąc wyludnioną ulicą. Gdy skręca w Pawią, szarówka i mgła gęstnieją. Zaraz dotrze na miejsce, zaszyje się w ciasnej izbie pod nieświeżą kołdrą i zje kawałek przydziałowego chleba, który niesie za pazuchą.

Nie zauważa jej. Jest równie nędzna co reszta ulicy – zespolona ze szlamowatą masą otoczenia. Starucha w chustce na głowie i łachmanach. Wyłania się z zaułku. Drobna, malutka, przygięta do ziemi. A może to wcale nie jest starucha, tylko młoda dziewczyna? W jej umorusanej twarzy istnieją tylko oczy, a w oczach głód.

Wszystko dzieje się bardzo szybko. Kobieta chwyta Bronka za rękę i próbuje wyszarpnąć mu chleb spod marynarki. On na szczęście wykazuje się refleksem, palce przygotowane na atak zaciskają się na suchej skórce pieczywa. Jednak w napastnicze jest tyle determinacji – przecież to walka nie o chleb, a o coś więcej – że z nieoczekiwaną siłą popycha go w najbliższą bramę. Szamoczą się, a wreszcie zataczają oboje w śmierdzący uryną i stęchlizną mrok. Broniek wpada plecami na ścianę.

– Daj. – Tamta wyciąga w jego kierunku kościstą dłoń. Białą i przeraźliwie chudą. – Daj... – warczy wściekle.

Przypomina oszalałą bestię, gotową do skoku, do ataku.

I wcale nie jest staruchą. Jest młoda. Może nawet młodsza od Bronka. W innym świecie, w innym życiu uznalby nawet, że ładna. Pod warstwami szmat i brudu nie kryje się wcale groźna bestia, a tylko głodna przerażona dziewczyna.

Broniek stoi przyparty jej spojrzeniem do muru, nie ucieka. Jest coś takiego w jej ochrypłym głosie, że nie może się ruszyć.

Za to ona rusza się z miejsca i nie tracąc czasu – oboje go nie mają – przyskakuje do niego. Pada przed nim na kolana. Będzie go błagać o ten chleb? Jeżeli to zrobi, Broniek nie zdoła go dla siebie zatrzymać. Ma zbyt miękkie serce, będzie musiał jej go oddać. Niech go nie prosi, niech... Nie... Jej oczy płoną w ciemności jak oczy sowy. Żółte, szalone, wygłodniałe oczy. Te oczy w jego pamięci na zawsze pozostaną w kolorze, a cała scena w żółcieniu... Dziewczyna o nic go nie poprosi, zrobi za to coś, czego Broniek się nie spodziewa i czego nigdy nie zapomni. Bo takich rzeczy nie da się zapomnieć. Bo takie rzeczy wracają pod postacią sennych koszmarów.

Dziewczyna przysuwa się do niego jeszcze bliżej. Drżącymi palcami rozpina rozporek spodni. Przybliży twarz.

Coś nieoczekiwanego nagle się dzieje z ciałem Bronka. Coś wspaniałego i odrażającego zarazem. Czuje się obezwładniony strachem, wstydem, zwierzęcym pożądaniem i nie potrafi wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Nie potrafi dziewczyny od siebie odepchnąć. Powinien jej przeszkodzić, przerwać ten koszmar, tę rozkosz. I uciec. Powinien jakoś zareagować, chce zareagować, ale nie ma siły. Nie chce. Przecież w każdej chwili ktoś może tu wejść. A niech

wchodzi, wszystko mu jedno, zupełnie wszystko jedno – łapiąc gwałtownie powietrze, wbija palce w kawałek chleba schowanego na piersi.

Zresztą tej chwili wcale nie ma. Nie istnieje Broniek Lieberman, pasierb doktora, ani tym bardziej Broniek Chojnacki, syn kresowego ziemianina o skłonnościach do wódki i kobiet. Kilkunastoletnia dziewczyna nie klęczy przed Bronkiem i nie odziera ustami siebie i jego z godności. To tylko zły sen.

Powinien ją odepchnąć.

Ty, kimkolwiek i gdziekolwiek jesteś, czemuś mnie opuścił...?

Ta mała ma popękane, spierzchnięte wargi i ciepły delikatny język.

Ale to nie z ust Bronka dobywa się przyspieszony oddech, to nie on poddaje się podnieceniu. Nie on.

Dziewczyna jednostajnie porusza głową. Czy Broniek naprawdę wyciągnął wolną rękę i przytrzymał tę głowę? Zrobił to? Wsunął palce w pozlepiane, sztywne włosy? Nie, na pewno by tego nie zrobił.

Ty...

To nie z ust Bronka wrywa się jęk. To wyje pierwotny instynkt w jego wnętrzu. To nie Broniek.

Echo westchnienia odbija się od ceglanych ścian bramy. I koniec. Spełnienie spływa przez drżące ciało.

I spokój. I nie ma już nic. Tylko nieruchoma przestrzeń bramy przy ulicy Pawiej. Dziewczyna podnosi się z klęcek. Wyciera usta podartym rękawem. Wyciąga dłoń po to, co jej się należy.

Kim jest Broniek Lieberman w tej chwili? Kim jest dziewczyna? Kim są ci wszyscy, którzy obojętnie, niczym duchy, suną ciemną ulicą, udając, że nie widzą, udając, że nic się nie stało? A może rzeczywiście nie widzą i nic się nie stało?

Broniek bez sprzeciwu oddaje chleb dziewczynie. A ona, tak jak się nagle pojawiła, tak nagle znika. Ginie we mgle ulicy Pawiej. Rozmywa się. Nie ma jej. Nie było. Jest tylko rozpięty rozporek i kawałek pomarszczonego ciała, który pozostał na wierzchu, skulony, zawstydzony, bezwstydnny.

Dziewczyna odeszła i teraz będzie już przy nim zawsze. Jeszcze wiele razy przyjdzie, we wszystkie księżycowe noce, które spędzi kiedyś Broniek w domu

z pruskiego muru. Będzie do niego przychodziła po swój chleb. A on będzie go jej dawał.

*

Bronek siedzi na fotelu pasażera. Z tyłu kuli się Estera. Za kierownicą samochodu doktor Tarnawski. Za oknami ośnieżona Warszawa.

Dziwny wydaje się Bronkowi świat za murem. Aryjska część miasta wygląda niemal tak samo jak na początku okupacji. Gdzieniegdzie w ciągu kamienic wciąż straszą niezabudowane wyrwy – pozostałość po „lanym” poniedziałku – jednak ludzie, jak gdyby nigdy nic, całkiem swobodnie chodzą po ulicach. Tramwaje jeżdżą, uliczne lampy świecą. Jakiś chłopak rzuca śnieżką w dziewczynę, ktoś inny ciągnie dziecko na sankach... Jakby się Bronnek nagle znalazł na innej planecie. I może jest na zupełnie innej planecie i może to, co mu się wydaje, że ma miejsce, nie dzieje się naprawdę? Może Bronnek wcale nie zostawił ojczyma w getcie i nie ucieka z Esterą do Anina?

Jak to się stało, że jest teraz tutaj, zamiast być tam, pośród wymarłych ulic, i za dwa miesiące, podczas powstania, zginąć w jakimś pożarze albo od kuli? Wsłuchując się w melodię dieslowskiego silnika, patrzy na umykający za oknem świat, na Warszawę, która nigdy nie była jego miastem i już nigdy nim nie zostanie, i na czarne wody Wisły przepływające pod mostem Poniatowskiego...

Wszystko potoczyło się tak nieoczekiwanie. Jeszcze cztery miesiące temu był Bronnek niemal pewien, że już nigdy nie zobaczy tej rzeki. I Estery. Że najpewniej zginęła przypadkiem na ulicy albo wywieziono ją do Treblinki. Aż któregoś jesiennego dnia doktor powiedział mu, że pieśniarka z kawiarni Na Siennej leży na oddziale w szpitalu, że jest ranna...

Na jej widok serce Bronka znowu zatrzepotało w klatce żeber. Wciąż była piękna, chociaż zgąsł błysk w jej oku. Nie chciała opowiadać, dlaczego tak nagle zniknęła i gdzie się przez półtora roku podziewała. Wspomniała jedynie o wyjściu za mur i o powrocie. O tym, że miała tu matkę i brata, którzy trafili do transportu w lipcu, podczas pierwszej fali likwidacji getta, a ona od tego czasu jest zupełnie sama na świecie. Wszystko się skończyło, życie się skończyło, chociaż ona ma dopiero dwadzieścia sześć lat. Już nie śpiewa w kawiarniach. Bo

nie ma kawiarni. I nikt już nie ma ochoty słuchać piosenek o miłości. Bo nie ma miłości. Teraz jest coś zgoła innego.

Postrzelono ją przypadkiem. Wpadła na ulicy na grupę wyrostków, którzy okazali się szmalcownikami. Niemiec pojawił się nagle. Jak czarny anioł śmierci, w długim skórzanym płaszczu. Strzelał na oślep, ale nie celował w nią, a w tamtych, pewnie dlatego przeżyła. Straciła dużo krwi, lekarze cudem ją odratowali. I teraz jest tutaj, dziurawa w środku, chociaż niby pozszywana. I myślała nawet, czy by jednak roboty Niemca nie dokończyć, lecz na korytarzu zobaczyła doktora Liebermana...

Bronek uważał, że ocalenie Estery to znak. Jej niejednoznaczna przeszłość nie miała znaczenia. Nie była już tamtą frywolną dziewczyną z pomalowanymi ustami z kawiarni Na Siennej. Bronek także stał się kimś innym. Nic nie pozostało po skromnym, zawstydzonym chłopcu. Więc gdy go Estera złapała w szpitalu za rękę i poprosiła, aby z nią został, Bronek postanowił zostać i udowodnić, że miłość nadal istnieje. Nawet jeśli ostatecznie wygra śmierć.

Dwa tygodnie później, kiedy lekarze pozwolili Esterze opuścić szpital, już nie wrócił do wspólnego mieszkania na Pawią. Stało się jasne, że teraz zamieszkają we dwoje. Doktor przyjął to spokojnie. Bo cóż by dał jego sprzeciw? Bronek był już dorosły i mógł o sobie decydować. Zresztą czy w tych strasznych czasach nie mieli prawa do choćby odrobiny szczęścia? Nawet skazańcom nie odmawia się ostatniego posiłku. Co teraz znaczyła niechlubna przeszłość Estery, co znaczyły społeczne zależności i konwenanse? Niech więc Bronek zazna miłości, zanim... Bo może nie być żadnego potem.

Doktor pomógł im załatwić samodzielny pokój. Na Pawiej, kilka domów od miejsca, gdzie dotychczas mieszkał z pasierbem. Obskurne było to mieszkanie, bez bieżącej wody, z grzybem puchnącym w ścianach i z wychodkiem w podwórku, a jednak nigdzie – ani wcześniej, ani później – nie był Bronek tak szczęśliwy jak tam.

W środku najmroczniejszej okupacyjnej jesieni i w początkach zimy, która dla getta miała być ostatnią, przeżywał wraz z Esterą najwspanialszą wiosnę życia. Za dnia chodził do pracy z głową w chmurach – coraz gęstszych i bardziej ołowianych – a nocami się z nią kochał. Udawali, że nie ma żadnej wojny, i jak dzieci bawili się w dom.

I stało się to, co zwykle w takich sytuacjach stać się musi. Pierwszego dnia czterdziestego trzeciego roku Estera powiedziała mu, że jest w ciąży. „Taki prezent na Nowy Rok – rzekła z uśmiechem. – Czy Broniek się cieszy?” Oczywiście, że się cieszył, chociaż... Już wtedy chodziły słuchy, że zaraz wybuchnie powstanie, i myślał sobie Broniek, ochrzczony syn polskiego szlachcica z Kresów, syn przysposobiony ateisty Liebermana, że może trzeba by krew za tę sprawę przelać, bo przecież i tak przyjdzie im wszystkim niechybnie ją przelać, i dobrze by było nadać śmierci jakiś sens, ubarwić zdychanie odrobiną patosu. Tak sobie myślał Broniek w sekrecie, lecz słowa Estery kompletnie wywróciły jego plany i zmieniły bieg wszystkich przyszłych zdarzeń. Zmieniły zupełnie ogląd tego, co Broniek powinien i co należy. Teraz należało zapomnieć o wielkich czynach i o bohaterskiej śmierci. Trzeba było się ratować, ją ratować. Trzeba było uciekać.

Broniek długo namawiał doktora, żeby się do nich przyłączył, lecz on kategorycznie odmówił – w getcie byli jego pacjenci, w getcie było jego miejsce. Za to obiecał pomoc. Wyjście samego Bronka nie byłoby specjalnie skomplikowane. Nie musieliby preparować wszystkich dokumentów. Akt chrztu miał Broniek jak najbardziej autentyczny; kiedy wyjeżdżali ze Lwowa, Sofijka na wszelki wypadek zabrała go ze sobą. Teraz trzeba by było jedynie załatwić nową kenkartę na dawne nazwisko. Szymon Lieberman miał wielu znajomych, bez problemu by to zorganizował. Wymknąłby się Broniek ze swym aryjskim *fizis* przez główną bramę bez trudu. Ale co z Esterą? Estera nie miała aktu chrztu, miała za to zły wygląd.

Należało załatwić to inaczej.

Nie było czasu do stracenia, ruszyła machina przygotowań: Broniek przypomniał sobie o propozycji Feli, ojciec nawiązał kontakt z doktorem Tarnawskim. Dzięki sieci dziwnych kontaktów po dwóch tygodniach mieli gotowe papiery na nazwiska: Bronisław Chojnacki oraz Zofia Chojnacka, żona, a także zagwarantowaną kryjówkę po aryjskiej stronie. W domu pośród anińskich lasów.

Ojciec sprzedał łańcuszek i bardzo cenny pierścionek po Sofijce, ostatnią pamiątkę, jaka mu po niej została, a pieniądze przekazał na łapówkę dla żołnierza Wehrmachtu, który raz w tygodniu wywoził za mur brudną szpitalną bieliznę.

I tak, pod gałganami cuchnącymi fekaliami, strachem i śmiercią, Broniek wraz z Esterą opuścili getto dzisiejszego popołudnia. Tarnawski zgodnie z umową przejął uciekinierów na podwórku domu przy Kruczej, w którym mieszka.

– A gdzie twój ojciec? – zachnął się nieprzyjemnie na ich widok, wbijając zaskoczone spojrzenie w Bronka, a potem przenosząc je na Esterę. – Myślałem, że... Wprowadzono mnie w błąd. Sądziłem, że chodzi o ciebie i doktora.

– Ojciec postanowił zostać. Zamiast niego... To jest...

– Żadnych nazwisk – uciął chłodno lekarz. Westchnął ciężko kilka razy. – Mnie w zasadzie wszystko jedno, kogo wiozę. Wasze wybory. Miałem zabrać dwie osoby i umowy dotrzymam. – Wciąż nie kryjąc niesmaku, gestem nakazał, aby czym prędzej wsiedli do zaparkowanego w bramie wozu.

Bez zwłoki wyruszyli w dalszą drogę. Było już zupełnie ciemno, ale do godziny policyjnej, którą od listopada ustalono na dwudziestą, wciąż pozostało sporo czasu. Tarnawski jechał spokojnie, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Skierowali się na most Poniatowskiego, potem skręcili w prawo, na południe, w Miedzeszyńską. Milczeli.

I wciąż milczą, z każdą minutą coraz bardziej oddalając się od miasta.

Broniek myśli o tym, że nie zdążył się odpowiednio pożegnać z doktorem, że nie powiedział wszystkiego, co należało w takiej sytuacji powiedzieć – że doktor był dobrym ojcem, że go Broniek kochał, chociaż nigdy mu tego nie wyznał, że jest mu wdzięczny. Za dobre dzieciństwo, za wszystkie obejrzone razem mecze Pogoni Lwów, za opiekę nad Sofijką, za tak wiele spraw... Nie powiedział i nie powie, bo pewnie więcej się nie zobaczą. A Broniek już zawsze będzie miał wyrzuty sumienia, że zostawił go samego.

Niepostrzeżenie przeciera wilgotne oczy – dobrze, że w samochodzie tak ciemno. Tarnawski wpatruje się w drogę. W świetle rzucanym przez reflektory wiruje śnieg.

– Dziękuję, że nam pan pomaga – przerywa ciszę Broniek, próbując odepchnąć bolesne refleksje.

– Nie mnie dziękuj. – Mężczyzna tylko wzrusza ramionami. – To wyłącznie zasługa Felicji. Dziś nie sztuką jest uciec z getta, wielu ucieka, to tylko kwestia pieniędzy, sztuką jest przetrwać po aryjskiej stronie. Gdyby nie ona, gdyby nie to, że zdecydowała się ofiarować wam schronienie, nie mógłbym pomóc.

– Ale, mimo wszystko, naraża się pan dla nas.

– To ona się naraża, mnie nie ma potrzeby dziękować, nie robię tego dla ciebie. Dla was... – precyzuje, przypomniawszy sobie o pasażerze z tyłu. – Powiedzmy, że miałem pewien dług wobec Felicji. Stary dług. – Przez pewien czas nad czymś duma, a wreszcie dodaje: – A jeśli już o niej mowa... Rozumiem, że Felicja, podobnie jak ja, nie spodziewa się, kto wraz z tobą przybędzie pod jej dach. Że przyjedziesz z... kimkolwiek jest dla ciebie ta „pani”. – Ostatnie słowo Tarnawski cedzi z nieukrywaną drwiną, przelotnie zerkając przez ramię w stronę tylnej kanapy.

Estera pod spojrzeniem lekarza kuli się jeszcze bardziej. Uduje, że zajmuje ją coś za oknem – statystyka opadania płatków śniegu na tle czarnego nieba – że wcale jej w aucie nie ma, oddycha bezgłośnie.

– Fela nie wie – przyznaje Bronek.

– No cóż, zatem nie liczyłbym na wylewne powitanie. Panna Felicja raczej nie będzie zbyt kontenta na widok niezapowiedzianego gościa.

Na ustach mężczyzny wykwita krzywy uśmiech, brzydki grymas pogardy, w którym zawiera się wszystko, o czym lekarz w głębi duszy myśli.

Bronek nie wie, co powiedzieć, toteż nie mówi nic więcej. Aż do samego Anina nikt się już nie odzywa, a gdy docierają na miejsce, doktor po prostu wysadza ich na ulicy przy furtce pod domem; jego rola skończona. Myślał Bronek, że może wejdzie z nimi do środka, że zechce zobaczyć scenę powitania przy drzwiach, zaskoczona minę Feli, jej niezadowolenie, on jednak rzuca tylko, że się spieszy, bo musi zdążyć do domu przed godziną policyjną, i szybko odjeżdża. Światła nikną za zakrętem, a oni zostają na ulicy sami, otoczeni ciemnością.

Aniński las wygląda inaczej, niż go Bronek zapamiętał z wakacji sprzed czterech i pół roku. Sprawia wrażenie mrocznego i groźnego. Domek dla lalek także nie jest już słodkim domkiem, a skutą lodem posępną twierdzą. Tylko w jednym z pokoi na dole pali się światło.

Bronek i Estera, kuląc się z zimna, przemierzają podwórze i stają na ganku. On puka do drzwi, dziewczyna chowa się za jego plecami. Puka tylko raz, bowiem skrzydło otwiera się niemal natychmiast – widocznie Fela słyszała silnik

samochoду i czekała w holu. A teraz stoi w drzwiach, opromieniona aksamitnym blaskiem lampy. Otulona ciepłym szalem. Nieco blada. Bardzo piękna.

Już nie Fela, a Felicja.

W jego wspomnieniach zachował się obraz uroczej, nieco wycofanej i małomównej nastolatki, bardzo ładnej, lecz jeszcze nie w pełni dojrzałej. Tymczasem teraz ma przed sobą najdoskonalszą kobietę, jaką kiedykolwiek widział.

Estera przypomina krótkotrwałe szaleństwo, taniec na wulkanie. Ma czerwone usta, nawet kiedy zmywa szminkę, jest jak jej płomiennie włosy, to królowa nocy. Tymczasem Felicja to dystynkcja i tajemnica, niedopowiedzenie i chłodny urok królowej śniegu.

Estera wyłania się z cienia. Ołowiana cisza wypełnia ganek.

Królowa śniegu patrzy na królową nocy – na twarzy tej pierwszej nie drga żaden mięsień, stalowe oczy nie wyrażają zaskoczenia, złości ani rozczarowania. Nie wyrażają niczego.

– Wejdźcie – mówi wreszcie cicho, zbyt cicho, i wpuszcza ich do środka.

Zanim zamknie drzwi, wychyla się na zewnątrz, aby sprawdzić, czy nikt ich nie widział, po czym dokładnie je rygluje.

– Nie wiem, jak ci dziękować, żeś się zgodziła nas przyjąć. – Bronek słowami próbuje pokryć zakłopotanie, chociaż wie, że w przeciwieństwie do Felicji wszystkie emocje ma wypisane na twarzy. Czuje się okropnie, jakby ją zdradził, jakby przez tę obecność Esterki u swego boku czemuś ważnemu się sprzeniewierzył – mrok pochłania wspomnienia: migoty świetlików i smak pocałunku słodkiego jak cukierki, i wszystkie lipcowe noce.

I może nawet myśli Bronek, że Fela zaraz każe im się wynosić albo chociaż gorzkim spojrzeniem da mu odczuć, że ją zawiódł, uczyni coś, cokolwiek... Ale ona swe rozczarowanie zamyka w milczeniu. I wcale na niego nie patrzy. Patrzy tylko na Esterę.

*

Estera śpi, a obok niej śpi miesięczne niemowlę. Dzieciak ciągle płacze, więc go Esterka bezustannie karmi, a potem śpią oboje kamiennym snem.

Dziś mija dziewięć miesięcy, odkąd zamieszkali pod podłogą, zakopali się żywcem w klaustrofobicznej krypcie domku dla lalek.

Felicja bardzo się stara, żeby im tu było jak najwygodniej, dba o nich, lecz tak żyć się nie da: bez światła, bez powietrza. Na początku czasami pozwalała im nocą wychodzić na chwilę do ogrodu, ale teraz ryzyko jest już zbyt duże. Im mniej osób wie o nowych lokatorach przy III Poprzecznej, tym lepiej. Nawet pani Ratayowa nie została wtajemniczona w to, co się tu dzieje. To znaczy zdaje sobie sprawę, że ktoś w ich piwnicy mieszka, jednak Fela ją od tej sprawy izoluje. Felicja wszystkim zajmuje się sama. Felicja jest najlepszym człowiekiem na świecie.

Bronek rozmyśla o tym, siedząc na krześle pod ceglana ścianą. Obserwuje, jak płomień świecy tańczy poruszany jego oddechem i jak na piwnicznych sprzętach drżą finezyjne cienie. Jak światło włącza życie w to martwe miejsce. Bronek też jest jak ta piwnica, trochę martwy w środku; coraz częściej myśli, że chyba źle zrobił, uciekając z getta, unikając przeznaczenia.

Przypomina sobie ostatnie miesiące, gdy brzuch Estery rósł jak na drożdżach. Przypomina sobie spojrzenie Felicji, która na nią i na ten brzuch patrzyła. Z doskonale skrywaną odrazą. I myśli o tym, że Estera jego także zaczęła męczyć i irytować. Już rozumie dawne wątpliwości ojca – Rudowłosa nie należy do ich świata. Takich jak ona się pożąda, z takimi jak ona można robić wiele podniecających rzeczy, lecz jej podobne zawsze pozostają w pewien sposób naznaczone: biedą, brakiem manier, brakiem wykształcenia. Nawet gdy prawdę o sobie ukryją pod czarującym uśmiechem i warstwą eleganckiego makijażu.

W zamkniętej przestrzeni czterech ścian, pod podłogą, to, czego dotąd Bronek starał się nie widzieć, teraz bije po oczach. W ostatecznym rozrachunku Estera, urocze stworzenie, pieśniarka z kawiarni Na Siennej, *femme fatale* z getta, która jakimś cudownym zrządzeniem losu przeżyła, chociaż jej rodzina nie miała tego szczęścia, okazała się prostą dziewczyną z Nalewek. Jej dziadkiem nie był wybitny prawnik, a ojcem ceniony lekarz. Jej *mamele* nie umiała pisać, nie mówiła nawet po polsku, a *tatele*, pobożny Żyd, handlował szmatami. *Handele, handele!* Nie przeczytała Esterka w życiu żadnej książki i nie wiedziała, kto zaczął Puccini i Brahms.

Kiedy brzuch jej rósł, a uroda zaczęła się rozlewać, namiętność przygaśla i nieoczekiwanie wyszło na jaw, że nie ma z nią Broniek o czym rozmawiać. Przez całą wiosnę i lato, aż do września, gdy na świat przyszło dziecko, grał przed sobą i przed nią, że nic się nie zmieniło, że wciąż ją kocha. Miał nadzieję, że kiedy brzuch zniknie, kiedy znowu stanie się Estera rudowłosym wampem, temperatura uczuć między nimi się podniesie.

Tymczasem choć Estera szybko dochodziła do siebie, pod podłogą wciąż wiało chłodem.

Coraz częściej za to myśli Broniek o Felicji.

Sądził, że dziecięce zauroczenie minęło, a jednak już pierwszego wieczoru, gdy tu dotarli, stojąc w holu jej domu, obok kobiety, która nosiła w sobie jego dziecko, zrozumiał, że nadal coś go z Felicją łączy. Ale czy można kochać dwie kobiety jednocześnie? Czy można być jednocześnie Bronkiem Liebermanem i Bronkiem Chojnackim?

Felicji nie da się nie kochać. Jest jak anioł, jak święta. Madonna spod podłogi. Karmi ich, opiera, przynosi gazety i książki, wynosi pełne nocniki. Opowiada, co się dzieje na zewnątrz; o tym, że przyszła wiosna, że wiosna odeszła, że lato, że słońce, a od wschodu wieje już czerwony wiatr zmian i wojna na pewno niedługo się skończy.

A kiedy nadszedł czas, przyniosła gorącą wodę, prześcieradła i kaftanik dla dziecka.

Estera urodziła wyjątkowo szybko i bez powikłań. Po trzech godzinach było po wszystkim. Fela zachowała zimną krew; okazało się, że ma spore pojęcie o medycynie – podobno uczyła się sama. W roli akuszerki sprawdziła się wspaniale. Tak Bronkiem komenderowała, tak nad wszystkim czuwała, jakby nic innego przez całe życie nie robiła.

Rachela przyszła na świat zdrowa i różowiutka. A teraz krzyczy bezustannie. A gdy wykrzyczy cały ból swego miesięcznego istnienia, zasypia u boku zmęczonej matki – jak w tym momencie.

Broniek patrzy na Rachelkę w ramionach Estery i nie wie, czy kiedykolwiek zdoła ją pokochać. Bo na razie to dziecko, to różowe nieładne coś o rudawych, cienkich włoskach, to tylko kula u nogi. Może gdyby nie ono, mógłby wyjść spod ziemi? Mógłby żyć normalnie, może nawet z Felicją? I byłoby jak w tamto lato.

Patrzy Broniek na swą córkę i nienawidzi się za to, co czuje, a jednak nie potrafi nad falą emocji zapanować...

Na schodach słyhać kroki. Broniek podrywa się z krzesła. Słyszy, jak Felicja ostrożnie odsuwa kredens, którym zastawione jest wejście do ukrytego pokoju w piwnicy. Odsłania koc maskujący wyrwę w murze.

– Pst. – Broniek kładzie palec na ustach. – Dopiero zasnęły.

Felicja stawia delikatnie miednicę na stole i przez chwilę wpatruje się w śpiącą Esterę. Potem zerka na Bronka.

– Przyniosłam ciepłą wodę. Myślałam, że może będziecie chcieli umyć małą.

Broniek robi kilka kroków w jej stronę.

– Rachela strasznie dziś marudziła.

– Słyszałam. Może ma kolkę. Jutro zaparzę koper i wam przyniosę.

– Jesteś taka dobra – szepcze Broniek.

– Daj spokój. – Jej głos jest beznamiętny. – Każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo.

– Wiesz, że to nieprawda, Felu... – Chwyta ją za rękę. Przytrzymuje.

Felicja wbija w niego łagodne szare oczy i wyszarpuje mu się stanowczo. Wycofuje się w stronę wyjścia.

– Umyj się, szkoda, żeby się woda zmarnowała. A potem kładź się spać. Jutro przyniosę coś na tę kolkę. Dla twojej córki.

*

W okolicy długo już nie widziano Rattonitza. Został przeniesiony gdzieś na front i od wczesnego lata czterdziestego roku do jesieni czterdziestego trzeciego Fela nie spotkała Niemca ani razu.

Kamień spadł z serca cioci Luci, bo zanim esesman wyjechał, zanim wiosna minęła, ludzie już zaczęli między sobą gadać, jaki to skandal, że się mała Hryniewiczówna z wrogiem prowadzi. Ciotka broniła czci Feli jak lwica – cóż biedne dziecko jest winne, że się ten germański wypierd na nią uwziął, że się szwenda wokół, że dom ich ciągle nachodzi; a to pod pozorem pożyczania jakiejś polskiej książki – bo podobno języka się uczy – a to żeby pograć na pianinie, bo u swej *Frau* na Ukośnej instrumentu mu brakuje. Cóż może biedna dziewczyna

zrobić, że wpadła w oko wstrętnemu naziście? Ciotka spać z nerwów nie mogła, ale na swą duszę przysięgała, że Fela jest czysta, że dobrego imienia przodków na szwank nie wystawia. Wszak to wnuczka samego Wieniawy-Sułkowskiego, co z Marszałkiem ramię w ramię Rzeczpospolitą budował, córka posła na Sejm! A do tego dziecko jeszcze! Czyż ona mogłaby Niemca w jakikolwiek sposób prowokować? Fela w tym wszystkim ofiarą! Żadnego grzechu w sercu nie nosi. Przecież gdyby się ośmieliła mu odpysknąć, powiedziała dobitnie i wprost, żeby się wynosił, żeby za nią po Aninie nie łąził, umizgów nie czynił, w domu nieproszony nie odwiedzał, to gotów SS-Scharführer Rattonitz zapomnieć o całej swej niemieckiej kindersztubie i odstrzelić Felusi jej śliczniutką główkę...

Napracowała się ciocia Lucia, żeby ludziom usta pozamykać. Fela za niczego nie komentowała. A później problem sam się rozwiązał, bo Friedrich wyjechał. Fela zajęła się wtedy swymi sprawami, a trochę sprawami innych – nimi przede wszystkim. Pomagała cioci utrzymać dom; a to ucząc znajome dzieci francuskiego i niemieckiego, a to wożąc czasami różne rzeczy do Warszawy – kto handluje, ten żyje – i wyprzedając rodowe pamiątki za bezcen. Tatuś ostatecznie pieniędzy nie przysłał, bowiem, jak się dowiedziała później, ósmego października czterdziestego roku, czyli w chwili, gdy czytała pierwszy i ostatni list od papy, ten już nie żył. Owego dnia, prócz budynków BBC oraz Tower Bridge, w nalotach Luftwaffe ucierpiało kilka londyńskich kamienic, w tym ta, w której piwnicy ukrył się Adi wraz ze świeżo poślubioną flamą, publicystką-skandalistką. Felicja po papie nie płakała. Papa przeszedł do przeszłości, a ona miała inne niż żałoba sprawy na głowie.

Byłaby poszła na studia, ale ciocia nie chciała słyszeć o tajnych kompletach w Warszawie. Zresztą tyle było roboty przy domu, przy ciułaniu pieniędzy na życie, a potem przy sprawach piwnicznych, że Fela zapomniała i o marzeniach naukowych, i o natarczywym Niemcu, który wyjechał trzy i pół roku temu i przepadł bez wieści.

A teraz wraca.

Któregoś listopadowego wieczoru staje na ganku domku dla lalek i puka do drzwi. Delikatnie, kulturalnie, nie tak, jak to mają w zwyczaju ci z gestapo. Fela uchyla skrzydło na szerokość łańcuszka.

– *Guten Abend.*

W wąskim pasku światła padającym przez szparę widzi swego Niemca stojącego na ganku. Nic się nie zmienił, jakby się wczoraj widzieli. Tylko na patce kołnierza ma dodatkową gwiazdkę. SS-Hauptscharführer Rattonitz – teraz Fela znacznie lepiej niż na początku wojny orientuje się w niemieckich dystynkcjach wojskowych.

– Dobry wieczór, panna Felicja – powtarza Friedrich tym razem po polsku, z rozbawieniem obserwując jej konsternację.

Fela otwiera drzwi i wpuszcza mężczyznę do środka – ten nie sili się na delikatność i bez pardonu pożera ją wzrokiem.

– Soso, wyrosła panna Felicja. – W jego głosie już prawie nie słychać niemieckiego akcentu, czuć za to podziw. Podoba mu się Fela. Jako kobieta i jako obiekt pożądania. – Dostałem przepustkę, myślałem, czy do domu nie pojechać, do *Mutti und Vati*, *aber...* postanowiłem odpocząć w Anin. Tu najlepszy klimat, *schönen Wald...* – Robi wymowną pauzę. – Później wracam *an der Ostfront*. Postanowiłem, że wpadnę i się przywitam – tłumaczy, po czym, mimo braku reakcji z drugiej strony, zdejmuje płaszcz.

Z głębi ciemnego domu dobiega głos ciotki:

– Kto to do nas przyszedł, Felu?

Dziewczyna patrzy mężczyźnie prosto w oczy. Na jej twarzy nie drga żaden mięsień.

– Pan Rattonitz, ciociu – mówi, obracając powoli głowę w stronę drzwi prowadzących do saloniku.

Jeszcze nie zdąży Fela odwieść okrycia Friedricha na wieszak, gdy w holu pojawia się ciotka. Drobna, skulona, z każdym rokiem coraz mniejsza – jakby ją ta wojna powoli pochłaniała. W jej rozmytych oczach przelewają się całe oceany strachu.

– Ach, to pan... – rzuca chłodno w kierunku gościa. – Dobry wieczór.

– Pomyślałem, że zajrzę do pań. – Niemiec nie traci animuszu. – Jak za dawnych czasów napijemy się herbaty i może panna Fela zagra nam Mozart albo Bach?

Ciotka wykrzywia usta w niesmaku, jakby cytrynę przegryzła, a przecież cytryn od czterech lat w sklepie nie uświadczysz.

– W takim razie zapraszam do środka.

Osobliwe jest to spotkanie w wielkim i cichym domu w Aninie, w bardzo ciemny listopadowy wieczór. Ciotka, siedząc sztywno przy stoliku, wygląda, jakby zaraz miała zemdleć – nerwowo mnie serwetę, coś tam od czasu do czasu kurtuazyjnie odbakując. Fela studiuje arkadyjską scenkę wymalowaną na imbryku i nie odzywa się wcale. Rattonitzowi zaś usta się nie zamykają. Pagle jak najęty o różnych nieistotnych sprawach, o rodzinnym domu w Hausdorfie, z którego roztacza się wspaniały widok na całe pasmo Eulengebirge, o tym, jak będąc dzieckiem, szusował po swych ukochanych górach, o *Mutti und Vati*: Odzie i Günterze. Ale ani słowem się nie zająknie, co w czasie swej nieobecności porabiał, gdzie był i czy bardzo go boli, że takiego łupnia od Ruskich dostają. Gada o wszystkim, tylko nie o tym. A wreszcie prosi uprzejmie, acz nieznoszącym sprzeciwu tonem, żeby mu panna Felicja coś wesołego, skocznego zagrała, jaką polkę albo walczyka. A gdy dziewczyna siada do pianina, z nieukrywaną przyjemnością obserwuje, jak jej palce tańczą po klawiszach.

Fela na początku gra cicho, *pianissimo*, *piano*. I trochę się myli, jako że od dawna tego nie robiła, a skostniałe palce nie chcą jej słuchać. Ale gra dalej, kolejny utwór i kolejny. Wreszcie przy czwartym, pomiędzy akordami zaczyna słyszeć coś, czego Rattonitz usłyszeć w żadnym razie nie może. Ciotka też to widocznie pochwytuje, gdyż napina się i błędnie jeszcze bardziej. Gdzieś w trzewiach domu coś wyraźnie piszczy i zgrzyta. Płacze i skomle. Fela wali w klawisze, *mezzo forte*, *forte*, żeby tylko zagłuszyć ów specyficzny odgłos, żeby się Rattonitz nie zorientował.

Za późno.

On już się podnosi, już podchodzi do instrumentu. Staje tuż za jej plecami. Kładzie dłonie na ramionach.

– *Stoppen* – mówi łagodnie, ale stanowczo.

Fela udaje, że nie słyszy. *Fortissimo!*

– *Stoppen, Mädchen!* – grzmi Niemiec, zaciskając palce na dziewczęcych barkach.

Zatem Fela przestaje. Wielka cisza wypełnia pokój. Cisza... Tylko wiatr uderza o szyby. Hula po poddaszu. Świszczy między deskami. Na zewnątrz

któraś z okiennic stuka rytmicznie. Drewniany dom opowiada skrzypieniem swą historię.

Fela zerka na Friedricha przez ramię. Mężczyzna już się nie uśmiecha, jest czujny, skupiony. Groźny.

– Czy mam dalej grać, proszę pana? To tylko wiatr...

Niemiec się mityguje. Puszczą dziewczynę. Robi krok do tyłu.

– *Nein. Ich muss bereits gehen.* Odprowadzi mnie panna Fela?

Gestem zatrzymuje ciotkę Lucynę na miejscu przy stole. Felicja wstaje od pianina i posłusznie rusza w stronę holu. On, już bez słowa, ledwie skinieniem głowy żegna starszą panią i podąża w ślad za dziewczyną. Zamyka za sobą drzwi.

Są teraz sami w wąskim ciemnym przejściu. Friedrich powstrzymuje Felę przed włączeniem światła, pociąga ją za nadgarstek i popycha na ścianę. Przygważdża własnym ciałem, unieruchamia, nachyla się do jej ucha.

– Oj, Felusza... – cedzi. – *Nicht schön.* Ja słyszałem, że w Anin ktoś Żydy ukrywa. Wiesz coś o tym?

Fela milczy. Fela nie jest w stanie się ruszyć. Czuje na sobie ciepło męskiego ciała i szorstkość gabardyny, z której uszyty jest esesmański mundur. Dłoń Friedricha sunie powoli w górę, po jej udzie, po brzuchu i piersiach, by wreszcie zatrzymać się na szyi. Palce delikatnie przyciskają rozedrganą tętnicę, mierząc puls.

– Czego się boisz, Felusza? *Es ist nur der Wind...* Nie bój się. Ja ciebie nie wydam – szepcze jej wprost do ucha. – Ale wiesz, co grozi za ukrywanie Żydy? Nie chcesz chyba, żeby *Frau Lucia* trafiła *nach Auschwitz*?

Oczy Friedricha płoną w ciemności. Usta Friedricha rozciągają się w demonicznym uśmiechu.

– Słyszałaś o Auschwitz, prawda, Felusza?

Jego usta dotykają czoła Feli. Niemiec składa na nim długi, miękki pocałunek, a potem odrywa się od ciała dziewczyny i samotnie rusza w stronę drzwi. Zarzuca płaszcz na ramiona i bez słowa wychodzi w noc.

V

Rattonitz przychodzi jeszcze kilka razy – kiedy jesień zmienia się w zimę – i zawsze każe się Feli odprowadzić do drzwi. Gdy zostają sami, ostrzega, że już ją obserwują, już ją wzięli na celownik, niech więc się ma na baczności. Niech nie będzie głupia. Jeżeli kogoś trzyma pod podłogą, niech się go pozbędzie, bo przyjdzie taki dzień, gdy dom przy III Poprzecznej odwiedzi ktoś mniej uprzejmy niż SS-Hauptscharführer Rattonitz, a wtedy już nie będzie picia herbatki i grania walczyków, tylko seria z karabinu i *kaputt* – krew w śnieg.

Niech Fela to przemyśli. On jej przecież może pomóc. On wszystko załatwi. Zna pewnych dobrych ludzi, katolików, mieszkają całkiem niedaleko, na wsi, oni Żyda przyjmą.

A kobietę z dzieckiem przyjmą?

Kobietę z dzieckiem? – oczywiście, że przyjmą. Dobrzy ludzie... Nie ma co się zastanawiać, nie można dłużej zwlekać. Zaraz psy pochwyć trop i będzie Fela stracona. I będzie stracona ciocia Feli. Dobra ciocia, szkoda cioci. Friedrich niedługo na front musi wrócić, a wtedy nikt już Feli nie obroni, nie pomoże. Musi mu zatem Fela zaufać, musi się z nim spotkać w noc przed Nowym Rokiem, to ostatnia szansa. Jej jedyna szansa. Musi przyjść w pewne miejsce w środku lasu, tam, gdzie bagna. Czy Fela to miejsce zna?

Jak nikt inny Fela je zna.

*

Po tylu miesiącach spędzonych pod podłogą nienawidzi Broniek wszystkiego: faktu, że niedostatecznie kocha matkę swego dziecka; ścian piwnicy, odrapanych, woniejących ziemią i powolnym rozpadem, a nade wszystko zamknięcia oraz niemożności wyjścia na zewnątrz. Nienawidzi też tego, że niedostatecznie czuje się Żydem. I że wcale nie czuje się Polakiem. Że coraz bardziej nie wie, kim jest.

Nienawidzi wreszcie Rachelki, bo ta mała w kółko tylko ryczy i ryczy i żadne napary z kopru nie pomagają – a przez to boi się Broniek śmiertelnie, że ktoś niepowołany ich usłyszy.

Bardzo się Broniek boi i bardzo swego położenia nienawidzi.

Toteż kiedy któregoś dnia, w połowie grudnia, Felicja przychodzi do nich biała na twarzy jak kreda i mówi, że jest problem, bo pewien Niemiec się domyśla, iż ktoś w piwnicy się ukrywa, ale znalazła dla Estery i Rachelki miejsce u dobrych ludzi na wsi, gdzie będą mogły poczekać do końca wojny, czuje Broniek wielką ulgę. Tak. Chciałby poczuć coś innego, ale wcale nie jest mu żal, że będą się musieli z Esterą na pewien czas rozstać, że przez parę miesięcy nie zobaczy córeczki. Sam w piwnicy będzie bezpieczniejszy. Będzie miał spokój i ciszę.

Będzie miał Felę.

Nie powinien tego wszystkiego czuć. Nie ma prawa się cieszyć. I może należałoby zaproponować, że pójdzie razem z nimi. A jednak tego nie robi. Wygrywają pobudki najniższe, paskudny, prymitywny egoizm. Broniek rozczarował się Esterą, rozczarował rodzicielstwem i chce teraz zostać z Felą w domku dla lalek. Właśnie z nią, z łagodną, piękną i dobrą Felą.

*

Ciocia Lucia niewiele wie o równoległym życiu domu toczącym się pod ziemią, bo woli nie wiedzieć. Bo im mniej wie, tym lepiej. I tak ją Felicja naraziła, sprowadzając pod jej dach Bronka Liebermana z młodą, brzemienną żoną. Nie pytała jej Felicja wtedy o zgodę i nie zapyta o zdanie teraz. A dzisiejszej nocy z piwnicy zniknie i matka, i dziecko, i już nigdy spod podłogi nie dobiegnie jego płacz.

Fela zaczyna się zbierać do nocnej wędrówki, gdy Karczewska kończy sprzątać kuchnię, a ciocia już od dawna siedzi w swym pokoju, gdzie zapewne modli się za koniec wojny i o to, żeby kacapy przegoniły szwabów – chociaż tych pierwszych zawsze bała się najbardziej. Doskonale pamięta wojnę z dwudziestego roku, w której jej mąż stracił życie, a wiele kobiet, na trasie przemarszu Sowietów, także cześć i godność. Modli się też za Felę, żeby to biedne, samotne dziecko zaznało kiedyś normalności. Miłości.

Felicja się nie modli, Felicja nie wierzy w Boga, Felicja planuje własne szczęście losowi wyszarpać. Właśnie dziś. W trzaskającą mrozem ostatnią noc czterdziestego trzeciego roku. Ubiera się ciepło, z szafy zabiera też okrycie dla Estery i na koniec płaszcz ze srebrnych lisów – dla tej małej, co się urodziła na dole, pod podłogą. Felicja da jej dzisiaj futro, a w zamian zabierze tatę.

W piwnicy atmosfera jak w grobie. Bronek wygląda, jakby cały dzień płakał. Rudowłosa Estera stara się zachować zimną krew – wie, że tak będzie dla wszystkich najlepiej. Teraz, kiedy Niemiec się domyślił, zrobiło się tutaj zbyt niebezpiecznie, a i dziecko nie może się przecież wychowywać bez światła, bez powietrza. Dobrze, że Felicja znalazła tych ludzi na wsi. Bronek da sobie radę. Jest ochrzczony, nieobrzezany i bez pejsów. Niby Żyd, ale jakby nie Żyd, w końcu syn Polaka. Papiery ma. W razie problemów łatwiej będzie Bronkowi bez żydowskiej żony i żydowskiego dziecka. Zresztą wojna zaraz się skończy i znowu będą razem... We troje: on, ona i Rachel.

Dziewczynka śpi jak aniołek, kiedy rodzice wymieniają ostatnie uściski. Śpi, kiedy ją matka otula w ofiarowane przez Felę srebrne lisy – jakże jest Esterka wdzięczna za ten dar Felicji. Jakież dobre ma ona serce... Sprawiedliwa wśród narodów jest Felicja.

Nie ma teraz czasu na dziękczynne peany, kiedyś przyjdzie na to odpowiedniejsza chwila, teraz muszą już iść.

– Musimy już iść. – Fela wyrывa Esterę z ramion męża. Bierze na ręce futrzany tobołek, w który zawinięte jest dziecko. – Musimy iść.

Esterka wygląda, jakby ją z krzyża zdjęto. Jakby kawałek jej samej zostawał w piwnicy, ale idzie za Felą w noc ciemną i głuchą.

A las szumi dzisiaj inaczej niż zwykle. Chłodne podmuchy targają koronami drzew, mimo że zimowe niebo zdaje się zupełnie spokojne. Przez białą breję prześwitują brunatne plamy zmrożonej przegniłej ściółki – niewiele śniegu spadło w tym roku. Gąbczaste mchy trzaskają pod stopami kobiet. Śnieg okleja im buty, jednak Fela nie czuje zimna. W przeciwieństwie do Estery, która, chociaż otulona i chustą, i starym płaszczem ciotki, wyraźnie drży. Zaś dziewczynka w futrzanej kołysce, trzymanej w ramionach przez Felicję, nadal śni niemowlęce sny.

– Felu, czy to daleko jeszcze?

– Jeszcze.

Rattonitz dokładnie jej wytłumaczył, gdzie ma przyprowadzić Estere, chociaż nie musiał, bo ona doskonale zna to miejsce. Chichot losu. Zna i dobrze wie, że daleko stamtąd do wszelkich ludzkich siedzib, do kolejowych torów, a nawet posterunku żandarmerii, i do wojny, i do pokoju, daleko do wszystkiego. Friedrich obiecał, że tam przejmie Żydówkę i dziecko, że dalej już się nimi zaopiekuje. Fela nie ma wątpliwości, co też w jego ustach znaczyło owo: *sorgen*. W lesie nie ma przecież dobrych katolików ze wsi, nie ma nic prócz starych drzew, gęstych zarośli, prócz zmarzniętej ziemi i pokrytych martwą bielą mokradeł. Nie ma drogi, którą Friedrich mógłby poprowadzić Estere ku wolności, nie ma nawet wydeptanej ścieżki. Tylko las i mroźny półmrok. Ale Fela jest gotowa podać mu Estere i dziecko na talerzu, żeby tylko ocalić Bronka.

Droga zajmuje im więcej czasu, niż trwałoby to latem. Lecz są już blisko. Prawie na miejscu. Fela widzi rozległą, pustą przestrzeń bagien, nad którą nie ma świateł ani zodiaków, widać tylko czerwony punkt żaru, a wokół unosi się zapach tytoniu. Mężczyzna stoi oparty o drzewo tuż przy linii zrudziałych tataraków i niespiesznie pali. Wygląda tak samo jak wtedy, na początku wojny, na balkonie domu Gertrud Grossauer. Brunatny płaszcz zlewa się z ciemnością. Friedrich jest ciemnością.

Estera także go dostrzeżga, przystaje i przenosi zdezorientowane spojrzenie z esesmana na swą przewodniczkę.

– To Niemiec, Felu – szepcze tak cicho, że ciężko ją zrozumieć, a jednak Fela wszystko rozumie. I czuje strach Estery.

– Tak... A co za różnica? – Wzrusza obojętnie ramionami. – Niemiec, nie Niemiec, obiecał nam pomóc, zaprowadzi was do tych ludzi we wsi.

Estera chyba jej nie wierzy. Na pewno nie wierzy. Już wszystko pojęła. A może jeszcze nie? Może jeszcze ma nadzieję?

– Nie zdradziłaś nas. Nie zrobiłabyś tego, prawda?

– Chodź.

Rattonitz chyba słyszy wymianę zdań kobiet, ale dopiero teraz odrywa się od drzewa, prostuje i macha w ich kierunku.

– *Guten Abend, meine liebe Damen*, już myślałem, że panna Fela zmieniła zdanie. – Naprawdę coraz ładniej mówi po polsku.

Podchodzi bliżej, zaciąga się papierosem, przez chwilę przypatruje się Esterze.

– *Sehr gut...* – mruczy, oblizując wargi niczym wygłodniały, żądny krwi wilk. Po czym dodaje: – *Gib mir das Kind.*

Fela robi krok w tył. Estera nieruchomieje, wygląda, jakby ją strach sparaliżował, groza maluje się na jej bladej twarzy.

– Daj dziecko, nic mu nie zrobię – powtarza Friedrich, rzucając niedopałek w śnieg i wyciągając ręce.

Fela z ociąganiem podaje mu sporych rozmiarów toból, Niemiec unosi brwi na widok futra, ale nie komentuje, chwytą niemowlę i kładzie sobie na lewym przedramieniu. Drugą rękę wsuwa pod płaszcz. Kiedy ją wyjmuje, w mroku połyskuje walthera P.38, dziewięć milimetrów parabellum – już nie taki nowy. Friedrich spokojnie wyciąga broń, mruczy coś pod nosem, z wyraźną przyjemnością zanurza się w tej scenie. Uśmiecha się. W ciemności istnieje tylko ten uśmiech: leniwy, dwuznaczny uśmiech Kota z Cheshire z książki o dziwnej dziewczynce, którą Felicja czytała, będąc Felusią. Rattowitz wprawnym ruchem obraca w dłoni pistolet, chwytą go za lufę i wyciąga w stronę zdezorientowanej Feli. Wciska go w dziewczęcą rękę, po czym odsuwa się na bezpieczną odległość, na swe poprzednie miejsce pod drzewem, jakby schodził ze sceny – dzisiejszej nocy będzie widzem, nie aktorem. Opiera się wygodnie o pień i wciąż trzymając dziecko na jednej ręce, wolną dobywa kolejnego papierosa. Przypala.

– *Na los! Erschiess sie!*

Fela czuje, że ciało jej sztywnieje. Cała krew odpływa z dłoni, w której ściska broń, przez co nie czuje ręki i nie czuje w niej walthera. Jakaż była głupia. Kretynka! Takiego scenariusza nie przewidziała. Podejrzewała, że Rattowitz nie puści Estery żywej, że ją zabije, a może nawet zechce się z nią przedtem zabawić – chociaż nie, nie skalałby przecież swego doskonałego germańskiego ciała dotykaniem Żydówki – nie sądziła wszakże, iż to ona będzie musiała się podjąć roli kata...

– *Schiess, Fela* – prosi łagodnie Friedrich. Wciąż się uśmiecha. – *Töte ein Jude.*

Paradoksalnie w polskim słowie „Żyd” jest coś nieprzyjemnego, twardego, zgłoski zgrzytają na języku, jakby się gwoździe gryzło, gdy tymczasem

w niemieckim *Jude* słycać niezwykłą miękkość, lepkość świeżo wyrobionego drożdżowego ciasta. *Jude*... W ciemnym lesie, na chwilę przed egzekucją, ta miękkość wydaje się równie nie na miejscu co – dajmy na to – mlaskanie przy stole albo jedzenie rękami.

To dziwne, że niepozorny kawałek żelastwa może człowiekowi tak ciężyc w dłoni, przemyka przez głowę Feli. Od metalu bije specyficzny chłód. Mięśnie przedramienia jej drżą. Cyngiel wżera się w skórę. Wszystko boli, Boże, jak boli...

Fela stara się o tym nie myśleć. Jak marionetka, którą ktoś pociąga za sznurki, podnosi pistolet jeszcze wyżej i celuje w osłupiałą Esterę. Estera umierała w getcie parę razy, ale dzisiaj umrze naprawdę. Fela zabijała w myślach Esterę wiele razy, ale dziś zabije naprawdę.

– *Töte sie!* I wracajmy do domu. Nikt się nie dowie.

Fela od razu by ją zabiła, lecz Estera już teraz wygląda, jakby nie żyła, jak trup jest blada i tak śmiertelnie wystraszona.

– Felu, nie słuchaj go... tego Niemca, błagam cię, Felu. Ty jesteś przecież dobra, Felu!

Dobra jest?

Chryste, przecież to takie proste, wystarczy się obrócić o dziewięćdziesiąt stopni i wystrzelić. I zniknie uśmiech na ustach Friedricha Rattonitza i zniknie Friedrich Rattonitz. A one wrócą do domu. Tak po prostu. Wszystko będzie jak dotąd. Naprawdę nikt się nie dowie, są w środku lasu, pośrodku niczego, Friedrich na pewno nikomu nie powiedział, gdzie się wybiera – przypuszczenie graniczące z pewnością tłucze się po głowie Felicji. Tak łatwo zakończyć tę scenę.

– Pozwól mi odejść, ja tu nigdy nie wrócę. Błagam cię, Felu...

I nagle coś w Felicji pęka. Czuje obrzydzenie do Friedricha i do siebie – są tacy sami: niegodziwi, złem przeżarci do głębi, bez honoru, bez zasad. Ale Estera...? Słodka Esterka? Ona, taka szlachetna, kryształowa, święta żydowska *mamele*, teraz, w obliczu śmierci, unerwiona prymitywnym strachem, bez mrugnięcia okiem skłonna jest się wyrzec Bronka i Rachelki? To jest matka? To jest żona? Burzą się w Feli oceany pogardy wobec Estery. Dziwka przebrzydła!

– *Töte!* – Rattonitz zaczyna się niecierpliwić, uśmiech na jego twarzy tężeje. – Nie będziemy tu chyba stać do rana, co, Fela? *Es ist zu kalt. Na los, schiess,* strzelaj! – pogania.

Ona nie reaguje, zatem on wytacza cięższe działa:

– Zastrzel ją albo pójdę i zabiję tego, co został pod podłogą. Bo ktoś jeszcze tam został, prawda, Felusza? *So... was ist deine Entscheidung.* Felusza?!

Estera błędnie jeszcze bardziej. Felicja przenosi na Niemca szeroko otwarte oczy. On wie?! Skąd wie? Domyślił się? Diabeł wcielony!

– *Ich weiss alles.* – Friedrich się śmieje, widząc jej minę.

I zabije Bronka?

– *Ja... Aber,* jeśli ty zabijesz teraz Żyd, to ja o tamtym spod podłogi zapomnę. *Auf mein Wort!* – Dziecięcym gestem udaje, że zamyka sobie kłódkę na ustach i odrzuca precz niewidzialny klucz.

To całkowicie zmienia postać rzeczy. Chociaż nic nie zmienia. Fela wie, że nie ma wyjścia. I Estera wie, że Fela nie ma wyjścia. Estera cała się trzęsie, pada na kolana i płacze.

Na litość boską, niechże ta ruda natychmiast wstanie! Po co utrudnia coś, co i bez jej teatralnej rozpaczki jest wystarczająco trudne?

A właściwie dlaczego niby trudne?

Wcale nie jest trudne.

Fela nie jest dobra. Nigdy nie była dobra.

Ale też wcale nie jest zła, ona z miłości do Bronka to robi, żeby kiedyś mogli być ze sobą bez przeszkód, bez Esterek, niepotrzebnych żon, żeby żyć mogli długo i szczęśliwie, jak w bajce o lipcowej nocy, skąpanej w świetle gwiazd, żeby im Rattonitz dał spokój... Las miękko głaszcze jej twarz zapachem gnijącej w bagnie roślinności. Omszałe korzenie oplątują stopy Felicji. Wszystko wokół jest żywe, tylko ona w środku martwa. Zaraz ją ten las pochłonie, złe nadejdzie i ją zje. Coś przelatuje im nad głowami, siada na gałęzi nad głową zawodzącej Estery. Wbija w Felicję żółte oczy.

Czy tylko ona widzi sowę?

Uhu, uhu...

Uhu, uhu – czy tylko ona ją słyszy?

Friedrich chyba nie słyszy. Żąda stanowczo:

– Zabij!

Estera słyszy. Estera zna biblijną wizję proroka Izajasza, pamięta treść hagady, czym jest i kiedy przylatuje rudowłosa Lilith. Lajla – noc! Estera już wie, że demon ciemności zaraz odbierze jej to, co ziemskie. Podmuch wiatru uderza Felę w twarz, Fela naciska na spust. Głuchy dźwięk wypełnia las.

Siła odrzutu sprawia, że Fela Hryniewiczówna niemal upada na plecy. Ostry zapach prochu miesza się z dymem papierosa. Rattonitz wciska niedopałek butem w śnieg, a potem podchodzi do dziewczyny i jak dobry wujek klepie ją po plecach.

– Soso. – Cmoka z podziwem. – *Guten Schuss. Gutes Mädchen, gutes Felusza.*

Felicji robi się ciemno przed oczami, robi jej się niedobrze, lecz nie ze strachu, a z podniecenia, jakby się nagle znalazła na karuzeli w wesołym miasteczku. Na Bielanych co niedziela... Zrobiła to. Zabiła i została panią życia i śmierci. Ona, ta, co nic nie znaczy. Ona – przez matkę niekochana, pogardzana, wykorzystana, siostra bez brata, córka bez ojca. Całe życie w cieniu. Teraz cień wnika w Felicję, jest Felicją. Felicja jest, a Estery nie ma. Estera rozlewa się czerwoną kałużą na śniegu. Estera leży kilka metrów przed Felą i się nie rusza, nie wydaje żadnego dźwięku. Żyła i nie żyje. Była i jej nie ma. A Fela jest i będzie.

Rattonitz ostrożnie wyjmuje broń z dłoni dziewczyny i oddaje jej dziecko. Skąd tu się, u diabła, wzięło to dziecko? – Fela, patrząc w euforii na coś, co jeszcze przed chwilą było twarzą Estery, zdaje się nie do końca rozumieć, gdzie się znajduje. Kto tu jest, czego od niej chce i co się właściwie dzieje? Zupełnie zapomniała o Racheli, o dziecku spod podłogi. I co teraz? Czy on jej każe jeszcze zabić dziecko?! Na to już się Fela na pewno nie zgodzi. Ale czy na pewno...?

Friedrich chyba wcale tego nie oczekuje, bowiem chowa pistolet do kabury i nakazuje łagodnie:

– *Und jetzt...* zakop, Fela, Żyd. Trzeba tu posprzątać.

Sowa zadziornie przechyliła łebek, jakby chciała zapytać: no i co teraz zrobisz, Felusiu?

Pozwól mi odejść, nie każ mi tego robić! – czy Felicja to mówi? Nie, nie mówi. Może by i chciała, ale z jej ust pada jedynie:

– Jak? Czym...?

Dobry wujek Friedrich podchodzi do drzewa, o które się dotąd opierał, dobywa zza niego niewielką wojskową saperkę i rzuca ją pod nogi dziewczyny. Jest odpowiednio przygotowany do sprzątnia, *Ordnung muss sein*.

– Zakop albo schowaj w bagnie. Albo niech zwierzęta zjedzą. Co wolisz – dodaje lekko, jakby odpowiadała na pytanie, czy ma mu Fela zagrać Mozarta czy Brahmsa, po czym odwraca się na pięcie i rusza w las.

Dziewczyna wpada w panikę. Nie może zostać tu sama. On nie może jej tak zostawić!

– Friedrich...! – krzyczy, pierwszy raz zwracając się do niego po imieniu. Mężczyzna się odwraca, jego twarz wyraża rozbawienie pomieszanę z satysfakcją. – Nie zostawiaj mnie tu samej. *Was mache ich mit diesem Kind?*

– *Es ist nicht mein Problem. Meine Liebe...* – mówi miękko Niemiec, a brunatny płaszcz rozpływa się w ciemnościach.

Felicja zostaje sama. Z dzieckiem i czuwającą wciąż na gałęzi sową – przynajmniej ona jej nie opuszcza. Przynajmniej ona... Patrzy Fela na zawiniątko trzymane na rękach; dziewczynka śpi, nie obudził jej nawet huk wystrzału. Niech śpi. Fela rozważy później, co z nią zrobić. Do domu z powrotem zanieść jej przecież nie może. Co by powiedziała Bronkowi? Zabić też jej nie zdoła. Przeklęta mała! Zastanowi się Fela nad tym potem i na pewno coś wymyśli, ale nie teraz, nie teraz... Nie może się Felicja rozkleić. Musi działać! Rwęce potoki myśli rozszarpują mózgowo zwoje – łatwiej wyrębać przerębem niż wykopać dół w zmarzniętej ziemi. Jednak mokradła na wiosnę oddadzą ciało, zaś ziemia przyjmie je na zawsze. Zatem grób. Płytki grób.

Kopie. A pot jej z czoła kapie.

Kopie i tak jej gorąco, że ściąga płaszcz, rzuca go w śnieg i zostaje w samej sukience. Teraz wszystko jej jedno, czy się nie zaziębi. Niech zachoruje. Niech ją diabli wezmą.

Kopie. A sowa cicho pohukuje.

Ma już Fela ziemię wszędzie: we włosach, na twarzy, na dłoniach i pod paznokciami. Czuje ją nawet w ustach. Cała sukienka jest czarna. Była ciemnozielona, a jest czarna, jak żałobna. Opada Felicja z sił. Dziecko wciąż spokojnie śpi pod jednym z drzew; pod drugim, snem wiecznym, śpi jego matka z przedziurawioną głową. *Guter Schuss* – wybiła jej Felicja pociskiem trzecie oko. Obrzydliwie to wygląda. Dlatego teraz stara się nie odwracać w tamtym kierunku, skupia się na wykonywanej czynności. Walczy o każdy centymetr, na dłoniach porobiły jej się pęcherze, zmarznięta gleba nie puszcza tak łatwo. Wreszcie dół wydaje się wystarczający, nie za głęboki, lecz wystarczający. Fela chwyta Esterę za stopy i ciągnie po śniegu. Dzięki temperaturze rana już nie broczy, lecz z tego samego powodu ciało Estery jest zupełnie sztywne. Wciąga je Felicja do dołu, lecz ten okazuje się za krótki. Albo sterczą nogi, albo głowa wystaje. Nie ma już Fela siły, żeby poszerzać dziurę, nie czuje dłoni, kręgosłup jej pęka – no po prostu nie da rady. Musi Esterkę o parę centymetrów skrócić i musi być przy tym pragmatyczna: ciężko będzie dwie nogi obciąć (piszczele to jedne z najgrubszych kości w całym ciele, co Fela wie z podręcznika do anatomii, który dostała od doktora Tarnawskiego), dużo łatwiej odciąć jedną głowę. Cóż robić...

Fela nie chce na to patrzeć, odwraca więc oczy – jakiś pozór człowieczeństwa musi zachować – staje nad ciałem na szeroko rozstawionych nogach, celuje na ślepo jakieś trzydzieści centymetrów poniżej miejsca, gdzie Estera zerka na nią trzecim okiem, i zadaje cios saperką. Ale uparta Esterka nie tak łatwo daje sobie głowę odrąbać, więc musi Felicja kilka razy uderzyć. Raz za razem, jak w transie. Raz za razem. Wreszcie czuje, że kości odcinka szyjnego puszczają, że pęka rdzeń kręgowy. Ciało gładko zsuwa się do dołu, głowa toczy się i zatrzymuje między nogami – jak w ludowych opowieściach o strzygoniach i upiorach, którymi pisarz straszyl Felicję wieki temu.

Martwe rzeczy nie mogą być żywe.

Fela zakopuje grób. Znowu się męczy, machając saperką – doprawdy, mógł Friedrich przynieść normalną łopatę. Ziemia fruwa w powietrzu, Felicja co chwilę ociera pot z czoła. Obserwuje ją sowa, obserwuje teraz także i malutka Rachelka, która właśnie otworzyła swe bławatne oczy – dopiero za jakiś czas zmienią barwę. Oraz mężczyzna w letnim garniturze i w fedorze na głowie,

wsparty o laseczkę ze srebrną ręką. Stoi z boku i patrzy. Bardzo szykowny jest i piękny. Po prostu rasowy jaśnie pan. Trochę do Feli podobny – mają takie same jasne włosy i oczy bez wyrazu. Obserwuje ją i ukazuje zęby w łobuzerskim uśmiechu. Ona go nie widzi, ale czuje, że tu jest. I jeszcze długo będzie go przy sobie czuła.

*

Miały być gwiazdy i świetlików migoty. Miały być pożądliwe pocałunki i wyznania szeptane w ekstazie do ucha, siła i żar, falowanie i spadanie. Tymczasem nie ma w tej chwili niczego podobnego. Felicja tak długo czekała, tyle czasu sobie wyobrażała, jak to będzie wyglądać, a on po prostu nieporadnie pociąga ją na barłóg pod ścianą. Porusza się chaotycznie, podwija jej sukienkę i wsuwa dłoń za dekolt. Miętosci piersi bez wprawy, niczym niewyżyty uczeń. Błądzi palcami pod pasem do pończoch, jakby nie wiedział, czego właściwie tam szuka. Całuje gdzie popadnie, lecz nie tam, gdzie trzeba. Szamocze się ze spodniami, a później po prostu w nią wchodzi. Porusza się parę razy. Raz i dwa. Dyszy, świszczy, wzdycha, stęka. Oczy zaciska, jakby się bał na nią spojrzeć. Kilka nieskoordynowanych ruchów i po wszystkim. I po miłości. Rozpaczliwy jęk odbija się od ścian piwnicy i Bronka w ostatniej chwili z niej ucieka. Dochodzi gdzieś na udzie Feli. Widać nie miał odwagi skończyć tego, co zaczął. Jak to mężczyzna. Czuje więc Fela ciepło nasienia spływającego z jej skóry i czuje, jak niespełnione nadzieje wsiąkają w siennik.

I w sumie, gdyby tylko tak się ta smutna scena skończyła, toby Felusia jakoś swe rozczarowanie zniosła. Bo czymże jest miłość fizyczna wobec miłości duchowej, wobec tego bezmiaru uczucia, jakim ona darzy Bronka?

Ale tak się ta scena nie skończy, bo on, gdy tylko oddech mu się wyrównuje, zaczyna płakać i przepraszać. Skamlać zaczyna jak zbity pies. A mężczyzna tak skamlać, tak za swe żądze przepraszać nie powinien.

Zawstydzony swą porywcznością, prymitywną popędliwością, tłumaczy nieskładnie, że to przez te ciemności, przez samotność. Myślał, że... A teraz nie wie, co myśli, co czuje... Nic nie wie. Taki jest w tym wszystkim zagubiony.

Głupieje z samotności. Bo ile można jak warzywo pod żarówką, w dusznej piwnicy tkwić. Słońca mu potrzeba i tlenu! Na zewnątrz początek lata, wszystko

kwitnie, a on tu wegetuje jakby żywcem pogrzebany. Dłużej tego nie znieś. Już piętnaście miesięcy minęło, odkąd zaszył się pod podłogą. Jeszcze kiedy Estera tu była, kiedy się pojawiła Rachel, dało się to uwięzienie wytrzymać, bo mógł sobie swego położenia Broniek nienawidzić. Ale teraz...? Ile to już czasu upłynęło, odkąd obie te kazamaty opuściły? Pół roku? A jakby minął wiek. To z tęsknoty za nimi, za Esterą chyba nawet – i przez wyrzuty sumienia, choć tego na głos nie wypowie – tego haniebnego czynu się Broniek na Felicji dopuścił. To dlatego tak niegodziwie ją wykorzystał. A ona przecież taka dobra. Głód wszędzie, a ona mu dogadza, karmi go, pielęgnuje, książki na głos czyta, rozmową zabawia, gdy trzeba, rozśmieszy, gdy trzeba – wysłucha. Taka jest słodka, taka miła, tak się dla Bronka poświęca, naraża. I to w imię czego? Dawnej przyjaźni i jednych wspólnie spędzonych wakacji? Fela to najlepszy człowiek na świecie. A przy tym jakaż piękna... Święty by przy niej głowę stracił, a co dopiero on, taki zwykły, słaby Broniek Lieberman, czy może Chojnacki – kto to wie? Jak dzikus się zachował, a doprawdy, wielbi ją, ubóstwia nad życie, szanuje. Myślał, że kocha – nie, tego też jej nie powie. Sam już nie wie, kogo kocha. Chyba tylko siebie.

Zagubiony jest, lecz Felicji w życiu by nie skrzywdził. Diabeł chyba w Bronka wstąpił, że na jej cześć nastąpił. Jakaś pomrocność jasna, jakieś ogłupienie, zaćmienie go dopadło! Czy Fela mu wierzy? Czy Fela mu kiedyś wybaczy, zapomni, co jej zrobił...? I jak on sam sobie wybaczy? Jak teraz spojrzy w oczy matce swego dziecka, Esterce, gdy się spotkają? A spotkają się przecież już niedługo. Wszak Fela mówi, że Ruscy niedaleko, że w Normandii ogień i dym. Więc już zaraz, za chwilę nadejdzie wyzwolenie i Broniek odnajdzie Esterkę, odnajdzie Rachelkę i będą sobie żyli. Może nawet długo i szczęśliwie. A może nie.

On taki zagubiony w tym wszystkim. Mętlik w głowie, mętlik w głowie!

Tylko czy mu Felicja wybaczy, Felu? Czy ona rozumie, że on sam siebie nie rozumie?

Felicja zapina guziki sukienki. Obserwuje kurz wirujący w świetle świecy. Wciąż czuje na skórze lepkość jego spermy, a w środku czuje, że się rozpada. Rozpada się dziecięca miłość i nie zostaje po niej nic prócz bolesnej blizny rozczarowania.

Podobno w Warszawie trwa powstanie. Podobno prawe skrzydło Pierwszego Frontu Białoruskiego osiągnęło wschodnie rubieże stolicy i całe przedmieścia, w tym Wawer, Wesola, Międzylesie i Anin naszpikowane zostały siłami Waffen-SS i Wehrmachtu niczym peklowane mięso saletrą. Niemcy, w tym Trzecia Dywizja Pancerna SS „Totenkopf”, walczą na śmierć i życie, żeby nie dopuścić oddziałów Armii Czerwonej nad Wisłę.

W lasach trwają zaciekle potyczki, a czołgi rozjeżdżają ulice. Dlatego kto ma co jeść, lepiej, żeby z domu nie wychodził. Niedługo wszystko się skończy, ale trzeba czekać.

Czeka więc ciocia Lucia, bo nigdzie wychodzić nie musi – po czterdziestym roku, nauczona złym doświadczeniem, zapasy ma żelazne, a półki w spiżarni pełne, z głodu tu nie umrą.

Czeka i Fela. Chociaż od dwóch miesięcy, od tamtego wydarzenia w piwnicy, właściwie na nic już nie czeka. Snuje się po domu jak upiór. Ciotki unika, prawie nic nie je. Na całe godziny przepada w pokoju. Karczewska ręce załamuje, że się panna Fela na śmierć zagłodzi. Do Bronka schodzi raz dziennie. Znosi mu jedzenie, wynosi ekskrementy. Zabił ją Bronek i trochę czasu zajmie, zanim Fela z martwych powstanie. A może nie powstanie, może oszaleje jak matka jej matki, Aniela Sułkowska, żona pułkownika, co z Ziukiem się przyjaźnił, i na to szaleństwo jak babka umrze, tocząc pianę z ust? A może jednak nie, może to nie jest dziedziczne? W sumie wszystko jedno. Wszystko jej jedno: Niemcy czy Rusczy dom im rozpiardolą. Z moździerza czy bombą, a może podpalą. Jeden pies, czy ją zgwałcą, zastrzelą czy na bagnietach rozniosą. Czy wojna się skończy dziś, czy może nie skończy się nigdy – chociaż podobno w życiu wszystko się kiedyś kończy. Jej w każdym razie wszystko jedno. Lato, powstanie, wojna i Bronek... – dryfuje sobie Fela po przestworzach obojętności.

Aż pewnego dnia, w gorący i parny wieczór pod koniec sierpnia, gdy zamiast odgłosów burzy gdzieś niedaleko słychać salwy z moździerzy, ktoś puka do drzwi domu przy III Poprzecznej. „Nie otwieraj”, mówi ciotka. Ale Fela jej nie słucha. Jeżeli muszą zginąć, niechże już mają to za sobą.

I powtarza się scena z ubiegłej jesieni. Na progu stoi Friedrich Rattonitz. Ale inaczej wygląda niż ostatnio. Znowu inne emblematy ma na kołnierzu, ale

kołnierz nieważny, bo co innego przykuwa uwagę Feli. W hardym spojrzeniu mężczyzny jest coś takiego, czego się nigdy nie spodziewała dojrzeć. Zwątpienie? Jeszcze nie został pokonany, ale zuchwałości już w nim jakby mniej. Rysy twarzy mu się wyostrzyły, szczeka wydaje się jeszcze bardziej kwadratowa, pod oczami pojawiły się ciemne kręgi zmęczenia, na szyi siatka grubych żył.

Piękny jest Friedrich, chociaż zmęczony i pośpny.

I stoi na ganku, i patrzy na nią przez szparę drzwi. I chociaż tym razem tego nie żąda, Fela sama mu otwiera. Wpuszcza go do środka. Ciotka znowu, jak wtedy w listopadzie, wystawia głowę na korytarz, ale dziewczyna daje do zrozumienia, że chce zostać z Niemcem sama:

– To tylko pan Rattonitz, ciociu, zajmę się nim...

A potem prowadzi go do pustego mieszkania na parterze – w którym kiedyś nocowała Róża, gdzie zakradał się doktor Tarnawski i gdzie czasami pomieszkiwał pan pisarz czytujący Oskara Kolberga – ponieważ tutaj będą mieli spokój, tu ich nikt nie usłyszy. Wpuszcza Rattonitza do środka, zamyka za nim drzwi, opiera się o nie.

– Po co pan przyszedł?

Friedrich podchodzi do okna i patrzy na ciemny, uśpiony las, na ciemne niebo, od czasu do czasu rozświetlane wojennymi fajerwerkami. A potem zaczyna mówić o tym, jak walczył na Ostfroncie, o piekle w kotle demiańskim i bitwie pod Kurskiem, opowiada, jak się wycofywali i jak z każdym miesiącem ich siły topniały, jak krew wsiąkała w piach, życie tylu żołnierzy w piach... Mówi, że w ostatnich miesiącach widział tysiące martwych ciał, zajrzał w tysiące martwych oczu, ale były również chwile, gdy czuł się niezwykły, czuł się bogiem, panem życia i śmierci i władcą stworzenia. Królem wszechświata. Tylko że teraz jest już tym panowaniem zmęczony. Już nie chce być bogiem. Zresztą wojna niedługo się skończy, a on stracił wiarę, że Niemcy wygrają; za tydzień, dwa, góra miesiąc wycofają się za Wisłę, a później jeszcze dalej. A wtedy czerwonoarmiści i siły alianckie wezmą ich w kleszcze i będzie po wszystkim. Trafi Friedrich do obozu jenieckiego, lecz na pewno za jakiś czas go wypuszczą. Przecież nie zrobił nic złego, wykonywał jedynie rozkazy, żołnierz musi wykonywać rozkazy dowódcy. Są umowy międzynarodowe, jest prawo. Wojenne prawo. Wróci zatem Friedrich do swego wielkiego murowanego domu

w Hausdorfie u podnóży Eulengebirge i do jazdy na nartach, i zarządzania tkalnią lnu, którą od wieków zarządzali jego ojciec i dziad, i pradziad. Będzie na śniadanie jadł owsiankę, a na kolację chleb z masłem i ogórkiem. Będzie zrywał jabłka w przydomowym sadzie, obserwował wschody i zachody słońca, słuchał szumu lasu. I będzie żył zwykłym życiem. Będzie żył tam z Felą, bo kiedyś tu po nią powróci. A wtedy ona wyjedzie z nim daleko i zostanie jego żoną, i urodzi mu śliczne dzieci o jasnych włosach i niebieskich oczach. Bo są dla siebie stworzeni – chociaż historia uczyniła ich wrogami, choć Friedrich pochodzi z upadłej rasy panów, a ona z rasy podludzi. A jednak, mimo tej niedogodności – niefortunnego splotu zdarzeń – stanowią jeden organizm, jakby z tej samej zostali ulepiani gliny. Zdał sobie z tego sprawę owej nocy grudniowej na bagnach. Ujęła go Felicja odwagą godną nordyckich walkirii. Wystawił ją wtedy na próbę, a ona zdała egzamin na medal – dzielna dziewczynka, jego dziewczynka! Teraz już na zawsze łączy ich tajemnica. Nic tak ludzi nie scala jak wspólna tajemnica. Fela to wie. Fela na pewno czuje to co Friedrich. Musi czuć to samo co on...

Tak, Fela czuje to samo co on. Już wie, że nie da się obronić młodzieńczej miłości, że Broniek nie jest tym, kogo obraz przez lata z takim pietyzmem w myślach malowała. Nie potrzeba jej chłopca, potrzeba mężczyzny. Nie potrzeba złudzenia miłości, potrzeba miłości prawdziwej. I nie chwilowej, lecz takiej, która trwać będzie zawsze.

Zatem czy zgodzi się Fela na niego poczekać, czy zgodzi się z nim odejść, gdy Friedrich któregoś dnia po nią wróci? Czy opuści dom, gdzie w powietrzu woń melancholii, a pod podłogą złe wspomnienia? Czy pozwoli się zabrać do innego domu, domu z pruskiego muru, co czeka na stoku Sowich Gór? Friedrich nigdy nie zapyta, kto krył się w piwnicy, bo teraz to nieważne. Oboje puszcza przeszłość w niepamięć. Tylko czy Fela z nim odejdzie, gdy nastanie właściwy czas? Czy odejdzie?

Fela nie odpowiada. Fela rozumie, że nigdy z Rattonitzem nie odejdzie, z nikim nigdy nie odejdzie. Na zawsze zostanie tu, gdzie jest, w drewnianym domu tysiąca zakamarków i korytarzy, w domku dla lalek, w domu samotnych kobiet. Zostanie tu, kiedy z ulic znikną Niemcy, z posesji przy Ukośnej ucieknie Gertrud Grossauer, a na ich miejscu pojawią się Rosjanie. Będzie, gdy Ruscy do jej domu wejdą, a potem, gdy wyjdą, ponieważ ciocia zapłaci im za to wyjście

złotym zegarkiem i medalikiem. Będzie tu, kiedy z jej piwnicy zniknie Broniek Lieberman, czy może Chojnacki, a na progu stanie stary kolega ze szkoły szukający schronienia, Boguś Krajewski. Będzie tu Fela, gdy wszystko się zmieni, władza się zmieni, a w kilka lat po wojnie ciocia Lucia umrze, a stara Karczewska odejdzie – nie będzie przecież w Polsce Ludowej burżujom usługiwać. Zostanie w tym domu, gdy się przypadkiem dowie, że ocalali żołnierze z Trzeciej Dywizji Pancerniej SS „Totenkopf” trafili z rąk Amerykanów do radzieckiej niewoli, i gdy zrozumie, że z łagrów nigdy się nie wraca. Będzie tu mieszkać z mężem i zaciskać powieki nocami, gdy ten mąż zechce skorzystać ze swych mężowskich praw. Tu z nim będzie nieszczęśliwa i tu szybko zostanie wdową. W tym domu urodzi się jej syn Kazio, chłopiec o czystej duszy i stalowych oczach, i w tym domu Fela odbierze telefon z informacją, że Kazik nie żyje, bo został potrącony na ulicy Kajki. Zostanie tu Felicja i przez resztę życia będzie latała dach, poprawiała rynny, myła okna na werandach i łapała myszy w piwnicy.

I przez cały ten czas będzie rozmyślała o tamtej nocy na bagnach. O nocy pierwszej i nocy ostatniej. O nieuchronności losu, o strzygach i ludzkiej naturze. O świetlikach i głowie Estery toczącej się między nogi. I o słabym Bronku Liebermanie, czy może Chojnackim, który nigdy do niej nie należał – nawet wtedy, gdy trzymała go pod podłogą – i który ją zdradził i tak gorzko rozczarował.

Fela nigdzie nie wyjedzie i całe życie przeżyje w domu przy III Poprzecznej, wsłuchując się w nawoływania sowy, w pieśń Ananke i szept sosen szumiących o zupełnie innym splocie zdarzeń. Bo właśnie tak musi być. I tutaj kiedyś Fela umrze, patrząc na Friedricha Rattonitza w stalowych oczach ośmioletniego wnuczka...

Ale teraz przekręca kluczyk w zamku i odwraca się do okna. Podchodzi do mężczyzny – jedyne go, który kocha ją prawdziwie, który kocha ją taką, jaka jest. Dlatego teraz będzie zupełnie inaczej niż dwa miesiące temu w piwnicy na barłogu. Rattonitz doskonale wie, co robić. I jest w nim siła i żar, i zdecydowanie. Przyciąga ją do siebie, opiera o ścianę. Nigdzie mu się nie spieszy. Jest czas na zabijanie i czas na miłość. Wszystkie historie są o miłości i śmierci, i ta też będzie właśnie o tym.

Rattonitz wiedzie dłonią po jej udzie, po brzuchu i piersiach, by wreszcie zatrzymać się na szyi. Jego palce delikatnie przyciskają rozedrganą tętnicę, mierząc puls.

– Teraz już się nie boisz – stwierdza z uśmiechem.

A potem jednym gestem rozrywa stanik sukienki, tak że guziki strzelają o podłogę. Kolanem rozsuwa Feli kolana, wkłada w nią palce, całuje pożądliwie, dokładnie tam, gdzie należy. Ogarnia dłonią jej piersi, wodzi kciukiem po wypukłości brodawek. I gdy Fela już myśli, że zaraz coś ostatecznie w niej pęknie, bo przecież nie da się wytrzymać aż takiej rozkoszy, on chwyta ją za biodra i unosi, i wchodzi mocno, głęboko, do końca. Wypełnia sobą Felę i jest teraz Fela Friedrichem Rattonitzem, i są w krótkiej chwili bezczasu – ona i jej wróg – jednym ciałem i oddechem.

Niemiec porusza się coraz szybciej, nie odrywając od niej oczu. Wszystko kontroluje, panuje nad swym ciałem – żyłastym, umięśnionym, zmęczonym zabijaniem – i jej – drobnym, cudownie kruchym, również do zabijania zdolnym. Panuje nad wszystkim. I dlatego nie skończy tak szybko jak tamten, który siedzi teraz dwa metry pod nimi, w piwnicy, nie wiedząc, kim jest i kogo kocha.

I tym razem nie będzie rozczarowania i wściekłości. Friedrich Felicji pożąda prawdziwie. Kocha ją prawdziwie. Miłością zakazaną, lecz jakie to ma teraz znaczenie? Gdy na nią napiera, czuje Felicja na plecach chropowatość modrzewiowych desek, z których wiele lat temu ten dom zbudowano, i czuje wszystkie lata, które czas zapisał w ich zdrewniałych słojach. I wie, że razem z Friedrichem Rattonitzem, za którego nigdy nie wyjdzie, który nigdy jej nie zabierze do domu u podnóży Sowich Gór, nadają właśnie bieg nowej historii. Bo takie jest przeznaczenie, a nie da się walczyć z przeznaczeniem. Trzeba się dać porwać jego fali.

Dwudziestodwuletnia Felicja Hryniewiczówna uświadamia to sobie, kiedy wraz z ostatnimi kompulsywnymi ruchami bioder przelewa się w nią nasienie pokonanego niemieckiego żołnierza.

6

Nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Echo słów matki Miłosza wciąż dudniło mi w głowie. Czułam się nimi skażona, zbrukana. Staralam się zetrzeć z siebie odór stęchlizny domu przy III Poprzecznej i nieznośną woń kocich szczyn, które – miałam wrażenie – wżarły się mikrocząsteczkami w moją skórę, we włosy, w myśli. Dlatego całymi dniami pracowałam, a wieczorami chodziłam do kina, teatru, na długie spacery po mieście – byle usunąć spod powiek obraz anińskiego lasu, byle znaleźć się z dala od pustego mieszkania przy Belgijskiej, gdzie każdy kąt przypominał mi o Miłoszu, jego matce i całej ich chorej rodzinie.

Moje życie towarzyskie osiągnęło nieznany dotąd poziom rozpasania. O ile można tak określić wyjście z emocjonalnej nory do ludzi. W każdym razie spotkałam się na kawę z kilkoma dawnymi kolegami ze studiów, potem nawet z Justyną, a z pewną dziewczyną z firmy, z którą współpracowałam jako wolny strzelec, wybrałam się na babskie ploteczki – co było zupełnie nie w moim stylu – a także – o zgrozo! – na zakupy do sklepu z ciężowymi fatalaszkami. Kompletna korba.

Wszystko, byle uciec przed własnymi lękami. Przed samą sobą...

Postanowiłam, że więcej nie pojedę do Anina. Bez względu na to, czy w schizofrenicznych wywodach starej pijaczki tkwiło ziarno prawdy czy też nie. Przestałam też dzwonić na Malczewskiego do komisarza Ładonia i wyrzuciłam rzeczy Miłosza z pawlacza. Na szczęście nigdy więcej nie dostałam już esemesa od życzliwego. Codziennosc powoli wracała do normy, a ja próbowałam się skupić na tu i teraz – za kilka miesięcy miałam przecież zostać matką, to było teraz priorytetem.

Zastanawiałam się, co dalej, jak zrekonstruować rzeczywistość po Miłoszu. Stałam na rozstaju dróg. Musiałam zrewidować życiowe plany, by móc ruszyć do przodu. Myślałam nawet o krótkim urlopie. Nic mnie nie trzymało w Warszawie,

lecz z drugiej strony nie miałam pojęcia, dokąd pojechać. Specyfika zawodu dawała mi pełną wolność, lecz co miałabym z tą wolnością uczynić...?

Trwałam więc w zawieszaniu.

Maj przeszedł w czerwiec, a mój brzuch zaczął przypominać piłkę do kosza, w środku której, niczym stado diabłów, dokazywała obca istota. Na ekranie ultrasonografu stwór ten coraz bardziej nabierał kształtów człowieka. Lekarz podczas badania potwierdził, że wszystko jest w porządku, że ręce, że nogi, serce i wątroba są na miejscu. I tylko pewnego organu brakuje, co akurat niczemu nie szkodzi, bo będę miała córkę.

Ucieszyłam się i poczułam ogromną ulgę. Uważałam, że samotnej matce łatwiej wychować córkę niż syna i od razu zaczęłam fantazjować, jak to nawiążę z dzieckiem wyjątkową więź, stworzymy idealny dziewczynski zespół oparty na przyjaźni i zrozumieniu, że będę matką zupełnie inną niż moja własna i na pewno stanę na wysokości zadania...

Tymczasem moja własna matka niespodziewanie stanęła w progu mieszkania na Mokotowie. Dzień po tym, jak skończył się rok szkolny. Z burzą siwiejących miedzianych włosów, z wciąż niewygasłym ogniem w oczach, w taniej, letniej sukience podkreślającej szczupłą talię. Ze zdziwieniem skonstatowałam, że wygląda całkiem młodzieńczo i świeżo jak na swoje sześćdziesiąt dwa lata. Odniosłam wrażenie, że nie postarzała się ani o dzień od chwili, kiedy wyjechałam na studia. Albo to kwestia genów, albo pod moją nieobecność zaczęła zażywać kąpieli w krwi dziewczic.

Postawiła walizkę w przedpokoju, rozejrzała się dookoła, jakby w obawie, czy z szafy nie wyskoczy zaraz mój szczęśliwie zaginiony, nieszczęśliwie odnaleziony kochanek. Po czym upewniwszy się, że jesteśmy same, przywarła do mnie mocno – wprawiając mnie w zupełną już konsternację – i trwała tak przez dłuższy czas. Nerwowo wciągałam znajomą woń perfum Wild Musk, których używała od lat, pomieszaną z typowym metalicznym zapachem wagonu drugiej klasy PKP. Wyswobodziłam się z jej objęć, dopiero gdy poczułam, że kręci mi się w głowie i zacznę drętwieć.

– Co się stało? – zapytałam z niewyraźnym uśmiechem.

Matka się spłoniła. Widocznie ów wybuch czułości zawstydził nawet ją samą.

– Przepraszam, nie sądziłam, że tak zareaguję na twój widok. To takie nierealne, że jesteś w ciąży. Mogę? – Wyciągnęła rękę i dotknęła wypukłości brzucha. – Dopiero co cię urodziłam, a teraz to ty będziesz matką...

Mnie także rozbroiły jej słowa. Czułe słowa w ustach osoby tak na co dzień nieczulej, a wręcz przesadnie zasadniczej. Kiedy zobaczyłam ją w proggu, chciałam przypomnieć o naszej niepisanej umowie – że nie będzie przyjeżdżała bez zapowiedzi – lecz przepełniła mnie szczerą radość. I ulga. Była przy mnie. Moja matka. Obca, a jednak najbliższa na świecie. Była tu, chociaż nie akceptowała moich wyborów i stylu życia; być może nawet tej ciąży. Mimo to przejechała pół Polski, jakby przeczuwała, że jestem na zakręcie i bardzo potrzebuję wsparcia. Jej wsparcia.

Pociągnęłam ją za rękę.

– Chodź, pewnie jesteś zmęczona i głodna. Zrobię coś do jedzenia.

Podreptała za mną do kuchni i zajęła miejsce przy stole, a ja wyjęłam produkty z lodówki i zaczęłam przygotowywać kanapki. Jej ulubione, najprostsze, z masłem i świeżym ogórkiem. Przez cały czas nie odrywała ode mnie wzroku.

– Mogłaś zadzwonić, pojechałabym po ciebie na dworzec – rzuciłam przez ramię.

– Właśnie dlatego nie dzwoniłam. Nie chciałam zawracać ci głowy. Zresztą lubię czasami przejechać się tramwajem. Po każdej z takich upiornych wycieczek nabieram przekonania, że dobrze zrobiłam, opuszczając Warszawę. To miasto jest niczym Nosferatu, wysysa z człowieka soki i chęć do życia, nie da się tutaj normalnie funkcjonować... Wszędzie tłok, wrzaski, huk. Nie wiem, jak wytrzymałam tyle lat.

Położyłam talerz z kanapkami na stole i usiadłam naprzeciw niej. Nieczęsto wspominała o tamtym okresie ze swojej przeszłości. Nie wiedziałam nawet, w jakich okolicznościach stąd wyjechała. Czy coś ją poróżniło z towarzyszem Orłowskim, moim fantomowym ojcem? A może chodziło o pracę?

Kiedyś z nudów przekopywałam internet w poszukiwaniu informacji na jej temat i ku mojemu zdumieniu wyskoczyło kilka naprawdę ciekawych wyników – chyba że chodziło o inną Barbarę Chojnącką, która w latach siedemdziesiątych robiła zawrotną dziennikarską karierę. To z sieci, a nie od matki, dowiedziałam

się, że parę lat przepracowała w rządowej tubie, czyli „Trybunie Ludu”, gdzie trafiła z mniej prestiżowej wrocławskiej „Trybuny Robotnika”. Dotarłam też do kilku zdigitalizowanych tekstów jej autorstwa i musiałam przyznać, że nieźle pisała, chociaż niewątpliwie zgodnie z linią programową partii. Jak wyczytałam na jednej ze stron, moja matka była na tyle „zasłużona” dla Peerelu, że w połowie lat osiemdziesiątych jej nazwisko zostało wymienione w „Tygodniku Powszechnym” na liście Kisiela; w towarzystwie innych proreżimowych dziennikarskich kreatur. Z dzisiejszej perspektywy trudno zrozumieć jej działalność, pochwalać wkład w zakłamywanie rzeczywistości, lecz z drugiej strony nie chciałam jednoznacznie oceniać jej postawy – wiem, że naprawdę wierzyła w socjalizm, w równe szanse: dostęp do edukacji, służby zdrowia i takie tam... Może gdybym z nią o tym porozmawiała, wyłuszczyłaby mi swoje racje, lecz nie znalazłam odwagi i internetowe odkrycie zostawiłam dla siebie.

Podejrzewałam, że matka skrywa więcej takich tajemnic; musiała być naprawdę ciekawą osobą, zanim została „sorką od polaka” znienawidzoną przez uczniów noworudzkiego liceum, ale postanowiłam, że poczekam, aż sama mi o tym opowie.

– A jednak przez jakiś czas tkwiłaś w tym wampirycznym miejscu... – niewinnie pociągnęłam temat.

Ugryzła kawałek kanapki i zerknęła na mnie znad talerza z ironicznym półuśmiechem. Wyczuła, że ją podpuszczam.

– Byłam młoda i głupia. Dokładnie taka jak ty dzisiaj. Przekonana, że wszędzie dobrze, byle dalej od domu.

Od dawna już tak nie myślałam. Chętnie wróciłabym, chociaż na chwilę, do starego domu z pruskiego muru, poszłabym na spacer w góry, pobłądziła w pustych korytarzach w brzuchu Olbrzyma, wsłuchując się w wodę skapującą miarowo ze skał... Nigdzie indziej nie czułam takiego bezmiaru ciszy. Teraz bardzo mi jej brakowało. Moje życie płynęło pod znakiem bezustannego szumu, dysonansu, kakofonii...

A jednak matce w życiu bym się do tego nie przyznała. Jeszcze nie teraz.

– Jak długo tu byłaś?

– Zaledwie pięć lat.

– Zaledwie?! To szmat czasu. Mieszkałaś tutaj? W tym mieszkaniu? – Chciałam dopytać, czy z moim ojcem, lecz ugryzłam się w język.

Ona nadal się uśmiechała.

– To przesłuchanie?

– Sama zaczęłaś temat, ja po prostu chciałabym wiedzieć. Nigdy o tym nie wspominasz. – Bardzo się starałam, aby nasza rozmowa wyglądała jak zwykły *small talk*.

Matka wzruszyła ramionami.

– Nie. Zajmowałam mieszkanie służbowe należące do redakcji. Tutaj tylko bywałam... W ogóle w Warszawie tylko bywałam. Przed wszystkim pracowałam w terenie, jako reporterka. Co chwilę w nowym miejscu, w kolejnych hotelach... Pewnie dlatego dzisiaj wydaje mi się, jakby pobyt tu był zaledwie epizodem. Wiele wody od tamtego czasu upłynęło, a i ja jestem dzisiaj kimś innym.

W to nie wątpiłam – teraz już nie było zaangażowanych ideowo dziennikarek, nie było Peerelu i list Kisiela – na głos jednak zapytałam:

– To przez ciężę postanowiłaś stąd wyjechać?

– I tak, i nie – odrzekła wymijająco. – Na pewno Jugów to lepsze miejsce do życia z małym dzieckiem niż Warszawa. No i tam miałam dom, rodzinę, poczucie bezpieczeństwa, jakkolwiek banalnie i nudno to brzmi. Wtedy bardzo potrzebowałam, żeby ktoś przy mnie był. – Zamilkła. Przełknęła do końca kęs kanapki i zapatrzyła się w okno, za którym rozciągał się widok na kamienice stojące wzdłuż Belgijskiej oraz przedwojenne zabudowania jakiejś fabryki leków, od dawna nieistniejącej. Mało inspirujący krajobraz. – W zasadzie przyjechałam tu dzisiaj z tego powodu, Nina...

– Z jakiego powodu, mamó?

Tak naprawdę nie wiedziałam, czy chcę to usłyszeć.

– Żeby porozmawiać. Namówić cię... Możesz się śmiać, że jestem starą panikarą, ale rozmawiając z tobą ostatnio przez telefon, czułam, że coś jest nie tak...

Nie zamierzałam się śmiać.

– Długo nad tym myślałam. Wiem, że nie powinnam przyjeżdżać bez zapowiedzi, ale wydawało mi się... Miałam wrażenie, że sprawa z tym twoim Miłozsem dotknęła cię bardziej, niż mówisz. I nie chodzi tylko o to, że zostałam sama w ciąży. Jest coś albo stało się coś... sama nie wiem... coś złego. Może strasznego? Dlatego postanowiłam, że przyjadę.

Nadal milczałam.

– Ale może przesadzam. Coś sobie ubzdurałam. Nie powinnam się wtrącać w twoje życie. Bo przecież tobie jest tutaj dobrze. Dobrze masz tu życie, Nina, prawda?

Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć. Czy miałam dobre życie? Patrząc z boku – chyba tak. Mierząc wartość życia pieniędzmi i sukcesem zawodowym – na pewno tak. Jednak teraz, kiedy siedziałam w ultranowoczesnej lakierowanej kuchni za kupę szmalu, a od mojej matki w skromnej sukience odgradzał mnie tylko stół i rosnący brzuch, nie miałam pewności, czy tak jest w istocie. Czy jestem szczęśliwa? Czy tak wyobrażałam sobie dorosłość? Pragnęłam silnych wrażeń, życia pod prąd i wbrew utartym regułom i Miłozs mi to ofiarował, od początku do końca – szczególnie w kontekście końca i wyjątkowo postmodernistycznego epilogu naszej wspólnej przygody. Ale teraz, po trzech latach, czułam się tak zmęczona, jakbym przeżyła kilka żyć. Może to z powodu ciąży, a może po prostu się przeliczyłam.

– Nie wiem, czy naprawdę żyję tak, jak bym chciała – odparłam po namyśle.
– Raczej czuję się zmęczona.

Pokiwała głową.

– Dlatego właśnie przyjechałam. Pomyślałam, że może potrzebujesz pomocy. Albo kogoś, kto wskaże ci rozwiązanie, powie, co robić.

Ależ ona była przenikliwa. Równie przenikliwa co... obsesowa, zamknięta w sobie, zagadkowa, niezyciowa, staroświecka, irytująco wszechwiedząca... Mogłabym długo wymieniać.

– I w związku z tym chciałam ci zaproponować – wreszcie przeszła do meritum – żebyś na jakiś czas przyjechała do Jugowa. Chociaż na wakacje.

– Jak to?

– Wiem, że jesteś zaskoczona, ale sama pomyśl...

Może byłam, a może nie. Może miałam nadzieję, że podczas naszej rozmowy padnie taka propozycja? Może przeczuwałam, że matka to zaproponuje, już w chwili, gdy przywitałam ją w drzwiach?

– Przecież zawsze powtarzasz, że jesteś w stanie pracować wszędzie, gdzie jest internet – kontynuowała. – Pewnie nie uwierzysz, ale nawet u nas na wsi sieć od dłuższego czasu jest dobrem powszechnie dostępnym. Jeżeli miałabyś ochotę, mogłabyś przyjechać do domu na lato. Odpoczęłabyś trochę, a ja bym się tobą zajęła. Nie powinnaś teraz być sama. Jak już mówiłam, ja też wróciłam do domu, kiedy byłam w ciąży. To nie jest złe rozwiązanie. Ciotka Magda tak mi dogadzała, że utyłam trzydzieści kilo.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że nauczyłaś się gotować? – zażartowałam, chociaż wcale nie było mi do śmiechu. Jej propozycja wydawała się kusząca. Ale jak mogłabym to wszystko zostawić? Wyjechać? Tak z dnia na dzień? A jeżeli Miłosz wróci i odbije się od drzwi?

Jaki Miłosz?! Miłosz zostawił mnie bez słowa przed trzema miesiącami. Bez skrupułów, bez sentymentu. A teraz być może opala się na jakiejś ciepłej wyspie, wachlowany palmowym liściem przez powabną Mulatkę w bikini. Albo bez bikini – ta wizja z miejsca mnie otrzeźwiła.

– Ani trochę się nie nauczyłam – stwierdziła tymczasem matka z rozbrajającym uśmiechem.

– Na wakacje? – upewniłam się.

– A miałas jakieś inne plany?

– Nie. Raczej nie.

– To zrób mi herbaty z łaski swojej. A potem omówimy szczegóły twojego przyjazdu. Pewnie chciałabyś zabrać ze sobą kilka rzeczy... – Rozejrzała się wokoło. – A swoją drogą, teraz to mieszkanie jest zupełnie bez charakteru. I te meble... takie jakieś zimne, zbyt minimalistyczne. Stare podobały mi się o wiele bardziej.

Znowu była sobą.

*

Nie wierzę, że wszystko jest z góry ustalone, zapisane gdzieś wysoko w gwiazdach, w horoskopach, szklanych kulach, co najwyżej w rachunku

prawdopodobieństwa, ale może rację mają ci, którzy twierdzą, że przed przeznaczeniem nie da się uciec. Z całych sił starałam się nie myśleć o Miłoszu, a jednak jego cień wciąż mnie prześladował.

Tamtego dnia skończyłam się pakować. Pobyt w Jugowie, chociaż planowo miał trwać tylko dwa miesiące, wymagał sporych przygotowań. Oprócz rzeczy osobistych musiałam przecież zabrać na drugi koniec Polski dokumentację medyczną ciąży, cały sprzęt komputerowy; pozałatwiać sprawy służbowe i uprzedzić zleceniodawców, że w najbliższym czasie pracuję jedynie zdalnie. Na koniec została kwestia samochodu: postanowiłam oddać volvo Miłosza jego matce. Niech z nim zrobi, co chce – rozbije na drzewie bądź sprzeda, a za to, co dostanie, kupi zapas karmy dla kotów, a dla siebie pół litra.

Odstawiłam samochód pod jej dom. Była zdziwiona i chyba szczerze wzruszona, gdy oddawałam jej dokumenty i kluczyki. Stwierdziła, że nigdy nie dostała od Miłosza żadnego prezentu – zatem teraz dostała, i to nie byle jaki. Tak była tą sytuacją zaaferowana, tak z zadowoleniem cmokała nad maską wypieszczonego Miłoszowego auta – że ładny, że elegancki i szkoda będzie sprzedawać – iż ostatecznie nawet nie zapytała, czy kiedykolwiek jeszcze mnie zobaczy. Czy zobaczy swoją wnuczkę. Ale właściwie z jakiej racji miałyby być lepszą babcią niż matką?

Pożegnałam ją bez żalu.

Podobnie jak bez sentymentu pożegnałam zielone volvo. Jego widok przywoływał zbyt dużo wspomnień, a musiałam się od nich odciąć. Kupiłam własny samochód. Zupełnie zwykłą toyotę: nudną, bez chromów, bez fajerwerków, dobrą, japońską, zero ekstrawagancji. Miała tylko pomieścić moje bagaże, a w przyszłości dziecięcy fotelik. Matka, która towarzyszyła mi w salonie, przez cały czas utyskiwała, że na co komu taka kolubryna i tyle pieniędzy w błoto, zaraz na pewno ktoś mnie przytrze albo specjalnie przejedzie kluczami po lakierze, bo wiadomo, że ludzie to wilcy, i jak amen w pacierzu będę miała wypadek, wjadą we mnie albo ja w kogoś – przecież mogliśmy po staremu pojechać do domu pociągami, a rzeczy nadać kurierem...

Nie dałam się przekonać i teraz byłam szczęśliwą posiadaczką pierwszego własnego samochodu, oczywiście czarnego – bo auto może mieć każdy kolor, byleby to był czarny. Cieszyłam się jak dziecko.

Miałyśmy z matką ruszyć do Jugowa następnego dnia. Ona pakowała resztę rzeczy, ja przez całe popołudnie załatwiałam na mieście ostatnie sprawy. W Warszawie panował piekielny upał i gdy dotarłam pod wieczór na Belgijską, byłam kompletnie wyczerpana. A jednak zamiast od razu udać się na górę do mieszkania – sporo jeszcze zostało do zrobienia – postanowiłam na chwilę pójść do parku. Ostatni raz przed wyjazdem, pomyślałam, idąc w dół po schodach w stronę alejek wijących się pośród zieleni.

Przez minionych siedem lat naprawdę związałam się z tym miejscem. Znałam każdą ławkę, latarnię, każde drzewo. Warszawy nigdy do końca nie oswoiłam, Warszawa nadal nie była moja, lecz w parku czułam się jak u siebie. Przywykłam do krzyku dzieci, do migdałących się nastolatków, do matek z wózkami i szczekania psów. Wiedziałam, że przez resztę wakacji będę za tym tęsknić.

Minęłam miejsce, w którym kiedyś widziałam sobowtóra Miłosza – a może wcale nie sobowtóra – i powoli zeszłam w stronę sadzawek. Jedna z ławek okazała się wolna, przysiadłam zatem, obserwując, jak dwójka dzieci rzuca patyki do wody. Po niebie sunęły różowe chmury z waty cukrowej, przez gałęzie drzew przebijało światło, rysując na trawniku świetliste plamy. Wyciągnęłam przed siebie spuchnięte nogi, zaplotłam ręce na brzuchu i przymknęłam oczy. Dziecko w moim ciele spało. Zrobiło mi się przyjemnie, błogo. Gdzieś z parku dobiegał śmiech, jakiś rowerzysta zadzwonił na przechodnia... Nawet nie wiem, kiedy i ja przysnęłam. Nie wiem też, jak długo trwałam w letargu, lecz kiedy znowu uniosłam powieki, nie byłam sama.

Obok mnie siedział starszawy facet. Miał na sobie lniany, lekko pognieciony garnitur, brązowe, bardzo eleganckie mokasyny i błękitną koszulę z rozpiętym kołnierzykiem – wszystko najwyższej jakości, markowe. Tylko na szyi niedyskretnie lśnił mu złoty łańcuch, psując efekt. Mężczyzna był niski, z twarzy podobny do nikogo i miał rzadkie włosy w kolorze świńskiego blondu. Zwyczajny gość w wieku mojej matki, może ciut młodszy. Przyglądał mi się z osobliwym uśmiechem.

– Dzień dobry, Nino.

W jednej chwili zupełnie się rozbudziłam. Nino?

– Czy ja pana znam?

Nie odpowiedział, tylko jeszcze szerzej się uśmiechnął.

Znałam go? Raczej nie. A jednak wydawało mi się, że gdzieś go już widziałam.

Moje zdezorientowanie najwyraźniej go bawiło. Przyglądał włosy. Na palcu błysnął sygnet. Niby facet ubrany był z klasą, jednak czułam, że jest w nim coś tandetnego, że tylko pozuje na dżentelmena. Nie jest tym, za kogo chciałby uchodzić.

– Powiedzmy, że ja znam ciebie – rzekł wreszcie. – Naprawdę nie zauważyłaś, że od jakiegoś czasu cię obserwujemy?

My? To znaczy kto? Od jakiego czasu? Od chwili, gdy usiadłam na ławce, czy dłużej? Od tygodni, miesięcy...? Może dokładnie od trzech? Tak! Już wiedziałam, gdzie się spotkaliśmy. Wtedy, gdy pierwszy raz pojechałam do matki Miłósza. To on siedział za kierownicą czarnego mercedesa.

Uświadomiwszy to sobie, poczułam ucisk w gardle. Gdyby nie fakt, że wokół nas kręcili się ludzie, dzieci biegały i panowała zupełnie zwyczajna letnia atmosfera, chyba od razu uciekłabym do domu.

– To pan wysłał do mnie jakiś czas temu esemesa z „prośbą”, żebym nie szukała Miłósza? – wypaliłam. Nie miałam pojęcia, dlaczego zadałam właśnie to pytanie.

Na uwagę o Miłoszu uśmiech na twarzy mężczyzny zbladł. Chyba go zaskoczyłam. Przez kilka sekund wyglądał na zdumionego, może nawet zirytowanego, ale zapanował nad tym.

– Nie – odpowiedział po namyśle. – Dlaczego miałbym pisać coś takiego? Ja też go szukam. Mamy kilka niezłatwionych spraw.

– Jakich spraw?

– Nie twoja rzecz. – Konsekwentnie mówił mi na „ty”. Wkurzało mnie to, a jednak nie odważyłam się go upomnieć.

– Chyba jednak moja, jeżeli siedzimy tu teraz razem. Bo nie przyszedł pan do parku w celach rekreacyjnych, prawda?

– Nie tylko ładna, ale i pyskata... W sumie nic dziwnego, skoro Miłóż cię wybrał.

Miałam dosyć zagadek. Postanowiłam wstać. Był szybszy, przytrzymał mnie za rękę. Delikatnie, lecz po męsku. Na jeden moment poła jego marynarki się

odchyliła i zobaczyłam, że ma broń.

Uchwycił moje spojrzenie.

– Daj spokój. Po co te nerwy?

– Albo mówi pan od razu, o co chodzi, albo się zegnamy.

Puścił mnie. Poprawił marynarkę.

– Jestem znajomym Miłosza i podobnie jak tobie – tu spojrzął wymownie na mój brzuch – zależy mi, żeby się znalazł.

– Mnie nie zależy.

Zaśmiał się krótko.

– Jak sobie chcesz. Twoja sprawa. Ja w każdym razie zaczynam się o niego martwić.

– Chyba niepotrzebnie. Duży z niego chłopiec i sądzę, że potrafi o siebie zadbać.

– Niech zatem będzie, że martwię się o siebie – sprostował, po czym zamilkł na chwilę. – Ty naprawdę nic nie rozumiesz, co...? Ale jeżeli Miłosz cię nie wtajemniczył, to może oznaczać tylko jedno: naprawdę chciał cię chronić. Mam podobną zasadę w stosunku do żony. Ma wiedzieć jak najmniej. Miłoszowi widocznie na tobie zależy.

– Wątpię – stwierdziłam, choć musiałam przyznać, że słowa faceta połechtały moje ego. Miłosz chciał mnie chronić? Przed czym? – Po co pan go szuka?

– Miałem z nim pewne interesy. Nie rób takiej zdziwionej miny. Myślisz, że twój pan wykładowca nie mógł zadawać się z kimś takim jak ja? No to, mała, nic o życiu nie wiesz.

– To o panu mówią Rudy, prawda? Wiem, że Miłosz prał dla pana pieniądze, kupował mieszkania, ziemię, różne takie – rzuciłam na chybił trafił.

– No, no... Czyli coś tam jednak wiesz.

Zatem to prawda? Justyna miała rację? Podświadomie wiedziałam to od dawna, a i tak poczułam ukłucie rozczarowania.

– Jak ktoś taki jak on mógł się zadawać z kimś takim jak pan? – Miałam w nosie, że poczuje się urażony; przecież nie zabije mnie przy tych wszystkich ludziach. Gdyby chciał mi coś zrobić, wybrałby bardziej odludne miejsce niż park w sercu Mokotowa. Mógł wciągnąć mnie do samochodu wtedy w Aninie albo

włamać się nocą do mieszkania. Chyba tak działają ludzie jego pokroju, chociaż co ja mogę o tym wiedzieć – moje doświadczenia z gangsterami kończą się na lekturze kilku książek Maria Puza.

– Zdziwiłabyś się, jak dobrze się z Miłozsem znamy. Można by rzec: od wieków.

– Chętnie posłucham tej pięknej historii – stwierdziłam cierpko, wiedząc, że facet i tak mnie nie puści.

Zabawnie uniósł brew i zerknął na zegarek.

– W zasadzie mam trochę czasu... – Rozparł się wygodnie na ławce. – Sprawa z Miłozsem to była kwestia honoru.

– Czyli?

Jakiś dzieciak grający niedaleko na trawniku w nogę przypadkiem kopnął piłkę w naszym kierunku. Poleciała prosto w stronę Rudego i uderzyła w niego z impetem. Myślałam, że obsztorcuje gnojka, ale tylko wyszczerzył się w uśmiechu, wstał i z całej siły kopnął futbolówkę, która poszybowała parabolą, by wylądować kilkanaście metrów dalej, pod stopami samozwańczego Ronaldo.

– Dziękuję! – krzyknął chłopak, wracając do zabawy.

Rudy usiadł zadowolony z siebie i włożył ręce do kieszeni.

– O czym to ja mówiłem...? No tak. Miałem wobec Miłozsa dług wdzięczności. A właściwie nie wobec niego, a jego ojca.

– Jego ojciec był lekarzem.

– Dokładnie. To było jeszcze w latach siedemdziesiątych. Krajewski uratował moją córkę. Pracował wtedy w nowo otwartym centrum w Międzyzlesiu. Moja Gosia... To był wypadek. Spadła z huśtawki, uderzyła głową o beton. Popękała jej ta główka jak skorupka jajka. Lekarz z karetki powiedział, że marnie to widzi, że prawdopodobnie doznała poważnego urazu mózgu, bo nie reagowała na bodźce.

Wzniosłam oczy do nieba. Jaka Gosia, jakie skorupki jajka? Trafił mi się ojciec chrzestny gawędziarz.

– Nawet na światło nie reagowała, a to podobno niedobry znak. Sanitariusz stwierdził, że jeżeli nie stanie się cud, to nie wiadomo, czy moja Gosia nie skończy jako warzywo. Rozumiesz? Tak mi powiedział. Chuj bez serca. Przez

kwadrans postarzałem się o dziesięć lat. Ale kiedy dojechaliśmy do szpitala, przyjął nas pewien młody lekarz. Nie jakiś tam specjalista, profesor, zwykły lekarz, co siedział właśnie na dyżurze.

– Ojciec Miłosza?

– Tak. Mógł na mojej Gosi położyć krzyżyk, a jednak tego nie zrobił. Od razu zdecydował, że będzie operacja. Uprzedził, że nie ma wystarczającego doświadczenia, że potrzebna jest trepanacja, ale zanim ściągnie starszego kolegę, a to była niedziela, może być za późno. Postanowił spróbować sam. Myślałem, że oszaleję, tyle godzin to trwało. Potem pielęgniarki mi powiedziały, że każdy inny oprócz doktora Krajewskiego pewnie by odpuścił. A on nie odpuścił, wspaniały człowiek. Miałem szczęście. Gosia miała.

– Przeżyła?

– Tak.

– I nie jest warzywem?

– Skończyła prawo. Jest adwokatem. Nieźle, co? Ojciec po podstawówce i poza prawem, a dziecko prawnik. W sumie dobrze mieć papugę w rodzinie... – Zaśmiał się.

Po czym zamilkł. Ja tymczasem starałam się naprędce połączyć wątki.

– Ale co to ma wspólnego z Miłoszem?

– Wtedy jeszcze nic nie miało. Po operacji córę chciałem jego staremu podziękować. Poszedłem z kopertą, ale nie chciał wziąć. Gdyby więcej takich ludzi Ziemia nosiła, tobym chyba w naszą rasę na nowo uwierzył... W każdym razie obiecałem sobie wtedy, że odwdzięczę się kiedyś, przy innej okazji. Życie jest długie. No a potem on... Wiesz, że ojciec Miłosza został potrącony przez samochód?

– Wiem.

– Chujowa sprawa. Taki dobry człowiek. Widziałem Miłosza na pogrzebie. Z babcią był i matką, taki berbecz zasmarkany. Stałem w tłumie. Szkoda mi było jego ojca, szkoda było i dzieciaka. Postanowiłem, że będę miał go na oku, że gdyby czegoś w przyszłości potrzebował, to ja mu pomogę. Przysługa za przysługę.

– I co, przyszedł do pana po pomoc? – Wydało mi się to nieprawdopodobne. Byłam znudzona jego opowieścią i najchętniej zwinęłabym się do domu. Miałam jeszcze tyle roboty przed wyjazdem, matka na pewno na mnie czekała...

– Nie przyszedł. Ale ja go obserwowałam. Ludzie różnie o jego matuli mówili: że pije ze swoim nowym gachem i że ten gach dzieciakowi nie raz spuścił wpierdol. Miłosz dobrze się uczył, jednak niewiele brakowało, żeby przez tę patologię poszedł na zmarnowanie.

– I pan go uratował? – zakpiłam.

– Nie. Wtedy jeszcze się nie wtrącałam. Na szczęście ten jego ojczym źle skończył, a Miłosz poszedł do liceum. Nadal trzymałam rękę na pulsie i już wydawało się, że wyszedł na prostą, kiedy... – Znowu przygładził włosy i poprawił pasek u spodni, który nieapetycznie wrzynał mu się w fałdę tłuszczu na brzuchu. – Chłopaki mi doniosły, że on z jednym ze swoich kumpli, księżym synem...

– Księżym synem? – przerwałam mu.

– Tak, synem gospodyni miejscowego proboszcza. Podobno miała go ze starym. Sebastian mu było, Seba, ale my nazywaliśmy go Ksiądz.

– Mówi pan o tym, który parę lat temu został znaleziony w kilku różnych studzienkach? Pisali o tym w prasie.

Rudy uśmiechnął się krzywo.

– O tym samym. Handlował dla nas prochami. Trochę przesarżował i wszedł konkurencji na odcisk. Nieciekawie skończył. Ale to później, wtedy, pod koniec lat osiemdziesiątych, to był jeszcze szczeniak. Znali się z Miłoszem z podstawówki. Sebek poszedł do zawodówki samochodowej. Podobno świętobliwy tatulo obiecał mu kupić warsztat. Sebek znał się na furach i już wtedy dorabiał, przebijając blachy i kradnąc radia. Drobnie robótki. No i wciągnął w interes Miłosza. Chodzili wieczorami na drogi. Słyszałaś o sposobie „na światła”?

– Nie.

– Wybierało się trasę na uboczu. Dużo jest takich, ciągnących się przez lasy, w okolicach Anina, Wawra, Wesołej i Wołomina. Typowało się samochody z samotnymi kierowcami – taki jeleń po wszystkich bał się wysiąść i raczej nie gonił za złodziejem po ciemku, przez las, tylko obsrany jechał dalej... Czekają

się na właściwy moment, aż auto zwolni na światłach albo przed skrzyżowaniem, i wtedy wyskakiwał zza krzaka łebek jeden z drugim i zaglądał od strony pasażera, czy na fotelu nie leży torba, aktówka, cokolwiek. A jak coś było, pociągał za klamkę. Jeśli kierowca był ciotą i się nie zamknął od środka, to robota załatwiona, a jak klamka nie puszczała, w ruch szła stalowa rurka. Jeden tłukł szybę, drugi wyciągał fanty i w pizdu w noc. Można się było nieźle obłowić.

– Miłosz brał udział w czymś takim? – Nie mogłam uwierzyć.

– Z Sebą się tak bawili po szkole. Mieli po siedemnaście, osiemnaście lat i wióry we łbie. U Miłosza w chacie się nie przelewało, matka najebana ciągle albo w robocie, a dzieciak potrzebował opieki, kasy. To sobie dorabiał.

– Skąd pan o tym wszystkim wie?

– Ja wszystko wiem, mała. Zresztą to był mój teren. Weszli z Sebkim w mój rewir, rozumiesz? A tak się, kurwa, nie robi... Gdyby Miłosz trafił na kogoś innego, dostałby niezły wpierdol. Wtedy dopiero co upadła komuna, straszny bajzel się zrobił, ale można było szybko zarobić. Handel bronią, prochami, burdele, haracze, wymuszenia. Psy siedziały nam w kieszeni, ale przyjechali Ruscy i Czeczeni i też próbowali wbić do zabawy... To byli tacy kolesie, że nawet ja się ich, kurwa, bałem. Cwaniacki kodeks honorowy, jak za starych dobrych czasów na Różycu, przestał istnieć. Gdybym Miłosza wtedy nie ściągnął z ulicy, zrobiłby to ktoś inny.

– I zaproponował mu pan pracę u siebie?

– A skąd. Tego Sebę to chciałem od razu, bo on był dobry kombinator, bez zahamowań, wiedziałem, że będą z niego ludzie, do brudnej roboty się nada, ale Miłoszowi zamierzałem pomóc inaczej. Wysłałem moich chłopaków, żeby ich do mnie przywieźli. W bagażniku, wprost z ulicy, żeby gówniarzom napędzić stracha. Miłosz nawet nie pisał, jak go moi chłopcy pogłaskali bejsbolem.

– Pobili go?

– Żeby nabrał rozumu i życia posmakował. Ale lekko dostał. Na ostrzeżenie. Wiedział, że mu się należy, więc przyjął to jak facet, nie był beksą, o nie. Zaimponował mi tym... Niby bez ojca się chował, a na fajnego chłopaka wyrósł, widać dobre geny. Potem mu powiedziałem o sprawie z Goską i jego starym. I obiecałem, że mu pomogę, dam kasę, żeby na ulicę nie wracał. Ale się zdziwił. – Rudy pokiwał głową, jakby sam przed sobą chciał uwiarygodnić tę historię. –

Z Miłosza już wtedy był naprawdę zdolny gość. Matematyczny mózg. Ja nawet do jego szkoły się pofatygowałem. Wypytałem nauczycieli; wszyscy uważali, że musi iść na studia, bo inaczej się zmarnuje. Opłaciłem mu, co się dało. Lekcje angielskiego prywatnie, pierwszy komputer, na łańchy nawet dorzuciłem, bo tam u niego w chacie naprawdę bieda była. Na obiad czasami go do nas zaprosiłem. Moja żona to się śmiała, że sam se syna załatwiłem. Bo wiesz, ja tylko dwie córki mam. Ale naprawdę gnojka polubiłem. Jak kiedyś człowiek stanie przed Świętym Piotrem, to chociaż jeden dobry uczynek będzie miał na swoją obronę... Miłosz dostał się na polibudę za pierwszym razem. Dumny byłem z niego jak prawdziwy ojciec. – Zamilkł wreszcie.

– Doprawdy, czarująca historia. – Wciąż trzymałam dystans. – A jednak wciągnął pan go w swoje bagno?

– Nie ja. To on. On sam chciał, nalegał. Twierdził, że nudzi go nauka, że w dupie ma karierę na uczelni. Kręć go za to laski i kasa. Silne emocje. Co miałem zrobić?

– Odmówić?

– Odmówiłaś mu kiedyś?

Spojrzałam na ryżego. Doskonale rozumiałam, co ma na myśli.

– Kiedy Miłosz coś sobie wbił w łeb, to jak osioł przy tym trwał, nie było siły, żeby mu to wybić. Niby nieźle zarabiał jako informatyk i na uczelni, a jednak ciągle twierdził, że potrzebuje adrenaliny, że testosteron ryje mu banię i jak ja go nie wezmę, to pójdzie gdzie indziej. Coś w nim takiego siedziało... Nie umiem tego nazwać. Uległem. Zresztą we wszystkim mu ulegałem, bo naprawdę gnoja lubiłem. Zaczął kręcić dla mnie różne interesy. Wszystko legalnie. No, może półlegalnie. Ale potem chłopaki z Pruszkowa wykończyli Sebka i się przestraszyłem. Więc kiedy Miłosz dostał propozycję wyjazdu na zagraniczne stypendium, kazałem mu jechać. Trzeba było wziąć na przeczekanie.

Historia była doskonale spójna. Kawałki puzzli zaczęły do siebie pasować. Szczegóły, o których wiedziałam od Miłosza, i nowe fakty, zasłyszane od innych, układały się w zwarty obraz. Nie podobało mi się to, co przedstawiał.

– Nie powinienem był go wciągać w swoje sprawy, a jednak nie potrafiłem twardo odmówić. Miłosz już taki był: zero-jedynkowy i jak mu na czymś zależało, to nie odpuszczał. Wiele razy miałem okazję widzieć, jak stawia na

swoim. Kiedy mu, dajmy na to, jakaś dupencja wpadła w oko, to nie było przebaczyć, nawet jak to była za wysoka liga. Kiedyś spotykał się z taką jedną, córką profesora zdaje się. Tak się wokół niej kręcił, aż ją przekręcił. I tak samo było w sprawie śmierci jego ojca...

Nadstawiłam uszu.

– Co ze sprawą jego ojca?

– Miłoszowi bardzo zależało, żeby się dowiedzieć, kto go potrafił. Pamiętam, jak kiedyś przyszedł i poprosił, żebym mu pomógł znaleźć skurwiela, bo go to okropnie dręczy. To było jeszcze przed jego wyjazdem za granicę. Chciałem mu pomóc, ale niby jak? Zaraz po wypadku milicja badała sprawę, chociaż oczywiście niczego nie znalazła. Pizdy. Podobno nie było świadków. A teraz minęło ponad dwadzieścia lat, to niby jak ja miałem to ugryźć? Ale Miłosz dalej mi wiercił dziurę w brzuchu. Marudził, żebym użył swoich kontaktów, że jak nie ja, to kto, no to popytałem tu i tam. Spodziewałem się, że w chuj pierdolenia z tym będzie, ale nie. Wyobraź sobie, namierzyłem goja w kilka dni.

– Naprawdę znalazł pan tego człowieka?! – Moje myśli powędrowały do Anina. Do Marioli i jej parszywego życia. Jedna letnia noc, jeden zepsuty maluch, a tak się wszystko spieprzyło.

– No ba. Wypadek miał miejsce w siedemdziesiątym ósmym – pamiętam przez tę historię z moją Goską – a wtedy w całej Warszawie i okolicach porządne warsztaty samochodowe można było policzyć na palcach jednej ręki. Z tego połowę z tych speców to lepiej lub gorzej znałem. Wystarczyło popytać. Jak się człowieka potrafi, to przecież trzeba gdzieś samochód wyklepać – tylko psom jakoś to do głowy nie przyszło. A może i przyszło, tylko ten, co klepał, dobrze był opłacony. Dotarłem do takiego jednego fachury, blacharza z Rembertowa. Pamiętał sprawę. Czarna wołga, rzadki samochód, pół maski do roboty, lampa uszkodzona, nadkole wgniezione. Podobno to był dzik. Ale chuj, nie dzik. Musiało być coś większego. Tym bardziej że typ dostał dobrą kasę za milczenie.

– Czarna wołga?

– Nieźle, co? Od razu zacząłem, że o jakiegoś szyszakownika partyjnego idzie. Wtedy właśnie tacy wozili się tymi ruskimi czołgami. Zresztą wszystko się zgadzało. Niedaleko miejsca wypadku mieszkał wtedy Jaroszewicz. Premier. Pewnie o nim nie słyszałaś, bo to sto lat temu było...

– Słyszałam – wtrąciłam urażona posądzeniem o aż taką ignorancję.

– No więc po nitce do kłębka okazało się, że tego doktora to jakiś wiceminister kropnął. Komuch pierdolony. Zabił człowieka i na ulicy zostawił. Może na bani od tego Jaroszewicza jechał, kto go tam wie?

Czułam, że grunt zaczyna mi się palić pod nogami, a deski ławki uwierają w tyłek. Spocone dłonie wytarłam w sukienkę. Dziecko w moim brzuchu się poruszyło.

– Jak się nazywa?

– Ten komuch? Od dawna nie żyje. Czekaj no, pamiętałem... Jakoś na „o”. – Zmarszczył czoło, przekopując zakamarki pamięci. – Orłowski! Właśnie tak! I w sumie dobrze, że wachał już kwiatki od spodu, jak to odkryłem, boby kutasa jebanego Miłosz żywcem ze skóry obdarł. Nie żartuję, on by go jak nic zajebał. Za takie coś miałby prawo. Ojca pomścić sprawa honorowa. Tyle że los go wyręczył. Może i lepiej... Ale Miłosz był niepokieszony.

Facet zamilkł. Przez pewien czas siedzieliśmy w ciszy. Cienie zaczęły się wydłużać. Czułam w ustach żółć, serce waliło mi jak oszalałe. Dziecko kopnęło mnie raz i drugi – ono też było niespokojne.

Dlaczego tu przyszłam? Dlaczego nie wróciłam prosto do domu? Jutro wyjechałabym do Jugowa i żyłabym w słodkiej nieświadomości. Nie poznałabym tego starego pajaca, wołomińskiego Don Corleone, i nie dowiedziała się rzeczy, których wołałabym nie wiedzieć. Mój ojciec...? Dobry, spokojny, opiekuńczy, po którym podobno mam oczy. Człowiek, którego nie było, towarzysz Orłowski Stefan. Cholerny towarzysz Orłowski. Morderca. To dlatego Miłosz pojawił się w moim życiu. Nic nie stało się przypadkiem. Nie przypadkiem zabrał mnie do samochodu... Wplątał w niepotrzebną sekwencję zdarzeń. Nie chciał mnie, nie kochał, szukał jedynie zemsty.

Tylko dlaczego nic mi nie zrobił? A może jednak zrobił?

Całe tabuny myśli rozsypały się w mojej głowie jak wyrzucone w powietrze strzępki podartej kartki z pamiętnika.

Widocznie zbladłam, bo Rudy obrzucił mnie uważnym spojrzeniem.

– Źle się poczułaś?

Odruchowo dotknęłam brzucha.

– Teraz często mi się to zdarza.

– Miłosz wie, że będzie ojcem?

Nie odpowiedziałam. Nie musiałam się tłumaczyć obcemu facetowi. Chciałam czym prędzej uciec z tego parku, uciec z Warszawy, zakopać się pod kołdrą albo w najciemniejszych, skutych ciszą korytarzach Sowich Gór. Gdziekolwiek, byle jak najdalej stąd.

– Wiesz, dlaczego chciałem z tobą pogadać? – Nadal się nie odzywałam, więc odpowiedział za mnie: – Ponieważ mam pewne podejrzenia co do Miłosza. Myślę, że mnie wystawił.

– Nie rozumiem.

– Gliny od dawna szukały sposobu, jak rozpiardolić naszą grupę. Pruszków już się posypał, teraz przyszedł czas na nas.

– Chce pan powiedzieć, że Miłosz...? – Nie wiedziałam, jak to nazwać.

– Poszedł na układ z policją? To masz na myśli? Kto wie. Może to od jakiegoś gliniarza albo z prokuratury dostałaś esemesa, o którym wspomniałaś. W takim układzie to im najbardziej zależy, żeby Miłosza nie szukać, nie grzebać za bardzo w tej sprawie. Muszą mu zbudować nową tożsamość, trochę pokroić bużkę, gdzieś zainstalować. Im szybciej sprawa ucichnie, tym dla nich lepiej.

Przed oczami mignął mi dziwny wyraz twarzy komisarza Ładonia, gdy pokazałam mu fotografię Miłosza. Czy to on mnie prosił w wiadomości, żebyśmy odpuściła? Czy Miłosz został ich świadkiem?

– Nie mam oczywiście pewności, że się zgadał z glinami, jeszcze nie mam, ale coraz więcej o tym świadczy. – Zawiesił głos. – A ja go, kurwa jego mać, traktowałem jak syna. Nie chce mi się wierzyć, że wykręcił taki numer. – Musiał wziąć kilka głębszych oddechów, żeby się uspokoić. – Sądziłem, że z tym zniknięciem to bluff, że utrzymujecie kontakt i wiesz, gdzie się zaszły. Szczególnie że jesteś w ciąży. Dlatego cię obserwowaliśmy.

– Ale ja naprawdę nie mam pojęcia, co się z nim dzieje.

– Teraz to i my to wiemy. Chociaż uważam, że to w chuj dziwne, że cię tak zostawił...

– Wszystko mi już jedno. Jutro stąd wyjeżdżam.

Zerknął na mnie z uwagą. Poprawił marynarkę.

– I chyba tak będzie najlepiej – stwierdził wreszcie, podnosząc się z ławki. – Na długo?

Chciałam powiedzieć, że do końca wakacji, lecz z moich ust padło co innego:

– Na zawsze.

Nigdy tu nie wrócę? To zdawało się w tej chwili takie oczywiste. Nie wrócę tu. To koniec. Bo nie ma już Miłosa, a poza tym nie wyobrażałam sobie, że mogłabym dalej żyć w mieszkaniu po towarzyszu Orłowskim, ojcu i mordercy, nachodzona przez mafiosów. Koniec. Dotarłam do kresu wytrzymałości i epilogu tego rozdziału. Moje dotychczasowe życie okazało się papierową makiętą, za którą skrywała się jakaś inna, gorsza prawda. Musiałam od niej uciec.

– To dobrze, bardzo dobrze... – powiedział Rudy jakby do siebie. Na pożegnanie rzucił jeszcze, żebym na siebie uważała i dobrze wychowała dziecko, i wreszcie, jak gdyby nigdy nic, ruszył parkową alejką w stronę Belwederskiej.

*

Półożąc na tapczanie w swoim dawnym pokoju, oparta plecami o ścianę, obserwowałam, jak za oknem chmury przepływają ponad Kalenicą. Od jakiegoś czasu śledziłam ich ruch, zapominając o spoczywającym na moich kolanach laptopie, po którego ekranie tańczyła zmieniająca barwy psychodeliczna plazma wygaszacza.

Był koniec wakacji. Mój ogromny brzuch już teraz wyglądał, jakby za chwilę miał eksplodować, mimo że data porodu przypadała dopiero na październik. Stanowczo za dużo jadłam. Matka wprawdzie zarzekała się, że nie będzie dla mnie sterczała przy garach, a mimo to spełniała wszystkie moje zachcianki. Biegała do sklepu w dolinie po ciepłe bułki, po słodycze, zrywała w naszym przydomowym sadzie młode śliwki i kwaśne jabłka – odkryłam, że idealnie komponują się ze śledziem – i patrzyła, jak to wszystko pochłaniam. Z przerażeniem, ale też trochę z czułością.

Coś się między nami zmieniło. Właściwie zmieniło się wszystko. Werble przeżytych wojen wybrzmiały. Teraz byłyśmy dwójką samotnych kobiet, z których każda miała jakieś swoje tajemnice. Paradoksalnie to nas do siebie zbliżyło. Wreszcie byłyśmy kwita.

Chociaż nigdy wcześniej tego razem nie robiłyśmy, teraz niemal codziennie chadzałyśmy na kilkugodzinne spacerunki w góry. Ją bolały kolana, mnie przeszkadzał wielki brzuch, stanowiłyśmy idealny tandem. Podczas tych przechadzek rozmawiałyśmy tak, jak w przeszłości zdarzyło nam się tylko raz – kiedy szykowałyśmy mieszkanie przy Belgijskiej przed moimi studiami. Teraz znowu czułam to, co wtedy: porozumienie i harmonię.

Przemierzając kolejne leśne ścieżki, opowiadałam matce o studiach, o programowaniu, które jawiło jej się jako czarna magia, czasami wspominałam o Miłoszu albo wymyślałyśmy, jak damy dziecku na imię. Ona z kolei mówiła o swojej pracy z młodzieżą, o tym, jak jej się tu żyło przez ostatnie lata. Ale też coraz częściej wracała do przeszłości.

Pierwszy raz opowiedziała mi więcej o swoim ojcu, Bronku, który poszedł w góry i nie wrócił, o wujku Heńku i ciotce Magdzie Wolańskiej, która nigdy się nie pogodziła z faktem, że wypędzono ją z Kresów, z domu. Sama też trochę ciotkę pamiętałam, bo umarła, gdy już byłam na świecie.

Dowiedziałam się wreszcie, jak to się stało, że po wojnie obie gałęzie rodu – Chojnacy i Wolańscy – znalazły się właśnie tutaj; w wielkim poniemieckim domu, który kiedyś ponoć należał do bogatej rodziny tkackiej. Ciotka Magda nie pozwalała wyrzucać rzeczy po Niemcach, twierdząc, że przyjdzie czas, kiedy prawowici właściciele wrócą do swoich domów, a ona sama odzyska dawny dwór nad Dniestrem...

Matka wspominała, że będąc dzieckiem, niczego nie mogła dotykać. Ciotka nie pozwoliła przesunąć ani jednego mebla, głupiego wazonika przestawić. Nawet palmy z korytarza, co chyba zwiędła z tęsknoty za swoją *Frau* i wyglądała jak chochoł, Magda nie dała wyrzucić. Wszystko miało być tak, jak zostawili gospodarze. Matka pamiętała jeszcze ich porzucone na komodach fotografie. Kurzył się jakiś uśmiechnięty młodzian, pozujący na tle gór z nartami, w wełnianych skarpetach pod kolana i pumpach w stylu tyrolskim, i jakaś obca *Oma* o surowym spojrzeniu, w wykrochmalonym na sztywno czepcu. W biblioteczkach zalegały rzędy niemieckich książek ze szwabachą na obwolutach. W szafach mole zjadały płaszcze, których widocznie tamci nie chcieli zabrać. Ale niczego nie wolno było ruszać. Niczego! Dopiero jak ciocia umarła, matka trochę

ten dom ze starych duchów wywietrzyła. Część rzeczy wyrzuciła, a inne na strych wyniosła. Być może wciąż tam były...

Takie właśnie pokryte pajęczyną, zapomniane historie matka opowiadała mi tamtego lata, a ja dzięki nim dzień po dniu zapominałam o moim warszawskim życiu, o domu w Aninie, wołomińskich gangsterach, o rozczarowaniu tamtym światem. Zapominałam o Miłoszu.

A później urodziłam jego dziecko.

VI

– Przyj! Nie przyj! Przyj!

Stara wrzeszczy tak, że chyba cała III Poprzeczna ją słyszy, a echo niesie się w głąb uśpionego majowego lasu; wrzeszczy, jakby to ona rodziła albo też cierpienie Felicji w jakiś perwersyjny sposób ją pobudzało – z uwalanymi rękami i w umazanym na czerwono fartuchu bardziej przypomina podnieconego widokiem krwi rzeźnika aniżeli pełną empatii akuszerkę. Ale podobno lepszej w okolicy ze świecą szukać. Ciocia Lucia ją wezwała, bo opowiadały jej różne panie, że najtrudniejszy poród potrafi przyjąć i od lat nie straciła ani rodzącej, ani dziecka. A półgłosem dodawały, że nie tnie bez potrzeby i wszystko tak umie ułożyć, naciągnąć, wymasować, że po wszystkim kobieta wygląda jak nowa.

Feli jest wszystko jedno, jak po porodzie będzie wyglądać. W tej chwili czuje wyłącznie wściekłość i bezradność. Nic jej nie obchodzi, co z nią stara zrobi. Czy tam na dole potnie ją jak prosię czy nie; będzie się prezentować niczym dziewica czy kawał siekanej wołowiny. Nic nie jest ważne, bowiem Felicja umiera z bólu.

Nieprzytomnym wzrokiem patrzy na rumianą, spoconą kobietę, która nurkuje między jej udami, oraz jej kręcącą się po pokoju młodą pomocnicę i ma wrażenie, że zaraz wyzionie ducha.

Zupełnie inaczej wyglądał poród, który odebrała w piwnicy.

Estera zacisnęła tylko usta i elegancko, z godnością, w kilku skurczach wypchnęła z siebie dziecko; dobra żydowska matka o biodrach stworzonych do dawania życia. Felicja chyba nie jest do tego stworzona. Dobrze jej za to wychodzi jego odbieranie. W ciąży okropnie się czuła. Długo wymiotowała, potem nie miała apetytu. Ani w biodrach, ani nawet na twarzy nie przybrała, tylko ten brzuch jej urósł. Nadal była filigranowa i pewnie dlatego teraz tak cierpi. Od kilkunastu godzin cierpi...

Za karę.

Za Estere, za Rachełę, za Bronka. W czasie ostatnich miesięcy spędzonych pod podłogą Bronka zupełnie się zmienił i przestał być sobą, chociaż nie zaczął być nikim nowym. Ten ból to pokuta, bo w głębi duszy Felicja chciała, żeby odszedł. Zmęczona już była, rozczarowana nim, sobą, konfrontacją młodzieńczej utopii z rzeczywistością nie do zniesienia. Odszedł więc i Fela wie, że nigdy więcej się nie zobaczą. Będzie toczył dalsze boje z wiatrakami już bez niej...

– Przyj!

Fela prze, gdy jej akuszerka każe, i zaciska zęby, gdy nakazuje przestać. Próbuje nie myśleć o wstydzie, o fizjologii porodu, którą zna przecież doskonale, o tym, że z wysiłku chyba zapaskudziła prześcieradło, że jest prawie naga i dotykają ją obce ręce; a za drzwiami prócz kochanej cioci Luci stoi niekochany Bogdan – wymyślony mąż i wymyślony ojciec.

Kilka miesięcy wcześniej ciocia, zrozumiałwszy, że pod sukienką Feli dojrzewa owoc grzechu, wzniosła oczy do nieba. Nie zapytała, czyje to dziecko. Ciocia jest damą starej daty, a damy nie zadają nietaktownych pytań. Nie powiedziała, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Rzekła jedynie, że Felicja może na niej polegać i że podobnie jak z innymi, i z tym „problemem” jakoś sobie poradzą. Dobrze by jednak było ojca dziecka znaleźć, bowiem bękart w rodzinie to znaczna niestosowność i towarzyska niezręczność. Będzie się zatem ciocia modlić za szczęśliwe rozwiązanie tej przykrej sprawy.

I chyba wymodliła tego Bogdana, bo nie minął tydzień od chwili, gdy Bronka opuścił piwnicę i poszedł w siną dal, a na progu stanął on – dawny kolega Felicji ze szkoły powszechnej. Jeden z tych, co się w niej podkochiwali, ten, który ją ciągał za warkocze i żaby wrzucał za kołnierz. Teraz był kimś zupełnie innym i przeszła mu ochota na szczeniackie żarty. Jego rodzice zginęli, a dom przy II Poprzecznej doszczętnie spłonął – w zeszłym roku po uderzeniu niemieckiego pocisku. Dwa ostatnie lata spędził Bogdan w lesie, a teraz z niego wracał, chociaż już wiedział, że nie ma do czego. Czy jest zatem szansa, żeby znalazł się dla niego kąt u dawnej koleżanki? Czy pani Lucyna będzie taka miła i na tydzień lub dwa przyjmie gościa pod dach i do stołu?

Pani Lucyna zawsze miała serce na swoim miejscu – z pana Bogusia miły młody człowiek, za ojczyznę walczył w partyzantce, a i z rodziny zacnej, ojciec jego był przed wojną cenionym inżynierem. Ludzie na poziomie, tymczasem tak

okrutnie los ich wszystkich doświadczył. Biedny pan Boguś sam został i bez kąta własnego. Może zatem pan Boguś i trzy tygodnie u nich zostać, pokoi wszakże dostatek.

Został.

Dni mijały i mijały tygodnie. Dobrze, jak mężczyzna jest w domu, przyznała ciocia Lucia. Dobrze mieć dom, przyznał Boguś. I nawet specjalnie mu nie przeszkadzało, że dawna sympatia jest przy nadziei. Wręcz przeciwnie, stan Felicji i jemu dawał niejaką nadzieję. Mógłby tu zostać i nigdy by nie zapytał, czyje to dziecko. Kiedyś słyszał różne plotki o Niemcu, który w czasie okupacji przychodził do domu przy III Poprzecznej, ale to było dawno i na pewno nieprawda. Fela jest prawa, dobra i miła, jakże by się mogła z niemieckim psem zadawać. Jeśli tylko się Felicja zgodzi, to on się i nią, i jej dzieckiem zajmie.

Ciocia była szalenie rada z takiego obrotu spraw – musiał być w tym palec boży. Fela żadnej boskiej opatrności się w tym nie dopatrywała i wcale rada nie była. Lecz rada, nie rada, uległa namowom cioci. Dziecko musi mieć ojca, a Krajewski to niezgorsze nazwisko. Starą firankę pocięto na welon. W szafie znalazła się sukienka z kremowego jedwabiu, którą Róża przed laty zostawiła, w nerwach opuszczając wraz z Mundziem dom ciotki. Karczewska spruła kreację i tak wszystko sprytnie przeszyla i w strategicznych miejscach nadłożyła, że w dniu ślubu brzucha zza falban prawie nie było widać. A czego nie zasłonił jedwab, zakamuflował wiecheć bzu.

Ciocia po kościele urządziła skromne przyjęcie. Złe wreszcie minęło, jej wychowanka wzięła ślub, a i wojna się skończyła, zatem teraz wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie. I pewnie by się marzenie cioci spełniło, gdyby nie fakt, że panna młoda wcale nie czuła się szczęśliwa, czuła natomiast, że nigdy Bogdana nie pokocha, bo Bogdan nijak nie chciał być ani słodko bezradnym Bronkiem, ani nawet morderczo pociągającym Rattonitzem.

– Przyj!

Więc może ten porodowy ból to także kara za brak uczucia do męża? Za to, że z trudem będzie znosiła jego dotyk, z nieukrywanym wstrętem spełniać będzie w przyszłości małżeńskie obowiązki i w konsekwencji poziom wzajemnych pretensji urośnie do takich rozmiarów, że niemal rozsadzi domek dla lalek i trzeba będzie sięgnąć po ostateczne rozwiązanie?

– Przyj!

Jezu, jak to boli.

To kara. Dlatego musi boleć. Prze Felicja i krzyczy, a krew wsiąka w prześcieradło; prze i krzyczy, a krew przelewa się ciepłym strumieniem przez pulsujące skronie. Za karę. Za przeszłe i przyszłe winy.

Pot rosi jej piersi, ciało drży z wysiłku – i nic już nie ma poza tą chwilą, poza pokojem, metalicznym zapachem hemoglobiny i wonią wypalającej się nafty w lampie. Poza osobliwymi kształtami wijącymi się po ścianach, jak w chińskim teatrze cieni, zabrudzonym łóżkiem i nocą zasnuwającą Anin.

Akuszerka znowu czegoś od niej chce, tembr jej głosu się zmienia, ryczy, że już prawie, prawie, że już, już widzi główkę, że jeszcze tylko raz... Tylko raz! Z ust Feli dobywa się skowyt. Zaciska dłonie na prześcieradle, a jej plecy wyginają się w łuk. Prze i czuje, że jej ciało zaraz eksploduje, rozerwie się na tysiąc kawałków, pokrywając fragmentami tkanek ogorzałą twarz akuszerki, obryzgując ściany. I przynosząc koniec tej historii, koniec życia, koniec cierpień, wszystkiego. Koniec!

Ale nic takiego się nie dzieje. Zamiast tego ciepłe coś, ciepła maź wyslizguje się z jej wnętrza. Lepka i kwiląca. I dźwięk wysoki, wibrujący niczym ptasi krzyk, wypełnia na chwilę noc.

– Syn! Masz syna – mówi niespodziewanie cicho akuszerka, przecinając siną żyłę pępowiny.

Przysuwa oblepiony śluzem, popłakujący ludzki strzępek do lampy, ogląda w skupieniu z każdej strony, a wreszcie owija w czyste prześcieradło i z nabożeństwem przekazuje swej pomocy. Uśmiecha się do Felicji osobliwie – czule, po matczynemu, jakby chciała powiedzieć: dałaś radę, teraz już wszystko będzie dobrze. A później znowu się nad nią nachyla, nurkuje między nogami. Jednak nie koniec?

– Jeszcze łożysko i będzie po wszystkim.

Po wszystkim stara maca dokładnie krwawy worek przypominający świńską wątrobę, sprawdza, czy się gdzieś nie uszkodził, czy nie dziurawy, i chyba zadowolona z oględzin owija go w kolejne prześcieradło i odkłada na bok. Myje ręce w miednicy i odbiera dziecko od dziewczyny. Z podziwem cmoka nad zawiniątkiem.

– Zdrowy jest, silny. I wszystko ma na miejscu – papple, chociaż nikt jej o nic nie pyta.

A już na pewno nie Fela. Fela matka patrzy zachłannie na dziecko, chce go dotknąć, chce natychmiast mieć je przy sobie.

– Niech mi go pani da potrzymać.

– Słaba jesteś. Powinnaś wypocząć. Straciłaś dużo krwi. Trzeba ciebie i dziecko obmyć, pokój uprzątnąć, prześcielić łóżko.

– Proszę. Tylko na chwilę. Chciałabym zostać z nim sama.

– Sama? Ja takich rzeczy nie praktykuję. Położnicy należy się spokój, a to był wyjątkowo długi poród.

– Proszę.

– Niech będzie. – Stara z wyrazem dezaprobaty kładzie zawiniątko na jej piersi. – Na chwilę. Tylko mi z łóżka nie wstawać. – Pociąga pomocnicę za mankiet i zanim wyjdą, rzuca jeszcze: – Do pani Lucyny pójde, pewnie niespokojna. I szczęśliwy tatuś też na pewno ciekaw, co mu się urodziło...

Fela już jej nie słucha. Patrzy na dziecko. Chłopiec przestał płakać. Oczy ma nieprawdopodobnie błękitne, zamglone, jak to u noworodka, ale od razu widać, że to tamte oczy, jego oczy. Jego nos, broda, usta i włosy. I wszystko naraz wraca do Felicji – scena z pokoju obok, słowa straszne, słowa dziwne i piękne. I żar, jakiego nie zaznała z nikim, zanim nie znalazła się w ramionach Friedricha. Wszystko wraca i wszystko jest w tym dziecku, w tym chłopcu, istocie z jej i jego krwi.

Felicja patrzy na syna i już wie, że nigdy nikogo nie kochała i nie pokocha bardziej. Zblednie uczucie do Bronka. Tyle straconych lat... Teraz wszystko się zmieni, teraz wszystko będzie dobrze, a ona cały świat mu podaruje i u stóp położy. Tylko czy zdoła unieść taki ogrom szczęścia?

Jeszcze przez chwilę leży, głaszcząc dziecko po policzku, a wreszcie dźwiga się ze swego madejowego łoża. Mocniej przygarnia małe ciało i powoli, trzymając się ściany, na miękkich nogach podchodzi do okna. Otwiera je na oścież i wpuszcza do środka woniejące nocą i majem powietrze. Akuszerka nie byłaby zadowolona, ale do diabła z nią! Na zewnątrz czarny aksamit okrywa las, jej ukochany las. Fela oddycha głęboko, chłonie noc wraz z jej ciszą, z żółtym błyskiem sowych oczu, i przepęlnia ją ulga; pierwszy raz od dawna czuje w sobie

spokój, jakby właśnie pozbyła się wielkiego brzemienia, a nieuniknione wreszcie się dopełniło.

*

Sowa znowu cicho pohukuje. Dziecko nie płacze. Zapadła noc. A sowy nie śpią, gdy nadchodzi noc.

Głowa Estery toczy się i toczy. Rude włosy tworzą wokół niej ognistą aureolę. Toczy się i toczy przez las, niczym śniegowa kula. Toczy się i pęcznieje: w czas, w ciągłość i nieuchronność zdarzeń. Dlatego Estera śmieje się, śmieje się potępieńczo, bo ona już wszystko wie i zna smak ziemi w ustach. Śmieje się z tych, którzy go jeszcze nie poznali, za to bardzo się go boją. Chcą dogonić Esterę, zatrzymać, lecz za każdym razem, gdy już jej dotykają, gdy nawet złożą jej ofiarę w cichą, spokojną noc, ona znowu zaczyna wirować i turlając się jak piłka, dziecięca zabawka, gna gdzieś dalej, na oślep, przed siebie... I nie da się jej powstrzymać.

Dalej i dalej. W nowe miejsce. W nowy czas.

Do poniemieckiego domu u podnóży Eulengebirge.

*

Bronek – przez pierwsze lata życia Chojnacki, przez kilkanaście kolejnych Lieberman, a wreszcie znowu Chojnacki – patrzy przez okno na rozplywające się w deszczu Góry Sowie.

Na lesistych zboczach miedź, złoto i resztki wypłowiałej zieleni. Pod ziemią węgiel kamienny, żelazo i antracyt, dryfujące w gazonośnej polewie węglowodoru.

Po niebie suną tłuste stalowe chmury, z których leje deszcz. Woda spływa w górską dolinę, gdzie przycupnęła niewielka, naznaczona wielokrotną tożsamością osada, która przez wieki, przechodząc z rąk do rąk, stawała się trochę niemiecka, trochę czeska, a trochę polska. Były tu Piastowski Śląsk i Niederschlesien, i Dolni Slezsko. Ale nieregularnie rozrzucone wzdłuż potoków zabudowania o czerwonych dachach, w większości murowane, najsilniej nawiązują do pruskiej myśli architektonicznej. Nad wszystkim góruje wieża kościoła Świętej Katarzyny i pozostałości kopalnianego szybu Kurt.

Bronek obserwuje świat za oknem i nie bardzo rozumie, jak się w tym dziwnym miejscu znalazł.

Wie tylko, że jest październik czterdziestego piątego roku i że nic nie będzie jak dawniej. Niby patrzy za okno, ale niczego nie widzi, rzeczywistość mu się rozmazuje, jakby nie żył albo żył tylko częściowo, jakby istniał w jednej trzeciej rzeczywistości; jako jedna osoba w trzech, a może trzy w jednej. Pierwsza znajduje się tu, w starym, ponemieckim domu, we wsi, która już nie nazywa się Hausdorf, ale bardziej swojsko, po polsku; druga w Warszawie, w kamienicy za murem, przy ulicy Siennej czternaście; trzecia w piwnicy domku dla lalek w anińskim lesie.

Bronek jest w tej chwili we wszystkich tych miejscach, a jednocześnie nie ma go w żadnym z nich.

Paradoksalnie najmniej jest z Bronka w Bronku w domu z pruskiego muru, chociaż to właśnie tu, w pokoju na piętrze, fizycznie znajduje się jego ciało, wsparte teraz o framugę okna. Tu na szybie rozkwita co chwilę kolistą plamą jego oddechu. Ale obcy jest widok za tą szybą i obce są ściany pokoju na piętrze. Zapachy, kolory i dźwięki. Obce wszystko. Ciotka Magda twierdzi, że się Bronek przyzwyczai, że dom to przecież ludzie, a nie ściany. Dobrze zrobił, że przyjechał do nich z Warszawy. Co by tam, pośród gruzów, począł z maleńkim dzieckiem. Sam. Przecież nikt z jego bliskich przy życiu nie został, kamień na kamieniu nie został. I nic tam już do niego nie należy prócz bolesnych wspomnień i obrazów, których jeszcze długo spod powiek nie wymaże. Tu ma przynajmniej dach nad głową, ma miskę zupy – cienkiej co prawda, lecz ciepłej i z serca podanej. A najważniejsze, że ma przy sobie życzliwe dusze. Dobrze, że siostry franciszkanki mu pomogły, że Czerwony Krzyż pomógł i zdołali się odnaleźć. Rodzina to rodzina, a dla Magdy Bronek – syn jej brata ukochanego Olesia – jest przecież jak własne dziecko. Dlatego otoczy go opieką jak swego syna i dlatego na pewno przyjdzie dzień, gdy poczuje się Bronuś lepiej i otaczająca rzeczywistość przestanie napawać go wstrętem. Ucichnie wojna w jego sercu, dopalą się resztki pożóg w jego głowie, wspomnienia zakrzepną w żyłach. Heniek będzie go traktował jak rodzzonego brata, a córka – to stworzenie bezustannie płaczące, pod nogami się płaczące, nie wiadomo po co istniejące – kiedyś stanie się kimś ważnym, kimś, dla kogo warto żyć. Bo trzeba żyć. Musi Bronek żyć,

wszak ma dopiero dwadzieścia pięć lat i szmat tego życia przed sobą. Tylko potrzeba mu czasu – czas to najlepsze lekarstwo – a wreszcie zrozumie, kim jest i odnajdzie utraconą tożsamość.

Tak mówi ciotka Magda. Ale to nie ona nosiła do kostnicy zwłoki dzieci, które zmarły śmiercią głodową, i nie ona mieszkała przez ponad dwa lata pod podłogą. To nie jej wszystko się teraz miesza w głowie.

Bronek zaciska powieki, żeby nie patrzeć na góry, na rdzawe pruskie dachy. I znowu jest tam, w piwnicy. Fela siedzi naprzeciwko. Śliczna Fela. Mówi mu, że wojna niedługo się skończy, że może Bronek bezpiecznie stąd wyjść i że wkrótce wiosna, lecz on nie słucha, bo widzi tylko jej okrągły brzuch i gorączkowo liczy w głowie czas od tamtej sceny na barłogu. Pod podłogą tak trudno rozeznaczyć, czy jest dzień czy noc, czy jest czerwiec czy grudzień. Ile to czasu minęło?

– Jaki mamy miesiąc? – dopytuje.

– Jest luty – odpowiada ostrożnie ona. Tonem, jakim się mówi do dziecka albo do szaleńca.

To już dziewięć miesięcy? – zastanawia się Bronek. Czy Felicja niedługo będzie rodzić? Czy to jego dziecko? Estera chyba miała większy brzuch przed porodem. W ogóle była ogromna. Całkiem inna niż drobna, delikatna Felusia. Zatem co teraz zrobią? Czy Fela mu przebaczy, że wówczas tak przedmiotowo ją potraktował? Czy powinien jakoś się do swego rodzicielstwa odnieść?

Chciałby o to wszystko zapytać, ale nie zapyta. Nie ma odwagi. Tak jak wtedy, gdy Rudowłosa zniknęła z kawiarni Na Siennej, nie zapytał o nią pani Tatiany. I jak przez ostatni rok nie zapytał Feli, gdzie są Estera i Rachelka. Nie zapytał nawet raz, czy Fela ma od nich jakieś wieści, czy nocna wyprawa w zimową noc się udała i czy wszystko poszło zgodnie z planem. O nic nie zapytał, bo tak jest prościej, bo niewiedza jest bezpieczna, ciepła i dobra jak chleb.

– Bronek... Bronek, powiedz coś. Słyszałaś, co powiedziałam? Wojna już prawie skończona. Rosjanie idą na Berlin. Na froncie zachodnim też sprawa przesądzona. Jeszcze ze dwa, góra trzy miesiące i będzie po wszystkim. Nie cieszysz się?

Czy on się cieszy? Czy Bronek umie się cieszyć, czy umie jeszcze czuć cokolwiek?

– Rozmawiałam z cicią Lucią. Jeżeli chcesz, możesz przez jakiś czas u nas pomieszkać. Żeby dojść do siebie, pozbierać się. U nas miejsca pod dostatkiem. Potem zrobisz, co będziesz chciał. Ale pewnie zechcesz wrócić do Warszawy, będziesz chciał odnaleźć... – Urywa. Patrzy na niego badawczo.

On nadal milczy. Obserwuje drgający płomień świecy.

– Myślę, że doktor nie żyje, a ty jak sądzisz, Felu? – pyta głucho po dłuższej chwili, lecz jakby bardziej samego siebie niż ją.

– Nie wiem, Broniek. Naprawdę nie wiem... Mówią, że z getta nic nie zostało. Ocean cegieł. Ale może uciekł, gdzieś się ukrył?

– Nie uciekł. Został tam. A ja nie mam już nikogo.

Twarz Feli nabiera dziwnego wyrazu, jakby mu współczuła i gardziła nim równocześnie.

– To nieprawda. Przecież wiesz. Ja ci zawsze pomogę. Zawsze będziesz dla mnie ważny. No i jest jeszcze...

– Ty mnie nienawidzisz – przerywa jej ze złością, lecz na Felicji chyba nie robi to wrażenia. W końcu nie pierwszy raz rozmawiają ze sobą w ten zdawkowy, poplątany i pełen niedomówień sposób, nie pierwszy raz widzi Felicja Bronka w takim stanie.

I nie pierwszy raz go namawia, żeby już przestał się ukrywać i wyszedł z piwnicy.

– Nie, Bronuś. Nie nienawidzę. Ale ty masz swoje życie, swoje obowiązki. Teraz znowu będzie normalnie. Skończy się wreszcie ten straszny czas i wszystko się jakoś ułoży. Musisz tylko stąd wyjść. Musisz się zmierzyć ze światem na górze.

– Nie chcę.

– Musisz. Dla swej córki.

Broniek przymyka oczy.

Słyszy w uszach spokojny, miarowy oddech Felicji. Oddech modrzewiowego domku dla lalek.

Słyszy, jak deszcz spływa po szybach domu z pruskiego muru.

Nic nie jest stałe. Zupełnie nic. I doprawdy, może się we łbie nawet zdrowemu pomieszać, gdy się o tym pomyśli. Jak tu szukać tożsamości, jak rekonstruować własne ja, kiedy jednego dnia kładziesz się w Domowicach, a następnego budzisz w Jugowie. I jaki te zmiany nazw miejscowości mają sens? Co za różnica, w które polskie słowo ubierze się tę wieś w dolinie Gór Sowich, kiedy wystarczy spojrzeć na nią z okna i wszystko staje się jasne. Te dachy czerwone, te mury pruskie, wszystko aż krzyczy, że tu przez pięć wieków był Hausdorf i że tego Hausdorfu przeżartego szwargotem i złą niemiecką krwią jeden urzędniczy podpis nie przekreśli.

Może ma rację ciotka Magda, że nie chce zapuszczać w tym miejscu korzeni, że ciągle na walizce siedzi, że niczego, co tu zastała, nie rusza. I wierzy, że kiedyś wróci tam, skąd przyszła. Ale nie wróci. Trzeba się jednak chociaż tej nadziei trzymać, bo to, co tutaj, nijak polskie być nie chce. Każda cegła o tym krzyczy i każda makatka błękitem haftowana krzyczy w głowie Bronka w języku najwstrętniejszym z wstrętnych:

Halt! Raus! Hände hoch! Jude, Jude!

Zatyka Bronka uszy, lecz i tak to słyszy. Słyszy, jak się szepty sączą ze ścian. Jak przenikają przez poduszkę, którą zasłania sobie uszy. Słyszy krzyki niemieckich żołnierzy maszerujących ulicą Sienną i krzyk sowy za oknem domu we wsi, która nagle przestała się nazywać Domowice. Słyszy wszystko naraz i zaczyna rozumieć, że oszalał.

*

Byłby z Heńka całkiem do rzeczy facet, gdyby nie ta noga, myśli sobie Bronka, przerzucając z kuzynem węgiel w komórce pod domem z pruskiego muru. Szczupły jest, wysoki, jasnowłosy, bardzo aryjską ma urodę. Za taki wygląd ludzie w getcie ostatni kawałek chleba by oddali. Taki wygląd czasami był przepustką na wolność. Pal licha kulawą nogę. Zresztą i kulawa noga życie potrafi człowiekowi uratować. Heńkowi przecież uratowała, bo na front go nie zabrali.

Wszystko Bronka na ten temat wie i wielu opowieści musiał wysłuchać, bo to już trzecia zima, jak po wojnie przyjechał z Warszawy w tę ponemiecką głuszę.

A przez te lata, za każdym razem, kiedy trzeba węgiel przerzucić, Heniek mu opowiada w kółko i w kółko o tym samym.

– Mówiłem ci już, Broniek, jak żeśmy kiedyś z ojcem na polowania w wolańskie lasy chodzili? – zaczyna zawsze w ten sam sposób.

A Broniek żywiłowo kiwa głową, że tak. Z nadzieją tak kiwa, bo może tym razem Heniek sobie opowiadanie odpuści. Zamilknie. Ale on nigdy nie milknie. Jakby chciał wypowiedzieć wszystkie słowa za siebie i za Bronka, całą historię świata i jego dekonstrukcji. Za siebie i za Bronka. Jakby panicznie bał się ciszy.

Ponieważ Broniek nie mówi, mówi Heniek.

Opowiada, jak to było u nich na Pokuciu, w Wolanach. O tych polowaniach: na gęsi, kuropatwy, lisy, dziki i o tym, jak ojciec wspaniale majątkiem gospodarował. Dniestr szumił za lasem, matka grała na fortepianie. Opowiada o ojcu Bronka, Olesiu, który często w Wolanach był, na lato przyjeżdżał, zanim tak głupio na zapalenie płuc umarł. O przyjęciach w ogrodzie i o korcie tenisowym, co go zbudowali w parku, jak przyszła moda. Heniek nie grał, przez tę nogę, ale goście, co u nich w wakacje bywali, i bracia grali.

Wszystkim czterem było na imię na „h”, po ojcu Hieronimie. Był więc najstarszy Hipolit, po nim Hugon i Hubert. A wreszcie on, Henio. Ostatni, najmłodszy, w kilka lat po braciach na świat przyszedł. Czterech chłopców z Wolan. Śmiał się ojciec, że los mu sprzyja, że przy takim urodzaju będzie komu majątek przekazać i w świat nazwisko ponieść.

Nic ojciec o losie nie wiedział.

Hipolit studia rolnicze skończył, Hugona kształcili na lekarza, a Hubert chciał zostać naukowcem, fizykiem, chemikiem. Drugą Skłodowską. Zdolny był bardzo. A Henio... On ułomny, to przy rodzicach zostanie. Tak sobie matka z ojcem wykonywali.

A potem przyszedł wrzesień. Ojciec, podporucznik rezerwy, i dwaj najstarsi synowie, też z rezerwy, od razu na pierwszy ogień poszli. Ostatni list dostała matka z Katynia, od ojca. O chłopcach wszelki słuch zaginęła.

Sowieci z hasłem ludowym na ustach prawie cały majątek z miejsca zarekwirowali, zostawiając matce skrawek ziemi – tyle co na przeżycie. Część mebli ze dworu wynieśli, rozkradli, poniszczyli – swołocz! – kilka dworskich zabudowań, w tym dom rządcy i stajnia, spłonęło. We wszystkich okolicznych

majątkach działo się to samo. Huberta aresztowali niedługo po tym. Mówili, że zabierają na przesłuchanie, na jeden dzień, jako najstarszego męskiego przedstawiciela rodziny. Miał wtedy dwadzieścia trzy lata zaledwie. Druga Skłodowska... Zamiast wrócić do Lwowa na studia, trafił do aresztu. Parę miesięcy później, na początku czterdziestego roku, przysłali matce zawiadomienie, że jako wróg klasowy został Hubert zesłany na Syberię. Trzech synów na zatracenie. I tylko kulawy Heniek się wykpił od śmierci. Bo kaleka i widocznie niegroźny dla ładu państwowego.

Czarny to był czas.

I po co Heniek Bronkowi o tym opowiada?

Żeby pamiętać.

Bo matka pamiętała i czekała, uważając, że tak należy. Ona jakby ze stali wykuta, z kamienia. Może i płakała, ale nigdy przy Heniu. Zakasała rękawy i sama ziemię orała. Dla nich, żeby mieli co jeść, i dla tamtych, jak wróćą. Ona, co całe życie w białych rękawiczkach herbatki w ogrodzie popijała. Ale trzeba było kark ugiąć, bo do roboty niewiele rąk zostało. Trochę jeszcze mieszkało Polaków w okolicy, to na nich mogła matka liczyć, lecz ukraiński chłop to już tylko złym okiem patrzył, tylko czyhał, kiedy panią ze dworu Sowietów wreszcie na taczkach wywiozą, a to wszystko w ręce ludu, w prawowite ręce pójdzie. Jednak wyrzucić nie zdążyli. W lipcu czterdziestego pierwszego Niemcy Ruskich przegonili i już Wolany nie leżały na terytorium ZSRR, lecz w Distrikt Galizien.

Czy pod nowym okupantem było im lepiej czy gorzej? A czy lepiej zginąć przez uduszenie czy wykrwawienie?

Nie było źle ani dobrze. Żyli i czekali, aż którykolwiek z tych, co z domu wyszedł, do domu wróci. Wszystko jedno: ojciec czy brat. Niechby jeden wrócił. Rozeszły się po ludziach obrazy, meble, świeczniki, potem drobiazgi: kolczyki, łańcuszki i pierścionki matki. Rozeszła się wreszcie plotka, że Niemcy odkopali masowe groby polskich oficerów gdzieś w lasach pod Smoleńskiem. Że NKWD, że w tył głowy, że w piach. Krew w piach. W kwietniu czterdziestego czwartego któraś z godzinówek potwierdziła. Byli na liście wszyscy trzej.

Dopiero wtedy matka zapłakała. Jakby cała para z niej zesła. Cały tamten świat uszedł. Ciało bez duszy. Wydmuszka. Nie płakała, wyła. Ze dwa tygodnie bez przerwy. Rozpuściła się trochę w tych łzach, zeszczuplała jeszcze bardziej, aż

wszystko wyplakała. Przetarła oczy i stwierdziła, że tamci może i nie wrócą, lecz jest jeszcze Hubert i na tego czekać trzeba. Był jej syneczek gdzieś daleko, w jakimś niemożliwym świecie – ze zmarzniętego błota, lodu i kamienia – ale był i wróci. Co pewien czas przychodziły listy. Ocenzowane, straszne listy napisane rozedrganą ręką.

I nie myliła się matka. Stał Hubert któregoś dnia na podjeździe dworu, jakiś chłop go podwiózł wozem. Obdartego, półżywego. Półmartwego. To już było latem czterdziestego czwartego, jak przez okolicę przetoczyła się Armia Czerwona i wiadomo było, że to koniec. Koniec rzeczywistości, którą znali. Zamieciono Kresy pod krwawy dywan historii. Z Hubertem też był koniec. Wiedzieli od początku. Wrócił żywy trup. Dla niej wrócił. Chyba tylko po to, żeby przynajmniej jednego mogła zagrzebać własnymi rękami. To ważne. Trzeba bliskich móc pochować. Nie ma grobu, nie ma spokoju.

Matka robiła wszystko, żeby go ratować, ostatnie pierścionki sprzedała na lekarza. Przyjechał i stwierdził, że to gruźlica i że nic nie wskóra, bo stadium zbyt zaawansowane.

Na Ziemię Odzyskaną wieźli ich w bydłych wagonach. Podobno innych nie było, a może chcieli ich komuniści upokorzyć. Po Manifeście PKWN-u chłop i pan obok siebie, bo taka miała być nowa Polska Ludowa. Dla tej Polski trzeba było schylić kark i znieść bydły wagon. Bez wygody i wygodki, bez intymności jakiegokolwiek. Matka zapakowała tylko to, co pozwolili: kilka szmatek i talerzy, całe życie w paru skrzyniach. Niby do dwóch ton na rodzinę, ale najlepiej tylko tyle, ile się samemu da unieść. Przekonywali, że tam na miejscu już wszystko jest i czeka. Ziemia poniemiecka mlekiem i miodem płynąca. Jakby się bali, że przesiedleńcy wywozą co wartościowego. A przecież wszystko, co wartościowe, już dawno zostało sprzedane, przejezione, utracone, spalone. Bardzo pilnowali, żeby nie brać pamiątek, dokumentów, bo to one potwierdzały tożsamość i historyczną prawdę.

Niektórzy mówili, żeby nie wyjeżdżać – bo jakoś to będzie, bo co ich tam na tym Zachodzie czeka – ale Magda chyba bardziej bała się troskliwej opieki Stalina niż kilkutygodniowej podróży w nieznane. Wyruszyli w maju czterdziestego piątego. Jechali prawie sześć tygodni. Matka dała komuś łapówkę, żeby zamiast do otwartego wagonu, trafili do zamkniętego. Czerwiec okazał się

wyjatkowo gorący – w otwartych wagonach, na słońcu bez odrobiny cienia, ludzie padali jak muchy.

Dla Huberta jednak ta podróż okazała się zbyt trudna. Zbyt był wyniszczony; matka nie nadążała prac na postojach szmat, w które kawałek po kawałku wypływał płuca.

Czarny czas.

Hubert nie doczekał końca podróży. Skonał dwa dni przed stacją końcową, na matczynych kolanach. Zawinęła go potem w koce i pierzyny, które zabrała z Pokucia. Ludzie krzyczeli, żeby go pochować przy nasypie na pierwszym przystanku. W wagonie tak śmierdziało, że nie dało się oddychać – zlatywały się do niego całe roje zielonkawych much trupnic – ale ona tego martwego kokonu nie dała ruszyć. Broniła go własnym ciałem, aż stanęli w Neurode, dzisiejszej Nowej Rudzie. Tu im powiedzieli, że są na miejscu.

Pochowali więc go tutaj, na cmentarzu w dolinie. Pierzyny spalili. Matka zamiast krzyżyka włożyła Hubertowi do trumny trochę ziemi, którą przywiozła z Wolan. W takim woreczku uszytym własnoręcznie z żakardowych zasłon przetykanych złotą nitką, które wisały kiedyś we dworze...

Zamieszkali w czymś domu z pruskiego muru. Myśleli, że już nie ma nadziei, że nie ma po co żyć, a wtedy odnalazł się on, kuzyn zaginiony. Jedyne syn jedyne brata Magdy. I przyjechał z tym aniołkiem, z tym cudownym dzieckiem rozszechobotanym i znowu była nadzieja, i znowu było po co żyć.

Tak Bronek powinien na swój los spojrzeć, Heniek wie, co mówi – czarny czas już za nimi, teraz trzeba żyć. Dla Basi muszą żyć. Bronek musi...

Bronek nic nie musi. Bronek jak automat przerzuca węgiel, starając się nie słuchać opowieści Heńka. Co go mogą sprawy Wolańskich obchodzić. Dworki na Kresach i trzej zmarli bracia. Co go w ogóle życie i nieżycie cudze obchodzi. Bronek ma swój ból i swych zmarłych. Głupoty Heniek opowiada, nie można rozpamiętywać takich szczegółów. Muchy trupnice i złota nitka... Po co to pamiętać? Lepiej zapomnieć. Bronek bardzo się stara, żeby o wszystkim zapomnieć: o porzuceniu ojca w getcie i Felicji z brzuchem, i o wielu innych rzeczach. I całkiem dobrze mu ta zabawa w amnezję wychodzi.

Tylko czasami sobie przypomni, że nigdy nie odnalazł Estery i że dla niego czarny czas trwa.

*

– Ciocia Magda prosi, żeby tatuś zszedł na dół. Kolacja gotowa.

W drzwiach stoi Basia. Jego córka. Ostatni akt Bronkowego dramatu. Za każdym razem, gdy ją widzi, dziwi się, jak to możliwe, że ona tu jest. Że w ogóle jest. Że ma Bronek córkę. I jak to się stało, że ją ma?

– Powiedz cioci, że nie jestem głodny.

Dziewczynka spokojnie patrzy na ojca. Przyzwyczała się już do takich odpowiedzi.

– Ciocia nie będzie zadowolona. Musi tatuś coś jeść. Niech lepiej tatuś zejdzie.

– No dobrze, za chwilę, muszę tu jeszcze... – Wskazuje głową gdzieś w przestrzeń.

Ale Basi już nie ma. Poszła sobie. Widać nie obchodzą jej ojcowskie wymagane obowiązki.

Szybko urosła. Dopiero co się urodziła, a teraz już taka duża. Ile ma lat? Sześć, a może nawet siedem. Coś Bronkowi świta, że zaczęła niedawno chodzić do szkoły, ciotka o tym wspominała. A może sam ją widział z tornistrem na plecach? Może... Nie wie tego Bronek na pewno, bo coraz dalej jest od rzeczywistości i coraz mniej go ona interesuje. Do perfekcji opanował sztukę niebycia. A patrzeć na córkę, obcowanie z nią zbyt go do rzeczywistości ściąga, wytrąca z niebycia, z równowagi.

Patrzy na nią, a widzi tamtą. Rudowłosą Esterę – swój wyrzut sumienia, o którym stara się nie pamiętać. Byłoby lepiej, gdyby Basia nie była taka do matki podobna.

Estera...

Musi Bronek zejść na tę cholerną kolację, bo zaraz ciotka zacznie go nawoływać z dołu, a on bardzo tego nie lubi. Nie lubi krzyku. Idzie do drzwi i schodzi po schodach. Jak automat. Tamci już czekają. W okropnej poniemieckiej kuchni z kamienia, przypominającej kryptę. Zagrzebani za życia. Heniek przy stole rozmawia o czymś z Basią, uśmiecha się do niej. Ona, pochłonięta rozmową z wujkiem, zupełnie ignoruje nadejście ojca. Ciotka Magda, okrągła jak pączek, kręci się przy kredensie.

– Siadaj, Bronek – mówi łagodnie. – Nalać ci herbaty?

Rude włosy Estery. Gdzie jest teraz Estera?

– Może usiądziesz? – powtarza ciotka Magda, patrząc na niego przy tym jakoś dziwnie. – Bronek... – upomina łagodnie.

– Tak?

– Czy słyszysz, co do ciebie mówię?

– Przepraszam, zamyśliłem się. – Przed oczami rzędy kawiarnianych stolików, goście, przy pianinie Szpilmann. Rudowłosa wchodzi na podest. Żydowski lokal Na Siennej w kuchni ponemieckiego domu. A może odwrotnie? Gdzie jest Bronek? – Co ciocia mówiła?

– Prosiłam, żebyś wreszcie usiadł do stołu. – Wciąż zachowuje spokój. Jest przyzwyczajona. – Herbata ci wystygnie...

Bronek siada i je. Chociaż wszystko smakuje jak tektura. Je, ale nie czuje, żeby się tym jedzeniem nasycił. Patrzy, ale już nie widzi kuchni, nie widzi kręcącej się po niej ciotki ani siedzącej naprzeciw Basi, rozprawiającej o czymś wesoło z wujkiem. Nie słyszy głosu córki. Słyszy śpiew Estery. Estera dla niego śpiewa.

Na pierwszy znak, gdy serce drgnie...

– Zostaniesz chwilę? – Heniek odkłada sztućce i patrzy pytająco na Bronka, gdy dziewczynka wstaje od stołu. – Jak skończysz jeść... – dodaje – chciałbym z tobą porozmawiać.

Bronek wzrusza ramionami.

– O czym?

Kuzyn spogląda wymownie w stronę Basi, która właśnie odnosi ciotce Magdzie talerze do umycia.

– Zostaniesz? To ważne – naciska.

Ciotka zerka od zlewu. Łapie w mig intencje syna.

– Chodź, Basiu. – Chwyta za rękę dziewczynkę. – Chodź, pomożesz mi z jedną rzeczą...

Opuszczają kuchnię. Ciotka dokładnie zamyka za sobą drzwi.

– O co chodzi? – Bronek odsuwa od siebie talerz z niedokończoną kanapką.

– Powinieneś z nią porozmawiać.

– Z ciotką?

– Ze swoją córką. – Kładzie nacisk na ostatnie słowo.

– Coś się stało?

– Jezu, Broniek. – Heniek wzdycha ciężko. – Ty naprawdę nic nie widzisz?

Serca nie masz?

Trudno serce okłamywać, bo mądrzejsze jest niż ty...

Broniek widzi, jak Estera się do niego zalotnie uśmiecha, jak na niego kiwa palcem zza tytoniowej mgły – *Trudno sercu się sprzeciwiać, gdy wyrwa się i drży...* Zakłada Estera nogę na nogę, z jednej strony na drugą.

– Co mam widzieć?

– Ona niedawno poszła do szkoły. Od tego czasu codziennie wraca do domu zapłakana. Nie zauważyłeś?

– Nie.

– Przyznała mi się, że ktoś jej dokucza. Że ją dzieci wyzywają od rudych...

– Jest ruda.

– Na Boga, zrozum, to mała dziewczynka. – Heniek wygląda, jakby zaczynał pojmować, że mówi do ściany. – Zresztą krzyczą nie tylko, że ruda, ale też, że... no wiesz...

Jeszcze nie wiesz, kto to taki, ten twój miły, ten twój ktoś...

– Nie wiem.

– Że Żydówka.

W kuchni zapada cisza, ale Estera nie przestaje śpiewać. Broniek marszczy brwi. Co ten Heniek właściwie od niego chce?

– I co ja niby mam z tym zrobić?

– Basia ma prawo wiedzieć.

– Co?

Że to właśnie ten, tylko ten...

– Broniek, jesteś jej ojcem! Ona musi wiedzieć, kim jest i kim była jej matka. Powinieneś jej o tym opowiedzieć. Basia jest wystarczająco duża, zrozumie.

– Sam jej to opowiedz, przecież wiesz, jak było, opowiadałem wam...

– Oczywiście, że bym mógł, ale wolałbym, żebyś przy tym był. Ona ciebie potrzebuje, Broniek. Nie zastąpię jej ojca. Jeżeli nie czujesz się na siłach, mogę ci

pomóc. Możemy porozmawiać z nią razem, choćby zaraz, zawołam ją. Zostaniesz?

Bronek wstaje, z łoskotem odsuwa krzesło. Estera patrzy na niego zdziwiona, przestaje śpiewać.

– Bronek... – mówi.

Estera to mówi czy Heniek?

– Nie dam rady. Naprawdę nie dam rady.

Odgłos głuchego szeptu odbija się od ścian ponemieckiej kuchni. Bronek szybkim krokiem wychodzi. Ubiera się w sieni – bo październik i już chłodno – i wybiega w zapadający nad górami zmierzch.

*

– Przyniósłbyś, Bronek, węgla z komórki? – pyta ciotka w antrakcie między *Cichą nocą* a *Jezusem malusieńkim*.

Przyniósłby, bo z przyjemnością wyjdzie z domu, choćby na chwilę. Dosyć ma już ciotycznego zawodzenia.

Niby został ochrzczony, jednak do czasu, gdy zawitał w Jugowie u ciotki, nie obchodził Bożego Narodzenia. Święta w wymiarze duchowym nic dla niego nie znaczą. Kojarzą się wyłącznie z wyjściami do opery – Sofijka i doktor mieli taki zwyczaj, że co roku w tym okresie chadzali na jakiś spektakl. Najpierw sami, a gdy Bronek podrósł, zabierali go ze sobą. Po dziś dzień święta to dla niego nie żadne tam *Przybieżeli do Betlejem*, tylko Wagner, Puccini i Verdi.

Narzuca na siebie wytartą kufajkę, na nogi wzuwa gumofilce. Czapki nie weźmie, niech mu się trochę głowa przewietrzy, niech wywietrzeje z włosów nieznośny zapach kapusty z grzybami i smażonego karpia. Wychodzi w szklisty wieczór. Śnieg tańczy w powietrzu i skrzypi mu pod nogami. Bronek oddycha głęboko. Czuć dym dobywający się z kominów w dolinie. W oknach wszędzie jasno, przygotowania do Wigilii idą pełną parą.

Bronek wchodzi do komórki, nabiera węgla na łopatę, napełnia nim wiadro i zawraca w stronę domu. Idzie parę metrów, ale zatrzymuje się w połowie drogi. Odkręca głowę w stronę gór, w stronę lasu. Śnieg przykleja mu się do twarzy.

Stoi na ponemieckim podwórku. Po raz pierwszy tu stoi. Wreszcie czuje, że znajduje się tu, gdzie się znajduje. Nie pod podłogą, nie na Siennej, lecz na

podwórku w Jugowie. Jest zima. Jest ciemno.

I w tym momencie dociera do niego – a przecież długo ta myśl w nim kiełkowała, od lat rosła – że nie ma wyjścia. Nie znajdzie Bronek odpowiedzi, kim jest. Bo od dawna Bronka nie ma.

I teraz wie już, co należy zrobić. Jak ten węzeł gordyjski zaplątany w głowie rozplątać; podchodzi do schodów prowadzących do wejścia, stawia wiadro na stopniu i odwraca się na pięcie. Zostawia za sobą dom z pruskiego muru, a w nim ciotkę, która śpiewa właśnie o żłóbku i dzieciąteczku, Heńka zdejmującego z szafy bombki choinkowe i dziewczynkę z rudymi włosami, piszącą na piętrze wypracowanie o marksizmie i leninizmie. Zostawia to wszystko, czując niebywałą ulgę. Szybkim krokiem zmierza w stronę furki. A gdy już jest na głównej drodze, rusza pod górę. Wspina się. Wchodzi w las. Wyżej i wyżej...

Wiatr uderza w niego z całą mocą, jednak Bronek już się nie cofnie. Nie czuje ani tego wiatru, ani zimna. Nic nie czuje, prócz pewności.

I poczucia winy.

Bo chociaż o wielu rzeczach zapomniał, to tego, co się stało pod podłogą, tego, kim on się stał pod tą kurewską podłogą, nie umie z podświadomości wymazać.

Pamięta brzuch Feli i zastanawia się czasem, czy to jego dziecko nosiła, zanim jak tchórz uciekł.

Pamięta noc, kiedy Felicja zabierała Esterę i Rachelkę. Pamięta, co wtedy myślał, chociaż nic po sobie nie pokazał. Jednego słowa nie powiedział. Miał przecież przeczucie, miał pewność, że Felicja wyda Esterę, że zrobi to, żeby go uratować – kogoś musiała rzucić Niemcowi na pożarcie. Za tę jego pozorną wolność pod podłogą, za pozorne życie musiała Estera – już nie czerwonousty wamp, a kula rozczarowania u nogi – zapłacić najwyższą cenę. Nie było żadnych dobrych ludzi na wsi. Nikt nie przygarnąłby rudowłosej Żydówki i jej rozkrzyczanego bachora. Kto by się w ten zły czas poświęcał za darmo? A o pieniądzach Felicja ani razu nie wspomniała. Ani razu... Tylko zabrała obie w ostatnią drogę. A Bronek nic nie zrobił. Patrzył tylko, jak odchodzą. Swym milczeniem wydał wyrok na Esterę i Rachełę.

I dlatego nie pytał nigdy Felicji, co się tamtej nocy stało, co się z tamtymi stało.

Dopiero kiedy opuszczał jej dom, rzuciła wymijająco, żeby po wsiach nie ganiał i u dobrych ludzi ich nie szukał. Bo w żadnej wsi ich nie znajdzie. Bo nie ma dobrych ludzi. Co zrobił Niemiec z Esterą, tego Fela nie wie, jednak nad Rachelką prawdopodobnie się zlitował. Podobno tamtej nocy ktoś niemowlę podrzucił pod willę Lotha, przy Poniatowskiego w Aninie. Zostawił je – pewnie ten zły Niemiec – na progu, gdzie siostry franciszkanki żydowskie sieroty przyjmowały, gdzie je ukrywały i nowe metryki im wyrabiały; jeżeli u sióstr Broniek Racheli nie znajdzie, to nigdzie na całym świecie nie znajdzie.

Znalazł. Siostra przełożona doskonale pamiętała sytuację sprzed ponad roku. Przez to futro ze srebrnych lisów. Wspaniałe takie. Ktoś dziewczynkę w futrzanym tobołku w nocy przyniósł. Dopiero nad ranem jedna z sióstr zawiniątko znalazła, pod bramą leżało. A w środku ta mała; taka spokojna, w ogóle nie płakała. Nie było żadnej kartki, żadnej informacji, nie wiedziały siostry, co robić – czy miało dziecko sakrament? – dlatego od razu je ochrzciły. Dla bezpieczeństwa. I nadały jej imię katolickiej świętej. Barbara.

Basia. Jego córka. Przeżyła dzięki srebrnym lisom. Dzięki pięknemu gestowi pięknej Feli, która swe cenne futro oddała. Dzięki temu nie zamarzła Rachelka. Dzięki temu przeżyła Basia i Broniek znalazł ją u sióstr. Bóg zapłać siostrom za ten miłosierny uczynek. Futrem im zapłać...

Więc Broniek nie ma dziś srebrnych lisów i zaraz zamarznie, i nie przeżyje. I długo nikt go nie znajdzie. Bo nawet on sam nie wie, gdzie jest. Wie jedynie, że już nie pod podłogą. Jest w lesie, w górach, w śnieżnej zamieci, i nie zauważył, jak daleko uszedł. Czuje się zmęczony. Chociaż ma dopiero trzydzieści jeden lat, tak się wyczerpał swym życiem, jakby je przeżył kilka razy. A nie tak łatwo żyć życiem podwójnym, potrójnym, zwielokrotnionym, szczególnie gdy żadnego do końca nie uznaje się za własne. Nie da się trwać w bezustannej dychotomii.

Jest coraz zimniej. Coraz mniej Broniek czuje swe ciało. I bardzo jest samotny, chociaż nie sam.

Nieruchoma sylwetka.

A gdzieś daleko rumor. Bo głowa wciąż się toczy. I toczy. Między nogi, a może dalej.

Sowa nie zwraca na to uwagi. Siedzi na gałęzi ponad skulonym ciałem Bronka i patrzy w dół. Na coś czeka.

Bronek też na coś czeka. Wiatr smaga mu twarz, śnieg zasypuje powoli stopy i miękkim kożuchem pokrywa ubranie, okleja włosy i twarz. A wreszcie przestaje Bronek czuć zimno i znowu jest przed domem przy III Poprzecznej, na ulicy przykrytej białym puchem. Patrzy na drewnianą bryłę. Jakiś chłopiec przechodzący obok zaczepia go i pyta, czy źle się nie czuje. Nie, Bronek nie czuje się źle. Czuje się zupełnie zwyczajnie. Od dawna tak zwyczajnie się nie czuł.

Na gałęzi siedzi sowa.

Siedzi tam chyba od dawna. Może od zawsze? Rozchyła dziób. Z ptasiego gardła dobywa się krzyk.

Krzycz sobie, krzycz. Już się ciebie nie boję. Bronek słyszał kiedyś, dawno temu – może od tamtego dziwaka, autora opowieści grozy, który pomieszkiwał w Aninie – że sowa to zły znak. Ktoś zaraz umrze. To dobrze, myśli Bronek, gniotąc w dłoni opaskę z gwiazdą Dawida, którą, nie wiedzieć czemu, zawsze nosi w kieszeni. Zaciska ją w garści.

Wreszcie czuje się szczęśliwy. Zaraz wejdzie do domku dla lalek, do piwnicy. Odsunie regał ze słoikami. Tam czeka na niego Estera. Nie pozwoli jej drugi raz odejść. Naprawi to, co wtedy zepsuł. Trzeba być człowiekiem. Estera mu wybaczy. Znowu poczuje Bronek ciepło bijące od jej ciała i wszechogarniający spokój.

Tak się skończy jego historia. Właściwie dobrze się skończy. Składa w niej Bronek zniekaną głowę na mlecznej piersi Estery. I zasypia.

Sowa przechyla łebek.

– Myślisz, że to koniec? – pohukuje.

Trwa tak jeszcze przez chwilę, a wreszcie wzbija się ponad zasypany śniegiem las.

Przez długi czas próbowałam nie myśleć o Miłoszu i prawie mi się udało. Wmawiałam sobie, czasami skutecznie, a czasami nie, że w dupie mam całą tamtą historię, że to już za mną, koniec, kropka, życie toczy się dalej.

Zdarzało się jednak, że gorzej radziłam sobie z kontrolowaniem niepamięci. Półtora roku po przeprowadzce do Jugowa w ogólnopolskim dzienniku przeczytałam obszerny tekst na temat procesu mafii wołomińskiej. I cały misterny plan bycia mistrzynią zen wziął w łeb, w jednej sekundzie wszystko wróciło. Na czarno-białej fotografii bez problemu rozpoznałam świńskiego blondyna z parku. Siedział wraz z innymi bandytami, tym razem nie na parkowej ławce, a na ławie oskarżonych, skuty kajdankami za kuloodporną szybą. Nie przypominał już żywej reklamy ciuchów Armaniego, a raczej zniszczonego rozpasaniem dziada, który zdaje sobie sprawę, co go wkrótce czeka. Za skołtunioną brodą nie dało się doszukać wyrazu samozadowolenia i poczucia wszechwładzy, w oczach zgasło rozbawienie, bo i nie było już powodów do śmiechu; *game over*. Autor tekstu twierdził, że fundamentalne znaczenie dla rozpracowania organizacji przestępczej miały zeznania świadka koronnego.

Hela była wtedy maleńka, dopiero co zaczęła chodzić. Dziecko tak mocno kotwiczyło moją uwagę w codzienności, że nie miałam zbyt wiele czasu na śledzenie doniesień. Może to i lepiej, bo chyba bym oszalała.

A jednak, chociaż bardzo starałam się wyrwać z matni wspomnień, ta sprawa nadal we mnie tkwiła. Bywały noce, że budziłam się zlaną potem. Znowu śniły mi się różne głupoty, ale już nie bagna, lasy, świetliki i pohukiwanie sowy; zaczął mnie nawiedzać koszmar, w którym widziałam głowę rudowłosej kobiety. Nie była to moja matka, a ktoś zupełnie inny. Głowa toczyła się przez las niczym śniegowa kula. Toczyła się i pęczniała, śmiejąc się przy tym potępieńczo. Starałam się ją dogonić, zatrzymać, lecz za każdym razem, gdy prawie jej

dotykałam, ona znowu zaczynała wirować i turlając się, gnała gdzieś dalej, na oślep, w noc...

Wszystko ustało wraz z zakończeniem procesu. Materiał dowodowy był tak obszerny i szczegółowy, że oskarżeni dostali maksymalne wyroki proponowane przez prokuraturę. Poczułam ulgę.

Zastanawiałam się, jak duży udział w pracach policji miał Miłosz. I czy rzeczywiście to on był świadkiem? Może jednak ktoś inny? Miłosz nie wydał kumpli, a ryzy się mylił? Po prostu prysnął gdzieś daleko, za granicę, przeczuwając, co się wydarzy. Uciekł jak szczur z tonącego statku. Chciałam, żeby tak było przez wzgląd na siebie i na Helę. Chciałam, żeby Miłosz znajdował się jak najdalej od nas, żeby bał się wrócić, bał się aresztowania. Wtedy byłabym spokojniejsza.

Właściwie wszystko zupełnie dobrze się poukładało, chociaż cały czas czułam, że buduję zamek na piasku i wystarczy mocniejszy powiew wiatru, żeby runął. Tymczasem miałam normalne życie i nie chciałam go stracić. Urodziłam fajne dziecko, spokojne i niewymagające. Jako noworodek Hela prawie nie płakała, ładnie spała. Podobała mi się ta przewidywalność: stałe pory karmienia, wypróżnień, stałe pory gugania, każdy dzień podobny do poprzedniego. Wszystko jak w zegarku. Nawet kiedy zaczęła chodzić, nic się nie zmieniło. Ludzie mnie straszili: zobaczysz, jak dzieciak zacznie biegać, to ci nogi w dupę wejdą, a oczy będziesz miała dookoła głowy. Nic z tych rzeczy. Helusia była grzeczna, spokojna i zawsze uśmiechnięta. Nie wiem, po kim odziedziczyła łagodne usposobienie, raczej nie po mnie – i chyba nie po Miłoszu. Matka się śmiała, że ktoś mi córkę w szpitalu podmienił. Podobno ja w jej wieku byłam okropnie upierdliwa, rozkrzyczana, w trzech miejscach naraz, czym doprowadzałam matkę do czarnej rozpacz.

Mieszkanie w Warszawie wynajęłam, a w Jugowie powoli odbudowałam relacje z ludźmi. W okolicy nadal mieszkało trochę znajomych z czasów liceum. Różnie im się wiodło, większości nieszczególnie – jeden miał sklep z ciuchami, inny biuro ubezpieczeń, moja dawna przyjaciółka Jolka siedziała zblazowana w okienku urzędu gminy, reszta dziewczyn w domu z dziećmi, ciągnąc kasę z MOPS-u – ale przynajmniej miałam z kim raz na jakiś czas wyskoczyć na piwo

czy kawę i powspominać stare nie najlepsze czasy, gdy włóczyliśmy się korytarzami kompleksu Riese, a potem płukaliśmy żołądki winem Edelkirch.

Żeby zrobić coś z pieniędzmi i nadmiarem energii, zaczęłam też wielki remont domu. Przynajmniej miałam czym zająć myśli.

Większość dawnych kontaktów zawodowych, które nagrał mi Miłosz, pozrywałam, a w zamian nawiązałam nowe. Dużo pracowałam, nadal przede wszystkim zdalnie, dzięki czemu mogłam być z córką. Tylko co pewien czas, gdy już naprawdę musiałam, wyjeżdżałam na kilka dni do Wrocławia, Krakowa, Berlina czy Pragi, aby pogadać z klientem, a wtedy opiekę nad Helą przejmowała mama, która niedługo po jej narodzinach przeszła na zasłużoną emeryturę. Robiłam interesujące rzeczy dla interesujących ludzi. Bywało, że niejednoznaczne moralnie, a jednak nie czułam się winna: nie ja łamałam prawo, ja tylko dawałam moim zleceniodawcom odpowiednie narzędzia. Współpracowałam z grubymi rybami rynku finansowego, zrobiłam też kilka tajnych projektów na styku biznesu i polityki. Dobrze się przy tym bawiłam, a moi klienci wiedzieli, że potrafię trzymać język za zębami, jestem terminowa i zdyscyplinowana. Nie narzekałam na brak roboty.

Przy okazji wyjazdów wdałam się w kilka przelotnych romansów. Nie wszystkie potrzeby da się zaspokoić samemu. To była czysta fizjologia – żadne tam stałe czy głębokie relacje – erzac prawdziwej miłości, fast food konsumowany na zimno w hotelowym łóżku. Te przygody dawały mi fizyczne spełnienie i sprawiały frajdę, nic ponad to. Uważałam, że tak jest dobrze, chociaż matka z każdym rokiem coraz częściej napomykała, że powinnam związać się z kimś na poważnie, że marnuję młodość, że mogłabym zbudować coś trwałego.

Nie byłam na to gotowa. Po związku z Miłoszem została we mnie rysa.

Czasami, gdy nie mogłam spać, patrząc przez okno na góry, zastanawiałam się, gdzie teraz jest. Jeżeli został świadkiem koronnym, to czy zmieniono mu wygląd, zawód, czy ma nową rodzinę? Gdzie mieszka? I czy ktoś taki może normalnie, bez ochrony poruszać się po kraju? Czy to możliwe, że któregoś dnia Miłosz zjawi się pod naszym domem?

To nieco paranoiczne, jednak czasami wydawało mi się, że go widzę. Że jego twarz miga mi w mijanych na drodze samochodach, że dostrzegam jego roslą sylwetkę za drzewami, kiedy spaceruję z córką w lesie pod domem, albo że stoi

po zmroku pośród skarłowaciałych jabłoni. Wpadałam w popłoch, gdy na ulicy mijałam mężczyznę pachnącego jego perfumami. Puls mi skakał za każdym razem, gdy dostawałam telefon z nieznanego numeru albo w skrzynce mejlowej znajdowałam wiadomość od nieznanego nadawcy.

Najbardziej na świecie bałam się, że znowu spotkam Miłosza i że już nigdy się to nie stanie... Nie zapytam go o towarzysza Orłowskiego, o czarną wołęgę i nie zrozumieję, dlaczego ze mną był i dlaczego odszedł. Dlaczego nic mi nie zrobił i dlaczego mi to wszystko zrobił – a przez to nigdy do końca nie zamknę tamtego rozdziału, będzie mnie to męczyć, drażnić jak niezasunięta do końca zasłona w słoneczny dzień.

Chciałam i jednocześnie nie chciałam wiedzieć, dlaczego zaprosił mnie wtedy do samochodu na placu Politechniki. Chciałam i nie chciałam pamiętać o rzeczach, o których opowiadała mi jego matka: o domu w Aninie, o niecichnącej pieśni Ananke, o fatum, o złu drzemącym w Miłoszu... Jednak musiałam o tym wszystkim pamiętać ze względu na Helę. Bo się o nią bałam.

Aż pewnego dnia strach się zmaterializował. Zupełnie niespodziewanie, jakiś czas po procesie, gdy znowu prawie udało mi się zapomnieć.

Wiatr wywiewał liście w lesie. Kalenica znowu zapłonęła miedzią. Myślałam, że to spotkanie mnie zaboli, wywróci mój świat, jednak nic takiego się nie stało. Chciałam mu uciec, ale mnie przytrzymał. Zakryłam uszy dłońmi, żeby go nie słuchać, a mimo to nie przestawał wyjaśniać, tłumaczyć. Chciał odpowiedzieć na wszystkie pytania. Chciał zobaczyć córkę. Wspominał coś o pieniądzach, ołożeniu na dziecko, o tym, dlaczego odszedł, dlaczego wrócił, o swoim nowym życiu i że mógłby, moglibyśmy... Razem. W ukryciu. Daleko stąd.

Dużo mówił. Ale ja już nie chciałam słuchać. Przestałam się bać i wreszcie zrozumiałam, że nie ma żadnych nas, a ja przede wszystkim muszę zatroszczyć się o Helę, muszę ją chronić. Przed nim i przed tym, co w nim...

A potem już nigdy o nim nie myślałam. Nigdy więcej nie wróciłam do tamtego popołudnia. Życie potoczyło się dalej.

– Dzień dobry, Kostrzewska z tej strony. – Usłyszałam w słuchawce irytująco wysoki głos wychowawczynie Helusi. – Pani Nina?

– Tak.

– Proszę czym prędzej przyjechać do szkoły.

Odruchowo wyprostowałam się na krześle, poczułam, że mięśnie karku boleśnie mi się napięły. Tabele baz danych, siekające monitor komputera na równe sekcje, w jednej chwili zagięły się i rozmasały, tworząc migotliwą zielonkawą pulpę. Cała skoncentrowałam się na głosie dochodzącym z telefonu.

– Pani Nino, jest tam pani?

– Czy coś się stało? Coś z Helą?– wydukałam nerwowo, czując suchość w ustach.

– Z Helą wszystko dobrze, ale... Właściwie to nie jest rozmowa na telefon. Przyjedzie pani?

Spojrzałam jeszcze raz na komputer. Powinna skończyć tę robotę i jeszcze dziś wysłać plik zleceniodawcy, jednak wiedziałam, że w tej sytuacji nie zdołam tego zrobić. Helka była najważniejsza. Moja matka nie mogła pójść do szkoły, chociaż często mnie w takich chwilach wyręczała. Pojechała do lekarza do Nowej Rudy i nieprędko spodziewałam się jej z powrotem. Byłam zdana na siebie.

– Oczywiście, przyjadę – odparłam. – Będę za kwadrans.

– Proszę przyjść prosto do pokoju pedagoga szkolnej. Będziemy tam na panią czekać we dwie. Do zobaczenia – pożegnała się i natychmiast rozłączyła.

Zamknęłam laptopa z trzaskiem. Staralam się nad sobą panować, ale jej ton mnie wystraszył. Pani Marzenka – Marzenka, nie Marzena – babka od nauczania wczesnoszkolnego sama miała w sobie mnóstwo z dziecka. Hela bardzo ją lubiła, a mnie bawił jej infantylny sposób bycia, mówienia, słodkie uśmiechy, którymi jak lukrem zalewała otoczenie, uporzycywe odgrywanie roli tęczy w deszczowy dzień. Uwielbiałam też sweterki à la dzidzia-piernik, które nosiła – z frędzelkami, z kwiatowymi aplikacjami, wielkie i puchate. Zastanawiałam się, gdzie takie cuda można kupić. Ale dziś przez telefon nie była Marzenką, była za to wyraźnie spięta i rozdrażniona.

Włożyłam komórkę do kieszeni i zesłałam na dół. Za oknami padał śnieg, styczeń tego roku był wyjątkowo mroźny, musiałam się porządnie ubrać.

Z wieszaka przy drzwiach zdjęłam kurtkę i opatuliłam się szalikiem.

Obecnie wewnątrz domu w niczym nie przypominało tamtego z czasów mojej młodości. Wybebeszyłam je z siermiężnego pruskiego klimatu, wyczyściłam ze wspomnień o dziurawych butach i ciuchach ze szmateksu, wyszorowałam z kompleksu niedostatku, chłodu i wilgoci – inaczej nie mogłabym tu mieszkać. Matka chyba to rozumiała, dlatego dała mi wolną rękę. Jej było wszystko jedno, byleby w nowej przestrzeni znalazło się miejsce dla tysięcy jej książek.

Zatrudniłam architekta i z zapuszczonej chałupy stworzyłam cudo modernizmu; z odartymi do czysta powierzchniami, prostotą form i minimalną liczbą detali. Pozwoliłam zostawić tylko oryginalne, nierówne tynki ścian – które zresztą świetnie współgrały z nowym charakterem pomieszczeń, ze stałą i szkłem – oraz stare podłogi i drewniane belki pod sufitem.

O dziwo, matce nowy wystrój zaczął z czasem odpowiadać. Nasz wspólny dom idealnie odwzorowywał teraz relacje między mną a nią. Był funkcjonalny, chłodny i poukładany. I estetyczny. Szklany dom. Dzięki temu każda z nas mogła pozostać na swojej pozycji, po swojej stronie taflి niedopowiedzeń i tajemnic. W perfekcyjnie zharmonizowanych dekoracjach coraz rzadziej zadawałam sobie pytanie, czy matka tak naprawdę mnie kocha. Zadra wciąż we mnie tkwiła, a jednak bolała jakby mniej. Po prostu byliśmy, żyliśmy obok siebie. Było nam nijak. Było nam dobrze.

Helusi też dom się podobał, chociaż nie rozumiała, dlaczego w środku zmieniamy wszystko, a z zewnątrz pozostawiamy budynek takim, jaki jest: brzydki i odrapany. Wytłumaczyłam jej, że ludzie nie lubią, gdy inni mają więcej od nich, i lepiej nie kłuć ich tym w oczy.

Myślałam o tym, idąc przez podwórko w stronę samochodu. Tutaj wszystko wyglądało jak za czasów mojego dzieciństwa; w rogu posesji stała stara murowana komórka na węgiel, obok budynek, w którym podobno przed wojną właściciele tkalni składowali bele z gotowym lnem oraz *Kartoffeln für den Winter*, a potem, za rządów ciotki Wolańskiej, trzymano kartofle na zimę, skrzynki z jabłkami, węgiel i drewno. Za domem sterczały czarne kikuty jabłoniowego sadu, a hen, aż do granicy lasu u podnóża gór, ciągnęły się łąki – dawniej służące jako blichy, a dziś leżące odłogiem. Teraz to wszystko pokrywał śnieg. Panował cudowny zimowy spokój. Ponad doliną wisiała beżowa mgła

smogu – ludzie palili, czym popadło – ale powietrze i tak było lepsze niż przy Belgijskiej. Jeden z największych dachów na dole, który mogłam dojrzeć nawet stąd, należał do szkoły; do tej samej, do której chodziła matka, chodziłam ja, a teraz także moja córka.

Drogę znałam na pamięć. Ruszyłam z podjazdu. Pieszko idzie się w dół około dwudziestu minut, lecz samochodem już po pięciu jest się na miejscu.

Zaparkowałam auto przed budynkiem. Niedawno go odremontowano i prezentował się zupełnie nieźle. Zmieniono trochę kształt okien na poddaszu, przez co stracił na swoim pruskim charakterze. Ale nawet gdyby przemaalować go w barwy narodowe, nie stałby się bardziej polski, szczególnie że nad wejściem nadal widniał niemiecki napis: *Volksschule 1, A.D. 1913*.

Ruszyłam prosto w tamtą stronę. W środku panowała niezwykła cisza, przerywana co jakiś czas szuraniem ławek i zgrzytem kredy sunącej po tablicach. Trwała lekcja, więc na korytarzach nie zastałam żywego ducha.

Do tej pory zachowałam zimną krew, lecz kiedy stanęłam przed właściwymi drzwiami, ogarnęło mnie dziwne przeczucie, że oto właśnie spełniają się moje najczarniejsze wizje, a konstruowana z takim mozołem rzeczywistość zaraz runie jak domek z kart. Nieoczekiwanie przed oczami stanął mi pewien moment z okresu, gdy byłam w ciąży z Helą. Zapomniałam o nim. Wolałam nie pamiętać.

Spacerowałam wtedy sama po lesie. Był piękny, słoneczny dzień. Na drzewach pod szczytem Kalenicy mieniło się złoto. Wtedy to poczułam, jeden jedyny raz – ostry skurcz, który niemal przygiął mnie do ziemi. W głowie usłyszałam chrobotanie, jakby mnie ktoś drapał pazurami od środka. Jakby w moim brzuchu zamieszkał soliter, pasożyt, który właśnie zanurzał zęby we wnętrzościach, który się mną żywił, mną i wszystkim, co we mnie dobre.

Pamiętam, że spanikowałam. Do porodu zostało kilka dni. Kiedy tylko skurcz minął, szybko zeszałam w dolinę i natychmiast pojechałam do lekarza. Powiedział, że to skurcz przepowiadający, że niedługo zostanę matką i to, co poczułam, jest zupełnie normalne.

Ale ja wiedziałam, że to wcale nie jest normalne. Coś było nie tak. Z moim dzieckiem było coś nie tak.

Zapukałam.

– Proszę – dobiegło ze środka.

Pociągnęłam za klamkę.

Były w pokoju obie: wychowawczyni i szkolna pedagog. Siedziały obok siebie za biurkiem i przypominały siostry syjamskie – obie lekko przy kości, z krótkimi blond fryzurami, ubrane bez gustu. Gdy weszłam, zamilkły. Zrozumiałam, że musiały o czymś żywo dyskutować, bo zazwyczaj uśmiechnięta pani Marzenka teraz była biała na twarzy i nie uśmiechała się ani trochę.

– Dobrze, że pani już jest. – Pedagog wskazała mi wolne krzesło po drugiej stronie blatu. Miała mocno wyskubane brwi, co nadawało jej twarzy wyraz ciągłego zdziwienia. – Musiałyśmy panią wezwać, ponieważ stało się coś niedobrego.

Usiadłam. Nie rozpięłam nawet kurtki, ściągnęłam tylko z szyi stryczek szalika. Czułam, że brakuje mi tlenu.

– Czy Heli coś się stało?

– Nie... tym się proszę nie martwić. – Widząc moją wystraszoną minę, wychowawczyni szybko pogłaskała mnie pluszową tęczą wymuszonego uśmiechu. – Z Helenką wszystko dobrze.

Tęcza zniknęła.

– Gdzie ona teraz jest? – Spodziewałam się, że ją tu zastanę, ale w gabinecie jej nie było.

– Dzieci są w świetlicy, proszę się nie denerwować.

– O co zatem chodzi?

Kobiety wymieniły spojrzenia. Pedagog odchrząknęła, oparła łokcie na biurku, po czym utkwiała we mnie badawcze spojrzenie. Twarz kobiety znalazła się tak blisko mojej, że widziałam jasny puch nad jej górną wargą.

– W ramach wuefu dzieci wyszły dzisiaj na boisko – zaczęła. – Pani Kostrzewska uznała, że jest tak ładnie, pada śnieg, dobrze, żeby pobyły chwilę na dworze, trochę się poruszały. – Znowu chrząknęła. – Helenka także wyszła. Pani Marzena pozwoliła, aby dzieci bawiły się same, każde, jak chce. Niektóre zaczęły lepić bałwana, inne się ganiały, rzucały śnieżkami.

– A Hela?

– Hela nie.

Zrobiło mi się gorąco, lecz moje ciało opanował taki bezwład, że nie byłam w stanie wykonać najmniejszego gestu, siedziałam więc dalej zapięta pod szyję, pocąc się obficie.

– Hela zniknęła gdzieś na chwilę. Na boisku panowało zamieszanie, jak to zwykle w takich sytuacjach. Hela oddaliła się z placu niezauważona. A potem pani Marzenka usłyszała krzyk. Po chwili przybiegły do niej dwie dziewczynki...

– Były wstrząśnięte – weszła jej w słowo wychowawczynie. – Powiedziały, że Hela zrobiła coś okropnego. Poszłam tam... Nie wiem, jak to pani powiedzieć, pani Nino. Ja już piętnaście lat uczę, ale czegoś podobnego żaden z moich uczniów nie zrobił.

– To znaczy co?! – Straciłam nad sobą kontrolę.

Kostrzewska nerwowo skubała mankiet puchatego niebieskiego swetra, w którym wyglądała jak Ciasteczkowy Potwór. Inicjatywę znowu przejęła pedagog.

– Kiedy pani Marzena poszła zobaczyć, co tak wystraszyło dzieci, zastała Helenkę za żywopłotem okalającym boisko. Pani córka klęczała nad czymś...

– Nad czym?

– Nad jakimś pisklakiem, wróblem, sikorką, nie znam się na gatunkach ptaków. W każdym razie na śniegu było mnóstwo krwi. Podobnie jak na rękawiczkach Heli. Obok leżała główka ptaszka. Dziewczynki, które przybiegły zawiadomić panią Marzenę, powiedziały, że to Hela urwała mu tę głowę.

– Nie... – Zrobiło mi się niedobrze. Treść żołądka podniosła mi się do gardła. W ustach poczułam kwaśny smak.

– Ja wiem, że trudno pani w to uwierzyć, bo brzmi zupełnie niedorzecznie, jednak dzieci zarzekały się, że to ona.

– Dlaczego Hela miałyby zrobić coś podobnego?! Przecież to absurd!

– Nie wiemy. Pani Kostrzewska próbowała się czegoś od Helenki dowiedzieć, ale mała nie reagowała na pytania. Jakby była w amoku. W transie. Miała takie puste spojrzenie, jakby nas nie widziała i nie słyszała, o co pytamy. Zaprowadziliśmy ją do pielęgniarki. Trzeba było sprawdzić, czy ta krew nie należy przypadkiem także do niej, czy się czymś nie skaleczyła, ale nie, jest cała. Tyle że nadal milczy. Bawi się teraz pod opieką pań w świetlicy.

W pokoju zapadła cisza. Wpatrywałam się w śnieg padający za oknem. Nie do końca docierał do mnie sens tego, co mówiły te kobiety, nie wierzyłam w ani jedno ich słowo. Dlaczego grzeczna i wesoła sześciolatka miałaby zabijać ptaka? I to w tak okrutny sposób. Moja córka nie była okrutna. Była najśłodszym dzieckiem na świecie.

– To nie mogła być ona...

– Przykro mi – rzekła pedagog.

– Ale Hela nigdy niczego podobnego nie zrobiła, to spokojna dziewczynka, zawsze taka grzeczna, przecież panie to wiedzą.

– To prawda, Hela jest uroczym i nad wiek rozwiniętym dzieckiem, ale...

– Może ktoś ją do tego namówił, może ktoś ją zmusił?! Jak dziecko w jej wieku mogło urwać głowę wróblowi? Przecież do tego potrzeba siły.

– Nie wiemy, jak to zrobiła, ale takie są fakty. Może zobaczyła coś w telewizji...

– Nie mamy w domu telewizora.

Siostry syjamskie jak na zawołanie uniosły brwi. Pani pedagog jednak jakby wyżej.

– No to może widziała coś, czego nie powinna: na telefonie, tablecie albo w komputerze. Teraz jest tyle możliwości. A komputer pani w domu przecież ma.

– Jestem informatykiem.

– No właśnie. Teraz dzieciaki ciągle siedzą z nosem w ekranie, a w internecie to wiadomo, mnóstwo obrzydliwych rzeczy można znaleźć. Mogła i Hela obejrzeć coś, czego nie powinna.

– Może... Porozmawiam z nią.

W gabinecie zapadła cisza. Na zewnątrz, po korytarzu poniosł się stukot obcasów. Siedziałam w bezruchu. Pot płynął mi po plecach. Bezwiednie zanurzyłam się w brudnej wodzie słów, które usłyszałam wiele lat temu od Marioli i znowu ujrzałam tamtą scenę: Miłosz klęczący nad zwłokami swojego ojczyrna. Otępiały, z oczami bez wyrazu.

Martwy ptak to był jego *modus operandi*. Jego podpis złożony ręką Heli.

Kobiety znowu popatrzyły na siebie porozumiewawczo.

– No i jest jeszcze coś – zapiszczała irytująco słodkim sopranem Kostrzewska. – Dotąd o tym z panią nie rozmawiałam, bo w sumie uważałam, że to nic groźnego...

Wychowawczyni sięgnęła po leżącą na blacie biurka teczkę, na którą do tej pory nie zwracałam uwagi. Ściągnęła gumkę i otworzyła ją.

– To są rysunki Heli. Niech pani zobaczy. – Podsunęła mi kartki pod nos.

Wymowałam prace jedna po drugiej, patrząc z rosnącym przerażeniem na szaroczarne plamy pasteli i ostre kreski wykonane brązową kredką. Przez większość rysunków przewijały się te same motywy: las, gałęzie, poniżej krwistoczerwone linie ścieżek falujące niczym potoki, czarne ciała ptaków gnieźdzące się w koronach drzew; a wszystko jakieś takie... zamazane, rozedrgane i jednocześnie pełne ekspresji. Niewprawną dziecięcą ręką odmalowywała specyficzny klimat melancholii. A może złości? Strachu?

– Nie przywiązywałam zbyt wielkiej wagi do prac Heli, dzieci różne rzeczy rysują na lekcjach, w różny sposób wyrażają się plastycznie, jednak w kontekście dzisiejszych wydarzeń uznałam, że powinna je pani obejrzeć... Ta czerwień, czerń. Gdy pytałam Helę, co przedstawiają jej rysunki, tłumaczyła, że to przecież las u niej za domem i że ona często o nim śni.

Zmroziło mnie.

– Ja nie jestem psychologiem – wtrąciła tymczasem pedagog – ale również uważam, że jest w tym coś niepokojącego. Może pani córka ma za sobą jakieś trudne doświadczenia? Dzieci czasami rysują rzeczy, o których nie chcą albo nie potrafią z dorosłym porozmawiać.

– Nic mi o tym nie wiadomo... – wymamrotałam głucho. Z trudem łąpałam oddech, czułam na piersi ogromny ciężar.

– A może ktoś ją skrzywdził?

– Kto? Hela po szkole spędza czas wyłącznie ze mną i ze swoją babcią.

Dopiero gdy wypowiedziałam te słowa, zdałam sobie sprawę, jak dwuznacznie muszą brzmieć. Ściągałam na siebie potencjalne oskarżenia.

– Tak czy inaczej, w świetle dzisiejszych wydarzeń – kontynuowała pedagog, zamykając teczkę z rysunkami – uważamy, że musi pani z córką poważnie porozmawiać, a jeżeli to nie przyniesie rezultatu i znowu zauważymy, że jej

zachowanie odbiega od normy, będziemy namawiać panią na wizytę u psychologa. Nie możemy się godzić na podobne sytuacje na terenie szkoły. Na dobrą sprawę powinniśmy to także zgłosić na policję. Znęcanie się nad zwierzętami jest u nas karalne.

Zawiesiła na moment głos, jakby sondowała moją reakcję, czekała, aż coś powiem, może głośno zaprotestuję, ale milczałam. W głowie mi pulsowało, chciałam jak najprędzej stąd wyjść, zobaczyć się z Helką, porozmawiać z nią. Musiało przecież istnieć logiczne wytłumaczenie jej zachowania. Na razie nie miałam nic na jej obronę.

– Jednak postaramy się wyciszyć sprawę. Chociaż obawiam się, że nie będzie łatwo, bo dzieci ogromnie przeżyły to, co się dzisiaj wydarzyło. Nie można ich było uspokoić. Widok był naprawdę koszmarny. Mam nadzieję, że będzie pani ze szkołą współpracować, ażeby uspokoić nastroje.

Przytaknęłam i w tym momencie zadzwonił dzwonek – jego natarczywy przeszywający dźwięk zdawał się wprawiać stare mury w drżenie. Pedagog i Kostrzewska wstały z krzesel, ja także się podniosłam.

– Myślę, że powinna pani zabrać dzisiaj Helenkę do domu. Zwolnię ją z ostatnich lekcji. – Wychowawczyni wyciągnęła do mnie pulchną rękę Ciasteczkowego Potwora. Uścisnęłam ją, była zimna i nieprzyjemnie wilgotna. – Ja już się pożegnám, muszę wracać do dzieci, pani pedagog zaprowadzi panią do świetlicy. Do widzenia.

Kostrzewska zniknęła za drzwiami. Ja stałam jak słup soli, podczas gdy pedagog zbierała się do wyjścia. Nie wiedziałam, o czym mogłabym do niej zagaić, a i ona chyba zauważyła, że nie jestem w nastroju do dalszej rozmowy. Drogę do świetlicy przeszłyśmy w milczeniu. Mijając tablice z kolorowymi, radosnymi pracami dzieci, z gazetkami szkolnymi o zimie i patronie, myślałam jedynie, co zastanę na końcu korytarza. Że może Hela spojrzy na mnie oczami Miłosza i w tym spojrzeniu odnajdę wszystkie swoje lęki...

Pedagog wpuściła mnie pierwszą do sali.

Na środku leżała wykładzina z grafiką ulic, skrzyżowań i parkingów; na oknach, za którymi wciąż padał śnieg, rozkwitały tulipany wycięte z kolorowej krepiny. Za biurkiem dwie opiekunki szeptały między sobą, chichocząc cicho.

Widocznie dzieci z klasy Heli wróciły już na zajęcia, bo siedziała teraz sama, w najodleglejszym zakątku sali, układając wieżę z klocków.

Nie zauważyła, że weszłam. Zareagowała, dopiero gdy pedagog zawołała ją po imieniu:

– Hela, mama po ciebie.

Uniosła jasną główkę i natychmiast się poderwała, porzucając zabawę. Puściła się na oślep w moją stronę. Przebiegła salę w poprzek, potykając się o zabawki leżące na podłodze, i wpadła wprost w moje otwarte objęcia. Wtuliła się w nie mocno. Jej drobne ciało dygotało. Wydała mi się taka krucha, taka bezbronna.

Trwała tak przez dłuższy czas, a wreszcie wychlipała mi w ramię:

– Przepraszam, mamusiu, bardzo cię przepraszam...

Kamień spadł mi z serca. A z nim cały strach. W jednej chwili spłynęło ze mnie napięcie. To nadal była moja córka, nie żaden potwór brutalnie, dla zabawy mordujący wróble. To była moja mała, dobra Helusia, która ani fizycznie, ani w żaden inny sposób nie przypominała Miłosza. Cała była mną. Była tylko mną...

*

– I jak, uspokoila się?

– Tak, chyba już nawet zasnęła.

Jęzory płomiennej poświaty lizały porowate ściany salonu. Za oknem wciąż padało. Matka trzymała na kolanach otwartą książkę, ale nie czytała. Gdy weszłam, patrzyła zamyślona w ogień strzelający w kominku. Pod stolikiem wciąż leżała reklamówka, w której przywiozłam ze szkoły upaprane krwią rękawiczki Heli. Nie były zniszczone, mogłam je uprać, jednak uznałam, że nie mam na to siły ani ochoty.

Podeszłam bliżej, podniosłam torebkę z podłogi, wyjęłam jej zawartość i uchwyciwszy w dwa palce, z obrzydzeniem cisnęłam w ogień. Wełna natychmiast się zajęła, sycząc i kopcąc.

– Mogłaś je zaprać – stwierdziła matka. Wciąż tkwił w niej imperatyw oszczędności, chociaż od dawna nie musiałyśmy się martwić o pieniądze.

Emeryturę wydawała w całości na książki i rozpieszczanie Helki. Utrzymaniem domu zajęłam się ja. – To były dobre rękawiczki.

– Jutro kupię nowe.

Zajęłam miejsce w fotelu obok niej. Umościłam się wygodnie pośród poduszek i wyciągnęłam stopy w stronę paleniska. Nie miałam ochoty zdawać jej relacji z rozmowy z Helą, ale rozumiałam, że na to czeka. Ją także zmartwiły wypadki dzisiejszego dnia.

Nigdy jej nie mówiłam o tym, czego się dowiedziałam podczas dziwnych wizyt na III Poprzecznej. Wspomniałam tylko o kryminalnych kontaktach Miłosza, o mafii, szemranych interesach i skomplikowanej młodości – zrobiłam to niedługo po tym, jak zapuszkowali Rudego i resztę, po tamtym popołudniu, gdy Miłosz zjawił się niespodziewanie na leśnej ścieżce za naszym domem, po naszym ostatnim spotkaniu. Musiałam to z siebie wreszcie wyrzucić, zamknąć w rozdziale czasu przeszłego dokonanego.

Nie spodobało jej się to, co usłyszała. Wystraszyła się. Podświadomie na pewno zaczęła się obawiać tego samego co ja: że któregoś dnia, jutro, za tydzień, za rok, w mojej córce uaktywnią się niebezpieczne cechy jej ojca. Zła krew. Zły gen.

I dzisiaj to jutro nadeszło.

– Co ci powiedziała? Zabiła tego ptaka?

– Tak.

– Dlaczego?

Przymknęłam oczy. Ciepło bijące od kominka zaczęło mnie usypiać. To był długi dzień. Czułam się bardzo zmęczona i bardzo śpiąca.

– Dlaczego? – powtórzyła głośniej.

– Twierdzi, że dzieci jej dokuczają.

Matka wyprostowała się w fotelu. Spojrzałam na nią kątem oka. Blask płomieni żłobił głębokie bruzdy wokół jej warg i na czole. Lewa powieka delikatnie drgała. Opadające kąciki ust sprawiały, że matka wciąż wyglądała, jakby była zagniewana albo smutna. Zestarzała się. Nawet nie zauważyłam kiedy. Długo była młoda, energiczna i pełna życia, aż tu nagle – w chwili, gdy przejęłam pieczę nad domem i nad nią – wyłączyła silnik i czar wiecznej młodości prysł.

– Jak to jej dokuczają? Z jakiego powodu?

– Hela twierdzi, że się z niej śmieją. Podobno jest przemądrzała, używa trudnych słów, których reszta dzieciaków nie rozumie, nie nosi słodkich sukieneczek i świecących adidasów...

– Uważam, że ładnie ją ubierasz, z gustem. Ja też nie lubię, kiedy małe dziewczynki przebiera się za lalki. Od tego wszechobecnego różu robi się niedobrze.

– Śmieją się też, że nie ma w domu telewizora.

– Telewizja ogłupia.

– Mnie również jej nie brakuje, ale Hela czuje się przez to inna. Taki wiek. Chcesz mieć te same ubrania co inni, te same zabawki...

– No to kup telewizor. Niech stoi i się kurzy.

– Raczej niech wisi. – Uśmiechnęłam się. – Teraz telewizory wieszają się na ścianach. Ale może masz rację, tak zrobię...

– I to wszystko? – zapytała z niedowierzaniem.

– No cóż... Dzisiaj akurat poszło o co innego. O religię.

– Mówiłam ci, że tak będzie. Chciałaś żyć w Jugowiu, tak jak żyłaś w Warszawie, ale tu nie jest Warszawa. Możesz swoje liberalne poglądy głosić w domu, jednak dziecko trzeba było posłać na lekcje. Dla świętego spokoju, żeby jej nie wytykali paluchami.

– I ty to mówisz? Sama w życiu nie byłaś w kościele i mnie też nie zmuszałaś do chodzenia.

– Bo to były inne czasy i wszyscy wiedzieli, że jestem starą, nawiedzoną komunistką. Wtedy w dobrym tonie było wysłać dziecko z czerwonym sztandarem na pochód, a nie jak teraz: z kwiatkami na procesję. Zresztą z wiekiem zmieniłam podejście.

– Do religii?

– Do oportunistów. – Przewróciła oczami. – Ścieżki wolności często wybrukowane są hipokryzją. A przez życie wygodniej jest iść po bruku niż po błocie, nie sądzisz? – Nie skomentowałam tego, więc wróciła do przerwanej wątku: – A więc co konkretnie się dziś stało?

– Jakież dzieciaki zaczęły wyzywać Helkę od diabelskich pomiotów. Mówiły, że na pewno siedzą w niej demony, bo nie jest ochrzczona i nie chodzi na religię, przez co, jak umrze, pójdzie do piekła. Bo każdy, kto nie wierzy w Boga, jest zły. I inne temu podobne bzdury. A w ogóle to Hela nie przystąpi do komunii, nie będzie miała białej sukienki i nie dostanie quada... Wyobrażasz sobie?

– Powtarzają to, co usłyszały od rodziców. Wyjechałaś jako jedna z nich, a wróciłaś już jako ktoś inny, lepszy. Czują, że dobrze ci się wiedzie, coś w życiu osiągnęłaś, no to plują żółcią. Nawet jeśli będziesz się kamuflować, dla niepoznaki usmarujesz gównem fasadę tego domu, ludzie i tak będą plotkować, że zadzierasz nosa, a tu w środku masz pałac; złote klamki i kryształowe żyrandole. Zresztą trochę racji mają, chociaż, trzeba przyznać: nie poszłaś w barok. – Rozejrzała się z uznaniem po minimalistycznym wnętrzu salonu. – Będą komentować, że rozpuściłaś dzieciaka, bo wychowujesz ją inaczej, niż się tu przyjęło... – Westchnęła, po czym dodała: – Podejrzewałam, że tak będzie, kiedy Helcia wyjdzie spod klosza do ludzi.

– To co mam teraz zrobić?

– Możesz iść ze wszystkimi na wojnę albo się dostosować.

– To żadna rada.

– Ale tak się żyje w małych społecznościach. Zapomniałaś już?

Zaplotłam ręce na piersi. Zastanowiłam się nad tym, co powiedziała. Byłam zła. Moja idealna, doskonale zaprojektowana rzeczywistość zaczęła się dekonstruować. Odezwałam się dopiero po chwili:

– Hela twierdzi, że to przez te wyzwiska tak się zdenerwowała i przestała nad sobą panować. Nie wie, jak to się dokładnie stało z tym ptakiem, podobno leżał już martwy w karmniku, kiedy go wzięła. A potem zrobiła, co zrobiła. Była rozszalona, więc postanowiła udowodnić dzieciom, że mają rację.

– Że jest zła?

– Chciała, żeby się jej bały, żeby dały jej spokój.

Matka tylko wzruszyła ramionami.

– Agresja budzi agresję. W zasadzie nie ma co się Heli dziwić.

– Więc uważasz, że nie powinnam jej za to ukarać? Źle postąpiła.

– Ty postąpiłabyś inaczej?

– Nie wiem. Ja byłam w szkole lubiana. Ale żeby urwać głowę wróblowi...? To naprawdę przegieście.

– Przede wszystkim powinnaś objechać tę nauczycielkę Helki. Ja ją znam: słodko pierdząca Marzenka. Uczyłam ją w liceum. Tłuk o wrażliwości pantofelka. Musiała słyszeć, że się dzieciaki z Heli wyśmiewają, wiedziała, że ją wyzywają, a jednak nie zareagowała. Dopiero larum podniosła, jak trochę krwi pociekło... Musisz z nią pogadać, chociaż nie wiem, czy to coś da...

Ja też nie wiedziałam. Zastanawiałam się, czy powiedzieć matce o rysunkach Heli. Jej tłumaczenia zdawały się trzymać kupy – chociaż czy martwy wróbel aż tak by krwawił? Miałam co do tego wątpliwości. No i ta sprawa dziwacznych, mrocznych prac... Zapytałam o nie Helę, na co ona tylko się uśmiechnęła i stwierdziła, że lubi rysować las, bo przecież las jest bardzo piękny. „Przecież ty, mamusiu, też zawsze mówisz, że kochasz nasz las” – tłumaczyła, a ja poczułam, jakby brała mnie pod włos, sondowała, jak bardzo może nagiąć prawdę.

Ale może przesadzam? Jestem przewrażliwiona? Doszukuję się drugiego dna i podtekstów tam, gdzie ich nie ma? Hela nie jest kłamczuchą, małą psychopatką, tylko zaszczutą przez rówieśników ofiarą. Właśnie tak!

W każdym razie nie było sensu tego roztrząsać. Postanowiłam, że jutro porozmawiam z Kostrzewską i nie będzie to dla niej miła rozmowa, nie pozwolę, żeby dalej krzywdzono Helkę...

Ogień w kominku zaczął dogasać. Podniosłam się, żeby dorzucić drewna. Rozgarnęłam popiół pogrzebaczem, obserwując, jak iskry tryskają w górę.

Z zadumy wyrwał mnie głos matki:

– Wiem, co Hela dzisiaj czuła. Mnie też wyzywano, kiedy byłam małą, pamiętam, jak to boli.

Porzuciłam pogrzebacz, wróciłam na fotel i spojrzałam na nią zaintrygowana.

– Wyzywano cię?

Jakoś sobie tego nie wyobrażałam – moja matka to nie słodka, grzeczna Helusia. Miała silną, dominującą osobowość i na pewno nie dałaby sobie wejść na głowę.

– Tak. Od rudych.

– Masz piękne włosy. Zawsze twierdziłaś, że je lubisz. Zresztą ja sama pół życia żałowałam, że ich po tobie nie odziedziczyłam.

– Tak... Lubię swoje włosy, ale dojrzałam do tego z wiekiem, w pierwszych latach podstawówki to była moja zhora. Ruda Basia, rudy lis, lis przebiegły, chytry, zły! Tak za mną wołali.

– Żartujesz?

– Aż się po górach niosło. Bardzo cierpiałam przez te moje loki. Chciałam je obciąć, ogolić do skóry, na łyso, ale jak mnie raz ciotka Magda dorwała z nożyczkami, dostałam po łapach. Zdążyłam sobie tylko jeden warkocz skrócić. Potem chodziłam jak przygłupia, z jednym takim, drugim siakim. – Uśmiechnęła się pod nosem. – Więc wymyśliłam, żeby się przefarbować.

– Byłaś normalnie jugowską Anią z Zielonego Wzgórza!

– No prawie. Kręciła się tu u nas po wojnie jedna taka, łeb miała w kolorze fioletowej platyny, a do tego usta czerwone niczym gwiazda filmowa. Zawsze chodziła na obcasach. Nie wiedzieć czemu, wszystkie bogobojne gospodynie spluwały za nią przez ramię. Marzyłam, żeby mieć taki chłodny kolor włosów, ale kiedy powiedziałam cioci, że zamierzam wziąć przykład z tej kobiety i zbieram na fryzjera, myślałam, że mnie zabije śmiechem. Potem zrozumiałam, że to była miejscowa kurewka, z którą używała sobie połowa tutejszych górników.

Roześmiałam się, ona też. Dopiero po chwili wróciła do przerwanej wątku:

– Ale wtedy wcale nie było mi do śmiechu. Całe dni wypłakiwałam się wujkowi Heńkowi w mankiet. Tak było...

Uśmiech powoli zastygał na jej ustach, płomienie odbijały się w szklistych oczach.

– A potem... Potem dzieciaki zaczęły wołać inne rzeczy.

– Jakie? – Słyszac zmieniony tembr jej głosu, ja też spowaźniałam.

– Krzyczeli za mną, że jestem Żydówką.

– Żydówką?

– Tak. – Wciąż na mnie nie patrząc, powtórzyła to jeszcze raz, bardzo dosadnie: – Żydówką! A ja wtedy nie wiedziałam, że moja matka... że po niej te włosy... Ojciec mi nie powiedział. O niczym mi zresztą nie mówił. Dowiedziałam się dopiero od wujka Heńka.

– A te kresowe majątki, ci Wolańscy, ci Chojnaccy herbu Kornic, o których mi opowiadałaś...? – Czułam się kompletnie skołowana jej wyznaniem.

– To wszystko jest bardziej skomplikowane, niż się wydaje. Stare sprawy. Teraz wszystko nieważne. Wszystko nieważne... – Urwała, po czym zaczęła się wiercić w fotelu, jakby nagle zrobiło jej się niewygodnie. – Wiesz, chyba już pójdę na górę. Jestem zmęczona. Ty też powinnaś się położyć. Idziesz?

To było bardzo w jej stylu: zrobić jeden krok do przodu, a potem od razu trzy wstecz.

– Zostanę tu jeszcze przez chwilę.

Z trudem się podniosła i już bez słowa ruszyła w stronę schodów, jak zawsze pozostawiając mnie w poczuciu niedosytu, samą wobec nigdy nierozebranego do końca muru niedopowiedzeń.

Dlaczego w ogóle wyskoczyła z tą sprawą? I skąd nagle u nas ta żydowska krew? Ze strony jej matki, tej zmarłej w czasie wojny? – Byłam tego cholernie ciekawa, a jednak wiedziałam, że dziś już swojej ciekawości nie zaspokoję.

Rozgoryczona zasluchiłam się w kroki matki, chodzącej po swoim pokoju na górze. Jedna myśl nie dawała mi spokoju: jeśli Helka przeniosła agresję z wyzywających ją kolegów na niewinnego ptaka, to na kogo przeniosła złość mała Basia?

Dziś wiem, że wołałabym tego nie wiedzieć.

*

Od początku przeczuwałam, że nie namówię jej na podjęcie leczenia. Zawsze była uparta jak osioł. Podobno o chorobie dowiedziała się tamtego dnia, kiedy Hela narozrabiała w szkole, lecz mnie przyznała się nieco później, kiedy już sama przetrawiła tę wiadomość i podjęła decyzję.

To był rak. Zaawansowane stadium. Musiała od dawna zauważać objawy, krew w kale, ból przy wypróżnianiu, lecz je zignorowała. Rokowania były złe, a mimo to lekarz twierdził, że jeżeli natychmiast matkę zoperują, założą jej stomię i poddadzą ją chemii, jest szansa, że jeszcze trochę pożyje. Prosiłam, żeby spróbowała, w końcu nie wszystko było stracone, jednak trwała przy swoim. Powiedziała, że prędzej skończy jak jej ojciec: pójdzie w góry i tyle ją

zobaczymy, niż położy się na miesiąc do szpitala, żeby potem przez resztę życia srać do worka.

Miała sześćdziesiąt dziewięć lat, twierdziła, że już wystarczająco się nażyła, a teraz chciałyby umrzeć na swoich warunkach. W jakiś sposób ją rozumiałam, może sama postąpiłabym podobnie, jednak niełatwo było mi się pogodzić z tą decyzją.

Choroba rozwijała się lawinowo, a wraz z nastaniem marca matka weszła w jej terminalną fazę. Lekarz dawał jej góra miesiąc. Przerzuty były wtedy już wszędzie. Zaproponowano mi, żebym umieściła ją w hospicjum w Nowej Rudzie, ale się nie zgodziłam. Wynajęłam pielęgniarkę, z którą na przemian siedziałyśmy przy jej łóżku, dom zmieniałam w szpital. W łazience zamontowałam specjalną wyciągarkę, ułatwiającą jej mycie, ale tylko na początku, bo bardzo szybko przestała wstawać i musiałam myć ją w łóżku. Połowę szafy zajęły pampersy, pół lodówki – morfina. Miałam nieodparte wrażenie *déjà vu*. Trzydzieści lat temu w podobny sposób umierała tu ciotka Magda. Byłam mała, a jednak zapamiętałam tamten czas bardzo dobrze.

Pamiętam, jak matka ją myła, jak zmieniała pieluchy, wtedy jeszcze tetrowe, i nacierała plecy spirytusem, żeby nie dopuścić do odleżyn. Teraz ja robiłam dokładnie to samo.

Lekarz tak ustawił dawki leków, żeby ból dokuczał jej jak najmniej, a mimo to wiem, że cierpiała. Prawie wcale się nie skarżyła. Kiedy nie spała, prosiła, żeby jej czytać; bardziej niż kiedykolwiek pragnęła wejść w cudzą skórę, żyć cudzym życiem. No to czytałam – czasami aż do utraty głosu, aż ze zmęczenia padałam między jednym słowem a drugim.

Tak wyglądały kolejne wiosenne tygodnie, a potem nastąpiła tamta niekończąca się noc. W matce jakby wreszcie przesypał się czas i zniknął strach przed tym, co było, i przed tym, co będzie. Dotarło do niej, że wszystko się dokonało i że dłużej nie może odkładać chwili, gdy rozliczy się z własnym życiem, z przeszłością. Chciała się wypowiedzieć.

Kwietniowe wiatry rozbijały się o dom. Deszcz wygrywał złowieszcze nokturny na dachu. Hela od dawna spała w swoim pokoju. Kiedy przyszedłam do matki, poprosiła, żebym usiadła. Zanim to zrobiłam, poprawiłam jej poduszki,

sprawdziłam kroplówkę, poprawiłam wenflon i dopiero wtedy sięgnęłam po książkę, na co ona przecząco pokręciła głową.

– Nie chcesz, żebym ci czytała? – zapytałam zdziwiona.

– Dziś nie – wychrypiała słabym głosem.

Zajęłam swoje stałe miejsce obok łóżka. Matka niemal przestała przypominać siebie. Była bardzo chuda, twarz jej się zapadła, a skóra stała się cienka niczym pergamin. Na dłoniach, nieruchomo spoczywających na kołdrze, rysowały się grube arterie żył – prawie widziałam, jak powoli przepływa przez nie krew.

Miałam wrażenie, że matka zaraz przestanie oddychać, coś w głębi niej dudniło, rzeźbiło – przerzuty były już w płucach – a mimo to wydawało mi się, że jest w lepszej kondycji niż przez ostatnie dni. Z jej spojrzenia zniknął wyraz ośpienia wywoływany przez leki, głowę trzymała prosto.

Kilka razy głęboko westchnęła, a potem zaczęła mówić:

– Moja matka miała na imię Estera. A ja nazywam się Rachela.

Położyłam rękę na jej dłoni.

– Nie musisz, mamó.

– Muszę. A ty musisz słuchać... Mam na imię Rachela – powtórzyła – i jestem córką żydowskiej pieśniarki z getta. Matka mojego ojca, Sofijka z domu Winkler, też była Żydówką. I jego ojczym: Szymon Lieberman. Był lekarzem. Wychował ojca. Na dobrego człowieka, chociaż pozbawionego kręgosłupa i własnego ja. – Widziałam, że mówienie sprawia jej ból, że każdy oddech rozrywa jej płuca, lecz nie dała sobie przerywać. – Może dlatego po wojnie ojciec nie wiedział, kim jest? Przeżył okupację, ponieważ uciekł z Esterą z getta. Ktoś ich ukrył. W piwnicy pewnego domu, gdzieś pod Warszawą. W lesie. Jego i ją... Tam się urodziłam. Pod podłogą... Jak szczur. – Przymknęła oczy. Zanim znowu się odezwała, przez chwilę zbierała siły. – A potem coś się stało. Rozdzielili się. Matka miała wraz ze mną ukryć się gdzie indziej. U innych ludzi, dobrych ludzi. Wtedy ojciec widział ją po raz ostatni. Po wojnie jej nie odnalazł.

– Ale ciebie odnalazł?

– U franciszkanek. Ktoś mnie podrzucił do sióstr. Może ona sama, Estera, moja matka? A może nie? Siostry mnie ochrzciły i nadały mi nowe imię. Po wojnie nie byłam już Rachelą, tylko Basią. A mój ojciec nie był już Bronkiem

Liebermanem. Był nikim. Ciocia Magda przekonywała mnie, że wtedy, tuż przed świętami, zginął przypadkiem, że zablądził, zamarzył. Nieszczęśliwy wypadek. Ale ja nie wierzę. Nigdy nie wierzyłam. Po prostu po wojnie nie chciał już żyć. A właściwie po wojnie już nie żył. Traktował nas jak powietrze. Mnie traktował jak powietrze. Nie rozmawiał ze mną. Nigdy mnie nie dotknął, nie pocałował, nie przytulił. Jakby się brzydził. Dla mnie, dziecka bez matki, było to bardzo bolesne, miałam do niego o to żal. Do dzisiaj go czuję. Nie można uciekać przed życiem, kiedy ma się dziecko. A mnie było wystarczająco już ciężko na świecie. W szkole przeżywałam piekło. Potrzebowałam ojca. A on mnie nie wspierał, nie bronił, niczego nie wytłumaczył. Zamknięty w swoim świecie, na sobie wiecznie skupiony. Biedny Bronuś. Nikt nie myślał: biedna Basia. Wszyscy tylko krzyczeli, że ruda, że Żydówka. Boże, jak ja przez to cierpiałam. Czekałam, aż się im wreszcie znudzi, aż znajdą nowego chłopca do bicia, świeży obiekt kpin, jednak w szkole, jak na złość, innych rudych nie było. Nie było też grubych, garbatych ani kostropatych. Wszystkie dzieciaki ciemnookie i ciemnowłose albo odwrotnie: mysi blond, piegowaty nos i krzywe nogi. Jak przez kalkę odbite, jakby przez jednego ojca i matkę poczęte – wszystkie tu przywieziono jednym wagonem, z jednej wsi nad Dniestrem. I tylko ja byłam jakaś inna. Odszczepieniec. Bo rude to wredne, rude od Złego pochodzi i moce ma czarnoksiężskie. Prócz kołder i dzbanków przytargali tu chłopci także stare pokuckie zabobony. I te gusła dzieciom w głowy włączali. Dlatego krzyczały za mną... Strasznie jest być innym. Wszyscy przeciwko mnie. Ale najgorsza była taka jedna. Ona wrzeszczała najgłośniej... – Dłonie mojej matki zacisnęły się na pościeli. – Pamiętam, że w naszej kuchni wisiała haftowana błękitem makatka. Jeszcze po Niemcach: *Wer Wind sät, wird Sturm ernten...* I ona zebrała tę burzę.

VII, 8, VIII, 9...

„Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę” – szepczą między sobą dzieciaki w szkole po zniknięciu Żurkówny.

Pod koniec roku szkolnego cała okolica żyje tylko tą sprawą. Poszła Halina sama do lasu i już nie wróciła. Chociaż dorośli bezustannie strzępią języki, żeby samemu w góry nie łązić, bo kto wie, co tak naprawdę Niemce tam robiły. Może jaką tajną broń chciały zmajstrować w tych podziemnych korytarzach i sztolniach, bombę atomową, a może co jeszcze gorszego: doświadczenia prowadziły na podobieństwo doktora Frankensteina, z ludzkich szczątków lepiąc nadczłowieka? I może do dzisiaj się ukrywają pod ziemią, te Niemce i te nadludzie? Kto wie... Kto wie, gdzie górskie korytarze prowadzą... Ostrzegają rodzice, żeby się samemu od domów nie oddalać, ostrzegają nauczyciele w szkole, a nawet ksiądz z ambony. Ale weź dziecku przetłumacz, żeby nie przytykało palca do rozgrzanego żelazka. Ciekawość ludzka rzecz.

Podobno tamtego feralnego kwietniowego dnia sąsiadka Żurków, Genowefa Kot, widziała, jak Halina szła sama w stronę gór, ale nie zwróciła na to szczególnej uwagi, bo niczego dziwnego się w tym nie dopatrzyła. Przypomina sobie o tym Genowefa, dopiero gdy już w całym Jugowie i okolicy głośno, że sąsiadom z chałupy zginęła dziewczyna.

Przyjeżdżają więc milicjanci z Nowej Rudy i ratownicy górscy z Wałbrzycha, a nawet jakiś redaktor z Wrocławia, który postanowił wszcząć śledztwo dziennikarskie i z chorą podniętą dzień po dniu relacjonuje wydarzenia z Jugowa w „Trybunie Robotniczej”. Służby i ochotnicy wzdłuż i wszerz przeczesują szlaki, zaglądną pod każdy kamień i za każde drzewo. I nic. Ani śladu po Halinie. Jakby się rozplynęła w powietrzu, jakby się pod ziemię zapadła. Akcja trwa kilka dni, a kiedy mundurowi i ratownicy dają za wygraną – a redaktorzyna

niepocieszony wraca do Wrocławia – poszukiwania na własną rękę kontynuują mieszkańcy Jugowa, w tym także koledzy ze szkoły Haliny.

Całymi tygodniami o niczym innym nie rozmawia się w jugowskich kuchniach, w maglu, kościele i szkole. Mnożą się hipotezy. Jedni uważają, że Żurkówna po prostu uciekła z domu, bo stary Żurek, były rolnik spod Halicza, a obecnie górnik pracujący przy drążeniu sztolni upadowej Waclaw, lubi po robocie wypić, a wtedy ciężką miewa rękę (choć podobno zdarza się, że przeciwnie, aż nazbyt lekką i miękką). Inni twierdzą, że na pewno dziewczynka poszła się pobawić, noc ją zastała i Halina przypadkiem wpadła do jednego z niezabezpieczonych szybów wentylacyjnych kopalni. I już jest kaput, już po niej. Są też tacy, którzy mieszają w tę sprawę drapieżne zwierzęta bądź nawet bliżej niezidentyfikowane moce nieczyste – wszak z górami nigdy nic nie wiadomo. Pożarły dziewczynę dziki i rysie, wydziobały oczy kruki, wrony albo ją dopadł ten nadczłowiek stworzony przez nazistowskich naukowców; potwór z doszżytą głową, o wyłupiastych oczach i długich ostrych zębach.

Albo, albo. Na dwoje, troje, czworo babka wróżyła. Domysłom nie ma końca, lecz ostatecznie żadna z teorii nie znajduje potwierdzenia.

To, co stanowiło doczesną powłokę jedenastolatki, odnajduje się dopiero pod koniec czerwca, czyli po ponad dwóch miesiącach od zaginięcia, w miejscu, które nikomu wcześniej nie przyszło do głowy – tak blisko jest wsi i tyle razy obok niego przechodzone. Szczątki zostają odkryte w ruinach opuszczonego przedwojennego schroniska Marien-Baude, niedaleko Chaty Grety, są one jednak w tak posuniętym stanie rozkładu, a na domiar niekompletne, że milicyjny patolog nie umie udzielić jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, co się przytrafiło Halinie Żurek. Nie umie też odtworzyć ostatnich chwil jej życia. Być może rzeczywiście uciekała przed dotykem ojcowskiej dłoni, być może zrobiło się ciemno, kiedy chciała wrócić, i przypadkiem wpadła w zawalisko desek spiętrzone nad rumowiskiem, uderzyła się w głowę, straciła przytomność, wykrwawiła się, nie doczekawszy pomocy, a zwierzęta, zwabione odorem rozkładu – wiosna tamtego roku była wyjątkowo ciepła – dopełniły dzieła? Albo może ta stara Niemra, co mieszka w Chacie Grety, maczała w tym palce? Może tak właśnie było? Jednak żadnych dowodów na udział staruchy milicja nie znajduje, więc wreszcie uznaje, że to nieszczęśliwy wypadek. O nieszczęśliwy

wypadek w górach nietrudno – tak to jest, jak się gówniarzeria samopas szwenda nie wiadomo gdzie i jak się dorosłych nie słucha. Zabrały góry dziewczynę. Smutna sprawa. Takie życie.

Podczas nabożeństwa pogrzebowego płaczą prawie wszyscy.

Prawie.

Są tacy, co nie płaczą. Zresztą wcale nie ma się co tej małej Chojnackiej dziwić, że za Haliną nie tęskni. Okropnie jej Halina dokuczała, najgłośniejszą za nią krzyczała, pastwiła się nieludzko. A teraz już nie dokuczy. Nikt Basi nie dokuczy, bo nikt nie będzie miał odwagi plotkować na jej temat. Chociaż miejscowe dzieciaki, w przeciwieństwie do rodziców, niby w zabobony nie wierzą, to gdzieś z tyłu ich główek kiełkuje myśl, że jednak Żurkówna sobie tę śmierć trochę wykrała, nadając ciągle na Baškę. Bo może rodzice trochę racji mają: z rudymi lepiej nie zadzierać, bo kto wie, czy taki rudy nie potrafi uroku rzucić, czy z diabłem nie paktuje? A wiadomo – kto sieje wiatr, *wird Sturm ernten...*

*

Czy matka naprawdę się tego dopuściła? Czy dziewięcioletnia dziewczynka zdolna była do zbrodni? Nie umiałam jej zadać tego pytania. Siedziałam oniemiała w fotelu, patrząc, jak noc i mrok wpełzają do pokoju, jak wnikają w nią i we mnie. Moja prawa, szlachetna, a teraz umierająca matka nie mogłaby zrobić czegoś takiego. Co prawda miała trudny, skomplikowany charakter, bo życie samotnej matki nie rozpieszcza, jednak nie była złym człowiekiem. Nie, na pewno nie.

Chciałam myśleć, że to nowotwór atakuje jej mózg, pożera szare tkanki, rozpuszcza nerwowe zwoje, że to morfina mąci jej wspomnienia, scalając przypadkowe historie w niedorzeczny ciąg. Rozpaczliwie chciałam w to wierzyć...

– Pół roku później nikt o Halinie nie pamiętał, bo zimą zginął mój ojciec i ludzie mieli nowy temat do obgadania. Poszedł w noc i nie wrócił, wreszcie i nade mną się litowali...

*

Pada śnieg, pada śnieg, dzwonią dzwonki sań.

Nie, nic nie dzwoni, cisza wokoło. Cudowna migotliwa cisza grudniowego wieczoru. Na czubkach drzew ciężkie puchate czapy. Skrzy się ulica III Poprzeczna krystalicznym mroźnym poblaskiem. Mieni się magią i tajemnicą. Niby popołudnie, a prawie noc. Zza sosnowych pni sączą się światła domów. Nie minie pół wieku, a nie będzie takich zim, śniegu, zasp i migotów, nastanie era błota, szarej pluchy i globalnego ocieplenia, lecz tego wieczoru jest jak w *Myśliwych na śniegu* Bruegla, jak w londyńskim świetle Dickensa.

Kazio ma osiem lat i wraca ze szkoły. Stara skórzana torba odziedziczona po mamie ciąży mu na ramieniu niczym łańcuch u ramion galernika. Trochę Kaziowi zimno, szczególnie w stopy, bo buciki ma przyciasne, uwierają go w paluszki. Mamy w tym roku nie było stać na nowe buty dla synka. Ale Kazio o tym nie myśli, co tam mróz, jutro Wigilia i jego głowę zaprzęta jedynie to, co znajdzie pod choinką. Marzy o kolejce. Jak każdy chłopiec w jego wieku. Widział taką na zdjęciu w starej gazecie: zasilaną prądem, z blaszanymi wagonikami, z zieloną pagórkowatą makietą, tunelami, wiaduktami, zwrotnicami, światełkami, a nawet lilipucimi figurkami podróżnych czekających na stacjach z kartonu.

Jednak Mikołaj nie przyniesie Kaziowi takiego prezentu, bo Mikołaj nie istnieje, a mamy, która istnieje – i chciałaby подарować chłopcu wszystko – w obecnej sytuacji nie stać na drogie zabawki. Ale Kazio nie jest egoistą, rozumie trudne położenie mamy, więc jeżeli znajdzie pod choinką choćby drobiazg: książeczkę, pomarańczę, czekoladę, to też będzie szczęśliwy. Taki jest Kazio. Dobry jest Kazio. Najważniejsze, że w tym niezwykłym dniu będą z mamą razem. Już bez cioci Luci i tatusia Bogusia, bo od trzech lat nie ma tatusia, ale to bez znaczenia, gdyż teraz to Kazio dba o mamusię i jest dla niej podporą.

Tatusz nie żyje i przykra to jest sprawa z tą jego śmiercią – chociaż tato twierdził, że zupa naprawdę była pyszna i wyszła mamusi jak nigdy.

Tamtego dnia mama zupy nie zjadła; mama w ogóle zawsze mało jada, skubnie coś tylko jak wróbelek, jak dziecko. Kazio zaś zamiast grzybowej dostał pomidorową, podobno dla dziecka grzyby nazbyt ciężkostrawne. No więc tata zupę zjadł sam. Ze śmietanką, z łązankami, z apetytem. I tak, że aż mu się uszy trzęsły – dwa talerze pochłonął, taka był dobra, choć z wyglądu jakaś taka... sinoszara. Potem w nocy zaczęły mu się także trząść wnętrzności i strasznie tymi łązankami i szarą zupą wymiotował. Kazio pamięta, jak mama wycierała podłogę

z rzygowin i płukała szmatę w wiadrze. Całe wiadro pełne było łazanek. Szare wiadro z szarą zupą. No a potem przyjechało pogotowie na sygnale i dwaj sanitariusze w kitlach wpadli do domu z noszami, ale tata już spał. Siny na twarzy, jak ta zupa. I już się nie obudził. Pan doktor, który w szpitalu bez efektu płukał tatusiny żołądek, stwierdził ostrą niewydolność wątroby, a wreszcie, o szóstej trzydzieści nad ranem, zgon. Później powiedział mamie, że to prawdopodobnie nie były kanie, tylko sromotniki. Łatwo je ze sobą pomylić, więc w zasadzie to nie jej wina, że się tatuś struł. Nie trzeba było tak łąpczywie jeść. Dobrze, że chociaż mama zupy nie zjadła, boby Kazio został sierotką.

Mama pochowała tatusia w grobie jego rodziców, kilka kwater od cici Lucynki. Bieliznę i rzeczy osobiste spaliła pod kuchnią. Granatowy mundur – bo tatuś pracował na kolei – powędrował do szafy w nieużywanym pokoju na piętrze. Tyle z człowieka zostaje, był i nie ma, popiół w palenisku i mole w mundurze.

Podczas pogrzebu schowana za woalką Felicja udawała, że nie słyszy, jak zgromadzeni szepczą między sobą, że z tą zupą to nie przypadek, że ona męża nie kochała, że jest złą kobietą i na Bogdana nie zasłużyła – a taki miły był z niego człowiek. Nie słuchała ich, bo w ogóle zazwyczaj niewiele obchodziło ją cudze zdanie. Fakt, że przyczepili jej łatkę czarnej wdowy, także miała gdzieś. Zresztą niedługo potem dwie inne osoby w okolicy też się śmiertelnie grzybami zatręły. „Zdarza się” – stwierdził pan doktor w szpitalu. „Zdarza się” – stwierdziła anińska milicja, nikomu nie postawiwszy zarzutów. A potem ludzie w ogóle przestali o Feli gadać, mimo że ładnych kobiet się nie lubi, nie szanuje, a te najładniejsze podejrzewa o najgorsze rzeczy – o rozwiązłość i złe prowadzenie – bo w domu przy III Poprzecznej nie pojawił się żaden mężczyzna w zastępstwie tatusia Bogusia.

I nigdy już żaden nowy tatuś się w tym domu nie pojawi – tak powiedziała mama i Kazio jej wierzy. I czuje dumę, że to on jest jedynym mężczyzną w jej życiu. Dobrze im razem. I w te święta też na pewno będzie bardzo miło, chociaż skromnie.

I tak pochłonięty pachnącymi piernikiem wizjami Kazio dostrzega nieznanego pana stojącego naprzeciwko ich domu dopiero w chwili, gdy dzieli go od niego zaledwie parę metrów. Pan – zespoleony z zimą, z ciemnością, zakłęty

w kamień – wpatruje się w okna jaśniejące za ogrodzeniem. Na nogach ma gumofilce, na grzbiecie wytartą kufajkę, brakuje mu za to czapki. W ogóle dziwnie się ubrał jak na taką pogodę. Nie jest młody – chociaż jak jest się dzieckiem, wszyscy wydają się starzy – i na pewno nie stąd. Kazio nigdy wcześniej nie widział go w Aninie. Mężczyzna trzęsie się z zimna, obejmując ciało ramionami. Na jego widok Kazio czuje lęk.

Mógłby przyspieszyć kroku, ominąć nieznanego i od razu popędzić w stronę furki, żeby schronić się w domowym zaciszu, w ramionach mamy, która zapewne wróciła już z pracy na pocztę i czeka na syna, lepiąc uszka i gotując barszcz, lecz coś go powstrzymuje. Może to zwykła ludzka ciekawość, a może natura przyszłego lekarza, w którym empatia i wrażliwość silniejsze są niż strach? Obcy pan wzbudza w Kaziu litość. Taki jest smutny i blady, skórę ma błyszczącą od drobinek lodu, rysy twarzy zastygłe, oczy jak szklane kulki u porcelanowej lalki. W posiniąłej dłoni ściska brudną szmatkę, na której widnieje wyszyty niebieską nitką znak gwiazdy; gdzieś już Kazio widział ten kształt, z czymś mu się kojarzy, ale teraz nie pamięta z czym. Może mama mu o nim mówiła?

Białe płatki tańczą w powietrzu, coraz szybciej i szybciej. Nieznajomy, wciąż zapatrzony przed siebie, zdaje się Kazia nie dostrzegać. Chłopiec robi w jego stronę jeszcze kilka kroków.

– Czy coś panu dolega? Źle się pan czuje?

Brak reakcji. Oczy, które nic nie widzą. Ciało, którego tu nie ma.

– Potrzebuje pan pomocy? Może chce się pan ogrzać? To jest mój dom, chce pan wejść na chwilę? Mamusia zrobi panu herbaty...

Wskazuje na drewnianą bryłę wyrastającą za siatką i na ten jeden moment odrywa spojrzenie od przybysza. Gdy na powrót odwraca głowę, w miejscu, gdzie stał obcy pan, nikogo nie ma. Jest tylko zima i śnieg wirujący wokół, i pusta ulica. Nieznajomy o martwym spojrzeniu rozplątał się w ciemności, a Kazio – nie wiedzieć czemu – pierwszy raz nie powie mamie wszystkiego, co mu się w ciągu dnia przydarzyło. Chociaż jest najlepszym chłopcem na świecie, a kiedyś będzie wspaniałym dorosłym mężczyzną, zostanie lekarzem – tak jak sobie życzy mama – i uratuje wiele dzieci. Pokocha dziewczynę złą

i skomplikowaną i nic z tego nie wyjdzie. A potem pokocha dobrą i prostą i będzie szczęśliwy. Dziewczyna urodzi mu syna, którego nazwą Miłosz.

Będzie miał Kazik dobre, ciekawe życie. Będzie miał malucha w kolorze waniliowego budyniu i opaleniznę z Łeby.

A sowie spojrz w oczy tylko raz.

*

– Zglądałam przeznaczeniu w oczy wiele razy, bo chociaż uciekłam stąd daleko, to nie uciekłam od siebie. Nie da się uciec od siebie, Nina, ale wiem to dopiero teraz. Ciągle czułam na sobie cień tego miejsca. Ty wiesz, o czym mówię, bo mieszkając w Warszawie, na pewno wiele razy czułaś to samo. Ciotka mówiła, żebym poszła do studium nauczycielskiego w Wałbrzychu, chciała mieć mnie blisko – może czuła, jak to się skończy, bo już jako nastolatka miałam swoje za uszami – lecz ja chciałam od życia więcej, chciałam być jak najdalej. Być kimś. Piekliłam się na ciotkę za jej archaiczne poglądy i niedzisiejsze wielkopańskie maniery, które na tym naszym dolnośląskim zadupiu wydawały się sztuczne, pompatyczne, po prostu śmieszne. A już historii o arkadyjskim Pokuciu po prostu nie mogłam słuchać. Ciotka z kolei nie akceptowała mojego aroganckiego sposobu bycia i języka dalekiego od zasad dobrego wychowania. Nie umiała zrozumieć uwielbienia dla socjalizmu i Gomułki. Mówiła, że mi mózg w szkole wyprano. Że mnie nie poznaje: jestem pyskata, krnąbrna i ze słodkiej dziewczynki wyrosłam na plującego jadem ludowego trybuna. Może dlatego – jej na przekór – wybrałam dziennikarstwo?

*

Za oknami skromnej kawalerki należącej do redakcji „Trybuny Ludu” Warszawa kąpie się w ciepłym świetle sierpniowego popołudnia. W Alejach Jerozolimskich panuje zwykły codzienny ruch, słychać dźwięk tramwajów, szum nielicznie przejeżdżających w dole samochodów. O czubek Pałacu Kultury zaczepił się pojedynczy pierzasty obłok.

Basia siedzi przy przenośnej niemieckiej maszynie do pisania, którą kupiła jeszcze we Wrocławiu za pierwszą wypłatę i która od tamtego czasu towarzyszy jej zawsze i wszędzie. Właśnie skończyła pisać tekst, który przedstawi

naczelnemu jutro rano, podczas kolegium redakcyjnego. Tekst bez zbyt jednoznacznie nakreślonego przesłania, niby bez tezy, ale jak zawsze zgodny z linią programową partii. Dobra w tym jest – będzie naczelnym zadowolony.

To jutro. A dzisiaj są jej trzydzieste piąte urodziny. Planowała wyjść wieczorem do jednego z ulubionych lokali, zabawić się i zalać egzystencjalnego robaka, lecz czuje się znużona i odrobinę rozdrażniona. Najchętniej już teraz położyłaby się do łóżka.

Nie lubi obchodzić urodzin, nie rozumie, dlaczego niektórzy tak fetują ów dzień; z czego tu się, u diabła, cieszyć: że się człowiek znowu o rok postarzał? Że znowu coś się kończy? Że zaraz pojawią się na czole nowe zmarszczki?

Zapała papierosa, zaciąga się, podnosi z biurka kartkę pocztową i przysuwa do oczu: zdjęcie przedstawia czarno-białą panoramę Gór Sowich, a z tyłu są życzenia od wujka Heńka. Zawsze pamięta o jej urodzinach i zawsze przysyła jej z tej okazji kartkę, zawsze z tymi cholernymi górami. Na pewno chce dobrze, kochany, ale... Oprócz tego dzwonił dzisiaj rano, żeby osobiście pożyczyć jej wielu różnych rzeczy, których ona wcale nie potrzebuje. Na pożegnanie dodał, że ciotka także ją pozdrawia, lecz kiepsko się czuje, dlatego nie podejdzie do telefonu. Tere-fere, stara szelma. Nie chce po prostu ciotka z Bašką rozmawiać. Od dawna komunikują się przez wujka.

To już szesnaście lat, jak wyjechała z domu, szmat czasu, a Magda wciąż się na nią dąsa; nie zaakceptowała jej sposobu życia i poglądów. Szesnaście lat tułaczki. Chociaż „tułaczka” to złe słowo, zbyt pejoratywne, Baška go nie lubi, woli określenie „peregrynacja”. Tułaczka jest bez celu, a peregrynacja zawsze po coś. No właśnie... Po co?

Rzadko o tym myśli, życie należy przeżywać, a nie rozkładać na części. Tylko dzisiaj ta kartka i ten telefon od wujka tak ją dziwnie nastroiły. Im więcej człowiek ma lat na karku, tym coraz dłuższy robi się bilans zysków i strat. Do zysków może Basia zaliczyć... Jakoś nic nie przychodzi jej do głowy.

Rozgląda się po skromnie urządzonej mieszkanie, w którym praktycznie nic nie należy do niej. Oprócz maszyny do pisania, stosów książek poukładanych w każdym możliwym miejscu i szafy pękającej w szwach od nadmiaru ubrań. Ani fotele klubowe, ani stolik kawowy, wersalka, na której śpi, zasłony i firanki, w które wnika dym z jej papierosów, dywan na podłodze, meblościanka, ani

nawet wazoniki z Ćmielowa. Nic nie jest jej. Ktoś to wszystko kupił i tu wstawił, a ona jedynie z tego korzysta. Samo mieszkanie też zresztą nie jest jej własnością. Należy do redakcji, a Baśka wynajmuje je na preferencyjnych pracowniczych warunkach.

Trzydzieści parę lat i na dobrą sprawę nie ma swego miejsca na ziemi, czegoś *constans*, jakiejś kotwicy. Często wyjeżdża, a wtedy śpi w hotelach albo takich mieszkankach jak to. Nie ma też męża ani dzieci, przesadnie sztywnego kręgosłupa moralnego oraz prawdziwych przyjaciół. Zamiast nich posiada wielu kompanów do zabawy, do kieliszka, kolekcję kochanków, jedwabnych chustek z Milanówka i zagranicznych butów, które kupuje za dewizy. Ma też piękne rude włosy, które bardzo lubi i których nie zamierza farbować na platynę. Chce być sobą. O ile w świecie z paździerzowej płyty i betonu można być sobą.

Ma też Baśka wiele ukrytych pod skórą oporników prawdy, wiele tajemnic.

Jest wśród nich kwietniowy wieczór odbity w matowych oczach Haliny Żurek, ale też inne późniejsze sprawy. Na przykład skrobanka, której poddała się na czwartym roku studiów. Jej chłopak, kolega z polonistyki, okazał się całkiem porządnym facetem, powiedział, że ją kocha i że weźmie z nią ślub, ale ona wcale nie myślała zostać matką i żoną. Poza tym chyba nie kochała porządnego chłopaka z polonistyki, tak jak nie kochała nikogo przed nim ani po nim.

Skwapliwie ukrywa też Baśka swe prawdziwe pochodzenie (ziemiańsko-inteligencko-żydowskie, nie wiadomo, które najgorsze). Gdy tylko opuściła Jugów, wymyśliła bajkę, że jest córką niepiśmiennych chłopów z za Buga. Chętnie raczyła nią nowych znajomych i jak się okazało, dobrze robiła, szczególnie w kontekście marca sześćdziesiątego ósmego roku, kiedy studentów odesłano do nauki, literatów do piór, a syjonistów do Syjonu. Ona tymczasem – córka ludowej rewolucji i rodziców analfabetów – została tam, gdzie akurat była, czyli na ciepłej dziennikarskiej posadce we wrocławskiej „Trybunie Robotniczej”.

Ma Baśka sekretów różnej maści i różnego kalibru całkiem sporo, więc fakt, że od czasu studiów niemal każdego poranka budzi się z kacem, nie wydaje się aż tak istotny.

– Ty piłaś? – Nigdy nie widziałam jej z kieliszkiem. Zawsze z taką odrazą spoglądała na jugowskich lumpów przesiadujących pod sklepem. – Piłaś?

Glukoza płynęła z wolna gumową rurką i wnikała w moją matkę kropla za kroplą. Nawadniała jej wysuszone, martwe tkanki, odraczając śmierć o kolejnych kilka minut.

Kiedyś Basia nawadniała się inaczej, tę śmierć do siebie przywołując.

– Piłam. Chlałam. Lubiłam to. Chociaż zaczęło się całkiem niewinnie.

*

Na wydziale wszyscy pili. Za zdane kolokwium, za egzaminy, z okazji pierwszego śniegu oraz gdy śnieg się rozpuścił, za ojczyznę i na pohybel wrogom socjalizmu. Piła zatem i Baśka po powrocie do pokoiku wynajmowanego u wampirycznej staruchy, która podkładała jej jabłka i chleb. Wprawdzie zagrzybiała nora przy Nożowniczej znajdowała się o rzut kamieniem od uniwerku i kosztowała grosze, lecz nigdy nie była wystarczająco ogrzana, a od napuchniętych ścian – kamienica zdawała się wysysać wodę wprost z pobliskiej Odry – nieznosnie ciągnęło wilgocią. Na trzeźwo po prostu nie dało się tam wytrzymać.

Później w redakcji, do której tuż po studiach przyjęto ją na staż, a wreszcie na etat, też nikt nie stronił od zabawy. Każdy wyjazd na reportaż nierozzerwalnie wiązał się z wieczornym wyjściem na kielicha. Takie czasy (schyłkowy Gomułka), taki kraj (blok wschodni i zimno, i pada) i tacy obywatele (niby wojnę wygrali, a jednak przegrali). Zakrapiana bumelka trwała we wszystkich fabrykach, hutach, kopalniach, na budowach, zapleczach sklepów spożywczych, na spotkaniach partii i koła gospodyń wiejskich. Pili robotnicy, sprzątaczkę, chłopcy w pegeerach i chłopcy małorolni, artyści estradowi i teatralni, sekretarki w urzędach, dyrektorzy w bankach i prezesi w agencjach rolnych. Pili wódkę Z Czerwoną Kartką, kartoflaną Luksusową, żytnią Wyborową i żytnią Żytnią, a do tego jarzębiaki, winiaki, koniaki. Robak wypije wszystko. Na szczeblu powiatowym, wojewódzkim i krajowym. Jak Polska Rzeczpospolita Ludowa długa i szeroka, nie było takiego zakładu pracy i takiego dnia, żeby ktoś właśnie nie obchodził imienin. A do goździka kieliszek pasuje jak ta lala.

We wrocławskim środowisku dziennikarskim, w którym obracała się Baśka, było podobnie. Nie było także inaczej na warszawskich salonach politycznych i kulturalnych, gdzie trafiła pięć lat później, przenosząc się do działu gospodarczo-społecznego „Trybuny Ludu”. Chociaż może pijano tam nieco lepsze trunki.

Przez cały ten czas uważała, że wszystko ma pod kontrolą, wszystko jest w jak najlepszym porządku. W pracy ją przecież awansowano, czytelnicy cenili jej teksty. Zatem niech karnawał trwa! I może tylko po dziesięciu latach rauszu jej uroda odrobinę przybladła. Po trzydziestce pod oczami zaczęły się pojawiać cienie, a cera stała się nieco bardziej sucha i skłonna do zaczerwienień. Niespecjalnie się tym Baśka przejęła, dobry makijaż może przecież zdziałać cuda. Pokrywała więc rzeczywistość grubą warstwą pudru, lecz nie wszyscy dali się nabrać.

Któregoś razu, podczas jednej z nielicznych wizyt w Jugowie, ciotka z wyraźnym zaniepokojeniem stwierdziła, że Basia nie wygląda najlepiej i chyba ma „problem”. Powinna nieco zwolnić, zmienić rozrywkowy tryb życia na spokojniejszy i pomyśleć wreszcie o założeniu rodziny. Słowo „wódka” nie padło z jej ust ani razu, a mimo to Baśka okropnie się wściekła.

Nie ma żadnego „problemu”! Gównu ciotka wie. Czy stara konserwa nie widzi, jak ona daleko zaszła i kim jest? Redaktorką z Warszawy jest, w najpoważniejszym dzienniku, i ma władzę absolutną – absolutną! – władzę nad rządem dusz! Nie wie ciotka, kogo Baśka zna, wszystkich zna, tych, co na pierwszych stronach gazet, i tych, co w telewizji! Jak się tylu ludzi zna, to można się czasem zmęczyć i nieco gorzej wyglądać, ale nic ciotce do tego. Poza tym jak ciotce wygląd Baśki tak bardzo przeszkadza, to Baśka tu wcale do ciotki przyjeżdżać nie musi.

I przyjeżdżać przestała.

Ale nie zerwała kontaktów zupełnie, bo jednak jakieś ludzkie odruchy wciąż w niej pozostały, a od czasu, gdy w domu z pruskiego muru założono telefon, dzwoniła do wujka Heńka, żeby zdać mu relację ze swego arcyciekawego życia i kolejnych zawodowych sukcesów. On, jak to on, cieszył się jej szczęściem i nie widział „problemu” albo bał się go zobaczyć.

Tymczasem Baśka szalała w najlepsze. Najpierw Gdynia i Szczecin, strajki na Wybrzeżu, potem gospodarczy cud towarzysza Edwarda, nowe fabryki, nowe drogi i szpitale, sklepowe półki uginające się od cymesów-delikatesów – miała redaktor Chojnacka pełne ręce roboty. Ciągłe w biegu, w niedoczasy. Była jak dzikie nienasycone zwierzę: za dnia dziennikarska hiena, po pracy salonowa lwica, ćma barowa, cierpiąca na bezsenność sowa i modliszka pożerająca z nudów cudzych mężów. Królowa na balu życia.

Jednak w swe trzydzieste piąte urodziny królowa czuje się zmęczona.

Czuje się samotna. Chociaż wystarczyłby jeden telefon, a zaraz w mieszkaniu w Alejach zjawiłby się któryś z kolegów, jakiś wesołek o dwóch twarzach albo intelektualny blagier, który rozprawiając o Kancie, myśli tylko, jak by tu jej włożyć rękę w majtki; ewentualnie jeden z pochlebców, drugoligowych partyjnych przydupasów, co to płacą za nią rachunki w lokalach tylko po to, żeby o nich życzliwie wspomniała w kolejnym artykule.

Takich ludzkich popłuczyn jest dziś wokół niej najwięcej. Ci bardziej wartościowi ustatkowali się, zwolnili tempo, niektórzy mają już dzieci, pozałatwiali sobie przydziały na mieszkania i talony na samochody. Po *Kobrze* chodzą spać, a zamiast szybkiej setki i śledzia w SPATiF-ie i Czytelniku wołają kopytką z zasmażką w domu.

I tylko Baśka, niezłomna jak Kolumna Zygmunta, wciąż tkwi w tym samym miejscu.

Za oknem jest już prawie ciemno, na Muzeum Techniki zaświecił się neon. Sto metrów dalej na północ, po drugiej stronie Pałacu Kultury, w miejscu, gdzie znajduje się teraz wejście do teatru Lalka, przy nieistniejącej na tym odcinku ulicy Siennej, w nieistniejącej kamienicy pod numerem czternastym, czterdzieści lat wcześniej mieszkał jej ojciec, Bronek. Wtedy Lieberman. Ale Basia tego nie wie, a nawet gdyby wiedziała, to nic by jej to nie obchodziło. Prawie nigdy nie myśli o ojcu. Nie obchodzi jej ani on, ani miasto duchów, które zabetonowano w grobie pod Pałacem.

Gasi carmena, jeszcze raz spogląda na kartkę z widoczkiem gór, po czym wkłada ją niedbale do szuflady wraz z wyrzutami sumienia i upiorami przeszłości. Z zamykanej na kluczyk szafki pod blatem wyciąga butelkę

napoleona, która czeka na odpowiednią okazję. Napełnia koniakiem szklanę do herbaty i wypija jednym haustem. Dużo wypija. Może nawet za dużo.

Żar rozlewa się po jej ciele, smutny uśmiech rozlewa się po ustach.

Baśka bierze do ręki słuchawkę, w notesie odnajduje właściwy numer, wykręca go. Po chwili słyszy trzask odbieranego połączenia.

– Towarzysz Orłowski? Tak, to ja. Wtedy w parku powiedział pan, że jeżeli kiedyś miałabym ochotę porozmawiać... Tak... Czy moglibyśmy się spotkać? Wolałabym dzisiaj. U pana? Wszystko jedno. Gdzie pan mieszka? Na Belgijskiej. Dobrze, będę za pół godziny.

*

Takie dobre życie ma Kazik i tylko raz mało brakowało, a by sobie to dobre życie spierdolił. Przez nią.

Któregoś dnia profesor Radecki, szef urazówki, wzywa go do gabinetu i mówi, że „Trybuna Ludu” planuje umieścić na swych łamach krótki reportaż o ich nowo otwartym ośrodku. Wprawdzie prace budowlane wciąż trwają, jeszcze nie wszystko w instytucie funkcjonuje, jak powinno, jednak chcą przysłać z redakcji jakiegoś dziennikarza, żeby zebrał materiały do artykułu. Radecki oczywiście może z nim porozmawiać, „ale gdyby pan, panie kolego, zechciał mnie w tym wyręczyć – nie przepadam za prasą – byłbym zobowiązany. Może redaktor zechce, żeby go oprowadzić, budynki i sprzęt pokazać. Nic wielkiego. Czy mogę na pana liczyć, doktorze Krajewski?”.

Nie może Kazik staremu odmówić. Więc rad, nierad – raczej to drugie – obiecuje pismakiem się zająć.

Nie mija kilka dni, a podczas popołudniowego obchodu oddziałowa szepcze mu na ucho, że publicysta właśnie przyjechał, że jest już na terenie szpitala, wypił kawę z ordynatorem, a teraz czeka na doktora Krajewskiego przy tylnym wyjściu, gdzie wyszedł zapalić.

Spodziewał się Kazik, że zastanie tam podstarzałego typu w nieświeżym wymiętym mundurku-garniturku, o równie wymiętej twarzy, z rzadką zaczeską i modnymi dekadę temu okularkami w rogowych oprawkach na nosie. Tymczasem na upapranych cementem schodach przy wejściu dla personelu zastaje ją. Dziennikarka ma płomienne włosy i porcelanową cerę, wysoka jest,

zgrabna, chyba w podobnym wieku co on, może ciut starsza. Ubrała się nienagannie: w ołówkową spódnicę podkreślającą talię i cienką jedwabną bluzkę, a odcień jej torebki idealnie harmonizuje z kolorem butów, których raczej próżno szukać w Domach Towarowych Centrum, a nawet u prywaciarzy z Chmielnej. Na kilometr czuć zapach dolarów.

Ponieważ dzień jest wyjątkowo słoneczny, twarz ukryła za ogromnymi ciemnymi okularami i założywszy nogę na nogę, niespiesznie pali papierosa. Na odgłos otwieranych przez Kazika drzwi spogląda przez ramię.

– Doktor Krajewski, jak przypuszczam? – Opuszką palca zsuwa okulary z nosa i wbija w niego orzechowe oczy. Bez pardonu i bez uśmiechu. Lustruje go, po czym podciąga okulary na miejsce.

W jej spojrzeniu jest coś tak obcesowego, wyzywającego, że Kazik czuje się jak uczeń przy tablicy.

– Czekałam na pana. Możemy porozmawiać tutaj? W środku jest okropnie duszno. Zechce pan usiąść? – Wskazuje miejsce obok siebie na schodku. – Profesor Radecki powiedział, że pracuje pan tu od początku i świetnie się orientuje w sprawach Centrum.

Kazik schodzi do niej, odrzuca lekarski kitel, żeby go nie pobrudzić, i przysiadła obok. Kobieta pachnie czymś dziwnym. Na pewno nie Panią Walewską. Tytoniem, ziemią i nieznanymi mu egzotycznymi ziołami. Bardzo intensywnie, bardzo sensualnie.

Odgarnia rude loki z czoła. Nie jest piękna – a w każdym razie nie narzucającą się, jednoznacznie urodą jak Mariola – a mimo to go pociąga. Jest w niej pewna sprzeczność i zagadka. Jakby opanowaniem i dystansem starała się tonować szaloną rudość włosów, jakby pod chłodem skrywała dzikość serca. Dyskretnym makijażem kamufluje pierwsze oznaki upływu czasu: drobną siatkę popękanych naczynek, lekką opuchliznę pod oczami. Przejawy intensywnego i niezbyt higienicznego trybu życia, myśli sobie Kazik, oceniając ją lekarskim okiem.

– Nazywam się Chojnacka, Barbara Chojnacka. – Dziennikarka zawiesza głowę, czekając na jego reakcję.

Czy powinien ją kojarzyć? Może jest jakąś dziennikarską gwiazdą, kimś znanym i uznanym, a on wychodzi na ignorantę? Nie ma Kazik pojęcia. Nie

czytuje „Trybuny”, w ogóle nie bardzo interesuje się bieżącymi sprawami, polityką. Od jakiegoś czasu nie zgadza się z działaniami partii, szczególnie po sierpniowych wydarzeniach na Wybrzeżu, ale niespecjalnie go to zajmuje. Szpital, Mariola, Miłosz i nowiutki budyniowy maluch, którego odebrał miesiąc temu – to zaprzęta jego myśli na co dzień.

Nigdy wcześniej nie zetknął się z nazwiskiem Chojnacka.

Ona milczy, dopalając papierosa, wreszcie zaczyna go wypytywać o różne sprawy związane z pracą na oddziale, o warunki, sprzęt, zespół i pacjentów. Nie patrzy na niego, odpowiedzi zapisuje w notesie. Aż wreszcie uznaje chyba, że wyczerpali temat, i z wyrazem ulgi na twarzy zamyka kajet. Dobywa z paczki kolejnego papierosa. Zapala, odwraca się do Kazika i po raz pierwszy uśmiecha. Ma małe, drobne zęby, jak drapieżne zwierzątko.

– Przejdzie się pan ze mną?

– Chce pani, żebym ją oprowadził po szpitalu?

– Nie. – Wciąż się uśmiecha. Ruchem głowy wskazuje na pas lasu za placem budowy, na którym niedługo mają wyrosnąć kolejne pawilony instytutu. – Jest tak gorąco, spacer dobrze by nam zrobił.

– No nie wiem – waha się Kazik, chociaż propozycja jest nader kusząca. – Jestem w pracy, mam dyżur.

– Profesor Radecki powiedział, że mogę panem dysponować do wieczora.

Cały jej chłód i rezerwa gdzieś znikają. „Mogę panem dysponować...” – jest w tych słowach zawarta nieprzypadkowa dwuznaczność, Chojnacka wyraźnie skraca dystans. Uśmiecha się jeszcze szerzej.

– A więc jak?

– Dobrze, ale tylko na chwilę.

Ruszają w poprzek rozkopanego i wyjeżdżonego przez ciężarówki terenu. Za ich plecami pozostają żelbetonowe kłocze szpitalnych budynków, przed nimi rozciąga się morze zieleni. Korony drzew, zastygłe w upale, rzucają przyjemny cień. Przez kilkanaście metrów idą w ciszy, wreszcie odzywa się ona:

– Jak pan się tu znalazł?

– Tu, czyli...?

– W Międzyzlesiu.

– Potrzebuje pani tego do artykułu?

– Nie, pytam prywatnie.

– Wcześniej pracowałem w szpitalu dziecięcym przy Litewskiej, ale ponieważ mieszkam niedaleko instytutu...

– Mieszka pan tutaj?

– W Aninie.

Spogląda na niego badawczo zza ciemnych szkieł, po czym znowu się uszywnia.

– A pani? – Kazio przejmuje pałeczkę. – Pani jest z Warszawy?

– I tak, i nie.

– To znaczy?

– Mieszkałam w życiu w wielu miejscach, dzieciństwo spędziłam niedaleko Wałbrzycha, ale urodziłam się tutaj.

– To znaczy?

– W Aninie.

– W Aninie? Naprawdę? Cóż za zbieg okoliczności! To może znam kogoś z pani bliskich?

– Nie sądzę.

Nieoczekiwanie znowu jest obca. Znowu zdystansowana. Czuje Kazik, że ich rozmowa zawędrowała nie w tym kierunku, w którym Chojnacka sobie życzyła. Przez jakiś czas jeszcze idą leśną ścieżką, ale już żadne się nie odzywa. Kazik czuje się nieswojo i dziwnie. Nie rozumie czemu. Może dlatego, że dziennikarka odrobinę przypomina mu matkę – w obu jest jakaś specyficzna odrębność, jednocześnie kruchość i siła. Bez słowa docierają do głównej ulicy. Tu powinni się rozstać. Koniec spaceru.

Podczas pożegnania Chojnacka podaje mu rękę. Kazik czuje miękkie dotyk jej skóry, gdy ich spojrzenia się krzyżują. I to jest właśnie ten moment, kiedy zdaje sobie sprawę, że jeszcze nie wszystko o sobie wie, że może wypaść poza prosty dotąd tor własnego losu.

Wreszcie wypuszcza jej rękę, a ona rzuca zmieszana, że być może się z nim jeszcze skontaktuje. Przed oddaniem tekstu. Po czym odchodzi szybko w kierunku parkingu, zostawiając go z uczuciem niedosytu.

I tak się kończy to spotkanie. Tak powinna się zakończyć ta znajomość.

Ale w nocy Kazik nie może spać. Mariola cicho pochrapuje, a on wierci się i kręci, i rozmyśla o rudowłosej, która chyba rzuciła na niego jakiś urok, bo nie może jej widoku wymazać spod powiek.

Przez kilka dni trwa w osobliwym stanie otumanienia, wyrzucając sobie, że zachowuje się jak kompletny kretyń. Stara się działać według planu, jak zwykle: chodzi do szpitala, operuje, kocha się z Mariolą, odwozi Miłosza do przedszkola, wieczorami rozmawia z matką. Planuje z żoną urlop nad morzem i zakup nowej lodówki. Niby wszystko jest po staremu, a jednak wszystko stoi na głowie.

Zaczyna przeglądać gazety, szukać jej nazwiska, czytać jej teksty (na szczęście „Trybunę” zawsze mają w domu, bo według Felicji żaden inny szmatławiec nie nadaje się tak dobrze do wykładania kubła na śmieci).

Fascynacja przeradza się w coś na kształt obsesji.

I wtedy ona dzwoni. Bezpośrednio do pokoju lekarskiego. Nie wie Kazik, skąd miała numer. Jedna z pielęgniarek wywołuje go od łóżka pacjenta, mówiąc, że na linii czeka redaktorka – ta, co tu była kilka dni temu.

Chojnacka nawet słowem nie wspomina o artykule. Nie bawi się w dwuznaczności, w kobiece gierki. Od razu przechodzi do rzeczy. Mówi, że chciałaby się z nim spotkać. Prywatnie. Czy Kazik miałby ochotę? Czy ma czas pojutrze i mógłby przyjechać do Warszawy? Wieczorem? Nie może, bo nocny dyżur? Zatem koło południa. Będzie na niego czekała w piątek o dwunastej w Czytelniku.

Jadąc samochodem do Warszawy, Kazik układa sobie w myślach, co jej powie. Może zagra w otwarte karty i po prostu od razu przyzna, że stracił dla niej głowę? Że nikt tak na niego nigdy nie działał, że to szaleństwo kompletne, ale on chyba pragnąłby oszaleć? A może od razu pójdą do niej? Do łóżka?

Parkuje niedaleko budynku sejmu i do kawiarni idzie piechotą. Jest parę minut przed dwunastą, w środku warszawska *crème de la crème*: kilka znanych twarzy, ludzie kultury, jacyś dziennikarze, pisarze, jeden sławny aktor. Czuje się Kazik trochę nieswojo w tym artystycznym towarzystwie. Zajmuje miejsce pod oknem i zamawia tylko herbatę, tłumacząc kelnerce, że na kogoś czeka.

Potem drugą. I wreszcie kawę. Na zegarze dochodzi trzynasta. Facet siedzący przy stoliku obok raz po raz rzuca mu spojrzenie znad paryskiej „Kultury” –

spojrzenie pełne litości: nie doczekasz się, chłopie, wracaj do domu, nie rób z siebie widowiska. Kazik cały w środku dygocze. Ze zdenerwowania, rozczarowania, ze złości. Może coś jej nagle wypadło? Może coś się stało? Nie mogła go przecież tak wystawić, zabawić się nim tak okrutnie. W końcu to ona zadzwoniła, zaproponowała, to ona...

Siedzi w kawiarni jeszcze godzinę. Kelnerka przestaje przychodzić, chyba żeby nie wprawiać go w zakłopotanie. Gdy zdruzgotany i wściekły zbiera się do wyjścia, jest czternasta. Nie bardzo pamięta, jak wrócił do domu. Naiwny bałwan, dureń, ciota! Na długo zapamięta gorzki smak rozczarowania w ustach.

Dwa tygodnie później ukazuje się długi i wyczerpujący artykuł o instytucie. Chojnacka nawet raz nie wymienia jego nazwiska w tekście.

Zranione ego boli jeszcze przez jakiś czas. Ale potem pojedą z Mariolą i Miłoszkciem na urlop do Juraty. Wiatr od morza przewietrzy Kazikowi głowę i wmówi on sobie, że tamto wydarzenie nie miało miejsca. Nie było telefonu ani katastrofy w Czytelniku. A są Miłoszkowe babki na piasku, jest morza szum, ptaków śpiew, złota plaża pośród drzew. Jest Mariola, chirurgiczna kariera, budyniowy fiat 126p. I długie szczęśliwe życie.

*

A Basia ma za sobą nieszczęśliwe życie. Zupełnie spażone życie. Za dużo jest w nim formy bez treści. Myśli o tym coraz częściej.

Myśli w ten wieczór, gdy Akwarium wypełniają ciężkie dźwięki fortepianu i wściekły krzyk trąbki. Jazzowe Akwarium. Nowy punkt na kulturalnej mapie stolicy. Za oknem opustoszała ulica Emilii Plater połyskuje po deszczu niczym skóra węża. Papierosowy dym ciężko osiada na zasłonach i lewituje mgławo nad nowiutką wykładziną. Przy stolikach jest trochę ludzi, ale ponieważ to środek tygodnia, tłumów brak.

Baśka lubi ten lokal nie tylko ze względu na muzykę. Po pierwsze, mieszka nieopodal, a po drugie, zagląda tu niewielu jej znajomych. Klub jest idealnym miejscem, jeżeli chce się z kimś spotkać bez świadków.

A dzisiaj jest tu z towarzyszem Orłowskim. A właściwie już nie z towarzyszem, a po prostu ze Stefanem. Nie powinna się z nim pokazywać w miejscach publicznych, to może zostać mylnie odebrane. W ogóle nie powinna

się z nim spotykać. Właściwie nie rozumie, czemu to robi. Po co do niego dzwoni? Chociaż miły z niego facet, to jest sporo od niej starszy, po pięćdziesiątce. Niespecjalnie przystojny, nieprzesadnie inteligentny – chociaż został wiceministrem w rządzie Jaroszewicza (a może właśnie dlatego?). Stefan nie ma rodziny, a tylko karierę i matkę w jakiejś zapadłej dziurze. Najpierw walczył z okupantem, potem o odbudowę kraju. Państwowiec, ideowiec, zaangażowany. Na życie osobiste nie starczyło mu czasu. Zupełnie jak jej.

Poznała go jakiś czas temu, podczas wywiadu. Od razu zauważyła, że wpadła mu w oko, ale nie był nachalny. Zadzwoił potem raz i drugi, czy Baśka z nim nie pójdzie na kawę, ale odmówiła. Opuścił, a wreszcie wiosną wpadli na siebie przypadkiem w Alejach Ujazdowskich. Zaproponował spacer. Nigdzie jej się nie spieszyło, poszli więc razem do ogrodu botanicznego. Właśnie zakwitły magnolie, pięknie tam było, a i rozmowa okazała się zupełnie przyjemna: swobodna, bez zadęcia. Stefan nie wspominał o polityce, o pracy w ministerstwie, ona także starała się omijać kwestie zawodowe. Opowiedział jej natomiast, że kocha żeglować, dlatego niedawno kupił jacht, podobny do tego, który zagrał u Polańskiego w *Nożu w wodzie*. Krypa była w marnym stanie, jednak Stefan znalazł już skutnika i zamierzał ją odremontować. Cieszył się na to jak dziecko, a ona, obserwując jego entuzjazm, nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Dwie wspólnie spędzone godziny przeleciały nie wiadomo kiedy.

Podczas rozstania Stefan wcisnął jej w rękę swój prywatny numer telefonu i powiedział, że gdyby kiedykolwiek jeszcze miała ochotę na rozmowę, na spacer, cokolwiek, niech do niego zadzwoni. A potem rozeszli się w swoje strony.

Zadzwoiła dopiero kilka miesięcy później, w urodziny.

Zaprosił ją do siebie. Mieszkał w ładnej kamienicy tuż przy parku Morskie Oko na Mokotowie. W środku było spartańsko, po kawalersku – z nowymi meblami na wysoki połysk, bez żadnych ozdób – a jednak zupełnie przytulnie. Nie poszła z nim wtedy do łóżka. Być może tego oczekiwał, może jej pragnął, ale nie dał tego po sobie poznać. Zachowywał się więcej niż poprawnie. W przeciwieństwie do niej. Z niej jak zwykle wyszło zwierzę. Trochę wypili, ona dużo za dużo. Zalała się na smutno. Bełkotała, że jest straszną gnidą, złym człowiekiem, płakała mu w mankiet. Stefan słuchał niczym dobry ojciec, a kiedy

już była kompletnie sztywna, pościelił jej w swoim pokoju, sam zaś poszedł spać na kanapę.

Od tamtej chwili widują się co kilka dni. Zaprzyjaźnili się, chociaż Orłowski wcale nie ukrywa, że z jego strony to coś więcej. Troszczy się o nią. Kiedy Baśka musi z kimś pogadać, zawsze ma dla niej czas, kiedy potrzebuje gdzieś podjechać, coś załatwić, on ją podrzuca swym samochodem. Czasami robi jej nawet zakupy – ma dostęp do rzeczy, których próżno szukać w sklepach dla zwykłego obywatela. I niczego nie chce w zamian. Nie prosi nawet, żeby przestała pić, bo rozumie, że to nic nie da. Dlatego pilnuje tylko, żeby zdrowo się odżywiała, nie przepracowywała się i wysypiała.

I tak jak ona lubi jazz...

Fortepianowe synkopy kroczące w ślad za trąbką wnikają wraz z dymem w ściany Akwarium. Muzycy o czerwonych z wysiłku twarzach i przekrwionych białkach oczu schodzą ze sceny na zasłużoną przerwę. Klub wypełniają pojedyncze oklaski. Ludzie wracają do przerwanych rozmów.

Stefan bawi się kieliszkiem z koniakiem. Zamyślony zagryza usta. Wreszcie wypala:

– Nigdy cię o to nie pytałem, ale powiedz mi, Baśka, dlaczego ty się tak wzbranasz, żeby mieć dzieci, dlaczego nie założysz rodziny? Jesteś jeszcze zupełnie młoda.

Basia upija łyk jarzębiaku, zaciąga się dymem. Nie lubi, gdy Stefan wchodzi na takie tematy, zresztą nikomu innemu nie pozwala na stawianie podobnych pytań, ale przed nim nie musi grać. Przez ostatnie pół roku widział ją w różnych sytuacjach, czasami intymnych. A poza tym znowu jest trochę wstawiona i wszystko wydaje jej się prostsze, kanty rzeczywistości się zaokrąglają, życie jest bardziej jazzowe, kolorowe.

– Ja matką? – Śmieją się tylko jej usta, oczy pozostają chłodne, bez wyrazu. – Jaką byłabym matką, Stefan? Jest takie stare powiedzenie: dobry lekarz wychowa dobrego lekarza, dobry prawnik dobrego prawnika, zaś dobra kurwa tylko dobrą kurwę.

Stefan kręci głową.

– Nie jesteś...

– Kurwą? – kończy za niego rozbawiona. – Ależ jestem, jestem. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek. Zrobiłam w swoim życiu wiele głupstw, wiele świństw. Czy myślisz, że grając czysto, byłabym dzisiaj tu, gdzie jestem? Ja, dziewczyna z prowincji, z zapadłej wsi pośrodku niczego?

– Bzdury gadasz.

– Prawdę mówię i prawdą jest, że zły człowiek może wychować tylko złego człowieka. Tak już jest, i tyle. – Barbara wzrusza ramionami. Dopija zawartość kieliszka.

– Nie boisz się, że w końcu zostaniesz sama?

– Ja już zostałam sama. – Kiwa na przechodzącą między stolikami kelnerkę. – Jeszcze raz pięćdziesiątka.

Stefan wzdycha.

– Ale tak się nie da żyć.

– Niby jak?

– Bez celu.

– Nieważny jest cel. Ważna jest droga.

– A tam, Baśka, pleciesz. To taka filozofia dla ubogich. Poza tym to wcale nie jest prawda. A przynajmniej nie cała.

– Gówno prawda? – trywializuje ona, nie przestając się uśmiechać.

– Nie wystarczy żyć, trzeba żyć po coś.

– Teraz to ty filozofujesz. Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

A może właśnie rozumie. Obronnym gestem zaplata ramiona na piersi, wypatrując kelnerki. Kiedy wreszcie przyniosą jej kieliszek?

– Baśka...

Nie lubi u niego takiego tonu. Potem zwykle padają zupełnie niepotrzebne słowa.

– Basiu, ja wiem, że jestem dla ciebie za stary, ale... Może to przemyślisz?

– Co?

– Żeby za mnie wyjść.

– Czy ty wiesz, że to on zabił doktora Krajewskiego, ojca mojego Miłosza? Ten twój cały Orłowski?! – darłam się wniebogłosy, a łzy jak grochy ciekły mi po brodzie. – Kurwa, mamó... Błagam, powiedz, że nie wiedziałaś!

Czułam, że deszcz zaraz roztrzaska dach domu z pruskiego muru. Utoniemy. Nadchodził biblijny potop, który wszystkich nas zaleje. Bóg zsyłał na nas karę. Na mnie, na matkę. Wszyscy byliśmy przekłęci.

– Nina, nie krzycz. Proszę, nie krzycz.

Świst jej oddechu przeciął powietrze. Życie uciekało z niej coraz szybciej. Znowu zamierzała to zrobić? Wymknąć się sprawiedliwości?

– Wiedziałaś. Boże, ty od początku wiedziałaś, kim jest Miłosz!

– Nie od początku. Domyślałam się tylko. Krajewski...

– I nic nie powiedziałaś? Jak mogłaś mi tego nie powiedzieć?

– Dzisiaj mówię.

– Dzisiaj na wszystko jest za późno.

– Było za późno już w chwili, kiedy go poznałaś. Kiedy się przecięły wasze ścieżki.

*

Kazik, przez żonę zwany Kazem, prawie nie myśli o wstydzie, jaki czuł przed rokiem za sprawą dziennikarki. Dziś w każdym razie nie myśli o tym myśleć, bowiem właśnie obchodzi urodziny. To jego ostatnie urodziny, ale tego naturalnie nie wie, bo nikt takich rzeczy nie wie. A jednak świętuje je z pompą, zupełnie jakby coś przeczuwał.

W tym celu za domem, pod drzewami, ustawiono stół. Wcześniej planowano, że przyjęcie odbędzie się w środku, jednak pogoda taka ładna, wieczór taki przyjemny – niby wiosna, a ciepło jak w środku lata – że aż szkoda się kisić pod dachem. Zatem dwór. Zatem pod sosnami stół. A na nim dobra luksusowe, delikatesowe, dostępne dzięki pożyczkom zaciągniętym przez miłościwie Polsce Ludowej panującego Pierwszego Sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka. Kiedyś pożyczki trzeba będzie spłacić, lecz dzisiaj nikt sobie tym nie zawraca głowy. Dzisiaj jest sobota, dziewiętnastego maja siedemdziesiątego dziewiątego roku. Po zimie stulecia nie ma śladu; to znaczy w Aninie nie ma, bo w Pułtusku, Ostrołęce czy Myszyncu ulice jeszcze śmierzdzą mułem, jeszcze nie wyschły po

tym, jak Narew wylała miesiąc temu. Tak czy inaczej problemy powodzian wydają się dzisiaj dalekie, gdyż pod domem przy III Poprzecznej na gości czeka wódeczka, Bycza Krew, *egri bikavér*, a nawet jakieś połyskujące bursztynowo butelczyny koniaku. I swojski śledzik w śmietanie, i tatar wołowy, nóżki w galarecie, sajra i sardynki z puszki, radziecki kawior z bielugi i pasztet z wielu mięs, jajko w majonezie i obowiązkowa sałatka jarzynowa. A do tego szynka konserwowa Krakus, co to ją można jedynie spod lady albo po znajomości, albo w ramach łapówki dostać. I koreczki! Bo na nowoczesnym przyjęciu muszą być koreczki, wycięte korkiem od wódki, nadziane na wykałaczki. U doktora Krajewskiego wszystkiego dostatek.

A potem wreszcie tańce, hulanki, swawole, śmichy-chichy, gości cały ogród. Są pracownicy szpitala, jacyś dyrektorzy, prominenci, kierownicy. I koledzy Kazka ze studiów, i ktoś tam jeszcze z anińskich szczenięcych lat. Są wszyscy ci, którzy być powinni, i ci, którzy być muszą, bowiem nie wypada, żeby ich nie było. Jedni i drudzy już przy stole, już wznoszą toasty. Za doktora Kazika, za młodego chirurga, co rozwija karierę w Centrum w Międzyzylesiu! Niech żyje sto lat! Niech żyje...

Nieważne, że pożyje jeszcze tylko miesiąc, ważne, że wódeczka wchodzi gościom jak miód. Taka cudowna atmosfera, taki piękny maj! Ciepło, wiosna, zapada zmierzch. Świece płoną na stole, a wypieki po wódce na twarzach gości. Starsza pani Krajewska – jak zwykle od stóp do głów w czerni, jak zwykle trochę wycofana i milcząca – donosi półmiski, uzupełnia karafki. Młoda pani Krajewska – jak zwykle w dżinsach z peweksu i zbyt kusej bluzeczce z Rembertowa – siedzi u męża na kolanach, nic nie robiąc, i tylko cała w pąsach, w uśmiechach, rozszczebiotana obsypuje pocałunkami twarz kochanego Kaza. Taki jest ten wieczór. Gwieździsty, rozmarzony, słodki...

Rodzina Krajewskich jest zupełnie jak rodzina Karwowskich z serialu, który leci w Jedyńce – modelowa, szczęśliwa, doskonale wpisuje się w propagandę socjalistycznego sukcesu; z fiatem 126p połyskującym rozwodnionym budyniem na podjeździe, wakacjami w Juracie i meblościanką wprost z Wyszkowskiej Fabryki Mebli i Urządzeń Wnętrz. Tylko że Kazek, pan doktor, a nie inżynier, nie mieszka na blokowisku, a we własnym domu z ogrodem.

Domowej sielanki dopełnia chłopiec, który gania wokół stołu za kotem, że aż mu jasna główka podskakuje. Łobuziak. Kocura za puszysty rudy ogon łapie, pod obrusem nurkuje, gości zaczepia. Miłoszek – oczko w głowie babci Felicji, wychuchany jednak mamusi i tatusia. Śliczny, grzeczny, mądry chłopczyk. A zdolny! Nie miał roku, jak formułował zdania wielokrotnie złożone, nie miał trzech lat, kiedy zaczął płynnie czytać. Po ojcu te uzdolnienia ma, po lekarzu z dyplomem Akademii Medycznej w Warszawie i stażu na Litewskiej, no bo przecież nie po Mariolce, pielęgniarce, co to z trudem skończyła pomaturalny dwuletni kurs w jakiejś drugorzędnej szkółce w Piotrkowie Trybunalskim. Babcia Felicja swoje wie, babcia dumna jest z wnusia jak paw. Krew z jej krwi. Próbuje go na pianinie uczyć, ale on niezbyt chętny. Karola Maya mu podsuwa, ale on noskiem kręci. Widocznie za wcześnie na Mozarta i Indian, na Chopina i Siuksów – ma Miłoszek dopiero sześć lat i woli piosenki Gawędy oraz *Poczytaj mi, mamo*.

A najbardziej lubi się bawić stetoskopem taty; przykładać słuchawkę do własnej piersi i wsłuchiwać się w bicie serca, w wewnętrzne odgłosy ciała: bulgot trawionego w jelitach jedzenia, szum płynącej arteriami krwi. Ciało jest takie niezwykle i fascynujące.

Z kolei najbardziej nie lubi Miłosz, gdy babcia się smuci. A ona, niestety, często się smuci. Nawet dzisiaj, chociaż wieczór taki przyjemny. Niby jest ze wszystkimi w ogrodzie, niby się uśmiecha, ale Miłosz wie, że nie czuje się dobrze w towarzystwie znajomych tatusia.

Bo ci znajomi bezpośredni są bezpośredniością proletariackich parweniuszy, ośmieleni ideą równości klas, rozgadani, głośni, rozbawieni – niektórzy aż za bardzo. Już mają trochę w czubach, już im w żołądkach tupią świńskie nóżki, pływają śledzie i sardynki. Tymczasem Felicja jest opanowana, zdystansowana, jest panią Krajewską – panią przez duże P – prawdziwą przedwojenną damą, wnuczką Wieniawy-Sułkowskiego (do czego obecnie lepiej się nie przyznawać) i córką Adolfa Hryniewicza (czego w ogóle lepiej nie pamiętać). Roztacza wokół siebie aurę wyższości i niedostępności. (I jest częścią ciemności tak przerażającej i starej, że jej istnienia nie jest świadom nikt przy tym stole, a i sama Felicja od dawna stara się ten fakt z siebie wyprzeć).

Obsłużwszy już wszystkich, trzyma się z boku. Siedzi na końcu stołu i coś tam od czasu do czasu skubnie, wypije, ale w każdym jej geście i spojrzeniu jest

umiar. Żaden okruszek nie spadnie jej na czarną sukienkę, żaden nie zostanie w kąciku ust. Obecna tylko ciałem, wyjęta z kontekstu luźnej urodzinowej atmosfery, nie włącza się do rozmów, nie wznosi toastów, nie przekrzykuje współbiedników. W tym ostatnim prym wiedzie jej synowa. A babcia Fela uśmiecha się kurtuazyjnym uśmiechem bez radości i tylko Miłosz, mały głupi chłopczyk, zdaje się babciny smutek i wyobcowanie dostrzegać. Dlatego co jakiś czas do niej podbiega i przytula się do jej kolan. A wtedy ona nachyla głowę i całuje go w czoło, i przez krótką chwilę bliskości uśmiecha się prawdziwie.

Noc zapada nad lasem. Towarzystwo już pijane. Robi się chłodno, ale nikt się do domu nie wybiera, noc taka młoda, jeszcze flaki będą na ciepło i bigos, później karpatka i murzynek, a zresztą wódka do końca nie wypita. Niech żyje Kazik! Rozmowy schodzą na politykę, na problemy towarzysza pierwszego sekretarza ze związkami zawodowymi, które się na Wybrzeżu budzą, burzą, na wybór Polaka na papieża. Dużo się ostatnio dzieje i dużo się niedługo zmieni. W kościach czuć. Ktoś znowu intonuje *Sto lat*. Podobno Gierek spotkał się z Wyszyńskim – niech mu gwiazdka pomyślności nigdy nie zagaśnie! Ktoś inny sąsiadkę pod stołem obłapia – niech pod stołem zaśnie! Komuś się odbiło jajkiem w majonezie – i jeszcze jeden, i jeszcze raz! A Hermaszewski w kosmosie – w zdrowiu, szczęściu, w pomyślności niechaj żyje nam!

Wreszcie któryś z zebranych znowu podejmuje temat znalezionych w lesie za szpitalem kobiecych szczątków z głową obciętą i między nogami złożoną. Ostatnio cała okolica żyła okropnym znaleziskiem. Podejrzewano, że grasuje „wampir”, ale badania kości wykazały, że szkielet przeleżał w ziemi wiele lat i może pochodzić jeszcze z czasów okupacji. Na przedziurawionej kuli czaszce wciąż tkwiły resztki skóry wraz z kępkami rudych włosów...

Miłosz śpi na kolanach babci i na szczęście nie słyszy już tych opowieści. Kazik, przy okazji dolewania gościom wódki, podchodzi do matki, pochyla się nad nią i szepcze jej do ucha:

– Może zaniosę go do domu, co, mamó? I ty też się połóż, pewnie zmęczona jesteś, goście chyba jeszcze posiedzą.

Ona kołysze Miłosza w ramionach. Nie patrzy na syna, tylko gdzieś wysoko ponad jego głowę.

– Na drzewie siedzi – mówi głucho. – Dawno jej nie widziałam i znowu jest. Niedobrze, Kaziu, niedobrze... Ona nigdy niczego dobrego nie zwiastuje.

– O czym ty mówisz, mamuś?

Spogląda w miejsce, w które wpatruje się matka, ale wzrok ma zmacony koniakami i wódką, widzi więc jedynie korony sosen i noc.

– Czy tylko ja ją widzę? Czy tylko ja...? Ona... smutek przynosi.

*

Przynosi go w czerwcową noc. Ciepłą i spokojną. Dobrą noc.

Anin śpi, a las nie śpi. Kazik wraca do domu piechotą po długim męczącym dyżurze i trochę jest zły – bo to przez zepsuty samochód ta nocna wycieczka – a trochę się cieszy, gdyż dzięki niej złapie wreszcie świeżego powietrza. Ostatnio rzadko ma okazję spacerować. Szpital, dom, dom, szpital. Nie żeby narzekał, w końcu robi to, co lubi. Niemniej wszystko w pędzie i ani się człowiek obejrzy, a już zima spływa do studzienek, topią się metrowe zasy, zielenieją trawniki, a wreszcie rdzewieją kwiaty bzu. Na co dzień czas przecieka Kazikowi przez palce, a dziś, sunąc „pod potokami szumiących gwiazd, pod sosen rzeką”, ma okazję dotknąć rodzącego się lata, które jak oszalałe gada w lesie – miłośnym rechotem żab z pobliskich mokradeł, szelestem gałęzi pękających pod racicami saren, słowiczymi koloraturami.

Wszystko wokół wibruje.

I wibruje niski dźwięk silnika, charakterystyczny dla radzieckich limuzyn, niosący się po niedawno wylanym, świeżutkim asfalcie. Gardłowa melodia cylindrów wpada w leśną gęstwinę po obu stronach drogi, wnika w zieloność kudłatych mchów. Kazik, nie zwalniając kroku, odwraca przelotnie głowę; gdzieś za jego plecami, w oddali majaczą dwa jasne punkty, okrągłe ślepie samochodowych reflektorów sunących połyskliwe przez mrok. Powinien zejść na pobocze, ale tego nie robi, pewny pewnością wszystkich pieszych, którzy nie rozumieją, że dla kierowcy są jedynie niewyekstrahowanym elementem ogółu nocnej substancji.

Dlatego idzie sobie Kazik i wcale nie myśli o samochodzie za plecami. Nie zastanawia się, co to za auto ani skąd się wzięło po północy na ulicy Michała Kajki. Myśli natomiast o własnym samochodzie, budyniowym fiacie 126p, niby

nowym, a bezustannie stojącym na kanale. To już kolejny raz, kiedy nie dał rady go odpalić i musiał porzucić na szpitalnym parkingu. Sądził, że znowu załął świecę – z tym sam by sobie poradził – tymczasem to chyba coś poważniejszego. Gdy próbował go uruchomić, czterosurowy silnik tylko zacharczał i zabulgotał wściekle, jakby w mechanicznych trzewiach coś się przewalało. Miał być maluch cudem techniki, spełnieniem marzeń i serdecznym darem towarzysza Edwarda dla polskiej klasy pracującej, a jest ciągłym utrapieniem. Gdyby tak woził się Kazik peugeotem 504 w kolorze zielony metalik – którym co rano, ku chwale Polski Ludowej, pędzi jak diabeł ulicami Anina premier Jaroszewicz – toby na pewno nie miał problemów z zapłonem. Tymczasem jutro znowu będzie musiał odprowadzić auto do warsztatu...

O tym właśnie budyniowym problemie rozmyśla Kazik, słysząc zbliżającą się wołgę. A trochę o dziewczynce, którą niedawno operował po tym, jak spadła z przydomowej huśtawki. Uraz wyglądał poważnie – wgniecenie w ciemieniu – a jednak udało mu się małą odratować. Wciąż ma przed oczami widok chirurgicznej stali sunącej po ogolonej naprędcie skóry dziecka, obraz sinoróżowych tkanek jego mózgu, krwi rozmazanej na gumowych rękawiczkach, ale też łez wzruszenia w oczach ojca dziewczynki, gdy wreszcie zdołali wybudzić ją z narkozy... Tak, Kazik lubi swoją pracę. Kazik lubi swoje życie. Oba życia: i to zawodowe, i rodzinne. Dlatego chociaż jakaś jego część pozostała w szpitalu, przy pacjentach, w pokoju lekarskim, na pachnących lizolem korytarzach, to druga już przekracza próg przedwojennej drewnianej willi i próg pokoju śpiącego słodko synka, na którego czole za piętnaście minut złoży Kazik pocałunek. Jeszcze trochę pozostaje w wykrochmalonym kitlu, ale trochę jest już pod szeleszczącą krochmalem pościelą. Zanurza nos w woniejących rumiankiem i łąką włosach żony, przytula się do jej ciała, dotyka aksamitnej skóry na brzuchu i Mariolinych nagich piersi. I zastanawia się, czy znajdzie siłę, żeby się z nią kochać – spokojnie, po cichu, na wpół śpiąc – czy może poczeka z tym do rana. Kazik wciąż jeszcze pragnie Marioli – mimo wstydlivej historii sprzed roku – ale w tej chwili chyba bardziej pragnie snu. Nie szkodzi. Na miłość przyjdzie czas, ciało Marioli poczeka. Całe życie przed nimi. Takie dobre życie...

Las gada jakby ciszej, a silnik coraz głośniej. Wibrujący ryk tłoków narasta.

I nagle wszystko ucicha.

Czerwcową noc pęka, imploduje w głowie Kazika naftowym zapachem asfaltu, wonią lasu i palonej gumy. A jego ciało pikuje ponad ziemią. Leci kilkanaście metrów, niesione bezwładem. Jak kiedyś bezwładnie turlała się odrąbana głowa Estery, między nogi Estery – o czym Kazik oczywiście nie wie i nigdy się nie dowie, bo już nie ma na to czasu. A nawet gdyby miał, to i tak by nie zrozumiał, w jaki zawył sposób jego dzisiejsza śmierć łączy się ze śmiercią Żydówki sprzed trzydziestu paru lat. Kazik umrze bez tej wiedzy.

Dalej więc pikuje, pikuje i wreszcie upada. Samo uderzenie – kiedy drapieźny chromowany grill wołgi z impetem trafia w Kazika – w ogóle nie boli; boli dopiero zetknięcie z twardym gruntem. Ciało, wciąż pchane siłą odrzutu, koziółkuje jeszcze przez kilka metrów, czemu towarzyszy charakterystyczny chrzęst łamanych kości. Głowa Kazika trafia dokładnie w miejsce, gdzie na asfalcie leży dotąd nic nieznacząca, a teraz przesądzająca o wszystkim nieregularna gruda kruszywa wielkości piłki tenisowej. Mógł ów odłamek, pozostałość po pracach drogowych, poszybować w trawę, wyniesiony kopniakiem idącego tędy kilka godzin wcześniej chłopca, mógł wytrysnąć spod koła jednego samochodu i uderzyć w szybę innego, mógł, lecz nie poszybował ani nie uderzył, za to w niego uderzyła głowa Kazika. I słyszy Kazik chrobot wgniatającej się do środka czaszki, a jednocześnie nie słyszy nic. Przez jakiś czas w jego podświadomości nie ma dziewczynki z ogoloną głową, zepsutego malucha w kolorze waniliowego budyniu, sześciolatniego syna Miłosza ani miękkich piersi Marioli. Jest wielkie nic, próżnia, zanurzona w niezmierzonej przestrzeni bezczasu. Są ręce i nogi Kazika porozrzucane na boki jak u szmacianej kukły, oczy szeroko zamknięte, w nozdrzach smród rozgrzanych bębnow hamulcowych. Czy Kazik jeszcze jest tu, na ulicy Kajki, czy może już po drugiej stronie lustra? Czy Kazimierz Krajewski, obiecujący chirurg, lat trzydzieści cztery, jeszcze żyje?

To zawieszenie trwa parę sekund. Trwa w nieskończoność.

I wreszcie wszystko powraca. Kazik jednak żyje, łapie powietrze jak ryba wyjęta z wody. Oczy ma szeroko otwarte. I obraz powraca, nabiera ostrości. Świat przewrócony na bok, na policzku ciepły dotyk ulicy, w ustach smak hemoglobiny, na języku szkliste odłamki pokruszonych zębów. Z tyłu czaszki, w okolicach kości ciemieniowej coś pulsuje i wylewa się na zewnątrz. To lepkie coś wypływa także z kilku innych miejsc w ciele Kazika i wnika w wulkaniczne

pory asfaltu. To coś sprawia, że Kazik już wie, iż za piętnaście minut nie pocałuje syna i nie przytuli się do żony.

Obraz świata wciąż jest przewrócony na bok. W tym obrazie, jak na filmie, połyskujące czarnym lakierem drzwi otwierają się powoli, ktoś opuszcza nogi na ziemię. Spod wgniezionej maski wysąca się cienka strużka dymu, w dwóch snopach światła wirują drobiny ulicznego kurzu. Nogi zmierzają w stronę Kazika. Jakoś dziwnie się poruszają, roztańczonym krokiem tanga, trochę w prawo, trochę w lewo – wolny, szybki, szybki, wolny. Przystają kilka metrów przed rozciągniętym w poprzek jezdni ciałem. Nogi we włoskich szpilkach.

– Pomóż mi, zabierz do szpitala. Tu zaraz, niedaleko... – prosi Kazik, chociaż jego usta wcale się nie poruszają. Bąbelkujące krwią słowa rozbrzmiewają wyłącznie w jego głowie.

Nogi z wolna wycofują się rakiem: trochę w lewo, trochę w prawo – wolny, szybki, szybki, wolny. Ot, taki chaplinowski gag. Brakuje laseczki i irracjonalnie wielkich buciorów.

– Zabierz mnie stąd!

Kurz wirujący w świetle reflektorów, wgniecenie na masce, błyszczące lakierem drzwi... Jakby ktoś puszczał tę scenę od tyłu. A wreszcie melodia silnika osiąga wyższy rejestr, przekładnie skrzyni biegów uderzają o siebie z metalicznym trzaskiem i wołga rusza. Koła się skręcają, masywna sylwetka leśnego żuka wymija przeszkodę na drodze i odjeżdża.

*

– Mamo... – Mój jęk wypełnił pokój. Jęk matki wypełnił mnie.

*

Huk.

Czy to w jej głowie ten huk? Czy może naprawdę w coś uderzyła? Niełatwo to stwierdzić od razu, bo w głowie szum, a obraz przed przednią szybą zupełnie się rozmazuje. Trochę za dużo wypięła podczas rozmowy z Jaroszewiczem (Stefan jej to załatwił, kochany Stef). Przyjechała zadać tylko kilka pytań na temat kondycji rządu i kondycji premiera – mówi się na mieście, że przeszedł zawał, że był w tajemniczy hospitalizowany – ale się zasiedziała. Pani Alicja, jego żona, to

taka uprzejma osoba, zaproponowała nawet kieliszek koniaku. Rozmowa z premierem się przeciągnęła, zesza wreszcie na sprawy pozapolityczne – nie do publikacji – i jeden kieliszek zamienił się w kolejne. Może Jaroszewicz chciał ją tym alkoholem rozmiękczyć, stępić dziennikarską czujność, może skracając dystans, próbował ją przeflancować na swoją stronę? Na pewno miał ku temu powody, bo w ostatnim czasie grunt pali mu się pod nogami. Wszyscy wiedzą, że jest na wylocie, więc zależy mu na dobrej prasie.

Baśka trzymała fason. Zawsze trzyma, jest mistrzynią kamuflażu i nigdy po sobie nie pokazuje, że cienka czerwona linia już się zbliża, że zaraz urwie jej się film. Pić trzeba umieć, a ona umie. Do końca wesoła, zabawna, wielka improwizatorka ciętych ripost. A jednak kiedy koło północy wsiadła do samochodu, rzeczywistość rozciągnęła się i niebezpiecznie zafalowała jej przed oczami.

Mimo wszystko wsiadła. Bo niby czemu nie? Jak ją złapie milicja... Zresztą jaka milicja patroluje o północy sennie podwarszawskie miejscowości? Ale jeżeli nawet, to powie Baśka, od kogo wraca, błysnie oczkiem, machnie nóżką we włoskim bucie i będzie po sprawie. Jak zawsze. Do Warszawy jest tylko kawałek, myśli, włączając silnik. Obiecała Stefanowi, że jeszcze dzisiaj odda mu samochód, że jeszcze porozmawiają. Wie, że będzie na nią czekał. Wiele razy prowadziła w podobnym stanie – wielkie mi mecyje – więc teraz też da radę.

Ale najpierw trochę pobłądziła po labiryntach upiornych leśnych uliczek.

A teraz bęc.

Ten huk.

Dziwny dźwięk. Głuchy i wibrujący zarazem.

Sarna. Cholerna sarna. Wokoło cholerny las. Na pewno sarna. To ona leży parę metrów dalej na asfalcie. Obraz rozmyty koniakiem faluje i faluje asfalt. Powinna Baśka chyba wysiąść. Co się robi w takich sytuacjach? Jak się reanimuje sarnę? A może lepiej nie wysiadać? To przecież dzikie zwierzę. Dookoła ciemno, do najbliższych domów kilkaset metrów. Kto wie, co się kryje za drzewami. Ale ta sarna... Nie jest Basia przecież jakimś bezdusznym monstrem, żeby zostawić biedną sarenkę na drodze. Nie jest, prawda? Dobra Basia, Basia samarytanka...

A zatem trzeba wziąć się w garść, zebrać w sobie, zebrać obraz rzeczywistości do kupy, okiełznać rozpląsane krawędzie.

Najpierw drzwi: musi je otworzyć. Powoli, nienerwowo, jedna noga, druga noga, złapać grunt. Grunt to złapać grunt. Ależ to zabawne, językowy bon mot, że ze śmiechu pęknać można. Aż się ze śmiechu Basia zatacza. Jeszcze po południu obcasy czółenek nie wydawały jej się takie wysokie i cienkie – niestabilne i giętkie jak z gumy, przez co ciężko złapać pion. Cholerne obcasy!

Pion!

Weź się opanuj, kobieto.

Grunt. Nogi razem. I krok do przodu, aleją gwiazd, pod niebem gwiazd, taka ładna noc, ciepła. W tunelu światła padającego z samochodowych lamp sunie Basia, nieco się chwiejąc, jak jakaś gwiazda w blasku jupiterów. Czas zacząć występ. Wolny, szybki, szybki, wolny. I złapać pion! Musi złapać pion, bo jak wyrznie o asfalt, to po pończochach. A pończochy teraz na wagę złota. Gówniany czas. Wypierdoli się zaraz rząd Jaroszewicza, a towarzysz Edward utonie w dolarowych kredytach... Ona to już wie, ale o tym nie napisze. Po co ludzi martwić. Nie napisze, bo jest władzy oddana i wierna. Bądź wierna, Barbaro, córo rewolucji, idź – wolny, szybki, szybki, wolny.

Błędnik tańczy tango. Czy ona zna kroki tanga? Chyba kiedyś tańczyła na dansingu z jednym takim. Z jednym z wielu. Czegóż ona w życiu nie tańczyła... Wolny, szybki, szybki, wolny – ależ jej ciałem tamten wywijał. Jak się ocierał. Wszyscy faceci to świnię. Wóda i ruchanie, tyle mają w głowie.

Wróć!

Do rzeczywistości asfaltu, do silnika wołgi cicho mruczącego pośrodku drogi. Do biednej sarenki.

Staje Baśka kilka metrów przed ofiarą. Światło samochodowych reflektorów, a w nich zarys sarny. Ciało. Wokół ciała krew. Czarna krew. Sarenka się nie rusza.

Zabiła ją. Kurwa mać! Kurwa, kurwa mać, zabiła! Biedną sarenkę... Jezu... No, toś teraz, Baśka, narobiła bigosu... Jak na nią patrzy, błaga o litość. Aż się w człowieku flaki przewracają. Przewracają się w zupie z koniaku. Dobry był koniak pani premierowej, a teraz krwawe bąble śliny na chrapach sarny... Niepotrzebne to było, Basiu, wcale niepotrzebne, należało uważać. A ty, Basiu, przez całe życie jak taran. Jak taran.

Ostrzegła ciocia Magda.

Ale wujek Henio nie ostrzegał! Za dobry był wujek. Ciota bez charyzmy, bez własnego zdania. Wujek taki. Który normalny chłop baby się boi?

Mógł wujek ostrzec, jego by posłuchała.

A teraz za późno. Sarna patrzy wielkimi przerażonymi oczami. Błękitnymi oczami?

Ładne ma oczy, jak tamten lekarz, z którym tak się nieładnie obeszła Baśka zeszłego lata...

Przygotowanie materiału o szpitalu, w którym pracował, potraktowała rutynowo: kolejny sukces towarzysza Edwarda. Nie miała wielkiej ochoty jechać do Międzyzlesia, ale dostała polecenie. Doktor Krajewski. Trochę spięty, zawstydzony, wycofany – podobało jej się to. I ładniutki. Do przegryzienia na jeden raz. Zaprosiła go na spacer, widziała, jak się kryguje, jak się zaczerwienił. Grzeczny taki. Lubiała takich. Kiedyś. Teraz też miała ochotę. Porozmawiali o niczym. Był stąd. Ona w zasadzie też. Przypadek, a może znak? Ależ by było, gdyby to futro ze srebrnych lisów, co to dzięki niemu Baśka przeżyła w zimową noc okupacji, należało do kogoś z rodziny tego miłego doktora. Taki zbieg okoliczności, dziwna przewrotność losu, niesmaczny żarcik Ananke...

Po kilku dniach zadzwoniła i zaproponowała spotkanie. Wyczuła, że jest zdezorientowany, ale też podniecony rozmową, że czekał na jej telefon. A potem niepotrzebnie zaczęła o niego wypytywać. Okazał się obiecującym chirurgiem dziecięcym, szczęśliwym mężem i ojcem. W przeszłości żadnych kochanek, skandali. Pierwszy raz poczuła skrupuły. Coś ją usztywniło. Kręgosłup? Niemożliwe. Dzień przed umówionym spotkaniem narąbała się jak meserszmit. Nie była w stanie rano zwlec się z łóżka. Czekał na nią w tym Czytelniku. Na pewno czekał. Ale się nie doczekał. I nawet nie zrozumiał, że w gruncie rzeczy wyświadczyła mu przysługę.

A teraz jest doktor Krajewski w oczach sarny. Dlaczego właśnie on? Boi się Baśka tych oczu. Musi stąd uciec czym prędzej. Musi zostawić na środku drogi to biedne zwierzątko. Nieładnie tak, ale musi. Nie da rady go uratować. Do tego musiałyby być człowiekiem. A z Baśki jest kawał wrednej suki. Zatem *abarot* na gumiaстым obcasiku i znowu wolny, szybki, szybki, wolny, aleją gwiazd...

Zanim wsiądzie Baśka do wołgi, usłyszysz go po raz pierwszy – krzyk sowy, wściekły, ekstatyczny, triumfujący – a potem będzie jej towarzyszył przez całą

drogę na Mokotów. Szydercze zawrodozenie weźre się w jej głowę, napełni samowstrętem każdą komórkę ciała. Będzie je słyszała do chwili, aż znajdzie się w mieszkaniu na wysoki połysk i w smutnym akcie desperacji zapadnie się w ramiona Stefana. Będzie słyszała ów upiorny dźwięk, aż poczuje w sobie towarzysza wiceministra oraz jego ministerialny ejakulat.

I dopiero wtedy zapadnie cisza. Dopiero wtedy zniknie obraz błękitnych oczu sarny spod jej powiek.

*

– A więc to byłaś ty? – spytałam, chociaż wiedziałam już wszystko.

Koleżanka ze szkoły, potem młody obiecujący lekarz. A może ktoś jeszcze, o kim nie zechciała mi powiedzieć? Moja matka była potworem. Urodziła się taka? Przecież nikt nie rodzi się zły. W jaki sposób stała się tym, kim była dzisiaj? Czy to przez deficyt miłości? Przez ojca, przez Bronka? Dlaczego nie umiał pokochać córki? Czy i jego ktoś skrzywdził? I czy tamten ktoś też został skrzywdzony? Kiedy to się zaczęło? Gdzie zaczyna się ta historia emocjonalnego niedostatku?

– To zawsze byłaś ty – stwierdziłam zrozpaczona.

– Ja. I nie pytaj, Nina, dlaczego. Coś jakby we mnie tkwiło. Całe życie to czułam. A potem, tamtej nocy, odeszło, odleciało. Może to przez spaprane dzieciństwo ta wściekłość we mnie urosła, bo ja bez ojca, bez matki, zawsze sama przeciw całemu światu. Ale tamtego dnia się uwolniłam. Jakbym już za wszystkie krzywdy, za wszystkie grzechy się odplaciła. Potem długo sądziłam, że to już za mną, o wszystkim zapomniałam, wytarłam z siebie szlam tamtej nocy, tamtego życia. A wtedy ty dorostaś, wyjechałaś i spotkałaś na swojej drodze... Kiedy wypowiedziałaś jego nazwisko, to jakbyś mi dała w pysk na odlew. Na otrzeźwienie. Wtedy zrozumiałam, że tamto wróciło, że znowu jest i zawsze będzie. Bez końca.

– Mamo...

– Cicho, Ninka, nic nie mów. Nic nie zmienisz. Ja myślę, że to było w twoim Miłoszu albo w tobie, albo w was obojgu. I wszystko jest ze sobą w jakiś niepojęty sposób połączone, powiązane i trwa od nie wiadomo kiedy. Istnieje

w tym jakaś prawidłowość, chociaż nic tu nie ma sensu. Tak teraz myślę. Tak właśnie jest. I będzie.

*

Odkąd ucichło echo silnika czarnej wołgi, upłynęło pół godziny, może ciut więcej, a jakby wieczność minęła. Zdycha Kazik na poboczu, samotny, bezradny i zupełnie z tym stanem niepokodzony. Już wie, że nie zdoła się doczołgać do najbliższych zabudowań. Ciało coraz mniej jest mu posłuszne. Nie słucha go – gdzieś między mózgiem a członkami rozrasta się komunikacyjna wyrwa. Gubią się elektryczne impulsy, a przez to palce lewej ręki drżą samoistnie, nie wiadomo dlaczego i po co. Leży obce ciało Kazika i leży Kazik w tym ciele uwięziony. Jego serce jak wystraszony ptak trzepocze przerażone w klatce żeber, krew wsiąka w piach. Krew w piach. Życie w piach. Kurwa mać! Dlaczego?! Takie dobre życie w piach... Niewiarygodność czerwcowej nocy powoli pochłania Kazika. I pochłania go ciemność. Noc stała się czarniejsza, gwiazdy zgasły. Z każdą minutą świat wokół coraz bardziej tężeje, zakrzywia się rzeczywistość ulicy Kajki, rzeczywistość lasu traci autentyczność. I Kazik już sam nie wie, czy to, co widzi, jest prawdą, czy może tylko majakami obumierających tkanek mózgu.

Czy ona jest tu naprawdę? I dlaczego właśnie ona? Dlaczego z tysięcy osób, które przewinęły się przez Kazikowe życie, właśnie ten obraz wygenerowała jego głowa? Czemu nie ma przy nim Marioli albo matki, a właśnie ona, ta kobieta...? W eleganckim kostiumie z Mody Polskiej, o paznokciach umalowanych na czerwono, idealnie pociągniętych kreskach na powiekach w stylu Kaliny Jędrusik, oczach w kolorze łupinek orzechów laskowych i burzy rudych loków. Bardzo jest elegancka. Od jakiegoś czasu tam już siedzi. Na gałęzi jednej z sosen. Wysoko. Daleko. I blisko zarazem. Taka spokojna. Pali carmena jak wtedy, tamtego dnia w instytucie. Tylko zamiast zgrabnych nóg ma ptasie pazury, którymi uchwyciła się konaru. A na plecach złożone wielkie skrzydła. Kobieta-sowa.

Czemu ona? Jedyne wyrzut sumienia, jedyna rysa na lukrowanym monidle małżeńskiej sielanki. I tamto gryzące poczucie klęski. Na drzewie siedzi.

– Spóźniłaś się – mówi Kazik. A może nie mówi?

Już życie z niego wyciekło do szczętu, już nic go nie boli, prawie nie ma Kazika. Jest tylko Kazikowe ciało, połamane nogi i pogruchotana lewa ręka. Jest czaszka wgnieciona w okolicach ciemienia, a w niej obrzęknięty mózg. I oczy otwarte i szkliste. I krew w piach, i wokoło las. I dziennikarka na drzewie.

– Spóźniłaś się, wtedy czekałem, a teraz nie mam już dla ciebie czasu, bo umieram.

Ona patrzy na niego przenikliwie jak drapieżny ptak – kobieta-sowa.

– Uhu, uhu – dobiega z jej na czerwono uszmińkowanych ust.

Czy to tylko w głowie Kazika to „uhu, uhu”? Dziennikarka rozpościera na chwilę skrzydła, prostuje się, potrząsa głową. Potok rudych loków opada jej na czoło.

– Spóźniłaś się!

– Nie, nie spóźniłam. Przykro mi, że umierasz, ale każdy kiedyś umiera. To musiało się tak skończyć. Przyczyny i skutki, Kaziku. Przyczyny i skutki. Nikt nie jest osobny, wszyscy są częścią większej całości. Zapytaj swojej mamy, Kaziku, swojej ślicznej, dobrej mamy, dlaczego tu dzisiaj jesteś. Dlaczego ja tu jestem. A paru osób już nie ma, chociaż też mogłyby tu być. Przyczyny i skutki. Kaziku. To twoje szczęście, to twoje życie, takie dobre... A nie wszyscy mieli równie dobre. Chociaż byli dobrzy nie mniej niż ty. Zastanawiałeś się kiedyś nad tym? Ludzie popełniają mniejsze bądź większe kurewstwa i nikt nie jest wolny od zła, Kaziku. A ty udawałaś, że to cię nie dotyczy. Myślałaś sobie, że jesteś pępkiem świata i że to twoje życie takie ważne, najważniejsze. A jesteś zaledwie jednym z klocków domina, nic nie znaczysz. Znaczysz tyle, ile warta jest kara, którą zapłacisz za grzechy tych, co byli. Tylko tyle. Powiedz, Kaziku: przeczuwałaś to? Czułaś, że złe przyjdzie, że ten dzień nadejdzie? Już wiesz, co będzie? Co z Miłoszkiem będzie? Już rozumiesz, jak się to wszystko teraz potoczy? Jak Miłoszek zapłaci za dzisiejszy dzień, który wcale nie jest pierwszym z ważnych dni? Już wiesz, że złe nie śpi? Ja nigdy nie śpię. Czasami tylko czekam. Na właściwy moment czekam...

Czy on już nie żyje? Ciało mu stygnie, krew tężeje. Ogień krzepnie, blask ciemnieje.

– Nie słuchaj jej, tej na drzewie – mówi mama.

Mama? Skąd tu mama? Felicja. Fela. Nadchodzi z lasu. Śliczna taka w mroku nocy, świetlista, a na twarzy żadnych zmarszczek. Wygląda, jakby miała naście lat. Jak anioł piękna. Ale pod pachą niesie czyjąś głowę. Rude loki kołyszą się miarowo, sprężynują. Felicja głaszcze głowę czule i odkłada ją na ziemię. Sama siada przy synu. I teraz jego głowę, na ciemieniu rozpruta, w ciemię bitą, układa sobie na kolanach i głaszcze. Równie czule, z taką samą miłością co tamtą. Kochana mama.

– Ty idź już sobie – mówi Fela do tej na drzewie, do Rachelki, która teraz już nie jest Rachelką i nie jest nawet Basią, tylko sową. – Daj mu w spokoju tę ostatnią minutę przeżyć. Przecież się doczekałaś. Odebrałaś zapłatę. Więc już sobie idź.

Ale tamta tylko się śmieje. Czerwone pazury o korę sosnową sobie ostrzy.

– Pójdę. Pójdę. Już nic tu po mnie. Teraz czas na Miłozsa. Wiesz, Kaziku, że na twojego syna czas? Wszystko płynie, wszystko się toczy. Łzy po policzkach, rude głowy po mchu. I los...

Na Miłozska czas? Dlaczego na Miłozska? – zastanawia się Kazik. Przecież to na niego czas.

Czas odejść.

Nie ma już w lesie mamy. Głowa Kaza wyciekła do końca w pory asfaltu. Nie ma kobiety na drzewie i wyrzutów sumienia. Tam, gdzie czerwone szpony, teraz chłopięce nóżki. W krótkich spodenkach, w podkolanówkach i wytartych bucikach. Miłosz? Miłoszek. Patrzy na tatusia z góry.

Ale nie ma już tatusia. Jest las i pusta ulica Kajki. Noc czerwcową. Ciepła, spokojna.

Jedna z wielu nocy, po której przyjdą następne.

*

– Następnego dnia obudziłam się z bólem głowy, ale też z zupełnie nieoczekiwanym poczuciem spokoju. Wołanie Ananke, które przywiodło mnie do tego miejsca, do tamtej nocy na drodze, wreszcie ucichło, los się dopełnił. Przeprosiłam więc rano Stefana, że uszkodziłam mu samochód, przeprosiłam, że uszkodziłam jego poukładane życie – i serce – a potem pojechałam prosto do

redakcji „Trybuny”, gdzie poprosiłam o urlop. Jeszcze tego samego dnia wsiadłam w pociąg do Wrocławia.

– Przyjechałaś tutaj?

– Tak. Ciotka Magda o nic nie zapytała, bo jednak okazała się mądrzejsza, niż mi się przez lata wydawało. A wujek Heniek też o nic nie zapytał, bowiem w chwili, kiedy ja uciekałam przez uspiiony Anin, on przeszedł rozległy wylew. – Matka zacharczała, dusiła się przez moment, w płucach jej rzeziło. – Był mi najbliższy na świecie. Spędziłam przy nim w szpitalu ponad trzy tygodnie, a potem ubrałam go do trumny.

– Nie chciałaś wrócić do Warszawy?

– Zaraz po pogrzebie nabrałam podejrzeń, że jestem w ciąży, i od tego momentu postanowiłam, że nigdy więcej nie tknę kieliszka, że nie wrócę do poprzedniego życia, do dziennikarstwa i nie zobaczę się ze Stefanem – chociaż wiele razy prosił, żebym to przemyślała, żebyśmy stworzyli normalną rodzinę. Ale ja nie mogłam. Musiałam zostać tutaj. Z Magdą. Zrozumiałam, że do tamtego świata, do tamtego życia nie ma dla mnie powrotu. Kiedy pojawiłaś się na świecie, przyjąłem pracę w liceum w Nowej Rudzie. Codzienność okazała się zupełnie przyjemna, znośna, choć jednocześnie nieznośnie nudna. Ale nigdy więcej nie usłyszałam w sobie krzyku sowy.

Epilog

Biegnę.

Jeden, drugi, trzeci, umykają pnie buków, klonów i grabów rosnących przy ścieżce. Znam na pamięć każde złobienie w ich brunatnej korze, wybrzuszenia pękatych narośli, krzywizny splątanych gałęzi. I każdy kamień, każdy korzeń pod nogami. Biegam tędy od ponad dwóch lat. Żaden xanax nie zastąpi zastrzyku endorfin, jak powiedział terapeuta po śmierci matki. Zdrowy tryb życia wszedł mi w nawyk, a las i bliskość górskiego szlaku w naturalny sposób zachęcają do aktywności. Gdybym nie biegała, zaczęłabym pić albo brać prochy. Nie da się zupełnie na trzeźwo znieść tego, czego się dowiedziałam.

Basia umarła na skraju nocy, w paskudny kwietniowy dzień, który rozlał się deszczem po zboczach Kalenicy i podtopił kilka domów w dolinie. Obudziłam Helę, by pożegnała się z babcią. Byłyśmy przy niej w chwili, gdy zamknęła oczy.

Nie umiałam zapłakać po jej śmierci, nie w świetle tego, co mi powiedziała. Jej słowa mnie odmieniły, chociaż pozornie wszystko zostało po staremu.

Biegnąc przez cichy jesienny las, myślę właśnie o tym. Myślę o mojej matce, o jej matce. Myślę o przeszłości. Ale też o sobie i Heli, mojej słodkiej, dobrej córeczce, którą przed chwilą zawiozłam do szkoły.

Biegnę, a nogi same mnie niosą. Gdy wyruszałam spod domu, było mi zimno. Mam na sobie bluzę, czapkę, rękawiczki nawet, a teraz wszystko bym z siebie zdjęła. Mimo że całą noc przesiedziałam przy komputerze i powinnam już czuć zmęczenie, forma mi dopisuje. Spoglądam na przedramię, do którego przytwierdziłam etui z telefonem. Aplikacja treningowa wskazuje, że zrealizowałam codzienne minimum, przebyłam pięć kilometrów i bez wyrzutów sumienia mogłabym wracać. Ale jeszcze nie chcę. Zamiast do domu skręcam w stronę Chaty Grety. Stamtąd pobiegnę jeszcze w dół, w kierunku Jugowa – obok pochłanianych przez naturę fundamentów schroniska Marien-Baude, gdzie

kiedyś w piwnicach znaleziono zwłoki zaginionej dziewczyny, gdzie krew już dawno wsiąkła w ziemię, ziemię pokryła świeża trawa, a wejście niedawno zakryły kamienie – i szosą pod górę wrócić do domu, robiąc w ten sposób wielką pętlę.

Chata Grety od pięćdziesięciu lat nie należy już do Grety – ostatniej autochtonki, która została tu po wojnie. Dom znajduje się na uboczu w górach i jest na tyle oddalony od wsi, że stara widocznie nie bała się nękania ze strony nowych sąsiadów. Zaszyła się w cieniu lasu i dożyła w nim sędziwego wieku. Potem przez długi czas stał opuszczony. Parę lat temu, gdy mieszkałam w Warszawie, kupiła go inna kobieta. Nie stąd. Ludzie mówią, że to szeptucha.

Mój dom dzieli od Chaty Grety pewnie z osiemset metrów. Ale jesienią i zimą, kiedy na drzewach nie ma liści, wieczorami widać palące się w oddali światła. Rozdygotana chałupa ledwo trzyma pion. Eternitowy dach rakotwórczo faluje, a tynk dawno opadł ze ścian. Wygódka, podobnie jak studnia z wodą, znajduje się na zewnątrz. Całe obejście przypomina skład złomu.

Czasami zastanawiałam się, jak starsza, samotna kobieta radzi sobie w takich warunkach. Wysoko w górach, daleko od wsi, bez kanalizacji, bez telefonu. Podobno pustelnica ma jakiegoś wnuczka, który przyjeżdża z Wrocławia i przywozi jej jedzenie, a gdy trzeba, załata dach czy zwiezie opał na zimę. Widziałam ją zaledwie kilka razy, czasami spotykamy się w lesie, kiedy zbiera jagody, grzyby czy zioła. Pewnie na te swoje napary. Zawsze jej się kłaniam, ale ona udaje, że mnie nie widzi. Kiedy zapuszczam się w tamtą stronę na spacer albo żeby pobiegać, widuję pod Chatą Grety samochody z rejestracjami z całej Polski, więc może faktycznie dziwaczka potrafi leczyć.

Ale dzisiaj samochodów brak, dostrzegam to z daleka. Dom stoi samotny, cichy, pokryty zielonymi zaciekami. Z komina pyka dym. Wiem, że kiedy tędy biegam, stara obserwuje mnie zza brudnej firanki, dlatego zazwyczaj do niej macham. Teraz także zamierzam to zrobić, kiedy nieoczekiwanie sąsiadka pojawia się tuż przede mną, na drodze. Jak zawsze przygarbiona, cała na czarno, z burzą nieuczestnych siwych włosów. Staje pośrodku ścieżki, tarasując przejście.

Zaskoczona zatrzymuję się kilka metrów przed nią.

– Dzień dobry – pozdrawiam ją.

Kobieta się nie porusza. Lustruje mnie łagodnym spojrzeniem. Ja również patrzę z ciekawością – chyba po raz pierwszy widzę ją z tak bliska. Z tej perspektywy sprawia wrażenie jeszcze mniejszej, przykurczonej, starszej, ale przy tym nie jest specjalnie brzydka czy odpychająca. Jej zniszczona, pomarszczona twarz wydaje się całkiem przyjazna.

– Czekałam na panią – stwierdza lekko chropowatym, ciepłym głosem.

– Na mnie? – Zatrzymuję aplikację treningową. Drepczę w miejscu, żeby nie wychłodzić mięśni.

– Już dawno powinnam była z panią pomówić. Muszę pani coś pokazać. Proszę pójść za mną.

Nie chcę nigdzie z nią iść, chcę biec w swoją stronę, ale przez grzeczność nie potrafię odmówić.

W milczeniu mijamy dom i podążamy na tyły obejścia, gdzie przy ścianie szopy wypiętrza się drewno, równiutko ułożone i przygotowane na zimę. Uświadamiam sobie, że ja też powinnam czym prędzej o nie zadbać. Zima za pasem, złożę zamówienie, gdy tylko wrócę do domu. Wokoło walają się stare opony, dziurawe miski, bębny od pralek, jakieś szmaty, różne śmieci, w tym wózek dziecięcy jak z horroru i stary kineskop telewizora. Dziwnie mi się robi na widok tego cmentarzyska. Czuję lekkie drżenie i ucisk pod mostkiem. Czyżbym się bała?

– Proszę podejść i spojrzeć.

Stara się zatrzymuje i pokazuje na dziwny kształt rozciągnięty za psią budą. Nie bardzo rozumiem, co widzę. Podchodzę bliżej.

– Co to jest?

– To jest Czarny, mój pies. A raczej był...

Czarnego trudno dostrzec na tle błotnistej ziemi, bo się z nią zlewa. Zlewa się z nią także krew Czarnego. Tylko trzewia psa – różowosine, wywleczone i rozciągnięte wokół – odcinają się od brunatnego tła. Widok jest okropny, mam ochotę puścić pawia.

Czegoś mi tu jednak brakuje... Łeb! Nigdzie nie widać psiego łba, została po nim jedynie szyja, ziejąca zastygłą juchą.

Głowa... Nie widzę jej, a jednak widzę. Gdy mrugam powiekami, przez ułamek sekundy pojawia się pod nimi i znika, pojawia i znika. Toczy się. Między nogi. Blondwłosa głowa Miłósza. Toczy się matowe spojrzenie stalowych oczu...

Odpycham tę dziwną wizję od siebie. Mocno zaciskam powieki, tak mocno, że niemal bołą. Wizja znika.

– Myśli pani, że to jakieś zwierzę? – Z obrzydzeniem odwracam wzrok.

– Zwierzę? – Stara odpowiada pytaniem na pytanie. – Nie, raczej nie. Choć w zasadzie można by tak to nazwać.

– To może czyjś pies z doliny? Słyszałam z tydzień temu, że komuś w Jugowie uciekł amstaff.

– To nie był amstaff, chyba że potrafi posługiwać się tym. – Sąsiadka wskazuje palcem na porzuconą kilka metrów dalej łopatę. – Czarnego nie zabiło zwierzę.

– W takim razie co? Lub kto? – Naprawdę nie rozumiem, czego ta kobieta ode mnie chce.

Staruszka przygląda mi się dziwnie.

– Pani chyba wie? – mówi to bardzo spokojnie, bez jakichkolwiek przejawów wrogości, a jednak czuję w jej głosie wyrzut.

– Słucham?

– Pani jest przecież jej matką. A to nie pierwszy raz. Kiedy zeszłej zimy zniknął mój kot, nic nie powiedziałam, chociaż znalazłam na śniegu krew i odciski dziecięcych butów. Ślady prowadziły w las, w stronę pani domu. Kot się nie odnalazł, a ja nie zwykłam rzucać oskarżeń bez dowodów, ale teraz nie mogę udawać, że nic się nie stało. Chyba pani rozumie?

Nie, jeszcze niczego nie rozumiem. Wpatruję się w kobietę oczami jak spodki. Czuję, że podskoczyło mi ciśnienie. Chyba wcale nie po bieganii.

– Tym razem coś zobaczyłam. W środku nocy obudził mnie skowyt Czarnego, więc wyszłam. Nie złapałam jej za rękę, ale widziałam, jak ucieka między drzewa. A on został tutaj. – Wskazuje na truchło psa. – Jeszcze ciepły. Jeszcze jucha nie zastygła...

Nie odzywam się. Czuję, że zbladłam, że cała krew odpłynęła mi z twarzy. Patrzę na to, co zostało z psa, i przypominam sobie tę starą sprawę z martwym

wróblem. Zrobiłam wtedy straszną drakę w szkole. Przerzuciłam winę na Kostrzewską. W końcu to ona pozwoliła, żeby pod jej opieką znęcano się nad moją córką. Po tamtej awanturze wszystko się zmieniło. Helki nikt już nie przezywał, znowu był spokój. Skończyły się mroczne rysunki. Nawet odejście babci nie odbiło się specjalnie na Heli. Przegadałyśmy tę sprawę, wytłumaczyłam jej, że śmierć jest częścią życia. Zaakceptowała to. Jest silnym i mądrym dzieckiem. Pozwalam jej na wiele, lecz ona nigdy nie przekracza granic, nie nadwyręża mojego zaufania. Nie oszukuje mnie. Wiem o niej wszystko. Tak myślę. Tak chcę myśleć.

Basia odeszła, a wraz z nią odeszły demony.

Hela nie zabiła psa. Bzdury! Energicznie rozcieram ramiona dłońmi. Teraz, kiedy ciało wychłodziło się po biegu, nagle zrobiło mi się przeraźliwie zimno. Z jesiennego nieba spadają pierwsze krople deszczu.

– Musiała się pani pomylić – mówię twardo, nie zważając na deszcz. – To nie mogła być moja córka. Niby jak miałyby przyjść tu do pani w środku nocy...? To jeszcze dziecko.

Stara kiwa smutno głową. W jej łagodnych oczach odmalowuje się coś na kształt zaskoczenia, jakby nagle zrozumiała, odkryła to, czego dotąd nie dostrzegała.

– Ja widzę więcej, niżbym chciała – odzywa się powoli. – Więcej, niż mi pokazują oczy. Mojego Czarnego szkoda, ale i pani mi szkoda. Pani sądzi, że już wszystko za panią, że teraz już tylko będzie dobrze. Ale nie będzie, póki winni nie poniosą kary... To się nie skończy.

– Nie rozumiem, co pani chce przez to powiedzieć.

– A ja myślę, że pani wie, chociaż udaje nawet przed sobą... – Odwraca się i odchodzi w stronę domu, zostawiając mnie zdezorientowaną nad truchłem psa.

Chcę stąd natychmiast uciec, chcę się jak najszybciej znaleźć u siebie.

Ruszam pędem w dół drogi. Ale nie w stronę wsi, jak planowałam – skręcam i biegnę polami na przełaj w kierunku domu. Nie chcę teraz nikogo spotkać. Chcę być sama. Biegnę ile sił w nogach, jakby mnie ktoś gonił. A przecież uciekam tylko przed sobą.

Las szumi wokół mnie, a wiatr zatacza wielkie koła. Deszcz już nie siąpi, a leje. W głowie słyszę ciche pohukiwanie. Słyszę własny szept. Biegnę. Widzę

wnętrze mieszkania przy Belgijskiej. Widzę, jak kłócę się z Miłozsem. Jak rzucam przedmiotami, biję głową w ścianę, okładam się na oślep pięściami, odbijam od mebli, z wściekłością tłukę lustro, a kawałki szkielec opadają wokoło nas, ranią mnie i jego. Miłosz trzyma mnie za ręce. Próbuje powstrzymać, żebym nie wyrządziła sobie większej krzywdy. I wszystko gaśnie. Czarno. Zimna woda w wannie. I znowu czarno, a my stoimy na balkonie. Jest noc. Miłosz mówi do mnie, że inaczej to sobie wyobrażał.

– Co sobie wyobrażałeś inaczej? – pytam.

– Wszystko... Ciebie.

– O czym ty mówisz? Nie rozumiem.

– Nie powinienem był cię wtedy zabierać z przystanku. Nic nie jest takie, jak powinno być... Boję się. Czuję, że tracę kontrolę.

To ja straciłam kontrolę. Nad sobą. Znowu czarno. I znowu jest tamto popołudnie, jesień w górach, gdy przyjeżdża i prosi, żeby odwrócić los. Że on i ja, i dziecko, że możemy być razem... Próbuje tłumaczyć, ja coś krzyczę. Nie daję mu dojść do głosu, a on nie daje rady utrzymać moich rąk. Nie umie powstrzymać złości, która zalewa mnie jak czarna fala. Która mnie ponosi w nieoczekiwaną stronę.

Nie chcę o tym myśleć!

Tak długo udawało mi się nie myśleć. A jednak teraz to wspomnienie już się toczy, jak toczyła się jego jasna głowa po zrudziałej trawie. Jak toczyło się jego ciało, żeby wreszcie zapaść się w grobowiec ruin schroniska Marien-Baude. W to samo miejsce, gdzie ponad pół wieku wcześniej ziemia pochłonęła ciało Haliny Żurek, a potem wiosną je oddała, choć tak zmienione, że Basia mogła spać spokojnie. Miłozsa ruiny nie oddadzą. Tu zbrodnie nie doczekują się kary.

Po wszystkich przytargałam kilka kamieni, żeby zasypać otwór. Kamienie będą milczeć, myślałam, wracając jak gdyby nigdy nic do domu, gdzie czekała na mnie matka. Nikt się nigdy nie dowie, myślałam, nachylając się nad łóżeczkiem i całując w czoło śpiące dziecko. Nikt się nie dowie... Zresztą kto by się spodziewał, że w drobnym kobiecym ciele kryje się taka siła. Miłosz się nie spodziewał i nikt o Miłozsa potem nie pytał. Przecież nie szuka się kogoś, kto już raz zniknął, kto dla świata dawno przestał istnieć.

Zatem znowu nie będzie kary?

Znowu los będzie się toczyć i toczyć się będą głowy po trawie?

Nic nie zatrzyma spirali zła, nic nie zagłuszy pohukiwania sowy, póki wszyscy nie poniesiemy kary. Dopóki nie poniosę jej ja i moja matka, i inni, którzy byli przed nami.

To nagłe odkrycie działa na mnie osobliwie kojąco, w nieoczywisty sposób wyzwalająco. Teraz wszystko rozumiem. Zwalniam bieg. Wpadam na podwórko. Wokoło cisza, ponura i pusta. Wiatr ucichł, chociaż deszcz nadal pada. Nie ma nawoływania sowy. Nie ma poszeptów. Tylko mój oddech. Spokój. I chłód. Okienne oczy wyzierają z kostropatej twarzy domu. Dom patrzy na mnie. Dyszę. Pot zalewa mi ciało, serce zaraz wyskoczy z piersi. Płonę w środku – zrywam z głowy czapkę, zdejmuję rękawiczki.

Moje dłonie...

Szczupłe, o długich palcach, jakby należały do kogoś innego – całe pokryte są krwią. Zastygła, poczerniała. I ziemią, która odcina się półksiężycami pod płytkami połamanych paznokci.

Teraz czuję to doskonale. Jest we mnie. W nas. We wszystkich niekochanych dzieciach, skrzywdzonych córkach, zaniedbanych synach. I będzie trwać...

Copyright © by Katarzyna Zyskowska-Ignaciak

Projekt okładki

Eliza Luty | pixELLE

Fotografia na okładce

las © Angela Waye/Stocksy

dom © Peter Herrmann/Unsplash

kobieta © CoffeeAndMilk/iStock

Redakcja

Katarzyna Sobiepanek-Szczęsna

Opieka redakcyjna

Dominika Ziemia

Adiustacja

Małgorzata Kuśnierz

Korekta

Pracownia Mole

ISBN 978-83-240-9654-1

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek